

ᄀ

Redaktor naczelny
Krzysztof Czyżewski

Zastępca redaktora naczelnego
Bożena Szroeder

Zespół
**Sigitas Birgelis, Stanisław Buchowski, Andrzej Gryguć, Jerzy Nazaruk,
Eugeniusz Pietruszkiewicz**

Redakcja tekstów polskich
Janusz Kopiał

Redakcja tekstów litewskich
Józef Sygit Forencewicz

Korekta litewska
Jolanta Jurkunas

Opracowanie graficzne
Krzysztof Czyżewski

*W numerze wykorzystano wzory czcionek i ozdóbników
pochodzące z litewskiej drukarni założonej w Sejnach w 1905 roku*

*Zamieszczone w Almanachu fotografie, ilustracje i ryciny, jeżeli nie zaznaczono inaczej,
pochodzą ze zbiorów Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza*

Publikacja zrealizowana przy pomocy finansowej
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ISSN 1732-4106

© Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach

Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 37
skrytka pocztowa 15
16-500 Sejny
tel./fax (87) 516 21 89
centrum@pogranicze.sejny.pl

www.pogranicze.sejny.pl

Łamanie
Ewa Przytuła, Pro Edit, Szczecin

Druk
Drukarnia Read Me, Łódź

ALMANACH SEJNEŃSKI

E
I
Ń
Ź
A
L
M
A
N
A
C
H
S

Pogranicze



Sejny

Spis treści

NOTATNIK ŻEGARSKI

Piotr Dapkiewicz: <i>Drogi wsi Żegary</i>	11
Piotr Dapkiewicz: <i>Krzyże wsi Żegary</i>	19
Piotr Dapkiewicz: <i>Wspomnienia z drugiej wojny światowej</i>	29
Piotr Dapkiewicz: <i>Zanikanie polsko-litewskiej granicy</i>	37
Eugeniusz Pietruszkiewicz: <i>Żegary – wieś pomiędzy sześcioma jeziorami</i>	45

MIĘDZY POKOLENIAMI

Romuald Kozłowski: <i>Moje wspomnienia z Klejw</i>	61
„ <i>Oddany chleb</i> ”. Rozmowa Bożeny Szroeder z księdzem Kazimierzem Gackim	71
Jerzy Nazaruk: <i>Dacznik. Opowieść o dziadku Kasjanie i ojcu Mikołaju, ich wędrówkach przez życie, i co tam widzieli, i co przeżyli</i>	93
Weronika Czyżewska: <i>Strażnik pamięci. Naum Adelson, ostatni suwalski Żyd</i>	165
Dominik Abłamowicz: <i>Z rodzinnej historii pogranicza</i>	185
Salomea Przyrowska z Pieńczykowskich: <i>Dawni sejnianie Pieńczykowscy. Wspomnienia ostatniej z rodu mieszkanki Sejn</i>	205

POWRACAJĄCY

Zdzisław Bykowski: <i>Moje Sejny</i>	245
Arnold Markowitz: <i>Sejneńskie powroty</i>	287
Zbigniew Przyrowski: <i>Sejny</i>	301

PORTRETY

Eugeniusz Pietruszkiewicz: <i>Edward Gizewiusz</i>	313
Edward Gizewiusz: <i>Moje życie</i>	317
Eugeniusz Pietruszkiewicz: <i>Jan Stoskielunas – nauczyciel nauczycieli</i>	321
Joanna Ostaszewska: <i>Zita Žemaitytė (1923–2009)</i>	327
Bożena Szroeder: <i>Pani Gabrynia Janczulewicz</i>	331

NOTATNIK RECENZENCKI

Janina Osewska: <i>Na rozstajach pamięci</i>	350
Wacław Klejmont: <i>Małe jest piękne, małe jest ludzkie</i>	354
Andrzej Gryguć: <i>Miłoszowe powroty na Suwalszczyznę</i>	359
Jan Jastrzębski: <i>Liście z Krasnogrudy</i>	364
Monika Karpowicz: <i>Sejny. Sentymentalny spacer po mieście</i>	369
Zoja Jaroszewicz-Peresławcew: <i>Staroobrzędowcy krajów bałtyckich i Polski</i>	372
Andrzej Gryguć: <i>Współczesność i tradycje społeczności lokalnej Ejszyszek na Litwie widziane oczami jej mieszkańców</i>	376
Andrzej Gryguć: <i>Arcybiskup Jerzy Matulewicz – człowiek Kościoła i pogranicza</i>	382
Andrzej Gryguć: <i>Pogranicza jako ziemie peryferyjne a zarazem obszary kreujące nową jakość w wymiarze etnicznym, religijnym, kulturowym i społecznym</i>	390

NOTY O AUTORACH	400
-----------------------	-----

Turinys

ŽAGARIŲ UŽRAŠAI

Petras Dapkevičius: <i>Žagarių kaimo keliai</i>	13
Petras Dapkevičius: <i>Žagarių kaimo kryžiai</i>	21
Petras Dapkevičius: <i>Iš antrojo pasaulinio karo atsiminimų</i>	31
Petras Dapkevičius: <i>Nykstanti Lenkijos-Lietuvos siena</i>	39
Eugenijus Petruškevičius: <i>Žagariai – kaimas tarp šešių ežerių</i>	47

TARP KARTŲ

Romuald Kozłowski: <i>Mano atsiminimai iš Klevų</i>	63
„Atiduota duona“. Boženos Szroeder pokalbis su kunigu Kazimierz Gacki	73
Jerzy Nazaruk: <i>Pasakojimas apie senelį Kasainą ir tėvą Mikalojų, jų gyvenimo kelią ir ką jie matė ir išgyveno.</i>	95
Weronika Czyżewska: <i>Atminties saugotojas. Naum Adelson – paskutinis Suvalkų žydai</i>	167
Dominik Ablałowicz: <i>Iš paribio šeimos istorijos</i>	187
Salomea Przyrowska-Pieńczykowska: <i>Penčikovskiai – buvę seiniškiai. Paskutiniosios iš šeimos Seinų gyventojos atsiminimai.</i>	207

SUGRĮŽTANTIEJI

Zdzisław Bykowski: <i>Mano Seinai</i>	247
Arnold Markowitz: <i>Sugrįžimai į Seinus</i>	289
Zbigniew Przyrowski: <i>Seinai</i>	303

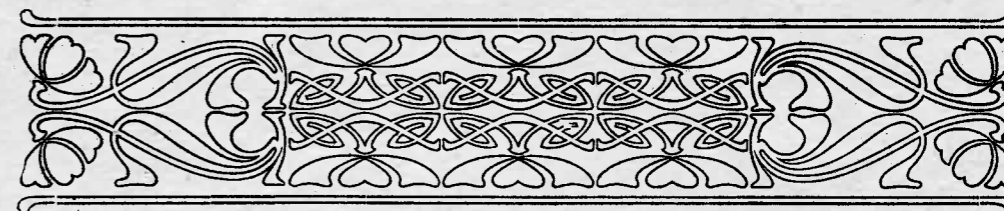
PORTRETAI

Eugenijus Petruškevičius: <i>Eduardas Gizevijus</i>	315
Eugenijus Petruškevičius: <i>Jonas Stoskeliūnas – mokytojų mokytojas</i>	323
Joanna Ostaszewska: <i>Zita Žemaitytė (1923–2009)</i>	329
Božena Szroeder: <i>Ponia Gabrynia Janulewicz</i>	333

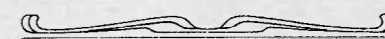
RECENZENTŲ UŽRAŠAI

Janina Osewska: <i>Atminties kryžkelėje</i>	350
Wacław Klejmont: <i>Mažas – gražius, mažas – žmoniškas</i>	354
Andrzej Gryguć: <i>Milošo sugrįžimai į Suvalkija</i>	359
Jan Jastrzębski: <i>Krasnogrūdos lapai</i>	364
Monika Karpowicz: <i>Seinai. Jausmingas pasivaikščiavimas po miestą</i>	369
Zoja Jaroszewicz-Peresławcew: <i>Lenkijos ir Baltijos kraštų sentikiai</i>	372
Andrzej Gryguć: <i>Lietuvos Eišiškių gyventojų dabartis ir tradicijos matomos jų pačių akimis</i>	376
Andrzej Gryguć: <i>Arkivyskupas Jurgis Matulaitis-Matulevičius. Bažnyčios ir paribio žmogus</i>	382
Andrzej Gryguć: <i>Paribiai, kaip periferinės žemės, kuriose etninė, religinė, kultūrinė ir visuomeninė prasme kuriasi naujos kokybės</i>	390

APIE AUTORIUS	400
-------------------------	-----



Notatnik zegarski



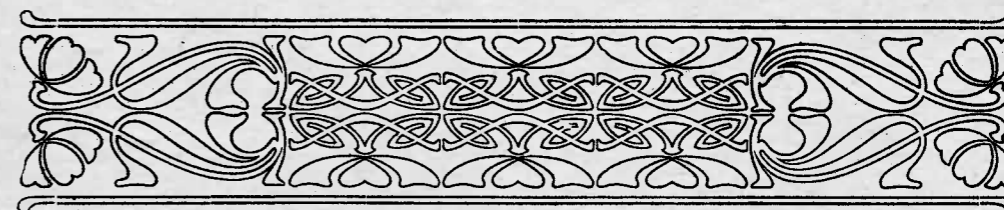
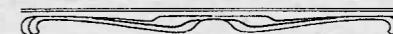
ŻEGARSKIE DROGI

KRZYŻE WSI ŻEGARY

ZAKOŃCZENIE II WOJNY ŚWIĄTOWEJ

ZANIKANIE GRANICY POLSKO-LITEWSKIEJ

WIEŚ POMIĘDZY SZEŚCIOMĄ JEZIORAMI





Żegarska droga. Fot. Michał Moniuszko

PIOTR DAPKIEWICZ

Drogi wsi Żegary

Parašyti šį straipsnį paskatino „Šaltinio“ 4/11 numeryje spausdintas Gintauto Marcinkevičiaus straipsnis apie Klevų kaimo kelius. Ogi Žagariuose kelių daugiau ir jų istorijos nemažiau įdomios. Kelių dėka Žagarių kaimas atsirado rašytiniuose šaltiniuose. Per Žagarius ėjo kelias nuo Merkinės į Vygrių medžioklės dvarą ir toliau į Prūsiją. Čia keleiviai galėjo pailsėti, suvalgyti ar arklius pakeisti. Per Žagarius buvo planuojamas plentas jungiantis Augustavą su Vilniumi. Dabartiniiais laikais pagrindinis kelias per kaimą jungia Dusnyčią su Seinais. Didelės svarbos įgyjo kelias iš Žagarių į perėją su Lietuva Aradnykuose. Nuo jo 2,5 km atšaka į Krasnogrūdės dvarą, kuriame vaikystėje dažnai lankydavosi Nobelio premijos laureatas Česlovas Milošas (Czesław Miłosz). Kad tik galėtų kalbėti, daug papasakotų kas juo pravažiavo ir kas praėjo.



o myśli, aby opisać żegarskie drogi, naprowadził mnie artykuł w litewskim kwartalniku „Šaltinis“, w którym (numer 4/11) Gintautas Marcinkiewicz opisuje drogi rodzinnej wsi Klejwy. Pomyślałem, że Żegary są nawet bogatsze w tej dziedzinie, gdyż poza własnymi drogami istnieją jeszcze wiodące przez wieś, a liczebnie nawet jest ich więcej. Ze względu na naturalne przeszkody (jeziora), drogi muszą tędy przechodzić. Przecież przez jeziora mostu się nie zbuduje. Chociaż kiedyś, w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, została zbudowana linia telefoniczna w poprzek Gaładusi. Służyła wyłącznie Wojskom Ochrony Pogranicza. Jednak przetrwała jedynie do przyjscia wiosennych roztopów. Lody, ruszając, porozwalały telefoniczne słupy stojące w wodzie i linię trzeba było przeprowadzić dookoła jeziora.

Sądzę, że opisać istniejące drogi warto dlatego, aby o nich wiedziały przyszłe pokolenia. Tylko za mojej pamięci jedne zniknęły, natomiast inne powstały na potrzeby tu zamieszkałej ludności. Były od niepamiętnych czasów. Inaczej człowiek nie mógłby się ruszyć z domu. I to niezależnie od pory roku i ich stanu. Obecnie może są drogi bardziej potrzebne niż kiedyś, gdy środkiem

transportu był konie i wóz w nie zaprzężony. Przecież samochodem nie przejedzie się prosto przez pole, tym bardziej przez uprawne lub porośnięte lasem.

Dzięki drogom Żegary po raz pierwszy znalazły się w źródłach pisanych. Był to opis drogi prowadzącej z miejscowości (zamku) Merkinie na Litwie do dworku myśliwskiego w Wigrach i dalej do Prus Krzyżackich. Wspomniano tam, że przy tej drodze stoi przydrożna karczma (zajazd), gdzie można odpocząć, a nawet zmienić konie. Właścicielem karczmy był Zakhory, stąd polscy historycy wywodzą nazwę wsi. Natomiast Litwini wiedzą, że pochodzi ona od słowa: *žagarai*, czyli chrust, którego pełno w pobliskich lasach. Na terenie obecnej Litwy tych nazw jest jeszcze parę, więc niemożliwe, aby tam również mieszkali Zakhory. Jedynie dla uproszczenia w polskim języku pierwszą literę „a” zmieniono na „e”, co daje obecną nazwę wsi.

Nie wiem, czy gdziekolwiek w dokumentach zostało zapisane, ale według opowiadań mego dziadka i innych starszych ludzi, jeszcze przed zbudowaniem drogi (szosy) z Augustowa do Łoździej i dalej do Wilna, miała ona przechodzić przez Żegary i wieś Dusznicy. W geodezyjnych dokumentach i teraz figuruje jako pas drogi o szerokości osiemnastu metrów. Tak jest do skrzyżowania z drogą do Ogrodnik. Dalej miała przebiegać nad jeziorem Sztabinki i łączyć się z krzyżówkami w Poćkunach. Zapewne sprzeciwili się temu mieszkańcy w Sztabinkach starowiercy, bo zabrano by im dużo uprawnego pola. Wiem, że opierali się również poszerzeniu drogi obecnie wiodącej z Żegar do Sejn, brzegiem ich wsi. Przegradzali więc ją kamieniami albo przeszkodami z żerdzi.

Ta najstarsza, i bodajże najbardziej uczęszczana, droga obecnie prowadzi z przygranicza z Litwą do Sejn i ma długość dwunastu kilometrów. Ma znaczenie wojewódzkie i dlatego jest najbardziej zadbana i zimą w pierwszej kolejności odśnieżana. Bodajże od ośmiu lat, przed założeniem telefonów podziemnych, jest wyasfaltowana i przejezdna o każdej porze roku. W Dusznicy przepływa pod nią Duszanka łącząca jeziora Gaładuś i Hołny. Jeszcze w latach siedemdziesiątych nad tą rzeczką stał młyn wodny Andrzeja Makowskiego, w którym przed wojną ludzie z okolicy męli mąkę i produkowali doskonały pęczak (grubą kaszę jęczmienną). Obecnie coraz bardziej miejsce to nie przypomina istniejącego niegdyś młyna.

Żegary



Na terenie Żegar droga ma pod sobą trzy przepusty. Pierwszym przepływa woda (gdy jej na wiosnę przybywa) z bagienka Raistelis do bajorka o nazwie Dubioja. Przy jego budowie pracował Marian Essel, który został mocno poturbowany, gdy osunęła się na niego ziemia. Następnym rowem przelewa się woda o czerwonej barwie z jeziora Dusalis Mały (Dusalukas) do Gaładusi. I tu przepust budował Antoni Zibuda. Trzeci zaś przepuszcza również czerwoną wodę z Żegarskiego Bagna (niedawno jeszcze nazywanego Bagnami Krasnogrudzkimi) do tego jeziora o powierzchni półtora hektara.

Istniał jeszcze czwarty przepust na rowie łączącym jeziora Dusalis Duży (Dusalis) i Gaładuś, ale przy spadku wody nie zachodziła potrzeba, aby go odnowić i przy asfaltowaniu tej drogi po prostu został zasypany. Te dwa jeziora kiedyś zapewne były połączone. Gdy w 1971 roku kopałem dół pod słup elektryczny, to się dokopałem do takiego żółtego piasku, jaki znajduje się na dnie jezior. A przed wojną to płocie na tarło podpływały blisko drogi.

Kiedyś tą i inne drogi, co roku po zakończeniu wiosennych robót, naprawiali rolnicy systemem szarwarków, a więc obowiązkowej pomocy (tłoka) przy ich nawożeniu i równaniu żwirem. Jednak po utworzeniu w 1952 roku pegeeru w Sztabinkach i rozbiciu tej drogi przez ciężki sprzęt, system ten już nie wystarczał. Władze wygospodarowały pieniądze na jej generalną przebudowę przez nasypanie kamieni i żwiru oraz poszerzenie. Tak dobrze ją naprawiono, że już w 1967 roku do Żegar mogły kursować autobusy pekaesu, a po kilku latach, po jej przeróbce, także do Dusznicy. Natomiast w 1991 roku został na szosie ułożony dywanik z asfaltu i odtąd już się na niej nie kurzy i nie potrzebuje ona tak częstych napraw.

Odnogą tej głównej jest droga prowadząca lewym brzegiem Gaładusi w stronę wsi Burbiszki. Przed sześciu laty również ją wyasfaltowano na odcinku do wsi Radziucie, a później do Jenorajścia. W Żegarach znajdują się na niej dwa przepusty, ale tylko o znaczeniu wiosennym, gdy na polach gromadzi się dużo wody. W moim mniemaniu to najbogatsza w piękne widoki droga, zwłaszcza urocza, gdy się nią jedzie po południu wzdłuż oświetlonego przez słońce jeziora Gaładuś. Jej piękno opisał na początku XX wieku pisarz litewski Vincas Mykolaitis-Putinas w książce *Altorių šešėly*, przetłumaczonej również na język polski pod tytułem *W cieniu ołtarzy*.

Jej odgałęzieniem jest droga wiodąca do wsi Bubele, a zaczynająca się od agroturystycznego gospodarstwa Czesława Koneszki. Cztery lata temu, dzięki pieniądzom z Unii Europejskiej dostała asfaltowy dywanik. Ma jedynie dwa kilometry i kończy się na drodze Radziucie–Sejny, ale zapewne będzie dalej utwardzona, gdyż prowadzi do gminnego wysypiska śmieci i jest dla nas najkrótszą drogą do Puńska. Złośliwi powiadają, że otrzymała nową nawierzchnię

dla mieszkających tam wtedy radnych – powiatowego i gminnego. Niech i tak będzie, ważne że obecnie wszyscy przejeżdżający nią bardzo się cieszą.

No i czwarta w Żegarach wyasfaltowana szosa, zmierzająca z Żegar do Ogrodnik, zaczyna się od skrzyżowania z drogą Dusznica–Sejny przy budynkach Heleny i Tadeusza Waszkiewiczów. Ma długość około dwóch i pół kilometra i łączy się z międzynarodową arterią biegnącą na Litwę. Była budowana etapami przez trzy lata z pieniędzy Unii Europejskiej.

Również około dwuipółkilometrowa droga, czekająca na wzmocnienie asfaltem, jest jej odnogą prowadzącą do dworu w Krasnogrudzie. Zresztą od dawna była nazywana dworską drogą (dvarkelis). Jej znaczenie wzrasta latem, kiedy sejneński ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w opuszczonym dworku organizuje wieczorki literackie poświęcone laureatowi Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi. Zeszłego lata wystawiany był tu spektakl na podstawie jego powieści *Dolina Issy*. Zjeżdżało się wówczas mnóstwo miejscowych i przyjezdnych turystów. A okoliczna, tu zamieszkała ludność, mogła go oglądać parokrotnie i bez żadnej opłaty.

W rocznicę śmierci poety 15 sierpnia w kościółku w Żegarach jest zamawiana msza święta za spokój jego duszy. Nabożeństwa odbywają się w dwóch językach, śpiewy zaś tylko po litewsku. Następnie wszystkich gości zaprasza dyrektor „Pogranicza” Krzysztof Czyżewski do dworku w Krasnogrudzie na drugą część uroczystości. Dwa lata temu uczestniczył w nich poeta rosyjski Anatol Roitman, tłumacz poezji noblisty, a corocznym gościem jest poeta litewski, długoletni przyjaciel Miłosza – Tomas Venclova. Wśród wybitnych gości widzi się profesora Andrzeja Strumiłłę, pracownika Muzeum M. Konopnickiej w Suwałkach Zbigniewa Fałtynowicza oraz innych.

Od „dworskiej drogi” odgałęzia się dróżka w stronę Dusalisa Dużego. Kiedyś prowadziła na pole – mórąg ziemi byłego nosiciela książek Karola Pietruszkiewicza i gospodarzkę A. i W. Chmielewskich. Obecnie nabiera życia jedynie latem, gdy zjeżdżają nad jezioro turyści z Warszawy. Jeszcze nie tak dawno, bo do 1985 roku, nad siedemnastohektarowym jeziorkiem odbywały się doroczne występy litewskich zespołów z Sejneńszczyzny, podobnie jak obecnie nad Gaładusią, we wsi Burbiszki.

W powojennej Polsce w Żegarach doszło do czterech, a może pięciu następujących dużych inwestycji: remont zabytkowego XVII-wiecznego kościółka, a po jego spaleniu się w 1983 roku budowa nowego, już murowanego; podział ogólnowiejskiego lasu na działki, budowa remizy strażackiej i budowa nowej drogi. Jakkolwiek przy odbudowie i budowie nowego kościoła pomagała również ludność wsi sąsiednich, a budowa remizy odbyła się dużym kosztem gminy, to podział lasu i nowa droga były dziełem wyłącznie ludzi tu zamieszkałych.



Droga do Dworczyńska. Fot. Ewa Przytuła

Droga do Dworczyńska, jako odnoga szosy asfaltowej Żegary–Ogrodniki, wyprowadzona została pięknym wzgórzem w kierunku wsi. Jednak przy niewielkim zainteresowaniu mieszkańców tą wsią, jej odcinek dochodzi jedynie do posiadłości Edmunda Wiaktora. Ma gdzieś w sumie półtora kilometra. SKR (Spółdzielnia Kółek Rolniczych) za pomocą maszyn wyprofilowała ją, wykopała przydrożne rowy i pożyczyła nam przyczepy do jej zwirowania. Ciągniki już mieliśmy swoje. Głównym organizatorem tego przedsięwzięcia był ówczesny sołtys wsi Witold Janczulewicz. A to wszystko odbyło się w 1986 roku. Koszty za wynajem maszyn pokrył istniejący wtedy Fundusz Rozwoju Wsi. Dzięki tej inwestycji zlikwidowano kiepską i wąską drogę, znajdującą się niżej od nowej w odległości stu do stu pięćdziesięciu metrów. O jej istnieniu świadczy jedynie stojący stary, około dwóchsetletni drewniany krzyż Pietruszkiewiczów. Nowa droga prowadzi bliżej budynków rozwijających się paru gospodarstw. Przez nią też zanikło znaczenie drogi do gospodarstwa Marcinkiewiczów nad jeziorem Sztabinki. Pozostała jedynie ścieżka dla pieszych i poruszających się rowerem. Straciła również swoją rangę wąska droga wychodząca koło budynków Jana Kuleszy, chociaż nadal idzie wzdłuż lasu Gajdziszki (Gajdziuszki) do sprywatyzowanej jego części pod nazwą Garbarys (Garborajśc? lit. Garbaraistis).

W latach 1964–1965, w czasie wykonywania ogólnokrajowych pomiarów i klasyfikacji gruntów, nie naniesiono na planach drogi do żegarskich lasów

przez pole Antoniego Przeorskiego. Zamieniona została na inną, wytyczoną, jak się okazało po kilkunastu latach, przez dawno opuszczony i zapomniany wiejski cmentarz. Do lasów żegarskich (oficjalna nazwa: Żegarskie Bagno, lit. Bagnoi), wiodą jeszcze dwie drogi: jedna – naprzeciw dróżki do budynków Witolda Wiaktora – do dużej wyspy pod nazwą „Płynię sala” (wzniesienie wśród bagien, grąd); druga zaś – odnoga (jak i poprzednia) drogi Żegary –Bubele, nadająca się nawet na przejazd samochodem osobowym – do części lasu pod nazwą Dubaklonis (trudno ją na polski przetłumaczyć).

Wracając jeszcze do tej drogi przez pradawny wiejski cmentarz, to ona idzie do oddziału leśnego pod nazwą Eglynas. Bodajże przed ośmiu laty, również za kadencji sołtysa W. Janczulewicza, pan wójt wypożyczył sprzęt do budowy prawie nowej drogi, obecnie nadającej się do możliwego przejazdu do lasu. I wtedy za pomocą koparki wydobyto dużą ilość ludzkich kości. Sądziłyśmy, że to pozostałość po drugiej wojnie światowej. Dopiero żyjący wówczas jeszcze doktor Zbigniew Malicki, oglądając dziecinne czaszki, wytłumaczył nam, że tu musieli być pochowani zmarli podczas pomoru ludności w XVIII wieku. To by się zgadzało z opisami historii wsi.

Chciałbym zaznaczyć, że tamte roboty były ostatnią szarwarkową pracą wykonywaną przez mieszkańców wsi.

Wśród zanikłych dróg wiejskich trzeba wspomnieć o tej do Sztabinek, wychodzącej z gościńca prowadzącego w stronę Sejn. Biegła ona wzgórzem na prawym brzegu jeziora Sztabinki w kierunku wsi o tej samej nazwie. Szła przez pola pegeeru, choć temu gospodarstwu nie była potrzebna. Po wybudowaniu nowej, odchodzącej od zakrętu drogi pod nazwą „Alkūnė” (łokieć), poprzednia już nie musiała istnieć. Została po niej jedynie mało uczęszczana ścieżka.

Zapewne nie zanikną znajdujące się przy mojej ojcowiznie dwie kilkunastometrowe dróżki do jeziora Gaładuś. Kiedyś służyły one do napojenia koni, gdy poruszano się jedynie wozami w nie zaprzężonymi. Teraz te dróżki służą latem do podjazdu samochodami nad brzeg jeziora wędkarzom lub innym wypoczywającym. Nieraz jeszcze ktoś z rolników przyjeżdża beczkowitzem po wodę z jeziora. Również utrzyma się wiodąca przez naszą kolonię dróżka pod nazwą „Papiškių”, wywodząca się od rosyjskiego słowa określającego popa (księdza). A przeznaczona była na potrzeby księżowskiego pola. Przy komasacji gruntów zostało ono przydzielone memu dziadkowi, a obecnie nadal służy w tym samym celu memu synowi.

Bardzo opuszczona, choć istniejąca w planach, jest dróżka do byłej posiadłości Romanowskich, którzy musieli ją opuścić zimą 1940 roku, gdy zostali przesiedleni na Litwę. Po nich to pole najpierw mieli w dzierżawie, a obecnie są właścicielami dwaj inni gospodarze z naszej wsi. A dróżka przechodzi przez grunty Anieli i Witolda Janczulewiczów.

Po sprzedaży przez moich sąsiadów działek, nad jeziorem Gaładuś powstała całkiem dobra żwirówka do nich prowadząca. Ma jakieś trzysta metrów, jednak z zastrzeżeniem, że to teren prywatny. Pewnie takich dróg, objeżdżając dookoła jezioro, znalazłoby się więcej. Ale to w XXI wieku nowość, do której jeszcze trudno przywyknąć zamieszkałej tu ludności.

Mieszkańcy wsi, oddaleni od podstawowych dróg, również wybudowali sobie niezłe żwirówki do swoich zagrod. Inaczej być nie może, gdyż coraz więcej przybywa samochodów, a i ciągnikiem jechać łatwiej. Najdłuższą zapewne we wsi drogę zrobił na swoje potrzeby Józef Klucznik; ma ona bodajże sześćset metrów i można nią przejechać o każdej porze roku.

Tak pokrótce opisałem, można powiedzieć, wszystkie istniejące we wsi drogi. Na pewno każda z nich ma swoją historię i według porzekadła litewskiego, „może wiele (gdyby mogła mówić) opowiedzieć, kto i kiedy nią przejechał lub przeszedł”.

Żegary, 19 kwietnia 2008 roku





Żegarski krzyż. Fot. Michał Moniuszko

PIOTR DAPKIEWICZ

Krzyże wsi Żegary

Kodėl, palyginus nedideliame Žagarių kaime, tiek daug kryžių? Ar tai gilaus tikėjimo išraiška, o gal meilė menui? Tikrai, vietiniai gyventojai turi už ką dėkoti Dievui: už nuostabų gamtovaizdį, kalvas, ežerius. Prie Duraluko su Galadusio ežeriu jungiančio grovio dar Krasnogrūdos dvaro savininkas Eismontas buvo pastatęs Šv. Jono Krikštytojo gipsinę statulą. Ją sunaikino II pasaulinio karo metu ir po kario jos neatstatė. Seniausias iš akmens pagamintas kryžius yra kelių Žagarai-Seinai-Jonaraistis sankryžioje. Jame metalinė lenta su lietuvišku užrašu: Kas kryžių neša, tą Dievas myli. Vincas Petruškevičius – kunigų siuvėjas 1900 m.

Būtina paminėti viduryje kaimo stovinti kryžių – paminklą pastatytą 1930 metais Vytauto Didžiojo garbei minint 500-ąsias mirties metines. Tais metais visoje Lietuvoje o ir šioje Suvalkijos dalyje panašiais paminklais buvo pagerbtas Didysis Lietuvos Kunigaikštis.



ieraz zastanawiam się, czy mieszkający w Żegarach ludzie są bardziej wierzący niż w innych wsiach, gdzie krzyży i krzyży-pomników w takiej ilości nie spotyka się. A może to tylko wiara na pokaz, zamiłowanie do sztuki?

Zapewne tutejsi mieszkańcy mieli za co Bogu dziękować, choćby za stworzone tu piękno w postaci jezior i pagórków, nie zawsze miłych do uprawy roli. Duża liczba dróg i związanych z nimi krzyżówek także stwarzały odpowiednie miejsce do postawienia krzyża. Wieś wiele przeżyła w XX wieku, co dało również motyw do postawienia kolejnego. Jakakolwiek nie byłaby motywacja, postaram się do krótko opisać historię każdego z nich.

Zacznę od opisu krzyży-pomników już nieistniejących, o których starsi ode mnie pamiętali i przekazali mi wiadomości. Otóż przy moście na rowie o długości około stu metrów, łączącym jezioro Durakis Mały (Duralukas) z jeziorem Gaładuś, stała statuetka wykonana z gipsu, przedstawiająca postać Jana Chrzciciela. Symbolicznie stała przy wodzie, bo i święty chrzczył pogan, wprowadzając ich do wody. Tę figurkę ufundował pan Eysymont, właściciel

dworu Krasnogruda, a umieszczona została na wierzbie. Zapewne jeszcze by stała długie lata, ale podczas drugiej wojny światowej, gdy cofające się wojska niemieckie ów rów zaminowały, a radzieckie ich atakowały, 2 sierpnia 1944 roku wszystko uległo zniszczeniu. Gdy po paru latach mostek stanął na nowo, już nikt nie zadbał, aby również odbudować figurę.

Na krzyżówkach w środku wsi, skąd drogi prowadzą do Sejn, Ogrodnik i Dusznicy, na posesji J. Pietranisa, stał bardzo pochylony drewniany krzyż. Starsi ludzie opowiadali, że miało to uchronić mieszkańców od rozprzestrzeniania się cholery. Na początku lat sześćdziesiątych proboszcz Sejn ksiądz Antoni Wężyk kazał ten krzyż usunąć, więc mieszkańcy na polu popiłowali go i spalili. Na to miejsce, ale już po drugiej stronie drogi, na prośbę mieszkanki Agaty Waszkiewicz, jej kuzyn Zygmunt postawił w 1963 roku żelazny krzyż o wysokości dwu i pół metra dla upamiętnienia jej córki zaginionej w czasie wojny. W tym czasie wymagano specjalnych na to zezwoleń i z tego powodu fundatorzy mieli pewne nieprzyjemności ze strony bezpieki.

Przy drodze do Ogrodnik, a właściwie przy jej odnodze prowadzącej do dworu w Krasnogrudzie, do lat siedemdziesiątych znajdowały się dwa wysokie drewniane krzyże. Na dole jednego zachowała się wycięta data: 15 VI 1920. Róża Żibudowa z domu Pietruszkiewicz pamiętała poświęcenie przy żegarskim kościółku, jak jeden jego koniec ułożono na kołach przednich wozu, a drugi nieśli na ramionach mężczyźni. I tak był noszony po całej wsi, co miało uchronić jej mieszkańców od choroby, po litewsku nazywanej *šiltinė* [tyfus – red.], która po pierwszej wojnie rozprzestrzeniała się bardzo, a w Żegarach nawet zmarło kilka słabszych osób.

Parę metrów dalej drugi drewniany krzyż postawił właściciel dworu Bronisław Kunat, o czym dowiedziałem się niedawno od pani Anny Kuleszowej. Na wsi w maju była tradycja chodzić i śpiewać przez trzy dni przy krzyżach litanie i ja w niej ze swoim dziadkiem również brałem udział. Zaczynaliśmy to chodzenie od wymienionych krzyży, a kończyliśmy przy „krzyżu Karulisa”. Oba zostały przed kilku laty połamane w czasie wichury przez zwalającą się w tym miejscu ogromną lipę i oba wówczas się spaliły.

Przy poprzednio wspomnianych skrzyżowaniach dróg, na posesji A. i S. Jakubowskich, obecnie H. i T. Waszkiewiczów, stał jeszcze jeden drewniany krzyż. Został połamany przez autobus, który zimą wpadł w poślizg i wyrzuciło go z drogi. O jego dacie postawienia nie pamiętała nawet tam urodzona E. Brzezińska.

Gdy mieszkańcy wsi przy parcelacji i rozdawaniu gruntów przeprowadzali się na wytyczone kolonie, zabierali z sobą stojące przy domach krzyże. Tak również postąpił Paweł Pietruszkiewicz, ojciec już wymienionej Róży. Swój krzyż postawił przy drodze wiodącej do wsi Dworczyisko, pod lasem

Gajdziuszki. Córka pamiętała nawet taką opowieść: gdy ojciec, orząc przy nim, zostawił nowe obijaki (obuwie o drewnianych spodach), nazajutrz znalazł, ale bardzo stare i znoszone. Podejrzał, że je zamienili idący z wieczora na odpust do Sejn żebracy z Litwy. Ten sam Pietruszkiewicz wznosił jeszcze drugi krzyż, gdy mu zmarło dwóch synów: Jonukas i Antanukas. To była ofiara złożona Bogu, aby to się nie powtórzyło. I o dziwo, urodziło się pięć dorodnych, ale córek. Gdy one urosły, już po wojnie, to dosyć bogate gospodarstwo zostało podzielone na trzy części. Nowo przybyli zięciowie pochodzili z różnych parafii i nawet mówili innymi językami. A opisany krzyż stoi i teraz, chociaż mocno pochylony. Może dlatego, że obłożony kamieniami, a i wykonany z wspaniałego drewna, przywiezionego z działu lasu pod nazwą Barsukalnis (Borsucza Góra). I jest to ostatni istniejący w Żegarach krzyż drewniany. Ludzie pamiętali, że jeszcze jeden stał na skrzyżowaniu dróg Bubele–Radziucie.

Najstarszy krzyż z kamienia stoi na rozstaju dróg Żegary–Sejny–Jenorajście. Ufundował go mieszkający w Sejnach znany krawiec Wincenty Pietruszkiewicz. Szył przeważnie dla osób duchownych z miejscowego seminarium, co zresztą zaznaczył na tablicy umieszczonej przy pomniku, wykonanej aż w Kownie, z napisem w języku litewskim: „Kas kryžių neša, tą Dievas myli; pastatė Vincas Petruškevičius – kunigu siuvejas 1900 m”. Po polsku tak by to brzmiało: „Kto krzyż niesie, tego Bóg kocha; postawił Wincenty Pietruszkiewicz, księżowski krawiec”. A intencja była taka, aby mu dzieci nie umierały i zdrowo rosły. A skoro stąd pochodził, więc wznosił tu i pomnik. Obecnie opiekuje się nim jakby wnuk Wincentego: Józef Pietruszkiewicz z żoną Gienią. Przed trzema laty ich daleki krewny ksiądz Józef Draugialis, pracujący na misji w Argentynie, w czasie wakacji dał fundusze na odnowienie pięknego krzyża i wykonanie nowej tablicy. Jednocześnie całość została tak poustawiana, żeby nie znajdował się w pasie drogi i był bardziej odwrócony w stronę pobliskiego kościoła. A wracając do daty powstania pomnika, zastanawiam się nad możliwością wykonania w tamtych latach napisu na tablicy w języku litewskim, właśnie wtedy gdy zabraniano jego używania. Zapewne dobry krawiec szył ubrania również carskim urzędnikom, a oni za dobre usługi nie robili w tym trudności.

W odległości półtora metra od opisanych krzyżówek, przy byłych budynkach Chmielewskich, znajdował się również kamienny krzyż-pomnik. Tu go przywieźli A. i S. Pietruszkiewiczowie z Bubel, gdzie sprzedali swe gospodarstwo innemu rolnikowi, któremu osobisty pomnik nie był potrzebny. Bez wyrytych w kamieniu słów sławiących Boga, mieściła się data 1939–1941, odnosząca się do pobytu pana Stanisława w niewoli niemieckiej. Gdy podpisał zgodę na wyjazd do radzieckiej Litwy, Niemcy skrócili mu

pobyt w niewoli. W taki sposób wielu byłych uczestników wojny wrześniowej wydostało się z jenieckich obozów jako konsekwencji podpisanego 23 sierpnia 1939 roku w Moskwie paktu Ribbentrop–Mołotow.

I jeszcze o kilometr dalej w stronę Bubel, przy drodze wiodącej do posiadłości A. i S. Janczulewiczów, widać cementowy, pomalowany na czarno krzyż-pomnik. W odróżnieniu od poprzednio opisanego, przewiezonego na cmentarz sejneński, ten został tu przyniesiony i w 1980 roku umieszczony zamiast stojącego tu drewnianego krzyża. Natomiast na cmentarzu wzniesiono nowy pomnik-nagrobek, na mogile tam pochowanych.

Najbardziej znany, nie tylko mieszkańcom Żegar, jest pomnik przy drodze w środku wsi, poświęcony pięćsetnej rocznicy śmierci wielkiego księcia litewskiego Witolda, która wypadła w 1930 roku, a obchodzono ją nie tylko na Litwie, ale również na Wileńszczyźnie i Suwalszczyźnie. Tam, gdzie tylko mieszkali Litwini. Władze ówczesnej Polski niechętnie na to patrzyły, a zwłaszcza na umieszczanie napisów w języku litewskim. A przy pasie graniczno-demarkacyjnym w ogóle nie zezwalały na budowę jakichkol-

wiek przypominających rocznicę obiektów. Wobec tego mieszkający tam Litwini upamiętniali tę datę w inny sposób. Na przykład młynarz z Dusznicy A. Makowski posadził przy zagrodzie trzy dęby, jeden z nich rośnie nadal. A chłopcom urodzonym w tym roku nadawano przeważnie imię Witold.

Nie obeszło się i w Żegarach bez kłopotów. Po przywiezieniu pomnika z Suwałk, przez pół roku mieszkańcy ukrywali go na wysepce jeziora Dusalis Większy. A gdy otrzymali zezwolenie i postawili, władzom nie podobał się wyryty w kamieniu napis. A jest całkiem niepolityczny: „Auka Liet. Šv. Kazim. Draugijos, Žagarių Skyrius, 1933–34 m. Šv. Metai”, co w języku polskim brzmi tak: „Ofiara Lit. Św. Kazim. Organizacji, Żegarski oddział, 1933–34 r. Św. Rok”. Policja w Berżnikach



Żegary, pomnik poświęcony pięćsetnej rocznicy śmierci wielkiego księcia litewskiego Witolda.
Fot. Michał Moniuszko

przed Wielkanocą zatrzymała mego ojca jako twórcę tego napisu, i trzy dni przesiedział w areszcie, aż im porąbał drzewo na opał i przyrzekł, że na blasze umieści ten sam napis po polsku. I tak to wisiało do czasu, kiedy ktoś ciekawski zechciał zobaczyć, co jest napisane pod spodem blachy. Ta się osunęła i wszystko brzydko wyglądało. Wobec tego mój ojciec namówił tu mieszkającego Polaka o demokratycznych poglądach Mariana Szubę, aby tę tablicę całkiem usunął. On chętnie to zrobił i po jej rozbiciu utopił w Dusalisie Małym. Nikt nic nie szukał, a i bodajże w tym czasie komendantem policji w Berżnikach został Dolaciński, którego pamiętam jako magazyniera pracującego przez kilka lat w punkcie skupu zboża w Sejnach.

Wobec tylu utrudnień w stawianiu pomnika, jego poświęcenie przez księdza Wincentego Astasiewicza odbyło się dopiero w 1935 roku. Pieniądze na budowę zbierano z przedstawień i składek miejscowego koła towarzystwa imienia Świętego Kazimierza. A gdy się okazało, że wciąż za mało jest pieniędzy, mieszkańcy złożyli się po złotówce od gospodarstwa. Zapewne dlatego na fotografii robionej przy wyświęceniu rozpoznać można mieszkańców prawie z każdego domu. Na przedzie ksiądz Astasiewicz oraz komitet budowy pomnika: Bronisław Pietruszkiewicz, Kazimierz Dapkiewicz i Józef Maciukanis, którzy w tym czasie tworzyli również zarząd organizacji w składzie (w tej kolejności): przewodniczący, sekretarz i skarbnik koła. B. Pietruszkiewicz, jako najwyższy rangą, za ten „wyskok” ucierpiał najbardziej. Przed samym wybuchem wojny został aresztowany i umieszczony na parę miesięcy wśród osób niepewnych w słynnym obozie w Berezie Kartuskiej. Gdy po wyswobodzeniu obozu wrócił do domu, rodzina ledwie go rozpoznała.



Fot. Michał Moniuszko



Fot. Michał Moniuszko



Krzyż-pomnik Antoniego Pietruszkiewicza, Żegary.
Fot. Michał Moniuszko



No i jeszcze jeden krzyż-pomnik z kamienia w międzywojniu, którego fundatorem był Antoni Pietruszkiewicz, syn byłego nosiciela książek (albo księgonosza, lit. knygnešys) Karulisa, w intencji dzieci, aby mu nie umierały. Tak mu podpowiedział pewien ksiądz, i to się spełniło, gdyż urosło dwóch synów, którzy zginęli w litewskiej partyzantce, i córka Biruta, jeszcze żyjąca w Olicie (Alytus). A pomnik aż trzy razy przenosili, gdyż najpierw stał przy byłej zagrodzie Pietruszkiewiczów i przeszkodził w budowie remizy strażackiej; potem, przestawiony na drugą stronę drogi, znów zawadzał grającym tam w piłkę, a następnie znalazł się na uboczu przykościelnego cmentarza. I dopiero w 1990 roku mieszkańcy, porządkując ten teren z okazji obchodów Święta Ziemi, umieścili go na honorowym miejscu, naprzeciw odbudowanego kościółka. Napis na nim brzmi: „Jezau Nukryžiuotas Pasigailėk mūsų, 1926 M” (Ukrzyżowany, zlituj się nad nami, 1926 r.). Obecnie, z braku właścicieli, opiekuje się nim Monika Janczulewicz, daleka krewna fundatora.

Pierwszy po drugiej wojnie światowej pomnik z kamienia postawił mój ojciec w ogródku przy domu w 1950 roku. A zamówił go po śmierci swej matki w 1946 roku w Suwałkach. Drugi, wykonany z podobnego kamienia, stoi na cmentarzu mogilnym w Sejnach. Na tym przy domu widnieje napis: „Gerasis Jėzau, būk mūsų globėjas. Prisiminimui, 8 X 1940 – 5 VIII 1944” (Dobry Jezu, bądź naszym opiekunem. Ku pamięci 8 X 1940 – 5 VIII 1944). Te daty oznaczają deportację naszej rodziny do Niemiec i z niej powrót. Mama opowiadała, że ojciec, jeszcze będąc w Niemczech, złożył przyrzeczenie Bogu, że jeśli szczęśliwie wróci do domu, to postawi krzyż, i to uczynił, mimo że wówczas ciężko było przeżyć. Za wykonanie tych dwóch pamiątek rodzice zapłacili produktami rolnymi.



Fot. Michał Moniuszko



W 1957 roku Bronisław Pietruszkiewicz i jego syn Witold ustawili dwa z cementu odlane krzyże: jeden naprzeciw domu stojącego przy drodze do słynnego dworu w Krasnogrudzie, a drugi na działce ziemi w środku wsi. Ich synowa Teresa umieściła napis: „Dieve, melskis už mus” (Boże, zmiłuj się nad nami), z myślą o szczęśliwym powrocie rodziny po zawieruchach wojennych do domu. Wioskowy plotkarz głosił jednak, że to ofiara Bogu, aby córki i siostry rychło powychodziły za mąż. Jakby tam nie było, ale te trzy dziewczyny dosyć szybko znalazły kandydatów i urządziły wesela.

Na wiosnę 1990 roku na kościelnym cmentarzu stanął wysoki, żelazny krzyż, przywieziony z Mariampola. Inicjatorzy tego przedsięwzięcia, zapewne działacze „Sajūdisu” (litewski odpowiednik „Solidarności”), chcieli go umieścić w okolicach źródeł Szeszupy (Šešupė), płynącej już szerokim nurtem przez ich miasto. Ponieważ tam mieszka ludność polska i zapewne nie byłaby tym zainteresowana, ktoś z Puńska podpowiedział, że równie dobrym miejscem są Żegary, też bogate w wodę w jeziorach. Tego roku po raz pierwszy odrodzona Litwa obchodziła Dni Ziemi. I tak umieszczona tablica u podnóża krzyża upamiętnia ten pomnik, zaś oryginalna, wykonana z mosiądzu, ze względu na bezpieczeństwo wisi wewnątrz kościoła.

W tym czasie granicę państw jeszcze strzegli radzieccy żołnierze i było sporo kłopotu, aby krzyż ten przewieźć, we wszystkim bowiem dopatrywano się politycznej sprawy. Poświęcenie krzyża 22 kwietnia przez księdza Zenona Parakiewicza przerodziło się w ogólną uroczystość mieszkańców okolicy. Przybyło na nią paru litewskich piosenkarzy, na czele ze znanym twórcą zespołu „Armonika” S. Liupkievičiusem. Nagrało tę imprezę Polskie Radio w Białymstoku.



Kapliczka Maciukanisów, Żegary. Fot. Michał Moniuszko

Przy drodze z Żegar do Jenorajścia znajduje się piękne agroturystyczne gospodarstwo W. i R. Maciukanisów. Przed pięciu laty Antoniemu, ojcu Romualda, przyśniła się w nocy Matka Boska i rodzina doszła do wniosku, żeby tę postać upamiętnić. Wobec tego przy drodze do pensjonatu postawiła z kamieni i szkła kapliczkę, a w niej umieściła figurę Najświętszej Marii Panny. Jakby nie było z tym snem, jedyna to kapliczka stojąca na straży chrześcijańskiej wiary przy tej szosie. Następna, później postawiona, jest na terenie wsi Radziucie.

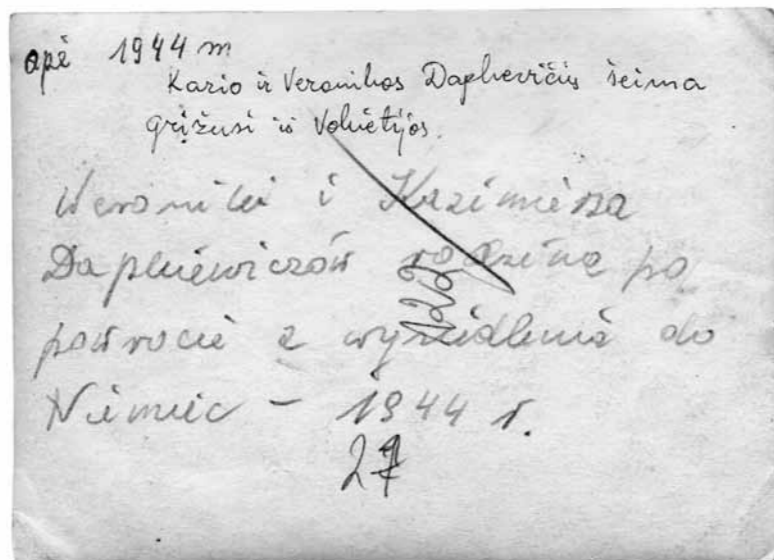
No i ostatni obiekt sakralny we wsi Żegary powstał w ubiegłym roku u moich sąsiadów. Pomnik z zabytkowym odlanym z metalu krzyżem na wierzchu, ufundowała Biruta Maciukanis, z domu Sławanis. Ona też jest autorką ciekawego wpisu, wrytego w kamieniu: „Čia yra Dievas, neužmirškite, pasimelskite ir būkite laimingi 2007 Birutė Maciukanienė” (Tu jest Bóg, nie zapomnijcie, pomódlcie się i bądźcie szczęśliwi – 2007, Biruta Maciukanisowa”. To jakby wskazanie i życzenie tej rodzinie, z której pochodziło słynne siedem sióstr, które opisałem w czwartym tomie sejneńskiego almanachu.

Tak to wyglądają pokrótce opisane historie krzyży w Żegarach – wsi, która zaskakuje pod wieloma względami. Chociażby tym, że tu zamieszkiwali ludzie już przed trzema tysiącami lat, o czym świadczy znaleziony w torfowisku kamienny toporek. Dziś trudno określić, jaką wówczas mieli kulturę i jakim posługiwali się językiem.

Żegary, 20 października 2008 roku



Fot. Michał Moniuszko



Rodzina Weroniki i Kazimierza Dapkiewiczów po powrocie z wysiedlenia do Niemiec, 1944 r.

PIOTR DAPKIEWICZ

Wspomnienia z drugiej wojny światowej

Żagarių kaimo gyventojų ir autoriaus atsiminimai iš II pasaulinio karo. 1944 metų rugpjūčio 2-3 dienomis vyko ties Žagarių kaimu kovos tarp išitvirtinusių čia vokiečių ir Raudonosios armijos dalinių. Kaimo gyventojai palikę savo namus slapstėsi Krasnogrūdos laukuose išsikastose spėtuose. Nukritus kelioms bomboms Bronius Antanavičius, Jurgis Akulionis ir Jonas Vektorius nusprendė pasižiūrėti, kur jos nukrito. Tik išėję išgirdo skriejančio sviedinio švilpimą. Bronius žuvo vietoje, Jurgiui nukirto dešinę koją o Jonas gavo keliom skeveldrom. Buvo tai turbūt paskutinis čia kritęs sviedinys. Bronių Antanavičių palaidojo Seinų kapinėse, o sužeistuosius Joną ir Jurgį vežimu nuvežė į Aradnykus į sanitarinį punktą. Tenai Jurgiui nupjovė vos besilaikančią koją ir toliau kariniu automobiliu nuvežė į Kapčiamiestį, o vėliau į Vilniaus ligoninę ir toliau lėktuvu pervežė net į Maskvą. Tenai užgydė kojos žaizdas ir pagamino medinę protezą. Sugrįžo po pusės metų. Jonas Vektorius į namus sugrįžo irgi tik po mėnesio. Jisai pirmą kartą buvo sužeistas jau 1942 metais. Tada buvo jam peršovę plaučius.

Karo metu daugiau ar mažiau nukentėjo ir kiti Žagarių kaimo gyventojai.



miarę zbliżania się do siedemdziesiątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej oraz sześćdziesiątej czwartej jej zakończenia, w myślach wracają przeżycia własne oraz innych mieszkańców mojej wioski. Wiem, że już wiele na temat wojny napisano, ale każdy ją przeżywał na swój sposób. Piszę również z myślą, aby młodzi ludzie pamiętali o jej okrucieństwach i wiedzieli, że to, co obecnie widzą w filmach, było prawdą, a nie tylko upiększoną przez reżysera fikcją.

Sądzę więc, że na ten temat pisać nigdy nie jest za dużo, tym bardziej, że trwają wojny bez przerwy – jak nie w Europie, to na innych kontynentach. I są tak samo okrutne, a może jeszcze gorsze niż ta, jaką my przeżyliśmy.

Ostatnim żyjącym człowiekiem w Żegarach, który przeżył swą śmierć (aż dwa razy był ranny), jest Jan Wiaktor. Ma doskonałą pamięć pomimo swoich osiemdziesiąt sześć lat i o tamtych przeżyciach opowiada jakby wydarzyły się przed kilkoma miesiącami, a zwłaszcza te ostatnie. I choć może nie pamięta dokładnej daty, ale wiedząc, kiedy ta okolica została wyzwolona od niemieckich okupantów, łatwo ją można odtworzyć.

Żegary wyswobodzili żołnierze Armii Czerwonej drugiego i trzeciego sierpnia 1944 roku. Niejednemu przyjdzie na myśl, dlaczego małą miejscowość musieli zdobywać przez dwa dni. A to dlatego, że tu znajduje się kilka jezior, w tym największe Gaładuś, więc Niemcy mieli dobre pozycje do obrony.

O zaciętości walk może świadczyć to, że po cofnięciu się frontu na zachód, mężczyźni musieli pochować dużo zabitych żołdatów. Doliczili się siedemdziesięciu, a jeszcze wielu zostało rannych. Wielu też rozerwały na szczątki miny zakopane przy rowie biegnącym z jeziora Dusalis Mały do Gaładusi. Niemcy padłych żołnierzy z sobą zabrali, gdy już musieli wycofać się dalej na zachód.

Prawie wszyscy mieszkańcy wioski, przed nadejściem frontu ze wschodu, opuścili swe domostwa. Jedni schowali się w pobliskim lesie, inni wykopali schrony przy stromych brzegach jezior, a bodajże najwięcej ukryło się na niezabudowanych jeszcze po parcelacji dworu polach wokół pobliskiej Krasnogrudy. Ludzie słusznie uważali, że to przeważnie budynki są ostrzeliwane i podpalane. Naturalnie, zabierali ze sobą jedzenie i wodę na parę dni, i co cenniejsze, jeśli je mieli.

Jan Wiaktor znalazł się w tej krasnogrudzkiej grupie. Schronili się w niedużym zagajniku, na obecnym polu Józefa Warelicha i Jerzego Wyżłańskiego. Było dosyć spokojnie, jedynie trwał ostrzał artyleryjski (gdzieś zza Gaładusi) okolic wsi Radziucie. Padła jedna bomba, za jakiś czas następna. Młodzi mężczyźni nudzili się z bezczynności i zachciało się im zobaczyć, gdzie te bomby padają. Wybrali się we trzech: Bronisław Antonowicz, Jerzy Okulanis i Jan Wiaktor, który wspomina, że wyraźnie słyszeli wycie nadlatującego pocisku. Bronisław mówi: „Nežinia kur šita šiks”¹. Były to jego ostatnie wypowiedziane słowa. Zginął na miejscu. Jerzemu urwało prawą nogę, a Jana dziabnęły dwa odłamki: jeden w ramię, a drugi w piętę. Pamięta, że chociaż bardzo bolało, ale jeszcze potrafił przebiec za niewielkie wzniesienie. I to był ostatni tu padający pocisk.

Po przejściu frontu, rodzina Antonowiczów pochowała na cmentarzu sejneńskim tragicznie zmarłego Bronka. Jerzego i Jana, furmanką wyścieloną słomą, zawieziono do punktu opatrunkowego w Ogrodnikach. Tam, po udzieleniu pierwszej pomocy i po całkowitym odcięciu Jerzemu jeszcze zwi-sającej nogi, już samochodem wojskowym przewieziono ich do miejscowości



Dziadek Piotr Uzdziło z wnuczkami przed domem w Krejwianach, 1939 r.

Kopciowo (Kapčiamiestis), gdzie znajdował się duży punkt sanitarny i polowe, przyfrontowe lotnisko.

I znów samochodem wojskowym (wtedy innych nie było), zwanym gruzowikiem², też wyścielonym słomą, mniej rannych zawieziono do szpitala w Wilnie. Sanitariusze przed odjazdem pytali się, jak wolą jechać, na siedząco czy leżąc. Wiaktor wybrał tę drugą pozycję i tak dostał się do Wilna. Do domu wrócił aż po miesiąc, jadącym do Augustowa samochodem, oczywiście wojskowym. Cieszył się, że trochę znał język rosyjski, bo to mu wiele pomogło w podróży. A nauczył się od sztabińskich starowierców, gdy spotykali się na wspólnych zabawach.

Natomiast Jerzego Okulanisa samolotem zabrali aż do Moskwy. Tam mu kikut nogi wyleczyli, przygotowali nogę drewnianą. Trwało to pół roku. Do domu też przyjechał jakimś wojskowym transportem, który jechał w stronę Augustowa. Wsiadł w Ogrodnikach i tam dopiero przekonał się jak jest osłabiony, gdy nie dał rady wejść na blisko domu leżące wzniesienie.

Jan Wiaktor po raz pierwszy został ranny w 1942 roku, może nawet gorzej niż od tego pocisku, na zabawie (jednak młodzież chciała się bawić) w Dworczyску. Wszedł wtedy pijany osobnik w mundurze niemieckim, ale gadał po polsku. Mówili, że pochodził z Berźnik, może służył w granatowej policji? Żądał wydania jakiegoś uciekiniera i na postrach strzelił w sufit. Kula się odbiła i rykoszetem trafiła Wiaktora, przeszywając mu płuca. Zaraz furą przewieziono go do niemieckiego punktu sanitarnego w Sejnach. Ten punkt mieścił się w budynku Stanisława Pietruszkiewicza, gdzie obecnie jest sklep „Polka”. Pamiętam, że tam, do czasu wybudowania szpitala, i po wojnie istniało pogotowie ratunkowe, a nawet przychodnia z ambulatorium.

Dobrze, że pan Jan pracował wówczas jako rybak u Ericha Klapprotha. A on jednak dbał o swoich pracowników i telefonicznie wezwał sanitarkę

z Suwałk. Ta, chociaż i pod wieczór, ale chorego zabrała do szpitala, a tam podleczoney, po tygodniu już wrócił do domu.

W czasie ostatniej wojny w Żegarach ucierpiało jeszcze więcej mieszkańców wsi. Już po przejściu frontu, zginął mający dwanaście lat Józef Przeorski, gdy odnalazł już odkopane, a niezabezpieczone miny. Wyciągnął coś błyszczącego i próbował to rozebrać. Rozerwało go na szczątki. Ania Rudziszów została ranna w plecy, gdy próbowała zerwać dojrzałe wiśnie. Zapewne nastąpiła na pozostawioną przeciw-piechotną minę. Ich koniowi urwało głowę, gdy się schylił po trawę. Natomiast Zosia, siostra Ani, urodziła się w schronie, wtedy gdy trwały we wsi zacięte walki.

Z wojny nie wrócił Jan Okulanis, brat Jerzego, i Józef Wiaktor (z innych Wiaktorów), syn wiejskiego daraktora³. Tak oni, jak i inni mężczyźni z Żegar, zostali zmobilizowani do wojska jesienią 1944 roku, kiedy front zatrzymał się nad wigierskimi jeziorami. Wówczas zabierali przede wszystkim tych, którzy jesienią i zimą 1940 roku byli przesiedleni do już Radzieckiej Litwy i, po wcześniejszym tam przejściu frontu, wrócili do swych domostw. Jednak nadal uważano ich za obywateli Związku Radzieckiego i dlatego powinni służyć w armii tego państwa.

Pamiętam ten pochmurny, jesienny, smutny dzień, gdy do naszej z kamieni zbudowanej piwnicy, poza dwoma już wymienionymi, zostali jeszcze przyprowadzeni: Jan Pietruszkiewicz, Antoni Janczulewicz, Jerzy Wiaktor i Józef Żaliapuga. Bodajże było jeszcze paru, ale ich, ze względu na podeszły wiek zwolniono. Dwóch Janów miało dobre głosy i jakby na pożegnanie zaśpiewali po litewsku kilka piosenek. Mama wyprosiła strzegących ich żołnierzy, aby zezwolili im podać kolację.

Nagotowała im zacierki, bo brakowało lepszego jedzenia. Już po czasie ojciec żałował, że im nie powiedział o istniejącym w piwnicy okienku, przez które mogli w nocy uciec. Ale to byłoby ryzykowne, gdyż u nas w tym czasie stacjonował *zapaśnyj batalion*⁴ i było dużo wojska, co, przy zauważonej ucieczce, groziło im wszystkim wystrzelaniem.

Chociaż nie wszyscy, a jednak z wojny wrócili. Antoni Janczulewicz po zdobyciu Berlina, Janowi Pietruszkiewiczowi udało się uciec z transportu wiozącego na front, natomiast Józef Żaliapuga brał udział przy likwidacji tak zwanego „kotła łotewskiego”. Tam przyczynił się do ujęcia dwóch hitlerowskich generałów, za co przyznano mu odznaczenie Bohatera Związku Radzieckiego. Do końca życia we wsi przezywali go „Gierojun”⁵, z rosyjska bohater. Za to nie obrażał się.

Odmienne przeżycia miał Jan Rakucewicz. Zmobilizowany jeszcze na Litwie, jakoś dostał się do oddziałów pierwszej armii Wojska Polskiego. Mimo mniejszego tam reżimu wojskowego, walczyć trzeba było. Brał udział

w zdobywaniu Wału Pomorskiego. Tam to z całej kompanii on tylko jeden został żywy, nieraniony. Już po akcji dowódca, dziwiąc się, powiedział: „To ty Rakucewicz żyjesz?”. Jednak nie uniknął kontuzji ręki, gdy po zdobyciu Berlina jego oddział pilnował mostu na Łabie, aby ocalali Niemcy nie uciekali na zachód. Zakończenie wojny świętował w szpitalu i do domu wrócił dopiero po wyleczeniu ręki. Zmarł przed kilku laty, do końca prowadząc aktywny tryb życia.

I jeszcze wzięty z mobilizacji-łapanki Jerzy Wiaktor. Wiezionemu na szkolenie transportem wojskowym gdzieś na Wileńszczyźnie, udało mu się zbiec z pociągu. Jednak jakaś kobieta go wydała i teraz już znalazł się w transporcie jadącym na Sybir. Tam, uważany za faszystę, w pracy traktowany był odpowiednio. Że wyżył, zawdzięczał leśniczemu Narkiewiczowi, Polakowi z okolic Rzeszowa.

Całkiem odmienny los spotkał Antoniego Pietranisa, który już w okupowanej przez Niemców Litwie dostał się do oddziałów generała Povilasa Plechavičiusa. Te jednak, utworzone do obrony ludności cywilnej i utrzymania porządku w kraju, zostały rozpędzone, gdy odmówiły uczestniczenia w walkach na wschodzie. Niektórzy żołnierze zbiegli do domu, inni trafili na roboty do Niemiec, a jeszcze innych okupanci po prostu wcielili do Wehrmachtu. Jakby tam nie było, ale Antoniego internowali Anglicy. Po wojnie założył rodzinę z Angielką i po kilkunastu latach mógł przyjechać do Żegar, jednak już nie zdążył na pogrzeb swego ojca, też Antoniego.

A teraz to, co pozostało w mojej bezpośredniej pamięci z przeżytej wojny. Jej początku pamiętać nie mogłem, gdyż miałem wtedy pół roku. Natomiast z końca wojny, gdy liczyłem już kilka lat, niektóre epizody zapamiętałem doskonale. Pierwsze nieprzyjemne spotkanie z Niemcami miałem w Krejwianach, gdzie zamieszkaliśmy po powrocie z deportacji do Prus Wschodnich. Wówczas to poszczuli mnie psem przejeżdżając konno żandarmi. Mieli duży ubaw, gdy uciekałem pędem w zboże.

Gdy front przechodził przez wioskę, ojciec poszedł w pole szukać urwanej krowy, a mama ze mną i dwie moje starsze siostry bieглиśmy do pobliskiej wsi Alksnėnai, znajdującej się już na Litwie. Uciekając, widziałem dwóch okopujących się żołnierzy rosyjskich. Oni coś krzyčeli do nas, zapamiętałem słowo „udierajtie”⁶. Następnie łąką jechał jakiś transporter wypełniony wojskiem, a jeden z żołnierzy grał na harmonii. Podobnie jak w filmie *Cztery pancerni i pies*. Gdy dobiegliśmy do najbliższych zabudowań, to weszliśmy do kamiennej piwnicy już zapełnionej ludźmi. Niedawno dowiedziałem się, że to gospodarstwo należało do Tumialisa, a piwnica nadal istnieje.

Po nieprzespanej nocy wróciliśmy do gospodarstwa Sakowiczów, gdzie przejściowo mieszkaliśmy. Na schodach leżał zabity kot (bardzo go

opłakaliśmy), a w zagajniku parę gęsi. Tam również schowana była nasza oszklona szafka z przestrzelonymi drzwiczkami, świadcząca o tym, jak silne było w nocy strzelanie. Nadal przechowujemy ją na pamiątkę. Ojciec wrócił cały i żywy z odnalezioną krową.

Za parę dni pożyczonymi końmi wróciliśmy do odległych o dwadzieścia pięć kilometrów Żegar. Tu znaleźliśmy na drodze wysadzony mostek, parę spalonych domów, no i te wspomniane straty w ludziach. Przy naszym ocalałym drewnianym domu stał ceglany, dobudowany przez Niemca. Ale to już opisałem w trzecim tomie „Almanachu Sejneńskiego”.

Właśnie w tym ponemieckim domu zamieszkali u nas oficerowie „zapasnego batalionu”. A za sadem ulokowali się szewcy, krawcy i inni rzemieślnicy. Ja im nosiłem nieraz jabłka z sadu, za co dostawałem kostki cukru. Z tego wymiennego handlu byliśmy zadowoleni.

Nieraz wieczorami w podwórku na wywieszanej białej płachcie były wyświetlane radzieckie filmy. Ale gdy się usłyszało warkot samolotu, operator natychmiast je przerywał, gasił światła i następowała grobowa cisza. W soboty nieraz Rosjanki nas brały do polowej łaźni. W końcu my dzieci zaraziliśmy się świerzbem. Byliśmy leczeni wyjętą z rozebranych granatów siarką. Umiejętnie rozbierał je uciekinier z Litwy dédé Antanas⁷.

Pewnego razu przyszedł do nas skrycie starszy żołnierz prosić o medalik. Mówił: „Jeśli zginę, niech ci, co mnie będą chować, wiedzą, że byłem chrześcijaninem”. Wielkim szczęściem w naszej rodzinie było to, że dziadek dobrze znał język rosyjski. Bronił przed złodziejstwem, jakie istnieje w każdym wojsku; szanowali go nawet oficerowie, gdy im „robił wykłady” o częściach broni. Pamiętał to jeszcze doskonale ze służby w gwardii carowej.

Gdzieś jesienią 1972 roku, wracającego furą z Sejn zatrzymał mnie ówczesny nasz sołtys Stanisław Jakubowski. Powiedział, że dostał pisany po rosyjsku list aż z Moskwy, i abym ja, lepiej znający ten język, go odczytał. Sam adres był interesujący: Suwałskaja gubernija. Podczas czytania okazało się,

Piotr Dapkiewicz, dzieciństwo w Żegarach, 1946 r.



że napisała go Kławdia Sokołowa z Moskwy. W komendanturze wojskowej ZSRR znalazła wiadomość, że jej brat, młodszy lejtnant Wołodia Sokołow, w czasie wojny zginął w Żegarach. Prosiła o bliższe dane. Dowiedziałem się więc, że lejtnant zginął w domu Pawła Pietruszkiewicza, gdy ze swoim adiutantem jadł podwieczorek. Przez okno wpadł szrapnel, zabijając lejtnanta, a adiutant ocalał.

Korespondencja z Moskwą trwała parę lat. Pisała, że jej brat był na trzecim roku architektury, że z czterech braci tylko o Wołodii wie, gdzie zginął i w której mogile został pochowany. Ja ze swej strony napisałem jej, że zwłoki wszystkich tu pochowanych żołnierzy, w roku 1952 zostały zebrane i przeniesione na wspólny cmentarz wojskowy za Suwałkami, przy drodze wiodącej do Wiżajn, gdzie w czasie wojny Niemcy urządzili obóz jeniecki, w którym zmarło z głodu ponad pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy⁸.

Prosiła o zdjęcie tego cmentarza, co też uczyniłem, wybrawszy się swoim fiacikiem. Staruszka tak była wdzięczna za wykonane usługi, że w ostatnim z listów zapraszała mnie do siebie: „Kogda budiesz w Moskwie, wsiegda tiebie dwier’ mojego domu budiet otwryta”⁹. A ile rodzin nie dowiedziało się nigdy o swoich zaginionych braciach, ojcach i synach?

Oprócz ostatnich żyjących mieszkańców Żegar, pamiętających okropności ostatniej wojny, na skraju żegarskich lasów spotykamy jeszcze materialne pozostałości po tamtych wydarzeniach. Są to transeje i okopy, jak się okazało, wykopane jeszcze w pierwszej wojnie światowej. Porosły lasem, już mało widoczne. Natomiast te same wojenne urządzenia w polu zostały przez rolników, właścicieli tych ziem, zasypane i przywrócone uprawom.

Żegary, 5 marca 2008 roku

Przypisy

- 1 Nie wiadomo, gdzie się zesra (z lit.).
- 2 Gruzownik (ros.) – samochód ciężarowy.
- 3 Daraktor – tak nazywano nauczycieli uczących po domach na wsi, często potajemnie.
- 4 Zapasnoj bataljon (ros.) – batalion zapasowy, rezerwowy, w odwodzie.
- 5 Właściwie: gieroj (ros.) – bohater.
- 6 Właśc. udirajtie (ros.) – zmykajcie, czmychajcie, uciekajcie.
- 7 Wujek Antoni (z lit.)
- 8 Według Edmunda Sobonia: *Stalag IF Sudauen: piekło pod niebem suwańskim*. Suwałki 2007 s. 142.
- 9 Kiedy będziesz w Moskwie, zawsze drzwi mojego domu będą dla ciebie otwarte (z ros.).





Granica Polski i Litwy, okolice Wizajń. Fot. Ewa Przytuła

PIOTR DAPKIEWICZ

Zanikanie granicy polsko-litewskiej

1944 metais ponas Petras Dapkevičius pirmą kartą nuvažiavo į Lietuvą. Jam buvo tik penki metukai. Kartu su seneliu vežė tetą Petronėlę. Jau tuomet beveik neįmanoma buvo patekti į tėvynę.

Vyko sisteminis sienos uždarymas. Buvo sukurtas pasienio ruožas, kurį saugodavo kaip šventą paveikslą. Pas žmones apsigyveno kareiviai ir jų vadai saugojantys pasienio ruožą. Su kaikuriais iš jų iki šiandien dienos ponas Dapkevičius bičiuliuojasi. Pasienyje išartu ruožu rūpinosi ir patys kaimo gyventojai, kiekvienam kaimui buvo priskirtas ruožas, kurį jo gyventojai turėjo arti ir purenti. Siena iš Rusijos pusės buvo užtvirta vieline tvora, niekam nepavykdavo pro ją prasmukti. Lenkų pusėje kas dvi valandos patruliavo kareiviai. Būdavo ir juokingų situacijų kai vietiniai gyventojai padėdavo saugoti sieną, o kareiviai norėdami patikrinti ar jie sąžiningai saugoja atsiūsdavo persirengusį apsimetėlį.

Ponas Petras būdamas kariuomenėje Bieszczaduose kartu su draugais nuvažiavo pažiūrėti kaip atrodo siena su Czechoslovakija.

1964 metais galima buvo aplankyti savo šeimas Lietuvoje, tačiau nebuvo jokio perėjimo per Lenkijos su Lietuvos Tarybos Sąjungos sieną, tuomet reikėjo važiuoti per Sokółką ir Gardiną.

Su šeima iš Lietuvos galima buvo susitikti per mitingus. Jų metu vienai dienai buvo atidaromas perėjimas Lazdijai-Aradnykai.

1986 metais buvo atidaryta siena Aradnykuose ir jau nereikėjo važiuoti per Baltarusiją. Prasidėjo pasienio prekyba. Tačiau visvien pervažiavimas per sieną trukdavo labai ilgai. Kartais reikėdavo stovėti eilėje net visą naktį.

1990 metais įvyko nepriklausomos Lietuvos atgimimas. Tuomet dar sunkiau buvo kirsti sieną. Lietuvos vyriausybė įvedė papildomą keleivių kontrolę, nepriklausomai nuo oficialaus sovietinio perėjimo. Norėjo apsaugoti parduotuves nuo visiškos tuštumos. Tai truko iki 1991 metų rudens kai Lietuva tapo nepriklausoma valstybe. Nuo to laiko sienas saugojo jau patys lietuviai. Nors rusų kariuomenė dar ten buvo dvejis metus.

Kai Lenkija ir Lietuva įėjo į Šengeno strefą viskas pasikeitė. Nebuvo jokių problemų pervaziuoti sieną. Keleiviai tik retkarčiais yra kontroliuojami. Seniau apie tai buvo girdima vakarų Europoje. Nieks netikėjo, kad kažkada atsitiks ir pas mus toks stebuklas. Neįtikėtina – sakė ponas Vilkelis iš Dusnyčios, kad siena, kuri buvo stipriai saugoma keliasdešimt metų staiga dinga.



o raz pierwszy na Litwę pojechałem pod koniec lata 1944 roku. Wtedy to odwoziliśmy z dziadkiem moją ciocię, a jego córkę Petronelę Petruškevičionę. Ona wyszła za męża do wsi Burbiszki, ale w konsekwencji paktu Ribbentrop-Mołotow znalazła się na Litwie i po zakończeniu wojny już tu nie wróciła.

Jechaliśmy niewielką furą, zaprzężoną w jednego konia. Ja miałem wówczas pięć lat, więc dobrze pamiętam tę podróż, a najbardziej słupki przydrożne. Z tej strony granicy były pomalowane na kolor czerwony, a po stronie litewskiej na niebieski. Tak jeszcze trwało to wiele lat, obecnie bodajże po stronie Litwy słupki są czarno-białe. Ciocia wiozła w prezencie dla swej licznej rodziny w lnianym woreczku piękne żółte ziarenka. Dopiero po latach dowiedziałem się, że to mogło być proso. Dziadek, doskonale znający język rosyjski, zapewne je za coś wymienił z oficerami przebywającego tu sowieckiego wojska.

Cioci do jej miejscowości Verstaminai nie dowieźliśmy. Po kilku kilometrach przejechanej szosy zawróciliśmy do domu, gdyż zbliżał się wieczór. Było to ostatnie spotkanie córki z ojcem. Nastąpiło systematyczne zamykanie granicy. Moja żona, wywodząca się z przygranicznej wsi Dusznica, nieraz opowiada o tym, jak ich odwiedziła jej ciocia, również Petronela z Litwy, a za nią przygnało kilku żołnierzy sowieckich. W gospodarstwie odbywała się młócka zboża, więc ją szybko ukryto w snopach związanej słomy. Rodzina wyparła się, że nikogo nie widziała. Ciocia w słomie przesiedziała do nocy i po krótkim, też ostatnim widzeniu wróciła do domu.

Gdy zapadał wieczór, wychodziliśmy na górkę obserwować płonące po litewskiej stronie budynki. W ten sposób niszczone wieloletni dorobek ludzkich pokoleń. Mieszkańców z tamtej strony wysiedlano na co najmniej kilometr od pasa granicznego, a tu tworzone jakby pasy ziemi niczyjej. Ciekaw jestem, czy tak wyglądała wszędzie granica dookoła Związku Radzieckiego? Bo tu chodziło o uniemożliwienie ucieczek ludności na polską stronę. Zasięki z kolczastego drutu zbudowano dopiero po kilku latach.

Po stronie polskiej, też zapewne na rozkaz Moskwy, w przygranicznych wsiach kazano zlikwidować psy, a okna od strony granicy szczelnie zakrywać na noc, aby uniknąć jakiegokolwiek sygnalizacji świetlnej. Mówiło się, że psy inaczej szczekają na chodzących żołnierzy, a inaczej gdy porusza się osoba cywilna.

Na wiosnę 1946 roku do Żegar sprowadził się oddział wojska (kompania) strzegącego i pomagającego komisji delimitacyjnej do wytyczenia granicy państwowej. W naszych zabudowaniach mieściło się całe kierownictwo pod przewodnictwem profesora Stanisława Gorzuchowskiego, natomiast wojsko stacjonowało w odległym o pół kilometra gospodarstwie Wincentego Jakubowskiego. Komisja radziecka pod przewodnictwem generała Aleksandrowa stacjonowała w dworku Hołny Majera. Na noc wystawiano na dwóch wzgórzach posterunki uzbrojone w karabiny maszynowe. Obawiano się napaści ze strony polskiego podziemia. Tu nic takiego nie nastąpiło, ale w lasach augustowskich zatrzymano wojskowy samochód, żołnierzom zdjęto mundury i puszczono wolno w samej bieliźnie.

Zapewne kogoś zainteresuje to, że profesor S. Gorzuchowski po kilku latach był sądzony i skazany na karę śmierci za to, że jakoby współpracował z rządem londyńskim. Jak tam było, to obecnie już trudno dociec¹. Wiem tylko to, że tu przyjeżdżał w odwiedziny ówczesny nowy proboszcz sejneński ksiądz Józef Złotkowski. W każdą niedzielę wojsko jechało na nabożeństwo do Sejn. Po następnych paru latach to byłoby nie do pomyślenia.

Z siedmiomiesięcznego u nas pobytu komisji pozostały znajomości z paroma osobami tam pracującymi. Inżynier Karol Sikorski, zapalony wędkarz, przez wiele lat tu spędzał urlopy, a także Jan Żardecki, wówczas student pracujący na kuchni, a później aktor w teatrze „Ateneum”, obecnie mieszkający w rodzinnej wsi pod Warszawą, który nadal utrzymuje znajomość z naszą rodziną.

W mojej pamięci pozostały opowieści, jakie wieczorami słyszałem od pracowników komisji. Wytyczając granicę i wiedząc, że dane gospodarstwo zostanie po stronie polskiej, uprzedzali gospodarza, aby się „postarał” o to, żeby go nie oddzielono od sąsiadów lub granicy nie wytyczono na przykład przez środek podwórka. Ten błagał profesora, aby granicę wytyczono po ludzku. Komisja ustępowała, gdy była odpowiednio wynagradzana. A w sobotę wyprawiała samochód z darami do rodzin mieszkających w Warszawie. Jechały gęsi, kaczki, sery i masła, a ponieważ Warszawa wówczas głodowała, to stąd przywożone produkty stawały się rarytasem. Najbardziej rozmowny wieczorami był kierowca o nazwisku Gałązka.

Utworzono przy całym pograniczu tzw. pasy ziemi zaoranej i ciągle bronowanej. Mając już chyba dziesięć lat, mogłem z dziadkiem jednego dnia

taki pas bronować. Każda wieś miała wyznaczony bodajże dwudziestometrowej szerokości odcinek i musiała trwale go utrzymać w strukturze spulchnionej ziemi, żeby w razie przejścia po nim kogokolwiek było to bardzo widoczne.

Pilnowali nas polscy żołnierze, a w oddali lub z wież obserwacyjnych żołnierze radzieccy. Głośny był, chociaż tego nie rozgłaszano, gdzieś za Puńskiem wypadek zastrzelenia pracującego rolnika przez sowieckiego żołnierza. Chłopu w upale zachciało się pić i gdy zbliżył się do płynącego strumyka, został bez uprzedzenia zabity. Trzeba dodać, że przysyłano tu na służbę Azjatów, bardzo usłużnych i wiernych wobec Związku Radzieckiego. Dopiero w latach siedemdziesiątych dowództwo placówek mogli obejmować oficerowie narodowości litewskiej.

To wtedy przytrafiło mi się przekroczenie granicy. Po świątecznych feriach odwoziłem do szkoły w Puńsku sankami po łodzie Gaładusi siostrę Teresę. Ranek był zachmurzony, więc pilnowałem się zachodniego brzegu jeziora. Ale zapewne wprowadziła mnie w błąd jedna z wysp i nagle przed sobą zauważyłem kilku wędkujących mężczyzn. Jeden z nich krzyknął: „Kuda jediesz!”, a ja myśląc, że to polscy wędkarze sobie żartują, mówię: „Domoj!”. I jadę dalej, ale już następny do mnie groźniej: „Tu nielzia!” (nie wolno). Patrę, a tu na czapkach mają czerwone gwiazdki. Wtedy raptownie ściągnąłem konia bardziej do brzegu i tak mi się poszczęściło, że nie zostałem zatrzymany. Widocznie zależało im bardziej na złowieniu ryb.

Granica ze strony radzieckiej – poza pasem zaoranej ziemi – była ogrodzona drutem kolczastym, tak aby nikt się nie prześlizgnął, a ponadto wzmocniana rakietami strzelającymi i oświetlającymi teren, gdyby ktoś ten płot naruszył. Zresztą już nikt, lub prawie nikt, jej nie przekraczał. Kto się nie dostał do Polski w pierwszych latach po przejściu frontu, później nie miał szans, aby to zrobić.

Ze strony polskiej co parę godzin szły patrole dwóch żołnierzy (zimną na nartach) od placówki w Hołnach Wolmera po Połuńce i z powrotem. Poza tym sąsiedzi przeprowadzili linię telefoniczną (wtedy jeszcze nie znali telefonów komórkowych) i aby zaoszczędzić na materiałach, pomyślano o jej skróceniu w poprzek Gaładusi. W tym celu wykorzystali wyspę i wysepkę między wsiami Radziucie a Dusznica, przy czym jeden słup stał w płytkiej wodzie jeziora.

Nawet teraz Gienek Polanis nie może się nadziwić, jacy to byli dobrzy fachowcy, gdyż linia służyła przez ładnych parę lat i dopiero przy większych na wiosnę wodach Gaładusi i silnych wiatrach zawaliła się. Już jej nie naprawiali, a wybudowali nową dookoła jeziora, wciąż jeszcze na drewnianych słupach.

Aby sprawdzić, jak ludność cywilna pomaga strzec tak silnie obstawionej granicy, co kilka miesięcy nasyłali przekraczających ją ludzi. Wyglądało to tak, że przebiegali po cywilnemu żołnierza, który szedł od jej strony przez

pola lub pewnymi odcinkami drogi, tak aby ludzie go widzieli. A władze wojskowe czekały na wiadomości od mieszkańców o przestępcy. Było sporo śmiechu, gdy taki łódką dostał się na jedną z wysp i parę dób czekał na wyjawienie. Gdy się dobrze wygłodził, a znikąd nie przychodziła pomoc (i łódka odpłynęła), sam zaczął krzyżeć i wzywać pomocy. Nieraz robiły to dzieci z rodzin pomagających wojsku, za co otrzymywały wynagrodzenie w postaci roweru i innych przedmiotów.

W 1962 roku, będąc w wojsku w Bieszczadach, namówiłem paru kolegów, aby w jedną z niedziel zobaczyć, jak wygląda granica z Czechosłowacją. I chociaż przeszliśmy tą granicę dobrych kilka kilometrów, nie spotkaliśmy żywej duszy. Mogliśmy też łatwo przejść na drugą stronę, bo nie było żadnych zasieków z drutu.

W pierwszych latach po wojnie nawet listy z Litwy przychodziły po miesiącu. Szły przez Moskwę, a adresować należało w dwóch, a nawet trzech językach. Pamiętam, jak ojciec kopertę przedzielał kreską na połowę i aby napisać po rosyjsku, nosił ją do nauczycielki tego języka.

Nastąpił rok 1964, kiedy zezwolono nawzajem odwiedzać najbliższe rodziny. Jednak z Polską nie było żadnego przejścia granicznego, wobec czego do Litewskiej Republiki Radzieckiej należało jechać przez Sokółkę i Grodno, co trwało półtorej doby. Gdy w 1965 roku zmarli na Litwie mój stryj i najstarsza ciocia, zacząłem bardziej interesować się możliwością odwiedzenia żywych. I tak przyszedł rok 1966, kiedy zezwolono za zaproszeniami odwiedzać krewnych w drugim pokoleniu. Zaproszenie na specjalnym druku dostałem od brata stryjecznego, więc o tym samym nazwisku, jedynie z końcówką litewską. Ale i tak tylko mogłem poruszać się po rejonie Kapsukas (tak się nazywał Mariampol); do innych przygranicznych rejonów wstęp był nadal zabroniony.

Pojechałem na Litwę przed Wielkanocą, gdy jeszcze nie ruszyły siewy zbóż. Na dworcu w Grodnie wyczytałem, że stamtąd prowadzi linia autobusowa przez Łozdzieje (Lazdijai) i wymieniony Kapsukas, utrzymywana zresztą i teraz (jeżdżą po niej rosyjskie autobusy). Postanowiłem więc przy okazji spotkać się z ciocią, której nie widziałem dwadzieścia dwa lata. W Łozdziejach nawet mi się podobało: miasteczko czyste jak i teraz, ulice wyasfaltowane (w Sejnach jeszcze bruk), w kilku miejscach rozlegała się skoczna muzyka ludowa, trwały próby zespołów amatorskich.

Jednak aby trafić do cioci, musiałem zapytać paru przechodniów, gdyż mieszkała trzy kilometry za miastem. Zmęczony doszedłem tam na późny wieczór. Ciocia przestraszona nawet nie chciała mi drzwi otworzyć, dopiero gdy wytłumaczyłem com za jeden (Piotr znad Gaładusi), wpuściła mnie do domu i zaczęła się wielka radość. Jednak gdzieś po kilkunastu minutach zawarczał za oknem silnik samochodu i bez dużych ceregieli wszedł osobnik

w cywilu, mówiący po litewsku. Naturalnie, wziął się za moje dokumenty, kazał się ubierać i jechać tam, dokąd zostałem zaproszony. Ciocia na to w płacz i zaczęła prosić, aby mi zezwolił chociaż przenocować. Niestety, o spaniu nie było mowy, za tyle lat niewidzenia się było co opowiadać.

W odwiedziny do krewnych na Litwie jeździłem okrężną drogą jeszcze dwa razy, chociaż do najbliższej mieszkającej cioci miałem dwadzieścia kilometrów. Ostatni raz pojechałem tranzytem już po zniesieniu stanu wojennego i najdziwniejsze, że w tym uciążliwym okresie od krewnych z Litwy otrzymywaliśmy listy bez pieczętki „ocenzurowane”. Ale gdy do wagonu w Kuźnicy wszedł celnik radziecki, przede wszystkim pytał podróżnych: „Dewocjonalia i pornografiju imiejetie?”. Z tego nawet wyłonił się pewien wesoły incydent, ale nie będę zanudzał czytelników.

Do spotykania się z krewnymi służyły jeszcze wiece przyjaźni. Wtedy na jeden dzień otwierała się granica na szosie Łódzkiej – Ogrodniki i z obu stron jechały pełne autokary zaufanych ludzi. Pierwszy taki wiec odbył się w Sejnach latem 1965 roku. Mówiło się, że ze strony litewskiej przyjechało dwa tysiące ludzi. Ja się spotkałem z zięciem wspomianej cioci, gdyż był partyjny i pracował jako wiceprzewodniczący kolchozu.

Następny wiec miał miejsce 11 maja 1975 roku w Wiejsiejach i tam, jako długoletni radny byłem osobą zaufaną i mogłem w nim uczestniczyć. Była też ciocia, jak i kilka innych spokrewnionych osób. Po paru latach znów spotkaliśmy się w Wiejsiejach, a ostatni raz w stanie wojennym w Sejnach, gdzie nawieźli tak dużo milicji, że jak powiedział mój przyjaciel Żmudzin, zrobiło się aż „niebiesko od milicyjnych mundurów”. Zapewne ze strony Litwinów również przyjechało dużo milicji przebranej po cywilnemu. Nawet miałem sposobność spotkać się z jednym osobiście w którymś z reprezentacyjnych namiotów. Wymienił swoje nazwisko i zapraszał do siebie w odwiedziny do Kapsukasa (Mariampola). A gdy po jakimś czasie wpadłem do krewnych w tym mieście i wymieniłem to nazwisko, okazało się, że ma stopień pułkownika i pracuje jako śledczy.

Niedawno ktoś zapytał, czy się zdarzały nielegalne przejścia przez granicę. Znam parę takich przypadków i to w okresie stanu wojennego, kiedy granica była znów silnie strzeżona. Otóż zdarzało się to po pijaku i do tego w nocy. Tak przeszedł granicę Henryk P. z nabojem w kieszeni; żołdaci go spytali: „Imiesz patron, a gdzie wintowka”? Natomiast Bolek C. szedł „po płocie”, aż trafił na ślęczącego żołnierza. Naturalnie, został zatrzymany i na parę dni osadzony w areszcie, dopóki się nie wyjaśniło, że nie należał do „Solidarności”.

Zbliżały się czasy odwilży i pieriestrojki. Paszporty na wyjazd na Litwę, jak i do innych krajów, wydawali już na trzy lata, a nie – jak dotychczas – jednorazówki. W 1986 roku otwarto przejście graniczne w Ogrodnikach

i skończyła się udręka przejazdów tranzytowych przez Białoruś. Gdy po raz pierwszy pojechałem na Litwę wciąż radziecką, zobaczyłem, że we wsi Akmeniai oni (celnicy) mają już wybudowane murowane budynki, a po naszej stronie stały jedynie tymczasowe blaszaki. Zaczął się masowy handel przygraniczny. Ludzie korzystali z dużej różnicy cen i jednak na Litwie sklepy nie były tak opróżnione, jak u nas w okresie stanu wojennego. Kolejki do przejścia granicznego ciągnęły się nieraz kilkanaście kilometrów z obu stron. Celnicy i wojskowi niby przepuszczali przejezdnych lub pieszych, ale robili to ślamazarnie i nie wiadomo czego szukali.

Dobrze, gdy ktoś po tym oczekiwaniu zarobił, ale kiedy jechało się w interesie niehandlowym, to stawało się to bardzo uciążliwe. Raz odwoziłem córkę swoim fiacikiem na Litwę, gdzie studiowała, to przestaliśmy w kolejce całą noc, a i tak musiałem nazajutrz prosić bliżej stojącego kierowcę, aby ją podwiózł do dworca autobusowego w Łódziejach, skąd dostała się do Wilna.

W 1990 roku nastąpiło odrodzenie się niepodległej Litwy, co jeszcze bardziej utrudniło przejazdy przez granicę. Rząd litewski wprowadził dodatkowe sprawdzanie przejezdnych, niezależne od oficjalnego przejścia radzieckiego. Tak chcieli zapobiec całkowitemu ogołoceniu sklepów i zebrać pewne sumy pieniędzy do skarbu państwa. Trwało to do jesieni 1991 roku, kiedy po obaleniu puczu w Moskwie uznano samodzielność Republiki Litwy.

Odtąd strzeżenie granicy powierzono samym Litwinom, chociaż wojska radzieckie (obecnie już rosyjskie) stacjonowały tam jeszcze dwa lata. Kolejki do przejść granicznych jakby się zmniejszyły, co zresztą zależało od tego, jaka zmiana celników ma dyżur. Przestępstwa przemytnicze istniały i istnieją nadal, chociaż na mniejszą skalę lub bardziej zorganizowane.

Po wstąpieniu Polski i Litwy do strefy Schengen 1 maja 2007 roku można powiedzieć, że znikły wszelkie trudności przy przejściu granicy. Służby celne i wojskowe przekraczających ją sprawdzają sporadycznie i wrywkowo. Tak po polskiej, jak i po litewskiej stronie. O czymś takim wcześniej słyszało się jedynie od tych, którzy bywali na zachodzie Europy. A to, co się stało u nas, to można nazwać cudem, jak twierdzi Witold Wilkialis mieszkający w Dusznicy prawie przy samej granicy, pamiętający bardziej od innych, jak przez kilkadziesiąt lat była silnie strzeżona.

Przypisy

¹ Profesor skazany został w procesie łódzkim (1947) na pięć lat więzienia, zmarł w 1948 roku we Wronkach (red.).



Żegary od strony jeziora Gaładus. Fot. Ewa Przytuła

EUGENIUSZ PIETRUSZKIEWICZ

Żegary – wieś pomiędzy sześcioma jeziorami...

Gražiausias vaizdas matomas iš viduryje Žagarių kaimo esančios kalvos. Suskaičiuoti galima 4 ežerius: Galadusio, Stabingio, Dusalio, Dusaluko arba Dusaičio. Visi šitie pavadinimai primena mums pirmuosius šio krašto gyventojus – jotvingius. Žagarai, tai vienos iš seniausių apylinkės kaimų, paminėti jie 1556 metų dokumentuose. Pavadinimo kilmė aiškinama įvairiai. Kaimo viduryje nuo neatmenamų laikų stovėjo medinė bažnyčia, 1983 metais ji sudegė. Jos vietoje dabar pastatyta mūrinė. Prie kryžkelių, netoli bažnyčios stovi kryžius. Pastatė jį Vincas Petruškevičius 1900 metais. Šis žmogus pažinojo ir bendravo su Seinų vyskupu Antanu Baranausku, o Seinų kunigams ir klerikams siūdavo sutanas. Tarpkario metais Žagarių kaime veikė stiprus Šv. Kazimiero draugijos skyrius. Gyventojai ilgai prašėsi leisti jiems įsteigti lietuvišką mokyklą, kol pagaliau 1928 metais tokia mokykla atidaryta, bet veikė neilgai. Savo straipsnyje autorius pateikia ir trumpas gyventojų istorijas.



odobno najpiękniejszy widok we wsi Żegary to ten, który rozpościera się ze wzgórza pośrodku wsi, z miejsca gdzie niegdyś, bardzo dawno temu, stała wieża triangulacyjna, zwana tutaj z rosyjska *majakiem*. Widać stąd aż cztery jeziora. Na północy prawie dziesięciokilometrową niebieską wstęgą wije się Gaładus, zwany przez miejscowych po prostu Dusia. Jeśli spojrzymy na południe, srebrnym blaskiem błysnie jezioro Sztabinki: wąskie, długie, o stromych i kamienistych brzegach, dlatego też jego nazwa pochodzi od słowa *stabs*, co w języku pierwotnych gospodarzy tych ziem – Jaćwingów oznaczało kamień. Nie jest ono obce także Litwinom, ale z czasem nabrało nieco innego znaczenia: *stabas* to „pomnik postawiony w niesłusznej sprawie”, „złoty cielec”, a *sustabarėti* – skamienieć. Nie odeszliśmy więc daleko od naszych braci Jaćwingów i Prusów.

Spoglądając na wschód, ujrzymy niewielkie jeziorko Dusalis. Jego wschodni, wysoki, stromy, porośnięty lasem brzeg przypomina naturalny

amfiteatr. Kilkakrotnie odbywały się tu koncerty litewskich wiejskich zespołów artystycznych. Jeśli, stojąc na tym samym wzgórzu, popatrzymy na zachód, w pobliżu kościółka zobaczymy jeszcze jedno jeziorko. To Dusalukas, inaczej Dusaitis.

Sporo tych „dusi” w Żegarach: Gaładuś, Dusalis, Dusalukas. Wszystkie nazwy pochodzą od wyrazu *dusin*. Co on oznaczał, wyjaśniają językoznawcy. Prawdopodobnie to jaćwieskie słowo to samo co pruskie *dausin*, czyli dusza. Zapewne w prastarej mowie Jaćwingów, pokrewnej Prusom i Litwinom, oznaczało święte jezioro lub rzekę (nie każde jezioro i nie każdą rzekę), gdzie przez jakiś czas zamieszkiwały dusze zmarłych. To swoisty pogański czyściec.

W pobliżu Wigier znajduje się jezioro, które Polacy zwą Dowcień, a po litewsku – zdaniem konsula Vidmantasa Povilionisa – powinno się ono nazywać Dausinis, czyli „jezioro dusz”.

Jezioro Duś znajdziemy też na Mazurach, we wsi Wojnowo. To też pomnik mowy pruskiej.

Tyle jezior widać z jednego wzgórza w Żegarach, a i to jeszcze nie wszystkie. Na zachodzie, przy drodze do Bubeli, leży niewielki i bardzo mulisty Druceżeris, a na bagnach, przez miejscowych zwanych *bognai*, ukrył się przed wzrokiem ludzkim Raistżeris. Ludzie powiadają, że na tych bagnach aż się roi od żmij. Czy to prawda, nie wiem. I pomyśleć tylko, że wieś styka się aż z sześcioma jeziorami. Czy jest gdzieś druga taka?

* * *

Żegary to jedna z najstarszych wsi w okolicach Sejna. Zdaniem Piotra Dapkiewicza (Petras Dapkevičius), znawcy jej historii i teraźniejszości, po raz pierwszy nazwa pojawia się w dokumentach z 1556 roku.

Niejasne jest pochodzenie jej nazwy. Źródła pisane podają, że pochodzi od nazwiska pierwszego właściciela karczmy: Zakhora (może Zachara?). Z czasem „Zachary” zaczęto wymawiać „Zagary”, jeszcze później „Żagary”, a stąd już tylko krok do współczesnej polskiej formy – Żegary. Istotnie, karczma stała tu aż do pierwszej wojny światowej. Jednak to, czy wieś swą nazwę wzięła od właściciela gospody, nie jest pewne. Miejscowi jej etymologię tłumaczą o wiele prościej; mówią, że wywodzi się ona od wyrazu *žagarai*, co po litewsku znaczy: suche gałęzie. Czyż ten wywód nie jest bardziej prawdopodobny? Nie tylko w Żegarach, ale też w innych biednych wsiach, nie paliło się dawniej dobrym drewnem opałowym, bo było za drogie. W tym celu w okolicznych lasach zbierało się suche sosnowe gałęzie i chrust. Takie tłumaczenie bardziej przekonuje, zwłaszcza że na Litwie też spotykamy miejscowości o nazwie Žagarė.

Przed przejściem na kolonie, czyli przed komasacją gruntów, nie mała wieś Żegary usadowiła się wzdłuż traktu wigierskiego, to jest drogi prowadzącej z Wigier do Trok, stolicy ówczesnego województwa. Na niewielkich działkach, zwanych ogrodami (lit. daržai), stały pochylone ku sobie chałupy, zaś ziemie orne leżały dalej od wsi, często w odległości kilku kilometrów. Później, po 1904 roku, na wezwanie księdza Galeckisa, założyciela parafii Kučiūnai, mieszkańcy przeszli na tak zwane kolonie do bardziej oddalonych od siebie gospodarstw, a wieś znacznie się rozrosła we wszystkich kierunkach i dotykała niewielkiej wsi Rogožany, na północy, na zachodnim brzegu jeziora Gaładuś sięgała aż po Radziucie, drugim brzegiem docierając do Dusznicy i Krasnogrudy.

Pośrodku wsi od niepamiętnych czasów stał kościół. Drewniany, kryty gontem, z bocianim gniazdem na kalenicy. Ale najciekawsze było to, że do jego budowy nie użyto ani jednego metalowego gwoźdźka. Kiedy został wzniesiony, dokładnie nie wiadomo. Ludzie mówią, że początkowo stał on we wsi Dworczyso, ale gdy wymagał remontu, mieszkańcy sprzedali go Żegarom. Jak twierdzą miejscowi, przeniesiony został na to miejsce prawdopodobnie przed trzystu laty, chociaż w źródłach pisanych jest inaczej. Wydawnictwo encyklopedyczne *Mūsų Lietuva* (t. 3 s. 502) podaje, że drewniany kościół w Żegarach wznosił właściciel tej wsi, pan dworu Krasnogruda, Maciej Eysymont, w roku 1793. Jak było naprawdę, czy kościół wybudowano od razu w Żegarach, czy też przeniesiono z Dworczyso, nie wiadomo. W cytowanej encyklopedii jest fragment listu mieszkańców Żegar, w którym o kościele piszą, że „pobudowany bardzo dawno, ale nikt nie pamięta kiedy; liczy dobrych kilkaset lat, nieheblowany, tylko ciosany siekierą, a drzewo smoliste, dlatego tak długo stoi”.

Na głównym ołtarzu stała cudowna figura Jezusa Chrystusa, bardzo piękna, z drewna, sprowadzona chyba z Niemiec. Nad ołtarzem wisiał obraz świętego Macieja, a figura jemu poświęcona stała przy drodze w pobliżu rzeczki, łączącej dwa jeziora: Gaładuś i Dusaitis.

Burzliwe były losy tego przepięknego kościółka. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy, którzy trzymali w nim konie, zdewastowali go; wybili okna, nadłamali posadzkę z cegły, zrabowali obrazy, choć te, jak niektórzy twierdzą, ukradli „turyści” dopiero w roku 1970. Po wojnie przez jakiś czas stał pusty. W latach sześćdziesiątych żegaranie go wyremontowali. Zaczęto w nim odprawiać msze w języku litewskim. Niestety, w roku 1983 wybuchł pożar i kościół spłonął. Nie tylko Żegary, ale i okolica, a może i cała Polska zostały pozbawione czegoś bardzo wartościowego – jednego z najpiękniejszych drewnianych zabytków, charakterystycznych dla architektury litewskiej.

W miejscu spalonego drewnianego kościółka stanął murowany, ale już bez żadnego wyrazu. Razem z tamtym spłonęła także figura Chrystusa. Ocalała jedynie rama z obrazu świętego Macieja. Przechowuje ją obecnie Piotr Dapkiewicz. W czasie budowy nowego, pod posadzką starego kościoła natrafiono na szczątki ludzkie, przypuszczalnie należące do Eysymontów, byłych właścicieli Żegar.

Nie udało się dociec, dlaczego wieś posiadająca własną świątynię nie stała się parafią, tak jak Berżniki, Krasnopol czy inne równie małe miejscowości. Być może dlatego, że wokół istniały o wiele większe parafie. Żegary w swojej historii należały do wielu z nich; początkowo do berżnickiej, ale po polsko-litewskiej szamotaninie w 1904 roku (walka o język w kościołach), żegarianie razem z mieszkańcami innych litewskich wsi zbudowali sobie kościółek w Kuciunach (Kučiūnai, obecnie na terytorium Litwy). Gdy w 1920 roku znalazły się po polskiej stronie granicy, zostały przyłączone do parafii sejneńskiej. Mało brakowało, aby na początku dziewiątego dziesięciolecia XX wieku znowu doszło do kolejnej zmiany. Nowo powstała kuria ełcka miała w planach utworzenie parafii w Widugierach i przyłączenie do niej wsi Żegary. Na razie zamiaru nie zrealizowała, ale nie wiadomo, czy podobne próby nie zostaną podjęte w przyszłości.

Skoro już jesteśmy przy historycznych obiektach architektury Żegar, należy w kilku słowach wspomnieć też o tak zwanym krzyżu Pietruszkie-

wiczów, stojącym na poboczu u zbiegu traktu wigierskiego i drogi do wsi Radziucie. Nie odznacza się on ani szczególną formą artystyczną, ani kunsztem wykonania, ale dla miejscowych ma bardzo istotne znaczenie, bowiem w 1900 roku postawił go człowiek, który dobrze znał biskupa i poetę Antanasa Baranuskasa (Antoniego Baranowskiego). Postawił go wywodzący się z Żegar Vincas Petruškevičius, który urodził się i wychował w pobliżu kościółka, na pograniczu Żegar i Sztabinek, zamieszkiwanych przez rosyjskich staroobrzędowców. W dzieciństwie nauczył się krawiectwa, kiedy w Żegarach nikt jeszcze nie mówił *siuvėjas* (litewski język literacki), tylko gwarą: *kraučius*.

W jaki sposób udało się Vincasowi dostać do Sejn, nie wiadomo. Ale będąc tam, od razu dał się poznać jako dobry fachowiec. Wkrótce jego zdolności zostały dostrzeżone przez klientów w sutannach. A było ich wielu, bo w Sejnach mieściła się zarówno siedziba biskupa, jak i seminarium duchowne. Na brak pracy Vincas Petruškevičius nie mógł się uskarżać. Zwłaszcza, że poręczniej było księżom szyc sobie komże i sutanny u katolika aniżeli u Żyda. Dość szybko dorobił się tyle, by zbudować aż trzy murowane domy, wszystkie przy obecnej ulicy Zawadzkiego. W jednym z nich mieściło się przez pewien czas gimnazjum sejneńskie (uczęszczał do niego także niżej podpisany), w drugim – drukarnia litewska znanego wydawnictwa „Šaltinis”, trzeci zaś sam zajmował (po ostatniej wojnie zamieszkał w nim syn Stasys). Z wdzięczności dla Najwyższego za powodzenie Vincas Petruškevičius zamówił krzyż i postawił go w rodzinnej wsi. Żelazną tablicę z napisem zamówił na Litwie. Ta zaś zaciekać może przede wszystkim dlatego, że tekst na niej jest litewski, ale litery jeszcze polskie. A był to rok 1900.

Żegary były niegdyś o wiele większe niż dziś. W roku 1789 liczyły 114 mieszkańców, w 1880 – 284, w 1921 – 207. Zawsze były niemal całkowicie litewskie. Osiedlały się w nich zaledwie jedna czy dwie polskie rodziny. Po pierwszej wojnie światowej, gdy Litwa walczyła z Polską o okolice Sejn, żegarianie nie pozostali na uboczu. W szeregi litewskich ochotników stanęli: Antoni i Józef Pietruszkiewiczowie, Antoni i Józef Mikalickowie, Józef Dapkiewicz, Maciej Sumliński (wyznaczony do obrony granicy zachodniej Litwy naprzeciw Filipowa), Maciej Godlewski (zmuszony do opuszczenia Żegar, kupił gospodarstwo w Przystawańcach i tam zamieszkał), Wincenty Trejnowski, Józef Romanowski, Jan Maciukanis (swojego konia uważał za towarzysza walki, więc nie zaprzęgał go do pracy i utrzymywał do śmierci) oraz Klucznik.

Kościół
w Żegarach.
Fot. Ewa Przytuła



Żegary aż trzynastokrotnie przechodziły z rąk do rąk. Linia demarkacyjna biegła rzeczką, łączącą bagna z jeziorem Dusalukas, naprzeciw zagrody Karola Pietruszkiewicza. Polska w tej miniwojnie zwyciężyła. Gdy to jej przypadły okolice Sejn, a więc i wieś Żegary, miejscowi Litwini wykazali się dojrzałą świadomością narodową. Władze polskie zamknęły działającą tu litewską szkołę i nie pozwoliły na otwarcie nowej. W roku 1925 żegaranie skierowali do nich aż dwadzieścia dwie wnioski, w których domagali się jej otwarcia. W podaniach pisali, że we wsi mieszka czterdzieści pięćoro dzieci narodowości litewskiej, które mogłyby uczęszczać do klas od pierwszej do czwartej szkoły podstawowej. A takie wykształcenie w przedwojennej Polsce było obowiązkowe, jednak rzadko stwarzano ku temu warunki. Druga Rzeczpospolita była znana w Europie z bardzo niskiego poziomu wykształcenia swych obywateli i bardzo wysokiego procentu niepiśmiennych.

Władze, rzecz jasna, prośby odrzuciły. Zamiast szkoły litewskiej otwarto szkołę polską, w której nie tylko nie było lekcji litewskiego, ale i na przerwach zabraniano rozmów w tym języku. Pomimo to, na usilne żądania mieszkańców wreszcie w 1926 roku pozwolono na otwarcie szkoły. Okazało się to jednak kolejnym oszustwem. Pozwolenie formalne było, ale nie zatwierdzono nauczyciela. I znów szkoła nie mogła rozpocząć działalności. Po wielu trudach wreszcie w 1928 roku zaaprobowana została Jadvyga Kazlauskaitė. Pomimo upływu wielu dziesięcioleci jej nazwisko nadal jest tu znane. Jednak i tym razem szkoła długo się nie utrzymała: władze zamknęły ją w 1933 roku pod pretekstem, jakoby pomieszczenia nie odpowiadały wymaganiom.



Obelisk w Żegarach.
Fot. Michał Moniuszko

W Żegarach istniał prężny oddział Towarzystwa imienia Świętego Kazimierza. Jego staraniem przy gościńcu prowadzącym do Ogrodnik postawiono kamienny krzyż. Takie same stawiano niemal we wszystkich okolicznych wsiach litewskich. Były one poświęcone upamiętnieniu pięćsetnej rocznicy śmierci wielkiego księcia litewskiego Witolda Wielkiego. Przez pewien czas przewodniczącym oddziału był Bronisław Pietruszkiewicz (Bronius Petruškevičius), który miał bardzo dobitny głos. Gdy oddział towarzystwa wystawiał sztukę teatralną, Bronius zawsze wygłaszał monolog lub deklamował wiersze. „Nadejdzie taki czas, że będą się rodzić mężczyźni, nie dzieci...” – grzmiał Bronius, a słyhać go było niemal w całej wsi. W niewinnych na pozór monologach uważny słuchacz odnajdywał nutę patriotyczną i subtelną ironię kierowaną pod adresem ówczesnej Polski. Z najbardziej dosadnych monologów był jednak znany Kazimierz Dapkiewicz (Kazimieras Dapkevičius), ojciec Piotra.

Gdy Sejneńszczyznę okupowali Niemcy, wczesną wiosną 1941 roku ponad połowa mieszkańców wsi, pod naciskiem Niemców, wyemigrowała na Litwę. Litwini z Sejneńszczyzny tę emigrację nazywają po prostu zesłaniem. Po wojnie bardzo wiele rodzin do swych gospodarstw nie powróciło, między innymi Kozłowscy, Klucznikowie, Michalicy, Romanowscy i Pauliukoniszowie. Pierwszym zesłańcem ze wsi Żegary był jednak Kazimierz Dapkiewicz.

Ponieważ w Żegarach było dużo jezior, władze niemieckie postanowiły utworzyć urząd „fischmeistera” (dziś byśmy powiedzieli: kierownika gospodarstwa rybackiego). Na stanowisko to wyznaczyły Niemca Ericha Klaprotha, szwagra Ericha Kocha, gauleitera Prus Wschodnich. Przybył on z głębi Niemiec i najpierw zamieszkał na wyspie jeziora Gaładuś. Ale cóż to za życie na wyspie... Wnet upatrzył sobie zagrodę Dapkiewiczów. Zapragnął w niej zamieszkać, a pragnienie hitlerowca było wówczas prawem. 4 października 1940 roku rodzina Dapkiewiczów została zesłana do Prus Wschodnich, a w pięknej zagrodzie nad brzegiem jeziora zamieszkał *fischmeister*. Porzucił on ten dom dopiero latem 1944 roku, gdy zbliżała się Armia Czerwona.

Trwała druga wojna światowa. Do walki stanęły dwie potęgi: hitlerowskie Niemcy i Związek Radziecki pod rządami Stalina. Mieszkańcom Żegar znów przyszło płacić krwią i potem. Do Armii Czerwonej wcielono – oczywiście nie poszli oni z własnej woli – Jana Rakucewicza (Jonas

Rakucevičius), Antoniego Janczulewicza (Antanas Jančiulis, odznaczony radzieckim orderem), Jana Okulanisa (Jonas Akulionis, nie wrócił z wojny, nie wiadomo gdzie poległ i gdzie został pochowany), Jana Pietruszkiewicza (Jonas Petruskevičius), Józefa Żaliapugę (Juozas Žaliapūga, ponoć na Łotwie uczestniczył w pojmaniu aż dwóch niemieckich generałów) i Józefa Wiaktora (Juozas Vektorius).

* * *

Nadeszło lato 1944 roku, do Żegar wkroczyła Armia Czerwona. Z Litwy, niczym ptaki do rodzinnych gniazd zaczęli powracać mieszkańcy podsejneńskich i podpuńskich wsi. Porządkowali zniszczone gospodarstwa, uczepili się ziemi – własnej, ojczystej, nie obcej. Nowe władze przywróciły najpotrzebniejsze instytucje państwowe – najpierw szkołę, która przez długie lata mieściła się w domu Dapkiewiczów, gdyż wówczas był to jedyny murowany dom w całych Żegarach. Około 1950 roku z Suwałk przybyła młoda nauczycielka Sobolewska. Stwierdziwszy, że młodzież jest zdolna, postanowiła zorganizować pierwszy po wojnie amatorski zespół teatralny. Najpierw wystawiła sztukę po polsku, którą pokazała w Żegarach i w pe-geerze w Dowiaciskach. Takie były początki artystycznej działalności.

Mój nieoceniony informator Piotr Dapkiewicz pamięta jeszcze nauczycielkę Bronisławę Sakelaitė-Wołowicz, wywodzącą się ze Żmudzi. Umiała ona i po litewsku, i po polsku, dlatego wystawiała sztuki w obu językach. To było pierwsze przedstawienie w powojennej historii wsi zaprezentowane na scenie języku litewskim. Po raz pierwszy dziewczęta wystąpiły w litewskich strojach ludowych. Bronisława próbowała też pisać. Wyjeżdżając z Żegar zostawiła u Piotra Dapkiewicza rękopis napisanej po polsku powieści *Demon Jone*, ukazującej życie dworskie w przedwojennej Litwie.

Jednak z działalności amatorskiej zasłynęli żegaranie dopiero wówczas, gdy kierownictwo objął miejscowy nauczyciel Juozas Kubilius. Jakiś czas zespołem kierowali Stanisław i Wincenty Marcinkiewiczowie (Stasys i Vincas Marcinkevičiai). Zwłaszcza Wincenty, grający na akordeonie, bez trudu zgromadził grupę wokalną.

* * *

Piotr Dapkiewicz potrafi całymi godzinami opowiadać o swojej wsi, o jej mieszkańcach. Zna przeszłość i teraźniejszość każdej rodziny. Wie, kto skąd przybył, kim są i skąd przyszli zięciowie, kto ile ma ziemi, kto wyemigrował na Litwę, kto wrócił, kto nie wrócił. A opowiadać jest

o czym. Z braku miejsca nie będę tu pisał o wszystkich żegarskich rodzinach, a jedynie o niektórych.

Zacznijmy od strony Rogożan. Wsi o tej nazwie dziś już nie znajdziemy na żadnej mapie, ale jeszcze przed pięćdziesięcioma laty taka wioszczyna znajdowała się przy tak zwanej bubelskiej drodze (prowadzącej do wsi Bubele). W sąsiedztwie Rogożan, nad mulistym brzegiem jeziora Drucežeris, od niepamiętnych czasów mieszkała rodzina Janczulewiczów (Jančiulis). Jeden z jej członków znany był z tego, że w czasie drugiej wojny światowej, gdy mieszkał jeszcze w Litwie, został zmobilizowany do Armii Czerwonej. Z frontu wrócił z radzieckim orderem na piersi.

Podążając dalej bubelskim gościńcem bliżej centrum Żegar, jeszcze do niedawna ujrzelibyśmy piękną zagrodę Brazinskasów. Była, ale już jej nie ma. Dzieci przeprowadziły się do Sejn, gospodarstwo zaniedbały, a ostatnio ziemię rozparcelowały na działki i sprzedawały letnikom przyjeżdżającym tu aż z Lipska nad Biebrzą. Rodzina dała się poznać z aktywności jeszcze przed wojną. Kuzynem Brazinskasów był pisarz Albinas Žukauskas, urodzony w nieodległych Bubelach. Największy jednak wpływ na nich miała synowa Irena, nauczycielka, która przybyła tu z Litwy. Po drugiej wojnie światowej jeszcze bardziej rozślawiła ich Elzė Jakubauskaitė-Brazinskienė. To ona zorganizowała w Żegarach zespół taneczny, który wielokrotnie występował zarówno przed publicznością litewską, jak i polską.

Jeszcze bliżej kościółka mieszka rodzina Wiaktorów (Vektorius). Wywodził się z niej ostatni żegarski *daraktorius* (tajny nauczyciel) Jonas Vektorius. Żaden naród europejski nie zna słów: *knygnešys* (przemysłownik książek w okresie zakazu druku czcionką litewską) i *daraktorius*, bo kultura żadnego z nich nie była tak okrutnie prześladowana. Gdy po powstaniu styczniowym (1863) władze carskie zakazały nauczania języka litewskiego, umiejący czytać, pisać i rachować wieśniacy chodzili zimą od domu do domu i po kryjomu uczyli dzieci. Tych wędrownych nauczycieli lud nazwał *daraktoriusami*. Skąd Jonas Vektorius sam nauczył się czytać i pisać – nie wiadomo. Mówią, że od swojej siostry, ponoć służącej u majątnych ludzi w Warszawie, gdzie nauczyła się tej sztuki.

Jeśli dojeżdżając do asfaltowej drogi, skręcimy w kierunku Sejn, tuż za kościółkiem po lewej stronie zobaczymy zbudowaną w 1960 roku remizę strażacką. Do drugiej wojny światowej stała tu zagroda Karola Pietruszkiewicza (Karulis Petruškevičius). Historia tej rodziny jest równie interesująca, co tragiczna. Karulis w czasach swej młodości był właśnie owym *knygnešys*, który drukowane w Prusach Wschodnich książki litewskie przemyczał na Litwę, gdzie panował zakaz używania łacińskiej czcionki. Przemycnicy wiele ryzykowali, gdyż granic Imperium Rosyjskiego strzegli carscy żandarmi.

Pojmanych skazywano zazwyczaj na zesłanie na Sybir. Rodzina Karulisów (tak ich nazywano, ponieważ w Żegarach mieszkało wielu Pietruszkiewiczów) w 1941 roku, podobnie jak wiele innych, wyjechała na Litwę. Latem 1944 roku na krótko przeniosła się do Żegar, ale że gospodarstwo zastała zdewastowane, budynki rozebrane i wywiezione, powróciła na dawne miejsce. Po powrocie na Litwę dwaj synowie wstąpili do partyzantki litewskiej i polegli w walce z bolszewikami. Pozostałych członków rodziny zesłano na Sybir. W Olicie prawdopodobnie mieszka Birutė (Biruta), najmłodsza córka Karulisa. Pietruszkiewiczowie (Karulisowie) byli ostatnią rodziną mieszkającą przy drodze do Sejn.

Dalej już zaczynała się wieś Sztabinki. Przed drugą wojną światową mieszkali tam wyłącznie Rosjanie staroobrzędowcy, jednak w 1941 roku zostali oni, tak jak i miejscowi Litwini, przesiedleni do ówczesnego Związku Radzieckiego. Większość Litwinów po wojnie wróciła do swoich zagród, a ze starowierców – zaledwie parę osób. Najwięcej z nich zostało na Litwie, a państwo przejęło ich ziemie, na których założone zostało państwowe gospodarstwo rolne. Sprowadziły się tu rodziny pracowników pegeeru i wieś uległa całkowitej polonizacji.

Powróćmy jednak do części centralnej Żegar. W samym środku wsi mieszkały niegdyś dwie rodziny Waszkiewiczów, zwanych przez miejscowych Vaszkiami. Sprowadziły się one z dworu w Janiszkach. Józef Waszkiewicz na zebraniach wiejskich chwalił się, że dobrze znał Lenina i że nieraz z nim rozmawiał. Ile w tym prawdy, a ile fantazji – nie wiadomo. W owych czasach takie znajomości przysparzały chluby. Nie ulega wątpliwości, że Józef Waszkiewicz miał poglądy lewicowe. W 1939 roku, po przyjsciu hitlerowców został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, opisanym później przez Balisa Sruogę w powieści *Dievų miškas* (Las bogów). Utrzymać się przy życiu prawdopodobnie pomógł mu znany w tych okolicach działacz, także więzień Stutthofu, Juozas Markauskas (spoczywa na sejneńskim starym cmentarzu).

Idźmy w stronę Ogrodnik. Trochę dalej od drogi, na wschodnim brzegu jeziora Sztabinki, stoi zagroda Marcinkiewiczów (Marcinkevičius). Teraz mieszka tu zięć aż spod Białegostoku, ale dla miejscowych to nazywa się wciąż tak samo. Rodzinę znają nie tylko w Żegarach, ale i w całej okolicy. Alfonsas jest nauczycielem, Vincas działaczem organizacji litewskich we Wrocławiu, jednak mieszkańcy Żegar najbardziej pamiętają Stanisława Marcinkiewicza, dlatego że po ponownym utworzeniu powiatu w Sejnach w 1956 roku został zastępcą przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. To najbardziej odpowiedzialne polskie stanowisko państwowe, jakie w dwudziestym stuleciu zostało powierzono Litwinowi. Co prawda nie na długo. Z nieznanych

powodów po dwóch latach, a może jeszcze wcześniej, został zwolniony z funkcji. Powierzono ją Polakowi przywiezionemu „w portfelu” z południowej części województwa białostockiego. Widocznie pod koniec odwilży politycznej w Polsce władze najwyższego szczebla doszły do wniosku, że zbytkiem uprzejmości jest powierzać tak zaszczytną funkcję Litwinowi. W tym miejscu trzeba dodać, że władze komunistyczne zawsze w niestabilnej sytuacji politycznej bywały bardzo przyjazne wobec mniejszości narodowych, ale gdy tylko umocniły swą pozycję, zapomniały o swych wcześniejszych obietnicach, a przedstawiciele mniejszości jako partnerzy bywali już zbędni.

Stanisława Marcinkiewicza spotkał tragiczny los: na początku lat osiemdziesiątych XX wieku wyszedł z domu i zaginął. Przeszukano jeziora, przeszukano lasy – na próżno. Niektórzy sądzą nawet, że po kryjomu uciekł do Szwecji, bowiem od dawna utrzymywał kontakty ze znanym szwedzkim uczonym, językoznawcą profesorem Knutem Olofem Falkiem. I oto po trzech latach w jeziorze Sztabinki jego ciało zostało wyłowione siecią rybacką. Do dziś nikt nie wierzy, że Stanisław mógł sam utonąć. Wszyscy mówią, że zamordował go pewien letnik mieszkający wówczas w namiocie po drugiej stronie jeziora. Podobno ktoś nawet słyszał wołanie o ratunek, ale po polsku. Jak było naprawdę, niestety, chyba już nigdy się nie dowiemy. Wspomniany letnik po upływie roku popełnił samobójstwo. Jeśli nawet coś wiedział, zabrał tajemnicę do grobu.

Na północ od zagrody Marcinkiewiczów, bliżej lasu krasnogrudzkiego, zwanego Gaidziuskė (Gajdziszki), stoi zagroda Markiewiczów, którzy przybyli tu niegdyś z Wojtokiem (Vaitakiemis). Interesujący może być fakt, że Piotr, syn zamieszkałego obecnie w Augustowie, ale pochodzącego stąd Witolda Marcinkiewicza, był znanym sportowcem. Przed kilkunastoma laty został srebrnym medalistą mistrzostw świata w kajakarstwie.

Jeszcze bardziej na północ mieszka rodzina Draugialisów. Byli oni niegdyś Polakami, pochodzili ze wsi Zaleskie (koło Sejn), ale mieszkając wśród Litwinów, żeniąc się z Litwinkami, sami zlituanizowali się. To rzadki przypadek – zazwyczaj bywa odwrotnie.

Jeszcze dalej – zagroda Kuleszów. Opuściwszy świat ziemskich trosk Jan Kulesza pozostanie w pamięci okolicznych Litwinów jako bojownik o msze litewskie w bazylice sejneńskiej. Jego syn, także Jan, poślubił dziewczynę z Litwy i pracuje na gospodarstwie rodziców. To ciekawe, że młodzi chłopcy z Żegar poszukują żon na Litwie. Poza wspomnianym już Kuleszą, żony z Litwy sprowadzili też Maciukanis i Jakubowski.

W sąsiedztwie Kuleszów mieszkają dwie rodziny Okulianisów (Akulionis) – Jerzego i Józefa. Do Józefa przyszedł zięć Roglys z Dworcyska. Dobrze

mówi po litewsku, mimo że wieś ta już się prawie spolonizowała. Latem 1944 roku Jerzego Okulanisa spotkało wielkie nieszczęście. Gdy Niemcy – napierani przez Rosjan – wycofali się do centrum Żegar i umocnili naprzeciw kościółka, Jerzy wraz z Bronisławem Antonowiczem i Janem Wiaktorem weszli na wzgórze, by obserwować toczące się walki. W tym momencie tuż pod ich nogami wybuchł niemiecki pocisk artyleryjski. Antonowicz zginął na miejscu, zaś Okulanis i Wiaktor zostali ranni. Lekarz Armii Czerwonej zabrał Jerzego z pola, zawiózł samochodem na Litwę, najpierw do Kopcio-wa (Kapčiamiestis), potem do Wilna, jeszcze później do Moskwy, gdzie go zoperowano. Tak więc swoje życie Jerzy Okulanis zawdzięczał nieznanemu rosyjskiemu lekarzowi.

W pobliżu lasu Gajdziszki (Gaidziušké) mieszka jeszcze jedna rodzina Pietruszkiewiczów zwanych Bronciami. Nieżyjący już Bronisław Pietruszkiewicz, ze względu na kolor włosów przezywany Rudym, jeszcze przed wojną był aktywnym działaczem społecznym. Pisałem już o tym wcześniej. Tu dodam tylko, że za swą działalność trafił do obozu więźniów politycznych w Berezie Kartuskiej. Młodszym czytelnikom warto przypomnieć, że obóz ten założył przedwojenny rząd polski, jak teraz zwykło się pisać: najbardziej demokratyczny wśród wszystkich demokracji na świecie, widocznie kierujący się zasadą, iż „tolerujemy wszystkich, którzy myślą tak jak my”.

I wreszcie, przy tak zwanym trakcie wigierskim, łączącym Żegary z Dusznicą, stała niegdyś zagroda Kazlauskasów. Nie wrócili z Litwy, a ich ziemia należy obecnie do Waszkiewicza. Przy tej samej drodze, ale bliżej centrum wsi, pomiędzy jeziorami Dusalis i Gaładuś, mieszka Piotr Dapkiewicz (Petras Dapkevičius). To chyba najbardziej światła rodzina w Żegarach. Ojciec Piotra – Kazimierz był przed wojną działaczem litewskim. Jeszcze bliżej centrum do niedawna mieściło się gospodarstwo Paciukanisów, którzy mieli sześć córek, a cztery z nich uzyskały wyższe wykształcenie. Teraz mieszkają tu Maciukanisowie.

Na najwyższym wzniesieniu, tam skąd rozpościera się najpiękniejszy widok na jezioro Gaładuś, mieszka rodzina Jakubowskich. Jan był znanym w naszym regionie śpiewakiem ludowym. Teraz wznosi się tam wspaniała willa, własność rodziny przedsiębiorców Czernialisów.

* * *

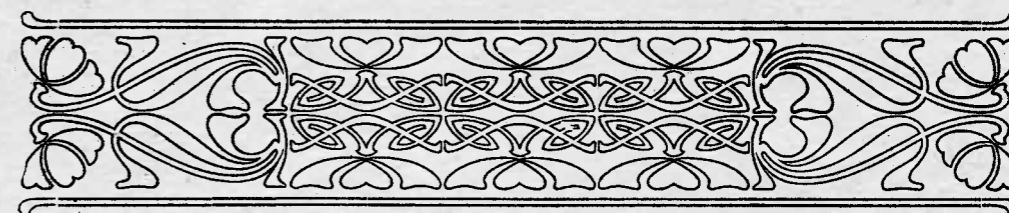
Ziemia w Żegarach jest nieurodzajna, przeważają w niej piasek i kamienie. Do tego dochodzi pagórkowata okolica. Nie łatwo tu gospodarować, jeszcze trudniej konkurować z bogatszymi wsiami. Ale Żegary otrzymały od natury dar o wiele większy – piękno krajobrazu. Niezwykle piękno. Być może

mieszkańcy go nie dostrzegają, ale przyjeżdżający tu turyści i wczasowicze potrafią to docenić. Latem nad brzegami jeziora coraz więcej kolorowych namiotów. Wciąż przybywa domków letniskowych. Turystyka staje się przyszłością tej wsi. Tylko czy wraz z jej rozwojem Żegary nie przestaną być litewskie? Czas pokaże.

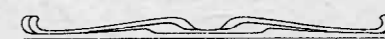
* * *

Serdecznie dziękuję Piotrowi Dapkiewiczowi za udzielenie mi cennych i wyczerpujących informacji. Właściwie to on jest autorem tego tekstu, ja tylko notowałem.





Między pokoleniami



WSPOMNIENIA Z KLEJW

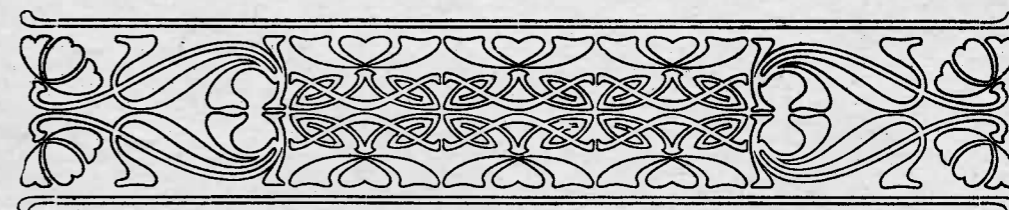
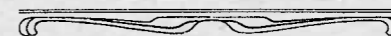
KSIĄDZ KAZIMIERZ GAČKI

O DZIADKU KASJANIE I OJCU MIKOLAJU NAZARUKACH

NAUM ADELSON - OSTATNI SUWAŁSKI ŻYD

ABŁAMOWICZE - Z RODZINNEJ HISTORII POGRANICZA

DAWNI SEJNIAŃCIE - PIĘNCZYKOWSCY





Oficyna dworska w Klejwach. Fot. Michał Moniuszko

ROMUALD KOZŁOWSKI

Moje wspomnienia z Klejw

Romuald Kozłowski buvęs Klevų valstybinio ūkio (PGR) gyventojas ir darbuotojas prisimena savo gyvenimą šiame ūkyje, ūkio gerausius laikus (Liaudies Lenkijos metais) ir pagaliau likvidavimą – Lenkijos santvarkos transformacijos metais (1990–1991). Jo tėvai dirbo ūkyje prie galvijų priežiūros. Autorius prisimena ūkio vadovus, jų atliktus darbus, visus darbuotojus, aprašo pastatų išdėstymą o svarbiausia darbuotojų kasdienį trūską ir poilsį. O štai ištrauka iš atsiminimų.

„Už posūkio, ant kalvos stovėjo senas medinis namas, kuriame gyveno dvi šeimos. P. Jonušonis dirbo naktiniu sargu. Kai kiti miegojo, jisai su pikto šunio pagalba saugojo pastatus ir ūkio turtą. Ankstyvą rytą belsdavosi į tvartų ir kiaulidžių prižiūrėtojų langus keldamas juos į darbą. Kitoje namo pusėje gyveno ponas Marcinkevičius – ūkio stalius. Jisai mokėjo pagaminti ne tik baldus, bet ir pastatyti medinį tiltą. Jo žmona dirbo bibliotekininke. Nors visas jos knygų rinkinys užėmė vos spintelę (vyro padaryta), bet vistiek, buvo tai daugiau, negu mokyklinės lektūros“.



lejwy jawią mi się we wspomnieniach jako spokojne miejsce, gdzie spędziłem dzieciństwo i wczesną młodość. Nie będę się upierał, że moja opinia będzie obiektywna. Wiem, że świat oglądany z perspektywy przeżytych lat wygląda jak widokówka na kredowym papierze – jest piękniejszy niż w naturze. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co kiedyś było swojskie i przytulne – dzisiaj wydaje mi się zgrzebne i siermiężne.

Do pegeeru sprowadziliśmy się z rodzicami w październiku 1961 roku. Smętny krajobraz jesienny nie dodawał uroku temu miejscu – szaruga, błoto, nagie drzewa – to pierwszy widok, gdy z sejneńskiej, brukowanej szosy wjeżdżało się do gospodarstwa. Od drewnianego mostu na rzece Marycha prowadziła wysadzana wierzbnami grobla, przechodząca dalej w topolową aleję, biegnącą obok przysadzistego magazynu zbożowego do budynku administracyjnego, położonego w centrum gospodarstwa. Do przeprowadzki namówił rodziców ówczesny dyrektor Jan Wróblewski. W tamtych czasach

łatwo było o pracę, więc o wyborze miejsca zamieszkania decydowały proponowane warunki bytowe, łatwość dojazdu do miasta, odległość do szkoły itp. Klejwy wypadają pod tym względem pozytywnie – do Sejnu około pięciu kilometrów, przystanek prawie na miejscu, czegoż więc chcieć od życia?

Zamieszkaliśmy w czworaku, zajmując dwuizbowe lokum. Budynek dzieliły z nami trzy inne rodziny: Korzunowie, Liszewscy i samotnie wychowująca dorastającego syna pani Pilczewska. W domu mieliśmy energię elektryczną, a więc już znaczne udogodnienie. Nie wszystkie wsie w tamtych czasach je miały, a o wodociągach i kanalizacji nie było w ogóle mowy. Wodę czerpaliśmy z pobliskiej studni. Jako że było to ciągle bijące źródło, na odpływie ze studni wykonano skrzynię z desek, która służyła za chłodnię dla całego domu. Przed każdym mieszkaniem urządziło się ogródek warzywny, a w pobliżu stał chlewek, w którym hodowało się świnię i kury. Tuż za nim rosła stara, wypróchniała lipa, brzęcząca w czasie kwitnienia całym rojem pszczół.

W najbliższym sąsiedztwie czworaka stał następny budynek mieszkalny – bliźniak. Dom ten zajmowały dwie rodziny: Wieczorkowie i Nowakowie. Pierwsi mieli na pięterku mały sklepik spożywczy, gdzie można było nabyć artykuły najpilniejszej potrzeby. Pieczywo przywożono w określone dni tygodnia, ale i tak prawie każda gospodyni wypiekała je na własne potrzeby. Zapach wyciąganych z pieca bochnów roznosił się po okolicy i nieomylnie wskazywał, która rodzina będzie miała dziś świeży chleb. Sklepik blisko domu był wielką wygodą; gdy po jakimś czasie został zlikwidowany, po zakupy chodziło się aż do Michnowiec, co najmniej dwa kilometry w jedną stronę.

Zajmujący drugie mieszkanie w bliźniaku pan Nowak pracował jako traktorzysta. Pewnego dnia zginął tragicznie w wypadku drogowym, spadając prosto pod koła załadowanej przyczepy. Po kilku latach od tej tragedii wdowa wyprowadziła się z Klejw i na jej miejscu zamieszkała rodzina Łebskich. Czy sprawił to urok miejsca przesiąkniętego tragedią, czy fatalny zbieg okoliczności, dość że w jakiś czas po tym pan Łebski, kierowca ciężarówki, również zginął na drodze.

Przez rozległy sad, między jabłonią schodziło się ścieżką do budynku administracyjnego. Był to duży, biały dom z drewnianą werandą przy lewym skrzydle, przeszklonym gankiem i brązową, drewnianą dobudówką przy skrzydle prawym. W przybudówce mieszkała pani Kaszkiel ze starą matką Giedową i synem, moim rówieśnikiem. Pracowała ona w oborze, przy obsłudze i dojeniu krów. Prawe skrzydło budynku głównego zajmowały trzy rodziny: Klucznikowie, Bartnikowie (Józef) oraz na piętrze stary Siemniszko, wychowujący dwoje dzieci. Klucznik senior należał do osób



Rodzina Romualda Kozłowskiego przed domem: rodzice Albina i Stanisław, córka Leokadia i najmłodsza wnuczka Teresa, 1970 r.



Romuald Kozłowski przy kopaniu ogródka, w tle budynek magazynu zbożowego, 1971 r.



Albina przed domem, 1972 r.

znaczących w pegeerze, piastując stanowisko brygadzysty polowego. Dwaj dorośli synowie również byli zatrudnieni w gospodarstwie jako traktorzyści.

Wejście główne do budynku przez ganek prowadziło do obszernej sieni. Po prawej stronie była świetlica, w której wieczorami toczyło się życie kulturalne i towarzyskie miejscowej ludności. Na wprost wchodziło się do biura, gdzie urzędował dyrektor i księgowy. Po lewej stronie było pomieszczenie zajęte przez archiwum i magazyn artykułów biurowych. Obok wejścia do świetlicy biegły drewniane, skrzypiące schody na piętro, gdzie ulokowała się rodzina, której nazwiska nie pamiętam, ale o jej głowie mówiło się „Janecek”.

Przed budynkiem znajdował się rozległy klomb, obsadzony bratkami i okolony drewnianym, niskim ogrodzeniem. Pośrodku wznosił się maszt, na który wciągało się flagę z okazji świąt państwowych. Z tyłu rosło drzewo z utraconym wierzchołkiem, a na nim bociany uwiły sobie gniazdo. W tle rosły dorodne, pachnące bzy. Wśród krzewów ukryte były prowizoryczne ławeczki z desek – tam co rano zbierała się brygada robotników polowych, by odebrać od brygadzysty zadania na cały dzień roboczy. Klomb miał kształt ronda, które okalała żwirowa droga. Do tego miejsca można było przejść suchą nogą. Droga prowadząca w głąb gospodarstwa była tak błotnista, że sforsować ją dawało się z trudem, i to w długich, gumowych butach. To topielisko, to chyba największa uciążliwość, jaką przypominam sobie z tamtych czasów. Kilka lat później wyłożono drogi betonową kostką i utrapienie się skończyło.

Tymczasem mozolnie pokonywało się grzęzawisko i wyczekiwało lata, które wysuszy podłoże, lub mrozów, by ścięły błoto w grudy. Na początku błotnistej drogi, po lewej stronie mieściła się stajnia, a naprzeciw niej wznosił się, a raczej popadał w ruinę stary, drewniany lamus. U szczytu stajni znajdowała się studnia z wysokim żurawiem, a przy niej długie koryto, w którym poilo się konie. Dziś zapewne nie ma już śladu ani po studni, ani po żurawiu. Stajnia też już od dziesięcioleci nie widziała koni. Pod koniec lat sześćdziesiątych hodowało się w niej dorodne byczki, przeznaczone na eksport do drugiej strefy walutowej. Za stajnią, szczytem do drogi, stała długa obora mieszcząca ponad sto krów i ich przychówek. Po prawej stronie drogi, naprzeciw obory, rozpościerał się duży, zarastający staw. Jako czarne, muliste dno i pokryta rzęsą powierzchnia, wydzielaly niezbyt miłą woń. Wierzyć się nie chce, że w takiej wodzie żyły karasie, a jednak żyły i to dość licznie. Zimą zamrznięta tafla stawu zmieniała się we wspaniałe lodowisko.

Za stawem droga skręca ostro w prawo, zostawiając po prawej stronie drewniany budynek, gdzie przetrzymywało się nawozy, a po lewej – oborę dla krów, które należały do pracowników. Dalej widniała stolarnia i stara kuźnia. Za zakrętem, na wzniesieniu stał stary, drewniany dom, zamieszkały



Budynek gospodarczy w Klejwach, dawny PGR.
Fot. Michał Moniuszko

przez dwie rodziny. Pan Januszanis pracował na stanowisku stróża nocnego. Gdy inni spali, on pilnował zabudowań i dobytku, mając do pomocy dużego, groźnego psa. Stróż o bladym świetle kołatał głośno w okna pracowników obsługi oborowej i chlewni, by zbudzić ich do pracy. Pan Marcinkiewicz, stolarz, zamieszkujący drugą połowę domu, potrafił wykonać mebel, a także zbudować most drewniany. Jego żona prowadziła punkt biblioteczny. Cały księgozbiór mieścił się na jednej etażerze, wykonanej przez męża, ale zawsze stanowił odskocznnię od szkolnych lektur.

W następnym, białym otynkowanym bliźniaku mieszkali Wysoccy i Stroniewscy. Pierwsi byli emerytami. Ona dorabiała, sprzątając biuro i świetlicę, on zaś był zapalonym wędkarzem. Pokój na piętrze u tych sympatycznych starsuszków służył za sezonowe mieszkanie dla stażystek. Pegeer zawierał umowę z Technikum Rolniczym w Dowspudzie, na mocy której rokrocznie przybywały dwie absolwentki na odbycie stażu. Pan Stroniewski pracował w kuźni, a gdy zabrakło już koni do podkuwania, przeniesiono ją do nowego budynku za stawem i urządzono tam warsztat ślusarsko-spawalniczy.

Ostatni dom mieszkalny to zbudowany z czerwonej cegły bliźniak, w którym przebywały rodziny Urbańskich i Jacynów. Jeden pokój na piętrze nad mieszkaniem tych drugich przejęła pani Węgielewska, zatrudniona przy obsłudze i dojeniu krów w oborze. Pan Urbański obsługiwał jedyny na stanie traktor, który na początku lat sześćdziesiątych posiadał pegeer. Był to stary ursus, zwany potocznie „Buldogiem”, i aby go uruchomić, musiał lampą benzynową długo podgrzewać gruszę, a później wykazać się nie lada krzepą, by kręcąc kołem zamachowym, wprawić go w ruch. Kilka lat później małżeństwo Urbańskich przeszło do pracy przy obsłudze trzody

chlewnej. Zabudowania kończyły się wielką, drewnianą stodołą, stojącą nad rzeką po lewej stronie drogi. Naprzeciw niej stał jeszcze magazyn środków ochrony roślin. Kilka lat później około dwieście metrów za tym magazynem wybudowano chlewnię na kilkaset sztuk trzody, gdzie zatrudnienie znaleźli wcześniej Urbańscy.

Na czele załogi pegeeru stał dyrektor. Do pomocy miał księgowego i brygadzystę polowego. W dalszych latach doszli fachowcy, tacy jak agrotechnik i zootechnik. Póki co, trzeba było oprzeć się na doświadczeniu pracowników. Wiedzę agrotechniczną przekazywał brygadzysta, a zootechniczną oborowy. Ważną osobą w gospodarstwie był magazynier. Miał on pod wyłączną kontrolą magazyny, spichlerze i płody rolne zgromadzone w stodołach. Przez krótki okres po naszym przybyciu funkcję tę sprawował pan Rupiński ze wsi Klejwy, później przez kilka lat Romuald Bartnik, którego rodzina zamieszkała w naszym czworaku, a u schyłku istnienia gospodarstwa – Józef Bartnik.

Załogę stanowili robotnicy rolni wykonujący pracę w polu oraz opiekujący się zwierzętami – oborowy i dojarki – przy obsłudze krów, a także zatrudnieni przy tuczeniu trzody chlewnej. Moi rodzice pracowali w oborze przy krowach i cielętach. Matka doiła krowy, ojciec był oborowym. Załogę obory stanowiło czworo ludzi. Za zadanie mieli nakarmienie, utrzymanie w czystości i dojenie. W moim przekonaniu była to mordercza harówka od świtu do nocy, przez siedem dni w tygodniu. Podczas gdy polowi mieli (poza akcją żniwną) ośmiogodzinny dzień pracy i wolną niedzielę, rodzice moi wychodzili do obory, gdy było ciemno, i wracali już na noc. Na jedną osobę przypadało do utrzymania i wydojenia około 25 krów, ręcznie trzy razy (latem) dziennie. Na nasze argumenty, że można znaleźć w gospodarstwie pracę lżejszą, odpowiadali, że w oborze przynajmniej ich ludzie nie widzą. Nam – swoim dzieciom – wpoili zasadę, że żadna praca nie hańbi, ale sami nie do końca w to uwierzyli. Gdzieś w zakątku świadomości pozostał im wstyd wynikający z faktu, że pracują w pegeerze. Uważali to za dyshonor, że oni – do niedawna właściciele kilkunastohektarowego gospodarstwa rolnego – stali się „pegeerusami”. Praca przy obsłudze zwierząt różniła się tym od pracy robotników polowych, że miało się stałe zajęcie. Oborowy sam układał rozkład dnia, co dawało mu poczucie pracy na swoim. Rodzice sumiennie wypełniali swoje obowiązki, chociaż ich pobory nie przyprawiły o zawrót głowy. Dziś pozostały nam po rodzicach wyblakłe dyplomy uznania i pamięć, jaki ojciec był dumny, gdy wszystkie hodowane przez niego byczki trafiały na eksport, bodajże do Włoch.

Pod koniec lat sześćdziesiątych praca stawała się już nieco lżejsza, gdyż zainstalowano w oborze dojkarkę mechaniczną. Od tamtego okresu

wszyscy mieszkańcy pegeeru i okolic wiedzieli, kiedy zaczyna się dojenie, gdyż załączony do pracy agregat wył głośno niczym syrena strażacka. Wspomniałem wcześniej pogardliwą nazwę „pegeerusy”. Takie epitety słyszało się nieraz w szkole, gdy dzieci chłopskie chciały nam dokuczyć. Denerwowało mnie to do jakiegoś czasu, ale w miarę dorastania zrozumiałem, że mimo pozornej pogardy, można było wyczuć w tym zachowaniu nutkę zawiści. Dzieci mieszkające w pegeerze otoczone były lepszą opieką niż dzieci chłopskie. Niby nic wielkiego, ale na przykład zimą, dowożono nas saniami do szkoły, w okresie wakacji organizowano półkolonie, fundowano wyjazdy na imprezy rozrywkowe itp.

We wczesnych latach sześćdziesiątych, przy pracach polowych, wykorzystywało się siłę pociągową koni. Mechanizacja, jeżeli istniała, to w powijkach. Oprócz wspomnianego „Buldog” pojazdem mechanicznym był na stanie samochód ciężarowy „Lublin”. Trwało to niedługo, bo już wkrótce pojawiły się bardziej nowoczesne ciągniki i maszyny do uprawy roli. W gospodarstwie uprawiano zboża, ziemniaki, buraki pastewne, rośliny motylkowe. Płody rolne wykorzystywano na paszę dla zwierząt, ale nadwyżkę odstawiano do centrali nasiennej, a ziemniaki przerabiano w gorzelni na spirytus. Mleko wożono w bańkach do Sejn do zlewni. Do prac przy uprawie roli wystarczało własnych pracowników stałych, jednak do żniw, wykopków czy pielęgnacji buraków zatrudniało się pracowników sezonowych (rodziny pracowników) oraz młodzież szkolną.

Wystarczyło, że jeden członek rodziny miał zawartą stałą umowę o pracę w gospodarstwie, by nabywała ona praw do bezpłatnego mieszkania. Przy domach urządziło się ogródki warzywne, oprócz tego pegeer zapewniał każdej rodzinie dwadzieścia arów ziemi pod uprawę ziemniaków. Towarzyszyły temu spore emocje, gdyż każdy chciał wylosować najżyźniejszą ziemię, a działki były różne. Hodowało się też na własny użytek drób i świnię. We wczesnych latach sześćdziesiątych można było mieć krowę, później ten przywilej zlikwidowano, przyznając w zamian po dwa litry mleka na rodzinę.

Nie potrafię określić w czasie zmian personalnych na stanowisku dyrektora. Po Wróblewskim nastał Edward Wasilczyk. Okres jego zwierzchnictwa utkwił mi w pamięci, ponieważ ludzie uzyskali wtedy dostęp do świadczeń socjalnych i zdobyczy cywilizacji. Za jego czasów wybudowali wodociąg i hydrofornię, przeprowadzili gruntowny remont mieszkań. Organizowali atrakcyjne wycieczki (np. do Gdańska, Warszawy, Krakowa), wyjeżdżali na imprezy kulturalne do Suwałk czy Sejn. Właśnie wtedy rolnicy indywidualni i ich rodziny miały czego nam zazdrościć. Przypomnę, że w tym czasie chłopi nie mieli nawet prawa do ubezpieczenia zdrowotnego, a tu taka rozpusta.

Życie kulturalne kwitło również w pegeerze. Świetlica czynna była codziennie wieczorem i gromadziła głównie dzieci oraz młodzież. Zaczęło się mizernie, z jedynym wyposażeniem – telewizorem. Poprzez śnieg na ekranie trudno cokolwiek dało dostrzec, ale do dzisiaj mam w uszach sygnał dziennika telewizyjnego, a w pamięci „Wielokropek” czy dobranockę z Jackiem i Agatką. W miarę upływu lat zmieniał się sprzęt i wielość rozrywek. Ja również miałem przyjemność zostać świetlicowym. Będąc uczniem dziesiątej i jedenastej klasy liceum ogólnokształcącego, na pół etatu prowadziłem zajęcia w tym przybytku kultury. Miałem do dyspozycji gramofon „Bambino”, magnetofon szpulowy i cudowną muzykę Niemena czy „Czerwonych Gitar” i czułem się panem eteru. Jako niepełnoletni musiałem mieć opiekuna; funkcję tę i księgowego pełnił Czesław Szeraszewicz. To z nim uzgadniałem konieczność zakupu sprzętu czy prenumeratę prasy. Po południu rozkładałem na stoliki „Kraj Rad”, „Przyjaźń”, „Trybunę Ludu”, „Dziennik Ludowy” i inne tytuły z epoki, by wieczorem spragnieni wiadomości ze świata mogli zagłębić się w lekturze.

Jak długo pamiętam, dwa razy w miesiącu przyjeżdżało z Krasnopola kino objazdowe. Stoliki wówczas usuwało się w kąt, krzesła ustawiało w rzędy, prześcieradło wieszano na ścianę i po zapłaceniu czterech złotych każdy mógł przeżywać szalone przygody. Aparat przeraźliwie klekotał, po skończeniu kolejnej taśmy następowała przerwa na przewinięcie i wymianę szpuli, ale... było cudownie.

W niektóre soboty organizowało się zabawy taneczne. Nie jakies tam potańcówki, ale prawdziwe – z bufetem i żywą muzyką. Zespół muzyczny to akordeonista i perkusista, przeważnie nie najwyższych lotów, ale kto by na to zważał, kiedy świat jest taki piękny, a dziewczyny jeszcze piękniejsze, nawet bez wspomaganie alkoholowego.

Wiele imprez organizowałem we współpracy z LZS (Ludowy Zespół Sportowy) Babańce. Otrzymaliśmy od dyrektora zezwolenie na budowę boiska do piłki siatkowej na terenie pegeeru. Urządziliśmy je za budynkiem hydroforni i odtąd mogliśmy podejmować inne drużyny, a po meczu spotkać się przy kawie na świetlicy.

Cały urok Klejw ujawniał się na wiosnę. Tuż po ustąpieniu zimy rzeka wylewała na okoliczne łąki. Nad szerokimi rozlewiskami rozlegały się odgłosy ptactwa wodnego. Później, gdy drzewa pokryły się listowiem, przesłaniały zabudowania. Od strony szosy gospodarstwo wyglądało jak gęsty, zielony gaj. Bzy i czeremchy pachniały tak słodko, słowiki w zaroślach zanosili takie trele, że łatwo można było dostać zawrotu głowy.

Kolejnym dyrektorem został Adam Data. Podczas jego kadencji wyłożono drogi betonową kostką i od tego czasu nie gubiło się już butów

w kleistym błocie. W tym też czasie zmeliorowano należące do pegeeru pola. Dokonali tego żołnierze OTK (Obrony Terytorialnej Kraju), którzy łopatami kopali głębokie rowy, na dnie których instalowali ceramiczne drenaże. Przez całe lato stacjonowali na terenie gorzelni w Sejnach, w brezentowych namiotach. Do pracy przywoziły ich samochody ciężarowe. Obok budynku hydroforni wybudowano łaźnię. Miała ona służyć mieszkańcom pegeeru, by po pracy mogli zmyć kurz i zmęczenie. Latem jeździliśmy na przyczepie ciągnikowej nad jezioro do Michnowiec, ale jesienią i zimą pozostawała miszka i balia. Łaźnię pięknie wyposażono, lecz gdy któregoś dnia chcieliśmy rozpalić w piecu, nie udało nam się mimo usilnych starań. Widocznie kawki zdążyły zbudować w kominie gniazdo. To była pierwsza i ostatnia próba uruchomienia najnowszego nabytku do utrzymania higieny osobistej.

Mijały lata, zmieniali się dyrektorzy i zmieniała się załoga. Ludziom wiodło się coraz lepiej. Pegeer dobrze prosperował, więc nagrody roczne reperowały budżet rodzinny i pozwalały poczynić większe inwestycje. Pracownikom wydawało się, że chude lata mają już za sobą, że teraz może być już tylko lepiej. Jakże się mylili!

Ostatni dyrektor Franciszek Czarkowski doprowadził gospodarstwo do czasów, gdy się okazało, że pegeery są niesłuszne ideowo i politycznie. Historia zatoczyła pełne koło. Przed laty należało iść z duchem czasu i nie bacząc na krzywdę ludzką, odebrać ziemię obszarnikom, aby założyć państwowe gospodarstwo rolne. W czasie balcerowiczowskiej transformacji gospodarczej znów trzeba było dostosować się do najnowszych trendów i zlikwidować niesłuszny relikw socjalistycznych czasów. Nikt nie zastanawiał się nad losem właścicieli majątków, którzy zostali pozbawieni dorobku pokoleń. Wiele lat później też nikt nie zastanawiał się nad dolą załóg pegeerowskich. Zlikwidowali gospodarstwa, więc rządzącym wydawało się, że zlikwidowali problem.





Ksiądz Kazimierz Gacki. Fot. Michał Moniuszko

„Oddany chleb”.

Rozmowa Bożeny Szroeder z księdzem Kazimierzem Gackim

Pokalbį su Seinų klebonu (nuo 1993 iki 2009) – kun. K. Gacki prieš jam paliekant Seinų parapiją pravedė Paribio centro darbuotoja. Kunigas prisimena savo vaikystę, šeimą, kelią į kunigystę, darbą įvairiose parapijose ir klebonavimą Seinuose. Jau eidamas į Seinus žinojo, kad tai dviejų tautų: lenkų ir lietuvių parapija. Buvo pasiryžęs būti klebonu vienodai ir lenkams ir lietuviams.

Bożena Szroeder: *Wiem, że ksiądz stąd odchodzi. Pomyślałam, że nie będziemy mieli zapisanych żadnych słów księdza. Był tu ksiądz proboszczem wiele lat. Naszą rozmowę chciałabym zacząć od pytania o pochodzenie i tożsamość, a dopiero później przeszlibyśmy do kapłaństwa i proboszczowania w Sejnach, tak niezwyklej, ale i bardzo trudnej parafii dwóch narodów.*

Kazimierz Gacki: Nazywam się Kazimierz Gacki, póki co jestem jeszcze proboszczem w Sejnach, ale już tylko przez dwa dni.

Urodziłem się 4 marca 1942 roku w Chełchach, w obecnym powiecie kolneńskim. Moimi rodzicami byli Marian i Bolesława z Czaplickich, a dziadkami... Może lepiej wspomnę babcię, bo dziadków nie pamiętam, nie było ich już, kiedy się urodziłem. Jedna babcia miała na imię Kamila i pochodziła z Turczyna w parafii Rajgród. Pięknie się złożyło, bo później w niej pracowałem i teraz wracam tam na emeryturę. To tak jakby oddany chleb.

Druga babcia to Eugenia, osoba w podeszłym wieku. Tak się złożyło, że była moją chrzestną matką, co zdarza się rzadko; zazwyczaj na chrzestnych biorą młodszych, bo starsi szybciej umierają. A było to tak, że ciocia i wujek zawieźli mnie do chrztu, do rodzinnej parafii w Niedźwiadnej, z babcią jako opiekunką. I proboszcz zapytał, czy ciocia była „u wywołu” (teraz już tego nie ma), co znaczy, że po urodzeniu dziecka każda kobieta powinna pójść na tak zwane oczyszczenie, tak jak Matka Boska w czterdziestym dniu od narodzenia Chrystusa, kiedy to poszła do świątyni jerozolimskiej i zgodnie z przepisami prawa została oczyszczona. Ponieważ ciocia jeszcze tego nie zrobiła, bo po prostu nie wiedziała, ówczesny proboszcz nie zgodził się, żeby była chrzestną. Takim sposobem babcia, która pojechała na chrzest jako opiekunka, bo rodzice wtedy do chrztu nie jeździli, powiedziała, że może zostać chrzestną matką. Tak więc ona i wujek są moimi chrzestnymi rodzicami.

Mój ojciec pochodził z Modzel w parafii Białaszewo koło Grajewa, a mama z miejscowości Chełchy w parafii Niedźwiadna. Kiedy zawarli związek małżeński, zamieszkali w Modzelach, u ojca. Ponieważ w Chełchach zamieszkała jedna siostra, a gospodarstwo było duże, więc babcia pomyślała, że powinna ściągnąć mamę z mężem i dziećmi z Modzel i podzielić swój majątek na połowę, tak żeby obie córki tam gospodarowały. Tak też zrobili. Moi trzej starsi bracia urodzili się jeszcze w Modzelach, w miejscu urodzenia ojca; ja urodziłem się w Chełchach, w miejscu urodzenia matki. Później przybyło dwóch braci, więc w rodzinie byli sami chłopcy. Ponoć urodziła się jeszcze dziewczynka, ale umarła po dwóch tygodniach.

Proszę troszkę powspominać braci.

Dwóch moich braci zginęło, jeden kiedy miałem dwa lata. To były czasy powojenne i dzieci bawiły się niewypałami – on i starszy, osiemnastoletni już chłopak. Ten starszy zaczął rozbierać jakiś nabój, na którym błyszczała obrączka. Chciał ją zbić, a obok niego siedział mój brat. Nabój wybuchł, tamtego chłopaka rozerwało na strzępy, a mojego brata bardzo mocno poraniło. Żył potem jeszcze parę dni.

Drugi brat, młodszy, też zginął śmiercią tragiczną. Byłem już wtedy w seminarium. W tamtym czasie, jak młócono na wsiach, to za pomocą kieratu. Konie kręciły ten kierat, a w stodole młóciło się zboże. Brat przyszedł ze szkoły, no i tam zwerbowali go do poganiania koni. Pewien czas poganiał, ale później poszedł i chciał zobaczyć, ile jest jeszcze w stodole do omłócenia. Poleciał do stodoły, później do koni, a te już odeszły i nóżka mu wpadła pod drąg łączący kierat z maszyną. I zakręciło mu tę nogę. Było wtedy dużo śniegu, ślisko, i noga mu się podwinęła pod drąg, i zakręciło. I też do szpitala powieźli. Wtedy jeszcze drogi były słabe, autobusy nie chodziły, inne samochody, jak taksówka czy pogotowie, nie mogły dolecieć, bo śniegu dużo nasypało. To było dziewiętnastego... nie, przepraszam, dwudziestego marca. Rodzice wieźli go furmanką do Szczuczyna, do szpitala. On był całkowicie świadomy. Ojciec i matka, jak z nim jechali, to on mówił: „Mamusiu, coś mnie tak ręce drętwieją”, a kałuża krwi zeszała tam na miejscu. Żeby był fachowy ratunek, to najwyższej nogę by stracił. Dzisiaj by go uratowali. No i do Grajewa ze Szczuczyna go przewieźli pogotowiem, i w trakcie operacji zmarł.

Szkolę podstawową rozpocząłem w 1949 roku, w 1956 ją zakończyłem, we wsi rodzinnej. I później udałem się do Liceum Ogólnokształcącego w Kolnie. W pierwszej szkole miałem różnych nauczycieli. Wspominam ten czas jako bardzo ciekawy. Teraz rozszerzone są prawa dziecka, kiedyś było jednak inaczej. Ja może nie byłem taki spokojny jako chłopiec. Raz ksiądz Paweł Tawer, pochodzący z tej parafii, z Posejn, przygotowywał mnie do pierwszej

komunii. Ustawił nas wkoło kościoła, na cmentarzu, parami i po prostu katechizował. Trzeba było mieć ręce złożone. Ja jakoś tak te ręce nie bardzo miałem złożone. On podszedł z tyłu i jak mnie taką strzałką, taką suchą laską, nie trzasnął po rękach i powiada: „Tak się ręce składa”. I pokazał. Do dzisiaj, kiedy czterdzieści jeden lat jestem kapłanem i mam złe ręce złożone, to od razu przypomina mi się tamten fakt. Bardzo skuteczne.

Później w piątej klasie, a mała szkółka była i klasy mieliśmy łączone piąta z szóstą, trzecia z czwartą, ja ze starszym bratem siedziałem w ławce. Nauczyciel zajmował się starszą klasą, coś tam jej zadał, a ja uszczypnąłem brata, bo o coś poszło; uszczypnąłem go za udo i ten krzyknął na cały głos. Nauczyciel złapał cyrkiel z tablicy, ten który służył jako pomoc szkolna, i zamiast tam gdzie nit jest w cyrkle, to on tym motylkiem wymierzył mnie dwie łapy, a zasolił cztery. Najpierw w jedną rękę uderzył, ścisnąłem ją, później w drugą rękę uderzył, ścisnąłem ją; kazał otworzyć lewą rękę, ja otworzyłem, i krew do góry poszła, później drugą rękę, krew do góry, a potem już zaczął zawijać mi ręce. Bałem się do rodziców iść, bo szkoła była obok. Bałem się, że od ojca jeszcze poprawkę dostanę, za to, że nie zachowałem się tak jak należy. Po lekcjach nauczyciel poszedł ze mną do rodziców, żeby się wytłumaczyć. Najpierw mnie opatrzył, pozawijał te ręce i powiedział, że „on się dobrze uczy, nie mam do niego nic, ale wtedy się zdenerwowałem”. Ojciec na to powiedział, że nic nie szkodzi, zagoi się, a syn będzie o tym pamiętał. Zarówno na prymicji, czyli na mojej pierwszej mszy świętej, na tym przyjęciu po niej i nauczyciel, i ksiądz wspomnieli ten fakt i powiedzieli, że chyba oni przyczynili się do tego, że zostałem księdzem. Ja po prawdzie później przy swoich podziękowaniach powiedziałem, że będę to pamiętał, i pamiętam to do dziś. Ale nie mam do nich żadnych pretensji, bo wiedziałem, że sprawiedliwie to zrobili. I w sumie to jestem zwolennikiem tego, aby trochę karność było i w domu, i w szkole, no bo widzimy, co się w tej chwili w szkole dzieje. To znaczy, żeby nie znęcać się, ale słusznie jakoś ukarać, w ten czy w inny sposób.

Jak powiedziałem, podstawówkę skończyłem w 1957 roku i w tym samym roku udałem się do średniej szkoły. Ta przeleciała mi sprawnie, byłem prymusem. Jak poszedłem do miasta, to się trochę zmieniło, bo miejskie dzieci były lepiej przygotowane. I język mój był wiejski, więc nieco gorzej szło, ale na trójkach jechałem i czasem czwórka się pojawiała. Ale kiedy pojechałem zdawać egzamin do średniej szkoły, dwaj profesorzy przesłuchiwali dziewczynę, bo egzamin był ustny, i czego ona nie wiedziała, to mnie pytali, a na końcu okazało się, że jej i mnie kazali wyjść. Kiedy wychodziłem, to oni tam do siebie powiadali: „no, na piwo zarobił”. I przyjechałem do domu zmartwiony, że nie zdałem, bo tylko na piwo

zarobiłem, nie na szkołę. A oni tak sobie jeden do drugiego mówili, że skoro na piwo zarobił, to znaczy że dobrze poszło.

Wracam jeszcze do tej wczesnej młodości. Od najmłodszych lat miałem jakieś zacięcie w kierunku kapłaństwa. Objawiało się to tak, że jak kiedyś na wsiach dzieci pasły krowy, i ja z nimi, to tam spowiadałem ich, mszę odprawiałem, kazania głosiłem, oczywiście bawiliśmy się. Kiedy byłem w domu, to miałem ulubione miejsce swoich zabaw. Budowałem tam kościółki z gliny i dachy robiłem, a one przewracały się. No i we wsi nazywali mnie nie inaczej, tylko „ksiądz”.

Gdy kończyła się średnia szkoła, to cały czas ta myśl o kapłaństwie we mnie była. Chociaż jak poszedłem w świat, to trochę mi to odeszło. Ale kiedy matura się zbliżała, to sobie myślę tak: cały czas mnie nazywali ksiądz, to chyba już taki mój los. Poszedłem do swojego katechety, który mnie uczył w Kolnie religii (wtedy w liceum przez jakiś czas była), i radzę się jego, co mam robić, bo mam takie myśli i takie chęci. A on powiada, że „byś był głupi, żebyś szedł na księdza, bo to nie jest takie łatwe i proste. Mówię ci to jako doświadczony wikary”. Ale ja jego nie posłuchałem. Głos wewnętrzny był silniejszy, niż to że on mi odradzał. Tak że nie zwiódł mnie z tej drogi. Ale w tamtych czasach komunistycznych nie można było powiedzieć, że wybieram się na księdza, a przed maturą trzeba było już mówić, gdzie się idzie. Miałem brata w Gdyni, pracował w porcie, i bez przerwy mnie namawiał, żebym poszedł do morskiej szkoły na marynarza. Więc złożyłem papiery do seminarium, a wcześniej właśnie do Wyższej Szkoły Morskiej z myślą, że ja tam i tak nie pójde, ale chciałem zadośćuczynić wymaganiom szkoły. Wezwali mnie na egzaminy na tą szkołę morską. Pomyślałem: brat jest tam, pojadę, odwiedzę, spróbuję swoich sił, bez jakiegoś strachu. I o dziwo, mimo że tam było wielu kandydatów na jedno miejsce, ja swobodnie się czułem i zdałem. Co więcej, przyjęli mnie do tej szkoły. I teraz mam dylemat: tu otwartą drogę w kierunku świeckim, co było marzeniem wszystkich, a tu jednak postanowienie, że pójde do seminarium.

Może nie powinienem tego mówić, ale to ciekawostki takie. Wracam ja po maturze, wiozę świadectwo maturalne, nic więcej, z Kolna do domu. Nie miałem ani złotówki, wstydziłem się od kogoś pożyczać na autobus. Dwadzieścia kilometrów, pomyślałem sobie, przejadę na gapę, może mi się uda. Wsiadłem do autobusu, przejechałem jakieś dziesięć kilometrów, i akurat... kontrola. Ja w strachu, udaję, że śpiący jestem. Podchodzi do mnie kontroler i mówi: „Kolego, bilet!”. Ja szukam, że niby kupiłem i gdzieś się zawieruszył. On zażądał ode mnie kary. Ja na to mówię, że nie mam ani złotówki. Wezwali milicję ze Szczuczyna i przewieźli mnie na posterunek. A tam milicjant czekał już na mnie. Nie wiem, czy szukali kogoś, co uciekł

z jakiegoś tam więzienia czy domu poprawczego... No i mnie tam zbadali. Ja wtedy strasznie to przeżyłem. I sobie myślę: jeśli mnie już teraz milicja prowadzi, to co ze mną będzie dalej? Może to jakiś palec boży, który mnie doświadczył, żebym nie miał już żadnych wątpliwości, gdzie mam iść? Zaprowadzili mnie, teczkę otworzyli, patrzą – matura. Mówią: „Aaa, to maturzysta, pewnie pieniądze wszystkie przepuścił po maturze i nie miał za co jechać”. Ja mówię: taka prawda, nie miałem za co jechać, to na gapę jechałem. Już im się przyznałem i puścili mnie z powrotem. No i wracam teraz pieszo, dwanaście kilometrów do domu. A po drodze do mojego domu rodzinnego jest parafia Niedźwiadna. I wtedy w mojej głowie snuły się różne myśli. I postanawiam, że po drodze zajdę do proboszcza i nie przyznam się co było, ale poproszę o metrykę chrztu i opinię o rodzicach. Bo to się składa do seminarium, a najpierw zawiozłem tam podanie. No i proboszcz wydał mi to wszystko. Na drugi dzień – rodzicom nic nie mówiłem – pojechałem do Łomży i dowiozłem resztę papierów. Przed wyjazdem oznajmiłem rodzicom, że idę do seminarium. Natomiast z Wyższej Szkoły Morskiej odesłali mi papiery, oczywiście z obstawką, że zająłem miejsce, gdy tylu było chętnych. Bo mieliśmy już w wakacje płynąć na „Darze Pomorza” do Leningradu, ale że nie pojechałem, więc odesłali papiery i napisali, że tak się nie robi, że jak się zdaje i się jest przyjętym, to się idzie do tej szkoły. No ale poszedłem do seminarium.

Przed księdzem otwierały się dwie tak różne drogi. Przecież bycie marynarzem to jest jedna wielka ustawiczna podróż?!

Ksiądz Kazimierz Gacki. Fot. Michał Moniuszko



Ale wie pani, one mają coś ze sobą wspólnego, te dwie drogi. Chodzi tu o życie w samotności, ale w takiej – bez rodziny. No, w każdym razie poszedłem tą jedną drogą.

Chociaż na początku w seminarium – teraz to inaczej tam jest – kiedy się wyszło na ogród, stał mur wysoki, okolony drutem jak w obozie koncentracyjnym. Miałem na roku kolegę i my tak sobie rozważaliśmy wtedy, i do siebie w skrytości mówiliśmy, żeby tak wojna wybuchła i rozwiązali seminarium, to chyba byśmy tu nie wrócili. A później, to się z tego śmialiśmy. No bo te pierwsze dni były takie zamknięte, wszędzie cisza, nie wolno ani słowa do nikogo powiedzieć, rekolekcje. Potem weszło się w ten rygor, który na początku było trudno znieść. Później wszystko stawało się lekkie i człowiek tego nie dostrzegał. Muru nie dostrzegał, drutów i tych rygorów seminaryjnych. W seminarium szło mi bardzo dobrze, bo tam nie trzeba nic innego robić, tylko się uczyć. Do miasta się wychodziło za specjalnym pozwoleniem, zwalniało się, wpisywało się do księgi wyjść – kiedy wychodzę i kiedy przychodzę. Samemu nie można było wyjść, tylko we dwóch. Jak wybierałem się na pogrzeb tego brata, który w kierat się wkręcił, to też musiałem jechać z socjuszem, kolegą.

Wróć jeszcze na chwilę do tego kolegi, z którym tak myśleliśmy o wojnie. On wcześniej skończył liceum i poszedł na sekretarza do notariusza. Mojej matki rodzona siostra przyjechała z Brazylii, no i matka chciała sprawy majątkowe uregulować. Pojechały do Kolna, żeby ta ciocia na nią przepisała swoją część. Ja też pojechałem – już jako chłopiec dorastający, jeszcze przed maturą, ale chyba w ostatniej klasie. I ten kolega pisze na maszynie, a mama do mnie mówi: „Żebyś ty dzieciaku się tak wyuczył, jak ten pan”. Okazało się jednak, że razem poszliśmy... Ja wstąpiłem do seminarium, a on razem ze mną. To był kolega z Lechowa i on też został księdzem. Tak więc życzenie matki spełniło się, tylko trochę inaczej.

Ale jest ksiądz jedyiny w rodzinie?

Tak, jestem jeden. Najstarszy brat całe życie w Gdyni mieszkał, drugi w Gdańsku był profesorem na uniwersytecie, on i żona. Jak doszło do zamieszek, to wyjechał niby na naukowe spotkania do Francji i stamtąd nie wrócił. Później, po roku, zabrał żonę z dzieckiem. Z Francji przenieśli się do Ameryki i tam przez czternaście lat pracowali. Wrócili z Ameryki, kupili sobie mieszkanie w Gdyni i pogeosowski hotel w Stebnie, no i ten hotel wyszykowali. Teraz to tak u nich bywa, że cały sezon letni mieszkają w Polsce, prowadzą hotel i restaurację, pięknie, przy samym morzu. A potem wyjeżdżają do Stanów. Jedną córkę mieli, ona tam mieszka i jest nauczycielką.

To jest trzeci po mnie brat. A starszy ode mnie na gospodarstwie mieszkał, pracował, teraz jest na emeryturze. Syn jego gospodarzy, a póki co jego córka jest u mnie za gospodynię.

Każdemu z was przypadł zupełnie inny los. Bardzo mało jest w tym wspólnego. Najczęściej w rodzinie dzieci idą tą samą drogą.

Jak odchodziłem z domu, to się urodził brat, co teraz gospodarzy po rodzicach. I jako że ja nazywam się Kazik, to i jego, żeby była ciągłość, nazwali Kazik. No i jak ja tam kiedyś pojechałem, a on już taki chłopiec był, to namawiałem go na księdza. No to mi obiecał. Ale później, jak był z ojcem na polu, to mu powiedział: „Tatusiu, ja tym księdzem to nie będę”. A ojciec na to: „No, trudno”. Pojechałem kiedyś do nich w odwiedzin, a ten brat przychodzi do mnie i mówi: „Słuchaj, już po moim księdzu”. Zrezygnował. Ja powiadam do niego: „Teraz? Jak ty naobiecowałeś, ja cię do biskupa zapisałem, a ty zrezygnujesz z tego? Jak ja wyglądać będę wobec biskupa?”. On tak szczerwienił i mówi: „No to trudno, to już będę”. A teraz ma żonę i dzieci, dobrze gospodarzy, jest do kogo zajechać.

Rodzice nie żyją. Ojciec zmarł w 1984, matka w 1999 roku. Ojciec 82 lata miał jak zmarł, mama równo dziewięćdziesiąt. Jeśli chodzi o rodziców, to nigdy mnie nie ukarali. Nie pamiętam, żeby ojciec czy matka mnie kiedykolwiek uderzyli. Jeśli bałem się, to tylko spojrzenia ojca, który czasem za pasek złapał, ale tego paska nie rozpiął do bicia. Ale utrzymywali nas w karności. Ponieważ byliśmy wszyscy chłopcami, to matka uczyła nas gotować, prać, obierać ziemniaki, zamiatać, sprzątać. Każdy z nas, tak jak dziewczyna, wszystko może zrobić. Będąc w średniej szkole, na stacji przez cztery lata gotowałem sobie jedzenie, żyłem na własnym rozrachunku. Były to czasy trudne. Matka na niedziele przyjeżdżała rowerem, to brała mięsa podsuszonego na bagażnik i chleba blachę, do tego człowiek śledzie kupił, i tak się żyło. Biednie było. Uczyło się nas dwóch od razu, a gospodarstwo duże, chowało się tylko jedną krowę, bo wszystko zabierano; obowiązkowe dostawy były – mięsa, mleka i tak dalej.

Czyli wszystkich kształcić nawet nie było jak?

Tak. To znaczy z czterech nas żyjących trzech skończyło szkoły. Jeden profesorem uniwersytetu został, ja księdzem, trzeci skończył średnią szkołę i w porcie pracował. Rodzice nauczyli nas pracowitości, co podkreśliłem na pogrzebie ojca i matki. Nauczyli nas kochać pracę. Wszyscy są zapaleni do roboty, takiej czy innej, i na jakim tam stanowisku by się nie znaleźli. To trzeba im przyznać. Kochać pracę, porządek mieć wokół tego, co robię, to należy przypisać rodzicom, i to dobrym rodzicom.

No i skończyła się szkoła średnia. Na trójczkach, ale i kilka czwórek na osłode. Z matematyki czwórkę, z biologii czwórkę pamiętam. I jeszcze z czegoś tam, ale poza tym trójczki. W seminarium za to już same piątki, ale to dlatego, że człowiek ustawiał się w jednym kierunku. Nie było co innego robić, tylko się uczyć.

W 1967 roku otrzymałem święcenia w Łomży z rąk księdza biskupa Czesława Falkowskiego. No i od razu po wakacjach na pierwszą parafię poszedłem do Kleczkowa; była to wtedy diecezja łomżyńska, dekanat ostrołęcki. I od razu, tak jak w seminarium mówiono, jesteś *alter Christus* to znaczy drugi Chrystus, jak każdy kapłan. Zostałem zimną wodą obłany, kiedy się zgłosiłem do proboszcza. Miałem być pierwszym wikarym w jego proboszczowaniu, lecz on nie chciał wikarego. Dalej chciał być sam. No więc zajechałem tam i on do mnie: „Proszę księdza, zgłosił się ksiądz, ale mi nie jest potrzebny”. Ja mówię: „Ale mnie tu przysłali i tu dekret jest. No ale skoro księdzu proboszczowi nie jestem potrzebny, to wracam do biskupa, jak mnie da gdzie indziej, to pojedę dalej”. I ja się pytam: „Proszę księdza, to gdzie ja będę mieszkał?” A on powiada: „Jest taka ochronka, przedwojenna, nieotwierana była od wojny, trzeba przetrząść kłódkę i wejść”. Zaszedłem tam, i nie to, że było zagrzybione, ale grzyby rosły jak takie papucie na ścianach.

Ile ksiądz wtedy miał lat?

Dwadzieścia pięć. I zabrałem się sam do remontu. Nikogo przecież nie znałem. Ponieważ od młodych lat murarstwem się zajmowałem i te kościoły budowałem, więc zacząłem tynki zbijać i trochę wapnem pobielilem. Nie przyszedłem do parafii z pieniędzmi, musiałem wszystko zorganizować sobie sam. Zaszedłem do proboszcza i pytam, na czym będę spał? On mówi: „W stodole leży tapczan wyrzucony i tam kury jajka niosą. Pokrywa jest odwrócona sprężynami do góry”. Ja tam poszedłem, patrzę, tak, rzeczywiście. To wymyłem to wszystko, wziąłem koc i obszyłem nim dookoła. Przychodzi jesień, nie ma ogrzewania. Znowu pytam proboszcza, czym ja będę grzał? A on na to: „To już księdza sprawa”. Chodziłem po wsi i pytałem, czy ktoś jakiś piecyk ma albo kozę żelazną. No i ktoś mi dał taki piecyk kaflami wyłożony. Były rekolekcje, przyjechał dziekan w odwiedzinę; ja w nim napaliłem, a tam – zatkane. Kawki pozatykały. Dziekan przyszedł, a w tym mieszkaniu tylko dym był. Dwa lata siedziałem w tej parafii. Proboszcz, jako że na dietce, więc tylko jajka gotowane, jajka sadzone, jajka mielone... Kiedyś przyjechał kolega, starszy trochę ode mnie, i mówi: „Proboszczu, nie dawajcie mu tych jaj, bo on zaczyna pisać”. Kiedyś kupiła gospodyni kawałek kiełbasy i żeby mi obrzydzić to mięso, powiedziała, że się nie nadaje, trzeba wyrzucić i psom oddać. Ja mówię: „Pani da mi tą kiełbasę, ja chętnie zjem”.

Początek mojego kapłaństwa był więc bardzo trudny i wymagający samozaparć. Wtedy nic nie było – ubikacji nie było, to ja sam robiłem. Teraz, żeby wikary przyszedł i proboszcz zaproponował mu takie życie, to albo rzuciłby od razu kapłaństwo, albo pojechałby do biskupa. Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. A kiedyś człowieka uczono żyć w posłuszeństwie i w pokorze, dlatego się wydawało, że tak musi być.

Później poszedłem do drugiej parafii: Puchały, w kierunku Białegostoku. To była rodzinna parafia księdza biskupa Mikołaja Sasinowskiego. Jakoś tak upodobał sobie mnie i pracowałem w niej trzynaście i pół roku jako wikaryusz. W historii diecezji nigdy to się nie zdarzało, żeby wikary był tyle lat. Ale jednocześnie budowałem trzy kościoły. Parafię podzielono na trzy części, bo od wielu, wielu lat były takie zamysły. Jakiś czas po wojnie złożone zostały do wydziału wyznań wnioski o budowę trzech kościołów. Kiedy ponawialiśmy prośby, żeby dali pozwolenie na kościół w siedzibie parafii w Puchałach, to oni od razu nam dali na wszystkie trzy. „Zaduście się – powiadają – nie dacie rady i tak”. Ale biskup mówi: „Trudno, bierzemy”. A że proboszcz był starszy, tak po sześćdziesiątce, mniej więcej w moim dzisiaj wieku, więc biskup mnie to zlecił. Ale i tak na proboszcza wszystko szło, on odbierał pochwały, a ja byłem takim wołem roboczym. Ale żyliśmy z nim dobrze i jak do urzędu szliśmy w Zambrowie – bo to był powiat zambrowski – to urzędnicy, widząc jednego, mówią: „A gdzie drugi?” No bo my zawsze w parze chodziliśmy. Także później przyszedł tam drugi proboszcz, z jednym byłem cztery i pół roku, z drugim osiem i pół. Ten pierwszy, ksiądz Żułchowski, odszedł na emeryturę. Po nim przyszedł ksiądz Godlewski, kursowy kolega biskupa, który chciał go trochę wywyższyć po takiej maleńkiej parafii, w jakiej był, i dał do swojej, ale do budowy kościoła to on już się nie nadawał. Więc ja trzy kościoły jednocześnie budowałem. W lato szukałem materiału, o pieniądze nie było trudno, bo ludzie byli zamożni, ale po materiały po świecie trzeba było jeździć, prosić, błagać. Przydziału na cement nie dawali, więc ludzie brali na przykład po tonie, niby na siebie, a tu oddawali.

Trzynaście i pół roku tam byłem. Wspominam to bardzo dobrze, bo człowiek był młody, razem z chłopami się robiło, taczki ciągało, pracowałem tam jak robotnik. Ale budowało się sposobem gospodarczym. Brało się na dniówkę murarzy, ludzie ze wsi przychodzili do roboty, musiało się przy nich być. Jeśli się było, to szła robota, jeśli nie, to murarze nie gnali, bo i tak pensje dostaną. Jechało się na jedną budowę, jechało się na drugą i na trzecią. Kiedy odchodziłem, to jeden kościół był wykończony, konsekrowany, drugi kościół już z zewnątrz wyszykowany (tam odbył się pogrzeb proboszcza), a trzeci został tylko do pokrycia. Jak proboszcz umarł, byłem

przez kilka miesięcy administratorem, od października do czerwca. A po mnie przyszedł do Puchał ksiądz Wysocki z wikariusza na proboszcza (w swoim czasie był wikariuszem w Sejnach). Ja poszedłem na proboszcza do Smolnik, za Suwałkami. Byłem tam cztery lata, sam, na niewielkiej parafii, w środku Suwalskiego Parku Krajobrazowego. Wspominam to bardzo dobrze.

Miałem taką gosposię, babcię osiemdziesięcioletnią. Ja prowadziłem gospodarstwo, ona mnie pomagała. Jak szła kosić, powiedzmy, dla świni kosa, to później niosła wór duży do domu. A ludzie powiadają: „Gospodyni księdza to po kapitalnym remoncie”. No i po czterech latach dostałem dekret do Rajgrodu, ona poszła ze mną. Ale tam dwóch wikarych, już nie byłem sam, trochę się obawiała i wzięłem gospodynię stamtąd. Do Rajgrodu przyszły obie. Ta babcia pożyła jeszcze z pół roku i umarła. Siedem lat tam byłem i muszę powiedzieć: zrobiłem wielkie innowacje. Podniosłem drugi kościół, piękny, z daleka górują jego wieże. W czasie wojny były strącone, wybudowałem te wieże takie same jak były, na podstawie zdjęć, które się zachowały. Przeprowadziłem kapitalny remont kościoła – odnowienie całej elewacji, wymiana posadzki, malowanie wnętrza. Kiedy już tak z grubsza wszystko zrobiłem i cmentarze poporządkowałem, to tak sobie w ciszy pomyślałem: co ja teraz będę robił?

No i biskup Wojciech Ziemia, akurat jechał gdzieś dalej, do mnie zajechał i powiedział: „Proszę księdza, a co ksiądz na to, gdybym zaproponował mu przejście do Sejn na proboszcza, ale to dopiero na wiosnę, bo proboszcz w Sejnach jeszcze jest, brakuje mu kilku miesięcy do trzydziestu lat proboszczowania. Niech ksiądz przez zimę przemyśli, pojedzie i obejrzy te Sejny i mi powie czy zgodzi się, czy nie zgodzi. Upatrzyłem sobie księdza na Sejny, bo tam są dwa problemy, z którymi musi się zmierzyć. Jeden to sprawa litewska – parafia jest dwunarodowościowa – i to trzeba mieć na uwadze – o wiele trudniejsza niż jednonarodowościowa. A druga trudność to ta, że tam trzeba remonty przeprowadzać. Ale z pierwszą sprawą ksiądz sobie jakoś poradzi, powiedzmy z Polakami i z Litwinami w łączności, bo jest ksiądz miękki i ma podejście do ludzi. Natomiast druga sprawa – z nią nie będzie trudności, no bo ksiądz ma w tym wielkie doświadczenie. Ale to na wiosnę”. I pojechał. Ja nie powiedziałem ani tak, ani nie, bo nie znałem tych Sejn, ale wzięłem to pod uwagę.

Wtedy akurat ksiądz prałat Stanisław Rogowski pojechał do sanatorium w Druskiennikach. Tam zachorował. Przywieźli go do szpitala w Suwałkach, no i wiadomo, że choroba ciężka go spotkała, zapomniał wszystko, nie wiedział, jak się nazywa i jak się podpisać. No i znaleźć trzeba było jak najszybciej nowego proboszcza. Zadzwoiłem do biskupa Edwarda Samsela,

bo zaczęli już mówić o nowym proboszczu, że będzie dekret. I mówię do niego, że kiedyś biskup mnie pytał czy ja do Sejn pójde, więc czy będzie mnie pytał, czy kogoś innego. A on powiada: „A jak powiedziałeś?”. Ja mówię, że nie odpowiedziałem ani tak, ani nie. A on do mnie: „Jak nie powiedziałeś nie, to znaczy że biskup da ci dekret”.

I przeszedłem tu, do Sejn. Pierwszego listopada 1993 roku. Ale wcześniej – to było w ciągu tygodnia – w środę otrzymałem dekret, a w poniedziałek na Wszystkich Świętych miałem przyjechać. No i przyjechałem tu trochę obejrzeć teren, z wikarymi porozmawiać. Ksiądz Artur, który był tu wikarym i takim tymczasowym administratorem, dzwoni do kurii, do kanclerza, i pyta, kto przyjdzie na proboszcza. Ja kanclerzowi pokazuję, bo w tym czasie u niego byłem, żeby nie mówił. Więc on powiedział, że „przyjedzie w niedzielę, to się dowiecie”. Przyjechałem zaraz wieczorem, oni październikowe odprawili i u któregoś wikarego się zebrali. No i zaczęły się rozmowy o kalendarzach, bo ja byłem szefem od rolnictwa w diecezji i te kalendarze rolnicze rozdawałem. Oni nie podejrzewali i myśleli, że ja przyjeżdżam tylko kalendarze rozdać. Rozmawiamy więc o tym i o tamtym i mówię: „Tak właściwie to was jest trzech, czy wam potrzebny proboszcz?” Nie powiem, jak jeden z nich powiedział, ale powiedział dosadnie. To było w środę, a ja w niedzielę wieczorem przyjeżdżam. Konsternacja. Przeżyliśmy te „wszystkie święte” przed południem, a oni mi kolację urządzili, tak żeby mnie przeprosić za to przyjęcie takie nieciekawe. Ale nie miałem im tego za złe. To ja podsunąłem im wtedy takie pytanie, bo wiedziałem, co padnie. To taka prowokacja. Nie myślałem, że tak dosadnie.

No i tu przyszedłem. Wszystko uroczyste, powitanie, ksiądz biskup Samsel ze mną przyjechał, a właściwie przybył na jedną z mszy świętych. Ja się przedstawiłem, powiedziałem, jakie mam zalety, jakie mam wady. Wady to wyliczyłem, „a zalety to poznacie w trakcie mego pobytu” – zakończyłem. Na wszystkich mszach świętych witałem ludzi, bo było ich dużo, najpierw na mszy, później na cmentarzu. No i rozpoczęło się normalne życie.

Jak ksiądz wspomina te pierwsze dni w nowej parafii?

Jeśli już tak zupełnie do końca mam być szczery, to pierwsze miesiące mego pobytu w Sejnach nie podobały mi się. Muszę to powiedzieć, że w Rajgrodzie czy w Puchałach koło Łomży, gdzie przebywałem trzynaście lat, i tu w Sejnach mieszkają w ogóle inni ludzie. I ja to mówiłem w pierwszą niedzielę jak przyszedłem, że naprawdę nie wiem dlaczego, ale jesteście inni. Może te lasy was oddzielają i życie swoim życiem, odmiennym niż gdzie indziej. Czym się to objawiało? Nawet może nie brakiem zainteresowania, ale z jakąś życzliwością należałoby przyjąć tego nowego proboszcza, a tu

co rusz to anonim, zrażający mnie do pobytu. Teraz to bym ich nie czytał, a wyrzucał to kosza. Ale wtedy to człowieka bolało. Ja nie musiałem być w tej parafii. W każdej chwili mogłem iść na inną, równorzędną i nie czytywać tych anonimów. Kiedy jechałem i znalazłem się koło mleczarni, to sobie myślę: po co ja tu przyszedłem?

Ale to wszystko przechodzi z czasem. Człowiek się asymiluje, upodabnia się w ten czy inny sposób do środowiska, w którym się znalazł, i pewne rzeczy przestawały mnie jakoś denerwować, bo trzeba do przodu iść.

No i teraz spotkałem się z tą rzeczywistością: Polacy i Litwini. Nie wiesz, kto Litwin, a kto Polak. Kiedyś przyszedł jakiś człowiek. Rozmawialiśmy i on na te tematy zszedł. Pytał, co ja myślę o Litwinach. Odpowiedziałem mu: „Proszę pana, niezależnie od tego, kim pan jest, jedno jest ważne. Ja jestem proboszczem i Polaków, i Litwinów. I ci, i ci są katolikami, więc powinienem ich traktować jednakowo. A to, że nie znam litewskiego, to oni mi darują, bo ja nie byłem przygotowany na to, żeby zostać proboszczem parafii dwujęzycznej i dwunarodowościowej, i dlatego traktować muszę ich sprawiedliwie”.

Nadeszła moja pierwsza kolęda. Życzyłem sobie, żeby iść do wszystkich Litwinów, do wszystkich wioski kolędować. Wtedy świętej pamięci ksiądz, późniejszy proboszcz w Gibach, nie bardzo chciał, żebym kolędował. Zrobił najpierw zebranie, a później przychodzi do mnie (a był ode mnie o pięć lat młodszy) i powiada: „Idź, oświadczać ci, czy ty będziesz chodził u nich po kolędzie, czy nie”. Bo go prosiłem, żeby z sołtysami spotkanie zrobił. Ja zachodzę i myślę sobie: Matko Boska, żebym ja się nie zdenerwował, żebym się jakoś zachował, bo jeśli nie wyjdzie, to oni mnie od razu nadadzą. Ale wchodzę do nich z uśmiechem i mówię: „Panowie, wiecie, kim ja jestem?”. „No, wiemy”. „No ale kim?”. „No, proboszczem”. „No, a wiecie, że jestem proboszczem Polaków, Litwinów, wszystkich?”. „No, wiemy”. „Ale ja przez księdza Zenona Parakiewicza zaproponowałem, że chcę u was kolędować. U was jako mniejszości dowiedzieć się, co w trawie piszczy, czego chcecie, jakie macie pragnienia, żeby później nie błędzić”. „No tak, ale zawsze u nas kolędował wikary litewski i byśmy dalej chcieli, żeby on był”. Ja na to: „Słuchajcie! Z wikariuszem to jest tak, że dziś tu jest, a jutro go nie ma. A zanoszą się na to, że ksiądz Parakiewicz niedługo odejdzie z tej parafii i zostaniecie ze mną. Jeśli wy nie chcecie mnie przyjmować w swoich domach, to znaczy że wyłamujecie się spod mojego rządzenia tą parafią. I jeśli ja nie będę w waszych domach, to znaczy że zwalniamie mnie z odpowiedzialności za was. Bo zrezygnowaliście ze mnie”. No i tak im tam wykładam i wykładam. „To może nasz ksiądz parafialny nas w błąd wprowadził, niech by i ksiądz kolędował”. „To teraz idźcie, niech

ktoś zawoła księdza Parakiewicza, i oświadczyć jemu, że chcecie, żeby proboszcz u was pierwszą kolędą kolędował. Ja nie będę was później męczył, pójdę gdzie indziej, ale teraz pierwszą kolędą chcę mieć u was”. I któryś z nich poszedł i go zawołał. Jeden z sołtysów wstał i powiedział: „Proszę księdza, to nie tak jak żeśmy ustalali. Jednak my chcemy, żeby proboszcz u nas kolędował w tym roku”. No i skończyło się na tym.

Na następną niedzielę Litwini przyszedli do mnie z kwiatami. Jeszcze posiedzieli po tym zebraniu i zapraszają mnie na kolędę. No i jak ja zacząłem kolędować po litewskich wioskach, to Polacy mówią, że przyszedł jakiś przekupiony, bo tylko Litwinami się zajmuje. Ale wioski skolędowałem, no i w miasto wszedłem.

No i jakoś oni wszyscy mnie poznali. Umiałem tylko po litewsku: „Niech będzie pochwalony”, a wychodząc: „Sudievu”, co znaczy: z Panem Bogiem. No i to im wystarczyło. Nawet nauczycielka pyta w Ogrodnikach, jaki ksiądz kolęduje. A dziewczynka na to: „Ten, co mówi po litewsku”, bo ja ją spytałem o *Ojciec nasz...* po litewsku. No i ja zachodzę do tej nauczycielki, a ona mówi: „O, to proboszcz kolęduje, a dziewczyna mi mówiła, że ten, co mówi po litewsku”. Ja na to, że tylko pytałem o *Ojciec nasz...* po litewsku.

Na dużo pozwoliłem, na pasterkę, na wszystkie nabożeństwa, jak Droga krzyżowa czy Gorzkie żale. Mnie to nie przeszkadza. Jest czas, nie wchodzi w kolizję z polskimi – módlcie się! O ile z moim poprzednikiem im się nie układało, o tyle ze mną dobrze. Poświadcza to fakt, że nawet zaprosili mnie Litwini na odpust do Żegar. Na ostatni odpust, choć ja tam jeżdżę co niedziela. Pożegnanie, kwiaty. Kiedy przyszedli mnie zapraszać, pytają: „To ksiądz odchodzi?”. „Tak, odchodzę”. Patrzą, a tu łzy lecą kobiecie. Mówi: „A to nie wiadomo, kto przyjdzie. Może znowu tak będzie, jak za księdza Rogowskiego”. Nie, mówię, teraz czasy się zmieniły i już inaczej będzie. Na pewno będzie dobrze. Jeśli kiedykolwiek odbywała się jakaś uroczystość litewska, a ja mogłem czy nie mogłem na niej być, to zaproszenie przychodziło. Pokonałem ten problem. Zaprosiłem na pożegnalną mszę chór litewski. A msze będą dwie. Po prostu nie chcę się na siedmiu mszach żegnać.

Nikogo nie można zmusić ani do miłości, ani do nienawiści. Chociaż ja powiem, że starałem się zawsze łączyć.

Najważniejsza u księdza była ta postawa łączenia. Pamiętamy bardzo dobrze, kiedy po raz pierwszy ktoś się upomniał o sprawę Żydów w Sejnach. A przecież kiedyś było to miasto też żydowskie. W pewnym momencie problem ten został kompletnie wyparty z historii. I w końcu doszło do odsłonięcia pomnika na cmentarzu żydowskim. To było coś naprawdę nadzwyczajnego, kiedy ksiądz z takim szacunkiem pomodlił się po żydowsku.

To dla mnie była naprawdę nieprzewidziana okoliczność. Ja tylko powiedziałem *Ojcze nasz* po hebrajsku.

Chodzi tu jednak o pewnego rodzaju wrażliwość i wyczucie. Czasami nawet wystarczy powiedzieć: „Sudievu” w odpowiednim momencie.

Pamiętam, jak pan ambasador Szewach Weiss poprosił mnie o wspólne zapalenie świeczek.

To świadczy o nas w ogóle i o tym, że potrafimy unieść wspólnie sprawę historii, że potrafimy się z tym zmierzyć i mamy do tego wielki szacunek.

Ja pamiętam, że starosta Marian Luto poprosił mnie o modlitwę w intencji tu spoczywających. A mi zaraz przyszło do głowy, że ja przecież mówiłem *Ojcze nasz* po żydowsku. Pamiętałem to jeszcze z seminarium. Uczyliśmy się też greki, co prawda dwa lata, więc za wiele się nie osiągnęło. Ale *Ojcze nasz* każdy musiał umieć.

A może ksiądz powiedzieć teraz?

(i ksiądz mówi)

No, pięknie!

W każdym razie czternaście lat już tu jestem. I odchodzę dlatego, że uznałem, że już czas mnie odejść. Co więcej. Jak chyba w niedzielę odprawiałem mszę, to stwierdziłem na głos, że proboszcz nie powinien być na parafii dłużej niż piętnaście lat. Bo co on zrobi, to gdyby nawet siedział czterdzieści lat, to drugi raz tego nie powtórzy. Bo on uważa, że zrobił, i to dobrze zrobił. A ja już widzę, że i tu, i tam trzeba poprawiać. Chodź robiłem to. Drugi po nim przychodzi, patrzy i ma swoje spojrzenie, i zaczyna poprawiać. Ksiądz Rogowski trzydzieści lat tu pracował. A tu już się waliło to i tamto. Wikary taki był, on teraz w Rutce-Tartak jest proboszczem, i on powiada do księdza Rogowskiego przy śniadaniu, że przyjdzie drugi, to naprawi co tu się wali. A na to ksiądz Rogowski: „No co, przecież tu wszystko zrobione”. Ale zrobione dwadzieścia kilka lat temu. I jak powiedziałem, że dłużej niż piętnaście lat nie można być, i przyszedł ten czas, to trzeba to zrobić konsekwentnie. Cztery lata zostały mi do tej normalnej księdzowskiej emerytury. Bo można do siedemdziesięciu lat, a ja mam sześćdziesiąt sześć. Ale uznałem, że trzeba odpocząć trochę. Życie, jeśli chodzi o pracę, było bardzo intensywne. Ja żadnego urlopu nie miałem. Teraz tylko, od dwóch lat, kiedy nie ma już takiej ciężkiej pracy, to parę razy wziąłem. Ale zawsze to człowiek szkodował, że robota przepadnie i że coś się straci.

Tak, bo przecież prócz tego, że ksiądz ma parafię, to jeszcze jest tu jako gospodarz. No choćby te ogrody i zwierzęta.

Tak, to taka praca na kilku frontach była. A ja od urodzenia, jak mówiliśmy, na księdza miałem powołanie. Ale gdybym nie poszedł do seminarium, to mam umiłowanie do ziemi. Ziemia mi pachnie. Już teraz, kiedy idę na emeryturę, wykopałem w trawie ogródek, wyrwałem ją, i już mi tam ogóreczki rosną, ziemniaczki. I ja tym się cieszę. A więc rolnikiem to chyba byłbym dobrym.

Inne moje zamiłowanie to krawiectwo. Mnie tam nigdy gospodyni nie przyszywała guzika i nie cerowała, bo ja to sam robiłem. Także malarz pokojowy nigdy nic nie robił na plebanii, bo ja to sam robiłem. Zarabiałem kiedyś w seminarium. Przez wakacje po plebaniach malowałem, żeby dorobić sobie na utrzymanie, bo tak jak mówiłem, te czasy były ciężkie dla rodziców. A jeszcze do tego mój młodszy brat, który teraz jest profesorem na uniwersytecie i prowadzi hotel i restaurację, jak przyjechał ze szkoły, to kładł się na ziemię, płakał, tarzał się i mówił, że on nie pojedzie, bo mu trzeba pieniędzy. A mnie szkoda było się upominać u rodziców o pieniądze, bo wiedziałem, że oni tych pieniędzy nie mają. Trzeba było szukać gdzie indziej. Dlatego dorabiałem. W seminarium byłem, to seminarium malowałem.

A pamięta ksiądz swoich profesorów z seminarium? Takich, których się pamięta – ich słowa, myśli, postępowanie czy sposób nauczania.

Wszystkich doskonale pamiętam. Pamiętam księdza Wierzbickiego, który dosyć niedawno umarł, a pochodził z Rajgrodu, czyli sąsiad plebanii. On nas często ganiał za popalanie papierosków, bo z zasady nie można było palić w seminarium, dlatego że rektor, zagorzały palacz, rzucił palenie już jako starszy ksiądz. I zawsze powtarzał: „Jeśli ja potrafiłem rzucić palenie, to nie stać na to takiego początkującego kleryka? Co on będzie reprezentować sobą, jeśli nawet nie potrafi rzucić papierosów?”. Ja się namęczyłem i przestałem. Nie wolno się w seminarium nauczyć palenia. To nałóg, nie grzech, ale nałóg. Teraz jest tak, że idziesz i mówisz: jestem palący, a tu: proszę bardzo, tam jest palarnia. Ale za naszych czasów?... Pierwszy rok nie paliłem, bo człowiek bał się, że wyrzucą. A później jak się wszystko poznało, tych co palą i gdzie palą, to przynajmniej jednego papierosa na dzień. I to wtedy, kiedy już się kładło spać, kiedy było wiadomo, że już się nikogo nie spotka, że nikt nie wyczuje. A jak w domu byłem na wakacjach, to się wypalało paczkę. Bo w seminarium to cały dzień człowiek nawet nie pomyślał. Psychika działała. Nie tylko potrzeba fizyczna. Ale żeby tak usnąć bez zapalenia, to nie.

Przypomnę taką fajną opowiastkę. Rektor, ten właśnie palący, miał godzinę wychowawczą z nami, w czwartek po południu. I tam mówił nam

o wszystkich zasadach dobrego zachowania i bardzo dobre, rzeczowe, praktyczne rzeczy. I na przykład tak: „Idę wieczorem z miasta, tak wpół do jedenastej, a tam był przy seminarium plac Sienkiewicza. Idę przez ten plac, patrzę – dym z kominów idzie. A siostry nas obsługiwały i tam gotowały, więc myślę, co one robią o tej porze? Zachodzę ja do kuchni, a tu ciemno i dym leci. No, myślę ja sobie, skąd ten dym? Ale tknęło mnie trochę, żeby zajrzeć jeszcze do pokoju, takim przy zegarze, na środku klatki. Zachodzę, a *dominus clericus* siedzi z papierosem i dmucha do pieca. Zważywszy, że tych kleryków jest sześćdziesięciu siedmiu i każdy z nich puszcza dym do kominów, a kominy są zbiorcze, to stąd te kłęby dymu”. To było fajne, wszyscy się śmiali i on to humorystycznie powiedział. Wszyscy profesorzy fajni byli. Żaden z nich już nie żyje.

Ten Wierzbicki umarł ostatni; prefektem był nad nami, pilnował porządku. Kiedyś, pamiętam, dziesiąta godzina, wszystkie światła musiały być już zagaszone. Podłoga była drewniana wzdłuż pokoiów; jak ktoś stawiał się na placu Sienkiewicza, a on szedł w kapciach, to mu sypali sól na podłogę i to ta sól trzeszczała. Wiadomo było, że idzie prefekt. On szedł, a światła gasły przed nim. Kiedyś, jak usłyszałem ten trzask soli, to ja w butach i w sutannie wskoczyłem pod koldrę. On tylko wszedł i pyta: „A czemu światła nie zgasiłeś?”. A ja mówię, że jeszcze książkę czytałem, ale zaraz wstanę i zgaszę. Innym razem – już na szóstym roku byłem – on wyczuł, że ja palę. Miałem zapasy – w zimowych ubraniach pochowane papierosy. Wracam z kaplicy po mszy świętej porannej, bo po niej szło się łóżko słać i na śniadanie. Przychodzę, a na biurku wszystkie paczki papierosów poskładane. Wiem, że Wierzbicki to zrobił. I jak tu teraz z tego wybrnąć? Schodzę na śniadanie, a on już czeka i mówi: „Do rektora pójdziesz na tłumaczenie”. A ja: „Księżę profesorze, niech ksiądz profesor co zechce, to ze mną zrobi – bije, zabije – ale ja już do rektora to nie pójde. Ja jestem na szóstym roku, po co staro człowieka denerwować i martwić?”. Zdałem się na jego wyrok, ale do rektora nie poszedłem. Jemu zawierzyłem karę nad sobą. On wiedział, że jak zechcę, to i tak będę palił za cztery miesiące, i jak będę chciał, to sam rzucę.

Proszę księdza, a czy są takie rzeczy, które się księdzu nie udały tutaj w parafii?

Jak przyszedłem do Sejn, to moim pierwszym zamiarem i sprawą, którą chciałem zrobić, to był remont klasztoru. I kiedy zacząłem z tym się borykać – okna wstawiać, porządki w środku robić – to napisałem pismo, ale nigdzie nie otrzymałem pomocy. Ludzie dali tylko na to wysprzątanie po te parę złotych. No, a później sobie myślę tak: na klasztor ludzie nie dadzą, więc póki jestem, a klasztoru na razie nie zrobię, to się wezmę za bazylikę.

Ludzie są bardziej odpowiedzialni za nią i na pewno dadzą. Na klasztor mogą dodać, kierując się jakimś patriotyzmem lokalnym. Ale powiadają, że im ten budynek niepotrzebny. Więc nie udało mi się to, że klasztor według zapisów biskupa i moich powinien być już wyszykowany. Ale za to bazylika jest zrobiona.

A jak ksiądz myśli? Co by było najlepsze dla samego klasztoru? On musi być zagospodarowany. Nie wystarczy tylko go odremontować.

Już jest powiedziane, że dom pielgrzyma. To przede wszystkim. Biskup nosił się z zamiarem wybudowania domu pielgrzyma w Studzienicznej, jednak zdecydował, że tu być powinien. Tu bez przerwy ludzie jadą do Wilna i z Wilna. Do Studzienicznej nie jest tak blisko. I tu potrzebny nocleg i msza święta, a później jakaś szkoła, tak jak żeśmy już mówili, jakaś sala konferencyjna, coś w tym rodzaju. Ale to wszystko – jeśli byłyby pieniądze. Pierwsza rzecz to pokryć i otwory zrobić. Niestety, w tym roku odmówili. Chcieliśmy nowe otwory drzwiowe i okienne. A później wewnątrz. Trochę z województwa pieniędzy będzie. Planowany jest też remont wirydarza.

Wcześniej mieliśmy poparcie Jarosława Zielińskiego. No i przyjechał premier Jarosław Kaczyński. No i poszliśmy na kolację. Ja jemu mówię, bo obok niego siedzę, że złożyliśmy wniosek na dwieście siedemdziesiąt tysięcy z hakiem i nie wiadomo, czy dadzą. A on na to: „Proszę księdza, na ile?! Przecież to są grosze”. Ja mówię: „No i co? Pan premier poprze tą sprawę, bo nas by urządziło tyle pieniędzy”. „No pewnie, że poprze” – powiedział. To ja go łapię za rękę i chcę ucałować. Wszyscy oklaski zaczęli bić, na co ja mówię: „Teraz pan premier jest w sidłach, musi jakoś tam poprzeć”. Ale odmówili nam tego. No może za dużo prosiliśmy, bo milion czterysta tysięcy. Pani Barbara Kudrycka, minister szkolnictwa wyższego, była tutaj w klasztorze. Ja do niej napisałem na wiosnę list taki, że się znamy, że pani tu była, niech pani tam przy spotkaniu słówko powie do ministra. Napisała do niego, nie taki urzędowy, lecz normalny list, że zna mnie, że widziała klasztor. Nawet odpis przysłała. No ale nie wyszło. Oni tam, że we wniosku coś źle wypełnione. Ale też gdy chcieli nam dać w zeszłym roku, to dzwonili i mówili: proszę to poprawić, a to dosłać. Jeśli jednoznacznie projekt odpada, to nic nie zrobimy. A złożyć można na wszystko.

Chciałabym jeszcze o jedną rzecz spytać księdza. Jak razem czekaliśmy na przyjazd papieża, to ksiądz go przecież wtedy tutaj zapraszał. Zastanawiałam się, co może się zmienić, jeśli do parafian przyjeżdża papież. Czy może odmienić coś w ludziach, czy może jest to tylko takie jedno, chwilowe wydarzenie?

Może aż tak głęboko by nie zmienił, bo przecież był w tylu miejscach w Polsce. Ale ślad na pewno głęboki by zostawił. Przepłynął chociażby Wigry... Ci ludzie tam pielgrzymują, do klasztoru, do tego człowieka na gospodarstwo jadą. I gdyby tutaj był, to te pielgrzymki i tu by się zaczęły. No ale nie wyszło dlatego, że bardzo dużo ludzi się nagromadziło. Ja to już wiem, z innego źródła. Ludzie się zeszli, a borowcy myśleli, że to papież jedzie i przyjechali sprawdzić, bo życzeniem papieża było zawitać do Sejn. Ale oni wtedy rządili. Papież musiał się poddać ich decyzjom, bo oni byli za niego odpowiedzialni. Powiedzieli, że nie są przygotowani, aby w wolnym dniu od wędrówki papieża chronić. I pojechali inną drogą. Zresztą przywitałem go na Wigrach jako przedstawiciel tej ziemi i jako dziekan. On zawsze mówił: „Sejny, Sejny, tak pamiętam”. Ja w ogóle to trzy razy się widziałem z papieżem: dwa razy w Rzymie, raz na Wigrach. Zawsze prosił pozdrowić Matkę Bożą Sejneńską. Osobiste z nim spotkanie bardzo dużo dawało. Człowiek tracił głowę. Przy nim stawał się taki maleńki wobec jego duchowości. Jak pierwszy raz się spotkałem – pojechałem wtedy z biskupem Paetzem, aby odebrać błogosławieństwa – to prosiłem, żeby i on pobłogosławił. Aż trudno było słowo powiedzieć, bo człowieka zatyka. Skoro spotkanie z nim wywiera taki wpływ na jednego, to i na każdego innego by wywarło. Może z czasem to wszystko by się ulatniało, ale by było. No ale on był. Jak został papieżem, to prosił kardynała Stefana Wyszyńskiego o przyjechanie tutaj i odprawienie mszy świętej w jego intencji przy Matce Bożej i o Jej błogosławieństwo przy pracy apostołskiej. A więc miał to nabożeństwo, tym bardziej że pamiętał także, iż był przy Jej koronacji w 1975 roku.

Proszę powiedzieć, czy to za księdza znalazła się ta cała dokumentacja podominikańska na strychu?

Znaleźli ją studenci uczestniczący w festiwalu organowym. Mieszkali u mnie i zapytali, czy mogą po strychu pochodzić. Pozwoliłem im. I oni tą walizeczkę z dokumentacją znaleźli i przynieśli. Ktoś ją kiedyś postawił w dobrym miejscu, żeby światło jej nie widziało, i dotąd tam stała. Ksiądz Rogowski też o tym nie wiedział. Te dokumenty to jest skarb. W każdym razie ksiądz biskup przychylił się do mojej prośby. W zeszłym roku, kiedy się z nią zwróciłem, powiedział: „Proszę księdza, zaczął ksiądz dach robić, proszę skończyć”. A w tym roku mnie zapytał: „Co ksiądz dalej planuje, czy chce jeszcze popracować?”. Ja mówię: „Ekscelencjo, ja tylko na rok zgodziłem się zostać. Chciałbym teraz odpocząć”. Biskup powiedział, że jeśli chcę, to nie będzie mnie na siłę trzymał. Ale jak tu teraz był, to usłyszałem, że „jak ksiądz chce, to może tu wrócić”. Ja przy parafii stałem; mogę jechać, mogę uczyć, mogę rekolekcje prowadzić, aby tylko chcieć.

No tak, bo tu jest ogromna robota. Bez względu na to, jakim jest się gospodarzem – czy znakomitym, czy nie – to tu ciągle ma się coś do zrobienia. Zadam jeszcze jedno pytanie: czy wie ksiądz, co się stało z resztą zbiorów z gimnazjum świętego Kazimierza? Wiem, że tu są pieczętki.

Tak, ale one były u ludzi, ja ich tu nie miałem. One zostały wśród nich jakoś rozdysponowane.

Pięknie dziękuję księdzu za rozmowę.

Ksiądz prałat Kazimierz Gacki zmarł w 2011 roku. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Rajgrodzie. W środę 30 marca 2011 r. o godz. 18.00 odbyło się przeniesienie trumny z ciałem zmarłego Kapłana z kaplicy cmentarnej do miejscowej świątyni w Rajgrodzie. Tam została odprawiona msza św. połączona z niesporami żałobnymi. Po mszy św. wierni czuwali i modlili się przy trumnie przez całą noc.

W czwartek, dnia 31 marca br. o godz. 12.00 w kościele Narodzenia NMP w Rajgrodzie została odprawiona msza św. żałobna, której przewodniczył Ksiądz Biskup Jerzy Mazur, Ordynariusz Ełcki. Okolicznościową homilię wygłosił Ksiądz Biskup Romuald Kamiński, Biskup Pomocniczy Ełcki. We mszy św. uczestniczyło licznie zgromadzone duchowieństwo z diecezji ełckiej i łomżyńskiej, siostry zakonne, dawni parafianie i znajomi zmarłego Kapłana. Po mszy św. trumna z ciałem śp. księdza Kazimierza została przeniesiona na miejscowy cmentarz parafialny (naprzeciwko kościoła) w Rajgrodzie, gdzie spoczęła obok wejścia do Kaplicy Miłosierdzia Bożego w przygotowanym grobowcu.

ŻYCIORYS KSIĘDZA PRAŁATA MGR KAZIMIERZA GACKIEGO (1942–2011)

Dnia 28 marca Roku Pańskiego 2011, Pan życia i śmierci powołał do wieczności księdza prałata mgr Kazimierza Gackiego, emeryta, a wcześniej wikariusza-ekonomy parafii w Puchałach, proboszcza parafii pw. św. Anny w Smolnikach, Narodzenia NMP w Rajgrodzie i Nawiedzenia NMP w Sejnach. Do końca był Prepozytem Kapituły Kolegiackiej Sejneńsko-Wigierskiej, a wcześniej Kustoszem Sanktuarium Maryjnego w Rajgrodzie i Sejnach, Wicedziekanem i Dziekanem oraz członkiem różnych komisji gremiów diecezjalnych. Ksiądz prałat Kazimierz przeżył służąc Bogu, Kościołowi

i ludziom 69 lat. Ks. Kazimierz Gacki, przyszedł na świat w dniu 4 marca 1942 r. we wsi Chełchy, parafia Niedźwiadna, powiat Kolno. Dzieciństwo spędził w domu rodzinnym, w gronie czterech braci. W 1949 r. rozpoczął edukację szkolną, uczęszczając najpierw do Szkoły Podstawowej w Chełchach i Przyborowie. Następnie uczył się w Liceum Ogólnokształcącym w Kolnie, gdzie złożył egzamin dojrzałości i dnia 27 maja 1961 r. otrzymał świadectwo maturalne. W tym samym roku zgłosił się do Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży, do którego został przyjęty dnia 5 września 1961 r. Po ukończeniu studiów z filozofii i teologii, w dniu 20 maja 1967 r. otrzymał z rąk Księdza Biskupa Czesława Falkowskiego, Biskupa Łomżyńskiego, święcenia kapłańskie. Po święceniach pracował jako wikariusz w parafii w Kleczkowie (1967–1969) i parafii Puchały (1969–1982). W roku 1978, Ksiądz Biskup Mikołaj Sasinowski, Biskup Łomżyński powierzył mu budowę kaplicy dojazdowej w Pruszkach Wielkich, w parafii Puchały, a w roku 1981 – po śmierci ks. kan. Lucjana Godlewskiego, proboszcza w Puchałach – mianował Go wikariuszem-ekonomem tejże parafii. W tym okresie kontynuował On już wcześniej rozpoczętą i nadzorowaną przez siebie budowę nowego kościoła parafialnego w Puchałach. Od dnia 19 czerwca 1982 r. objął probostwo w parafii pw. św. Anny w Smolnikach. W parafii tej zapisał się jako dobry gospodarz, budowniczy i konserwator kościoła oraz plebanii.

Z dniem 30 października 1986 r. został mianowany proboszczem parafii pw. Narodzenia NMP w Rajgrodzie i Kustoszem miejscowego Sanktuarium Maryjnego. Siedem lat później, dnia 30 października 1993 r. został zamianowany Administratorem, a od 20 grudnia 1993 r. Proboszczem parafii pw. Nawiedzenia NMP w Sejnach i jednocześnie Kustoszem Sanktuarium MB Sejneńskiej. Dnia 1 lipca 2008 r. przeszedł na emeryturę i zamieszkał w swoim domu w Rajgrodzie, gdzie udzielał się duszpastersko do ostatnich chwil swego życia. W ubiegłym roku, dnia 17 września, został mianowany Ojcem Duchownym Dekanatu NMP Matki Kościoła w Rajgrodzie. Oprócz tego, ks. Kazimierz Gacki pełnił wiele innych funkcji o charakterze dekanalnym i ogólnodiecezjalnym. W 1983 r. został mianowany Dekanalnym Referentem ds. Duszpasterstwa Rolników w dekanacie suwalskim. Przez dwa lata, od 1986 do 1988 r. pełnił funkcję Dekanalnego Ojca Duchownego w dekanacie Grajewo, a następnie był Wicedziekanem tegoż dekanatu (1988–1992). Przez krótki czas był Członkiem Diecezjalnej Rady ds. Ekonomicznych Diecezji Łomżyńskiej (1992 r.) Po utworzeniu Diecezji Ełckiej został mianowany Dziekanem dekanatu rajgrodzkiego (1992–1993), a w latach 1993–2008 Dziekanem dekanatu w Sejnach. Od czerwca 1992 r. pełnił również funkcję Diecezjalnego Duszpasterza Rolników (1992–1994). Był też Kapłanem Szpitala Miejskiego w Sejnach (1993–2008), Kapłanem Komendy

najpierw Rejonowej a następnie Powiatowej Policji w Sejnach (1995–2008), Kapłanem Straży Pożarnej na obszarze powiatu sejneńskiego (2005–2008), Kapłanem Domu Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. W 1989 r. został mianowany Kanonikiem Honorowym Kapituły Kolegiackiej Sejneńskiej, a w 2001 r. Kapłanem Jego Świątobliwości (prałatem). W strukturach Kapituły Kolegiackiej Sejneńskiej został wybrany Penitencjarzem (1993–2004), a w roku 2004 Prepozytem tejże Kapituły. Był też przedstawicielem Rady Kapłańskiej i wielu innych komitetów. W 2000 r. został nominowany do honorowego tytułu Sejnianina Roku 2000. Ksiądz prałat Kazimierz Gacki zasłużył się w wielu dziedzinach misji i życia Kościoła Chrystusowego. Niewątpliwie był On utożsamiany z dużymi budowlami i remontami obiektów sakralnych. Na budowę i upiększanie Domu Pańskiego nie szczędził czasu, sił i zdolności. W znacznym stopniu przyczynił się do wybudowania kaplicy w Pruszkach W., a później kościoła parafialnego w Puchałach. Zapisał się także jako dobry budowniczy, konserwator i gospodarz kościoła w Rajgrodzie, a następnie Bazyliki mniejszej i zespołu pokamedulskiego w Sejnach. Przy opiece nad tymi budowlami sakralnymi, zostawił dużą część siebie. Znał się na sprawach inwestycyjno-budowlanych, ale także i na duszpasterstwie. Był bardzo uznanym i szanowanym kapłanem, którego cenili zarówno wierni, poleceni Jego duszpasterskiej pieczy, jak i księża, którzy z Nim współpracowali. Był cierpliwy, pracowity, bezpośredni i zatroskany o swoich wiernych. Brał czynny udział w troskach duszpasterskich Biskupa najpierw Łomżyńskiego, a od 1992 roku Biskupa Ełckiego. Charakteryzował się także wielką pogodą ducha, otwartością, gościnnością, uśmiechem i żartem. Do ostatnich chwil swego życia aktywnie włączał się w życie kościoła posługując przy ołtarzu i konfesjonale w rajgrodzkiej świątyni. Polubił Rajgród do tego stopnia, że w swoim testamencie prosił o pochowanie go na miejscowym cmentarzu, gdzie wcześniej upatrzył sobie miejsce ostatniego spoczynku. (fragmenty wystąpienia Ks. Antoniego Skowrońskiego Kanclerza Kurii Ełckiej)

Serdecznie dziękujemy portalowi www.e-grajewo.pl za umożliwienie skorzystania z materiału.





Jerzy Nazaruk podczas rozmowy w Sejnach, w domu nad Maryczą

JERZY NAZARUK

Dacznik. Opowieść o dziadku Kasjanie, ojcu Mikołaju, ich wędrówkach przez życie i co tam widzieli, i co przeżyli...

Jerzy Nazaruk pasakoja apie savo šeimą, o visų pirma apie savo senelį Kasjoną ir tėvą Mikalojų.

Nazarukų šeima tais laikais vėrtėsi medžio apdaila, pagrindinai gamino statines. Kasjonas su savo šeima gyveno kaime Choroszczewo. Tame kaime gyveno stačiatikiai ir katalikai. Prieš Jerzo mamos namą stovėjo tėvo namas. Vienoje pusėje gyveno stačiatikai kitoje katalikai. Tėvas Mikalojus pabaigė mokyklą Choroszczewe. Studijavo vietovėje Grzybów, ten buvo žemės ūkio technikumai, po to įstojo į aukštąją agronominę mokyklą Cieszynė. Tėvas dažnai pasakojo apie nepaprastą vietovę Lisków. Kur civilizacija labiau buvo išsivysčiusi negu kur kitur, miestelis paprasčiausiai klestėjo. Pabaigęs studijas tėvas pradėjo dirbti ūkio vadybininku. Pagrindinai užsiimdinėjo žemės ūkio reikalais. Ten pažino savo būsimą žmoną Gienią, kuri buvo kilusi iš turtingos šeimos. Nebuvo išsilavinusi, bet buvo puikiai paruošta gyvenimui šeimoje, tuo pasirūpino jos tėvas. 1956 arba 1957 metais visa šeima atsikėlė gyventi į Seinus. Mikalojus buvo žemės ūkio reikalų vadovu (direktoriumi). Apsigyveno sentikių sename name. Vėliau buvo Žemės ūkio paslaugų direktoriumi, po to Valstiečių kooperatyvo direktoriumi, tačiau toliau nekopė karjeros laiptais. Tai buvo labai protingas žmogus, su kiekvienu mokėjo pakalbėti, jei kalbėjo su valstiečiu tai kaip valstietis su valstiečiu. Daug skaitė, domėjosi žmonių likimais. Ypač tų, kurie buvo iškelti iš savo namų, juk pats gyveno tokiam name ir turėjo priežausčių susitikti su to namo savininkais, o tai nebuvo malonūs susitikimai. Išskeldinimas – didelė ir skaudi problema. Mikalojus taip pat buvo „kacapu“. Nelengva būti mažoje vietovėje tautinės mažumos atstovu – stačiatikiu, o dar ir kacapu. Šis pasakojimas pristato ir kitų žmonių gyvenimo istorijas, ne tik tėvo Mikalojaus.



omimo słusznego wieku, jestem już dzieckiem współczesnej cywilizacji, która wspomnienia, uczenie się od poprzednich pokoleń, pielęgnowanie tradycji rodzinnych, czyli poszukiwanie swojej tożsamości uważała za zbędny balast w budowaniu wspólnego szczęścia, ogólnej sprawiedliwości i demokracji...

Socjalistycznej, niestety. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Liczyły się masy – nie jednostka, która była niczym, bo „cóż znaczy mrówka rzucona na tory rozpędzonego pociągu”, jak mówił mistrz Włodzimierz Majakowski.

Myślę, że właśnie wtedy, kiedy powinienem zadawać te wszystkie pytania Matce i Ojcu o to, co najważniejsze, co ukształtowało mnie takiego, że współczesny świat strasznie mnie uwiera, zajmowałem się zupełnie innymi sprawami. Podczas tej „chmurnej i durnej” młodości, nawet przez chwilę nie dopuszczałem myśli do głowy, że los może mi spłatać takiego figla, że nie zdążyć. Że nie będzie kogo zapytać, bo zostanę sam. Że zostanę dziadkiem, do którego zwracają się inni, żeby poznać odległą historię, na przykład tego, co się działo w pierwszej połowie ubiegłego wieku.

Nie wiedziałem też tego wtedy, kiedy jeszcze żyli rodzice. Najważniejsze było to, co współczesne, co się dzieje, jak również to, co będzie, na co miałem – myśląc złudnie i nieskromnie – jakkolwiek wpływ i mogłem kierować biegiem zachodzących zmian. Przeszłość zostawiałem na później, bo jeszcze nie teraz, to nie ten czas.

Wyobrażałem sobie, że nawet będzie przyjemnie, romantycznie i poetycko, kiedy to zimą, przy nagrzanym piecu, usiądę z Ojcem, z Mamą, i sącąc domowe wino z czarnej porzeczki, w naszej rodzinie zwane muchozolem, porozmawiam i o wszystko zapytam. Jednak nie zdążyłem. Nie udało mi się powspominać z moją Mamą, która umarła nagle, przeżywszy niewiele ponad 65 lat, złożona ciężką i „głupią chorobą”, jak nazwali silny atak zapalenia opon mózgowych lekarze akademickiej kliniki w Białymstoku.

Nie udało mi się również zdążyć na rozmowę z Ojcem, który zginął nagle pod kołami rozpędzonego żuka, prowadzonego przez bezmyślnych milicjantów. Jak się jednak później okazało, nie była to wcale taka bezmyślność, skoro podczas rozprawy sądowej zeznawali, że właśnie tym starym, zdezelowanym, pomalowanym na brązowo pojazdem prowadzili pościg za maluchem, którym uciekała bardzo niebezpieczna, zorganizowana grupa przestępcza. Zeznawali i kłamali, tłumaczyli i łgali. Wraz z nimi łgał i mataczył wzięty adwokat, zatrudniony za pieniądze pochodzące z obowiązkowych składek, zorganizowanych przez (świętej już pamięci) ówczesnego komendanta sejneńskiego posterunku i zamieszanych w aferę jego podwładnych. Sąd uwierzył, wydał wyrok pozbawienia prawa prowadzenia pojazdów samochodowych i sprawa dla nich się skończyła. Jednocześnie sąd



Genowefa Nazaruk z domu Talarczuk i Mikołaj Nazaruk

w słowie końcowym chciał, abyśmy się wstydzieli, pogrążeni w żalu, za brak zrozumienia skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazł się nasz kraj.

Dzisiaj już wiem, że mnie, obywatela, oszukiwali wszyscy powołani po to, aby mi służyć. Wszyscy i wszystko łągało, bo i łgarskie było założenie tego całego łgarskiego imperium. Łgała władza i ojczyzna wobec mnie, jej obywatela, który tak bardzo jej ufał i zawzięcie, chociaż naiwnie, jej służył. To właśnie wówczas powszechne łgarstwo spowodowało, że ci, którzy w swej bezmyślności i bucie zabili człowieka, do dzisiaj strzegą porządku w Sejnach i z podniesioną głową i godnością już policjanta mijają mnie obrażeni na ulicy. Pomimo lat nic się nie zmieniło. Tylko ci, którzy autentycznie wierzyli i służyli ojczyźnie, znowu zostali odsunięci na bok i tworzą wciąż liczną grupę autsajderów. Wtedy sprawa się skończyła, tylko ja znowu nie zdążyłem.

O swoim prawdziwym dziadku Dziadku Kasjanie (wym. Kasijanie) Nazaruku wiem tylko tyle, ile dowiedziałem się z fragmentarycznych opowiadań Ojca, kuzynów i z tego, co sam ustaliłem już wówczas, kiedy było za późno.

Wiem, że moja rodzina mieszkała na terenach obecnej południowo-wschodniej części województwa podlaskiego, dawniej zwanych zachodnią Białorusią. Od kiedy pamiętam, mój Dziadek Kasjan wyglądał jak prawdziwy, bajkowy. Bardzo mi się podobał – wypisz, wymaluj – do rysunków ilustrujących rosyjskie baśnie, w świecie których żyłem aż po dorosłość. Był niskiego wzrostu, szczupłutki, łysutki, z pięknymi, wyblakłymi, ale błyszczącymi, lekko zażawionymi oczyma i wielkimi, początkowo czarnymi, a później już mlecznosiwymi wąsikami, które wciąż zawijał do góry.

Moja rodzina ze strony ojca mówiła zawsze „po swojemu”: ani po białorusku, ani po polsku, ani po rosyjsku, ani po ukraińsku, ani po jakimś innym, ale po swojemu. Mowa ta powstała z wymieszania języków większości narodów w Wielkim Księstwie Litewskim. Dziadek Kasjan nigdy w swoim życiu nie używał polskiego, nawet wówczas, gdy szedł do polskiego urzędu w Polsce, aby załatwić swoje ważne sprawy, i mówienie w tym języku bardzo by mu pomogło. Mówił mało, krótkimi zdaniami, przyciszonym głosem, i chociaż zawsze mówił po swojemu, mnie – wówczas malutkiemu chłopcu – wydawało się, że mówi po polsku. A ja, oprócz języka polskiego, żadnego innego nie znałem i świetnie go rozumiałem. Sprawiał wrażenie, jakby żył wyłącznie tylko w swoim świecie, zamknięty w swoim kołpaku czy kokonie, z którego od czasu do czasu wyglądał. Robił to jedynie wtedy, gdy – jak prawdziwy chłop z prawdziwej, daleko od szosy leżącej wsi, wygląda czy jego gościńcem przejeżdża ktoś obcy, nieznany. Otwiera, a właściwie uchyla, malutkie okienko swojego domu, wysadza przez szparkę swoją białą nieopaloną słońcem głowę bez czapki i tylko krótko popatrzy.

W domu mus czapkę zdjąć, na kołek powiesić, a nie szmergnąć gdzieś i do stołu siadać. Mus przeżegnać się przed jedzeniem, to i temu czapkę trzeba zdjąć, „bo tylko Żydy w czapkach przy stole siedzą”¹. Bo gdyby prawdziwy chłop z prawdziwej wsi, co niektóre mówią na nią: zapadła, miał popatrzeć dłużej i poznać, kto i czego gościńcem jedzie, założyłby czapkę, bo nadwór bez niej wychodzić nie można i nie wypada. Cugi po dworze chodzą, słońce grzeje, a i deszcz pada – może zaszkodzić. A gdy chłop nie wychodzi nigdy nadwór bez czapki, to i głowa nieopalona, niewysmagana wiatrem, niepolana deszczem i biała cały rok.

Taki prawdziwy chłop z prawdziwej wsi nadwór bez czapki wyjść może tylko rano za potrzebą. Ale już jak trzeba lepiej przyjrzeć się, bo poznać z daleka nie można, kto jedzie, a może „coniedajboże” obcy zgubił się i drogi szuka albo i drogi niby szuka, a patrzy, co by ukraść? Albo Cygany – te cholery jedne – przyszli kurę ukraść? Albo cholera jaka zło niesie; dziad po prośbie i do leczenia, i zamawiania zła idzie; może kto znajomy i chciałby zagadać; jaki dobry, obcy pan chce o co zapytać; spółdzielnia z towarami przyjechała i sprzedawać będą? Wtedy czapkę trzeba założyć albo ozuć, jak inni mówią, żeby nie pomyślał, że z jakim gołodupcem albo chłystkiem mają „doczynunek”, a nie z chłopem prawdziwym. Do bramki trzeba podejść, a jak podszedłby, popatrzyłby dłużej, to może i tabaki by zapalił. A nuż, o co i jak zapytają? – to tylko w czapce odpowiadać, nie zdejmować i nie wstydzić się. Prawdziwy chłop to i swój honor ma.

Jak pamiętam, mój dziadek Kasjan ze swojego kokonu (kołpaka) rzadko, a właściwie nigdy nie wychodził. Tylko, jak ten prawdziwy chłop z prawdziwej

wsi, wychylał się ze swojego świata. Do bramki nie podchodził i wcale nie czekał na jakiegokolwiek pytanie z gotowością odpowiedzi. Machorki też nie zapalił.

Był to człowiek bardzo mądry, chociaż niewysoko wykształcony. Nie wiem, jakie szkoły skończył. Wiem, że czytać umiał, że znał szeroki świat, nie tylko ten, który kończył się za krzyżem stojącym na rozwidleniu opuszczających wieś dróg. Mądrość ta nie pochodziła z przeczytanych książek, lecz ze szkoły życiem zwanej. Najważniejszą szkołą była służba w Rosyjskiej Carskiej Armii, długa, wyczerpująca i zmieniająca człowieka gruntownie. Źródło tego wykształcenia było skrzętnie skrywane w poprzedniej epoce, bezpieczniej było o tym nie mówić. Później powrót do domu, do kresowej rzeczywistości, w której głównym mentorem była bieda, instynktowna potrzeba przetrwania, zdobycia czegoś do jedzenia, przeżycia i pozostawienia potomka. Jak u innych ssaków.

Wówczas nie zapytałem, skąd u niego ta wiedza i ta umiejętność przetrwania. Może nie odpowiedziałby mi wprost albo w ogóle. I wówczas byłoby mi przykro. Jednak już dzisiaj wiem, że tak przy okazji, słuchając uważnie tego, co mówił on, Ojciec i inni, można z tych skrawków stworzyć w miarę logiczny zyciorys mojego Dziadka. Mam jednak wciąż obawy, że to może bardziej moje opowiadanie, moja projekcja faktów, niż autentyczny opis życia tego człowieka.

Tak więc wyobrażam sobie, że to polegało raczej na wyszarpywaniu z życia kęsów, a nie brania go pełnymi garściami; na uciekaniu i unikaniu niebezpieczeństw, a nie stawianiu czoła; na kłanianiu się, ale na pewno nie na proszeniu. „Nigdy nikogo o nic nie prosił” – mówili o Kasjanie moi rozmówcy. Zdaje mi się, że i ja słyszałem, jak wyśpiewał coś takiego swoim cichym, miękkim, dziwnie brzmiącym głosem, lecz w zrozumiałym języku. Podobne deklaracje słyszałem u mojego Ojca, którego barwa głosu i melodia zaśpiewu z wiekiem coraz bardziej przypominała te słyszane u mojego Dziadka. Mówiła to moja Mama, a i ja nie wystrzegam się zdań na ten temat. To zawołanie stało się jakimś dziwnym i wciąż pobrzmiwającym w naszej rodzinie hasłem. Często i w różnych okolicznościach słyszało się: „swojej dupie sobie kupie”.

Kasjan pochodził z biednej rodziny. Kiedyś mój Ojciec mówił, że dziadek, jak był młody, cały dzień kopał w majątku (albo u jakiegoś bogatszego chłopca) kartofle. Za robotę dostał cały ich kosz. Najadł się, położył i odpoczywał. Leżał, żeby „dłużej trzymał najestek”.

Słyszałem również o tym, jak mój prawdziwy Dziadek uciekał. Uciekać musiał, bo tak kazał atawistyczny instynkt i pomimo tego, że biegł z miejsca, z którym się zżył (był u siebie), w nieznanym i niebezpiecznym. Gdy zaczęła się pierwsza wojna światowa, ludzie mówili, że Niemcy, którzy zbliżali się



Dziadek Kasjan
z jednym ze swoich synów

z frontem, będą strzelać do Ruskich, do prawosławnych, a szczególnie do mówiących „po rusku prawosławnych”². Uciekł więc przed posuwającym się wojskiem, zostawiając swoją biedniacką chatę, swój dług i wążutki na wąskość jednotokowej stodoły splechatek piaszczystej ziemi w swoim Choroszczewie. Było to wspólne z siostrą żony. Mówili, że z Wólki przyszedł jako osoba uboga, że kiedyś pieniądze miał, ale nie miał tej zalety, żeby nie uciekły między palcami. Mówili też, że otrzymane od ojca po podziale majątku po prostu przemarnował, przechlał albo przetańcował. Czy to prawda, nie wiadomo.

Przed wyruszeniem na daleką wędrówkę nie znał świata. Nie wiedział, dokąd uciekać, ale prawo stada kazało do swoich – do prawosławnych ruskich. Nie pomyślał nawet, że tam bieda, poniewierka, długa droga, tam życie bieżących. Gdy znaleźli się wśród swoich, okazało się, że oni, prawosławni i wygnani, nikomu nie byli potrzebni. Nikt się nimi nie zajął. Roboty i pieniędzy nie było. Nie mieli gdzie mieszkać. Matuszka Rossija i wielikaja cerkiew nie przygotowały się na to, żeby się zaopiekować ludźmi, którzy uciekli z Polski. Miały swoje problemy: na kilku frontach trwała wojna, zaczynała się rewolucja, Cerkiew traciła swoją nieomylną hegemonię, gdyż nadchodziła chyba największa w jej dziejach trauma i władza bezhołowia.

Długo nosiło go i jego czteroosobową rodzinę po tej wielkiej, kipiącej krainie. Mówią, że po drodze zahaczyli o Petersburg, który jeszcze

Leningradem nie był, ale już idee pęczniały, podgotowka do obalenia starego porządku szła pełną parą.

Nie sądzę, aby bardzo aktywnie i udatnie ten bieżeniec z Polski, ze swoim wiejskim stażem i niewielkim, a raczej żadnym wykształceniem, odegrał znaczący wpływ w tym ciągu dziejów. Mówią, że nawet spotkał się bezpośrednio z rewolucyjną klasą robotniczą Piotrogradu. Aby utrzymać rodzinę, musiał przecież pracować. Obojętnie gdzie i jak, ale żonę i dwóch chłopców nakarmić musiał. Domyślić się można, że ten zapewniany przez niego byt dostatni nie był. Jednak to rewolucyjne spotkanie, otarcie się o te wielkie, dziejowe wydarzenia zapisały się w jego życiu na trwałe. Obraz ten i nabyte tam doświadczenia dokonały zmian, które tak mocno wryły się w jego charakter, świadomość, sposób myślenia i skalę wartości, że czasami wydaje mi się, iż spowodowały w nim zmiany wręcz genetyczne, tak trwałe i przenoszone, jak wrodzona choroba, i tak mocne, że po dzień dzisiejszy kształtują światopogląd kolejnych już pokoleń Nazaruków. Pomimo to, że nikt tych idei świadomie im nie przekazuje, to ich siła jest tak wielka, że nawet nie budziły cienia wątpliwości o lewicowym porządku świata jako sposobie na wszelkie zło, niesprawiedliwości i niegodziwości kolejnych etapów rozwoju cywilizacyjnego.

Wrócił do swojego Choroszczewa, a tutaj też i wciąż bieda, bieda, bieda... Okazało się, że na jego wąski splechatek ziemi już nie ma szans. Przyszło scalenie gruntów³. Z kilometrych i dwukilometrych działek ziemi, na których de facto nie można było nic zrobić, powstały szerokie przydomowe działki. Nie wszyscy tego dostąpili. Jego nie było, a dom bez gospodarza marnieje. Władza ówczesna dawała takie szanse, że kto się wyprowadzi z tej ulicówki, to dalej na kolonii dostanie dwa razy tyle ziemi; za jedną morgę we wsi dawali tam dwie i pół. Kasjan z tego skorzystał. Ale tamta ziemia nie była orna, tylko las – dąbrowa. Wyprowadził się więc jakieś pięć kilometrów od wsi – z chłopcami i swoim skarbem Elizawietą kochaną – na nowe i swoje. Z młodymi (piętnaście i dwanaście lat) karczował las, wrywał drzewa i krzaki, aż wydarł przyrodzie pokaźny kawałek gruntu. Dzisiaj to sobie trudno wyobrazić: dwudziesty wiek, a oni nie mają żadnych narzędzi, żadnej pomocy państwa i sami gołymi rękami wrywają naturze swoje miejsce na ziemi.

Początkowo mieszkali w szałasie. Żywili się tym, co dawał las, i co udało się ugotować na ognisku. Usuwali drzewa: świerki, sosny, modrzewie i dęby. Próbowali je początkowo wykopać, później za pomocą koni i kieratu wykręcali z ziemi. Jak wspominał Ojciec, tym sposobem wyciągnęli dęby, które z trudem obejmowało dwóch mężczyzn. Później z tych pięknych i starych drzew wybudowali swój dom. Dopiero wtedy Kasjan stał się prawdziwym chłopem. Zbudował swój dom. Był na swoim.



Obecnie na miejscu zbudowanego przez Kasjana domu znajduje się dom zajmowany przez synów Władysławy i Władysława. Jest to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie znam...

Ten nowy, pierwszy dom Elizawiety i Kasjana mój Ojciec traktował jak swój rodzinny. Nie wspominał nigdy tego w Choroszczewie, jakby jego życie rozpoczęło się dopiero wtedy, kiedy się wyprowadzili do lasu. Swoja ziemia, swój dom, ale wciąż życie biedniaka i wydzieranie każdego kęsa chleba, poniewierka i śmierć ukochanej żony Elizawiety – mądrej, wykształconej jak na tamte czasy, pełnej dobroci i przepięknej czarnowłosej, smagłolicej kobiety, o której urodzie opowiadają w okolicy po dziś dzień⁴.

Po śmierci swojej siostry usynowiła jedyne jej dziecko: Władysława, który od tej pory wychowywał się w tej rodzinie. Uważałem go za jednego z najukochańszych stryjków, który miał kobyłę „Raszkę”, wielkiego psa, krowy, owce, kury, jabłoń wczesną oliwkę, tą za stodołą, i gruszkę sosnowkę tam na miedzy, która miała specyficzny zapach i smak. Był kowalem i codziennie chodził do stojącej przy drodze pod lasem prześlicznej kuźni. Zawsze się śmiał i bez przerwy opowiadał niestworzone historie. Kiedy po wielu latach czytałem *Postrzyżyny*, ta Hrabalowa barwna postać kuzyna szewca wydała mi się jakoś dziwnie bliska; odnosiłem wrażenie, że mam do czynienia ze stryjkiem Władkiem, tylko opowiadania tego od Hrabala były mniej barwne i mniej śmieszne.

Zajeżdżało się tam na wakacje. Władysław wyjeżdżał po nas na dworzec furmanką zaprzęzoną w kobyłę „Raszkę”. Władzia⁵ w tym czasie szykowała obiad, nocleg i przygotowywała dom. Piekła przepyszny kruchy placek z konfiturami z poziomek i drożdżowe, wysoko wyrośnięte z przepyszną rumianą skórką buły, które z mlekiem schłodzonym w studni smakowały tak, że jak mówił mój Ojciec: „Aż język do dupy ucieka”.

Władysława szykowała jadło, gdy Władysław skończył oprawiać owcę. Oni uważali, że „Kola i Gienka tak bardzo lubią baraninę”, dlatego też na zabicie musiała pójść największa, podkarmiana długo, żeby była tłustsza i bardziej soczysta, oraz specjalnie przyrządzona, żeby łojem nie śmierdziała, stąd lepiej owca niż tryk. I chociaż żał skóry, bo letnia i rzadka i tylko na podpachy w kozuchu się nada, to tak musi być. Owca szczególnie dobrze smakowała, jak mówili dorośli, pod koniak „samżene”, czyli z pańska nazywany, pędzony w parniku podczas gotowania karmy dla świń samogon.



Mój Ojciec Kola podczas wakacji we Władysławowie

Więc, jak myśmy się tam spotykali, to już było wiadomo, że się zaczęły prawdziwe wakacje. Tam był las i staw. Tam robiliśmy prawdziwe bunkry prawdziwych partyzantów z oddziału legendarnego Kowpaka⁶. Tam chodziliśmy paść razem krowy na wygony i pustki, obserwowaliśmy jastrzębie, kradliśmy jajka indycze od sąsiadki i karmiliśmy nimi psa, który w przyszłości będzie prawdziwą sienkiewiczowską Sabą. Pobyt na kolonii to wspomnienia pachnące czeremchą, żółtym łubinem, parującym ługiem⁷, a przede wszystkim piołunem, który rósł niezmiernie bujnie wszędzie w nieprzebranych ilościach; to wspomnienia przygód, zabaw, beztroski wśród lasów i przepięknych wiekowych brzoź⁸.

Do spółdzielni częściej trzeba było chodzić niż zwykle, bo to i cukier, i mydło, i nafta do lampy szły. Myślę, że wówczas nikt się tymi kosztami za bardzo nie przejmował. Wszak przyjaźń i rodzina zobowiązuje jak szlachectwo, o którym nikt wówczas z naszych nie marzył, ale co to honor, gościnność i rodzina wiedział doskonale.

Bardzo mi się podobało, kiedy bracia Kola i Władysław się spotykali, a jeszcze do nich dołączył Witek Kalinowski, mąż Heleny – siostry Mamy, obok



Siostry Gienia i Władzia podczas spaceru. Często wychodziły na spacer po dziedzińcu. Rozmawiały wówczas o swoich ważnych rodzinno-kobiecych sprawach...

Władzi, Kasi, Pauliny i Stachy. Miło było patrzeć, jak siedzieli ze sobą i bez przerwy dniami i nocami rozmawiali, rozmawiali i rozmawiali, i... nigdy nie milczeli. Czytali razem książki, bo Władysław prowadził punkt biblioteczny, i opowiadali, radzili się nawzajem, robili sobie żarty, spacerowali.

Tam, na kolonii, gdzie nie było elektryczności, podczas moich wyjazdów od zupełnie małego chłopca, jedynie przy lampie, przeczytałem tyle książek i tak interesujących, jak nigdy później. Dlatego to miejsce kojarzy mi się właśnie z czytaniem. Siedziałem przy wspólnym stole w towarzystwie mojego Ojca i wujków. Za otwartym na oścież oknem szumiał ciemny i złowieszczy las, pachniały floksy we Władziowym ogródku, słyszało się z oddali szczekające psy i te żaby, które w ługu darły gębę tak głośno, że przeszkadzały w sylabizowaniu i czytaniu szeptem. Kobiety nie czytały, wciąż o czymś gadały. Piekły ciasta, szyły sukienki, jakieś babskie roboty wykonywały i gadały. Wartością tego wspólnego czytania był fakt, że „baby z babami” a „chłopy z chłopami” i ja byłem już w gronie mężczyzn. Byliśmy szczęśliwi wśród naszych braci, innych dzieci od innych cioć i wujków. Spotkaliśmy też miejscowego Romka Tarasiuka, który miał spodnie na jednej szelce, takiej na skos, o których posiadaniu wciąż marzyłem, ale on nigdy pożyczyć mi ich nie chciał⁹.

Tam również mój Ojciec był autentycznie szczęśliwy. Mówił cały czas do Władysława: „Pamiętaj, jak ja będę stary i ty będziesz stary, to ja do ciebie przyjadę, będziemy razem mieszkali. Wtedy zobaczysz, jak się gospodarzy!”. Niestety, nigdy się tego nie doczekali.



Stoją od lewej: Mikołaj, Genowefa Nazarukowie, nieznana mi osoba, Władysław, Helena, Władzia (żona Władysława), Witek Kalinowski (mąż Heleny)

Po tym jak Elizawieta przegrała walkę z nadchodzącym z Ruskimi tyfusem i miejsce kochanej, chociaż srogiej, bo z niezachwianymi zasadami świekry, zajęły już synowe Gienia i Władka oraz małżonka Piotra (niestety jej imienia nie pamiętam), mój Dziadek wyprowadził się ze swojego domu, wybudowanego własnymi rękoma na ziemi wydartej naturze, do Wólki Terechowskiej¹⁰, gdzie zawsze mieszkały Nazaruki, a wśród nich brat Kasjana Miron i jego potomkowie: Rościk, Filka, Władysław i Lenka¹¹.

Wszyscy tam, w tym i Nazaruki, zajmowali się bednarstwem. Robili różne i przepiękne beczki – od malutkich antańków na wódkę po wielkie beki, kadzie do leżakowania zacieru w okolicznych gorzelniach. Rodzina Nazaruków specjalizowała się w tych ostatnich, wielkich zbiornikach, wykonywanych taką samą metodą, jak zwykle beczki do ogórków czy piwa, składające się z pojedynczych klepek ściśniętych ze sobą obręczą metalową. Najtrudniejszym ich elementem były dwa dna. Trzeba było nie lada precyzji, aby przygotować wielkie na kilka metrów długości klepki, spasować je dokładnie, aby nie wyciekał stamtąd zgromadzony płyn, ścisnąć obręczami i jednocześnie włożyć wielkie dna z obu stron. Nazaruki z Wólki taką tajemnicę posiadały. Znali ich z tego w okolicy. Roboty mieli dużo, zapotrzebowania na wytwory gorzelni wciąż nie brakowało, więc żyło się im lepiej niż innym w tej zapomnianej miejscowości.

Kasjan w Wólce zajmował się uprawą małego gospodarstwa, jakie do wiana wniosła moja nowa babcia, i współpracował z pozostałymi Nazarukami przy budowie beczek. Tam, z nadzieją na zapomnienie Elizawiety, rozpoczął nowe wspólne życie, a właściwie, jak się później okazało, wegetację z drugą żoną, która w moich wspomnieniach pozostała jako straszna, niewielkiej urody, podobna do Baby-Jagi¹², niezbyt sympatyczna i mrukliwa kobieta. Jedyne co do mnie powiedziała, to pytanie: „Sup z wiszeń kuszat’ budiesz?”. Podczas tej



Filip „Filka”, brat stryjeczny Koli, z żoną podczas swojej ostatniej wizyty w Wólce. Zdążyłem spotkać się z obojgiem. Niestety ona już nie żyje.

„rozmowy” niebezpiecznie się do mnie zbliżała z jakimś sprzętem kuchennym, a więc bałem się i na wszelki wypadek odmówiłem.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak taki piękny i kochany Dziadek, który mógłby służyć za wzór wszystkim dobrym dziadkom na świecie, mógł ożenić się z taką babą-jagą. Myślę, że nie mógł tego również pojąć mój Ojciec, który właściwie zaprzestał kontaktów ze swoim Ojcem i „swoją nową mamą”. Kiedy odwiedzaliśmy Wólkę, czuliśmy skrępowanie, zawstydzenie i żal, i jak najszybciej kończyliśmy wizyty, aby odwiedzić pozostałych Nazaruków w Wólce¹³. Dziadek Kasjan z wiekiem chował się wciąż jakoś głębiej w swój kokon i świat wspomnień, i coraz bardziej wiaął. Umarł w ciszy, pochowany został na cmentarzu w Wólce Terechowskiej. Jego mogiłę rzadko kto odwiedza.

Stryj Rościk z rodziną: synową, synem, żoną oraz Miską, synem siostry Koli. Stoją także Jerzy i Gienio. Rościk niestety już nie żyje.



Mój Ojciec urodził się podczas wielkiej podróży, ucieczki swoich rodziców przed nadciągającymi Niemcami. Musiało ich pognać tak bardzo, że Kola urodzi się na przedmieściach Moskwy. W dowodzie miał wpisane miejsce urodzenia: Kamionka (CCCP). Jego starszy brat Piotr przyszedł na świat również podczas tej ucieczki gdzieś po drodze. Trzeci młody Nazaruk Józef urodził się już w Polsce.

Po powrocie życie mojego Ojca przebiegało w Choroszczewie¹⁴, dokąd wraz z rodzicami przybyli już we czwórkę. Nic w jego życiu ta wielka włączęga nie zmieniła pod względem materialnym. Pomimo zwiększenia wiedzy o świecie, otwarcia horyzontów, poznania innej rzeczywistości, żadne widoczne zmiany w życiu Kasjaniuków z Choroszczewa, jak ich miejscowi nazywali, nie zaszły. Nie wiem jednak, czy we wnętrzu, w umyśle się nie pojawiły.

Bez wątplenia przebyta poniewierka i trudności w zrozumieniu tego, co zaszło, pokazały naszym wędrowcom znaczenie wiedzy, nauki, znajomości zachodzących zdarzeń, umiejętności teoretycznej analizy otoczenia. Może nawet nie pozytywne, ale na pewno negatywne i zabójcze wręcz – niewiedzy, ignorancji i nieuctwa. To te nabyte z konieczności doświadczenia naocznie i namacalnie uświadomiły im niezbędność kształcenia się, wychodzenia dalej, poza swoją rzeczywistość. Teraz, z perspektywy czasu wiem, że to właśnie one spowodowały, że nie przeszkodziło im pochodzenie z biedniackiej rodziny chłopskiej. Biedniacka była rodzina Dziadka i pradziadka oraz cała wieś i okolica. Dlatego Kola się uczył, a rodzice na to przystali. Ten Kola Nazaruk z tych Nazaruków, co to w Wólce Terechowskiej mieszkają do dzisiaj, i tych Kasjaniuków, co to w Choroszczewie, tym zapyziałym wówczas Choroszczewie, mieszkali jeszcze przed drugą wojną światową, ukończyli wyższe studia inżynierskie w zakresie pedagogiki agrotechniki i rolnictwa. Mimo biedniacko-chłopskiego pochodzenia i prawosławnego porządku myśli, uczuć i wiary.

Pozostałe dzieci Kasjana i Elizawiety otrzymały również niezbędne wykształcenie. Silniejsi fizycznie chłopcy Władysław i Piotr, wyposażeni w wiedzę i umiejętności, poszli do fachowej roboty – do kowalstwa, zaś słabsi Mikołaj i Józef do szkół, żeby nie zginęli z głodu, a na życie zarobili głową.

Już nieco później do rodziny Nazaruków dołączył Władysław, usynowiony przez Kasjana i Elizawietę. Jego ojciec, owładnięty nałogiem karcianym, grając w szulerniach całej Europy, skończył gdzieś marnie i słuch po nim zaginął. Jak wspominali przybrani bracia Władysława, miał on zawsze lepiej u Matki i Ojca, na przykład rzadziej dostawał lanie nawet za gorsze przewinienia. „Bo to nie mój. Ja nie jestem po to, żeby go bić, lecz żeby się nim opiekować” – mówił Kasjan.

Władzia i Władysław mieli dwóch synów. Bardzo kochali swoich „chłopów” i opiekowali się nimi, a za cel postawili sobie jak najlepsze ich wychowanie. Pierworodny Janusz, w porównaniu do innych chłopców w jego wieku spóźnił się z dojrzewaniem, szczególnie fizycznym. Wątlej postury i niskiego wzrostu nie mógł dopasować się do wymogów średniej szkoły. Rodzice oddali swojego pierworodnego do sejneńskiego liceum, a może bardziej do Sejn, do Mikołaja i Gienki, którzy początkowo opiekowali się nim, a kiedy już zmężniał i podrósł, zamieszkał w internacie. W ubiegłym roku odwiedził Sejny. Z sentymentem oglądał swoją starą budę, pokazywał ją synowi, wspominał „Bycego”, „Fudalę”, „Konia”, „Globulkę”, „Tojbę”, „Zająca” i inne ważne osoby. Patrzył na sale i korytarze i opowiadał:

„Tutaj były odrabianki, tutaj sypialnie, a tutaj... drzwi do piwnicy, do której wlałem, szukając wyjścia ze szkoły po egzaminach, i długo nie mogłem wyjść. Jakoś wreszcie wyszedłem i usiłowałem trafić do domu – do stryjka. Doszedłem do skrzyżowania i ulicy, która szła bezpośrednio ze szkoły, i moja orientacja zupełnie się skończyła. Stałem bezradny na skrzyżowaniu i rozplakałem się rzewnie. W pewnym momencie podszedł do mnie mężczyzna. Miał na sobie piękny garnitur i wyglansowane buty.

– Czego płaczesz chłopcze? – zapytał.

Opowiedziałem, że zablądziłem, że jestem po egzaminach, miał przyjąć po mnie mój stryjek...

– A kto jest twoim stryjkiem, chłopcze? – zapytał nieznajomy.

– Mikołaj Nazaruk.

– A!? Nazaruk. Przed chwilą go spotkałem. Mówił, że czeka na studenta, który zdaje egzamin do liceum. Dyrektor Pawłowski zaprosił go do swojego gabinetu. Chodź chłopcze, to znaczy studencie, zaprowadzę cię do twojego stryja.

Tą pierwszą obcą osobą, jaka się mną zaopiekowała, był profesor Staniewicz. Miałem do niego zawsze tak wielki szacunek, że nigdy, nawet w pamięci, na niego nie powiedziałem: »Sum«. Robię to pierwszy raz – przy swoim synu”.

Takie i podobne wspomnienia snuliśmy podczas jego wizyty. Janusz skończył biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był nauczycielem i dyrektorem siemiatyckiego liceum. Teraz na emeryturze uprawia tatowe gospodarstwo, założył szkółkę roślin, sad i jak powiada: „dopiero teraz jestem biologiem”. On i jego żona Jadzia mają dwóch mądrych, dobrze wychowanych i fajnych synów. Młodszy Andrzej jest z wykształcenia rolnikiem. Pracuje na urzędzie w milejczyckim samorządzie i w wolnych chwilach, tak jak starszy brat, z wielkim zacięciem upiększa i wzbogaca tatowe gospodarstwo.

Co prawda ich rodzinny dom jest teraz (tylko) pięknym letniskiem, ale obaj do swoich obowiązków podchodzą bardzo poważnie, wciąż z przekonaniem, że ich rodzice patrzą na nich z góry. Nadal żyją tam jak prawdziwe daczniki¹⁵, powiedziałby mój Ojciec, gdyby zobaczył, co oni z normalnej wiejskiej chaty zrobili.

Stryj Piotr był niezbyt wysokim, czarnowłosym, leworękiem, bardzo silnym i postawnym mężczyzną, znanym w okolicy kowalem i zagorzałym myśliwym. W nieodległych od rodzinnego domu Milejczycach założył swoje gniazdo. Zbudował dom i kuźnię. Wybrał życie w największym wokół skupisku, jakim była ta wieś, dzisiaj siedziba gminy. Pracą swoich rąk zapewnił sobie dość dostatnie życie. W Milejczycach stoi kawałek pierwszego Kasjanowego domu z kolonii. Po podziale majątku stryj Piotr wziął część materiału z niego i wbudował go w swój. Dzięki temu przynajmniej w tej formie dom Kasjana wciąż istnieje.



Stryj Piotr z żoną, najstarszą córką Raisą, psem i fajką

Pamiętam piękne zdjęcie przedstawiające stryja Piotra z przyszytym czarnym wąsem, w zawadiackiej czapce uszatce z daszkiem; w ręce trzyma flintę dwururkę, u jego nóg leży przepiękny pies o wyglądzie raczej mniej myśliwskim, a bardziej pasterskim. Właśnie z tego powodu „o mały figiel nie trafił do pierdla”, jak sam mówił. Podczas jednego z polowań psa postrzelił inny myśliwy. „Miała szczęście ta pierdoła jedna – mówił. – Żeby mnie nie powstrzymali, sam by spróbował jak to smakuje”. I rzeczywiście, jedynie zdecydowane i czynne negocjacje kolegów myśliwych ustrzegły nieszczęśliwca przed wiązką śrutu skierowaną w pośladek.

Piotr miał troje dzieci. Najstarszy syn Aleksander ukończył liceum w Sejnach i poślubił dziewczynę ze starej sejneńskiej rodziny. W miasteczku zapewne sporo kolegów i chyba jeszcze więcej jego koleżanek pamięta wysokiego, szczupłego, prostego jak trzcina, lecz postawnego i dobrze zbudowanego chłopaka, którego w szkole nazywano „Puszkinem” z powodu pofalowanych, kruczoczarnych włosów, podobnych do tych, jakie miał przedstawiany na portretach rosyjski poeta, oraz czarnych brwi i mocno „wyrzynającego się” wówczas wąsika. Był nauczycielem matematyki, skończył życie nieciekawie, owładnięty nałogiem, odrzucony przez znajomych i rodzinę.

Pochowany został na cmentarzu w Milejczycach. Z małżeństwa Olka pozostały dwie prześliczne, wykształcone dziewczyny, które swoje życie zbudowały gdzieś daleko.

Kolejny syn Piotra – też Piotr – mieszka ze swoimi wnukami na ojcowiznie w Milejczycach. Spotkałem go niedawno podczas wizyty w Choroszczewie i na kolonii u Janusza i Andrzeja. Rozmowa była raczej oficjalna, mało rodzinna. Wynikało z niej, że niewiele mamy ze sobą wspólnego, a kiedyś bliskie, ciepłe i rodzinne związki między braćmi stryjecznymi gdzieś się zagubiły.

Najstarsza córka Raisa mieszka w pobliskim Bielsku Podlaskim. Już dość dawno straciliśmy z nią kontakt. Kiedyś odwiedziła nas w Sejnach ze swoim mężem, chyba z wykształcenia weterynarzem, który świetnie rysował. Zostawił nam wszystkim piękne portrety, na których byliśmy wszyscy jak żywi. Jak się dowiedziałem ostatnio, Raisa została bez męża, zmarłego w ubiegłym roku.



Stryj Józef

Najmłodszym synem Elizawiey i Kasjana był Józef. Mówiąc szczerze, pomimo że w swoim życiu miałem możliwość spotkać się z nim i chyba nawet rozmawiać, to zupełnie go nie pamiętam. Wiem tyle, ile mi opowiadali rodzice, szczególnie wtedy, gdy czuli obowiązek przekazania mi tej tragicznej i wstydlivej wiadomości. Pozostało to w mojej pamięci w postaci strzępów, obrazów, jakichś faktów. Nie wiem, czy mi się zdaje, czy wyobraziłem to sobie, ale chyba nawet znałem go i spotykałem się z nim, jego żoną, którą chyba przywiózł sobie z War-

szawy, a nazywano ją Kawką czy Wroną, oraz jego córką, chyba Ewą, której wieku ani nawet wyglądu zupełnie nie pamiętam. Może też mi się zdaje, że Józef ze swoją rodziną w Sejnach początkowo mieszkał w naszym domu, na poddaszu w malutkim pokoiku. Nieobecna w moim codziennym życiu pamięć o stryjku Józefie była do czasu rozmowy z Kasją, jedną z żyjących jeszcze siostr mojej Mamy. Jest ona mniej więcej w wieku Józefa.

Mówiła o nim, że był bardzo inteligentny, czytany, ładnie mówił, ale też o tym, że zachowywał się jakoś inaczej niż pozostali chłopcy z okolicy. Z pewnym zawstydzeniem powiedziała, że chciał wiązać z nią jakieś nadzieje na przyszłość. Ale taki jakiś zamyślony mówił o sprawach, które wcale nie były ważne. Gdy się ogląda jego zdjęcia, można zauważyć po ubraniu, strzyżeniu

się i ustawianiu na nich, że zupełnie nie przedstawiają wiejskiego chłopca, a tym bardziej z dość zapadłej podlaskiej wsi. Widać młodego człowieka z zaczesanymi do góry, chyba nawet co nieco pokrytymi brylantyną włosami, w szerokich tweedowych spodniach, butach na grubej podeszwie lub wysokich kolorowych skarpetach i zamasztych do kolan spodniach pumpach – słowem szyk i sznyt zupełnie niewiejski. Teraz po latach, kiedy na świat patrzę z pewnej perspektywy, zastanawiam się, skąd i w jaki sposób powstaje takie zjawisko, że w określonym otoczeniu, realiach, zwyczajach i nawykach rodzi się i wychowuje taki odmieniec. Myślę jednak, że ten chłopak z odległej od centrum wioseczki podlaskiej pojawił się w tamtym czasie i na tamtym terenie jako pierwszy i jedyny bikiniarz. Jednak z problemami życiowymi, jak nieszczęśliwa miłość, trudności z utrzymaniem rodziny, wypadek (połamane nogi) i leczenie się w różnych szpitalach, coraz częściej nie mógł sobie poradzić. Jego dusza nie mieściła się w wątlym, wymęczonym chorobą ciele. Kołatała się, aż kiedyś w nocy znalazła ujście za pomocą zawieszzonego gdzieś w komórce sznurka.

Mój Ojciec urodził się w 1917 roku. Do Polski, po swoich podróżach wrócili, kiedy miał osiem lat. Wszyscy jego rówieśnicy uczyli się już w drugiej klasie, w nieodległych od Choroszczewa Wałkach, gdzie w jednym z większych prywatnych domów mieściła się szkoła powszechna i obowiązkowa. Mój ojciec nie był najlepszym pierwszakiem. „Miał już dziewięć lat, a my siedem, był przerośnięty i słabo znał polski. Przyjechał z Rosji, gdzie jako bieżeniec mówił więcej po rusku niż po swojemu, a po polsku wychodziło to śmiesznie. Więc wcale prawie nie mówił. Chorowity był, w domu bieda, i nikt nie miał czasu się nim zajmować, bo ojciec na kolonii las karczował” – mówiła koleżanka z klasy, mieszkanka Choroszczewa, młoda Gienia Tatarczukówna, jedna z sześciu córek Franciszka, najbogatszego gospodarza we wsi, jak na owe czasy człowieka bardzo przedsiębiorczego. Zbudował pierwszy we wsi murowany dom, prowadził sklep i mały tartak. Ta niespotykana, nienormalna w tamtych realiach, aż taka nienasza gospodarność i zapobiegliwość spowodowała, że nosił przydomek „Bałglej”, co jednoznacznie sugerowało jego żydowskie proveniencje. Było to tylko publiczne przypuszczenie i przykład działającego dobrze stereotypu, bo jeżeli przedsiębiorczy, zapobiegliwy, gromadzi dobra, udaje mu się handel, to ani chybi Żyd! Czy Franciszkowi ten przydomek w czymś przeszkadzał, nie wiem. Wiem na pewno, że on i rodzina cieszyli się dużym poważaniem. Genowefa była w niej najstarszą córką.



Dziadek Franciszek, ojciec Gieni

Mikołaj szkołę skończył o czasie, a znajomość z Gienią, która rozpoczęła się w Szkole Powszechnej w Wałkach, zakończyła się po kilkunastu latach ślubem i bardzo długim, wspólnym i dietnym życiem. Poznali się dopiero w wieku szkolnym, chociaż oba domy rodzinne znajdowały się naprzeciwko siebie. Gienia urodziła się w Choroszczewie, a Kola po powrocie przez jakiś czas mieszkał jeszcze w tej wsi, w domu siostry Elizawiety. Później przeprowadził się na kolonię i razem chodzili do szkoły.

Szkoła w Wałkach, powszechna pierwszego stopnia¹⁶, nauczała dzieci na niezbędnym poziomie; chodziły do niej sześć do siedmiu lat, jednak kończyły w tym czasie cztery klasy. Te, które chciały kontynuować naukę, musiały iść do wyżej zaszeregowanej w niedoskonałym wówczas systemie szkolnym odradzającej się Polski¹⁷.

Kola z powodu „naznaczenia losu”, o którym mówiłem już powyżej, z Wałek na ostatnie lata przeniósł się do szkoły powszechnej trzeciego stopnia w kolonii Pokaniewo, która upoważniała do dalszej nauki¹⁸. Musiał z tego powodu wyprowadzić się z domu¹⁹, zdać egzamin do gimnazjum albo do innej szkoły zawodowej na tym poziomie, ukończyć ją i dopiero myśleć, co dalej.

Nałożyło to na jego rodziców nowe obowiązki i wydatki. Jak mi po-wiedział jeden z rozmówców (Janusz Jurczuk), „Kasjan ze swoimi kolegami Hermanem i Kapralem wozili skrobany²⁰ do tartaku. Zarabiał



Maria i Franciszek
Tatarczukowie



Mama z siostrami.
Siedzą od lewej:
Gienia, szwagier Witek
Kalinowski, siostra
Helena Kalinowska,
nieznana mi osoba,
siostra Władzia Jurczuk

w ten sposób, żeby wspomóc słabiotki budżet rodziny. Część tego dochodu przeznaczał na szkołę dla Mikołaja”. Okazało się później, po latach, że warto było, bo pozwoliło to podjąć mu dalszą naukę w gimnazjum, a później studiów w wyższej szkole rolniczej.

Moja Mama Gienia zakończyła swoją edukację na szkole w Wałkach. Pomimo to czytała dużo i bardzo dobrą literaturę. Miała piękny, równy i niemal kaligraficzny charakter pisma, a jej wiedza z matematyki pozwoliła jej w młodości pracować w sklepie swojego ojca, a później bez większych wpadek zarządzać finansami dużego, ludnego i dość burzliwie żyjącego domu rodziny Nazaruków. Do dziś pamiętam piosenkę, której nauczyła się w szkole i śpiewała mi, kiedy „w kolebce dziecięciem będąc”: „Idą, idą dzieci drogą, / Siostrzyczka i brat. / I nadziwić się nie mogą, / Jaki piękny świat. (bis) / Tu się kryje biała chata, / Tam słomiany dach. / Przy niej wierzba rosochata, / A w konopiach... strach. / [...] Idą żeńcy, niosą kosy, / Fujareczka gra, / A pastuszek mały, bosy / Chudą krówkę gna. (bis)”²¹. Śpiewała ją również Igorowi, mojemu najstarszemu synowi.

O kształcenie sióstr Tatarczukówien rodzice bardzo dbali, mniej o naukę przedmiotów teoretycznych i zdobywanie wiedzy książkowej, lecz z pełną konsekwencją przestrzegali, aby nabyły wiedzę „naprawdę potrzebną w życiu”. Każda z nich: Gienia, Hela, Paulina, Stacha, Władka i Kasia²² nauczyła się prowadzić dom, gotować, robić zapasy na zimę, rozebrać świnie, przyprawiać



Rodzina Tatarczuków.
Stoją Babcia, Prababcia,
ciocia Paulina
(siostra Gieni),
Władysław, Władzia,
Helena oraz dzieci

Siostry Tatarczuk:
 Gienia, Władzia,
 Helena



i upiec mięso, przygotować wędliny i weki itp. Wszystkie nauczyły się szyć i każda od rodziców otrzymała na dalszą drogę świetną, niemiecką maszynę do szycia²³ oraz zapas materiałów na rozruch własnej działalności. Każda z nich sama wykonała sobie wyprawę (wiano): przepięknie wyszywane, na własnoręcznie wytkanym i wybielonym płótnie lnianym serwety, piękne, barwne kilimy, pościel, ręczniki i inne²⁴. Trudno było dobrze wydać za mąż córkę nawet tak mającego gospodarza, jak Tatarczuk. Dziewczyny ładne, dobrze ubrane, posiadające dobre wiano, łatwiej zwyciężały w tej wiejskiej konkurencji.

Aby kształcić się w Pokaniewie, Kola niemal na zawsze opuścił Kolonię Choroszczewo, swoich bliskich i tych, wśród których czuł się u siebie. Przyszedł czas, kiedy musiał zacząć mówić po polsku i ukończyć szkołę powszechną trzeciego stopnia. Potem miał do wyboru liceum ogólnokształcące albo inną średnią. To pierwsze było z założenia elitarne, ze specjalizacjami: klasyczną (z łaciną i greką), humanistyczną (z samą łaciną), matematyczno-fizyczną i przyrodniczą (dwa ostatnie bez tych języków). Absolwenci przystępowali do egzaminu (tzw. duża matura) i otrzymywali świadectwa dojrzałości umożliwiające dalszą naukę na wyższych uczelniach.

Takim optymistą mały Kola nie był. Wyobrazić sobie nawet trudno i nigdy by mu wówczas do głowy nie przyszło, że on Kola Nazaruk, z tych Nazaruków, co to... że on wybierze naukę w liceum. Kto pomógł podjąć mu tę decyzję? Może nauczyciel, może ciotka, u której mieszkał, a może sam tak wykombinował – nie wiem. Złożył wniosek do kilku szkół w możliwie nieodległych miejscowościach. Otrzymał odpowiedź ze Słonimia²⁵ o przyjęciu do jednej z istniejących tam szkół: gimnazjum państwowego lub prywatnego, lub jednego z dwóch seminariów nauczycielskich.

Nie wiem, która to szkoła odpowiedziała pozytywnie. Wiem, że podchwycił pierwszą z brzegu pozytywną odpowiedź, gdyż miał świadomość, że to dla niego szansa, może jedyna. No i była to szkoła zawodowa na poziomie

średnim, dawała więc jakiś konkretny zawód o specjalności rolniczej. Siedzibę miała w Grzybowie koło Słonimia, nie tak jeszcze daleko od Choroszczewa, a kulturowo i językowo mu najbliżej. I wówczas się zaczęło...

W informatorze dotyczącym przyjęcia do szkoły mieścił się spis wyposażenia, jakie powinien posiadać adept szkoły. Ten epizod jego życiorysu, który mój ojciec opowiadał najczęściej – kiedy my zaczęliśmy jojczyć (narzekać) i mówić o tym, jakie to niemodne ubranie musimy nosić, byle jaki telewizor oglądać, stare meble używać, wsiove jedzenie (znowu ta wyhodowana przez mamę gęś, jajko od własnych kur czy mięso od własnych świń) spożywać – wspominaliśmy potem z największym rozrzewnieniem.

Spis okazał się niezmiernie precyzyjny. Wymieniał liczbę i kolor garniturów letnich i zimowych oraz ich przeznaczenie, koszul i bielizny, skarpet, butów, przyborów do utrzymania higieny, strojów sportowych, spodni i butów do jazdy konnej, ubrań do prac polowych i ogrodowych (latem i zimą), nakryć głowy, w tym kapeluszy, i tak dalej. Mówił o konieczności wpłaty na uniform, czapkę i odznakę wyróżniającą uczniów tej szkoły od innych. Wówczas ludziom tam mieszkającym po prostu nie mieściło się to w głowie.

Kasjan oczywiście zaprotestował i nie chciał się zgodzić na taki wysiłek. Elizawieta miała inne zdanie, świadoma tego, jak ważne jest wykształcenie. Sama o tym wciąż marzyła i tęskniła za innym, nieznanym miejscem na ziemi. Mama Gienia wspominała niespotykane nigdy już później w życiu wielkie zaangażowanie swojej teściowej w codzienne potrzeby rodziny. Kiedy Ruscy w czasie wojny przywlekli do ich wsi tyfus, ich dom na kolonii przekształcił się w szpital. Zachorowali wszyscy. Opiekowała się swoimi i tymi spoza rodziny. Gdy bliscy i inni wyzdrowieli, zachorowała ona. Bardzo się męczyła i w kilka dni „umarła po swojemu, po spełnieniu swojej powinności” – jak mówili ci, którzy jej zawdzięczali zdrowie.

Elizawieta, mając wielki wpływ na swojego Kasjana, podjęła ostateczną decyzję: „Kola musi się uczyć. Musimy mu pomóc”. Kasjan nie widział sensu w tym, żeby jego syn, z tych Nazaruków..., próbował być inny, „człoby wyprygnął wysze żopy”²⁶, i zapomniał, co to jest prawdziwy chłop, a nie jakiś miastowy słabeusz. Ale Elizawieta postanowiła: „skazano – sdiełano”, więc zaczął się zastanawiać, kombinować i więcej pracować. Za kolejne „skrobany”, okazjnie, od starego zaprzyjaźnionego Żyda, który sprzedawał końcówki bel, zakupił materiał. Od tych, z którymi robił interesy, i tych, którym los Koli nie był obcy, pozyskał pozostałą część rzeczy. Buty i bryczesy obstałował u znajomego z Wałek; ten sam zgodził się też zrobić i buty do garnituru, sznurowane, i lico – jak u pana. Trudno było, ciężko i drogo, ale znając naszą pogwarkę Nazaruków, rzekł: „Kak naczałas’ takaja pjanka, pokroj poslednij ogórec!”²⁷, i zabrał się do dalszej roboty.

Plan był następujący: materiały zostały zakupione, a fachowcy z okolic poszyją wszystko co potrzeba – będzie dobrze i taniej, bo zrobią to za mniejsze pieniądze, najlepiej i nie oszukają. Koleżanki ze szkoły, córki od Tatarczuka, a szczególnie Gienia, wymyśliły monogram: MN i oznaczyły nim wszystkie koszule, ubrania, czapkę, nawet chusteczki do nosa i bieliznę. Gienia, nie wiedząc czemu, w tajemnicy przed siostrami zrobiła dwanaście chusteczek do nosa z wyszytym białym jedwabiem monogramem. Nawet ładnie to wyglądało: jedwabik na szaro-białym cieniutkim płóciunku, wszystko obdziergane, poprasowane i schowane głęboko gdzieś wśród innych rzeczy²⁸.

Plan zrealizowano i na pierwszy wzgląd²⁹ było wszystko w najlepszym porządku. Jednak, gdy Kola po długiej podróży dotarł do swojej szkoły i zupełnie nieświadomie zaprezentował swoje wyposażenie zakupione i wykonane z tak wielkim poświęceniem i trudem, „wypruciem sobie żył przez Ojca i Matkę”, to takiego śmiechu, wyszydzenia, oglądania i przymierzania tych wytworów przez kolegów i nauczycieli nigdy już w swoim życiu nie widział. Po tej prezentacji oraz po pierwszym odezwaniu się swoją śpiewną polszczyzną kresowo-rusko-naszą, literacką bardziej niż normalną, podbipiętowską raczej niż codzienną z podwórka, ulicy, rynku czy knajpy mową, natychmiast został okrzyknięty szkolnym popychadłem i pierdołą. Odtąd do końca szkoły musiał walczyć o poprawę swojego wizerunku. Ale czort go nie wziął. Swój pobyt w niej wspominał jak piękny, wspaniały, kolorowy sen. Nigdy nie mówił o troskach, biedzie, niedostatku. W tych opowieściach był najsilniejszy, najzwinniejszy, najbardziej dowcipny, wymyślał najlepsze figle i nigdy nie dał się złapać, podobał się wszystkim dziewczynom, najdalej i najwyżej skakał, najlepiej jeździł konno, wzbudzając ogólny podziw, świetnie tańczył, oczywiście w pierwszej parze szkolnego zespołu ludowego, a chociaż śpiewać zupełnie nie potrafił, to twierdził, że śpiewał najpiękniej, czym w szkole wśród kolegów wzbudzał nieklamany podziw.

Mówił nie po to, żeby się pożalić... Absolutnie. Przedstawiał swoją poniewierkę i trudności po to, aby poprzeć przykładem jego teorie życiową, według której człowiek może znieść bardzo dużo, a to, co nas nie zabije, to nas wzmocni, i nie ma sytuacji, nawet najgorszej, która w każdej chwili nie mogłaby przemienić się w lepszą, i w to trzeba wierzyć, że „nad naszym ogródkiem kiedyś zaświeci słońeczko”.

Mówił, mówił i przekonywał nas, że to, co nas spotkało, to betka w porównaniu z tym, co przeżył ten wąsaty, niewysoki i nie za tęgi starszy już gość w swoich grubych jak dna butelek okularach, kiedy pojechał do swojej szkoły w Grzybowie. Dopiero wtedy, w trudnych i stresowych momentach na światło dzienne wychodziły te najbardziej skrywane tajemnice mojego Ojca: słabość, poniżenie, bieda i niedostatek.

W swojej nowej szkole musiał się uczyć wszystkiego tego, co inni wysiali z mlekiem matki, otrzymali na zasadzie z ojca na syna, nauczyło ich życie i otoczenie, i co wynikało z tradycji, kultury i doświadczeń. Nie chcę wcale powiedzieć, że Kola poszedł tam bez żadnej wiedzy, przeżyć, wyrobienia, idei i innych cech, które odróżniają człowieka od innych ssaków. Posiadał je, nawet świetnie się sprawdzały w tym środowisku, w którym dotychczas funkcjonował, w otoczeniu przyrody i wśród tych ludzi, tam i wtedy. Bezpośrednio z kolonii przeskoczył w zupełnie inną rzeczywistość. Trafił do świata ludzi żyjących stadnie, lecz każdy swoim własnym życiem. Tam, na wsi, też żył sam, ale z przyrodą, z rodziną i sąsiadami, z każdym i ze wszystkim mógł porozmawiać. Tutaj, w szkole – z nikim i z niczym. Wszyscy byli tacy inni, inaczej ubrani i inaczej się zachowywali. Mówili o rzeczach, które wówczas chłopaka wyrwanego z lasu zupełnie nie interesowały, były mu obce.

Doznał szoku w stołówce, w której pierwszy raz zobaczył po pańsku nakryty stół, sztucce, serwety, konieczność zmiany ubrania na czas jedzenia z codziennego na wizytowe; w łazience, w sali sypialnej i pierwszym posiłku, który, pomimo że takiej stranny³⁰, to jednak przepyszny i bogaty, najadł się chyba pierwszy raz w swoim życiu tak cudownie. Sen na dużej, liczącej kilkanaście osób sali, przyszedł szybko po długiej podróży. Wstał doskonale wypoczęty i żył stało legcze³¹.

Kolejny szok przeżył na sali lekcyjnej, pięknej, jasnej, wywietrzonej i czystej, prosto ujutnoj³², w której siedzą już nowi koledzy, piękni i tacy pańscy. A wśród nich on Kola. Pan nauczyciel zadaje pytania, wszyscy odpowiadają, a on boi się, że kolej przyjdzie na niego. A kiedy już przyszła, on Kola, wstaje i zaczyna mówić, chociaż śpiewnie, co nieco z ruska i białoruska, ale po polsku, co w Liskowie – miejscu wielokulturowym, jak całe Wielkie Księstwo Litewskie, zamieszkałe przez Rosjan, Białorusinów, Ukraińców, Żydów, Ormian, Tatarów i Karaimów – zupełnie nie dziwi i nie wzbudza śmiechu. Mówi pięknymi zdaniem, nawiązując do wielkich kultur: polskiej i rosyjskiej, bardzo gramatycznie, wręcz podręcznikowo, bo polskiego uczył się na Sienkiewiczu, Kraszewskim, Prusie i Łozińskim, którego *Oko proroka* uważał za najpiękniejszą powieść przygodowo-historyczną jaką znał, a znał ich bardzo dużo. Wzbudziło to wielkie zdziwienie. I od tego czasu inni zaczęli go traktować normalnie, jak pozostałych chłopców, a z czasem odium popychadła z niego opadło. Okazał się towarzyski, koleżeński i przychylny w nowym środowisku, zwłaszcza że „biedny łatwiej się z innym podzieli”. Widział też, że większość chłopców, tak samo jak on, boi się, wstydzi, i nie jest zadowolona ze swojego stanu posiadania, a wszyscy też od pierwszych dni tęsknią za miejscem, skąd ich wyrwano. Ważne, że tym za bardzo się nie przejmują.

Ponadto Kola lepiej od innych znał pracę na roli, umiał obchodzić się z krową i koniem, pleć grządki, rozpalać ogień pod piecem do ogrzewania szklarni. Wiedział, skąd się biorą cielaki i źrebaki, i wcale nie było mu obce, dziwne i wstydlive cielenie, szczenienie i źrebianie się, dzięki dotychczasowemu życiu w wielkiej bliskości z przyrodą. Nawet te obce zwierzęta lgnęły do niego, w tym konie, na których na kolonii nie jeździł. Dlatego w kolejnym roku nauki został skierowany do Liskowa na roczny kurs ich hodowli, ujeżdżania i selekcji.

Najbardziej go ucieszyło to, że jego bryczesy³³ z pięknie naszytymi lejami z cielęcej skórki³⁴ i buty angielskie³⁵ okazały się najpiękniejsze i najlepsze wśród jego kolegów. Zresztą, nie ma się czego dziwić, gdyż bryczesy z lejami wykonał stary frontowiec z Wałek, co to przeciw czerwonym walczył jako ordynans jakiegoś bielogwardziejskiego oficera. A buty u nas na kolonii porządne, na obstalunek ze skóry na lico robili, szyte nie jakąś smoloną nitką, ale włosiem, i klejone prawdziwym kostnym klejem, tak że i w wodzie stać można było. To i pracowitość oraz chęć pomocy innym i dodatkowe dyżury nocne wiosną w szklarni, kiedy w każdej chwili mogły przyjść przymrozki i cała duma szkoły, wielkie i bogate szklarnie i oranżerie poszliby w prowa³⁶, pozwoliło mu szybko zaprzyjaźnić się z kolegami.

Zresztą dyżury w szklarni miały w ogóle nieocenione wręcz zalety. Tam Kola po raz pierwszy w życiu zjadł prawdziwego, wielkiego i pachnącego, dojrzałego pomidora, zerwanego z krzaka świeżego prawdziwego ogórka i coś, co pozostało w jego pamięci do końca jego życia. Był to kawon, o którym mówił mi, że ani dotąd, ani w swoim dalszym życiu niczego smaczniejszego nie zjadł. Jego chęć do pilnowania oranżerii zaczęła wzbudzać podejrzenia. Wszystko się wydało, kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach ginęły kolejne kawony w ramach doświadczalnej hodowli gatunku tych tropikalnych roślin w szklarniach zlokalizowanych w Europie. Musiał się Kola, niestety, przyznać, że pilnując ich, testował również smak poszczególnych egzemplarzy. Tylko dzięki wielkiej wyrozumiałości nauczyciela nie skończył swojej edukacji na samym początku drogi.

Uczył się szybko i dokładnie. Już po kilku miesiącach umiał wiązać krawaty, dobierać je do reszty stroju, nosić odpowiednie koszule i garnitury, czyścić buty szuwaksem³⁷, bo na erdolin albo kiwi³⁸ stać nie było nikogo. Zresztą w zabłoconych i niedopasowanych do reszty ubrania butach nikt nie wszedł do szkoły ani na stołówkę. Konieczne stały się: utrzymanie higieny osobistej, codzienna dokładna toaleta, prasowanie, czystość i wieszanie ubrania. Wiedział, jakie nosić ubranie do pracy w polu, do szkoły, na stołówkę, do kościoła i na spacer; w tym ostatnim przypadku inne w przyrodzie a inne po Słonimiu.

Po kilku miesiącach znał zasady używania odpowiednich sztuczków do podanych potraw, właściwego zachowania się przy stole, na tańczonych wieczorkach szkolnych, spotkaniach z darczyńcami i mecenasami szkoły, wizyt w gabinecie dyrektora, a także okazywania szacunku nauczycielom, starszym, a przede wszystkim legionistom. Zawsze dbał o to, żeby wyglądać estetycznie i stosownie. Czasami wzbudzało to moje zniecierpliwienie i złość, kiedy wychodziliśmy na jakieś spotkanie, a ojciec rozpytywał, kto i gdzie na nim będzie. A gdy pytałem, po co?, odpowiadał: „Żeby wiedzieć, co na siebie włożyć. Zwracaj na to zawsze uwagę. Nie musisz wyglądać pięknie i bogato. Wyglądaj stosownie”.

Dobrze też sobie radził z nauką. Miał wielką łatwość zdobywania i przyswajania wiedzy. Budował swoją pozycję towarzyską. Znał miejsce w szeregu, a takich inni lubią. Starał się być lojalny i dowcipny w grupie rówieśniczej.

Opowiadania ojca o jego przygodach w szkole towarzyszyły nam przez nasze dziecięce i młodzieżowe życie. Kilka razy słyszałem opowiadanie o tym, jak właśnie ginęły kawony, jak jeden z kolegów, zagorzały chemik amator, chcąc spróbować i zobaczyć w makroskali reakcję sodu na zetknięcie się z wodą, ukradł z pracowni chemicznej cały zapas tego pierwiastka i w niedzielne popołudnie, kiedy wszyscy uczniowie odpoczywali w przyszkolnym parku, wrzucił do stawu hodowlanego. Wkrótce dał się słyszeć długi, przeraźliwy, świdrujący świst, zahuczało, zaświeciło, a później nastąpił ni to grzmot, ni to wybuch. W stawie „zabąbelkowało”, jakby zagotowało, i eksplozja rozprysnęła na cały park wodę razem z rybami. W powietrzu fruwały karpie i spadały na cały ogród, a uczniowie biegali z wiadrami, zbierali żywe jeszcze ryby i szybkoitko nosili do drugiego stawu. Rozweseliło to kolegów, ale eksperymentator, niestety, decyzją obecnego przy tym figlu dyrektora natychmiast zakończył edukację w tej szkole.

Innym razem podczas obowiązkowych coniedzielnych wizyt w kościele mojego Kole i jego kolegę zainteresowały dwie piękne i niewinnie wyglądające panienki, przechadzające się po Słonimiu, gdy uczniowie w zwartym szyku szli przez miasto. Decyzję podjęli szybko i uciekli z kościoła (mojego Ojca, prawosławnego, męczyły msze katolickie) na podryw, a jak by się udało, to i na randkę. Jak postanowili, tak zrobili. Zawarcie znajomości przebiegło nadspodziewanie łatwo. Wielkie zainteresowanie wzbudziło u starszych kolegów to, że pierwszaki przechadzają się pod rękę z ogólnie znanymi tu „paniami”. Na pytanie, czy wiedzą, z kim spacerowali, usłyszeli odpowiedź: z nauczycielkami. Nie z nauczycielkami, ale ze zwykłymi bladziemi! – pouczyli ich tamci. Kola uwierzył i zaprzestał znajomości, natomiast kolega postanowił sam się przekonać i już w pierwszej klasie musiał odwiedzić lekarza, aby zetknąć się po raz pierwszy w życiu z popularną wówczas wstydliwą chorobą.

Mikołaj Nazaruk
po ukończeniu szkoły
w Słonimiu



Zastanawia jednak to, dlaczego ojciec w tej przygodzie siebie raczej przedstawił za frajera, zaś z podziwem opowiadał o współniku.

Były również opowiadania inne, na przykład o panu, właścicielu i rządcy, najważniejszej osobie w Słonimie³⁹ i okolicy. Kłaniali się przed nim i ksiądz, i wójt, i dyrektorzy, i rada darczyńców szkoły, Żydzi, i Białorusini, i Ormianie, i... wszyscy. Były oficer Legionów Piłsudskiego, obdarzany tak wielką estymą, wydawałoby się przedłużenie ręki, oka i słuchu samego wodza – jak mówił Kola – zachowywał się jak normalny człowiek. Rozmawiał z chłopcami pracującymi w gospodarstwie, jeździł z nimi konno, a jego własne dzieci najbardziej lubiły się z nimi bawić na gumnie, wśród świń, krów i kur. Ojciec się z tego bardzo cieszył i mitygował ich mamę, kiedy ta, pełna matczynej troski starała się wyrwać je niemal siłą z tego brudu, smrodu i nieodpowiedzialnego towarzystwa „opiekunów”, którzy przeprowadzali wszelkie możliwe z nimi eksperymenty. Na przykład, czy utrzymają się na narowistej kobyle, czy byk się wystraszy małego chłopczyka ubranego w czerwoną czapeczkę itd. Ojciec obserwował, śmiał się, nie krzyczał i nie karał za takie i jeszcze bardziej wyszukane próby. Złościł się wtedy, kiedy któryś z chłopców chciał w czymś zastąpić dziecko lub przerywał zabawę ze względu na jego bezpieczeństwo.

Pewnego razu, gdy chłopcy przyszli do szkoły, zauważyli, że wiszący w holu na klatce schodowej wielki obraz herbu polskiego zmienił swój wygląd. Poważny, budzący respekt orzeł w koronie miał wąsy i krzaczaste brwi Piłsudskiego, a w złotym i dostojnym dziobie trzymał... fajkę marszałka. Jak mówił Kola: „brakowało tylko Kasztanki”. Powstało wielkie zamieszanie. Nie bardzo było wiadomo, co z tym zrobić. Władze szkolne sięgnęły więc po ostateczny sposób. Posłały po pana legionistę, żeby podjął tę ważną decyzję. Ten wszedł i po prostu zataczał się od śmiechu, rechotał i krzyczał: „Cholera, panie, ale heca!”. Dyrektor stał wystraszony na baczność, a uczniów tak to rozbawiło, że cała szkoła wręcz się trzęsła. Legionista, po wyśmianiu się pochwalił tego, kto to zrobił za to, że tak fachowo i pięknie przyozdobił orła

cechami naszego marszałka i prosił, żeby się do niego zgłosił, bo ma talent i czeka na niego dużo roboty artystycznej. Złagodziło to stresową sytuację w szkole, a orzeł wisiał jeszcze długo na swoim miejscu, aż zginął niepostrzeżenie. I znowu zastanawiam się, skąd mój ojciec znał tak dokładnie szczegóły tego figla?

Podobnie było z innym wydarzeniem. Przed 1 Maja, na wysokiej bramie wjazdowej do szkoły i wysokim maszcie zawisł wielki czerwony sztandar. Znowu zamęt, krzyk dyrektora, brak decyzji i pan legionista przybiegł zainteresowany tym, co się dzieje u bramy. Początkowo z podziwem patrzył na wielkość czerwonej szmaty, potem zadał pytanie, gdzie taką wielką można zdobyć, i dywagował, jakim sposobem i kto mógł wleźć tak wysoko i tam ją zawiesić, po czym ogłosił konkurs z ufundowaną przez siebie nagrodą dla tego, kto tam wejdzie i to zdejmie. Próbowano kilku, a kilku spadło. Ale dla puszczańskiego Koli wdrapanie się na taką bramę to nic trudnego. Regularnie na swojej kolonii wlaził na dużo wyższe sosny, żeby wyrzucić z gniazda jastrzębie kradnące kury. Wdrapał się na bramę i maszt, i flagę zdjął. Zdobył nagrodę, lecz nikt po paru godzinach o czerwieni zapowiadającej komunizm nie pamiętał. Wszyscy mówili o konkursie, nagrodzie i o tym, jak jeden z nich zwał się na ziemię. Tylko ja się zastanawiam, czy ta łatwość wyczynu nie była wynikiem nocnego treningu, bo Ojciec nie zdradził swojej tajemnicy.

Opowiadał mi wciąż o Liskowie⁴⁰, gdzie został skierowany na praktykę do ośrodka hodowli koni. Najczęściej o tej miejscowości słyszałem, kiedy mówił mi o roli spółdzielczości w rozwoju wsi. Służyła mu za przykład teorii, dzięki której wspólne działanie pod kierunkiem słusznej idei wcielanej przez mądrego lidera może czynić cuda. I rzeczywiście doszło do tego w okresie międzywojennym w Liskowie, do którego z całego świata przyjeżdżały wycieczki, żeby zobaczyć, jak może wyglądać wieś nowoczesna na skalę Europy i świata⁴¹. Osiągnięcia wspólnoty liskowian pod kierownictwem ich księdza społecznika, a później senatora RP, były tak godne spopularyzowania i powielenia, że na mocy decyzji prezydenta państwa, odwiedzające ich ponad dwudziestoosobowe grupy, mogły korzystać z połowy zniżki na pociąg. Z czasem wieś stała się ważnym ośrodkiem szkolnym, miejscem organizacji kursów i praktyk, w tym pod auspicjami wojska dla żołnierzy. Ojciec z grupą chłopców z kresowej szkoły w Grzybowie brał też w nich udział, a przy okazji w ogólnopolskim zlocie szkół rolniczych, na którym wraz z zespołem tanecznym dumnie prezentował *Lawonichę*⁴². Bardzo się wszystkim podobała ta piosenka, którą najczęściej słyszałem w jego wykonaniu. Jeszcze mi wciąż w uszach brzmi jego kozi tenorek i te słowa: „A Lawonicha niedobra była, nieuprasowanuju soroczku dała [...], czto b mienia czort był zabił za to, czto ja Lawonichu polubił...”.

Okres grzybowski przeleciał, mignął wręcz jak z bicza strzelił. Myślę, że był to najprzyjemniejszy i najważniejszy okres w życiu mojego Ojca, jeżeli w ogóle można z życia człowieka wybrać i ocenić pewne etapy.

Analizując te lata, to najczęściej i najcieplej mówił właśnie o Grzybowie. Nie były to dla niego głównie przygody i figle. W ujęciu liczbowym można bez wątpienia ustalić, że właśnie tam najczęściej w jego życiu się wydarzyło. A więc: najczęściej się nauczył, nabył wiedzy i tej książkowej, i tej codziennej, najczęściej zaszło w nim zmian i przeobrażeń. Ponadto nadrobił zaległości w szkole, pokonał dziejowe zapóźnienia i inności kulturowe, przeszedł ogromne zmiany świadomościowe co do wartości, marzeń i oczekiwań, w wielu dziedzinach stał się jednym z liderów w tym środowisku. Bardzo go polubił pan legionista, więc nieśmiało zaczął myśleć o dalszym swoim losie.

Z jednej strony ciągnęło go do domu, do swoich lasów i drzew, do swojego miejsca wciąż w jego naturalnym ekosystemie. Zresztą coraz częściej przypominała mu się Gienia z naprzeciwka. Wyrosła, stała się piękną młodą kobietką, a oczy miała coraz bardziej szaroniebieskie, o migdałowym kształcie... Z drugiej strony – czego mam tam wracać? Do pracy w gminie albo w gorzelnii w Pokaniewie? Do domu, w którym już robi się coraz ciaśniej? Wątpiwości rozwiął legionista. Nie znam przebiegu rozmowy ani argumentów, wiem jednak, że to jego referencje otwarły mojemu Koli wrota do dalszego życia.

Do Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie dostał się bez większych kłopotów. Wspomniane referencje oraz wyniki w nauce i pracy w poprzedniej szkole zapewniły mu od samego początku stypendium socjalne i naukowe. Dlaczego właśnie Cieszyn? Miał bowiem wówczas jedyną uczelnię o statusie szkoły wyższej, która przyjmowała na studia bez ukończenia liceum ogólnokształcącego, ale nie nadawała tytułów naukowych, a więc w sam raz dla takich uczniów, jak mój Ojciec. Aby taki dyplom uzyskać, należało po Cieszynie wstąpić do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i tam naukę uzupełnić. Trzeba też powiedzieć, że uczelnia cieszyńska wykształciła do wybuchu wojny około tysiąca absolwentów, w tym wielu synów biednych rolników, jak również niemało chłopców z bardzo dobrych, bogatych, z wielkimi tradycjami naukowymi i rodowymi domów. Ale chyba równego Koli z Podlasia w jej historii nie było. Jego pojawienie się w szkole, miejsce skąd przybył, determinacja z jaką studiował i stopniowo umacniał swoją pozycję, wzbudzały ogromne zdziwienie⁴³.

Cieszyn Koli to zupełnie inne wspomnienia niż te z Grzybowa. To już przeżycia dorosłego człowieka ukierunkowanego na poważne i rozsądne budowanie swojej przyszłości. To już opowiadania prawdziwego studenta,



Kola w Cieszynie z kolegami studentami. Na nartach najbliższy przyjaciel Koli Gryc

który zdaje egzaminy, podejmuje uczone dysputy z profesorami i swoimi kolegami z kół naukowych na uczelni. Wówczas, gdy byłem małym chłopcem, te opowiadania mnie nie interesowały. Dopiero wtedy, gdy sam zacząłem dorastać, zbliżać się do studiów i później, podczas grzebania w starych, sepiowych zdjęciach i pisanych ręcznie szpargałach, stały się istotne. Na fotografiach widać młodych, chyba wtedy szczęśliwych mężczyzn, w towarzystwie nawet ładnych dziewczyn. Panowie ubrani są w modne wówczas grube buty, wysokie skarpety (getry), pumpy (spodnie) i tweedowe marynarki, a na głowach mają charakterystyczne czapki, świadczące o przynależności do jednej z korporacji studenckich. Wśród tych paniczków rozpoznałem mojego Ojca. W Cieszynie istniała wówczas tylko jedna korporacja akademicka: Kujawja, założona w 1919 roku w Bydgoszczy. Jej Cieszyńskie Koło Międzykorporacyjne w roku akademickim 1927/1928 liczyło 37, a w 1930/1931 – 26 członków. Dlatego przypuszczam, że ta dość elitarna grupa to „były za wysokie progi na Koli nogi”, a to omówione powyżej czarno-białe zdjęcie nie pozwalało stwierdzić szafirowego koloru dekla czapki tej korporacji. A zresztą, czy to ważne?

Najbliższym kolegą Koli podczas studiów był chłopiec o nazwisku Gryc, występujący we wszystkich jego wspomnieniach. Sadzę, że stanowił dla niego wzorzec. Pochodził z dobrego i bogatego domu, świetnie i modnie ubierał się, żył dostatnio i nie żałował pieniędzy w miejscowych restauracjach i na rozrywki sobie oraz kolegom na wycieczki, rekreację, sprzęt narciarski, wyjazdy w poszukiwaniu śniegu i stoków.

Ojciec w Cieszynie zobaczył pierwszy raz góry i ludzi jeżdżących i skaczących na nartach, a także zawody narciarskie, łyżwiarskie czy hokej na lodzie. A Gryc był najlepszy ze wszystkich jego kolegów w sportach zimowych. Ba, nawet udatnie konkurował z zawodnikami z innych miast i krajów. Podczas

Miłe,
studenckie życie



którychś zawodów wygrał ze wszystkimi, w tym z reprezentantami Czech, w biegach, zjazdach i skokach narciarskich i jak mówił Kola, zwyciężyłby też na łyżwach, gdyby taka konkurencja się odbywała. Trzeba tu dodać, że jedna krótsza po wypadku noga w uprawianiu sportów i brylowaniu w towarzystwie zupełnie mu nie przeszkadzała. Kola natomiast był zawsze wątłego zdrowia; wciąż doskwierał mu reumatyzm, a specyficzny na twarzy astygmatyzm powodował krótkowidztwo wymagające grubych okularów.

Chociaż o Grycu stale opowiadał, nigdy już po szkole się z nim nie spotkał. Kiedyś jednak, w latach osiemdziesiątych, ze swoimi dziećmi Dominiką i Igorem, przebywałem w Wiśle i któregoś dnia zobaczyłem, że dyrektor miejscowego ośrodka sportu i rekreacji nazywa się Gryc. Wszedłem do sekretariatu bez najmniejszych wątpliwości, że spotkam właśnie jego. Zza drzwi wybiegł starszy, zwinny i szybki mężczyzna i witał nas jak dawno oczekiwanych znajomych. Całował nas, ciesząc się z wizyty, i zaprosił do gabinetu, gdzie długo opowiadał o swoich losach, które z wykształconego rolnika agronoma uczyniły działacza sportowego. Wypytywał szczegółowo o Ojca, wymieniliśmy się adresami i zobowiązaniem kontynuowania tak niespodziewanie rozpoczętej znajomości.

Zupełnie nie rozumiałem reakcji mojego Ojca na relację z tej rozmowy. Interesował się losami Gryca i obecną jego sytuacją, lecz całkowicie zbywał plany spotkania się z dawno niewidzianym kolegą. I nigdy na tym świecie do tego nie doszło. Do Cieszyna także po skończeniu studiów nie pojechał. Kiedyś, jadąc na jakąś wycieczkę za granicę, nocą przejeżdżał przez to miasto, lecz nie wyszedł z samochodu i nie popatrzył, jak teraz wygląda.

W ramach praktyki odbywanej podczas studiów oraz w ostatnim roku pracował w majątku Zabłocie jako zarządca do spraw upraw. Swoje obowiązki traktował bardzo poważnie. Za punkt honoru postawił sobie doprowadzenie tego gospodarstwa do bardzo wysokiego poziomu. Pracowali tam razem ze swoim kolegą ze studiów. Jeden zajmował się hodowlą, a drugi uprawą

roślin. Było różnie. Z problemami zawodowymi radził sobie doskonale. Zdobył wielki szacunek u właścicieli i u robotników rolnych. Podziw wzbudzała jego fachowość oparta na doświadczeniach praktycznych oraz wielka bezpośredniość w stosunkach międzyludzkich przy jednoczesnym zachowaniu godności, dystansu i poszanowania rozmówcy, bez względu na jego pozycję społeczną.

Gorzej było z codziennym życiem dworskim, które wspominał jako gehennę. Złożyło się na to od razu kilka kwestii, w tym codzienna konieczność wielkiej mobilizacji w pracy i kontaktach z innymi ludźmi; świadomość tego, że wciąż się jest obserwowanym i ocenianym; dziwny status młodego inżyniera, świadczącego pracę, ale też pretendującego do towarzystwa, a więc uczestnika biesiad, przyjęć i rautów, zasiadającego przy wspólnym stole z gospodarzami i właścicielami, jak również z licznie odwiedzającymi majątek gośćmi przeróżnej proveniencji; pozycja nuworysza, który wszystko poznaje, nie potrafi pozbyć się zdziwień, chłopskiej naiwności i dobroduszości; wreszcie ciągle kontrolowanie się podczas posiłków w salonie na stole zakrytym obrusem, a na nim podanej prawdziwej porcelanie z prawdziwymi srebrnymi sztucami.

Musiał bardzo wcześnie rano wstawać. O wpół do czwartej rozpoczynał się udój i do roboty przychodzili chłopci. Siadał na konia, na którym obowiązkowo jeździł wierzchem, ubrany w stosowny do tego celu strój, i rozprowadzał ludzi do prac polowych. Przychodził do domu wziąć prysznic, po czym wypachnić się, żeby nie było czuć polem, obornikiem czy innym naturalnym zapachem. Wkładał jasny garnitur, stosowny do spotkania przy śniadaniu, pierwszy wchodził do jadalni i czekał, kiedy zejść się gospodarze i goście. Do stołu mógł zasiąść ostatni, i to na końcu, wraz ze swoim kolegą ze studiów, który tam również pracował. Jeść śniadanie należało nie za szybko i nie za wolno, od stołu odejść ostatni i w sposób niezauważalny do roboty, opuszczając kawę, spacer i rozmowy. Nie miał prawa powiedzieć, że nie zje śniadania ze względu na pracę. Nikt tego nie brał pod uwagę. Miał obowiązek, wręcz niepodlegającą jakimkolwiek odstępstwom powinność, nienagannie ubrać się do śniadania i zjadać je w salonie z państwem, które szło pić kawę na tarasie, rozmawiać i spacerować, gdy on zakładał ubranie robocze i na koniu wracał do roboty.

Do obiadu musiał założyć średniociemny garnitur, dokładnie tak samo być pierwszym w jadalni i ostatnim z niej wyjść, a po obrzędzie i zakończeniu pracy wdziać ciemny garnitur i prowadzić konwersację do końca kolacji, która trwała do dwudziestej drugiej, a nawet do północy. Najprzyjemniej spędzali tam czas goście, których głównym obowiązkiem było być, jeść, pić i prowadzić dysputy. Kola jednak musiał wstać o świcie, potem ciężko pracować i dlatego ten codzienny rytuał wydawał się mu najtrudniejszy. Zapewne też

z tego powodu, pomimo próśb i zachęt, po obowiązkowej praktyce i stażu po studiach opuścił Zabłocie. Właściciele majątku bardzo dobrze go zapamiętali i utrzymywał z nimi stałą korespondencję. Gdy w 1939 roku dotychczasowi dobroczyńcy uciekali z kraju przed ruską nawałnicą, chcieli zabrać go jako doradcę, pomocnika, osobę do towarzystwa. Wciąż jeszcze żywe polityczne przekonania zaurozonego październikowym zrywem robotników syna biedniaka i bieżenca, a przede wszystkim świadomość własnej wartości i godność proletariusza nie pozwoliły mu iść z nimi. Nie mógł przecież uciekać, gdy do jego ojczyzny przychodzą ci, dzięki którym zapanuje tu wreszcie sprawiedliwość.

Odmowna decyzja nie przyszła tak nagle. Już wcześniej zauważył, że nie za bardzo może identyfikować się ze swoimi, których opuścił. W tym czasie nabył bardzo dużo wiedzy, poznał wielu mądrych ludzi, rozmawiał z bogatymi i biednymi. Od jednych i od drugich słyszał wciąż krytyczne opinie o tym, co dzieje się w Rosji, i jak ten zryw, wydawałoby się szlachetny, wygląda po kilkunastu latach. Słyszał o wielkim głodzie w całej Rosji, a nawet na najżyźniejszej w Europie Ukrainie, i o wielkim, masowym wyniszczeniu duchowości, kultury, zabytków i ludzi wykształconych, inteligencji, czyli tych, do których i on się zalicza. Coraz częściej próbował „wyprzeć” swoje wspomnienia i przekonanie o konieczności wywieszenia tej czerwonej szmaty na maszcie w bramie szkoły w Grzybowie. Coraz częściej zaczął odczuwać wątpliwości...

I mimo tych wątpliwości opuścił dwór. Może powodem tego była Gienia, z którą wciąż prowadził korespondencję? Po opuszczeniu majątku zatrudnił się w urzędzie ziemskim, bliżej swojego gniazda. Dostał pierwszą pracę na państwowej posiadzi i pierwsze pensje. Wtedy to po raz pierwszy, zgodnie z prawdą, mógł powiedzieć: nie dumał żyt' bogato, no przyszł⁴⁴. Władza płaciła urzędnikom ziemskim godziwie, żeby nie przyszło im do głowy dać się korumpować. Pensję otrzymał tak wysoką, niemal niebotyczną, że trudno było sobie to wyobrazić; mógł za nią kupić miesięcznie kilka krów. Ponadto miał opłacone piękne mieszkanie, deputat finansowy na utrzymanie konia i bryczki, którą poruszał się po scalanych gruntach. Od razu znalazł się w elicie miasteczka, a także na liście dostawców żydowskich, którzy na miejsce przynosili wszystko, co do życia potrzebne, nie czekając na zapłatę, co świadczyło o pewnym zaufaniu w tej miejscowości. I tylko wciąż powtarzali: „Nic nie trzeba podpisywać. Pan pracuje – to zapłaci ...”.

Prawdziwa miłość Koli zaczęła się wtedy, kiedy skończył swoją szkołę średnią. Z jego korespondencji z Gienią wynikało, że na przeszkodzie stała im po prostu wielka niechęć jej ojca – swojego dziadka Franciszka, miejscowego bogacza – wobec tego Kasjaniuka, co to ledwo skończył jakąś tam naukę,

a już miesza mu w interesach. A co będzie, jak się wyuczy? Kola jako biedniak, w imię idei sprawiedliwości społecznej i ogólnego dobra, podjął bój z kulakami. Wybrał drogę pokojową. Po jego namowach i szeroko prowadzonej podpolnej rabotie (z ros.: nielegalna praca) chłopci założyli spółdzielnię i od razu otworzyli sklep, zaczęli sprowadzać towary, zbijać ich ceny. Organizowali szkolenia i pogadanki, założyli świetlicę oraz sprowadzali różne książki, które mówiły chłopom o nowinkach, reklamowały dobre, potrzebne, a niedrogie produkty, i uczyły, że nie można dawać się wykorzystywać. Nie był więc Kola wymarzoną ziemią dla Franciszka Tatarczuka.

Przyszło to, do czego nie był zupełnie przygotowany. Nagle, jak za pomocą czarodziejskiej różdżki, zaczął żyć w dotychczas nieznanym dostatku. Młody, wykształcony, świetnie postrzegany przez miejscowych, bo taki swojski i nasz, nie mógł przełamać się, aby z tych dobrodziejstw korzystać. To jakoś nieudobno (z ros.: nie wypada).

Wrzesień 1939 – znowu Rusczy. Przyszli bronić przed Niemcami naszych prawosławnych, mówiących nie po polsku. Nie po polsku, ale i nie po rusku. Więcej: nie po białorusku i nie po ukraińsku... Mówili „po swojemu”. Dlatego Ruskim było bliżej do nich niż Polakom. Oni tak uważali i przyszli. Kola bardzo przeżył to wkroczenie Rosjan na ich – swojsko mówiących – odwieczne tereny, należące do ludzi nikomu niewadzących, żyjących po naszymu, wolno, cicho, według odwiecznego, niezmiennego ładu, z poszanowaniem każdego, każdej władzy i każdego porządku. Pamiętał jeszcze wędrówki przed, w czasie i tuż po rewolucji: piekącą biedę, głupotę, dzikie niszczenie dóbr i wyniszczenie się wzajemne, po czym okazało się, że nikomu nie byli potrzebni. Ani Cerkwi, ani Rosji, ani później bolszewikom i Sowietom. Na szczęście dostali po łapach i musieli uciekać.

Teraz z kopytami weszli w życie prywatne Koli, prawosławnego, ale niepraktykującego, i raczej agnostyka o racjonalnych podstawach, którego mieli bronić komuniści, zaczynający swoje porządki od niszczenia cerkwi i popów. Kiedyś, przed kilkoma laty, powiedziałby, że „na swoich bagnetach wnosili sprawiedliwość, równość i braterstwo ludzi pracy”. Teraz widział już, że ani na bagnetach i ani nie były to te hasła. Po raz pierwszy musiał zapomnieć o tym, że nie należy do awangardy biedniackiego chłopstwa i że nie ma kontaktu z burżujami i krwio pijcami, tymi proklatymi panami. Ba, sam musiał robić wszystko, żeby go nie uznali za pana i nie potraktowali zgodnie z rewolucyjną sprawiedliwością. Jednocześnie nie mógł i nie chciał porzucić swoich przekonań o sprawiedliwości społecznej, równości wszystkich ludzi w dążeniu do szczęścia i dobrobytu. Tymczasem życie zaczęło pokazywać to, czego nie mógł sobie nawet wyobrazić, że kiedykolwiek nastąpi taka niespodziewana zmiana miejsc. Właśnie wtedy z dnia na dzień z myśliwego

zupełnie bezwiednie stał się zwierzyną. Ci sami dostawcy żydowscy, pokorni i „pełni dobroci i zaufania”, wraz z przyjściem Ruskich postawili bramy powitalne, przywdziali oznaki identyfikujące ich z wyzwolicielską armią i zaczęli robić swoje porządki, wprowadzać nową sprawiedliwość. Nie oszczędzali nikogo w swoich donosach i denuncjacjach, nie pytali, kim jest, skąd przybył, z jakiej rodziny się wywodzi. Ważne było to, że bogatszy od pozostałych, ma lepsze ubranie, z pańska wygląda i z pańska gada.

Dziwna to była okupacja. Nie wolno było przechodzić granicy z Polską ani iść na handel czy odwiedzić znajomych i rodziny po tamtej stronie. Posterunki graniczne, żołdaci wcale nie strzelali, nie bili, tylko odpychali tych, którzy pomimo zakazów szli sobie całymi grupami do swoich. Nagle, z dnia na dzień, wszystkiego zaczęło brakować w upaństwowionych sklepach, gdzie słyszało się tylko: nie dowieźli. Początkowo, co tylko dało się nabyć, wykupili albo ukradli Ruscy i przybyłe z nimi kobiety, zainteresowane głównie kolorowymi, kwiatowymi materiałami, z których szyły swoje modne sukienki, aby nosić je z wielką dumą dam gospodarzy tych ziem. Później faktycznie już nie dowieźli⁴⁵ – i to wszystkiego, co było niezbędne do życia – po prostu zaopatrzenie sklepów zrównało się po tej i tamtej stronie.

Początkowo sporadyczny, przemysł stał się powszechnym źródłem dochodu, najczęstszym zawodem i najlepszą, bo śmieszoną przygodą. Chłopi nie mogli zrozumieć, dlaczego nowi gospodarze nie reagują wcale na łamanie przepisów. Ale niestety, tylko do czasu. Jednego dnia bez uprzedzenia podstawili samochody, wzmocnili posterunki i zgarnęli wszystkich wracających z przemysłu w tym i w kolejnych dniach. Potem gdzieś ich wywieźli, skąd nigdy nie wrócili.

Tuż po wstąpieniu Ruskich, niemal drugiego dnia, przyszedł do urzędu nakaz pracy dla Koli w nowo tworzącym się kołchozie. Było mu to nawet na rękę. Wyjechał szybko z tego miejsca, gdzie pierwszy i ostatni raz poczuł własny dobrobyt, który ledwie się zaczął, a już musiał się kończyć. Przestraszył się tego, że zapomniał o swoich ideach, strachu, wstydzie i poniżeniach oraz o swoich, którzy mieszkali niedaleko. Właściwie to nie wyjechał, ale zasłaniając się nakazem pracy,

uciekł stamtąd, nie żegnając się zbyt wylewnie.

Czekała już na niego praca w majątku, który stał się kołchozem; objął w nim stanowisko specjalisty do spraw hodowli w rejonie, ze szczególnym naciskiem na to tworzące się gospodarstwo. Znał je i jego właścicieli, korespondował z ich dziećmi i w skrytości ducha wiązał z nim nadzieję na swoją przyszłość.



Kola w okresie sowieckiej okupacji. Zdjęcie z nakazu pracy

Najbardziej go pociągała piękna i bogata biblioteka, poznał prześliczne i dostatnie, pełne wszelkiej porcelany kredensy; wspaniałe park z ciągnącymi się wzdłuż i wszereż wiekowymi, kasztanowymi i lipowymi alejami; ale także podziwiał świetne zarządzanie dworem, nowoczesną hodowlę rasowego wówczas bydła i stajnie oraz namiętnie uprawiane przez państwo i ich gości jeździectwo. Widział w nich pierwszy raz prawdziwych daczników, tych ze swoich dawnych marzeń, i gdyby to było wówczas możliwe, sam chciałby zostać jednym z nich.

Gdy dotarł do majątku, właścicieli na szczęście już nie było. Udało im się zbiec do Polski. Jeden z ich synów, najmłodszy, pozostał. Z Syberii nie wrócił. Szpalery drzew z parku też zniknęły. Okoliczne chłopstwo i nowi właściciele wycięli je w pień i spalili w swoich chłopskich i kołchoźniczych piecach. Wszystko, co się dało wyrwać ze ścian: okna, drzwi, meble zginęło bezpowrotnie. Najprawdopodobniej rzeczy te spotkał los drzew ze szpaleru.

Piękne, skórzane, tapicerowane meble w salonie (krzesła i sofy) zostały, ale bez siedzeń wyciętych nożem, gdyż skóra posłużyła na łąty do żołdackich łapci, dumnie zwanych: sapogi. W bibliotece zaścieniały podłogę książki zwalone z półek wyniesionych i chyba spalonych. Nie chciały się widocznie palić, bo świadczyły o tym pozostałości kilku niewielkich ognisk bezpośrednio na pięknym zabytkowym parkiecie, z resztkami zwęglonych druków. Nie nadawały się nowym gospodarzom nawet do zagotowania kąpiatoku albo przyrządzenia sławetnej zupy z bagnetu lub gwoździa, którą przeważnie odżywiali się emisariusze socjalistycznej cywilizacji, gdy nie udało się czegoś zrabować czy po prostu zabrać.

Wszystkie pomieszczenia we dworze, podobnie jak w Miłoszowej *Piosence o porcelanie*, zaśmiecała zawartość kredensów, ale już bez nich. Wokoło walały się pozostałości zastawy stołowej, uwagę zaś zwracało to, że pośród tych skorup nie było zupełnie talerzy, misek ani półmisek, a jedynie potłuczone filiżanki, sosjerki, dzbanuszki do kawy i śmietany, a więc wszystko to, co w swojej niezniszczonej formie posiadało uszko. Sprawę wyjaśnił miejscowy chłop, dworski stróż: „Talerze, miski i półmiski zabrali chłopci, a wszystko, co miało uszka to Sasza pobił bagnetem. Mówił, że uszka zrobione są ze złota, to i zaczął odbijać wszystkie od filiżanek i dzbanuszków. Jak on odbijał, to i te filiżanki, dzbanki i inne popękały. Ale talerze zostawił, bo złotych uszek nie miały. Szkoda, bo tylko dwór zaśmiecił”.

Sasza, żołnierz rewolucyjnej Armii Czerwonej, oddelegowany został do nadzoru nad miejscowymi stróżami. Kola początkowo nie wierzył, że słowa chłopca mogły być prawdą. Jednak po kilkunastu dniach, kiedy Sasza uznał go za swojaka, pokazał mu swoje skarby, cały woreczek połączonych uszek, poobtrąconych z dworskich filiżanek i dzbanuszków. Na wszelki wypadek

powiesił go sobie na szyi, bo obawiał się, że nagle przyjdzie rozkaz powrotu czy wymarszu, to on nie zdąży znaleźć swojego złota? A tak – szczęśliwy w rękę trzymający.

Inny nowo przybyły funkcjonariusz nowego porządku wyglądał na wyjątkowego wielbiciela zegarków, bo widziało się na jego rękach po kilka. Najprawdopodobniej zerwał je z rąk miejscowych obywateli, którzy woleli oddać czasy (z ros. zegarek) niż życie. On znał doskonale ich wartość materialną i prestiżową w ówczesnej rzeczywistości i po prostu robił biznes.

Do obowiązków Koli należało namawianie miejscowych chłopów do wstąpienia do kołchozu i tym samym poparcie radzieckiego porządku. Za ostatnie pieniądze kupił skórzany płaszcz i czapkę od czekisty moczymordy, który wszystko sprzedał, przepił i strzelił sobie w łeb. Od rodziny (ojczyzny) na wyposażenie urzędnika dostał konia, a właściwie wychudzoną zajeżdżoną, ochwaconą, ledwo trzymającą się na nogach szkapinę. Wcześniej był to niziućki, ale silny i wytrzymały stepowy konik, który przywędrował pod jakimś służącym w ówczesnej armii radzieckiej Czerkiesem albo skośnookim Kałmukiem, których w niej było bardzo dużo. Kola opiekował się swoją kobyłką. Karmił ją, smarował maścią, pielęgnował odklejające się ochwatem kopyta. Po kilku tygodniach stała piękna jak malowana. Zaczął na niej jeździć, wzbudzając jej urodą ogólny podziw. Trwało to krótko. Na drodze, gdzieś z dala od władzy, napotkał przejeżdżający oddział ruskiej jazdy. Nawet nie próbował negocjacji, doszło do pomieniamienia czy machniom i po kobyłce pozostało tylko wspomnienie. Został więc z delikatnym, zajechnym, ochwaconym i ledwo trzymającym się na nogach arabem o pięknych i wciąż lekko zażawionych oczach. Prawdopodobnie oficer wcześniej z kimś innym zrobił numer z wymianą i wspaniałego konia z którejś z wielkich i znanych polskich stadnin, może nawet ich chlubę, spotkał wątpliwy zaszczyt służenia w ruskiej armii. I znowu musiał zaczynać od nowa karmienie, opiekowanie się, właściwe ujeżdżanie...

Tu, na nowych terytoriach, świeżo włączonych do wielkiej strony SSSR (CCCP)⁴⁶, Kola zbyt wielkich sukcesów zawodowych nie odniósł. Bardziej przyjaźnił się z okolicznymi rolnikami i poznawał ich problemy, niż starał się zapisywać ich do kołchozu. Uczestniczył w naradach chłopów z poszczególnych wsi. Zabierał głos, lecz nie bardzo go słuchali, dając do zrozumienia: „My wiemy swoje”. Najbardziej zapamiętał spotkanie, na które przyszedł gospodarz, uczestnik wojny z Finlandią, w której Ruscy dostali łupnia i musieli się wycofać, ale po drodze zajęli wielką część Półwyspu Karelskiego. Były żołnierz opowiadał swoje wojenne przygody, czym wzbudzał wielkie zainteresowanie. Oto próbka jego spostrzeżeń: „Słuchajcie, tam u tych Finów wszystko takie piękne, czyste, jasne i światłe. Domy murowane, duże,

niezasłonięte niczym okna, czyste obejścia i bogactwo, co aż się przewala. Ale jest jedna straszna i okropna rzecz. Rzygać się chce i teraz, bo oni po prostu srają w domu. Mają takie porcelanowe miski w komórkach koło pokoju, a nawet kuchni, i tam załatwiają się, tak jak my za stodołą”. Tego chłopci już słuchać nie mogli, bo wszystkich zemdliło na myśl o tych bezceństwach i domagali się jak najszybszego ucywilizowania Finów.

Ze swoich zajęć Kola cenił sobie najwięcej pielęgnowanie kolejnych koni. Poza tym utrzymywał znajomości i kontakty zarówno z miejscowymi, jak i z najeźdźcami. Mniej zajmował się własną robotą, wyjątkowo zresztą parszywą. Płaca za nią właściwie na nic nie wystarczała, a nawet gdyby było inaczej, to i tak oprócz wódki i durca⁴⁷ nic za to kupić się nie dało. Z pustkami w sklepach nawet Żydzi nie mogli sobie poradzić.

Porozumiewanie się w języku okupantów kłopotu mu nie sprawiało. Życiorys, który bez przerwy musiał pisać, miał bardzo dobry. Nikomu nie szkodziło, a pracę we dworze udało się jakoś ominąć dzięki rozbudowanemu opisowi swojego biedniackiego pochodzenia. Dostał malutki pokoik na strychu budynku siedziby miejscowych władz. Liczył na to, że uda mu się tutaj schować i przetrwać najgorsze. Nie przypuszczał wcale, że ta cała zawierucha tak się wydłuży. Główną cechą tego stanu, który teraz zapanował, była tymczasowość. Warto zauważyć, że chociaż Ruscy z Niemcami pakt Ribbentrop–Mołotow podpisali, to jednak nie stali się ich sojusznikami. Kola i jego otoczenie, nawet członkowie miejscowych władz, byli przekonani, że to niebawem padnie. Większość ludzi na to czekało.

Czekał i Kola. Wędrował po okolicy. W sprawozdaniu napisał, że nikt się nie zgodził wstąpić do kołchozu. Spotykał się z kolegami z pracy i z kierownikiem urzędu przy alkoholu, by toczyć niekończące się dyskusje na tematy współczesne. Z czasem atmosfera i wzajemne relacje między szkolącymi a szkolonymi bardziej się ociepliły. Podczas tych spotkań zapominał się i opowiadał o tym, czego na studiach się nauczył, co zobaczył w Liskowie i poznał we dworze podczas praktyki; o nowych metodach gospodarowania, hodowli, rasach zwierząt; o nieprawidłowym gospodarowaniu na słynnych w świecie czarnoziemach na Ukrainie; o swoich wykształconych kolegach, nowych filmach i książkach i w ogóle innym życiu gdzie indziej.

I nikt nie zapytał, skąd on o tym wszystkim wie; i nikt nie zwrócił uwagi na to, że jakoś inaczej wygląda, porusza się, mówi, ubiera i ma pańskie ręce. Słuchali go koledzy i kierownik (stary rosyjski Żyd, z nakazem pracy skądś z Ukrainy), a spotkania przeciągały się często do późnych godzin. Obowiązywała jednak bezwzględnie zasada: „Po pracy możemy bawić się jak kumple, ale do pracy należy przyjść o czasie, bez oznak wczorajszej biesiady”. Oficjalnie więc zwracali się do siebie tylko: towarzyszu... i dokładnie zachowywali hierarchię

władzy i znali w niej swoje miejsce. Bez żadnego spoufalania się, bliskości i ulg w pracy pomimo wczorajszej wódeczki i rozmów po duszom (szczerych).

Pewnego czerwcowego dnia pod koniec pracy Kola został zawezwany do pokoju kierownika, a ten oznajmił swoją wizytę w jego mieszkaniu. Zapowiedział i kazał wyjść.

Zupełnie niespodziewanie, późną nocą, wślizgnął się do pokoju. Nie pozwolił zapalać więcej światła, niczego nie podawać i nie robić żadnego zamieszania. Tak jakby go w pokoju nie było. Powiedział krótko: „Przygotuj się do podróży, bądź w pogotowiu. Mają na ciebie papiery. Doszli do twojego wykształcenia i roboty we dworze. Jesteś jednym z pierwszych do wywózki w dalsze regiony Rosji. Ty niebezpieczny dla Sowietów, bo nie popierasz kolektywizacji i krytykujesz nasze sowieckie, miczurinowskie metody gospodarki rolnej. Tam gdzie pojedziesz, też będziesz pracował i to ciężko. Tam ty potrzebny, tu ty niebezpieczny, bo biesprizornyj (bezdomy)”.

Rano kierownik czekał przy biurku Koli. W obecności pozostałych kolegów z pokoju powiedział, że z rajkomu⁴⁸ przyszedł rozkaz zmodernizować stado hodowlane kołchozu. Trzeba do tego zdobyć zarodowego buhaja i przystąpić do wprowadzania nowej rasy krów. „Wy wczoraj, towarzyszu Nikołaj Kasjanowicz, podczas szkolenia mówiliście o tym, w jakich majątkach w Polsce można by takie krowy znaleźć. Dostaniecie więc oddelegowanie do znalezienia takiego buhaja, jakiego nam trzeba i o jakim pisaliście w raporcie. Tu macie komandirówkę (delegację) i kwity dłużne CCCP⁴⁹, których wystarczy na zakup nie jednego, a kilku buhajów, i jeszcze na krowy zarodowe, gdybyście chcieli. Zgodnie z procedurami panującymi w czasie wojny – wykonać natychmiast! Do wykonania zadania odmaszerować! Samochód jadący w stronę granicy wyrusza za piętnaście minut” – powiedział, wręczył „kwity” bez zmrużenia oka i jakby nigdy nic poszedł do swojego pokoju.

Ta konsekwentna, podniosła i nieludzka wypowiedź oraz niespotykana dotychczas postawa kierownika służbisty wzbudziła ogólne wzburzenie i zdziwienie, a nawet współczucie pozostałych pracowników. Kola tak to również przyjął, szybko co możliwe zabrał i co wczoraj udało się, zapakował tak, żeby nie wyglądało na to, iż został uprzedzony o wyjeździe. Wiele rzeczy schował z myślą o powrocie, a z części porobił paczki i pozostawił z dyspozycją, co z nimi uczynić, gdyby nie udało mu się wrócić.

Odjechał bez zbędnych ceregieli, jak funkcjonariusz do wykonania zadania. Nikomu nie powiedział o prawdziwym celu delegacji. Zachowali to w pamięci tylko on i jego kierownik. I jakoś tak zostało to do końca jego dni. O swoich doświadczeniach „za Sowietów” mówił niewiele, a jeżeli już to bez szczegółów, które pozwoliłyby zidentyfikować miejsce jego pobytu w tamtym czasie. Kiedyś – bardzo mało to pamiętam i widzę jak przez mgłę

– Ojciec podczas jednej z naszych podróży pokazał mi: „o, tu trzeba skręcić i można dojechać do dworu”, a z opowieści wynikało, iż spotkał go los taki, jak opisałem powyżej. Chyba wtedy opowiadał o Saszy i uszkach filiżanek... Częściej mówił o swoich kolegach i kierowniku, któremu najprawdopodobniej zawdzięczał życie. Jednakże wspomnieniom tym brakuje precyzji, żeby podjąć poszukiwania tego miejsca i tamtych ludzi.

A może było zupełnie inaczej?

Tuż za rozwidleniem dróg, za miasteczkiem, stary gruzowik (ciężarówka), na pace którego Kola wyruszył w podróż, natychmiast się zepsuł i to tak trwale, że nie do naprawienia, a czekać nie było na co. Pozostało więc podróż kontynuować pieszo. Szedł przez wsie pozajmowane przez Ruskich i wszędzie widział spokój, ale jednocześnie wyczuwało się jakieś napięcie. Ludzie stali przy płotach i przyglądali się idącym po wiejskiej drodze. Nikt nie szedł do roboty ani nie usiadł na ławeczce tuż przy drodze, choć przy niemal każdej zagrodzie wówczas znajdowała się taka i tradycja ta przetrwała do dziś. Wszyscy patrzyli w stronę zachodu, w którą Kola przeszedł już kilka pierwszych wsi, wzbudzając duże zainteresowanie i zdziwienie. On jeden, dziwnie ubrany, tak z pańska, w letniej czapeczce z daszkiem i w przyciemnionych okularach, szedł w zupełnie innym kierunku. Naprzeciw.

Później zaczął już obchodzić wsie, żeby zejść z oczu ludzi. Wieczorem skrył się w stogu siana. Nie na długo jednak, gdyż okoliczni chłopcy zauważyli go, złapali i zawlekli do wsi, wrzeszcząc, że mają szpiona! Przeprowadzili go do sołtysa, który ciągle gadał i tylko w krótkich przerwach Kola tłumaczył się, że ucieka przed zsyłką albo śmiercią, prosił go o uwierzenie, pokazywał dokumenty i swoje tobołki. Sołtys nie ufał mu, ale także nikt inny nie uwierzył. „Bo jak to – mówili – przed władzą radziecką, co to przysła nas oswobodzić, uciekasz? Co ty, z uma zaszoł?”⁵⁰. Nikt nie słuchał, sołtys gadał, Kola opowiadał o kołchozowym życiu. W tych okolicznościach był niewiarygodny, bo ktoś mu uwierzy, że oto w dniu, w którym Niemcy ruszyli na Sowietów, łamiąc wszelkie umowy, a służby ruskie niemal natychmiast uciekły, znalazł się obywatel, który idzie pieszo do Polski kupić zarodowego buhaja do kołchozu, którego już nie ma. Musi to bez wątpienia szpieg! Niemcy go przysłali. Ale my nie damy łatwo swojej wioski, nawet jak i szpiega przysyłają te faszystowskie swołoczne.

Sołtys miał do wyboru dwa rozwiązania: albo powiesić go od razu, zabrać tajne papiery i na jutro dostarczyć do rajkomu; albo teraz zamknąć do komórki, a czut’ (z ros.: ledwo) świt i szpiona, i dokumenty przekazać władzom rejonowym. Ponieważ zaczęło się robić ciemno, a chłopcy widzieli, jak starym gruzowikiem wszyscy urzędnicy uciekali, postanowił Kola i jego

bagaż zamknąć do... chlewika po świniach. Wolny przecie stoi i rychtyk (gw. akurat) dobry na więzienie, a że bliżej niż komórka, to i na oku będzie szpion proklatyj!

Całą noc coś się mełło we wsi. Jedni przychodzili do sołtysa poradzić się, drudzy ładowali furmanki i wzorem swoich przodków z piętnastego roku podejmowali ucieczkę przed Niemcami. A jeszcze inni pili i głośno śpiewali na ławeczkach swoje rzewne, smutne, jękliwe wręcz, zadumczywyje i sierdceszczipatielnyje pieśni, mocno zaciągając i pomijając końcówki zdań muzycznych. Im więcej horiełki (gorzałki), tym śpiew ten wzmacniał się, aż serce rwało się z piersi. W step, nad Don, a nawet do Chabarowska czy na Kamczatkę, aby tylko nie stać i nie czekać na to, co przyniesie Niemiec.

Rano, gdy się rozwidniło, Kola stwierdził, że chlewik to nie żadna forteca. Popchnął raczej symboliczne drzwi i wyszedł ze swojej tiur'my (więzienia). Nikogo na gumnie nie było. Uporządkował ubranie, obmył się przy studni, nawet się ogolił. Nikt na niego nie zwrócił uwagi. Można było odnieść wrażenie, że nikogo nie ma. Gdy się dokładnie rozejrzał i oswoił z miejscem, stwierdził, że znajduje się w gospodarstwie niemal w środku wsi. Z oddali słyszał podniesione głosy damskie i męskie, przeplecione tubalnym i dudniącym głosem sołtysa.

Z chaty wyszedł staruszek. Powiedział, że w nocy Niemcy gościńcem przeszli i poszli dalej. Do wsi wjechało tylko kilka motorów z koszami z boku, popatrzyli co i jak, i pojechali, nic nikomu nie mówiąc. Wszyscy poszli radzić, co dalej. Poczęstował Kolę mlekiem z porannego udoju. Dał kromkę chleba i poszedł sobie.

Kola wyszedł na drogę, minął deliberujących mieszkańców i ruszył dalej. Nikt na niego nie zwrócił uwagi, chociaż wszyscy go widzieli. Szedł prosto do Wólki, a przy okazji postanowił odwiedzić swoich bliskich. Drogą ciągnęły niekończące się kolumny wojsk niemieckich. Przesuwały się grupami, poprzedzianymi przez oddziały motocyklistów, które jako forpoczta sprawdzały drogę.

Gdy pierwszy raz Kola zauważył, że naprzeciwko niego zbliżają się Niemcy, natychmiast uskoczył z drogi i schował się za drzewo, zza którego po raz pierwszy zobaczył prawdziwych Niemców. Obserwował z zainteresowaniem i robiło się mu coraz bardziej smutno. Szli równym szykiem. Każdy z nich świetnie ubrany, chłop w chłopu w dopasowanych mundurach moro z podwiniętymi rękawami. Każdy z nich posiadał taki karabin, jak jego kolega z boku, i każdy miał buty. A najsmutniejsze to, że zajmowali wielki kraj, szli i jechali sobie drogą w trakcie ataku i nikt im nie przeszkadzał. Zaczął iść lasem, ale pomyślał, że będzie wyglądał, jakby skradał się przed wojskiem i podejrzanie ukrywał. Spróbował wyjść na drogę i pozostał na niej. Podjechał

do niego motocykl, a siedzący na nim żołnierz powiedział: „Papieren”. Kola pokazał swój ruski paszport, na szczęście pomimo swojej naiwności nie pokazał kamandirowki. Musiał głupio i dobrodusznie wyglądać na tej drodze w lesie, z pakunkami w ręku, jeżeli Niemiec popatrzył w dokumenty i na niego, i pokazał mu ręką, żeby szedł poboczem. Nikt go już nie zatrzymywał, zresztą miał niedaleko do swoich dalszych i bliższych. Zaszedł tam we wczesne popołudnie, tuż po obiedzie.

We wsi rozlokowała się niemiecka kuchnia polowa, która zajmowała cały dość duży plac. Właśnie kończyli gotować kolejną porcję jedzenia dla przejeżdżających oddziałów i kolumn. Spokój i porządek we wszystkim Kola widział po raz pierwszy, w tym jak wojsko podchodzi po jedzenie i jak odjeżdża. Luz jak na pikniku, a nie na wojnie, którą rozpoczęły dwa największe mocarstwa świata.

Ludzie patrzyli na przesuwane kolumny jak na paradzie. Znaleźli się nawet chętni, żeby iść razem z wojskiem i nieść żołnierzom ekwipunek za niewielką odpłatnością i jedzeniem. Poszli i nigdy stamtąd nie wrócili. Wojna po raz pierwszy pokazała swoje prawdziwe oblicze. Nawet nie zwrócili uwagi, kiedy zapadł zmrok. Zrobiło się cicho. Kolumny szły wciąż. Kola pogadał ze swoim stryjem i braćmi stryjecznymi. Opowiadał o swoich przygodach. Wspólnie dziwili się, że tak dziwnie wygląda ta wojna, chociaż to dopiero niecałe dwa dni... I poszedł spać do stodoły.

W nocy rozpętała się straszliwa kanonada. Zdawało się, że znalazł się w samym centrum bitwy. Nad głową przelatowały pociski, kule świstały jak wściekłe. Nie wiedział, czy rzeczywiście znalazł się pod obstrzałem, czy ze strachu słyszy wszystko tak dokładnie i mocno. Całą noc nie zmrużył oka. Z nastaniem świtu wyjrzał na zewnątrz. Cała wieś stała nienaruszona. Tylko ta dudniąca cisza, która nastąpiła po kanonadzie. Kolumny gdzieś zniknęły z drogi. Po miejscu, gdzie wczoraj stała kuchnia, nie pozostał nawet ślad. A może już koniec wojny?

Spotkał się z innymi, którzy jak on czekali nadejścia świtu. Każdy był podekscytowany, opowiadał swoje nocne przemyślenia i mówił, jak wszyscy strasznie się bali. Wychodzili z chat gospodarze i gospodynie, starzy i młodzi. Samoczynnie, bez sołtysowej kurendy puszczanej od domu do domu, teraz wiejskie zebranie zorganizowało się pod wpływem przeżyć z ubiegłej nocy. Sami z siebie ludzie zaczęli radzić, co robić w przypadku następnej takiej strzelaniny. Uciekać do lasu? Chować się do piwnicy? Uciekać pojedynczo czy wspólnie w całej grupie? Do lasu, ale gdzie do lasu? Padały tylko pytania, nie było mądrego, który próbowałby udzielić w miarę mądrą odpowiedź. Sołtys próbował jakoś zapanować nad porządkiem, ale nikt go nie słuchał. Postanowili sprawdzić kilka miejsc niedaleko w lesie. Później się zobaczy.

Do domów rozchodzili się niechętnie. Jakoś strasznie siedzieć w zamknięciu i zdawać sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może nadlecieć pocisk, samolot czy coś innego. Kilku chłopów poszło szybko, żeby zobaczyć miejsca otaczającego wieś lasu. Wrócili nadspodziewanie szybko. Idąc na jedno z miejsc, natrafili na pole bitwy z ubiegłej nocy. Początkowo, przechodząc trybę, weszli na to, co pozostało z oddziału niemieckiego. Niedaleko znajdowały się pozostałości pozycji rosyjskich. Oba te miejsca poszatkowała artyleria, chociaż żadna ze stron ciężkich dział nie miała. Jak opowiadali, wszędzie na odległość kilkudziesięciu metrów walają się części ludzkich zwłok, wyposażenie wojska, ruskie i niemieckie karabiny i wiele różnych rzeczy. Coś okropnego, aż strach patrzeć. I jedni i drudzy musieli dać się zaskoczyć, bo jeszcze pozostała ciepła kuchnia polowa z nienaruszonym jedzeniem. Nie próbowali, bo nie wiadomo, czy jakie niezatrute.

Wszystko to uświadomiło im nagle, że wojna rozpoczęła się nie na żarty. I to taka, w której nie wiadomo, co robić, jak się zachować. Nie ma kraju napadniętego, nie ma władz okupacyjnych. Nikt o tym nie mówił, co i jak w razie wybuchu wojny. Może w gazetach pisali, ale do nich na skraj Puszczy Białowieskiej nie przychodzą. Zresztą nikt tu nie dotarł, żeby cokolwiek powiedzieć. A oni tak jak inni ludzie też się boją o życie i zdrowie najbliższych: babci, dziadka, dzieci i swoje też; o swoje domy, chlewy i stodoły; o krowy, świnię, kury i inną żywność. Tylko od pierwszych dni tej ruchawki widzą, że coraz częściej wychodzą jacyś z lasu i mówią, że oni wojsko, że będą o nas walczyć, że nas ochronią, że teraz jak zwyciężą, to będzie dobrze. I nie chcą takiego wojska, bo wcale nie wierzą, że kiedykolwiek będzie lepiej i jak tacy porządek zaprowadzą. Boją się, bo niewiadomo, kto zza węgła albo zza drzewa z karabinu pociągnie. Jak ma być dobrze, gdy jeszcze jedni na dobre nie wyszli, drudzy na dobre nie przyszli, a już trzeci chcą mięsa, chleba, spirytu. Mało tego, że chcą, oni każą sobie dawać i biorą jak swoje. Polacy, Żydzi, Ruscy i ci, co za wojskiem idą, oni wszyscy proszą z odbezpieczonym karabinem i straszą, że pod stienku albo pod ścianę postawią. A tobie człowieku zawsze wiatr w oczy...

Rano poszli do lasu na miejsce walki niemal wszyscy chłopci ze wsi, żeby coś potrzebnego znaleźć i przynieść. Tam stwierdzili, że wczorajsi zwiadowcy albo pomylili miejsce, albo kłamali, albo ze strachu coś nazmyślali. Na miejscu wskazanym przez nich nie było nawet łusek karabinowych po wczorajszej bitwie i niczego, co by świadczyło o odbywającej się walce. Nie było zabitych i śladów po nich. Tylko rany na drzewach świadczyły o wczorajszej tragedii. Zwiadowcy mieli więc rację i nie kłamali. Ktoś najprawdopodobniej zadbał o sprzątnięcie miejsca walki. Teraz, kiedy pierwszy raz spotkali się z takim przypadkiem, nie przypuszczali nawet kto i co. Dopiero po kilku podobnych

potyczek i sprawdzeniu, co się stało z pozostałościami po nich, okazało się, że rolę sprzątających po walce pełniły organizujące się oddziały partyzanckie, które jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się w okolicy. Reprezentowały różne kierunki polityczne. Ale też powstawały grupy szabrowników, zwykłych zbójów i bandytów oraz oddziały, które w ramach prawdziwych lub domniemanych krzywd mściły się na wszystkim i wszystkich.

Kiedy uświadomił sobie tragizm sytuacji, w której się znalazł, pognął na swoją kolonię jak na skrzydłach. Może mniej na kolonię, a bardziej do Choroszczewa. Tam czekała na niego ta, o której myślał coraz częściej i coraz poważniej. Przeszedł pieszo szybciotko na swoje miejsce na ziemi, chociaż wciąż miał wątpliwości, czy jest ono jeszcze jego. Nie bardzo czuł emocjonalny z nim związek. Coraz bardziej oddalał się od mieszkających tam ludzi i stwierdzał, że zagubiły się gdzieś wspólne tematy i zainteresowania, zmieniła się skala wartości i sposób argumentowania. Ze wstydem zaczął myśleć, że i Ojciec, i Matka, i bracia, a także koledzy sprzed kilku lat też to zauważają. I ani patrzeć, jak powiedzą wprost: „Kola, ty użę nie nasz. Ty użę poletieł, sokoliku mojej dorogoj, ty użę poletieł...”.

Bijąc się z myślami na ten temat, odczuwał jednak wielką potrzebę posiadania swojego miejsca na ziemi, swojego gniazda, skąd się wylatuje i dokąd się wraca. Świadczyło o tym całe jego życie: wtedy, gdy wyruszył ze swoim ojcem w świat i kiedy po latach włączyli wrócili; wtedy gdy jak ten sokolik poleciał w nowe i nieznane; wreszcie wtedy, gdy nastąpiła tragedia i rzeczywiście nie było już gdzie się zatrzymać i dalej startować w świat oraz gdy robiło się tak źle, że gorzej już być nie mogło. Wówczas stawało się oczywiste, że jedynym miejscem na świecie, gdzie człowiek czuje się bezpieczny, jest dom rodzinny. „To było moje gniazdo, tam była przede wszystkim moja mama Elizawieta” – powiedział zamysłony Kola.

To właśnie z tego powodu uciekł przed straszonym światem pod jej skrzydła. Ona bardzo była dumna ze swojego syna. To już nie byle kto, nastojaszczij (prawdziwy) inżynier, w pełni wykształcony młody człowiek, który już nawet zdążył i świat trochę poznać i świata trochę popróbować. Lecz to nie zmieniało nic z tego, co należy z takim powracającym zrobić i jak go przywitać, skąd by nie przyszedł i po jak długim rozstaniu. Oczywiście po powrocie należało usiąść do stołu, naprzeciwko rodziców, i usłyszeć: „Opowiadaj!”.

Opowiadanie musiało być interesujące i przekonujące, skoro Kola niemal po kilku dniach od powrotu poprosił Gienię o rękę. Byli już po słowie. Nawet planowali, że ona przyjedzie do niego, tam gdzie ostatnio pracował w kolchozie, i wspólnie zamieszkają. Teraz jednak postanowili zostać na kolonii, zanim się to wszystko przetrze. Później okaże się, co dalej.

Ślub odbył się w cerkwi. Choć Kola nie chciał, ponieważ już wówczas nie był praktykującym wyznawcą prawosławia, jednak zgodził się na prośbę swojej matki. Gienia, katoliczka, miała wielki kłopot, żeby przekonać do tego swoich rodziców. Jednak jedynie cerkiew dopuszczała i ułatwiała zawieranie ślubów z innowiercami.

W rodzinie ze strony Mamy wieloreligijne związki małżeńskie były niemal na porządku dziennym. Mój pradziadek Jakub ze strony Mamy, wyznania prawosławnego,

przepiękny, wąsaty, prosty i przystojny mężczyzna, siekierą wyciosywał dyle drewniane, z których budował domy. Prababcia katoliczka przeszła na prawosławie. Jej córka, a moja babcia, wyszła za mąż za katolika i wspólnie stworzyli rodzinę, w której wychowali sześć córek katoliczek. Każda z nich i ich rodziny pozostały w katolicyzmie.

Gienia swoje dzieci wychowywała w wierze katolickiej. W rodzinie obchodziło się w niej wszystkie święta i uroczystości. Mama została pochowana przez księdza na cmentarzu katolickim, Ojciec także, choć z pewnymi oporami wykonującego posługę, który jednak zgodził się na to, wcześniej powołując się na znajomość ze zmarłym i oceniając jego postawę i zachowanie jako człowieka.

Pierwszym dzieckiem, jakie przyszło na świat w nowym małżeństwie, była córeczka Ania, która krótko żyła. Zginęła tragicznie w wypadku, a historię jej śmierci bardzo skrzętnie skrywało się przed nami. Dowiedziałem się o tym, będąc dorosłym i mając własne dzieci. Myślę, że to miała być próba wyparcia złych wspomnień. Mama bardzo źle przeżyła tę tragedię. Długo nie mogła się z tym pogodzić. Zresztą okoliczności śmierci były wyjątkowo okrutne. Mama bardzo obciążała się winą za tę śmierć. „Mogłam przecież – płakała – siedzieć na tej furmance. Mogłam usiąść nie po lewej od drogi, a po prawej od pobocza stronie. Mogłam przecież nie jechać do Choroszczewa wtedy, kiedy szły gościńcem wojskowe samochody. Mogłam z Anią zostać w domu”.

Później urodził się mój najstarszy brat Genio, oficjalnie Eugeniusz. Obecnie, wraz ze swoją żoną Henią, od dawna mieszkają w Berżnikach. Kiedyś ona została tam zatrudniona jako pielęgniarka, a on – pracownik tamtejszego urzędu gminy. Otrzymali mieszkanie najpierw w starym, pięknym, zabytkowym domu na zapleczu ośrodka, a kiedy oddany został do użytku nowy, zbudowany



Pradziadek Jakub

ze środków Społecznego Funduszu Zdrowia, przeprowadzili się do nowego budynku. Henia, nadal jako miejscowa pielęgniarka, tam miała swoje miejsce pracy. I było normalnie. Teraz, kiedy już wszystko, co społeczne, więc nasze, nadawało się do spieniężenia, sprzedano na powrót nam obywatelom, a kasa z tego poszła nie wiadomo gdzie. Pierwsi, stali lokatorzy – Genio i Henia – już za emeryckie, czyli swoje pieniądze, zmuszeni zostali wybudowane za społeczne środki, więc również swoje, czyli ich mieszkanie wykupić. Żyją szczęśliwie, zakorzenili się tam, wychowali trójkę dzieci.

Henia pochodzi z rozległej rodziny, od powojnia przebywającej na Ziemiach Odzyskanych, w okolicach Elku. Po szkole pielęgniarskiej przyjechała na praktykę do Sejn, spotkała Genia i tak już zostało. On kształcił się w zawodach rolniczych i chociaż zgodnie z wolą Ojca podjął w tym kierunku studia, to jednak ich nie skończył. Całe swoje życie przepracował jako urzędnik. Wciąż chorował i przebywał na zwolnieniu lekarskim, wcześniej poszedł na rentę, będąc stałym pacjentem różnych zakładów opieki medycznej. Zdrowie nadal nie pozwala mu się cieszyć w roli emeryta, dziadka, posiadacza własnego mieszkania, ogrodu, ukochanego ptactwa.

Najstarszy ich syn Tomasz Lech, absolwent sejneńskiego liceum, ukończył jako jeden z najlepszych studentów historię na Uniwersytecie w Białymstoku. Pracował i pracuje jednak, z małymi wyjątkami, w miejscach gdzie zajmowanie się dziejami lisowczyków nie bardzo się przydaje. Tam liczy się bardziej przedsiębiorczość, wiedza ogólna, cechy charakteru niż wykształcenie uniwersyteckie. Więcej wykorzystuje swój pierwszy zawód ekonomisty, który zdobył tuż po liceum. Zajmuje się koordynowaniem wymiany towarowej i gospodarczej polskich dużych przedsiębiorstw z podmiotami na Wschodzie. Obecnie w swojej firmie organizuje misje gospodarcze, komunikuje ze sobą sprzedającego z kupującym, buduje *public relations* dla współpracy pomiędzy przedsiębiorstwami ze Wschodu i Zachodu. I mogłoby się rzeczywiście wydawać, że marnuje swoje wykształcenie uniwersyteckie, ale jego rozległa wiedza o realiach współczesnych, mających swoje podłoże w historii, bardzo się mu w pracy przydaje. Jego małżonka Kasia, humanistka i pedagog, pracuje w monieckim liceum.

Jedyna córka Genia i Heni – Eliza rozpoczęła swoje dorosłe życie humanistki i kolejnego wykształconego potomka dziadka Mikołaja porzuciła dla bardziej konkretnych zajęć. Ukończyła studium pielęgniarskie i popróbowowała pracy w polskich realiach, po czym uznała, że nie ma to sensu, rzuciła wszystko i wyjechała za granicę, wcześniej do USA, a potem do Anglii. Jako pielęgniarka z doświadczeniem amerykańskim i nostryfikowanym dyplomem żyje już po angielsku, jednak kontaktu z Polską nie zerwała. Wciąż wraca do rodzeństwa i rodziców. Gdy ciężko zachorował jej ojciec, natychmiast rzuciła wszystko

i była przy nim bez przerwy, aż minął kryzys. O powrocie do Polski na razie nie myśli.

Najmłodszy Szymon żyje sobie świetnie i wzorowo pełni rolę ojca ukochanych dzieci: Marysi i Mikołaja oraz męża Doroty. I chyba najbardziej racjonalnie z całej naszej rodziny podchodzi do życia. Ukończył szkołę dającą zawód oraz wiele kursów. Nie musi się bać wszelkich zmian politycznych, kierunków i trendów. Zawsze fachowość i pracowitość, uczciwość i solidność ma swoją cenę. Od najmłodszych lat bardzo ciężko pracuje, robi wszystko i wszędzie, co daje dochód pozwalający w miarę dostatnio żyć jego ukochanej trzódce.

Życie Koli i Gieni na kolonii przebiegało w miarę zgodnej, bardzo rodzinnej i wesołej atmosferze. Roboty nie było zbyt wiele dla tej ilości osób, które tam mieszkały: obok Koli i Gieni z ich synkiem, Piotr ze swoją żoną i dzieckiem, Władzia z Władysławem, Kasjan i Elizawieta oraz ich ostatni syn Józef. Chociaż dom, co prawda stosunkowo nowy, ale niezbyt duży, udało się tak zorganizować, że jakimś dziwnym sposobem nie był za ciasny i wciąż pełen ludzi – tych w nim mieszkających i tych, którzy składali tam wizyty.

Jak wspominali, niemal codziennie odbywały się rozmowy i dyskusje, ktoś zawsze był, przychodził, wychodził i wyjeżdżał. Jednak całe życie tego domu zdominowała wojna, która przebiegała gdzieś obok czy daleko za lasem, ale odczuwało się jej obecność. Zaznaczała się częstymi „odwiedzina” oddziałów wojskowych, wszelkich grup bojowych i partyzanckich, których liczba rosła w szybkim tempie. Sprzyjały temu niekończące się lasy, w których swobodnie mogły działać. Jednocześnie niewielkie i ubogie wsie musiały stanowić dla nich naturalne zaplecze aprowizacyjne i logistyczne. Tymczasem kondycja gospodarcza i finansowa tych wiosek kazała raczej oczekiwać pomocy, niż jej udzielać. Dlatego też te niekończące się, najczęściej nocne wizyty leśnej braci sprowadzały się do zwykłych wypraw łupieżczych i bandyckich napadów. Nie wiadomo kto, ani w czyim imieniu pukał do okna i bez zaproszenia wchodził, odbezpieczał broń, stawiał wszystkich na baczność i zaczynał czyścić dom ze wszystkiego, co jeszcze zostało. Choćby z resztek po kolacji.

Szabrowani starali się zrozumieć, że w lesie człowiek bez ich pomocy nie wytrzyma, że jeden z drugim poszedł tam walczyć z wrogiem i wiedzą, w czyim imieniu i o co chodzi w tej walce. Byli nawet gotowi przyjąć za fakt, że wszyscy leśni walczą o nich, o jakąś wolną ojczyznę, o lepszą przyszłość, ale jaką i czyją? Czy to tylko ich, z tej wioski, czy wszystkich ludzi? Dlaczego więc tylko oni mają ponosić te straszne kontrybucje? Nie chcą się na to godzić, bo nikt z nich albo ich znajomych nikogo nie prosiłby o to, aby ten poszedł do lasu. Więc dlaczego ich obciąża konsekwencjami swojej decyzji?

A jednak każdy zdrowo i racjonalnie myślący chłop wiedział, że w tej sytuacji niemożliwe było zajęcie jakiegoś konkretnego stanowiska, stosowanie jakichkolwiek preferencji politycznych, manifestowanie sympatii czy wrogości. Musiał być poprawny i przyjazny, ale i umiarkowanie wrogi wobec wszystkich, oraz zachowywać się po prostu tak, żeby kolejnym służbom aprowizacyjnym oddziałów nie dać poznać po sobie jakiegokolwiek emocji wobec tych, którzy dla niego są po prostu rabusiami.

Przede wszystkim należało się doskonale przygotować, a więc zbudować w najbardziej niedostępnych miejscach przeróżne skrytki, schowki, łącznie z drugimi chlewkami dla świń, krów, owiec i kur; ukryć narzędzia, przedmioty, ciepłe ubrania, buty, nawet pościel. Maszyna do szycia, którą Gienia otrzymała od swoich rodziców, zakopana została w przydomowym ogródku pod kępą kwiatów. Przeleżała tam kilka lat, po wykopaniu zachowała swoją sprawność i funkcjonalność, jedynie drewniany stół uległ zniszczeniu. Trzeba było z domu wynieść zapasy żywności z kartoflami i innymi warzywami łącznie i tak je schować, żeby poszukujący nie zorientował się, że wszystko przed nim zniknęło, więc powinno się coś zostawić. I na tym polegała ta sztuka kamuflażu.

Życie na kolonii biegło, więc zdarzały się nieliczne chwile, kiedy nie musiało się uciekać, udawać, chować w kartofle, kryć przed serią z karabinu, którą pociągnie co bardziej niecierpliwy poszukiwacz skarbów, pozwalających przeżyć kolejne dni leśnym oddziałom. W takich przypadkach często bywało śmiesznie, strasznie i tragicznie do tego stopnia, że czuło się uścisk śmierci.

Ale nie zawsze żyło się w strachu i śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszyscy młodzi liczyli na szybki tego koniec. Spotykali się, żartowali, robili sobie nawzajem dowcipy. W mojej rodzinie trudno doszukiwać się tych wojujących z bronią. Nie mam dalszych ani bliższych przodków, co to z szablą na wroga szli albo przebywali w okopach. Nie ma tych, którymi mógłbym pochwalić się przed innymi dziećmi, kiedy nauczycielka pytała o prawdziwych bohaterów w swoich rodzinach. Często o nich zagadywałem Ojca. A on z pewnym zażenowaniem starał mi się tłumaczyć, że bohater to nie tylko ten, co walczy z bronią, strzela albo wali kogoś szablą. I nie musi koniecznie cierpieć, zginąć albo umrzeć z powodu niezagojonych ran. Bohaterem jest także ten, kto dobrze pracuje dla dobra innych. Ani ja, ani nauczycielka nie umieliśmy tego zrozumieć, a inne dzieci nawet się ze mnie śmiały.

A ci młodzi nie myśleli o żadnych walkach z bronią w ręku. Natomiast wciąż uczyli się, czytali, silniejsi przechodzili kolejne progi wtajemniczenia rzemieślniczego. Dyskutowali i po prostu żyli. Władysław na przykład dorobił się swojej kuźni koło lasu, która cieszyła się wielkim powodzeniem.

Wojnę jednak przeszli, utraciwszy wszystko. Co się udało schować i ochronić przed partyzantami, zagarnęli pędzący za uciekającymi Niemcami Ruscy, którzy oprócz tego przywlekli ze sobą tyfus, ten który zabrał babcię Elizawietę. Dom zbudowany przez Kasjana okazał się świetnym schronieniem niemal dla całej rodziny, gdy to było konieczne. A kiedy przyszedł koniec wojny, stał się tym miejscem, skąd niemal wszyscy wyruszyli jako pólsieroty w nowe i tak bardzo nieznane, pozostawiając na miejscowym cmentarzu swoją kochaną matkę, teściową, żonę... Elizawietę.

Wszyscy już byli dorośli. Każdy z nich zaczął uwijać swoje gniazdko. Tylko Józef został sam, nikomu niepotrzebny. Zaopiekował się nim mój Ojciec. Niemal następnego dnia po przejściu frontu Kola i Gienia zaczęli się zbierać do wyjazdu. On otrzymał propozycję pracy w nieodległym Bielsku Podlaskim, w administracji związanej z rolnictwem.

Wyprowadzali się z kolonii pełni nadziei i ciekawości. Na furmankę zapakowali niewielkie i niebogate tobołki oraz trochę swoich różnych rzeczy i wyruszyli. Najbardziej konieczność opuszczenia dotychczasowego domu i podróż przeżywał mały Genio, który dziwił się bardzo, że nikt nie pakuje studni, a jego kochany wujek Władek na wóz jej nie zabiera.

Niewiele wiem o tym, jak przebiegał pobyt Nazaruków w Bielsku. Tylko tyle, że otrzymali tam maleńkie mieszkanie na strychu nad którymś z obiektów użyteczności publicznej; Kola zaangażował się bardzo w swoją pracę, a Gienia opiekowała się synkiem. Trwało to tak do 1949 roku. Kiedy władza się umocniła i rozeznała w zasobach ludzkich, okazało się, że w lokalnej administracji Bielska znajduje się wykształcony pracownik, który na dodatek nie piastuje funkcji adekwatnej do posiadanych kwalifikacji. Postanowiła więc to zmienić, gdyż trzeba było zagospodarować przejęte po wojnie Ziemię Odzyskaną, gdzie istniał zatrważająco wielki deficyt ludzi wykształconych.

Mikołaj nie miał zbyt dużo do powiedzenia na temat miejsca, dokąd zostaje skierowany, ani stanowiska, jakie tam ma wykonywać. Prosił jedynie, aby nie musiał odjeżdżać daleko od Wschodu. Otrzymał posesję w Olecku i tuż przed Wielkanocą tegoż roku zawitali na swoje nowe miejsce zamieszkania. Otrzymali przydział do jednorodzinnej domostwa w robotniczej dzielnicy „Zedlungi” (niem. Siedlung – osiedle), dzisiaj na ulicy Mickiewicza. Domek, choć nieduży, uznali za wspaniały w porównaniu z tym, co dotychczas posiadali. Miał wodę i kanalizację oraz piękny i żyzny ogród. Tam przeżyli pierwszą Wielkanoc w nowym mieście, niezbyt przyjemną, jak Mama potem opowiadała. Odczuwało się wokoło taką obcość, jakiej dotychczas nigdy nie doznała. Na jednym, do tego cudzym i nieznanym miejscu, spotkali się wszyscy, których z różnych stron przywiał wiatr dziejów. Nikt tu nie był u siebie. Na przykład ci, którzy zamieszkali tuż za płotem, repatrianci Sucheccy

z Wileńszczyzny, chociaż dostali na piśmie, że władza w zamian za utracone mienie daje im nowe miejsce, wciąż wyglądali możliwości powrotu na swoje, nad Wilejką. „Tutaj to my na razie” – mówili. Na swoim również nie czuli się ci, którzy zostali, jak mieszkający po przeciwnej stronie ulicy Dorsowie. Nagle nastąpiło piękne wymieszanie narodowościowe. Zarówno władza, jak i nowi osadnicy nie rozróżniali miejscowych, autochtonów, którzy faktycznie nie uważali się za Niemców ani Polaków – byli po prostu Mazurami. Większość przybyłych traktowała ich jak Niemców, co prowadziło do wielu konfliktów.

To właśnie z powodu tej obcości i tymczasowości pierwsza Wielkanoc nie zapowiadała się dobrze. Sami siedzieli w nowym miejscu, bez znajomych i rodziny. Jako pierwszy gość podczas śniadania pojawił się mleczarz, miejscowy, który jak co dzień (święto nie święto, *Ordnung muß sein*) przyniósł mleko. Przyszedł, więc zgodnie z tradycją ze Wschodu, został zaproszony do stołu. Dzięki temu Kola mógł spełnić swój wigilijny toast, bo „przecież sam wódki pić nie będzie, nawet w tak nietypowych okolicznościach”. I chociaż gość tej wschodniej gościnności nie mógł zrozumieć i gadka się zupełnie nie kleiła, wizyta bardzo wszystkich ucieszyła. Zaczęła się więc prawdziwa Wielkanoc. Tuż po święconym przyszli Sucheccy. Oni wcześniej zjedli swoje wielkanocne śniadanie, zaraz po powrocie z rezurekcji. Szybko, na wyścigi, bo kto pierwszy z kościoła trafił do domu, miał doznać największych łask⁵¹. Potem zgodnie ze swoją tradycją, odwiedzili najbliższych sąsiadów. Przynieśli wołowczbne⁵², piękne malowane w cebulniku jajka, pan Suchecki prawdziwą, zaprawianą miodem i trojanką flaszczykę jeszcze spod Wilna wódeczki, a pani Suchecka – pachnące, żółciutkie i cieniutkie, pełne orzechów i pysznych śliwkowych powideł wileńskie mazurki. Od tego czasu mazurki na stałe zagościły w naszym domu jako jedna z wielu specjalności jadłospisu Mamy.

Później przyszedł (z powrotem) mleczarz z mleczarzową. Idąc, spotkali Willich i powiedzieli im, że wybierają się do tych Ruskich, co mieszkają na miejscu dawnych sąsiadów. Pani Kozłowska, sąsiadka z naprzeciwka, która samotnie wychowywała swoje dziewczynki, bo mąż ich opuścił, też zabrała coś do jedzenia i przyszła. I tak odbyła się pierwsza, ale piękna i ważna Wielkanoc w nowym miejscu, wśród ludzi jeszcze kilka dni temu obcych, a dzisiaj już bliskich sąsiadów.

Życie w Olecku bardzo się podobało mojej Mamie, zwłaszcza dom na przedmieściu, ustawiony szczytem do ulicy, przypominający ten w Choroszczewie. Ponadto wyposażony był w telefon, gaz i wspomnianą już wodę z kanalizacją. Za domem rozciągał się piękny i duży ogród (świeże warzywa), a w komórce z chlewikiem można było utuczyć prosiaka, hodować kilka kur i kurczaków, aby zaopatrzyć się w świeże mięso, drób i jajka.



Genowefa i Mikołaj podczas festynu w Olecku (1955 lub 1956 r.) z dziećmi: Bożeną, Tamarą na rękach Ojca oraz Autorem na rękach Mamy

Ojciec pełnił funkcję kierownika wydziału rolnictwa i należał do ścisłego kierownictwa powiatu. Stanowisko to nie było wyższe od tego w Bielsku. Jakoś nie mógł się przełamać i zapomnieć o swoich dawnych młodzieńczych ideach partii socjalistycznej, która rozwiąże przede wszystkim problemy socjalne, wprowadzi zasady sprawiedliwości społecznej i umożliwi start biednym. Ta nowa partia, głównie z powodu różnych lokalnych aparatczyków, przyjmowała coraz bardziej karykaturalne kształty. Kola nie mógł do niej wstąpić! Ale jednak wstąpił. Nie miał innego wyjścia. A jak już dla chleba tam się znalazł, nigdy do awangardy nie należał. Najbardziej przeżywał to, że jego idee komunistyczne tak się zdewaluowały.

A rzeczywistość partii komunistycznej w takim małym miasteczku była straszna. Ojciec idee socjalistyczne poznał dokładnie jeszcze przed wojną. Dużo czytał. *Kapitał* Marksa znał doskonale, Lenina mógł cytować z pamięci, a teraz dopiero widział, jak to się realizuje w praktyce. Miał świadomość tego, że on chyba jedyny albo jeden z niewielu, gruntownie wykształcony, kontynuujący naukę na SGGW w Warszawie, widział obok siebie dyletantów i nieuków, zajmujących coraz to wyższe stołki dzięki poparciu pseudoideowej partii. Nie mógł znieść ich braku pokory wobec wiedzy i fachowości. Najgorzej przyjmował to, że jego – specjalistę od rolnictwa – wzywał sekretarz, który kompletnie nie miał o tym pojęcia. Facet po czterech klasach szkoły powszechnej, zasłużony robotnik cegielni i leśny z ruskiej partyzantki, uczył go, jak uprawiać ziemię, hodować zwierzęta, produkować żywność itp. Najbardziej przerażało go to, że ten sam sekretarz zachowywał się tak

wobec lekarza, kontrolując go w zakresie fachowych usług medycznych. Mówił mu o tym doktor Szeremeta, który zaprzyjaźnił się z Kola na zasadzie przyjaźni odrzuconych, którym zawsze pod prąd. Nie znosił niekończących się narad, egzekutyw, posiedzeń, dziwnej obrzędowości, która wyznaczała sposób oddawania czci sekretarzom, kolejność i miejsce zasiadania za stołem, możliwość wypowiedzi, wreszcie pokorę wobec wielkości partii. I tego przy byle okazji biesiadowania za publiczne pieniądze, żarcia niezakupionych a zarekwirowanych zakąsek, sobiepaństwa, chamskiej buty...

Jego praca fachowca od rolnictwa zaczęła się niebezpiecznie przekształcać w typową robotę polityczną. Coraz częściej jego i kierowany przez niego wydział rozliczano nie z ilości wdrożeń nowych technologii, rozprowadzonych nawozów sztucznych, szkoleń i warsztatów, lecz skomasowanych gruntów, założonych spółdzielni produkcyjnych i wykrytych kułaków jako wrogów ludu.

Życie na wielokulturowych Zedlungach biegło doskonale. Mama blisko zaprzyjaźniła się ze swoimi sąsiadkami, szczególnie z panią Suchecką, z którą najlepiej się rozmawiało. Miały wspólne wspomnienia ze wschodu, mówiły z zaśpiewem, gotowały podobne potrawy. Z czasem, jak w filmie o Kargulu i Pawlaku, żeby być bliżej siebie i jeszcze częściej się odwiedzać, zbudowały bramkę w płocie. Mama zasłynęła jako świetna gospodyni, a przede wszystkim znakomita krawcowa, która z otrzymanych z Unry kwaciastych materiałów szyła swoim sąsiadkom piękne suknie.

Genio zaprzyjaźnił się szybko z rówieśnikami z ulicy. Był lubiany przez wszystkich. Z czasem zaczął chodzić z nimi do szkoły. Często opowiadał o swoich Zedlungach. Mówił o pięknych dziewczynkach od Kozłowskich i koźle Dorsów, który bardzo śmierział, zjadał wszystko, co wsunęło mu się w szparę pomiędzy sztachetami, po czym wskakiwał na płot i straszył wszystkie dzieci. Opiekował się białymi kozami, które pani Dorsowa wypasała w przydrożnych rowach, a później doiła je i piła kozie mleko. Dała nawet spróbować Geniowi, ale uznał, że wstrętne i śmierdzące.

Zedlungi to również miejsce, gdzie na świat przyszła moja siostra Tamara Bożena, jedyna żeńska płeć wśród potomstwa Koli i Gieni, z wykształcenia ekonomistka. Później, kiedy urodziła swoją jedyną i kochaną córeczkę Kingę, ukończyła wyższe studia na kierunku pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej. Pracowała w różnych miejscach i miejscowościach, w organizacjach młodzieżowych i w komitecie partii, a po zmianie naszej politycznej rzeczywistości zmuszona została podjąć posadę księgowej i wróciła do swojego domu rodzinnego w Sejnach, który własnym sumptem przy udziale kredytów wyremontowała. Żyje w nim obecnie jako emerytka, aktywnie działając w kilku projektach i organizacjach.



Tamara Bożena i Jerzy Andrzej na schodach domu w Olecku. Fotografia z archiwum Autora

Na Zedlungach i ja Jerzy Andrzej urodziłem się w dwa lata po Bożenie. W dwa lata po mnie również w Olecku, lecz na innej ulicy, urodziła się Ewa z domu Baran. Jeszcze wówczas ani ja, ani ona nie przypuszczaliśmy, że po ponad dwudziestu latach spotkamy się gdzieś poza tym miasteczkiem i tak pozostanie na długie lata.

Coraz bardziej mojemu Ojcu panująca w Olecku sytuacja nie odpowiadała. Z dnia na dzień było coraz gorzej. Ze wszystkich stron zaczęli się tu zjeżdżać różni ludzie, wśród nich również i ci, którzy Olecko wybrali na miejsce ucieczki przed konsekwencjami

wcześniejszego postępowania gdzieś indziej; i ci, co przyjechali tu z musu, czyli wspomniani wyżej tymczasowi. Ponadto panoszyli się zwycięzcy tej wojny, którzy wydarli ziemie niemieckim faszystom, idąc zabijać, niszczyć i ogniem wypalić wszystko, co niemieckie. Brali, co chcieli, jak swoje; kradli, pili, gwałcili, stając się największym przekleństwem mieszkańców miasta. Pod wpływem rosnących antyruskich nastrojów także i Kolę zaczęto kojarzyć z nimi. Coraz częściej słyszał niewybredne dowcipy o dumnych i chamskich kacapach, mówione jakby obok albo przypadkowo. Szczytem tego stanu było wysadzenie w powietrze przez paru pijanych żołnierzy radzieckich pozostałości po pięknej zabytkowej świątyni, która, ich zdaniem, szpeciła największy w Europie, zdaniem niektórych, rynek.

Czyn ten akceptowany przez władze i poparty przez nowych gospodarzy miasta bardzo mocno wpłynął na mojego Ojca. Nie mógł pogodzić się z beźmiarem siebiepaństwa, nieprzestrzeganiem prawa i bezmyślnym postępowaniem. Zaczął powoli mieć dość tej sytuacji. Nie czuł się dobrze, gdy przyszło przedstawiać się rosyjsko brzmiącym imieniem i nazwiskiem oraz mówić ze wschodnim, śpiewnym akcentem. Wszystko to wpływało na jego pracę. Kierownictwo zaczęło zauważać niewielkie zaangażowanie Koli w kolektywizację i tworzenie spółdzielni produkcyjnych, małe zaangażowanie w robotę polityczną i coraz rzadsze współbiesiadowanie przy łada okazji. Tylko Zedlungi stanowiły odsuniętą od wszelkich zamętów i zmian enklawę. Wśród nowych i starych gospodarzy tej ulicy zawiązały się prawdziwe więzi

sąsiedzkie. Szkoda było i żal, kiedy Kola na koniec 1955 roku przyniósł wiadomość, że wyjeżdżamy z Olecka. Dostał propozycję nie do odrzucenia, aby zajął się organizacją służby rolnej w nowo tworzącym się powiecie sejneńskim. Miał do wyboru Sejny albo Dąbrowę Białostocką. Nie wiedzieć dlaczego wybrał miasteczko Sejny, o którym mało słyszał i nigdy dotychczas go nie widział. Od początku roku 1956 rozpoczął tam pracę.

Początkowo przyjechał sam. Pracując, zajmował się również organizacją przeprowadzki, tworzeniem warunków, poznawaniem ludzi, zaznajamianiem się z nową pracą i terenem. Nie wiem dokładnie, w jakim miesiącu, ale na pewno w samym środku okropnej zimy przyjechał samochód do przeprowadzki. Wcześniej Mama przygotowywała się do wyjazdu. Ich stan posiadania się zwiększył, przybywało coraz więcej sprzętów i osób w rodzinie.

Rano serdecznie pożegnali się z sąsiadami i wyruszyli znowu w nowe i nieznanne. Od pani Sucheckiej Mama otrzymała ikonę z początku XIX wieku, wykonaną co prawda w fabryce albo manufakturze, ale przepiękną. Przedstawia Matkę Boską Ostrobramską, przywędrowała z Sucheckimi z Wilna i wyruszyła w dalszą podróż z Nazarukami, z powrotem na Wschód, do miejsca, gdzie znacznie jej bliżej do stolicy Litwy. Otrzymałem ją od Mamy. Dzisiaj ikona ta wisi w najważniejszym miejscu w moim domu.

Sejny przywitały straszną zimą, nie tylko w sensie pory roku, ale również stosunkiem otoczenia do nowo przybyłych. Od władz tworzącego się powiatu jako mieszkanie służbowe Ojciec otrzymał połowę drewnianego domu przy ulicy Gumiennej, wcześniej Koziarce, a później Marii Konopnickiej.

Po długiej, ciężkiej podróży do Sejn, aby zrobić coś zjeść czy chociaż herbaty, Mama odprowadziła nas do sąsiadów, a sama musiała pójść do miasta, aby kupić przynajmniej wiadro, którym mogłaby przynieść wodę ze studni znajdującej się na zewnątrz. Po Olecku, do jakiego zdążyła się już przyzwyczaić, spotkanie z zastanymi tu warunkami było niemal walnięciem w głowę obuchem. Po tych wszystkich wygodach powrót do realiów Wschodu zrobił na nich wrażenie wręcz piorunujące. Spotęgowała to przyjęcie jeszcze zima, tego roku wyjątkowo bardzo śnieżna, mroźna i długa.

Do wiosny prawie przeżyli sami, bez kontaktu z otoczeniem, w nowym, nieprzyjaznym, nieszczelnym, zimnym i brzydko wykończonym płytami pilśniowymi domu. Piece nie chciały się dobrze palić, do sklepów daleko, ciągle brakowało opału z powodu trudności z dowiezieniem, bo ulice i drogi tak zasypał śnieg, że nie mógł sobie z nim poradzić ani pojazd mechaniczny, ani nawet najsilniejszy koń. W miejsce głównej ulicy Koziaarki zaspasy śniegu stworzyły górkę i ślizgawkę, na której bawiły się wszystkie okoliczne dzieci. To dzięki temu my zawarliśmy wstępne znajomości.

Ojciec z mrozu i dla wygody na co dzień nosił swoje wysokie buty angielskie i zielone, gabardynowe spodnie bryczesy, co sprawiało, że wyglądał bardziej na żołnierza niż cywila. To właśnie z powodu tego stroju spokojny antymilitarysta i cywil niemający związku z jakąkolwiek formacją zbrojną, przez miejscowych, nowych sąsiadów był postrzegany jako wysłannik nowej władzy, skierowany tu do walki z podziemiem.

Koziarka, część miasta za rzeką, leżała na uboczu. Tam właśnie mieszkały osoby, które albo niedawno skończyły, albo wciąż jeszcze w 1956 roku czynnie uczestniczyły w podziemiu. W domach na tej ulicy kryli się ci, dla których walka zbrojna w lesie była codziennością albo niezapomnianą przygodą. Pojawienie się w tym środowisku i bezpośrednim otoczeniu człowieka wyglądającego na wojskowego, nieznanego nikomu, nazywanego się po rusku, mówiącego ze wschodnim zaśpiewem, wzbudziło niepokój i konieczność zdwojonej czujności. Po kilkudziesięciu latach, kiedy Ojciec okazał się normalnym chłopem, kiedy zaprzyjaźnił się z sąsiadami, usłyszał od nich, jak swoim przybyciem wprowadził zamieszanie w tym spokojnym miejscu. Obserwowali go, wyznaczali dyżury, żeby rozpoznać nowego mieszkańca Koziarki. Według miejscowych, nie mógł być normalnym człowiekiem, bo takim żadna władza dotychczas nie szykowała domu i nie pomagała przy przeprowadzce.

Dom znajdował się w ogrodzie, w oddaleniu od ulicy, w tamtym czasie zwykłej, piaszczystej, wiejskiej drogi. Dochodziło się do niej dróżką obsadzoną porzeczkami, a przy niej rosły dwa ogromne krzaki fioletowego bzu. Zbudowali go w latach trzydziestych XX wieku mieszkający w Sejnach staroobrzędowcy. To typowy, dziś już zabytkowy przykład prawdziwego sejneńskiego, kresowego i wschodniego budownictwa drewnianego. W wyniku kilkakrotnych remontów, przebudów, przeróbek i unowocześnień co nieco stracił swój oryginalny i piękny kształt. Jednak proporcje pozostały nienaruszone oraz ładne zaciosy narożne i łączone, fachowo wyciosane belki ze starodrzewu, świadczące o doskonałości miejscowych mistrzów ciesiołki. Bożena, która inwestowała w ostatni remont, pozostawiwszy mi ostatnie słowo, pozwoliła na to, żeby nadal została zachowana piękna i klasyczna wręcz proporcja wysokości węglów i nachylenie połaci dachowych.

Kilka lat przed śmiercią Ojca, kiedy żył już, niestety, jako wdowiec, przyjechali dawni właściciele tego domu, rodzina prawosławnych staroobrzędowców, która w obawie przed Niemcami idącymi w 1941 roku na Ruskich uciekła do swoich na Litwę. To była chyba najbardziej kłopotliwa sytuacja, w jakiej dotychczas spotkałem Ojca. Ja byłem już dorosły, mój ojciec leciwy, jednak nigdy dotychczas nie widziałem go, aby przyjął i to z godnością chyba najcięższy dla niego cios w życiu. Pierwszy raz widziałem,

że naprawdę nie wiedział, jak się zachować. Wyglądał tak, jakby go przyłapali na gorącym uczynku, na kradzieży, na zajęciu czyjejś własności. Nie potrafił im tego wytłumaczyć ani nie miał co zaproponować tytułem zadośćuczynienia. Próbował rozmawiać, powoływał się na swoją tułaczkę i państwo, które mu dało ten dom, musiał gdzieś przecież mieszkać. Zapraszał niespodziewanych gości do środka ich domu, proponował im poczęstunek. Oni nie chcieli wejść ani rozmawiać, bo czuli się rozgoryczeni, skrzywdzeni, obrabowani ze swojego miejsca na ziemi. Odjechali bez pożegnania, nie zostawiając adresu ani żadnego innego kontaktu. Szkoda. Wyobrażam sobie, jak im było przykro; widziałem i słyszałem, jak bardzo przykro było mojemu Ojcu. Długo nie wiedziałem, teraz już, niestety, wiem, kto winien temu wszystkiemu i kto w tę sytuację uwikłał Bogu ducha winnych ludzi.

Dom był dość duży. Naszej rodzinie władza przygotowała jego część: dwa pokoje, przechodnią kuchenkę i strych, gdzie mieścił się nasz małeńki pokoił dziecięcy, oraz składówkę, miejsce, które pamiętam dzięki bardzo silnym zapachom i dziwnie zamkniętym na skobel wiszący na czerwonym sznureczku drzwiom. Pachniało tam przeróżnymi ziołami, które zbieraliśmy, suszyliśmy i nosiliśmy do znajdującego się na naszej ulicy skupu. Zioła zbierała też Mama, która suszyła kwiat lipy, świeże pędy malin, miętę, dziurawiec, piołun, a zimą robiła nam z tego herbatki. Nie bardzo nam smakowały te napoje, ale pić musieliśmy, kiedy za długo przebywało się na sankach i zaczynała się choroba. Pachniało tam woskiem i miodem, ponieważ leżały przedmioty służące do obsługi kilku rodzin pszczelich, którymi z pasją zajmował się Ojciec. Pachniało tam też smakowitą wędzonką, gdyż stała tam bardzo szczelna szafka z grubego drewna, w której Mama przechowywała, bez względu na porę roku, wędzone kiełbasy: cienkie, brunatne, pachnące czosnkiem, zawsze dość mocno słone, brunatno-czerwone i po przekrojeniu niemal przeświecające się, które najlepiej smakowały ze świeżym ogórkiem, masłem i bułką kajzerką, kupioną w geesowskim sklepie. A nie u Pogorzelskiego. Tamte były najsmaczniejsze, u niego natomiast przepyszny chleb: biały, rumiany, okrągły z lśniąca górną skórką i mocno posypaną mąką dolną skórką; bułki (chyba maślane), które my nazywaliśmy: z paskiem, a przede wszystkim chałki. Cóż to były za chałki!

W drugiej połowie domu mieszkali Goncarzewicze. On, chyba Mieczysław, był mechanikiem i pochodził spoza Sejn. Przywędrował tutaj najprawdopodobniej gdzieś z Wielkopolski. Po paru latach postawili murowany, piękny, nowoczesny, wielki i bogaty dom tuż obok naszego. Obok niego zbudował zakład naprawczy samochodów i innych urządzeń mechanicznych. Mieliśmy co oglądać, kiedy do stojącego obok, tuż za płotem warsztatu, zaczęły przyjeżdżać różne maszyny. Kiedyś, mógłbym przysiąc, że słyszałem i widziałem – chociaż to nieprawdopodobne, lecz ilustruje siłę dziecięcej wyobraźni – do



Rodzina Goncarzewiczów oraz Jerzy

warsztatu Goncarzewicza przyjechali dziwnie ubrani i dziwnie wyglądający mężczyźni, pięknym, niespotykanym tutaj samochodem. Tak oni, jak ich ubrania i samochód wyglądali w kolorze różnych odcieni kawy, i to czarnej palonej i białej z mlekiem. I wszystko co miało związek z nimi było kawowe: kolor ich skóry, ubiór – kawa z mlekiem i jasnokawowa maszyna. Na głowach mieli kapelusze w kolorze małej jasnej. Samochód odmówił im posłuszeństwa i nie chciał jechać jak należy, więc kawowi panowie zajechali do pana Mietka, najlepszego w okolicy mechanika. Ten przejrzał wszystko

dokładnie, posłuchał – i mimo protestów owych panów, że spodnie majster nosi aż nazbyt wyszmelcowane smarami – przejechał się kawowym pojazdem i stwierdził, że aby dobrze jechał, do środka samochodu, gdzie nie wiem, trzeba wsypać... kilka ziarenek kawy, naturalnie naturalnej. Zgodnie z diagnozą jasnoczarni panowie wsypali parę żdzbeł, włączyli silnik samochodu, który pięknie zapracował, wsiedli do swojego kawowego samochodu, zdjąwszy jasnokawowe kapelusze i poluźniwszy ciemnokawowe krawaty, zapłacili niemało pieniędzy panu Mieczysławowi, które niewątpliwie pachniały świeżo zmieloną kawą, i odjechali. Wszystko to opowiedziałem swojemu Ojcu, a on wcale nie zaprzeczył i uznał moją historię za możliwą. Stwierdził, że to na pewno byli prawdziwi Turcy, którzy na co dzień są tacy kawowi, tak że nawet w Polsce kawa nazywała się „Turek”.

Goncarzewicze w naszym sąsiedztwie mieszkali bardzo długo. Mieczysław umarł młodo. Goncarzewiczowa dochowała do pełnoletniości trójkę swoich dzieci i kiedy dorosły i poszły na swoje, opuściła je na zawsze. Alicja mieszka w Sejnach, Zofia prowadzi działalność gospodarczą w Suwałkach, tu też osiadł Jerzy, który poszedł w ślady mechanicznych zainteresowań ojca i pracował na kolei, kierując wielkimi lokomotywami.

Dla mnie Koziarka była i jest miejscem magicznym. Stąd rozpoczęło się wszystko i tutaj trwało aż do czasu, kiedy – jak wychowane ptaszki – wyfrunęliśmy ze swojego gniazda. Mimo że Genio, Bożena i ja urodziliśmy się poza Sejnami. Wspomnienia z Koziarki zapisały się tak mocno, że stały się naszym

prawozorem, do którego później przyrównywaaliśmy swoje wrażenia. Dzisiaj, kiedy oglądam to wszystko chłodnym okiem dorosłego człowieka, twierdzę, że mogła ona być wszystkim, lecz na pewno nie wzorem i skalą oceny świata, w którym przyszło nam żyć. A jednak te silne wrażenia, tak intensywne i piękne, niekoniecznie zgodne z estetyką i zasadami, nie dają Koziarki zapomnieć.

W drugim roku po naszym przyjeździe do Sejn urodził się nasz najmłodszy brat Andrzej Tadeusz. Pierwsze imię wybrali mu rodzice, drugie zawdzięcza mnie. Zdobył wykształcenie budowlańca. Należy do osób, które swoją naukę potraktowały poważnie, i oprócz wiedzy teoretycznej, upoważniającej do kierowania dużymi budowlami, nabył także praktyczne umiejętności w tej dziedzinie. Swoją karierę zawodową, zaraz po krótkim stażu jako pracownik nadzoru nad dużymi budowlami, zaczął od pracy na swój rachunek. Jako bardzo młody człowiek założył własny biznes, podejmując się produkcji materiałów budowlanych, później wykonawstwa usług za granicą. Ciężko pracując, także fizycznie, osiągnął bardzo widoczne i wymierne wyniki materialne. Dzisiaj, dorosły człowiek, zajmuje ważną posadę państwową jako pracownik umysłowy. Ze swoją żoną Jolantą, psychologką i pedagogiem w szkole, żyją w pięknym, dużym, świetnie zaprojektowanym własnym domu w Suwałkach. Wychowali trzy dobrze wykształcone córki.

Magda, po ukończeniu swoich wymarzonych studiów na Akademii Wychowania Fizycznego (AWF) i po świetnej praktyce w jednym z najbardziej znanych fitness klubów w stolicy, podjęła pracę w sejneńskiej szkole. Jednocześnie rozwinęła działalność na rzecz kobiet, które dla zdrowia chcą uprawiać sport i gimnastykę rekreacyjno-odchudzającą. Zajęcia te spotkały się z ogromnym zainteresowaniem. Średnia córka Urszula swoją chorobą w dzieciństwie i młodości sprawiała najwięcej kłopotów, lecz los i troska rodziców zaowocowały tym, że wyrosła z niej śliczna, zgrabna i mądra dziewczyna. Ukończyła psychologię, obecnie pracuje w biznesie i mieszka w Warszawie. Najmłodsza Monika ukończyła gdański AWF, a potem protetykę stomatologiczną. Prowadzi w Gdańsku swój zakład w tym drugim zawodzie.



Tamara Bożena, Andrzej Tadeusz i Jerzy Andrzej na schodach domu na Koziarce

Andrzej to jedyny potomek Mikołaja i Gieni, który od urodzenia wychował się w Sejnach na naszej Koziarce. Wrósł w nią, ale szybko się z niej wyzwolił, kiedy przeszedł na swoje nowe miejsce.

Jak przez mgłę pamiętam swoją ulicę, która jeszcze wtedy nie wyglądała na miejską. Potem przyjechali ludzie i zmienili naszą piaszczystą drogę, biegnącą malutkim wąwozem i oddzielającą nasze tereny od reszty Koziarki, na brukowaną. Zlikwidowali przy tym górkę, z której zjeżdżaliśmy na sankach. Żałowaliśmy jej, ale bardzo ciekawiła nas budowa nowej ulicy. Na początek przyszedł pan z taką dużą, uczepioną do konia szuflą, którą równał przywożony furmankami piasek. Po nim ubrani w dziwne spodnie z wielkimi skórzanymi łatami na kolanach robotnicy i wyrównane fragmenty naszej ulicy brukowali okrągłymi, równymi kamieniami. Zrobili to dokładnie, po dzień dzisiejszy ten bruk pozostał jak nowy.

Za naszym ogrodem rozciągały się już tylko pola i łąki. Jeszcze czuję zapach łąki Ramelów i pani Adamowiczowej w malutkiej dolince, która znajdowała się w miejscu dzisiejszego PZDL-u (Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych). Zapachu rozgrzanych słońcem ziół oraz poziomek rosnących na poboczach rowu, tuż obok wówczas dla nas wielkiego tajemniczego wąwozu, który wchodził za ogrodzenie sadu Ziniewicza, nie da się zapomnieć.

Oprócz tego na Koziarce było wiele wspaniałych miejsc, w tym ogromny, wzorowy i tajemniczy sad pana Ziniewicza. Nie każdy mógł tam chodzić. Ja uzyskałem zezwolenie dzięki temu, że jabłko, które postanowiłem zjeść, pożerałem całe z ogryzkiem, nic nie wyrzucając, i nie marnowałem efektów pracy gospodarza. Nie robiłem tego nawet wtedy, gdy napoczęte jabłko okazało się kwaśne i nie nadawało się do jedzenia. Nie tak jak te wszystkie inne „niedobre dzieci, te dzikusy, te bachury, co to jabłko zagryzie, popróbuj i szmyrgnie od razu w krzaki. Marnuj tylko. Nie będą mieli – nie będą wyrzucać i marnować”. Pan Ziniewicz bardzo lubił zachowanie takich dzieci jak my, te niemarnujące, a nie znosił tych drugich „dzikunów”, i za to nagradzał nas tym, że my mogliśmy chodzić po sadzie i do woli zajadać bardzo smaczne porzeczeki, agresty, maliny, orzechy, pachnące antonówki, grabsztyny, pepinki i kosztele. Na myśl o tych pysznościach nagranych słońcem, zrywanych prosto z drzewa lub zbieranych z rosnących pod drzewami ziół, o naturalnym smaku, kolorze i zapachu, jeszcze dziś napływa do ust ślina. Największą frajdą było rozmawiać z panem Ziniewiczem, zaciekłym przeciwnikiem złodziei jabłek i innych owoców, wrogiem wszelkiej niesprawiedliwości nieprawości, niegodziwości.

Pan Józef był synem tego Ziniewicza, który uczestniczył w kończącej wojnę światową konferencji pokojowej w Paryżu, na której walczył o wschodnią granicę naszej Ojczyzny. Godnie reprezentował polską społeczność

Sejneńszczyzny. To dzięki niemu i jego mądrości oraz stanowczości ukształtowała się polsko-litewska granica w tym miejscu i niemal bez zmian biegnie po dzień dzisiejszy. Jego mogiła znajduje się na sejneńskim starym cmentarzu, tuż obok kaplicy przy głównej alei.

Był też wielkim i wspaniałym przyjacielem dzieci. Opowiadał im nie tylko swoje przygody, ale przede wszystkim uczył, co można robić w życiu i jak postępować. Mówił o nazwach odmian jabłoni i o swoim sadzie. Dzisiaj już wiem, że żadna lekcja przyrody, historii, etyki, nie nauczyła mnie tyle, ile rozmowy z nim. To wtedy poznawałem prawdziwą historię tych ziem zupełnie mi obcych, a teraz są moimi. Wspominał o tym, jak na swoim siwym koniu zdobywał Wilno i dostał za to order, chyba *Virtuti Militari*. Robiło to na nas wielkie wrażenie.

Obok naszego domu z lewej strony mieszkali Toczewscy. Była to liczna rodzina: starszy pan, dziadek, starowity i słabiutki, oraz rodzice i dużo dzieci. Dlatego bardzo lubiłem tam chodzić i bawić się z nimi. Jednak najlepsze tam były przerwy w zabawie, podczas których pani Toczewska zaczynała kroić białutki i pachnący chleb od Pogorzelskiego. Wręczała nam grube pajdy, moczyliśmy je w wodzie i posypywaliśmy cukrem. Wydawało mi się wówczas, że nie ma chyba na świecie nic smaczniejszego niż ten chleb jedzony w gronie moich przyjaciół Toczewskich. Później wyprowadzili się do miasta. Tęskniłem za nimi; spotykałem się później z państwem Toczewskich. On był szewcem, zetknąłem się z nim w zespole pieśni i tańca, grał wówczas na skrzypcach w kapeli. Ja początkowo tańczyłem, a później prowadziłem „Sejny”. Dzisiaj nie wiem, co się dzieje z Bronkiem, Aliną, Jankiem i innymi. Spotykam czasem Krystynę.

Na miejsce Toczewskich przyszedł starszy pan, którego nazwiska nie pamiętam. Wszyscy o nim mówiliśmy „Garncarz”. Robił z gliny różne rzeczy. Wypalał je w polowym piecu, który zbudował na swoim podwórzu. Z tego powodu nie wolno tam było w ogóle się zbliżać, żeby nie wpaść do tego dołu, w którym układał wyroby z gliny do wypalania. Mama wciąż przestrzegała: „Gdybyś wpadł, nikt by już ciebie nie znalazł”. Wołał nas czasami ten pan garncarz i dawał gliniane gwizdki i okaryny. Pozwalał zakręcić garncarskim kołem. Mówił z dziwnym akcentem o tym, jak jest na targach, na które jeździł.

Naprzeciwko jego domu mieszkaly dwie starsze panie, chyba Grodzickie. Nic o nich nie wiem. Ale wizyty u nich zawsze były ważnym przeżyciem. Starsze, dystyngowane, mówiły z dziwnym akcentem o tym, jak należy się zachowywać, co można, czego nie wypada, jak jeść wiśniowy co nieco przestarzały placek, leżący na ozdobnym, pięknym talerzyku, za pomocą malutkiego, ciężkiego widelczyka. Nie smakował mi placek popijany herbatą nalewaną z czajniczka z kompletu, z którego pochodził talerzyk, a nie z zimnym

mlekiem, z którym przyzwyczailem się jeść ciasto. Niewygodnie też było go zjadać, siedząc wyprostowany przy stole. W ich domku pachniało ziołami, starymi meblami, książkami i paloną w domowym systemie w specjalnych naczyniach kawą. Na meblach stały cudowne bibeloty i porcelanowe figurki. Bardzo chciałem mieć jedną z nich, przedstawiającą małego chłopca grającego na fujarce dla pięknej, pucułowatej dziewczyny, ubranej w długą i falbaniastą sukienkę i w dziwnym, zawiązanym pod brodą kapeluszu.

Jednak najwięcej wspomnień wiąże się z tajemniczym, przyciągającym jak magnes gospodarstwem państwa Ramelów. Nie można tam było tak sobie bez potrzeby biegać. A żeby się dostać, też z trudem, należało przejść przez ulicę, po której „pędziły rozpędzone” chłopskie furmanki. A u Ramela był wielki koń ogier i ogromny byk czarno-biały z wielkim kółkiem w nosie, do którego gdy się złościł i rozrabiał, zaczepiało się łańcuszek i za jego pomocą dał się prowadzić pokornie, gdzie się chciało. Przyjeżdżały tam furmanki, dużo różnych gości i interesantów. Jedni załatwiali swoje sprawy gospodarskie, drudzy przynosili mięso do wędzenia, inni przyprowadzali krowy na spotkanie z bykiem i kobyły z ogierem, i w tym czasie nie można było przeszkadzać ani w robocie, ani kiedy przyjezdnym okazał się dobry znajomy albo leśny, zaproszony w szybko zaaranżowaną gościnę i na poczęstunki.

Wyjazd na grzyby zorganizowany przez pana Ramela. Na wozie, obok pana Ramela (z wąsami), siedzi jego kolega z partyzantki, pan Ruczko



Kazimierz Ramel, rzeźnik, usługowo zabijał prosiaki. I to dopiero było interesujące. Miał kilka ciekawych i bardzo ostrych noży. Ostrzył je na stalce, którą razem z nimi nosił ze sobą, kiedy szedł wykonywać swoją krwawą robotę. Wśród nich miał: jeden większy i grubszy, który przypominał bardziej rycerski tasak; drugi mniejszy z cienkim i wąskim ostrzem; a jeszcze inny – mały, ostry sztylet, budzący we mnie najwięcej strachu i lęku, którym pan Ramel zadawał swój ostateczny, powalający na ziemię

i odbierający życie nawet największej świni cios. Pan Kazimierz, jego profesja i przepiękne, interesujące opowiadania przyciągały mnie i choć nie można było tam wejść tak sobie, to ja jednak tam chodziłem. A właściwie wkradałem się po kryjomu, obserwowałem, słuchałem i... przeszkadzałem wszystkim okropnie.

Pani Kazimiera, żona, również zajmowała się produkcją i sprzedażą wyrobów masarniczych. Szczególnie znali ją w Sejnach z umiejętności wędzenia (prawdziwych) wędlin. Z tym co ona robiła z przygotowanym przez Mamę mięsem i jakie wyroby powstawały tu na Koziarce, nigdzie dotychczas w Polsce ani za granicą się nie spotkałem.

Pan Kazimierz należał do bojowników o wolność Polski. Za swoje wojenne dokonania i aktywność w zbrojnym podziemiu został zesłany na Sybir. On zawsze miał dla mnie czas. Siadał na swojej ławeczce pod jabłónką kronselską i barwnie oraz sugestywnie opowiadał. Miał czarne włosy, niepolską urodę, wspaniałe czarne wąsiska, bez względu na lato czy zimę na głowie nosił czapkę, a na nogach buty gumowe z podwiniętymi do połowy cholewami. Często je zdejmował i wytrząsał z nich słomę, siano lub inne paprochy ze stodoły i sprytnie zawijał swoje nogi w onuce. Ze mną rozmawiał o wszystkim. Od niego o zsyłkach, Katyniu i Ruskich, którzy strzelali do Polaków, nie dawali jeść, więzili i trzeba było od nich uciekać, dowiedziałem się wtedy, gdy w pierwszych latach nauki mówili mi w szkole, że Rosjanie to nasi wyzwoliciele i przyjaciele w budowie socjalizmu.

Dzisiaj ani Kazimierz, ani jego żona nie żyją, a także ich jedyny syn Leszek, który zginął w tragicznym wypadku drogowym. W ich pięknym, drewnianym, owianym tajemnicą domu żyje córka Wanda z mężem, oboje na emeryturze.

Naprzeciwno Ramelów żyła pani Gienia, od kiedy pamiętam, z małymi przerwami zawsze samotna. Za ich płotem, po drugiej stronie, mieszkali zmarli Linkiewiczowie i Łabanowscy z moim kolegą Tośkiem, który pięknie grał na akordeonie i głośno wyśpiewywał; dalej – nieżyjący Żółkowscy i Szczerbińscy. Po nich była Balewicz Góra, sadek Balewiczów z przepyszną gruszą, pani Adamowiczowa (zmarła), która miała łąkę z torfownią i ścieżką biegnącą pomiędzy posesją Ziniewiczów i Gonczarzewiczów prowadziła swoją krowę, która na stałe przebywała w stodole koło Szczerbińskich. Dalej po tej samej stronie naszej ulicy mieszkał kowal Ziniewicz (nie kuzyn mojego, nieżyjący) i pani Ziniewiczowa, która żyje i ma się nieźle, mieszka z córką, zięciem i wnukami w nowym domu, zbudowanym też na Koziarce, ale w innym miejscu. Następni byli ś.p. Rabkowscy, a dalej skup ziół, w którym pracowała pani Serafina, najbardziej tajemnicze i pachnące miejsce, jakie dotychczas poznałem. Lubilem tam chodzić. Pani obsługująca ten zakład z wielką cierpliwością opowiadała nam o wszystkich ziołach i o ich przeznaczeniu. Zakolegowaliśmy się też z jej synem Andrzejem. Potem stał wielki wielorodzinny dom,

w którym żył mój najlepszy kolega Heniek, i wiele innych rodzin, między innymi Łączkowie i ich synowie, moi kumple Krysiek i Irek (zmarli). Dalej mieli dom państwo Gromkowie i na rogu ulicy naszej i Głowackiego – Galińscy.

Po naszej stronie ulicy od szosy do Berżnik mieszkali Toczewscy, następny był nasz dom, w którym po wyprowadzeniu się sąsiadów Goncarzewiczów mieszkali Poniatowscy. Stanisław Poniatowski (zmarły) pracował z moim ojcem, jego żona Iza mieszka samotnie w Krasnopolu. Nasze rodziny bardzo się przyjaźniły, aż po dzisiejszy dzień, bo relację tę podtrzymują Iza z moją siostrą. Później w drugiej połowie naszego domu przebywali nieżyjący już Zofia i Edward Romanowscy, on zegarmistrz i muzyk, ona pracowała z moim ojcem w geesie i kierowała zakładem najbardziej ukochanym przez dzieci, wytwórnią czerwonej oranżady! Mieli dwóch synów: Wiesiek „Butla” i Jurek zwany różnie, ale najczęściej „Czarny”. Był moim przyjacielem, grał na gitarze najlepiej spośród ludzi, których dotąd poznałem, a teraz jest bardzo ważnym oficerem WP i pełni służbę na placówce dyplomatycznej w Kijowie. Panią Romanowską, a szczególnie Wieśka i Czarnego, traktowaliśmy jak członków naszej rodziny. Tej więzi nie przeszkadzały nawet horrendalne świństwa, jakich dopuścił się „Czarny” na drodze do swojej kariery. Dalej stoją: dom Goncarzewiczów i ogrodzone wysokim, drewnianym parkanem gospodarstwo Ziniewiczów; malutki domek, w którym mieszkała kobieta wychowująca nieswoje dzieci, a my niesprawiedliwie baliśmy się jej i nazywaliśmy macochą; wysoko nad ulicą tajemniczy, drewniany dom Soroków, do którego zaglądaliśmy, aby obejrzeć zabytkowe stare meble, zegar i duży stół; posesje: Balewiczów ze Staśkiem, zmarłym moim kumplem; Czeszkiewiczów z kolegami Jurkiem i Tolkiem; Radzewiczów z nieżyjącym Staśkiem, z którym wraz z „Czarnym” Jurkiem Romanowskim utworzyliśmy pierwszy big-beatowy zespół, grając u Franka Calewskiego w „Norze” pod szyldem „Delta”; malutki tajemniczy domeczek, w którym mieszkał samotny pan z wielką białą brodą; posesje: rodziny nauczycielki Krupińskiej i zmarłego już strażaka, prawdziwego, w strażackim, obwieszonym medalami mundurze, być może jak mówiło się na naszej ulicy, założyciela w Sejnach straży pożarnej; ś.p. Ruczków, w tym Bronka, starszego, bardzo mądrego chłopca, lecz niecieszącego się zbyt wielkim mirem wśród nas.

Następnie mieszkali: babcia i dziadzio Heńka Bućkuna w swoim malutkim domku, Wereszczyńscy i Wołukanisowie (wszyscy nieżyjący). Tych ostatnich bardzo lubiłem zaczepiać na ulicy i rozmawiać z nimi. Często przechodzili koło mojego domu, bo gdzieś w tej stronie mieli swoje pole i prowadzali tam krowę. Zawsze, kiedy zadałem im pytanie, zatrzymywali się i z wielką przychylnością odpowiadali. W tym samym domu mieszkał nasz kolega Rysio Gomulczyk;

podczas naszej zabawy kopnął go w oba kolana jednocześnie pasący się na łące koło lasu stary koń, którego on – w ramach prezentacji swojej odwagi i naszej totalnej głupoty i tchórzostwa – ugryzł w nos. Ugryzł albo usiłował ugryźć. Tymczasem koń, wystraszony i zaskoczony tym czynem, podskoczył w górę i niechcąc kopnął Rysia. Zorganizowaliśmy akcję ratowniczą. Stasio i Henio wyciągali go spod bestii, a ja pobiegłem do Ruczków pożyczyć taczkę. Załadowaliśmy na nią poszkodowanego i powieźliśmy do domu, gdzie wykpirowaliśmy go na trawkę. Wyszła mama, zobaczyła uwalane piaskiem i trawą ubranko syna, po czym stwierdziła, że to nasza wina, i dała w gębę najbliższemu stojącemu, zafrasowanemu Heniowi. Na tym skończyła się przygoda, ale nie nasza przyjaźń.

Za domem Wołukanisów siedzieli Karpowiczowie z Markiem, znanym w Sejnach pedagogiem, działaczem kultury, artystą, z którym miałem zaszczyt długo pracować. Pan Karpowicz był doskonałym szewcem. Chodziliśmy tam z Mamą. Umiał fachowo przybijać żabki do butów i blaszki do przyczepiania łyżew śniegówek, niższych niż normalne, z zagiętym do góry czubem, na których ślizgało się nie tylko na lodowisku, ale również na ubitym śniegu po ulicach. Podczas wizyty u państwa Karpowiczów oglądałem pierwsze prace Marka, który wówczas studiował plastykę.

Dalej były dwa cmentarze: jeden nowy, drugi stary. Tam najczęściej chodziliśmy sprawdzić naszą odwagę, która polegała na tym, kto tam pójdzie i dłużej pobędzie w ciemności, ten odważniejszy. Cmentarzem zarządzał mieszkający blisko niego starszy pan grabarz, który nie zważał na to, że nasze wieczorne wizyty to test na odwagę, lecz jakieś tam chuligaństwo, i ganiał nas stamtąd wyjątkowo sprawnie i szybko, jak na jego wiek.

Koziarka długo pozostanie w moich wspomnieniach jako enklawa, z której chodziło się do miasteczka za rzekę do sklepu, do szkoły, do pracy. Początkowo my dzieci nie wychodziliśmy z niej. Tamto za rzeką nie istniało w naszej dziecięcej świadomości, dopiero później wraz z tym jak przybywało nam lat, rodzice wysyłali nas po sprawunki. Z Mamą chodziłem do lekarza pana Rittlera, który swój gabinet miał w budynku sklepu kolonialnego na ulicy Zawadzkiego. Także na babski rynek nieopodal synagogi, na miejscu dzisiejszego parkingu. Tam Mama kupowała od stojących przy długich stołach kobiet sery, masło, kury na rosół. W budach zwanych jatkami, wśród których jedna należała do Ramela, kupowała mięso nazywane rąbanką. Naprzeciwko Rynku, obok wielkiego słupa ogłoszeniowego i małego dąbka, na rogu ciągu domów, w których znajdowała się piekarnia Pogorzelskich, swój sklep miała pani Mickowa, kuzynka wspomnianego rzeźnika. Ta niskiego wzrostu, dystygowana, tajemnicza, mówiąca wysokim, nosowym głosem z dziwnym akcentem kobieta, w swoim malutkim sklepiku miała wszystko co najlepsze

dla dziecka, a więc czerwoną, zamykaną na zatrask oranżadę, przepyszny płynny owoc, wielosmakowe oranżadki w proszku, batony krymskie, wreszcie lizaki (po 50 gr sztuka) i cukierki raczki (po 30). To z powodu tego sklepu z wielką ochotą chodziliśmy do Pogorzelskiego po chleb, bo za drogę dostawaliśmy możliwość zakupu oranżadki, raczka albo lizaka. „Krymskiego” kupowaliśmy nieczęsto, najczęściej w niedzielę. Kosztował krocie – całe dwa złote i czterdzieści groszy.

Między ludźmi tu mieszkającymi panowały istic wiejskie, bliskie i serdeczne stosunki. Wszyscy się znali i pomagali sobie razem. Wydawałoby się, że w tak hermetycznej i spójnej społeczności, jaką była Koziarka, nam nowym i niepewnym przyjeźdnym znaleźć się nie było łatwo. Myślę, że głównie z powodu wielkiej otwartości Mamy, zaletom towarzyskim Ojca i przede wszystkim dzięki niewystępującej obecnie kresowej gościnności, proces naszego wrastania w Koziarkę przebiegł bardzo szybko. Mama okazała się zwykłą wiejską kobietą, a Ojciec zwykłym chłopem, który do pogadania i do wypitki dobrze pasował, miał zdrowy stosunek do życia i nowej rzeczywistości, nie obnosił się ze swoim stanowiskiem i wykształceniem oraz chętnie pomagał sąsiadom, a więc nie jakiś nasłany esbek, jak wcześniej uważano.

Kola i Genowefa podczas pomocy przy żniwach swoim sąsiadom z Koziarki



I tak zaczęło się życie w Sejnach. Nagle staliśmy się elementem koziarkowej społeczności. Genio zaprzyjaźnił się z kolegami z ulicy. Wspólnie chodzili do szkoły, jeździli na wycieczki. Poszli razem do średniej szkoły i w kawalerkę. Jako pełnoprawni mieszkańcy uczestniczyliśmy całą rodziną w weselu Wandy, najstarszej córki Ramela, i młodszego syna Leszka, który za żonę wziął córkę Ziniewicza. Olek, syn Piotra (brata mojego Ojca), zaraz po ukończeniu sejneńskiego liceum ożenił się z córką naszych sąsiadów Linkiewiczów. Ramelowie i ich potomkowie spotykali się z nami podczas

ważnych świąt, smutnych i radosnych. Wspólnie uczestniczyliśmy w radościach i nieszczęściach poszczególnych mieszkańców, które z czasem stały się wspólnymi, naszymi „koziarkowymi” nieszczęściami i radościami.

Od przyjazdu do Sejn aż do śmierci Ojciec pracował na różnych mniej lub bardziej eksponowanych stanowiskach kierowniczych w instytucjach zajmujących się obsługą rolnictwa i współpracą z rolnikami. Był kierownikiem Związku Kółek Rolniczych, powiatowego wydziału rolnictwa, prezesem Powiatowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu, później gminnej spółdzielni, a także przedstawicielem różnych zakładów doświadczalnych pracujących na rzecz rolnictwa. Najwięcej satysfakcji dawały mu różne wdrożenia nowych odmian roślin, zwierząt, metod gospodarowania, ponieważ działalność ta wymagała bezpośredniego kontaktu z rolnikiem. Ponadto wprowadzał nowe programy budownictwa wiejskiego, organizował kursy i szkolenia, na teren Sejneńszczyzny sprowadził szereg odmian zbóż, ziemniaków, roślin zielonych. Nauczał w espeerach, czyli szkołach przysposobienia rolniczego w powiecie sejneńskim. Zawsze cenił sobie robotę i bezpośredni kontakt z ludźmi. I tu w Sejnach, podobnie jak w Olecku, szybko doświadczył prawdziwego oblicza jego wyidealizowanej w okresie studiów lewicy, zauważywszy wielki rozdźwięk pomiędzy teorią a rzeczywistością, propagandą a dniem codziennym. To chyba właśnie z tego powodu mój Kola nigdy nie zdecydował się na ważniejsze stanowisko w Sejnach ani we władzach instytucji wojewódzkich i centralnych. Nie skorzystał też z kilkakrotnych propozycji wyjazdów i kontraktów jako specjalista wspomagający budowę nowego rolnictwa w ZSSR, Węgrzech czy wreszcie Mongolii. Ten ostatni wyjazd był najbardziej realny. Mało brakowało, a byśmy tam wyjechali. Na szczęście jakoś nie doszło to do skutku.

Przepracował w Sejnach niemal cały okres aktywności zawodowej. Pozostawił po sobie kilka materialnych na to dowodów. Kilka, może kilkanaście lub więcej osób zawdzięcza mu swoje wykształcenie, awans życiowy czy ważną pozycję. Jednak to nie wszystko. W przypadku mojego Ojca są jeszcze większe wartości jego pracy, tkwią one w ludzkiej pamięci. Po niemal dwudziestu latach od śmierci mojego Koli wciąż spotykam się z sympatycznymi i miłymi wspomnieniami ludzi o nim, jego niewymuszonym i trafnym dowcipie, o jego zasługach, normalnym ludzkim zachowaniu w różnych trudnych sytuacjach.

Dlaczego więc zdecydowałem się napisać o moim Ojcu? Na mnie największy wpływ wywarło logiczne i racjonalne tłumaczenie przez niego wszelkich faktów i zdarzeń otaczającego mnie świata. Wciąż zachęcał mnie do myślenia. Wskazywał lekturę, w której mogłem wyczytać to, co mi potrzebne na dany temat.

Ojciec był świetnym mówcą i doskonałym wręcz gawędziarzem. Umiał opowiadać barwnie, sugestywnie i mądrze. Większość faktów zawartych w tym tekście pochodzi z mojej pamięci, w której jego opowieści się zapisały. To one wywarły na moim życiu tak wielkie wrażenie. Zadecydowały o moich orientacjach politycznych, skali wartości i przyjęciu wielokulturowej i wieloreligijnej koncepcji funkcjonowania społeczności. To dzięki niemu przekonałem się, że po to, żeby coś odrzucić, skrytykować czy zaprzeczyć, należy to przede wszystkim poznać. Przykładem tego niech będą jego rozmowy na temat prawosławia i jego stosunek do religii.

Pochodził z rodziny prawosławnej z dziada pradziada. Jednak na podstawie swoich gruntownych przemyśleń, w życiu dorosłym nigdy nie kierował się żadną religią. Odrzucił więc również i prawosławie. Ale jak pięknie o nim mówił, z jaką głęboką wiedzą, godnością i fachowością. Bardzo sugestywnie opowiadał o świętych, obrządku i należytych zachowaniu się w cerkwi. Dlatego ja, który w niej byłem kilka razy w swoim życiu, wchodzę tam jak do swojego kościoła. Wiem dużo o Ojcowym prawosławiu i podświadomie porównuję z nim swój wyznawany i praktykowany, maminy rzymskokatolicyzm. Najważniejsze, że nigdy nie usłyszałem od niego słowa krytyki i specyficznego u pewnych ludzi sarkazmu towarzyszącego tym sprawom. „Poznaj, a później odrzucisz albo przyjmiesz” – powiedział.

Moi rodzice stworzyli nam przede wszystkim dom, ale nie w sensie miejsca zamieszkania, lecz wspólnoty, praw, zwyczajów, obrzędowości, hierarchii, wzajemnego poszanowania i pomocy, jednym słowem tego wszystkiego, co tylko nasze, najbliższe i mocno spajające. Chociaż te związki pozostawione przez naszych rodziców wydawały się tak silne i nie do zniszczenia, to niestety, nie wytrzymały próby czasu. Okrutny współczesny świat funduje nam tyle różnych niespodzianek i sytuacji, które wcześniej nigdy by nie przyszły do głowy. Rodzina rozbiegła się po świecie. Każdy biegł za swoim i lepszym. Porzuciliśmy to wszystko, co wydawało się nam sentymentalne, banalne i współczesnym niepotrzebne. Potrzeby bieżące, pogoń za karierą i wszelkimi dobrami przykryły obowiązek czczenia przeszłości i tradycji. W pewnym wieku wydawało mi się, że chyba nigdy nie wróci taki czas, kiedy w domu na Konopnickiej były święta. Przyjeżdżali wszyscy bliscy, minimum dwadzieścia osób. Nakryty stół stał od przyjścia z pasterki, aż do „trzeciego” dnia świąt. Nigdy się go nie składało, jedynie odświeżało nakrycia i zawartość półmisek. Nie było przy tym pijaństwa. Piło się oczywiście alkohol, jadło dania świąteczne i co najważniejsze, ze sobą bez przerwy rozmawiało. Teraz wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale mieliśmy tematy, różne zdania i dyskutowaliśmy, najczęściej przy stole, herbacie, kartach, w tym brydzu,

w naszym domu obowiązkowym. Takie silne więzi panowały również w dalszych kręgach naszej rodziny.

Kola w swoim życiu przeszedł różne etapy, od syna biedniackiego chłopca z zabitej deskami wsi do pracownika bardzo dobrze wynagradzanego przez państwo. To wszystko osiągnął w Polsce przedwojennej. Dokonał niewiarygodnego awansu w tamtej rzeczywistości. Gdyby mój Ojciec nie wykonał tego skoku wcześniej, podejrzewam, że stałoby się to „za komuny”. Ale mimo opisanych przeze mnie tu przeżyć, przeżyć i sytuacji, przepracował ten trudny okres uczciwie, rzetelnie, z wieloma zawodowymi sukcesami i godnym zachowaniem się wobec przełożonych, rodziny oraz społeczności miast i środowisk, w których przebywał. A ponadto, nie ukrywajmy, Kola był bardzo łakomym kąskiem dla tamtej nowej władzy, która specjalistów za dużo nie miała.

Mój Ojciec wielkiej literatury po sobie nie pozostawił ani też pomnika, ale jeśli żyją ludzie, którzy go znali z tamtych czasów, to wspominają jego anegdoty krążące po okolicy. Ja wciąż jestem synem Mikołaja. Przeżyłem tutaj ponad pięćdziesiąt lat, ale jeszcze w społeczność lokalną nie wpisałem się tak mocno, jak on – Mikołaj. Wciąż mnie wszyscy identyfikują: „To ten, co to jest synem Mikołaja”.

Wśród nas żyją nadal ludzie, którzy wciąż nie czują się, że są u siebie, a przebywają jak na wczasach, na daczach. Mówią: trochę tu pobędę, popatrzę, poodpoczywam i wracam do siebie. Jednak nie wracają... Mimo wszystko dalej żyją swoim życiem daczniaków, które to na pozór zza płotu wygląda zupełnie inaczej. Może stać się nawet przedmiotem westchnień i marzeń. Jednak najczęściej po kilku dniach marzy się o tym, żeby wrócić do siebie, do własnego domu. A wrócić nie ma dokąd.

I tak mój Ojciec przeżył całe życie daczniaków, który niestety, nie miał dokąd wrócić na swoje.

Od Autora do najbliższych

O historii swojej rodziny wiem niewiele. Mało tego, że moja wiedza jest, niestety, niezbyt obszerna, to na dodatek niezbyt precyzyjna i rzetelna. Tak mówiąc szczerze, to nie bardzo też wiem, co w moich wspomnieniach jest faktem, a co wynikiem przeróżnych przekłamań. I co wreszcie powstało w mojej wyobraźni? Dlatego też przepraszam tych wszystkich, którzy znają historię mojej rodziny lepiej, bo dokładniej – z faktami, datami, kolejnością wydarzeń, nazwiskami i nazwami, słowem to, co powinno towarzyszyć solidnemu opisowi rodziny. Moje opowiadanie opiera się na mojej pamięci, która sięga nieodległego czasu. Jest to moja historia, Jurka...

Jeżeli ktoś poczuje się nią urażony, poczuje niedosyt, uzna się za zlekceważonego – uwierzcie mi – nie miałem takiej intencji. Po prostu tak to pamiętam, i tak ten świat postrzegałem. Chętnie porozmawiam na temat swojej słabej pamięci, nieakuratności w formułowaniu faktów, niedoskonałości języka objawiających się mało barwną opowieścią i brakiem godnego nadania znaczenia osobom, rzeczom, wydarzeniom i wspomnieniom, które każdy ma tylko dla siebie, żyje z nimi i wraz z upływem czasu weryfikuje je, zmienia, wypiera ze swojej pamięci albo wyolbrzymia. Mam również nadzieję, że ci lepiej pamiętający sięgną po pióro i napiszą prawdziwą historię naszej rodziny. Zapraszam wszystkich, którzy widzą to inaczej. Piszmy razem. Zasłużyła wszak sobie...

Przypisy

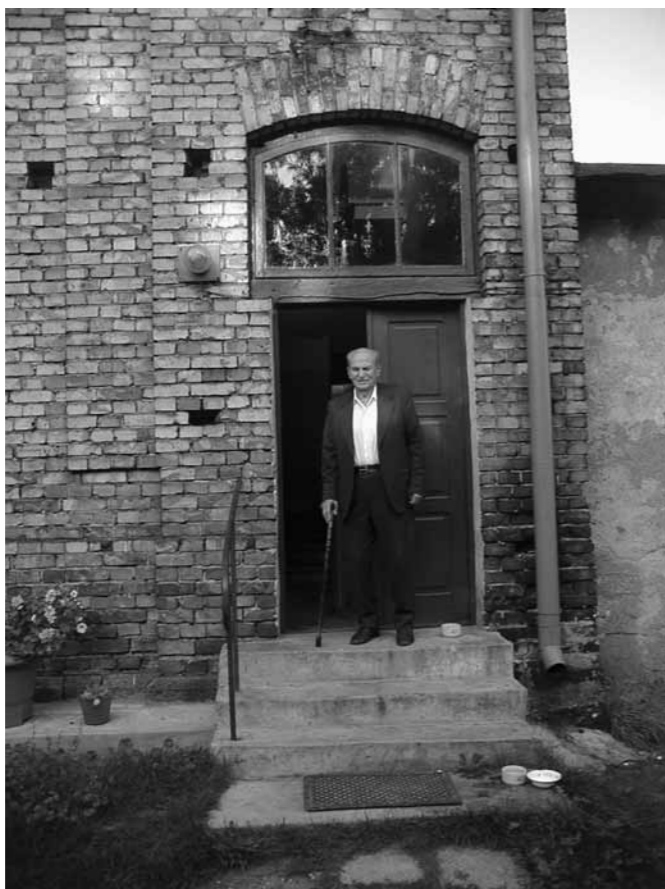
- 1 Popularne zawołanie na wschodzie, kiedy mężczyzna po wejściu do pomieszczenia, gdzie wiszą święte obrazy, nie zdjął czapki.
- 2 Kiedy zbliżali się Niemcy, to wśród miejscowej ludności prawosławnej istniało przekonanie, że będą ją eksterminować. Spowodowało to istny exodus z ziem zachodniej Białorusi w głąb Rosji. Włodzimierz Pawluczuk opisuje to w swojej książce o proroku Ilji Klimowiczu i jego Wierszalinie.
- 3 Podczas poszukiwań materiałów na temat Choroszczewa, dotarłem do interesującej informacji na temat przeprowadzanego na przełomie lat 20. i 30. XX wieku (ściślej: w 1931 r.) scalania gruntów w tej wsi. Akta prawne znajdują się w archiwum w Bielsku Podlaskim. Jak wyglądały typowe ulicówki, można jeszcze zobaczyć na Podlasiu, a proces scalania gruntów we wsi Skustełe na Sejneńszczyźnie opisany został w jednym z tomów *Materiałów do dziejów ziemi sejneńskiej*.
- 4 W 2008 roku, podczas mojej wizyty w kolonii Choroszczewo, spotkałem „Hermaniuka”, syna Hermana. Przyszedł w niedzielę do „Władziuków”, moich braci stryjecznych. Wspominał moją Mamę Gienkę, Ojca Kołę, jego braci, a przede wszystkim Kasjana i Elizawietę. Powiadał, że Elizawieta była tak piękna, że „do niej i jej siostry (matki Władysława) przyjeżdżali artyści malarze, fotografy, żeby zrobić im portrety”. Mówił o problemach Kasjana ze znalezieniem się w nowym świecie, swoim największym, nieżyjącym już przyjacieli Władysławie, który przejął schedę po „Kasjaniukach” z kolonii, „choć był nie ich”, tylko przysposobiony i nazywał się Jurczuk.
- 5 Władzia, siostra mojej mamy Genowefy, wyszła za przysposobionego brata mojego Ojca Władysława. Bardzo się kochali i żyli szczęśliwie. Mieli dwóch synów. Władzia nabawiła się ciężkiego zapalenia płuc, kiedy pomagała swoim znajomym przygotować wesele, i zmarła wcześniej. Od tego czasu stryj zmienił się nie do poznania. Zmarł po ciężkim zatorze mózgu, wciąż czekając na spotkanie ze swoją Władzią.
- 6 Sydor Kowpak, żołnierz armii rosyjskiej, bolszewik, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, czterokrotnie odznaczony dowódca oddziałów partyzanckich w drugiej wojnie światowej, następnie jeden z organizatorów radzieckiego ruchu partyzanckiego na Ukrainie i dowódca jego wszystkich oddziałów, które również zapędzały się na tereny polskie. Cieszył się wśród nas chłopców wielką sławą, równą postaciom z książek: *Timur i jego drużyna*, *Chłopiec z Salskich Stepów*, *Samotny biały żagiel* czy nawet *Winnetou*, *Jeździec bez głowy* i *Biały kiel* razem wzięci.
- 7 Podmokła łąka, mały staw, bajorko (lok.).
- 8 Dzisiaj na kolonii mają swój letni azyl synowie Władysława. Janusz, biolog, emerytowany nauczyciel, i Andrzej, pracownik samorządowy, oraz ich przeurocze kobiety stworzyli tam ku pamięci swoich rodziców przepiękny, spełniający wszelkie wymogi unijne sad ekologiczny i precudowne kwietne ogrody.
- 9 Romka spotkałem w ubiegłym roku. Żyje wciąż w swoim domu rodzinnym z żoną i wielką gromadką dzieci. Nic się nie zmienił i zachował swoją specyficzną i niewyszukaną elegancję.
- 10 Wólka Terechowska – wieś w województwie podlaskim, powiecie hajnowskim, gminie Czeremcha. To malarzka wioseczka leżąca niemal na granicy z Białorusią. Dawniej była to ważna i ludna wieś. Obecnie, kiedy dwa lata temu ją odwiedziłem, zauważyłem opisywane przez Sokrata Janowicza zjawisko wyludniających się miejscowości podlaskich i zarastających trawą.
- 11 Wszyscy, oprócz Rościka, już nie żyją. W ubiegłym roku zmarł Filka. Lenka w młodym wieku owdowiała, jej mąż zginął w wypadku na kolei. Zmarła niedawno. Władek umarł w USA, dokąd wyjechał przed wojną i pracował jako kowal artystyczny, wytwarzając dobrze sprzedające się krzyże przez żydowskiego handlowca. Stwierdziwszy, że jest oszukiwany, upomniął się o swoje tak mocno, że tamten już nigdy w życiu nie był w stanie handlować. Przesiedział w więzieniu o podwyższonym rygorze do drugiej wojny, na której później zginął jako amerykański żołnierz, walczący o swoją ojczyznę. Małżonka Rościka, piękna, o niespotykanej już dzisiaj urodzie kobieta, zmarła w ubiegłym roku. Rościk żyje, pomimo swojej chyba najbardziej burzliwej ze wszystkich stryjów młodości. Zakupił sobie ostatnio prawdziwy chiński niebieski traktor.
- 12 Ta, niezbyt pochlebna bajkowa nazwa skądinąd dobrej kobiety, wzięła swój początek z autentycznego wydarzenia podczas nielicznych podróży do Wólki. Moi rodzice pomagali Dziadkowi Kasjanowi przy zwózce zboża do stodoł. W tym czasie my dzieci bawiliśmy się na podwórzu, niedaleko stodoły. Ojciec wrzucał snopy z furmanki wysoko na sasięk, a reszta – w tym moja nowa babcia – je tam układała. Nagle ta leciwa już kobieta spadła z wysokości sasięku na tok stodoły. Upadła tak szczęśliwie, że nie doznała większego uszczerbku, oprócz niezbyt mocnego zbitcia sobie nogi. Wstała więc, wzięła leżący dość długi kij i opierając się na nim, szybko wyszła ze stodoły. W tym momencie zajęty zabawą dzieciom ukazał się taki oto widok. Z trzaskiem otwierają się boczne drzwi stodoły, w których staje prawdziwa Baba-Jaga, szepce coś pod swoim haczykowatym nosem, na twarzy ma nienaturalnie czerwony rumieniec, na głowie sterczącą i przechyloną na bakier chustkę i błyszczące w słońcu włosy, a w rękę trzyma prawdziwą miotłę, skacze na jednej nodze, drugą ma jeszcze na miotle. Ani chybi, na nasze podwórze wylądowała prawdziwa Baba-Jaga. Zerwaliśmy się z miejsca na równe nogi i ze straszliwym wrzaskiem, wzywając pomocy, uciekliśmy do swoich rodziców.
- 13 Podczas naszych rzadkich wizyt w Wólce Terechowskiej mieszkaliśmy raczej u któregoś ze stryjecznych braci mojego Ojca. Z tamtej Wólki pamiętam unoszący się wiecznie zapach suszącej się dębiny, nieprzebraną ilość różnych pachnących beczek, zaścieniające całe podwórza wiórki ze strugów podczas wyrobu beczkowych klepek i uśmiechnięte, wąsate twarze moich stryjów.
- 14 Choroszczewo, wieś w województwie podlaskim, powiecie siemiatyckim, gminie Milejczyce. Zawsze tam żyli wolni chłopci. Z młodości pamiętam: we wsi były dwa sklepy i świetlica, w której odbywały się wiejskie zabawy i przyjeżdżała młodzież z okolic. Naprzeciwko domu mojej Mamy stał dom mojego Ojca. Do czasu scalania gruntu była typową ulicówką. Żyli tam i prawosławni, i katolicy zgodnie i niezbyt bogato.
- 15 Dacznik to magiczne słowo w mojej rodzinie. Pochodzi, jak się domyślam, od określenia osoby, która przyjeżdżała na wieś, na daczę, i przebywała na obszarze zamkniętym przed okolicznymi mieszkańcami. Zwyczaje, standardy i całokształt życia tych przyjezdnych miejscowi autochtoni poznawali na podstawie cząstkowych obserwacji zza płotu. Więc ze swoich wyobrażeń i niestworzonych historii zbudowali wręcz magiczne znaczenie tego słowa. W naszej rodzinie miało ono wiele znaczeń, było ulubionym słowem mojego ojca, a później i naszym. Określało ono wszystko, co wiązało się ze stanem ducha, sposobem odżywiania się, ubierania, wypoczywania itd. Np. gdy ojciec jadł biały ser ze słodką śmietaną i bułką świeżą albo rybkę czy rosół, wówczas zawsze jadł jak dacznik. A kiedy wolno i z rękami założonymi z tyłu szedł zamysłony na spacer, to szedł jak wypisz, wymaluj dacznik.
- 16 Siedmioletnie szkoły powszechne pierwszego stopnia powstawały głównie na wsi, realizowały program tylko czterech klas i nie dawały uprawnień do nauki w gimnazjum.
- 17 Pozostałością trzech zaborów były trzy różne systemy szkolne w odrodzonej Polsce. Niedobór kadry nauczycielskiej, budynków szkolnych, ogrom obowiązków nie pozwoliły usunąć tych niedoskonałości tuż po odzyskaniu niepodległości. Dopiero reforma jędrzejewiczowska uregulowała te sprawy w całej Polsce.
- 18 Warunkiem przyjęcia do klasy pierwszej czteroletniego gimnazjum było ukończenie dwunastu lat, wykształcenie sześciu klas szkoły powszechnej stopnia trzeciego i zdanie egzaminu wstępnego. Ukończenie dawało tzw. małą maturę i umożliwiało dalszą naukę w dwuletnim liceum ogólnokształcącym lub zawodowym albo trzyletnim pedagogicznym.
- 19 Mieszkał gdzieś w okolicy kolonii Pokaniewo, niedaleko swojego domu, najprawdopodobniej u jednej z ciotek, która się nim zaopiekowała. Zapewne zmiana środowiska i opiekunka miały ogromny wpływ na dalsze losy mojego ojca.

- 20 Sztuki sosnowe – ścięte, okorowane i wstępnie przygotowane do dalszej obróbki w tartaku pnie sosen.
- 21 Tekst do tej piosenki napisała Maria Konopnicka pt. *Co dzieci widziały w drodze*. W oryginale: *Jadą, jadą dzieci...* (Red.)
- 22 Gienia, Władzia, Helena zmarły, żyją wciąż Paulina, Stacha i Kasia, najmłodsza, obecnie ze swoim mężem Kazimierzem mieszka w domu rodzinnym w Choroszczewie. Paulina, moim zdaniem, najwięcej zła w swoim życiu doświadczyła. W czasie wojny, mając około szesnastu lat, „w imieniu całej rodziny Tatarczuków” dobrowolnie pojechała na roboty do Niemiec. Po szczęśliwym powrocie miała ciężkie życie: biedę, dziecko niepełnosprawne po chorobie Heinego-Medina, wczesne owdowienie i życie w samotności na kolonii z dala od ludzi. Teraz dopiero dzieci (same córki) wspomagają ją i zapewniają spokój i dostatek.
- 23 Maszyna mojej Mamy (marki PFAFF), przewędrowała długą drogę, świetnie służyła mimo upływu czasu, dotrwała naszego domu w Sejnach i wciąż jest na chodzie.
- 24 Jedną z przepięknych serwet otrzymałem w spadku po Mamie. Kiedy kładziemy ją na stół, natychmiast pobudza wspomnienia, przywołuje i przybliża to, co gdzieś w pamięci się zapodziało.
- 25 Slonim – miasto leżące nad rzekami Szczarą i Issą, pierwsza wzmianka w XI w., od XIII w. gród w państwie litewskim, od 1500 r. prawa miejskie (1532 – prawo magdeburskie), siedziba powiatu, starostwo grodowe; jako siedziba Michała Ogińskiego w drugiej poł. XVIII w. ośrodek kultury (teatr operowy, drukarnia); 1765–1784 rozwój związany z budową Kanału Ogińskiego między Jasiołdą i Szczarą; od 1795 w Rosji, rok później stolica guberni. W II Rzeczypospolitej miasto powiatowe i garnizonowe w województwie nowogródzkim. Obecnie w zachodniej Białorusi, w obwodzie grodzieńskim (46 tys. mieszkańców, 1989).
- 26 Żeby wyskoczył wyżej dupy (z ros.).
- 27 Często od mojego Ojca słyszałem te słowa; dotyczyły one sytuacji, kiedy go odwiedzili goście i poczęstowali alkoholem, i trzeba było jakoś zrewanżować się zagrychą, a w domu był tylko jeden jedyny ogórek, to wtedy, żeby nie okazać się dziadami, powiadał: „Jak doszło do takiego pijaństwa – pokrój ostatni ogórek!”
- 28 Jedną z takich chusteczek moja Mama chowała w torebce, której zawartość była jedną z moich większych i niezgłębionych tajemnic. Jednak gdy odeszła na zawsze i można tam było zajrzeć, nie miałem już odwagi tego zrobić.
- 29 Na pierwszy rzut oka (z ros.).
- 30 Strannyj (ros.) – dziwny, niespotykany.
- 31 I żyć wtedy łatwiej (z ros.)
- 32 Prosto ujutnyj (ros.) – wprost (zwyczajnie) przytulny, swojski.
- 33 Klasyczne spodnie do jazdy konnej.
- 34 Aplikacje na bryczesach, rodzaj łąt, które naszywa się, aby wzmocnić je w miejscach mających kontakt z koniem.
- 35 Wysokie buty do jazdy konnej.
- 36 Poniosłyby fiasko, klęskę (z ros.).
- 37 Szuwaks – dawna nazwa pasty do butów (z niem. Schuhwichse).
- 38 Nazwy popularnych przed wojną past do butów.
- 39 Nie znam jego nazwiska ani szarży. Na podstawie opowieści mojego Ojca próbowałem korespondencyjnie i w źródłach pisanych odnaleźć jego dane i ujawnić tę postać. Znalazłem tylko w internetowej wikipedii – pod hasłem: Slonim – biografię Adolfa Stanisława Sarneckiego, w której zawarte informacje mogły do poszukiwanego przeze mnie pasować. Należał do POW, służył ochotniczo w Legionach Polskich, po kryzysie przysięgowym zbiegł z więzienia w Łowiczu, brał udział w wojnie z Rosją (1920) w stopniu podporucznika, a po demobilizacji pracował jako nauczyciel, potem w administracji oświatowej, w tym na stanowisku inspektora szkolnego powiatu słonimskiego (1929–1939).
- 40 Lisków (wieś gminna w woj. wielkopolskim) – w pierwszych latach XX wieku i w okresie międzywojennym znany jako wzorowa wieś spółdzielcza w powiecie kaliskim, rozwijająca się dzięki inicjatywie i działalności ks. Wacława Blizińskiego (proboszcza od 1900). W roku 1900 miała sto chałup drewnianych (w tym jedna murowana) i odtąd następowała stopniowo jej przebudowa w sferze społecznej i materialnej, m.in. powstawały tu: spółdzielnia spożywców

(1902), Kasa Drobnego Kredytu (1904), fabryka zabawek (1910), spółdzielnia mleczarska (1911), gimnazjum (1916, od 1921 seminarium nauczycielskie), a po wojnie: szkoła rolniczo-handlowa, ośrodek zdrowia i sierociniec oraz bogata infrastruktura komunalna.

- 41 W latach 30. Lisków odwiedzili uczestnicy międzynarodowego kongresu rolniczego; a to, co tam zobaczyli, odbiło się szerokim echem w świecie.
- 42 Lawonicha – białoruski taniec ludowy, którego nazwa pochodzi od popularnej piosenki ludowej, zaczynającej się słowami: „A Lawonichu Lawon polubił...”
- 43 Tak na marginesie, to jakiś zupełnie niewytłumaczalny zbieg okoliczności zaistniał dwa lata temu. Nasz syn Bartek sam, bez naszej pomocy, kierując się bliskością wymarzonej uczelni i jazzowych Katowic, znalazł sobie szkołę artystyczną w Cieszynie. I dziś uczy się w tych samych budynkach, co jego dziadek.
- 44 Nie myślałem o bogatym życiu, samo przyszło (z ros.). To kolejne dobitne powiedzonko Nazaruków w sytuacjach, gdy coś się udało, chociaż za bardzo o to się nie starało.
- 45 Do najwcześniejszych dowcipów należał ten o sklepie i flądrze w czasach, kiedy przyszedł Rusek, który opowiadał mój ojciec sąsiadowi z naprzeciwka. Kiedy przyszedł on do sklepu i pytał o kolejne zaplanowane towary do zakupienia, to bez przerwy słyszał: nie dowieźli. Wreszcie zobaczył pierwszy raz w swoim życiu leżącą na ladzie flandrę. Zdenerwowany zapytał sprzedawczynię: „a etaja swołocz z odnom głazom to pieszkom przisła?”. Śmiali się z tego dowcipu mężczyźni, to i ja się śmiałem. Ale moi koledzy i ja do dziś nie wiemy, o co w nim chodzi.
- 46 Wielki kraj Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR); ros. Sowietkij Sojuz Socjalistycznych Respublik (SSSR, w oryg. CCCP).
- 47 Duriec – popularna nazwa napoju o małym stężeniu spirytusu, zawierającego składniki, które mniej wprawiały w stan upojenia alkoholowego, a bardziej w rodzaj otępienia (napady szału, nostalgii czy wręcz furii), sprzedawanego w sklepach na zajętych przez Ruskich ziemiach polskich. Nazwa od: dureń, zdurnieć itd.
- 48 Rajkom (ros.) – skrót od: rajonnyj komitet, pol. komitet rejonowy (dzielnicowy, okręgowy).
- 49 Dokumenty te zachowały się do dziś w starych szpargałach. Kola nie umarł jako obywatel Rosji Radzieckiej podczas delegacji służbowej w Polsce, nie zakupił tam byka i nigdy swojej komandirówki nie rozliczył.
- 50 Sojti z uma (z ros.) – rozum straciłeś?; zwariowałeś?
- 51 Jeszcze dziś dość znany zwyczaj na Wschodzie, dawniej na Wileńszczyźnie bardzo popularny i powszechnie kultywowany. Ja też przypominam sobie pędzące po rezurekcji bardzo szybko furmanki spod sejneńskiej bazyliki. Tradycję tę pięknie opisał W.S. Reymont w *Chłopach*.
- 52 Wielkanocny zwyczaj wschodni, znany zwłaszcza na Podlasiu, w tym na Białostocczyźnie, polegający na obdarowywaniu się (także zbieraniu) prezentami.





Naum Adelson na schodach swego domu przy ulicy Wigierskiej 2a w Suwałkach. Fot. Krzysztof Czyżewski

WERONIKA CZYŻEWSKA

Strażnik Pamięci. Naum Adelson, ostatni suwalski Żyd

Tai vieno iš paskutiniųjų Suvalkų žydų pasakojimas apie senuosius Suvalkus, apie miestą, kurio beveik pusę gyventojų sudarė žydai. Iš skaitlingos, gerai organizuotos žydų bendruomenės po II pasaulinio karo liko tik vienas – Naumas Adelsonas. Sunaikintos žydų kapinės. N. Adelsono pastangomis jos kažkiek sutvarkytos, pažymėtos lentėle: „Hitlerininkų 1940–1945 metais sunaikintos žydų kapinės. Suvalkai“. Karo metais vokiečių miesto burmistras iš antkapinių paminklų pasistatė sau baseiną. Kapines patvarkyti padėjo Amerikos žydai. Prieš karą buvęs Suvalkų žydų rabinas Lipšic per Lietuvą pasitraukė į Ameriką. Tai jis organizavo pagalbą žydų palikimo išsaugojimui. Su N. Adelsonu teko pakeliauti po miestą, išklausti jo įdomių prisiminimų: kur, kas buvę prieš karą, kur buvo parduotuvės, kavinės, mokyklos, maldų namai. Iš pasakojimų ryškėja ir kokie buvo santykiai žydų su lenkais, lietuviais.



ie urodziłam się w Suwałkach, moja rodzinna tradycja, zarówno ze strony mamy, jak i taty, związana jest z inną częścią Polski. Sprowadziliśmy się tutaj, kiedy byłam małą dziewczynką. Jednak w miarę jak dorastałam, coraz bardziej utożsamiałam się z moim miastem. Już nie pamiętam, kiedy zaczęłam zadawać pierwsze pytania o historię otaczającego mnie świata. Mimochodem usłyszałam, że park, który codziennie mijam w drodze do szkoły, był kiedyś miejscem jarmarków; że kościół stojący nieopodal to była cerkiew prawosławna. Malownicze kamienice, wąskie uliczki, stare budynki, wszystko to skłaniało do poszukiwań, utwierdzało w przekonaniu, że istniał tu kiedyś świat, który wyglądał zupełnie inaczej.

Co roku w Święto Zmarłych chodzimy z rodzicami na cmentarz. Nie ma tu naszych rodzinnych grobów, więc wyszukujemy takie, na których nie pali się świeczka, o których nikt już nie pamięta. I tak po raz pierwszy trafiłam na żydowski cmentarz. Katolicki i prawosławny lśniły jasną łuną na nocnym niebie, natomiast tam, za murem, królowały ciemności. Zapytałam o tych, którzy tam spoczywają. I dowiedziałam się, że przed wojną połowę społeczeństwa Suwałk stanowili Żydzi. Dziś nie pozostało po nich już prawie nic. Z całej bogatej, dobrze zorganizowanej, licznej społeczności pozostał tylko jeden człowiek: Naum Adelson.

Było coś intrygującego w tej postaci, w tym jedynym świadku historii. Zawsze lubiłam słuchać opowieści moich dziadków, ale te mówiły o innych miejscach i innych ludziach. On jeden mógł być moim przewodnikiem po ulicach, zaułkach, domach, które były mi tak dobrze znane, a jednocześnie skrywały tak wiele tajemnic. Nie wiedziałam, że tak naprawdę jesteśmy bliskimi sąsiadami.

Mieszkam w poniemieckiej kamienicy przy ulicy Ciesielskiej. Na tyłach domu są niewielkie ogródki, a zaraz za nimi ulica Wigierska. Z okna mojego pokoju widać przedwojenny browar i ciasno skupione kamieniczki, z zamyśleniem spoglądające na majaczącą w oddali, ruchliwą część miasta. Tutaj tylko czasami dotrze jakieś echo miejskiego gwaru lub ulicznego korku. Wśród drewnianych okiennic, półprzymkniętych furtek panuje niepodzielnie spokój, a rytm wszystkiemu nadają leniwie płynące wody Czarnej Hańczy. Jeśli wsłuchać się głębiej w muzykę tej okolicy, to pośród szumu drzew, domowych odgłosów dobiegających zza firanki uchylonego okna i szczekania psa, usłyszeć można także charakterystyczny stukot laski na chodniku. Miarowe stuk, stuk dobiegające zza rogu, pospieszne, lekko szurające kroki. Powoli wyłania się

Naum Adelson
na cmentarzu
żydowskim
w Suwałkach.
Fot. Krzysztof
Czyżewski



cała postać. Duże ciemne oczy, kontrastujące z siwizną włosów. Zarówno dynamika ruchów, jak i głębokie spojrzenie omiatające dobrze znaną okolicę, przepojone są dostojnym spokojem, tak charakterystycznym dla atmosfery tego zakątka miasta. Postać idealnie przynależąca do miejsca, tocząca milczący dialog z kamienicami, furtkami, drzewami... Stuk, stuk. Pamiętacie? Kominy domów ledwo dostrzegalnie pochylają się w niemym: tak, pamiętamy!

Wiele razy zadawałam sobie pytanie, kim jest ten tajemniczy powiernik sekretów domu pod numerem 2a i starych dębów nad brzegiem rzeki?

Któregoś dnia, wracając z mamą, znowu go zobaczyłam skapanego w cieniu rzucanym przez sąsiednią kamienicę.

– Chodź, Weroniko, przedstawię ci pana Nauma – wyrwał mnie z zamyślenia głos mamy. Po raz pierwszy zobaczyłam z bliska dobrotliwe oblicze i przenikliwe oczy.

– Pan Adelson, strażnik cmentarza żydowskiego, a to moja córka – przedstawiła nas sobie mama.

I tak wyjaśniła się tajemnica spacerów, które – jak się okazało – wiodły na żydowski cmentarz.

– My pana troszeczkę podprowadzimy, panie Naumie!

Stuk, stuk. Kamienice mrugają do nas czerwienią dachówek, furtki poufale skrzypią, a my idziemy na cmentarz. Mijamy groby katolików, potem, zaraz za murem, skupione wokół kaplicy groby prawosławnych, i już jesteśmy u progu kamiennych schodów. Pan Naum Adelson w zamyśleniu opiera się na lasce i rozpoczyna swoją opowieść:

– Przed wojną to był duży cmentarz, zadbany i bardzo stary, dwanaście tysięcy nagrobków tu było...

Przerywa na chwilę, bo oto docieramy do bramy. Z dumą spogląda na zadbany, kamienny murek okalający cmentarz i okazałą, mosiężną, zdobioną gwiazdami Dawida bramę.

– Nie tak to wszystko wyglądało po wojnie, oj nie tak... – z zamyśleniem spogląda na tablicę pamiątkową z napisem:

*Cmentarz żydowski
zniszczony przez hitlerowców
w latach 1940–45. Suwałki*

– Tam – wskazuje laską na widoczne pomiędzy drzewami tablice nagrobne – tam to krowy się pasły i leżały porzucane macewy, ledwo było je widać w tych krzakach. Za Niemców to tu ten, rozumiesz, koński rynek był. I zaraz po wojnie jeszcze był. I było, rozumiesz, pełno nieczystości, bo ten rynek, żeby to przy..., ale on na samym cmentarzu był.

Wyobraźnia podsuwa mi obraz porośniętych trawą i mchem, zapadniętych w ziemię, niepotrzebnych, zapomnianych, zbezczeszczonych grobów.

– Był tu w Suwałkach burmistrz niemiecki. To on z tych macew basen sobie zrobił. Połamał je i dno basenu nimi wyłożył. A inne to jako podkład pod asfalt wykorzystali, jak tą ulicę tu robili. Pod tym asfaltem to żydowskie nagrobki są.

Strażnik Pamięci mocno opiera się na lasce, przez chwilę jakby bardziej przygarbiony i skulony. Idziemy dalej w głąb cmentarza.

– A to? – pytam, gdy podchodzimy do wznoszącej się w centralnym punkcie cmentarza ściany z wmurowanymi po obu stronach fragmentami macew.

– My nazywamy to naszą Ścianą Płaczu – uśmiecha się pan Naum.

Napisy w języku hebrajskim, na jednych tablicach już zatarte, na innych są zupełnie wyraźne. Widoczne są wyrzeźbione gwiazdy Dawida, wizerunki Tory, siedmioramienne świeczniki (menory) i splecione w geście błogosławieństwa dłonie. Dolne macewy jakby wpisują się w kamienne pnie drzew. Gdzieniedzie dostrzec można wciśnięte w szpary lub ułożone w zagłębieniach małe kamyczki, symbole pamięci pozostawione przez odwiedzających.

– Przy pomocy finansowej Żydów z Ameryki odbudowałem ten cmentarz... To znaczy to, co zostało. Załatwiłem wszystkie formalności i jak widzisz, udało mi się wybudować tą ścianę... Tak dla pamięci, żeby wiedziano i żeby oni mogli tu przyjechać i znaleźć jakiś ślad...

Milczy przez chwilę i mówi dalej:

– Był taki rabin w Suwałkach, Joselewicz się nazywał. I on swoją córkę za rabina z Siemiatycz, Dawida Lipszyca, wydał. I ten rabin Lipszyc był naszym rabinem aż do wojny. W 1939 roku, razem z rodziną, uciekł przez granicę litewską i Japonię do Ameryki. On później naczelnym dyrektorem całej jeshivy w Nowym Jorku został. Udało im się przez zieloną granicę przejść, ale po drodze to córeczkę pochować musieli. Taką paromiesięczną mieli. To pani Lipszycowa tak ją chroniła, że aż zadusiła. No, zadusiła... Po wojnie prosili, żeby pomóc im znaleźć to miejsce, żeby choć mały pomniczek postawić. Byli na tym cmentarzu. Jak oni płakali...

Strażnik Pamięci, wsparty na lasce, kiwa miarowo głową, na chwilę zaprzętnięty całkowicie swoimi myślami, a cmentarne drzewa szumią we wspólnym rytmie wspomnień.

– I ten rabin Lipszyc, wśród tych, co do Ameryki wyjechali, pieniądze na cmentarz suwalski zaczął zbierać. I oni powoli zaczęli mi przysyłać dolary, które na czarnym rynku wymieniałem. Bo urzędowa cena to cztery złote była, ale nieurzędowo to nawet sto do stu dwudziestu można było dostać. No



Naum Adelson, Szewach Weiss i Małgorzata Sporek-Czyżewska na cmentarzu żydowskim w Suwałkach. Fot. Krzysztof Czyżewski

i przez to ciąganiny do UB miałem. Ten szef UB to, pamiętam, Zawadzki się nazywał. Do ministerstwa mnie wezwali. Był tam taki wydział wyznań. A ministrem był taki człowiek, Dusiołek się nazywał, który do Ameryki urzędowo pojechał i z tym żydowskim komitetem się spotkał. I oni się dogadali. Ale nieprzyjemności to trochę miałem. Władze specjalnie takie wymagania stawiały, żeby nie podołał. Ale jakoś się udało. Zaproсили mnie później do Nowego Jorku, nawet przemowę miałem...

Zbliżyliśmy się powoli do pojedynczych wysepek grobów porzucanych po całej przestrzeni cmentarza. Popękane, samotne macewy, z których znikły już napisy i znaki. Tylko gdzieniedzie dopatrzeć się można zatartej, ledwo widocznej gwiazdy Dawida lub cudem ocalonej fotografii, z której spogląda na nas twarz kobiety, dawno już zapomnianej przez nasze miasto...

– Doba Solnicka-Sejneńska – odpowiada na pytanie, którego jeszcze nie zdążyłam zadać, pan Naum. – Słabego zdrowia była, ale bardzo gościnna. Tyle razy ją odwiedzaliśmy i nigdy nie było dość. Ciągle chciała być z nami i rozmawiać w jidysz. Lubiliśmy jej towarzystwo. Ona taką niesamowitą



Naum Adelson, Szewach Weiss i Małgorzata Sporek-Czyżewska na cmentarzu żydowskim w Suwałkach. Fot. Krzysztof Czyżewski

pamięć miała, encyklopedyczną... no, wszystko pamiętała. Całkiem sama mieszkała w domu, którego właścicielką była...

Na przewróconym, obrosłym pożółkłym mchem, granitowym obelisku stoi wypalona już świeczka.

– Pamiętam jak dziś szamesa, który nad trumną modły odprawiał. Bo u nas to zaraz tego samego dnia trzeba było zmarłego pochować. Kadisz się wtedy mówiło. Wokół stała rodzina i przyjaciele. Później tydzień żałoby. Na stołkach trzeba było siedzieć, pokutę za zmarłych odbyć. A przed tym odbywał się posiłek z najbliższymi. Zupa z kury obowiązkowo musiała być, a ja jej nie lubiłem...

Pod samym murem, nad resztkami nagrobnych kamieni, pochyla się melancholijnie korona drzewa. Parę kroków dalej dwa przytulone do muru pomniki, które oprócz napisów hebrajskich mają też polskie. Czytam na głos, a pan Naum spogląda gdzieś w dal:

Pamięci

Dory z Trockich Pachuckiej,

Henryka Pachuckiego,

Bolesława Pachuckiego,

którzy zginęli śmiercią męczeńską

z rąk okupantów.

W milczeniu wracamy do wejścia. Każdy pogrążony w swoich myślach. Brama zamyka się za nami z lekkim skrzypnięciem, jakby pozdrawiając na odchodnym swojego opiekuna.



Naum Adelson.
Fot. Krzysztof
Czyżewski

– A tutaj, przy samym cmentarzu, to mykwa była – laska pana Nauma wskazuje miejsce, w którym nie pozostał już nawet ślad dawnego przeznaczenia.

Schodzimy ze schodów i wchodzimy z powrotem na chodnik.

– Tą drogą na jarmark się jechało. Raz na dwa tygodnie się na jarmark jechało.

Postępujemy za stukotem laski w kierunku ulicy Zielnej. Mijamy budynek straży pożarnej i nagle wynurza się przed nami znaczne zagłębienie. Laska znowu się unosi.

– My na to dołek mówiliśmy. Bo tu do prawdziwego dołu zjeżdżasz, dlatego dołek – uśmiecha się pan Naum. – A tam na lewo to centrum handlowe było. Same sklepiki żydowskie, w których wszystko kupić można było.

I już powolutku idziemy dalej. Przechodzimy przez ulicę Brzostowskiego i Gałaja. Zewsząd spoglądają na nas kamienice. Kamienice, które po raz pierwszy wydają mi się dostojne w swojej starości. Nabierają innych, intensywniejszych barw i kolorów.

– A tutaj to ja do szkoły chodziłem, do Gimnazjum imienia Karola Brzostowskiego – ciągnie swoją opowieść pan Naum, zatrzymując się przed budynkiem dzisiejszego I Liceum Ogólnokształcącego.

Teraz to jest moja szkoła. On uśmiecha się do mnie i przez chwilę wydaje mi się, że widzę na schodach prowadzących do gmachu młodego, czarnowłosego chłopca. Stary człowiek chyba też go widzi. Wpatruje się z zamyśleniem w duże okna na parterze.

– Męskie gimnazjum to było, osiem klas miało. Pamiętam, takiego dyrektora mieliśmy – Burakiewicz Wincenty się nazywał, ale my na niego „Papuć” mówiliśmy. Bo on nic tylko ciągle o zmianie butów mówił. Geografii też uczył. Ale najlepsze lekcje to były lekcje francuskiego. Ta Paszkiewiczówna Joanna to najlepsza nauczycielka była. Później w partyzantce zginęła. Był jeszcze taki matematyk, Kuczkowski Jan się nazywał, to on w czasie wojny zginął. I Łabaniec był, Ukrainiec, który przyrody uczył. Bo ja w klasie matematyczno-przyrodniczej byłem. A dlaczego w polskim gimnazjum się uczyłem? Bo widzisz, mój tatuś to był, jak to się mówiło, takim zasymilowanym Żydem. Tradycje zachowywaliśmy, ale taki bardziej postępowy był, rozumiesz.

„Relacje pomiędzy Żydami a chrześcijanami od założenia Suwałk do pierwszej wojny światowej można uznać na ogół za poprawne. Nie było tu tradycji fanatycznego antysemityzmu. Praktycznie rzecz biorąc, nie było powodu dla konfliktu interesów. Dopiero w okresie międzywojennym chrześcijanie zaczęli brać udział w handlu i rzemiośle, choć nadal nie w stopniu, który zachwiałyby pozycją Żydów w tych zawodach. Z wyjątkiem pogromu

w 1914 i zamieszek w 1936 roku, w Suwałkach i okolicach nie było napięć na tym tle, ale też nie zaistniały żadne bliskie związki społeczne pomiędzy Żydami a chrześcijanami. Żyło się Żydom suwalskim dość bezpiecznie. Świadczy o tym chociażby fakt, iż dzieci z zasymilowanych rodzin żydowskich uczęszczały do polskich szkół. Przykładem może być Gimnazjum Męskie im. Karola Brzostowskiego, które w okresie międzywojennym ukończyło wielu uczniów pochodzenia żydowskiego. Antysemityzm – szczególnie wśród robotników, rzemieślników, urzędników i kupców – miał podłoże czysto ekonomiczne¹.

– Antysemityzm w szkole to był, oj był. Ale ja nieprzyjemności nie miałem, bo taki zasymilowany byłem. Ale wiem, że wyśmiewali się, tak wiesz, „żydki” wołali i takie tam rzeczy. Mnie tylko raz pobili. Jak wracałem ze szkoły, to syreną strażacką dali znać i się zaczęło. No i pobili mnie wtedy...

Naum Adelson potrząsa głową, jakby odganiając nieprzyjemne wspomnienia, i kontynuuje swoją opowieść. Ja jednak mimowolnie odwracam się w stronę drogi, która prowadzi do siedziby straży pożarnej.

– Ale na co dzień to tak nie było. Do naszej szkoły nauczyciel z gimnazjum hebrajskiego przychodził. Po południu, dwa razy w tygodniu lekcje nam dawał. Ten nauczyciel Rodberg się nazywał. On jeszcze przed wojną do Palestyny wyjechał. I zwolnienia nam ze szkoły na nasze święta dawali. Dawali przez pierwsze lata, potem to już nie. Ale wówczas wychowawcy starali się to usprawiedliwić. Przeważnie zawsze usprawiedliwiali.

Ostatnie spojrzenie na pobielane drzwi wejściowe i znów na chodniku rozlega się stukot laski. Przechodzimy na drugą stronę ulicy. Pan Naum rozgląda się po alejkach parku Konstytucji 3 Maja i kontynuuje swoją opowieść:

– Tutaj to deptak był. Wszystko wyłożone kostką. Główna ulica, na którą deptak mówiliśmy, bo tu się deptało – znowu uśmiech rozjaśnia mu twarz. – Wszyscy się tu spotykali. Żydzi to głównie w sobotę, a Polacy w niedzielę się spotykali. I randki tu były i wszystko.

W miarę opowieści przemierzamy się coraz bardziej w stronę ulicy Kościuszki. Pan Naum przypomina sobie coraz to nowe szczegóły, wskazuje na kolejne kamienice. Jego oczy błyszczą, a laska budzi w naszej wyobraźni zarys dawnego, barwnego świata.

– I do kawiarni Ciecierskiego się chodziło. Polak był, jego brat to ten aktor Ciecierski, którego na pewno znacie. Tam, naprzeciwko sądu, po drugiej stronie magistratu, znajdowała się ta kawiarnia. Takie duże, piękne podwórko tam jest. Na wpół elita się w niej spotykała. Można było kawę wypić i ciastko zjeść. Alkohole też były, ale tylko droższe wina i koniaki. A i jeszcze do cukierni chodziliśmy. Dwie żydowskie cukiernie na Kościuszki wtedy były. Do Lisa i Jogla należały. Trochę dalej – podbiega kilka kroczków z wyciągniętą laską

– tam dalej to sklep z futrami był. Do Kierszkowskich należał, dwóch braci: Oszera i Szai, którzy z Rosji przyjechali. Oni to bogaci byli, wszędzie swoje filie mieli i na wystawy do Paryża nawet jeździli. A jakby tam pod koniec ulicy pod górę podjechać – kiedyś to ulica Kowieńska była, teraz chyba Pułaskiego jest – to tam młyn moich dziadków stał.

Milknie na chwilę. Z wypiekami na twarzy opiera się na lasce. Zastłuchane, zaurczone opowieścią kierujemy się za przykładem naszego przewodnika z powrotem, w dół ulicy Kościuszki.

– Tę drogę to ja doskonale znam. Zawsze do szkoły nią chodziłem. Codziennie mijałem gimnazjum hebrajskie, o tu, w tej kamienicy ono było, Kościuszki 46. A tam obok, widzicie tą dużą bramę i podwórko? To tam tarbud Tora dla dziewcząt była. Po wojnie warsztaty mechaniczne tam zrobili.

Kiedy dochodzimy do rogu ulicy Wigierskiej, pan Naum wskazuje na majaczącą pomiędzy blokami kopułę.

– Kircha ewangelicka tam była – wchodzimy na ulicę Wigierską.

Mijamy narożnikowy, parterowy dom i zatrzymujemy się przed ładną, murowaną kamienicą z czerwonej cegły:

– Tutaj mieścił się słynny klub sportowy „Makkabi”. Mój tatuś to wiceprezesem tego klubu był.

Dobrze mi znana ulica, prawie codziennie wracam tędy ze szkoły. Nagle wszystko nabrało bajkowego wymiaru. Każdy szczegół jest ważny, nowy, ciekawy.

– Tam, widzicie ten browar, to on już przed wojną tu stał. To był żydowski browar udziałowy. Dwunastu Żydów miało tam swoje udziały. Mój tatuś też miał, taki symboliczny. Pamiętam, że najwięcej, bo aż cztery udziały, to miał taki bogaty Czech z pochodzenia, Wincenty Kunc się nazywał.

Wolniutko skręcamy w ulicę Noniewicza.

– Ta ulica to przed wojną Pułkownika Berka Joselewicza się nazywała – snuje swą opowieść pan Naum. – Na niej dużo domów modlitwy było: na Berka Joselewicza numer 34 był jeden, później pod numerami 52 i 42, jeszcze inne były na Kościuszki i prywatne jeszcze były. A tutaj na rogu to synagoga stała. Jeszcze po wojnie stała. W 1821 roku ją zbudowano. Wchodziło się do niej od strony ulicy Noniewicza. A wokół niej był ogromny plac. Jak się wchodziło, to na środku było dziesięć miejsc, bo to dziesięciu mężczyzn musi być, żeby modlitwa mogła się odbyć. Arka z Torą na podwyższeniu stała. Ale Torę to się w specjalnym pomieszczeniu przechowywało. A na górze babiniec był. Naprzeciwko jeszcze taka pomocnicza synagoga była. Czasami tam chodziliśmy się modlić. Do naszej synagogi to kantorzy nawet z Grodna i z Warszawy przyjeżdżali. Słynny Kusewicz nawet raz przyjechał. A na co dzień to kantor był przez gminę żydowską opłacany.

Nagle bloki Osiedla Drugiego, stojące na rogu ulicy Waryńskiego i Noniewicza, wydają mi się jakby nierealne, niezgodne z harmonią tego miejsca. Czy to możliwe, by upłynął tak krótki czas i nic nie zostało w pamięci? Ruchliwą ulicą Noniewicza dochodzimy do skrzyżowania.

– Tutaj była „Reduta” – pan Naum wskazuje na dzisiejszą siedzibę domu kultury. – Amatorski teatr tutaj swoje sztuki wystawiał i z Grodna grupy przyjeżdżały. Taka duża sala na pierwszym piętrze była, a na dole mniejsza i kasy. Później to nawet kino tu zrobili. Naprzeciwko targ był. Wszystko wokół brukowane. A na 3 Maja, bo Chłodna i Sejneńska nazywały się kiedyś 3 Maja, to same sklepiki stały. Pełno ich było. Prawie sami Żydzi tam mieszkali.

Pan Naum jest już coraz bardziej zmęczony. Obraz przedwojennego miasta, który przed nami wyczarował, powoli blednie. Ale on chce nam pokazać koniecznie jeszcze jedno miejsce. Jego kroczki stają się jeszcze bardziej pospieszne, ruchy jeszcze bardziej dynamiczne, jakby chciał przed czymś zdążyć. Zatrzymuje się dopiero przed dużym placem, dziś parkingiem przed szkołą muzyczną.

– Tutaj mieszkała Doba Solnicka-Sejneńska. Ten plac cały był jej. I ta kamienica tam w bramie. Wszystko do niej należało. Jej rodzice to wytwórnię wód gazowanych mieli. Ja ją i jej siostrę Haje na cmentarzu chowałem. Doba to jedna z ostatnich była. To jej zdjęcie było, to na tym nagrobku, pamiętasz, kochana?

Mama przygląda się w zamyśleniu starej kamienicy. Wiem, o czym myśli. O pięknym, starym, srebrnym kajeciku, który kupiła niedawno w sklepie ze starociami z załączoną karteczką: „Należał do Doby Solnickiej-Sejneńskiej”, która po wojnie wróciła do Suwałk z Kazachstanu.

Nasz przewodnik jest już bardzo zmęczony. Pora wracać. Kiedy zmierzamy z powrotem na ulicę Wigierską, opowieść nadal się toczy.

„Suwałki, największe i najważniejsze miasto w tym regionie, było najmłodszym, jeżeli chodzi o historię tutejszych Żydów.

Małe miasteczko Wiżajny, położone 28 kilometrów od Suwałk, posiadało osady żydowskie o ok. 300 lat starsze. Trzeciego lutego 1676 roku król Jan III Sobieski nadał Wiżajnom przywilej będący potwierdzeniem przywilejów otrzymanych przez tamtejszych Żydów od króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego w 1670 roku.

Jednym z najstarszych żydowskich siedlisk w pobliżu Suwałk jest Bakalarzewo.

Tamtejszy cmentarz żydowski posiadał nagrobki datowane na XVII stulecie. W Filipowie Żydzi mieszkali od początku XVIII wieku. Około 1730 roku miał tam miejsce konflikt z innymi mieszkańcami miasta, którzy chcieli

odwołania praw posiadanych przez Żydów. Rząd polski wysłał specjalną delegację do rozstrzygnięcia sporu. Zakończył się on w 1741 roku – miejscowi Żydzi zachowali dotychczasowe przywileje, jednakże z trzema ograniczeniami: nie mieli prawa budowania nowych bożnic, nie mogli kupować nowych gruntów, mieszkańcy wyznania niemożeszowego mieli pierwszeństwo w zakupach na targu miejskim.

W 1768 zakon dominikański w Sejnach, pragnąc wspomóc miejscowy handel, pomógł w budowie synagogi w tym mieście, jednakże pomniki na miejscowym cmentarzu wskazują na wcześniejszy pobyt Żydów w tym mieście.

Żydowska społeczność w Raczkach datuje się na późny wiek XVIII, co potwierdza wzmianka o pobycie rabiego Gershona w pobliskiej synagodze².

Większość miast z okolic Suwałk znajdowała się na terenach przygranicznych, gdzie zabraniano osiedlać się Żydom. Zaraz po tym jak region Suwałk znalazł się we władaniu Prus, po rozbiórce Polski w 1795 roku, rząd podjął się »robienia porządków« w kwestii polskiej. 17-tego kwietnia opublikowano specjalne zarządzenie dotyczące Żydów. Było one ważne jedynie przez krótki okres czasu (ze względu na wojny napoleońskie i późniejsze przyznanie tych terenów Rosji na mocy uchwał Kongresu Wiedeńskiego 1815 roku) i nie zdążyło zostać całkowicie wprowadzone w życie. Doskonale ilustruje ono jednak stosunek ówczesnych rządów do Żydów. Na mocy tego zarządzenia wszyscy Żydzi czasowo przebywający na tym terenie mieli być wysiedleni. Każdy Żyd powyżej dziesiątego roku życia był zobowiązany do posiadania dowodu tożsamości².

– Mój tatuś z Puńska pochodził. Jejsiew Adelson się nazywał. Jego ojciec Jose był prawnikiem. Takim obrońcą, co to pozwy i odwołania różne pisał. Jak tatuś, zaraz po pierwszej wojnie do Suwałk przyjechał, to od razu pracą społeczną się zajął. Był członkiem gminy żydowskiej i ławnikiem. A ławnik, kochana, to zasiadał w mieście, w magistracie, a także w rządzie polskim. Teraz ławnik to jest coś innego, w sądzie zasiada, rozumiesz, a ławnik przed wojną to zasiadał w magistracie. Było dwudziestu czterech radnych, tak jak teraz jest pięćdziesięciu czy dwudziestu, i z tych radnych rada miejska wybierała zarząd miasta.

„Ostatnie demokratyczne wybory do Rady Miasta Suwałk miały miejsce w 1937 roku. Prezydentem miasta został wybrany Kuśnierzycki, a stanowisko Przewodniczącego Rady objął Miller Chairman. Obu określić można jako rewizjonistycznych syjonistów. Przez wiele lat prezydentem i liderem Gminy był Dr. Weisman, powszechnie szanowany, wybitny lekarz i człowiek wysokiej

kultury osobistej. Jego przyjacielem był Dr. Staropolski, zdeklarowany syjonista i nauczyciel hebrajskiego, którzy razem z Beniaminem Efronem, dyrektorem Żydowskiego Gimnazjum, stworzyli triumwirat, który przez wiele lat przewodniczył Syjonistycznej Organizacji i wszystkim instytucjom syjonistycznym.

Przez wiele lat wyżej wymieniona trójka działaczy, wraz z Moshe Goldbergiem, Kuśnierzyckim, reprezentującym przedsiębiorców (Socharim ferein), i Józefem Adelsonem, który reprezentował rzemieślników, byli członkami Rady Miejskiej jako żydowscy radni.

W ostatnich kilku latach przed wojną w Gminie Żydowskiej i w ruchu syjonistycznym miały miejsce istotne przemiany. Organizacja Beiter Youth, wraz ze swym politycznym odłamek – Rewizjonistycznymi Syjonistami, stała się liderem i najbardziej popularnym ruchem. Rewizjoniści publikowali od czasu do czasu czasopisma w języku jidysz.

W ostatnich wyborach do Rady Miejskiej, na początku 1939 roku rewizjoniści sporządzili osobną listę i wybrali swojego radnego – członka Zarządu Miasta. Organizacja Syjonistyczna w dalszym ciągu była reprezentowana przez Dr. Weismana, Dr. Staropolskiego i Beniamina Efrona. Józef Adelson znów został wybrany z listy Rzemieślników, organizacji prowadzonej w dalszym ciągu przez niego i Kalmena Michnowskiego.

Na pierwszym spotkaniu nowo wybranego Zarządu Miasta poruszono problem przeniesienia rynku suwalskiego, co godziło w interesy Żydów utrzymujących się z handlu. Konflikt ten zjednoczył działaczy syjonistycznych, którym dzięki pomocy wybitnego prawnika, Artura Radziukiewicza, udało się zapobiec katastrofie³.

Dalszej opowieści Nauma Adelsona wysłuchuję w jego mieszkaniu, na parterze kamienicy przy ulicy Wigierskiej.

– Tatuś mój był jednym z trzech ławników. Drugim był Polak Radziukiewicz, adwokat, a trzecim taki Mieczkowski, prezes rolniczej organizacji. Tatuś był z ramienia Związku Żydów. Zaraz ci ten dokument pokażę. Mamusia po wojnie poprosiła, żeby napisali:

[treść dokumentu i komentarz pana Adelsona]

– W tym magistracie to w 1919 roku plebiscyt się odbywał: czy Suwałki do Polski, czy do Litwy mają należeć. Mój tatuś, mimo że z Puńska, to za Polską głosował. Bo go zawsze do Polski i Polaków ciągnęło. A w imiennika swego i bohatera, marszałka Piłsudskiego, całe życie był wpatrzony. Nawet wąsy

jak marszałek miał i czapkę taką jak on maciejówkę nosił. I mówili, że to był jeden z głosów, co to przesądziły o wyniku. Bo tylko trzema głosami przeszło. I za to jeden z Litwinów, też z Puńska, strzelił w stronę mego tatusia, jak ten salę opuszczał. W ucho go postrzelił. Mamusia i dziadek Szmul Smoliński do Warszawy go zawieźli. Do kliniki doktora Chorażyckiego na ulicy Bielańskiej i tam wycięli tatusiowi kawałek ucha. Dzięki temu wyzdrowiał.

– W 1930 roku – ciągnął opowieść pan Naum – tatuś z licytacji kupił cały plac przy ulicy Wigierskiej. I wszystko zabudował. Ten dom, gdzie teraz mieszkamy, też. Ale wtedy to mieszkaliśmy w tym większym, o... tym co go teraz przez nasze okno widać. Po wojnie, jak wróciliśmy z mamusią, to on był już zajęty, więc my zamieszkaliśmy obok. Ja się tam wychowałem, ale nie urodziłem. Ja się w Królewcu urodziłem, tak, w Königsbergu. Bo jak mamusia była w ciąży, to tatuś się strasznie o nią bał. No i jak się okazało, że to ciąża pozamaciczna, to wynajął samochód i pojechali do Królewca. Lekarze wykonali tam cesarskie cięcie i zaraz do domu nas z powrotem wyprawili. Mamusia cały czas w domu była i domem się zajmowała. Taki dom otwarty, jak to się mówiło, prowadziła. Ja miałem swoją bonę, a potem także korepetytora języka hebrajskiego. Kuśnierzycki się nazywał. Później on do Izraela wyemigrował.

„Żydowska społeczność Suwałk i okolic pojawiła się i zaczęła się rozwijać począwszy od XVIII wieku. Żydzi, tak jak wszędzie, zajmowali się głównie handlem i innymi zawodami charakterystycznymi dla żydowskiej diaspory, takimi jak szewstwo i krawiectwo, ale zapewne też tymi niezbędnymi rolnikom: kowalstwem, ślusarstwem i blacharstwem. Te żydowskie zawody przekazywane były z pokolenia na pokolenie.

Niełatwo jest dotrzeć do dokumentów charakteryzujących życie gospodarcze Żydów mieszkających w Suwałkach i okolicach na początku XIX wieku. Miasto nie było rozwinięte gospodarczo, Żydzi nie mieli wiele okazji do awansu społecznego, więc można założyć, że ich sytuacja ekonomiczna nie była za dobra. Jeśli sytuację około 1800 roku uznać za złą, to w 1830 roku można już mówić o bardzo złej. Zamieszanie i niepewność związana z Powstaniem Listopadowym (1830–1831) mocno zachwiały wątłą ekonomią miasta. Historyk E.N. Frank pisze, że sytuacja Żydów suwalskich była wyjątkowo zła: byli przedmiotem szykanujących ustaw, wysiedleń i napięć spowodowanych sytuacją wojenną⁴.

„Ogromne znaczenie miały też naturalne katastrofy. W 1847 roku był to głód, a w 1853 roku wybuchła epidemia cholery, która uśmierciła wielu tutejszych Żydów. Rabi Moshe Aaron pisał w swoich pamiętnikach o okrutnym losie, jaki spotkał Żydów w Suwałkach, Sejnach i Raczkach, kiedy wybuchła epidemia⁵.

„Od drugiej połowy XIX wieku Suwałki rozwijały się szybciej, głównie dzięki budowie drogi Suwałki–Mińsk i pobliskiego Kanału Augustowskiego. Przed budową kolei z Warszawy do Petersburga, Suwałki były w połowie traktu z Polski do Rosji, co czyniło je miejscem postoju polskiej i rosyjskiej szlachty. W późniejszych latach suwalska rezydencja gubernatora stała się miejscem pobytu podróżujących rodzin panujących. Dane ze spisów wykazują przyspieszone tempo rozwoju: 1856 – 11 944; 1882 – 18 040; 1893 – 19 116; 1897 – 22 000; 1905 – prawie 23 000.

Struktura zatrudnienia, według której Żydzi zajmowali się przede wszystkim rolnictwem, a także handlem i rzemiosłem, zaczyna się zmieniać. Nazwiska żydowskie mają duże znaczenie w lokalnej gospodarce. W jednym ze sprawozdań z guberni augustowskiej z 1865 roku czytamy, że Żydzi zajmowali dominującą pozycję w handlu zagranicznym. Przez miejscowe składy, które były głównie żydowskie, przechodziło rocznie 38,5 mln rubli w imporcie i 21,5 mln rubli w eksporcie⁶.

„W 1867 roku działało w suwalskim regionie 12 żydowskich fabryk, zatrudniających 54 żydowskich robotników⁷. „Wraz z tym jak Suwałki stawały się centrum handlu a tranzyt przez miasto się nasilał, wzrastała rola hotelarstwa. Kilka hoteli należało do żydowskich rodzin.

Ze wszystkich źródeł, jakie przetrwały do naszych czasów, okres od 1850 roku był okresem rozwoju gospodarczego dla wielu suwalskich Żydów, jak i znacznego wzrostu liczby ludności⁸.

– Tatuś młyn prowadził. W 1931 roku wybudował go na ulicy Pierwszego Maja. Nad rzeką stał. To był młyn handlowy, taka prawie fabryka. „Suwalszczyzna” się nazywał. Miał nawet gazogenerator z Niemiec, z Köln sprowadzony. Produkował on energię na potrzeby młyna. Ale tatuś miał w domu taki przełącznik na miasto. I jak młyn nie pracował, to tatuś włączał ten guzik i dawał energię za darmo na całą ulicę Wigierską. Żeby ludzie płacić nie musieli. Raz to nawet proces mu o to wytoczyli. Był taki mój wujek, Trocki się nazywał. Ale nie ten Trocki. Ten był właścicielem elektrowni miejskiej. I to on na tatusia oskarżenie wniósł, że mu konkurencję robi! A przecież to rodzina była! No i widzisz, tak to było. A do młyna to zboże z Wołynia i Podola sprowadzano. Dostawy przychodziły aż z Tarnopola i Równego. Później mąkę się rozwoziło po Suwałkach takimi bryczkami, w trzy konie zaprzęgniętymi. Do Augustowa to już specjalne platformy jeździły, a jak do Grodna dostawa jechała, to się samochody wynajmowało. Szewrolety się nazywały.

Całkiem dobrze nam się powodziło, bo tatuś bardzo przedsiębiorczy był. A w naszej rodzinie to w ogóle dwa młyny były. Dziadek od strony mamy Szmul Smoliński – bo moja mamusia z domu Smolińska była, Bella Smolińska



Naum Adelson
i Wronika
Czyżewska.
Fot. Krzysztof
Czyżewski

się nazywała – miał duży młyn wodny. Nad rzeką, jak się na Augustów jedzie, stał. Spalił się. Nie wiadomo, czy przez przypadek, czy też może ktoś podpalił. Dziadkowie w takim dużym domu na końcu miasta, co tam teraz nadleśnictwo było, mieszkali. My u nich zawsze szabat świętowaliśmy. Już od piątku po południu tam byliśmy.

„Kiedy próbujemy określić Żydów suwalskich jako pochodzących z Polski, Litwy czy Niemiec, ujawnia się swoisty charakter tej społeczności. Decydującym faktem jest to, że społeczność żydowska w Suwałkach, w przeciwieństwie do innych żyjących tu społeczności, utworzyła się i ukształtowała na początku XIX wieku. Stąd ominęło ją wiele z XVIII- i XIX-wiecznych duchowych i społecznych trendów dotyczących polskich Żydów i Żydów wschodnioeuropejskich. Chodzi tu szczególnie o chasydyzm i walkę pomiędzy Mitnagdim a Hassidim, a także haskalę (oświecenie) i napięcia pomiędzy oświeconymi a tradycyjnymi Żydami.

Żydzi suwalscy byli na ogół tradycjonalistami, a nawet w pewnym stopniu byli religijni. Bez wątplenia znaleźliby się też tacy, których można by nazwać ortodoksyjnymi. Jednakże nawet ci ostatni nie sprzeciwiali się świeckiemu nauczaniu hebrajskiego i ogólniej edukacji i nie potępiali zachowania oświeconych Żydów, a ich religijność nie ograniczała się tylko do ścisłego przestrzegania religijnych przykazań.

Ten specyficzny charakter społeczności miał wpływ nie tylko na specjalny rodzaj modlitw Żydów suwalskich, ale też na atmosferę panującą w mieście, szczególnie w czasie szabat i świąt, a także formę i program żydowskich instytucji edukacyjnych, od talmudycznej Tory do hebrajskich liceów⁹.

– Szabas to takie nasze najważniejsze święto było. Jeszcze święto pojednania [Jom Kipur (hebr.), Dzień Pojednania, Dzień Przebłagania – red.] ważne było. To były takie religijne święta. Szabas to co tydzień w piątek od zachodu słońca się zaczynał i do zachodu słońca w sobotę trwał. Zaczynało to się od kolacji. Uroczysta była. Mama już od rana szczupaka faszerowanego przygotowywała. Oj, nie było tego, kto by szczupaka nie zjadł. Były też chały taką specjalną serwetką przykryte. Świece na szabasowym stole też mamusia zapalała. A tatuś to jako głowa rodziny modlitwę odmawiał. Błogosławieństwo takie, kidusz się nazywało. A później to już do synagogi się szło. Kobiety też chodziły. Na górze, na babińcu się modliły. A mężczyźni to na dole w synagodze. Niektórzy to nawet całą noc się modlili. Ale tych to mało było. A i jeszcze tak było, że w szabas to my sprzętów elektrycznych używać nie mogliśmy. I podróżować też nie można było. Tradycja na to nie pozwalała.

Jesteśmy już przy bramie. Czas się pożegnać, podziękować za piękną, baśniową podróż. Mogłabym słuchać i słuchać, jeszcze o tyle rzeczy chciałabym dopytać.

– Przepraszam, że nie wszystko pamiętam, bo z moją pamięcią już nie tak...

Pan Naum stoi na schodach swojego domu i macha nam na do widzenia. My już jesteśmy na chodniku. Nagle laska unosi się do góry.

– A, zapomniałem powiedzieć! W 1929 roku pożar w Puńsku był. Wszystko spłonęło...

Widzę jeszcze chwilę jego twarz. Zmęczoną, piękną twarz, którą rozświetla blask ciemnych oczu. Ciągłe słyszę, jak echo, jego ostatnie słowa: „wszystko spłonęło”. Tak, wszystko spłonęło, przepadło, przeminęło... Twojego świata już nie ma, Strażniku Pamięci.

Naum Adelson
na cmentarzu
żydowskim
w Suwałkach.
Fot. Krzysztof
Czyżewski



Odchodzę ulicą Wigierską, później Ciesielską, zmierzam do domu.

Nie mogę oprzeć się poczuciu, że zostałam obdarowana. Odkrywając przede mną świat, który bezpowrotnie odchodzi; pokazując mi miejsca, o historii których nikt już nie pamięta, pan Adelson dopełnił jakiejś całości. Garścią szczegółów dotyczących miejsc, ludzi, budynków wypełnił brakujący element obrazu. Postawił mnie w obliczu historii opowiedzianej przez człowieka, który jest jej częścią. To historia nie tylko miejsc, ale też ludzi, którzy to miejsce współtworzyli, Żydów suwalskich. Dopuścił mnie do swojej pamięci, a dzięki tym opowieściom odziedziczyłam jego pamięć. Przeszłość jego i jego bliskich, oraz całej wspólnoty dziś nieistniejącej, jest przeszłością moją i mojego miasta. Jest naszą wspólną historią. To brakująca część przeszłości, bez której nie ma całości.

Za parę dni znów zajrzę do pana Adelsona, na Wigierską, o tyle rzeczy chciałabym go jeszcze zapytać...

Weronika Czyżewska, klasa II d

I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Suwałkach
pod kierunkiem prof. Małgorzaty Kap

Przypisy

- 1 Z artykułu Szmula Abramskiego pt. *Studium Żydów suwalskich*.
- 2 Z artykułu Berla Khana pt. *100 lat społeczności Żydów w Suwałkach*, zamieszczonego w książce pt. *Życie Suwałk*, wydanej w 80. rocznicę powstania Dobroczynnego Stowarzyszenia „Niezależny Suwałczanin”. Independent Suwalkers.
- 3 Z tekstu Lesiego Sherera, napisanego w 80. rocznicę istnienia Stowarzyszenia Niezależnych Suwałczan.
- 4 Tamże.
- 5 Tamże.
- 6 Tamże.
- 7 Tamże.
- 8 Szmul Abramski: op. cit. i Berl Khan: op. cit.
- 9 Szmul Abramski: op. cit.

Praca powstała w 2004 roku w ramach ogólnopolskiego Konkursu Fundacji Shalom dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych „Historia i Kultura Żydów Polskich”.



Naum Adelson urodził się w 1921 roku w Królewcu. Jego ojciec Józef Jejsiew Adelson pochodził z Puńska i w 1919 r. przeniósł się do Suwałk, rodzinnego miasta swojej żony Belli z domu Smolińskiej. Tu zamieszkał w domu przy ul. Wigierskiej 45. Józef Adelson był jednym z najzamożniejszych mieszkańców Suwałk – posiadał nowoczesny „mechaniczny gazowo-generatorowy młyn walcowy Suwalszczyzna” z własną elektrownią. Kiedy młyn nie pracował, Adelson kazał przełączać obieg prądu i bezpłatnie oświetlał pobliskie ulice. Dodatkowy dochód przynosiły mu udziały w miejscowym browarze. Józef Adelson był też znany z działalności społecznej – pełnił funkcję ławnika, członka Gminy Żydowskiej i Rady Miejskiej w Suwałkach. W 1919 r. w trakcie referendum w sprawie przynależności administracyjnej miasta do Polski lub Litwy, opowiedział się za Rzeczypospolitą. Za to dosięgła go kula litewskiego zamachowcy. Dzięki pomocy lekarzy Józef Adelson przeżył i powrócił do Mały Naum w odróżnieniu od większości żydowskich chłopców nie uczęszczał do chederu. Rodzice posłali go do polskiego gimnazjum im. K. Brzostowskiego. Edukację w nim zakończył tak zwaną dużą maturą. W domu prywatny korepetytor uczył go języka hebrajskiego. Rodzina Adelsonów była z pewnością w znacznym stopniu zasymilowana, ale jednocześnie przywiązana do żydowskiej religii i obyczajów. Kilkadziesiąt lat później w wywiadzie przeprowadzonym przez Weronikę Czyżewską, Naum Adelson wspomni: „Szabas to takie nasze najważniejsze święto. Jeszcze Święto Pojednania ważne było. To były takie religijne święta. Szabas co tydzień w piątek od zachodu słońca się zaczynał i do zachodu słońca w sobotę trwał. Zaczynało się od kolacji. Taka uroczysta była. Mama już od rana szczupaka faszerowanego przygotowywała. Oj, nie było tego, kto by szczupaka nie zjadł. Były też chały taką specjalną serwetką przykryte. Świece na szabasowym stole też Mamusia zapalała. A Tatusz to jako głowa rodziny modlitwę odmawiał. Błogosławieństwo takie, kidusz się nazywało. A później to już do synagogi się szło. Kobiety też chodziły. A i jeszcze tak było, że w szabas to my sprzętów elektrycznych używać nie mogliśmy. I podróżować też nie można było. Tradycja na to nie pozwalała”.

Wakacje 1939 r. Naum Adelson spędzał u ciotki w Druskiennikach. Kiedy wybuchła wojna, rodzice zbiegli na wschód, po drodze zabierając syna. Wkrótce podzielili los „bieżeńców” – polskich Żydów, którzy rątku próbowali szukać w ZSRR. Komunistyczne władze zesłały ich w głąb Związku Radzieckiego, najpierw do okręgu świerdłowskiego, gdzie Józef Adelson pracował w kopalni. Potem był Sierowsk, a w końcu Namangan w Uzbekistanie. Tam Naum stracił ojca i brata. Po zakończeniu wojny Naum wraz z matką wrócił do Suwałk. Podróż przez bezkresny Kraj Rad zajęła im dwa miesiące. Po powrocie na krótko udało się im odzyskać młyn.

Jednak nowa władza nie chciała prywatnej inicjatywy. W 1950 r. młyn upaństwowiono. Wkrótce potem Bella Adelson zmarła. Pozbawiony rodzinnego przedsiębiorstwa Naum podjął pracę w olejarni, a później w browarze.

Z prawie sześciu tysięcy Żydów mieszkających w Suwałkach przed wojną, po 1945 r. do miasta powróciło około trzydziestu. Według oficjalnych danych, w 1957 r. w Suwałkach żyło ich już tylko jedenastu. W 1966 r. zmarł szklarz Mendel Gottlieb, w 1978 r. Anna Chaja Solnicka, a osiem lat później jej siostra Doba. W końcu z przedwojennych Żydów suwalskich został tylko Naum Adelson.

Jednym z ostatnich śladów po sztetlu Suwałki był stary kirkut przy ul. Zarzeczce. W latach okupacji niemiecki burmistrz Suwałk nakazał wyrwać kamienne nagrobki i wykorzystać je do budowy basenu. Inne użyto do utwardzania dróg. Później opustoszały plac służył jako koński targ i pastwisko dla bydła. Naum Adelson zaangażował się w ratowanie tego miejsca. Wydeptywał ścieżki w urzędach, zbierał i przewoził na cmentarz macewy odnalezione w różnych punktach miasta. Rozproszeni po świecie suwalscy Żydzi i ich potomkowie zbierali pieniądze na renowację cmentarza. Przysyłane z zagranicy dolary Naum Adelson wymieniał na złote. Nie podobało się to władzom – wzywano go na przesłuchania, straszono. Ale Adelson nie poddawał się. Z czasem cmentarz został ogrodzony, odzyskano też wiele macew, z których zbudowane zostało lapidarium.

30 sierpnia 1992 r. w pobliskim Jeleniewie odbyła się uroczystość reedykacji miejscowego cmentarza żydowskiego, odrestaurowanego staraniem Hermana Storicka, potomka jeleniewskich Żydów. Nie było minjanu, ale zgromadzenie dziesięciu dorosłych Żydów w małej miejscowości na Suwalszczyźnie nie było możliwe. Mimo to podczas ceremonii Naum Adelson drżącym, wzruszonym głosem, w kipie na głowie odmówił kadisz. Herman Storick pamięta go do dziś: „To był kulturalny, wspaniały człowiek. Wielokrotnie gościłem w jego domu, gdzie byliśmy serdecznie witani przez niego i jego żonę. Zawsze przyjmowali nas ciastem i winem. Po zakończeniu prac restauracyjnych, zawiozłem go na cmentarz w Jeleniewie. Kiedy zobaczył bramę i nowy, kamienny mur, łzy pojawiły się w jego oczach. Z wrażenia ucałował mnie w oba policzki”.

Naum Adelson zmarł w dniu 17 grudnia 2010 roku. Został pochowany na cmentarzu żydowskim w Suwałkach.

Serdecznie dziękujemy portalowi <http://www.sztetl.org.pl/> za umożliwienie skorzystania z materiału.



Krasnogruda koło Sejn. Uczestnicy II Zjazdu Abłamowiczów (Hołny Mejera, 26-29 czerwca 2008 r.) na werandzie dworu podczas zwiedzania. Fot. Sebastian Ślizień

DOMINIK ABŁAMOWICZ

Z rodzinnej historii pogranicza

Tai šeimos iš lenkų-lietuvių-baltarusių paribio istorija. Jos pirmtakai, kilę iš totorių, Vytauto Didžiojo buvo apdovanoti žemėmis. Rašytiniuose šaltiniuose pirmasis XVII šimtmetyje minimas Mikalojus. Jo palikuonys įsigijo žemes Trakų, Lydos, Naugarduko, Miro, Minsko, Klecko, o taip pat Seinų apylinkėse. Abłamovičių šeimai priklausančiame Justianavo (Vainežeris) dvare prie Kapčiamieščio 1831 metų gruodžio 23 d. mirė Emilija Pliaterytė, palaidota Kapčiamieščio kapinėse. Jos mirtis aprašyta šeimoje išlikusiuose laiškuose. Abłamovičių šeima artimai bendravo su Mikalojumi Konstantinu Čiurlioniu jo gyvenimo Druskininkuose metu, turėjo ryšių su poeto Adomo Mickevičiaus šeima.

Justianvo dvaras sėkmingai išgyveno 1929 metų Lietuvos žemės ūkio reformą, išliko nenukentėjęs ir II pasaulinio karo metu. Po karo čia trumpai buvo įsirengusi mokykla, kuri 1948 m. – sudegė. Išliko sodo fragmentai, Emilijai Pliaterytei pastatytas paminklas.



ubię być w Sejnach. Lubię tu letnie, rozgwieżdżone niebo, lekki wieczorny chłodek, ten spokój nad Maryczą, te rozmowy o tym i owym, prowadzone przez zawsze życzliwych sejnian, niespiesznie, z charakterystycznym miękkim akcentem. I kiszkę ziemniaczaną też lubię. Nigdzie indziej tak nie smakuje, jak tutaj.

To wszystko jest mi dane, kiedy raz w roku pędzę samochodem z Górnego Śląska na Litwę (potem zaś na Białoruś do Nowogródka) i zatrzymuję się właśnie w Sejnach. I wtedy rozkoszuję się wolnością oraz otoczeniem. Zastanawiam się, dlaczego tak dobrze się tu czuję, czyżby odzywały się jakieś intuicyjne, podświadome, emocjonalne echa?

* * *

[1830–1831]

„(...) Z za Dźwiny z Inflant polskich z Hrabianką Emilią Plater całe szwadrony dzielnej młodzieży maszerowały ku Niemnowi. Z Warszawy (...) Dembiński, Chłapowski, Giełgud, Rohland, Pułkownik Zaliwski (...). Po wzięciu Warszawy generałowie z wojskiem przeszli granicę pruską w Taurogach koło Tylży. Hr. Emilia Plater z Panną Raszanowicz Marią, swym adiutantem, po rozbiciu oddziałów na prawym brzegu Niemna przez parę tygodni ukrywały się w Puszczy Grodzieńskiej, między Grodnem a Mereczem położonej, dostały się do Hożej Sylwestrowiczów (...). Białoruskie chłopcy (...), poczciwe strzelcy ratowali, pilnowali, a potem ze wsi Przełom odwieźli Hr. Emilię do Warwiszek, majątku Pułkownika Michała Hoffmana mego dziada (...). U kapitanowej strzelców Pani Suchorzewskiej została (...). Na drugi dzień (...) ojciec kazał furmanowi Michałowi Santockiemu do powozu czwórkę koni założyć (...), zabraliśmy jako naszą bonę do Justyanowa, było to na Śy Michała [29 września 1831 r. – (D.A.)]. (...) Na Niemnie był kordon, straż pograniczna, mnóstwo objęzyczków. Wojsko po miasteczkach. Dwór w Justyanowie obszerny o kilkunastu pokojach, ludzi dużo. Moi rodzice i dziad mój Pułkownik IX Pułku piechoty. Dwie (miał) ładne panny: Wawrzyna Ablamowicz synowica i Katarzyna Hoffman córka Jana pułkownika sztabu i kilkoro drobnych dzieci, staruszka bona co nas wychowała i pacierzę uczyła Aleksandrowa Romanowska, Jan lokaj grenadier, furman Michał. Furman co całą kompanię z dziadkiem odbywał. Był w Paryżu i w Hiszpanii. Kucharz co w ułanach pod X^m Józefem służył. W takim otoczeniu Hr. Emilia była bezpieczna. Oficerowie, którzy codzień do ojca przyjeżdżali jeść, pić, grać w karty, mówili, że już jest wiadomość, że Hr. Emilia w Paryżu.

(...) [Hrabianka Emilia Plater (D.A.)] rozchorowała się na febrę, wodną puchlinę i 23 grudnia [1831 r. – (D.A.)] na ręku mojej matki skończyła. Miała krzyżyk złoty z łańcuszkiem, 50 dukatów w złocie (...). Mój ojciec, mój dziad, Xiążę Tadeusz [Ogiński z Wiejsiej – (D.A.)] odwieźli jako krewną naszą do Kopciowa. X. Maciej Hellman odprawił nabożeństwo i pochował”.

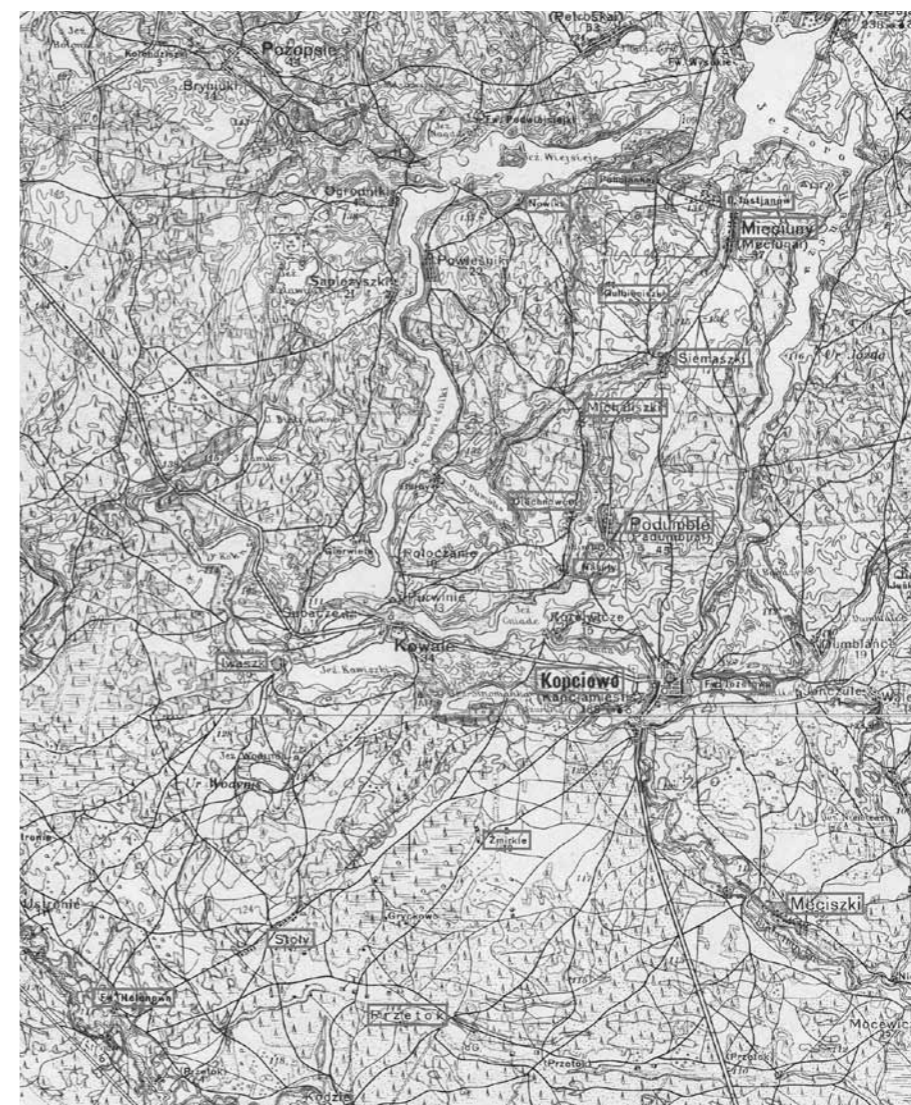
Z listów¹ Józefa Michała Edwarda Ablamowicza (1823–1909), syna Ignacego i Anny z Hoffmanów, właściciela majątku Justianów koło Kopciowa (obecnie Litwa), skierowanych do pisarza Wacława Gąsiorowskiego (1869–1939), piszącego książkę pt. *Emilia Plater* (pierwsze wydanie w 1910 roku).

* * *

Historią rodziny interesuję się od dawna. Dopiero jednak mniej więcej dziesięć lat temu po raz pierwszy przyjechałem do Justianowa i Kopciowa,

razem z mym ojcem Aleksandrem. I od tej pory jesteśmy tu prawie co roku, niemal co roku też z Litwy jedziemy na Białoruś, by szukać dalszych śladów przeszłości, pooddychać przyrodą, przeszłością, nacieszyć się kontaktami międzyludzkimi.

Wspomniany majątek Justianów znajdował się około 37 wiorst² na wschód od Sejn, na południe od Wiejsiej, nad jeziorami Wiejsieje i Hańcza. W XIX wieku obejmował on powierzchnię około 8105 mórg³. W jego skład wchodziły cztery fowarki: główny – Justyanów, ponadto: Gulbieniszki, Helenowo, Józefowo; przyległość Wysmały, dwie osady fabryczne: Kopciowo i Hamernia (na mapie Kowale?), dwie osady: Miciuny i Pohulanka oraz dziewiętnaście wsi: Gulbieniszki, Iwaszki, Kopciowo, Michaliszki, Miciuny, Mięciszki, Nasuty, Niewetka, Nowiki, Olechnowice, Podhelenowo, Podjanczule, Podumble, Przetok, Siemaszki, Stoły, Tań (Jaź) i Zmynkle. Opis



Lokalizacja majątku Justianów na mapach Wojskowego Instytutu Geograficznego (mapy 1:100 000 – Sejny, pas 32, słup 37 z 1929 r.; Sopoćkinie, pas 33, słup 37 z 1929 r.). Nazwy wymienione w tekście i zidentyfikowane na mapie zaznaczono prostokątnymi obwódkami (wieś i dwór Justianów w części północnej mapy).

i historię majątku przedstawił w jednym z opracowań Andrzej Matusiewicz⁴, a w pewnym zakresie uzupełnił wyżej podpisany⁵.

W istniejącej literaturze z pewnością nie wykorzystano wszystkich źródeł. Około dwóch lat temu autorowi udało się dotrzeć do rękopisów przechowywanych w kościele w Wiejsiejach⁶. Znajduje się tu spora ilość dokumentów archiwalnych, wśród nich m.in. zatytułowane: *Włość justyanowska; Opisanie zabudowania folwarku Justyanowa; Powinności włości justyanowskiej; Compendium włości justyanowskiej; Sumariusz generalny fowarku Justyanowa; Regestr podymnego* z około 1753 roku, zawierające też dane o mieszkańcach. Znalezione również

unikatowy opis bardzo słabo poznanego pałacu Ogińskich w Wiejsiejach – dokument zatytułowany: *Inwentarz Majętności Wieysiey Dóbr dziedzicznych w Powiecie Grodzieńskim leżących Jaśnie Wielm. Imć Pana Michał Kniazia Massalskiego Kasztelana Wileńskiego Hetmana Polnego WXL Grodzieńskiego... w roku 1753 sporządzony*, a ponadto opisy Kopciowa. Odczytanie nie tylko wymienionych z pewnością przyczyniłoby się do pozyskania nowych, nieznanych danych⁷.

Według informacji, których nie udało się zweryfikować, majątek Justianów należał do rodziny już w XVIII lub w początkach XIX wieku (m.in. jako jego właściciela wymienia się Michała Ablamowicza⁸). W archiwum w Suwałkach przechowywany jest akt zakupu majątku przez Ignacego Ablamowicza (1788–1854) i Annę z Hoffmanów (1803–1854) z 24 stycznia 1824 roku⁹. Sprzedawcą była – za 269 tysięcy złotych – Helena z Owsianych Stögentyńska (?–1832), wdowa po pułkowniku Józefie Stögentyńskim (?–?). Dokonaną transakcję poświadczili Antoni Kober, „Komisarz Powiatu Seyneńskiego”, i Ludwik Komar, „Rachmistrz Powiatu Seyneńskiego”, a sam akt kupna–sprzedaży sporządził Tomasz Ławcewicz, „Notariusz Publiczny Powiatu Seyneńskiego Województwa Agustowskiego”, prowadzący kancelarię w Sejnach przy Rynku Kościelnym numer 7.

Historia rodziny Ablamowiczów nie stała się dotąd przedmiotem odrębnego opracowania. Według tradycji, wywodzi się ona od Tatarów



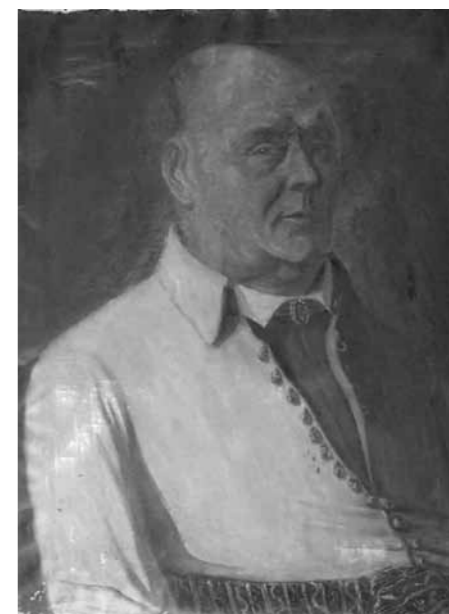
*Inwentarz Majętności Wieysiey Dóbr dziedzicznych w Powiecie Grodzieńskim leżących Jaśnie Wielm. Imć Pana Michał Kniazia Massalskiego Kasztelana Wileńskiego Hetmana Polnego WXL Grodzieńskiego... w roku 1753 sporządzony (rękopis przechowywany w kościele w Wiejsiejach).
Fot. Dominik Ablamowicz*

osadzanych na Litwie od czasów księcia Witolda¹⁰. Stanisław Dziadulewicz wskazuje przy tym postać bezpośredniego antenata – Tataru Ablam-Dyka¹¹, zapisanego do chorągwi kondrackiej w roku 1528 według *Metryki Litewskiej* (Ks. Publ. I karta 115), uznając go za założyciela rodziny.

Jak pisał Józef Edward Ablamowicz w liście z 10 grudnia 1908 roku do Wacława Gąsiorowskiego: „(...) Ród Ablamowiczów, jak wiele rodów litewskich: Wojniłowicz, Chreptowicz, Białopiotrowicz, Mickiewicz, zakończone na -icz są litewskie. W całej Litwie i Polsce jest tylko nasz jeden ród starożytny szlachty województwa trockiego. Przez wieki 4 pokolenia były z wyboru rotmistrzami trockimi, syn po zabitym ojcu na wojnie obejmował majątek, ziemię i piastował godność jak przodkowie (...)”.

Najstarszym z potwierdzonych historycznie jest Mikołaj Ablamowicz (1630–?), wojskowy (zginął na nieznanym polu bitwy), żonaty z Teklą z Kołyszaków herbu Kotwica, właściciel (ok. 1690 r.) folwarków Plotek (Plotek) i Wyzgowszczyzna w ówczesnym powiecie lidzkim. Biorąc pod uwagę to, że wspomniane majątki były dziedziczne można wysunąć tezę, iż szlachectwo i herb rodowy Abdank (Habdank, Awdaniec) uzyskali jego przodkowie w czasach panowania w Polsce królów z dynastii Wazów (Zygmunta III?). Wspomniany Mikołaj jest wzmiankowany w najstarszym z posiadanych w kręgu rodziny dokumentów – poświadczeniu szlachectwa z 1798 roku Dominika Ablamowicza (1756–1815), syna Jana. Potomkowie Mikołaja nabywali majątki w różnych częściach pogranicza polsko-litewskiego, głównie jednak w sąsiedztwie Trok, Lidy, Nowogródka, Klecka, Miru i Mińska.

Być może nie jest przypadkiem, że w czasach życia Dominika, żonatego z Anastazją Krzywobłocką (1745–1842), rozpoczął się okres pewnej rodzinnej prosperity. Dominik był bowiem komornikiem województwa trockiego (ok. 1771–1776) i powiatu nowogródzkiego, komisarzem cywilno-wojskowym porządkowym (ok. 1789), rotmistrzem powiatu trockiego (ok. 1789), prezydentem sądu granicznego (1797), wreszcie – wicemarszałkiem powiatu nowogródzkiego i wicemarszałkiem Trybunału Wielkiego Księstwa Litewskiego. W świetle posiadanych wiadomości kupił on od rodzeństwa (braci Jakuba i Karola oraz siostry Rozalii) dziedziczne Lewszany



*Portret Dominika Ablamowicza (1756-1815) wykonany przed II wojną światową, kopia starszego obrazu, niezachowanego (zbiory Anny Szwabowiczowej).
Fot. Dominik Ablamowicz*



Nowogródek (Białoruś) – zabytkowy cmentarz katolicki. Nagrobek Dominika Ablamowicza (1756–1815). Na żeliwnej podstawie krzyża napis: *D.O.M. Dominik syn Jana vice Marszałek ptu Nowogródzkiego* (stan po remoncie w 2008 r.). Fot. Dominik Ablamowicz

i Żerebiany koło Trok (sprzedał je w 1775 roku Danilewiczom), następnie około 1779 roku wsie Towzginiany i Łazaryszki koło Lidy, sprzedane w 1786 roku Aleksandrowi, koniuszemu Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był on również dziedzicem folwarku Berezowicze koło Nowogródka.

W 1797 roku Dominik kupił od hrabiego Aleksandra Macieja, oboźnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, położony nad Niemnem Przełom (obecnie pogranicze litewsko-białoruskie, niedaleko Druskien-
nik). W ostatnim z wymienionych majątków wychowywał się syn Ignacy, niewykluczone, że również

jego bracia: Piotr (?–1863) i Adam (?–przed 1856). Grób Dominika zachował się do dzisiaj na cmentarzu w Nowogródku¹².

Ignacy (syn Dominika) ukończył szkołę dominikanów w Nowogródku, następnie studiował na Uniwersytecie Wileńskim, gdzie przyjaźnił się m.in. z Joachimem Lelewelem. W czasach Księstwa Warszawskiego wstąpił do pułku ułanów księcia Józefa Poniatowskiego (ok. 1808 roku). Uczestniczył m.in. w zdobywaniu Krakowa, ale ranny wrócił do Przełoma (1809 r.). Tu zajął się gospodarowaniem w majątku, ale również poświęcił pracy w administracji; był radcą wojewódzkim i sędzią granicznym powiatu grodzieńskiego około 1814 roku. Mniej więcej w 1820 roku (dokładnej daty nie znam) ożenił się z Anną Hoffman, mieszkającą wraz z ojcem Michałem na lewym brzegu Niemna w majątku Warwiszki¹³. W tym samym roku 25 września potwierdził przynależność do stanu szlacheckiego, zaświadczoną stosownym dekretem Kazimierza Grabowskiego, marszałka litewsko-grodzieńskiego¹⁴.

Młodzi osiedli w zakupionym Justianowie, w rozległym parterowym dworze z widokiem na jezioro; w sąsiedztwie dworu znajdowały się liczne zabudowania gospodarcze, m.in. drewniany spichlerz, drewniano-kamienna stodoła i gorzelnia. Dzieci Ignacego i Anny: wymieniony wyżej Józef Michał Edward (1823–1909), Aleksander (1826–przed 1860), Aniela Franciszka Wiktoria¹⁵ (1829–1909), były świadkami wydarzeń łączących się z pobytem tutaj Emilii Plater (1806–1831). Już po wydarzeniach powstania listopadowego na świat przyszło kolejne potomstwo Ignacego i Anny: Ludwika (1833–1888)

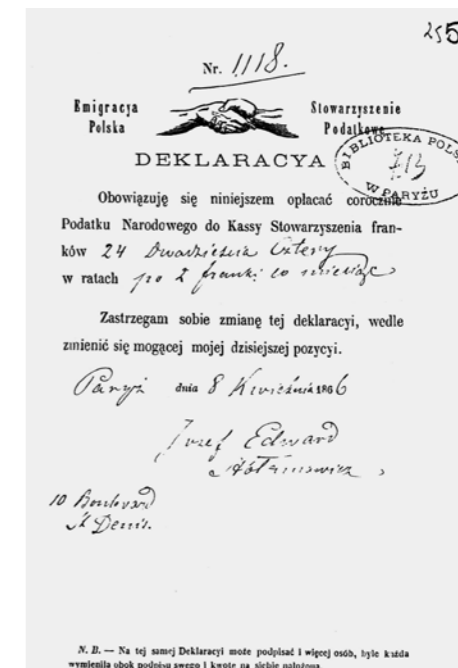
i trzeci syn Kazimierz Tadeusz Ksawery (1836–1895). W sumie niewiele wiemy o Ignacym i Annie w czasach justianowskich. Z pewnością utrzymywali oni kontakty z okolicznymi rodami szlacheckimi¹⁶. Ignacy był jednym z kolatorów kościoła w Kopciowie, czego dowodzi również przechowywany tu do niedawna dzwon, wykonany w Hucie Sztabińskiej. O pozycji małżeństwa świadczą rodzice chrzestni dzieci: Stanisław Chamski – sędzia pokoju i marszałek powiatu sejneńskiego, książę Tadeusz Ogiński z Wiejsiej (syn Michała Kleofasa), Antoni Skarbek-Kruszewski – właściciel Lejpun, marszałek szlachty powiatu sejneńskiego, poseł na sejm Królestwa Polskiego¹⁷, Aleksander Gutt – adwokat, Kazimierz Wolmer – marszałek powiatu sejneńskiego¹⁸.

Stosunkowo obszerny życiorys Józefa Edwarda Ablamowicza, syna Ignacego, przedstawił w jednym z opracowań Andrzej Matusiewicz, a także uzupełniał autor opracowania¹⁹. W skrócie należy wspomnieć, że uczęszczał on do sejneńskiego gimnazjum, następnie kontynuował edukację w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie pod Warszawą, nieco później podróżował po Europie. Po nagłej śmierci brata Aleksandra wrócił do Justianowa, by zająć się ojcowizną. Pobrał się z Józefą, córką Józefa Ablamowicza (ok. 1800–1863) i Ludwiki z Uzłowskich (?–1879)²⁰. Brał udział w powstaniu styczniowym, którego upadek zmusił go do uchodźstwa²¹. W Paryżu był szefem kancelarii księcia Adama Sapiehy, komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego we Francji i Anglii; około 1870 roku przeniósł się do Królewca.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu udało się znaleźć dokumenty związane z Józefem Edwardem. Pierwszy to deklaracja dobrowolnego opodatkowania się w wysokości 24 franków rocznie na rzecz emigracji polskiej z 8 kwietnia 1866 roku, zaś drugi to dokument



Kopciowo, kościół parafialny. Zabytkowy dzwon (przechowywany w wieży, pęknięty) z napisem: CAMPANA NOM: JOSEPHUS AD ECCL: PAROCH: KOPCIOVENSEM FUNDATIO IGNATIJ ABLAMOWICZ COLL: AN: DNI 1851; z tyłu: HUTTA SZTABIN. Fot. Dominik Ablamowicz, 2005 r.



Kopia deklaracji Józefa Edwarda Ablamowicza wpłat do Kassy Stowarzyszenia Emigracji Polskiej (oryginał w Bibliotece Polskiej w Paryżu).

ZMARLI.

EDWARD ABLAMOWICZ, ziemianin, lekarz i polityczny obywateli sejmickich, zmarł w 86-ym roku życia. Po ukończeniu studiów agronomicznych w Instytucie Merymowskiem przeniósł się do majątku rodzinnego. Nareszcie błóg życia przeszedł mu wypadki 1903 r. Jako jeden z organizatorów powstania był zagroźony wyrzuceniem śmierci, ale szczęśliwie udało mu się uciec: emigrował do Paryża, gdzie przeżywał czołowi. Po zamieszaniu powrócił w strój rodzinny i osiadł w majątku rodzinnym Justianowie. Długo pp. Ablamowiczów był przez długie lata ogniskiem życia ziemianstwa w sąsiedztwie promianowa-



to stać na dalszą okolicę wazynko, co dobre i walachem. To też był szczerzy i powszechny towarzyszył młodzień zwłok diabolicz rodzinnych w Kopciowie. Część pamięci naszego obywatela, jednego z epigonów podnieśli epoki!

Nekrolog Józefa
Edwarda
Ablamowicza
(Tygodnik
Ilustrowany
nr 41 z 1909 r.)



Justianów, dwór. Zdjęcie z wesela Józefy Magdaleny Ablamowiczówny z Leonem Borewiczem wykonane 7 września 1879 r. Fotografia ze zbiorów rodziny Hemplów



Justianów, dwór. Zdjęcie z wesela Józefy Magdaleny Ablamowiczówny z Leonem Borewiczem wykonane 7 września 1879 r. Zidentyfikowane osoby: 1) Kazimierz Ablamowicz, 2) Maria (żona Kazimierza), 3) Wanda, 4) Ignacy (córka i syn Kazimierza oraz Marii), 5) Józef Edward Ablamowicz, 6) Józefa (żona Józefa Edwarda), 7) Adela, 8) Helena (córki Józefa Edwarda i Józefy). Fotografia ze zbiorów rodziny Hemplów

potwierdzający, iż przybyły do Paryża z rodziną Dawid Olszański, pochodzący z powiatu i województwa augustowskiego, jest mu osobą znaną i uczciwą, a wystawione zaświadczenie „jako dowód pochodzenia i legitymacji przed władzą Narodową służyć może”.

Po około dziesięcioletnim pobycie na emigracji Józef Edward wrócił do Justianowa, zaniedbanego i zniszczonego kontrybucjami²²; wkrótce też majątek został sprzedany Edwardowi Morawskiemu (ok. 1879)²³. Nim jednak do tego doszło, 7 września 1879 roku odbył się tu ślub jednej z jego córek: Józefy Magdaleny (ok. 1861-?) z Leonem Borewiczem, mieszkającym w guberni kowieńskiej. Ze ślubu zachowały się nieliczne zdjęcia, ukazujące uczestników wesela, również na tle fragmentu werandy dworu, przy czym uwagę zwracają liczne łaty na dachu, co wskazuje na zły stan techniczny budynku, spowodowany zapewne pogorszeniem sytuacji materialnej rodziny.

Po sprzedaniu Justianowa Józef Edward zamieszkiwał u swych córek, m.in. u Adeli (ok. 1865-?), która wyszła za mąż za Leonarda Maurycego Eustachego Klonowskiego (1847-?), właściciela majątku Hołny Wolmera. Z pewnością część schyłku życia Józef spędził też w Kalwarii. Pisał wówczas utwory literackie (w 1904 roku witał wierszem w Suwałkach Henryka Sienkiewicza), w nieznanych okolicznościach został też honorowym obywatelem Sejn²⁴. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie²⁵. Jego marzeniem było przeniesienie szczątków Emilii Plater na Wawel lub do katedry wileńskiej. Zapewne dlatego starał się – jako jeden z ostatnich świadków – przypominać rodakom o Emilii²⁶, o czym pisał w obszernych listach do Wacława Gąsiorowskiego.

Z Justianowem wiąże się kilka ciekawych historii. Wiemy między innymi, że w czasach Ignacego znajdował się tu jeden z większych na owe czasy księgozbiorów, który pierwotnie należał do jego teścia Michała Hoffmana. Składał się on z 75 pozycji, w tym 46 w języku polskim, 20 – francuskim i 9 – niemieckim. Prawie cały zakupił na aukcji – po śmierci Ignacego – ksiądz Maciej Hellmann, proboszcz parafii Kopciowo. Cenzura rosyjska wyłączyła jednak ze sprzedaży cztery pozycje: *Pamiętnik Warszawski* i *Kronikę drugiej połowy roku 1819* oraz dwa wydawnictwa w języku francuskim, w tym bliżej nieokreśloną publikację hrabiego Józefa de Maistre'a²⁷.

W kręgu rodziny nie zachowały się żadne wiadomości, jak doszło do namalowania przez Juliusza Kossaka (1824–1899) około 1850 roku portretu²⁸ Józefa Edwarda Ablamowicza. Materiały źródłowe poświadczają natomiast, że w 1851 r. w Justianowie przebywał malarz Wojciech Gerson



Józef Michał Edward Ablamowicz (1824-1909) na koniu (fragment obrazu Juliusza Kossaka z 1850 r.); kopia fotografia portretu wykonanej w Kalwarii

(1831–1901), w trakcie swej podróży z Warszawy do Wilna i Kowna (Vetulani, Ryszkiewicz, 1951). Podczas pobytu zaprzyjaźnił się on ze wspomnianym Józefem Ablamowiczem i namalował dla niego pejzaż przedstawiający widok z werandy dworku justianowskiego w kierunku na jezioro i miejscowość Wiejsieje. Według informacji rodzinnych nieco później, około 1858 roku, artysta sporządził portret sióstr Marii i Zofii Ablamowiczównych, córek Kazimierza Tadeusza Ksawerego.



Portret sióstr Marii i Zofii (?) Ablamowiczównych, córek Kazimierza Tadeusza Ksawerego (technika, wymiary nieznane; zbiory rodziny Hemplów)

Dwór w Justianowie przetrwał parcelację majątku, przeprowadzoną w 1929 roku przez ówczesne państwo litewskie³⁰, bez szwanku wyszedł też z zawieruchy drugiej wojny światowej. Podobno tuż po jej zakończeniu pojawił się tu Edward Morawski, licząc na to, iż uda się mu z powrotem przejąć swą własność, co ostatecznie okazało się niemożliwe w wyniku znanych zmian politycznych. Z przeprowadzonych przeze mnie rozmów wynikało, iż po roku 1945 mieściła się tu szkoła z niewielkim internatem,

a także – przez pewien czas – siedziba nadleśnictwa. Dwór i zabudowania zostały spalone podczas litewskiej wojny domowej, około roku 1948, przez tak zwanych obrońców ludu, czyli komsomolców tworzących nie do końca formalne jednostki paramilitarne, wspomagające działania policji i wojska, zmierzające do włączenia Litwy jako republiki do ZSRR.

Nie tak dawno temu Justianów³¹ znalazł się w gestii Wiejsiejskiego Parku Krajobrazowego z siedzibą w Wiejsiejach (w pozostałościach pałacu Ogińskich). Teren w sąsiedztwie dawnego dworu, częściowo zadrzewiony, również z resztkami sadu, nieco uporządkowano³². W 2006 roku przeprowadzono archeologiczne badania wykopaliskowe w obrębie jednego z nieistniejących zabudowań,



Fragment radzieckiego zdjęcia lotniczego okolic Justianowa z naniesionymi znakami kartograficznymi (godło, skala, rok wykonania nieznane). Legenda: A) miejsce archeologicznych badań wykopaliskowych; B) lokalizacja dworu (dobrze widoczna dwuspadowa połać dachowa)

należących do dawnego majątku, a znalezione zabytki ruchome zdeponowano w Muzeum w Łódziejach. Po ich zakończeniu teren obiektu wyeksponowano, zaś obok posadowiono brązowy pomnik Emilii Plater. Już wcześniej urządzono w sąsiedztwie rozległy parking i umieszczono tablice informacyjne dla turystów. Wypada jednak podkreślić to, iż badaniami archeologicznymi nie objęto właściwego miejsca posadowienia dworu, który stał kilkaset metrów dalej w kierunku północno-zachodnim. Na prowadzącej niegdyś do niego alejce brak jakiegokolwiek informacji³³. Rzeczywiście jego umiejscowienie widać na załączonym rosyjskim zdjęciu lotniczym, uzupełnionym znakami kartograficznymi, które to (zdjęcie-mapa o nieznanym godle, skali i roku wykonania) pozyskano dzięki życzliwości pracowników Wiejsiejskiego Parku Krajobrazowego³⁴. Notabene, podczas jednego z pobytów w Justianowie, spotkany mężczyzna – po naszej rozmowie poświęconej historii Justianowa i przyznaniu się do korzeni – zaprowadził mnie z Ojcem na miejsce wskazane na załączonej rycinie i potwierdził, że właśnie tu stał kiedyś dwór.

Z opisanymi wydarzeniami wiąże się zabytkowy cmentarz w Kopciowie (co najmniej z XIX wieku). Znajduje się on mniej więcej w odległości około dwustu metrów od odbudowanego po spaleniu w czasie drugiej wojny światowej kościoła – w kierunku północno-zachodnim, na skraju zabudowy.

Zasięg nekropolii aktualnie wyznacza kępa drzew z licznymi zapadliskami i niewielką ilością zachowanych pozostałości mogił w postaci nagrobków lub ich fragmentów. Wyróżnia się wśród nich grób Emilii Plater z „nowym” nagrobkiem (starszy można zobaczyć na rozstaju dróg, z których jedna biegnie w kierunku Justianowa), Heleny Stögentykowej, Michała Hoffmana (przy narożu grobu Emilii), również Ablamowiczów z 1909 roku (bez wyszczególnienia nazwisk na pionowej płycie³⁵). Przez kilka lat przyjeżdżaliśmy tu razem z moim Ojcem Aleksandrem, niekiedy z kuzynem Dominikiem Mączyńskim, synem Anny de domo Ablamowicz i Stanisława Mączyńskiego, myśliśmy nagrobek (nikt z rodziny nie był tu chyba od przedwojnia), cementowaliśmy szpary, w końcu zleciliśmy naprawę fachowcowi – sympatycznemu Litwinowi.



Kopciowo. Pierwotny nagrobek Emilii Plater (1806–1831); na rozstaju dróg, przeniesiony ze starego cmentarza w nieznanym celu, czasie i okolicznościach. Konieczna wydaje się korekta ustawienia żelaznego krzyża (obecnie awers skierowany w bok nagrobka). Obok pomnika Helena Ślizieniowa-Wojtekun, prawnuczka Michała Ablamowicza (1846–1903). Fot. Dominik Ablamowicz

Jeszcze niedawno zabytkowy cmentarz kopciowski był silnie zaniedbany. W ostatnich latach sytuacja ta zmieniła się: zakazano wypasu krów na nekropolii, uprzątnięto ją, przy wejściu umieszczono tablice informacyjne, zaś obok wejścia urządzono parking dla turystów.

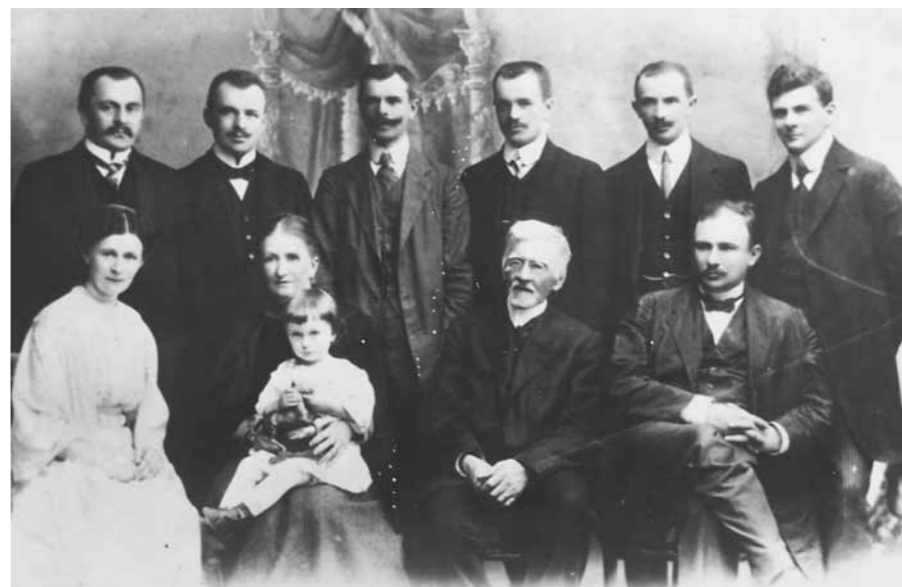
* * *

W XIX wieku członkowie mej rodziny byli również związani z Wilnem i Druskiennikami. Warto napisać kilka słów zwłaszcza na temat Druskiennik, gdyż losy mych krewnych i powinowatych splotły się z życiem Mikołaja Konstantego Čiurlonisa (1875–1911), wielkiego litewskiego malarza, grafika i kompozytora.

Waleria Ablamowiczówna (1840–1918), córka Piotra, wnuczka wymienionego wyżej Dominika, została żoną lekarza Józefa Markiewicza (1834–1923)³⁶, absolwenta Uniwersytetu Moskiewskiego, naczelnego lekarza szpitala miejskiego w Grodnie (ok. 1860 r.). Za udział w powstaniu styczniowym otrzymał wyrok śmierci, ale dzięki wstawiennictwu księcia Radziwiłła ulaskawiono go i skazano na zesłanie do guberni permskiej (Szadryńsk, Talica), w której towarzyszyła mu Waleria. Około 1869 roku wrócił jednak do Warszawy, gdzie podjął praktykę. Jako członek Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego pracował – początkowo w miesiącach letnich, w końcu na stałe – w Druskiennikach, działając również na rzecz propagowania walorów uzdrowiskowych miejscowości, gdzie około 1870 roku zakupił dom przy ulicy Świętego Jakuba 2, w sąsiedztwie cerkwi, stojący do dzisiaj.

Waleria i Józef Markiewiczowie mieli dzieci: Piotra, Walerię, Annę, Mariana, Witolda, Jana i Stanisława³⁷. Wszyscy oni, a zwłaszcza Piotr, Marian i Waleria, przyjaźnili się z Mikołajem Čiurlonisem (nazywanym Kostkiem), spędzając z nim lata dziecinne i młodzieńcze, zarówno w Druskiennikach, jak i Warszawie.

Józef Markiewicz był lekarzem rodzinnym księcia Michała Ogińskiego, jak również zajmującego się produkcją statków parowych Patrycego O'Briena de Lacy oraz zaprzyjaźnionych Čiurlonisów. Dzięki jego staraniom młodego Mikołaja uczyła gry na pianinie Julia de Lacy (siostra Patrycego). Około 1885 roku Mikołaj przeniósł się na zaproszenie Ogińskiego do Płungian (obecnie okręg telszański na północno-zachodniej Litwie), gdzie istniała założona przez księcia szkoła muzyczna; tu też Kostek został członkiem działającego przy dworze zespołu muzycznego. Na dalszym etapie – dzięki stypendiom księcia – było konserwatorium w Warszawie i Lipsku (ale to już inna historia, która może nie interesować Czytelników)³⁸.



Druskienniki. Zdjęcie wykonane z okazji 50 rocznicy ślubu Józefa Markiewicza i Walerii z Ablamowiczów Markiewiczowej (około 1912 r.). Siedzą od lewej: Waleria z Markiewiczów Dobraczyńska, Waleria z Ablamowiczów Markiewiczowa (na jej kolanach Jan Dobraczyński), Józef Markiewicz, Witold Markiewicz; stoją od lewej: Antoni Dobraczyński, Jan Markiewicz, Stanisław Markiewicz, Marian Markiewicz, Piotr Markiewicz, Tadeusz Ablamowicz.

* * *

Sądzę, że pisanie o historii rodziny nie jest dla żadnej związanej z nią osoby sprawą prostą. Jak sprawić, by treść zainteresowała, a nie zanudziła? Jak ograniczyć słowa, z jakich faktów zrezygnować, a jakie przytoczyć w narracji? Jak zaprezentować różne wydarzenia i związane z nimi postacie (co jest niezbędnym elementem opracowań historyczno-genealogicznych) w sposób odbiegający od notek encyklopedycznych?

W poszukiwaniach rodzinnych korzeni mam niedosyt wiedzy o tym, jacy byli moi antenaci. Trudno odpowiedzieć na pytania, w jaki sposób postrzegali świat, jak odnosili się do innych ludzi, jak byli oceniani przez siebie współczesnych. Informacje z tym związane można znaleźć niesłychanie rzadko. Ich znajomość powoduje z kolei, że postacie sprzed dziesiątków lub setek lat, wymieniane w kontekście różnych faktów historycznych, zyskują po prostu na człowieczeństwie, są bardziej dla nas czytelne. Sądzę, iż uwaga ta dotyczy ogółu relacji historycznych.

Zapewne każdy, kto interesuje się historią rodziny (a może lepiej: rodu), z czasem może opowiadać niemal w nieskończoność o związanych z nią odkryciach i ciekawych wydarzeniach. Ale to co ważne dla niego, niekoniecznie musi być ważne i ciekawe dla innych. Na jedno chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie – na nasze pojmowanie historii, z której wyrasta współczesność.

Na nasze rozumienie przeszłości składają się zdarzenia małe i wielkie, losy pojedynczych osób, grup, całych społeczności. Historie „małe”, choćby mej rodziny, ale przecież także rodzin wszystkich czytelników, składają się na historię „dużą”. Im więcej nowych relacji i faktów, tym bardziej zwiększa się liczba danych, na podstawie których formułujemy mniemanie o przeszłości.

Uzupełniając przedstawione informacje, przytoczę kilka zaledwie ciekawostek z dziejów rodu⁴⁰:

– moi antenaci znali się i utrzymywali kontakty z Mickiewiczami i związanym z nimi kręgiem ludzi (Mikołaj, ojciec Adama, jako prawnik prowadził kilka spraw rodzinnych):

„W lutym 1821 r. ślub (Maryli z Wereszczaków i Wawrzyńcowi Puttkamerowi – D.A.) dawał ksiądz Kowalewski z Woronicy; na ucztę weselną (...) zjechali (...) do Tuhanowicz: Zalescy z Kobryńskiego, Zawistowscy, Ancutowie, Ablamowicze, Slizniowie, Wierzbowsky i wiele innych litewskich rodzin⁴¹;

– w drugiej połowie XIX wieku byli właścicielami m.in. jeziora Świtez, które wniosła w posagu Jadwiga z Wojnów Ablamowiczowa (1846–1913) Janowi Bolesławowi (ok. 1852–po 1907), synowi Władysława⁴²;

– często studiowali w XIX wieku na Uniwersytecie Wileńskim i Uniwersytecie Jagiellońskim, na przykład: filozofię, prawo, medycynę, rolnictwo; niektórzy zostawali profesorami⁴³;

– emigrowali już w XIX wieku za nauką i pracą, także z powodów politycznych (np. udział w powstaniach), do Francji, Wielkiej Brytanii, Prus, Ameryki (USA), Rosji;

– Dominik Ablamowicz (1815–1889), syn Michała, uczestniczył w romantycznych planach emigracji Polaków – uciekinierów po powstaniu listopadowym – do Ameryki i budowy tak zwanej Nowej Polski (jej stolicą miało być Miasto Braterstwa)⁴⁴;

– byli uczestnikami lub świadkami różnych zdarzeń historycznych:

„Była godzina 7.00, gdy w niedzielę, 10 listopada (1918 r. – D.A.), w mglisty i chmurny ranek, jednowagonowy pociąg specjalny z Berlina przybył na Dworzec Wiedeński w Warszawie. O przyjeździe Piłsudskiego nie wiadano w mieście. Na dworcu, poza ks. Lubomirskim, któremu towarzyszył adiutant rotmistrz Rostworowski, i Kocem – komendantem naczelnym POW na teren okupacji niemieckiej, byli Aleksandrostwo Prystorowie, Kazimierzostwo Stamirowscy, ppor. Konstanty Ablamowicz (zwany w Legionach Tatarem) i dziennikarz Wacław Czarski (...)”⁴⁵.

Szukanie informacji o rodzinnych korzeniach może stać się pasją. Tak było w przypadku moim i mego Ojca Aleksandra. Od lat kontaktujemy się z członkami rodziny i rodu, szperamy w archiwach i muzeach, w książkach,

od dawna jeździmy na Litwę i Białoruś, by szukać należących kiedyś do rodziny dworaków czy grobów. Dwukrotnie inicjowaliśmy zjazdy rodu: pierwszy odbył się w Koszęcinie na Górnym Śląsku w 2006 roku, drugi w Hołnach Mejera koło Sejna w 2008 roku⁴⁶. W spotkaniach brali udział nasi krewni z Polski, również z Niemiec, Australii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Zjazdy służą nie tylko nawiązaniu kontaktów międzyludzkich, poznaniu się, ale też wymianie różnych informacji i danych, jak również ich rozpowszechnieniu z myślą o następcach (kolejny planujemy na 2010 rok w Krakowie). Jedną z myśli przyświecających wielu spośród nas jest stworzenie funduszu rodzinnego, który można by przeznaczyć na zadbanie o istniejącą schedę, na przykład na remonty rodzinnych nagrobków⁴⁷ (dotąd udało się nam je wykonać w litewskim Kopciowie i białoruskim Nowogródku oraz Połoneczce), jak również na pomoc młodemu pokoleniu w edukacji, poznawaniu świata itd.

Wszystkie nasze wyjazdy na gościnną Litwę i Białoruś pozwalały stwierdzić, że jest tu wiele pamiątek historii z czasów polskich rozbiorów, a nawet jeszcze starszych, doby Królestwa Obojga Narodów. Są one nie tylko świadectwem polskiego, litewskiego lub białoruskiego dziedzictwa kulturowego (czy taki podział w strefie pogranicza ma w ogóle sens?), ale ogólnoeuropejskiego. Tylko od nas zależy, jak o nie zadamy, w jakim stopniu będziemy chcieli i uda się nam je zachować, odczytać i zrozumieć związane z nimi treści, by przekazać je kolejnym pokoleniom.

Literatura

Ablamowicz Dominik: *Postscriptum do historii Justianowa*. Jaćwież 1999 nr 7 s. 8–10.

Ablamowicz Dominik: *Z historii katyńskiej. Casus Ferdynanda Goetla*. Acta Archaeologica Lodzienia t. 53. Łódź 2007 s. 146–149.

Ablamowicz Józef Edward: *Emilia Platerówna*. Kurier Literacki 1906 (z 4 X) [Warszawa]

Boniecki Adam: *Herbarz Polski. Część I. Wiadomości historyczno-genealogiczne o rodach szlacheckich* t. 1. Warszawa 1899.

Boniecki Adam: *Herbarz Polski. Uzupełnienia i sprostowania do części I*. Warszawa 1901.

Bazewicz J.M. (red.): *Atlas geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego*. Warszawa 1907.

Bulhak Jan: *Kraj lat dziecińczych*. Gdynia 2003.

Cisek Janusz: *Z Magdeburga do Belwederu. Rzeczpospolita* 1998 nr 264 (z 10 XI).

Daszkiewicz Piotr, Tarkowski Radosław: *Polacy – słuchacze wykładów mineralogii R.J. Haiiy w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu w latach 1802–1821*. Przegląd Geologiczny 2006 nr 3 (54) s. 215–218.

Dziadulewicz Stanisław (opr.): *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce*. Wilno 1929.

Fałat Julian: *Pamiętniki*. Katowice 1987.

Gomulicki Wiktor: *Emilia Platerówna. W stuletnią rocznicę narodzin (1806–1831)*. Świat 1906 nr 3 s. 4–6.

Landsbergis Vytautas: *Čiurlonio kūryba*. Leningrad 1975.

Lewkowska Anna, Lewkowski Jacek, Walczak Wojciech: *Zabytkowe cmentarze na Kresach Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej. Województwo nowogródzkie*. Warszawa 2008.

Matusiewicz Andrzej: *Ziemiańin z Justianowa*. W: *Biografie suwalskie* cz. 3. Red. M. Pawłowska. Suwałki 1996 s. 7–9.

Matusiewicz Andrzej: *Justianów*. Jaćwież 1999 nr 5 s. 8–10 [c. Szlacheckie gniazda].

Podhorski-Okołów Leonard: *Realia mickiewiczowskie*. Warszawa 1999.

Rybczonak S.: *Ablamowiczi gierbu „Abdank”*. W: *Mały gierbownik nawagradzkiej szlachty*. Mińsk 1997 s. 14.

Spis członków r. 1907. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk t. 1. Wilno 1908 s. 184.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich t. 3. Warszawa 1882.

Sarykoń-Kasprzycki Stefan (red.): *Almanach szlachecki. Genealogia polskich rodzin szlacheckich* t. 1. Warszawa 1939.

Szumski Jerzy: *Księgozbiory domowe ziemiaństwa Suwalszczyzny w świetle notarialnych „inwentarzy pozostałości” z lat 1814–1858*. Bibliotekarz Podlaski 2003 nr 6 s. 43–50 [Białystok].

Terlikowski L.: *Gmina Berzniki powiatu suwalskiego*. W: *Kresy w oczach oficerów KOP. Stosunki społeczno-oświatowe w 18 gminach na pograniczu Litwy, Łotwy i ZSRR w ciągu ostatnich 5 lat* (opracowali instruktorzy oświaty KOP). Red. J. Widacki. Katowice 2005 s. 39–52.

Tyszkiewicz Jan: *Tatarzy na Litwie i w Polsce. Studia z dziejów XIII–XVIII w.* Warszawa 1989.

Uruski Seweryn (opr.): *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej* t. 1. Warszawa 1904.

Vetulani A., Ryszkiewicz A. (oprac.) *Materiały dotyczące życia i twórczości Wojciecha Gersona*. W: *Źródła do dziejów sztuki w Polsce* t. II, red. A. Ryszkiewicz, Wrocław 1951.

Zasztowt L.: *Kresy 1832–1864. Szkolnictwo na ziemiach litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej*. Warszawa 1997.

Przypisy

1 Listy z 10 grudnia 1908 r. i 16 marca 1909 r. (Biblioteka Ossolińskich we Wrocławiu, rkps 15278/II). Bardzo uprzejmie dziękuję za udostępnienie materiałów archiwalnych panu Andrzejowi Matusiewiczowi z Suwałk, który dokonał również pierwszej transliteracji rękopisów. Dziękuję również za inne informacje, częściowo wykorzystane w niniejszym opracowaniu.

2 Wiorsta równała się 1066,78 metra.

3 *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego...* t. 3. Warszawa 1882 s. 640; W XIX w. jedna morga wynosiła ok. 0,56 dzisiejszego hektara.

4 A. Matusiewicz: *Justianów*. Jaćwież 1999 nr 5 s. 8–10.

5 D. Ablamowicz: *Postscriptum do historii Justianowa*. Jaćwież 1999 nr 7 s. 8–10.

6 Dzięki uprzejmości księdza proboszcza, za co serdecznie dziękuję.

7 Autor wykonał jedynie zdjęcia wybranych dokumentów (nie wszystkie udane); w miarę wolnego czasu zajmuje się ich odczytaniem. Informację o znalezisku przekazano m.in. do Dyrekcji Wiejskiego Parku Krajobrazowego w Wiejsiejach, ponadto kilku badaczom w Polsce i na Litwie, również do kilku placówek i instytucji w Polsce. Księdzu zaproponowano pomoc przy niezbędnej konserwacji rękopisów (np. w Bibliotece Śląskiej w Katowicach). Zdaniem piszącego, wszystkie wymagają natychmiastowego skopiowania i podjęcia działań zabezpieczających z powodu złego stanu zachowania (zagrzybenie, blaknięcie brązowego atramentu, ubytki i przetarcia kart).

8 W literaturze przedmiotu (zwłaszcza herbarzach) myli się przy tym dwie osoby: Michała (1776–1839), syna Karola, sędziego powiatu nowogródzkiego, którego grób zachował się na cmentarzu przykościelnym w Połoneczce koło Miru (Lewkowska A. i in.: *Zabytkowe cmentarze na Kresach Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej. Województwo nowogródzkie*. Warszawa 2008, s. 23, 186–187, 409), oraz Michała (1846–1903), syna Władysława, plenipotentą Radziwiłłów i zarządcę ordynacji nieświeżkiej, pochowanego w grobowcu rodzinnym w majątku Żuchowice Małe koło Miru (więcej informacji: J. Fałat: *Pamiętniki*. Katowice 1987, s. 154–162).

9 APS. Księga Justjanów–Kopciowo s. 156–158.

10 S. Dziadulewicz (opr.): *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce*. Wilno 1929 s. 367–368; A. Boniecki: *Herbarz Polski. Część I. Wiadomości historyczno-genealogiczne o rodach szlacheckich* t. 1. Warszawa 1899 s. 17; Tenże: *Herbarz Polski. Uzupełnienia i sprostowania do części I*. Warszawa 1901 s. 6–7; S. Uruski (opr.): *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej* t. 1. Warszawa 1904 s. 2–3; S. Sarykoń-Kasprzycki (red.): *Almanach szlachecki. Genealogia polskich rodzin szlacheckich* t. 1. Warszawa 1939; S. Rybczonak: *Ablamowiczi gierbu „Abdank”*. W: *Mały gierbownik nawagradzkiej szlachty*. Mińsk 1997 s. 14; por. J. Tyszkiewicz: *Tatarzy na Litwie i w Polsce. Studia z dziejów XIII–XVIII w.* Warszawa 1989 s. 144–169.

11 Według ustnych informacji pozyskanych przez autora od znajomych historyków z Uzbekistanu i Tadżykistanu, termin „dyk” lub „byk” odnosił się w czasach odpowiadających europejskiemu średniowieczu do Tatarów, którzy dowodzili oddziałem składającym się z około stu wojowników.

12 Lewkowska i in.: op. cit. s. 21, 165, 167, fot. 393.

13 Autorowi udało się w 2005 roku zwiedzić Warwiszki, położone w lesie blisko granicy litewsko-białoruskiej. Przy leśnych drogach dojazdowych znajduje się wiele bunkrów (zabytkowych?) o nieznanym czasie budowy. W Warwiszkach brak pozostałości dworu; istnieje tu niewielki cmentarz z kilkoma nagrobkami z XIX wieku, z nazwiskami: Gieda (1883), Stermer (1888) i innymi, a ponadto okazała rozwalisko grobowca z cegły, z rozbitą tablicą marmurową. Zdaniem autora, zarówno bunkry, jak też grobowce na cmentarzu, wymagają natychmiastowej inwentaryzacji.

14 Narodowe Archiwum Historyczne Białorusi w Mińsku: nr inw. 319/2/10/52–55.

15 Jej mężem został w 1851 roku Ryszard Łukasz Antoni Eysymont (1817–?), z którym zamieszkiwała przez pewien czas w majątku i dworze w Krasnogrudzie. Ich wnukiem był m.in. Stanisław Kościakowski (1881–1860), historyk, wieloletni i zasłużony profesor Uniwersytetu Wileńskiego, współzałożyciel i wieloletni członek zarządu Wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (APS. Księgi USC Kopciowo 1830; Tygodnik Suwalski 1909 nr 50).

16 Również z krewnymi, którzy mieszkali w okolicach Nowogródka. Dowodzi tego *Wypis urzędowy* z 31 lipca 1830 r., w którym mowa jest o chrzcie córki Anieli Franciszki Wiktorii (APS: Księga Justjanów–Kopciowo k. 549–550); jednym z rodziców chrzestnych był Piotr (brat Ignacego), m.in. zastępca naczelnika policji i sędziego sądu ziemskiego powiatu nowogródzkiego, związany z majątkami Horodeczno i Niesutycze. W Horodecznie do dzisiaj zachowała się kaplica rodzinna Ablamowiczów (Lewkowska i in.: op. cit. s. 78, 320); w kaplicy w Niesutyczach brak obecnie napisów, choć według informacji ustnej mieszkańców wsi kiedyś wisiała w niej żelwna płyta z nazwiskiem Ablamowicz.

17 Grób Antoniego Kruszewskiego (1783–1883), właściciela Lejpun, widoczny jest do dzisiaj na miejscowym cmentarzu, a w sąsiedztwie zachowały się jeszcze pozostałości pałacu. Żoną Antoniego była Wawrzyna Ablamowicz (1813–1900), córka Michała, pochodząca z Żuchowic Małych pod Mirem, która po śmierci męża przeniosła się do odziedziczonego pod Warszawą Radzymina; na miejscowym cmentarzu zachował się do dzisiaj jej grób (por. <http://fakty.wwl.pl/2004/20/?id=11>).

18 Por. A. Matusiewicz: *Ziemiańin z Justianowa...*

19 D. Ablamowicz: *Postscriptum...*

20 O ich ślubie pisał „Kurier Warszawski” nr 59 z 2 marca 1860 roku.

21 Powstańcem styczniowym był również jego brat Kazimierz. Data wyjazdu Józefa Edwarda z Justianowa nie jest nam znana. Przebywającego na obczyźnie okazjonalnie odwiedzała żona, co z pewnością wpływało na pogarszającą się kondycję finansową rodziny i justianowskiego majątku.

22 Okoliczności pozyskania zgody władz carskich są nieznane; per analogiam do podobnych zdarzeń (związanych z rodziną mieszkającą niedaleko Nieświeża) można podkreślić, iż często łączyło się to z nieformalnymi opłatami, co musiało wpłynąć na zasobność rodziny.

23 M.in. był on założycielem w 1906 r. Szkoły Handlowej w Suwałkach, postacią zasłużoną dla wspomnianego miasta i regionu (A. Matusiewicz: *Ziemiańin z Justianowa...*).

24 W archiwum miasta Sejny jakichkolwiek danych brak.

25 *Spis członków r. 1907*. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk t. 1. Wilno 1908 s. 184.

26 J.E. Ablamowicz: *Emilia Platerówna*. Kurier Literacki 1906 (z 4 X).

- 27 J. Szumski: *Księgozbiory domowe ziemiaństwa Suwalszczyzny w świetle notarialnych „inventarzy pozostałości” z lat 1814–1858*. Bibliotekarz Podlaski 2003 nr 6 s. 47.
- 28 Przechowywany przez potomków w Warszawie, spalony podczas powstania w 1944 roku.
- 29 Według opisu zdjęcia Wiktorii Hempłowej de domo Ablamowicz; ze wspomnianego okresu nie jest znana autorowi żadna Zofia Ablamowicz.
- 30 Według otrzymanej w Urzędzie Gminy w Kopciowie (Kapčiamiestis) kserokopii archiwalnego planu parcelacyjnego, w 1929 roku majątek liczył około 428,08 ha. Niestety, nie zaznaczono tu zabudowań dworskich, nie wyszczególniono też ich w spisie nowych właścicieli.
- 31 W nieznanym autorowi okresie nazwę wsi Justianów zmieniono na Vainežeris.
- 32 W części zachowano układ starych alejek, a na powierzchni niektórych z nich zachował się bruk z kamieni narzutowych.
- 33 W materiałach rodzinnych plan majątku w Justianowie nie zachował się. Jednej z nielicznych informacji o rozlokowaniu jego zabudowy dostarcza mapa Wojskowego Instytutu Geograficznego, zamieszczona w opracowaniu, wykonana w skali 1:100 000. Pomyłki w lokalizacji dworu nie ustrzegł się też autor, który w starszym komunikacie (D. Ablamowicz: *Postscriptum...*) umiejscawiał go na terenie przeprowadzonych prac archeologicznych.
- 34 Autor przekazał pracownikom parku posiadane materiały rodzinne na temat Justianowa.
- 35 Jest niemal pewne, iż znajdują się tu szczątki Józefa Michała Edwarda Ablamowicza, być może spoczywają tu też: Ignacy Ablamowicz, Anna z Hoffmanów oraz ich syn Aleksander. Według informacji mieszkańców Kopciowa, po drugiej wojnie światowej w grobowcu znajdowała się dziura, przez którą można było wejść do jego wnętrza; podobno spoczywały tu cztery trumny, w tym jedna z wiekiem zaopatrzonym w szybkę szklaną na wysokości twarzy pochowanej osoby. Zdaniem specjalisty kamieniarza, który dokonał naprawy grobowca, płyta z nazwiskiem i datą jest młodsza od jego konstrukcji.
- 36 Na przełomie XVIII i XIX w. rodzina Markiewiczów była związana z Nowogródzczyzną. Ojciec wspomnianego Józefa pełnił urząd chorążego nowogródzkiego.
- 37 Nawet zainteresowany czytelnik mógłby się obruszyć na podawanie informacji o poszczególnych, wymienionych osobach; jako ciekawostki przytoczę więc jedynie kilka faktów związanych z ich życiem. Piotr był bankowcem w Grodnie; Waleria, po mężu Dobraczyńska – matką Aleksandra (inżyniera) i Jana (znanego pisarza); Anna została zakonnica, Marian – inżynierem mechanikiem (obydwoje zamordowani w 1944 r. przez Niemców w czasie powstania warszawskiego); Witold, inżynier chemik (uczeń D. Mendelejewa), burmistrz Druskiennik od około 1927 roku, zginął w 1940 r. w Katyniu; Jan – brak danych; Stanisław – ukończył politechnikę w Rydze.
- 38 Kilka przedstawionych informacji znalazło się na podstawie danych mieszkającego w Paryżu Aleksandra Dobraczyńskiego, inne zaczerpnięte zostały z obszernego maszynopisu Andrzeja Markiewicza pt. *Wspomnienia o Czurlonisie ojca mojego Piotra Markiewicza i moich ciotek, Walerii z Markiewiczów Dobraczyńskiej i Wiktorii z Ablamowiczów Hempel* napisane celem uczczenia 50 rocznicy zgonu wielkiego kompozytora i malarza litewskiego. Warszawa 1961 (maszynopis w Muzeum im. M.K. Ciurlonisa w Kownie). Osobom zainteresowanym proponuję zapoznanie się z pracami Vytautasa Landsbergisa, w których znajdują się fragmenty wspomnień (np. V. Landsbergis: *Čiurlonio kūryba*. Leningrad 1975).
- 39 Autor posiada kserokopie dwu testamentów przodków, sporządzone około 1863 r., nieomawiane w opracowaniu. Ich treść daje w pewnym stopniu możliwość sięgnięcia do specyficznych informacji historycznych, bardzo zajmujących, ludzkich, o charakterze osobistym, wiele mówiących o testatorach.
- 40 Por. też D. Ablamowicz: *Z historii katyńskiej. Casus Ferdynanda Goetla*. Acta Archaeologica Lodziensia t. 53. Łódź 2007 s. 146–149.
- 41 L. Podhorski-Okołów: *Realia mickiewiczowskie*. Warszawa 1999.
- 42 J. Bułhak: *Kraj lat dziecińczych*. Gdynia 2003 s. 186–204.
- 43 Por. Zasztowt: *Kresy 1832–1864. Szkolnictwo na ziemiach litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej*. Warszawa 1997 s. 135; P. Daszkiewicz, R. Tarkowski: *Polacy – słuchacze wykładów mineralogii R.J. Haüy w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu w latach 1802–1821*. Przegląd Geologiczny 2006 nr 3 (54) s. 215–218.
- 44 Dane w Bibliotece Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie. Archiwum i Zbiory Rękopisów; teka: Dominik Ablamowicz.

45 J. Cisek: *Z Magdeburga do Belwederu*. Rzeczpospolita 1998 nr 264 (z 10 XI).

46 W imieniu wszystkich uczestników pragnę raz jeszcze bardzo serdecznie podziękować pani Barbarze Miszkiewicz z Muzeum w Sejnach za oprowadzenie nas po mieście, pani Małgorzacie Czyżewskiej i panu Michałowi Moniuszce z Ośrodka „Pogranicze” za umożliwienie zwiedzenia dworu w Krasnogrudzie i synagogi w Sejnach, a także panu Dariuszowi Woźniakowi – życzliwemu gospodarzowi ośrodka w Hołnach Mejera, gdzie mieszkaliśmy podczas zjazdu.

47 W trakcie wyjazdów terenowych zawsze penetrujemy zabytkowe cmentarze. Przykładowo, w przypadku Sejn i ich bliskich okolic nie wiemy, gdzie pochowano naszych antenatów (kwerenda przyniosła wynik negatywny). W podobnych poszukiwaniach nie brak wątków typu detektywistycznego. W jednej z publikacji wzmiankowane jest istnienie w krasnogrudzkim majątku (mieszkała tu m.in. Aniela z Ablamowiczów Eysymontowa) kaplicy grobowej, o której żadnych danych nie posiadają pracownicy sejneńskiego Ośrodka „Pogranicze”, zajmujący się rewitalizacją obiektu (L. Terlikowski: *Gmina Berżniki powiatu suwalskiego*. W: *Kresy w oczach oficerów KOP. Stosunki społeczno-oświatowe w 18 gminach na pograniczu Litwy, Łotwy i ZSRR w ciągu ostatnich 5 lat* (opracowali instruktorzy oświaty KOP). Red. J. Widacki. Katowice 2005 s. 45.



SALOMEA Z PIEŃCZYKOWSKICH PRZYROWSKA

Dawni sejnianie Pieńczykowscy

Wspomnienia ostatniej z rodu mieszkanki Sejn

Seinų gyventojos Salomėjos Pžirovskos (Salomea Przyrowska) – paskutiniuosius iš Penčikovskių (Pieńczykowski) giminės surašyti atsiminimai. Jie rašyti 1970 metais, kai autorei buvo jau 83, bet savo atmintimi nesiskundė ir jos viso gyvenimo vaizdai buvo labai ryškūs. Jos tėvas – Tomáš Pieńczykowski buvo ūkininku, bet buvo baigęs Suvalkų gimnaziją ir dirbo Ščebroje (prie Augustavo) miškų priežiūros tarnyboje. Kai jam buvo pasiūlyta keltis į Rusijos gilumą, jis atsisakė ir taip prarado darbą. Šeimai buvo tai sunkus laikotarpis, teko kelis į Seinus į seneliams priklausantį namelį. Taip dėl tėvo darbo prirėkė kelis kartus kraustyti. Autorė mokėsi privačiai, didelį poveikį paliko mokslas privačioje Paulinos Hevelke pensijoje Varšuvoje. Audringi buvo 1905 revoliucijos metai ir po jų dar stipresni suvaržymai. 1911 metais ištekėjo. Dėl vyro patriotinio nusistatymo gyventi imperijoje prieš I pasaulinį karą nebuvo lengva. Turiningi prisiminimai iš I pasaulinio karo ir gyvenimo jau nepriklausomoje Lenkijoje kariui pasibaigus. Vyras dirbo švietimo inspektoriumi Augustave, vėliau Suvalkuose. Labai gyvi išliko prisiminimai iš II pasaulinio karo, ypač iš karo pradžios ir po 1939 metų rugsėjo 17 d. bolševikų Lenkijos rytinių žemių okupacijos. Po II pasaulinio karo vėl teko apsistoti Seinuose ir imtis mokytojos darbo.



luzji isczezajut, fakty ostajutsia”. Taką sentencję wpisał mi do pamiętnika profesor Dubrowskij, wykładowca języka rosyjskiego na pensji Pauliny Hawelke w Warszawie. Poświęcę mu kilka słów. Z pochodzenia Gruzin, człowiek o wyższym wykształceniu, wielki kosmopolita, przyjaciel Świętochowskiego, należał do tych, którzy za panowania carskiego nie mogli wykładać na uniwersytetach i jako nielojalny uczył języka rosyjskiego na pensjach. Nieraz mówił nam: „Ja prichożu k wam s połnym багажом знанія¹”. Zachęcał nas do czytania literatury zachodnioeuropejskiej, polecał poetów i prozaików,

takich jak Herder, Goethe, Wieland i inni. Pisałyśmy wypracowania z Katona Mędrca²; wybierał najlepsze do dyskusji. Uczył nas też logiki.

Głęboko utkwily mi w pamięci owe fakty i na nich zamierzam oprzeć dzieje mego życia, pisząc szczerą prawdę, pozbawioną wszelkich złudzeń i fantazji.

Gdy przystępuję do pisania w 1970 roku, kończę 83 lata, ale pamięć mnie nie zawodzi, całą moją przeszłość mam jak żywą przed oczami. Zatem zaczynam od dzieciństwa.

Pamiętam noc spędzoną obok starszej osoby na kanapie. Widocznie było strasznie twardo i zimno, jeżeli ta okoliczność tak głęboko utkwiała w mojej pamięci. Z opowiadania mojej matki dowiedziałam się, że tą starszą osobą była moja ciotka Salomea, siostra najstarsza mego ojca, który w dowód czci i miłości dla niej dał mi również to imię. Była to ostatnia noc przed wyprowadzeniem się rodziców z zajmowanego domu, kiedy mieszkanie zostało już opróżnione ze wszystkich mebli i pozostały jakieś nieużyteczne graty. Ojciec mój Tomasz Pieńczykowski był rolnikiem. Ukończył gimnazjum w Suwałkach i po dziesięcioletniej praktyce w kazionnej pałacie³, też w Suwałkach, otrzymał posadę w Szczebrze koło Augustowa. Zarządzał tam strażą leśną w przylegającej do Kanału Augustowskiego części Puszczy Augustowskiej. Działo się to w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Dobrze nie pamiętam dat, ale w siódmym roku pracy ojca w Szczebrze wyszedł carski ukaz nakazujący, żeby wszystkich wykształconych i zdolnych leśników Polaków przenieść do Rosji, a ich miejsca obsadzić Rosjanami z głębi tego kraju. Ojciec dostał skierowanie do guberni wołogdzkiej. Oczywiście, podziękował za ten zaszczyt i pozostał w kraju jako spadły z etatu, bez posady i środków utrzymania, z trojgiem już małych dzieci: Salomeą, Robertem i Marią. Całe szczęście, że młodziutka jego żona, z domu Maria Kazłowska, otrzymała nieduży posag, gdyż dziadek mój ze strony matki Józef Kazłowski posiadał nieduży mająteczek Przeczki w powiecie ostrołęckim. Majątek był niewielki, ale dobrze zagospodarowany. Rodzice mego ojca mieszkali w Sejnach. Podam więc o nich bliższe szczegóły.

Otóż mój dziadek ze strony ojca Marcin Pieńczykowski pochodził podobno z Poznania, z dzielnicy Łazarza, a babcia z domu Lutostawska z okolic Sejn. Była ona, jak moja matka, też córką właściciela niedużego mająteczku, którego nazwy nie pamiętam. Po ożenieniu się z nią dziadek nabył posesję w Sejnach. Było to wtedy miasto powiatowe. Dziadek, z zawodu prawnik, pracował jako sędzia pokoju. Za carskich czasów, oprócz urzędów powiatowych, było tam biskupstwo i seminarium duchowne. Biskupem był hrabia Konstanty Ireneusz Łubieński; o, mam nawet jego fotografię, gdyż przyjaźnił się z moim dziadkiem. Został zesłany na Syberię, podobno zmarł

w drodze. Niezależnie od pracy w sądzie dziadek prowadził przy konsystorze sejneńskim sprawy rozwodowe.

Posesja moich dziadków, pięknie położona nad rzeką Marychą i blisko lasu, Borku Sejneńskiego, miała duży ogród owocowy.

Gdy przyjechaliśmy ze Szczebry do Sejn, rodzice mego ojca już nie żyli. Zamieszkaliśmy razem z siostrami ojca: Salomeą, Weroniką, Marią i Anielą. W Sejnach wkrótce przybył mi drugi brat: Józef. Było nas zatem już czworo, a wszystko drobiazg, bo jakoś rodziły się te dzieci jedno po drugim. Posag mojej matki szybko topniał. Na szczęście, po roku pozostawania bez pracy ojciec jako wykwalifikowany leśnik dostał posadę w ordynacji hrabiego Zamojskiego, której zarząd majątków i nadleśnictw mieścił się w Zwierzyńcu. Niedaleko stąd podjął pierwszą pracę w straży w Wólce, a wkrótce przeniesiono go na bardzo intratne stanowisko leśniczego do Huszczki w powiecie zamojskim i tam przebywał najdłużej. Najwięcej i najmielszych wspomnień wyniosłam właśnie z tej miejscowości. Przybyło tam do naszej gromadki jeszcze troje dzieci, ale niestety, we wczesnym dzieciństwie zmarła dziewczynka Jadzia, a zaraz po urodzeniu się bliźniąt – chłopczyk Adaś. Z bliźniaczej pary pozostała najmłodsza siostrzyczka Ewunia.

W Huszczce zaczęła się edukacja dzieci, najpierw moja i brata Roberta. Na miejscu, na wsi, uczyła nas nauczycielka Polka. Była nią kochana panna Matylda Kawecka z Zamościa, która ukończyła tu progimnazjum. Nauczyła nas czytać i pisać po polsku oraz religii. Przygotowała do pierwszej spowiedzi i komunii. Była to młodziutka, bardzo dobra i ładna panienska. Niestety, opuściła nas, bo wyszła za męża. Ponieważ trzeba było myśleć o dalszej edukacji, czyli o gimnazjum, a to było rosyjskie, dostaliśmy z kolei nauczycielkę Rosjankę. Nazywaliśmy ją Nadieżda Iwanowna, nazwiska nie pamiętam. Była też miła, ale wymagająca. Nauka odbywała się teraz w języku rosyjskim, lecz przygotowani przez nią szczęśliwie zdaliśmy, ja do pierwszej, a Robert do wstępnej klasy progimnazjum w Zamościu, które mieściło się w dawnej Akademii Zamojskiej. Mnie rodzice umieścili u pani Krackiewiczowej, bardzo bogobojnej staruszki, prowadzącej stancję dla pięciu dziewczynek. Brat dostał się do pani Racewiczowej, wdowy po doktorze, osoby wykształconej i kochającej młodzież. Nie chciała mieszkać u córki i zięcia w dużym majątku Hyże koło Zamościa i założyła stancję dla chłopców. Trzymała ich krótko, uczyła dobrego zachowania się i dobrych obyczajów. Pedle⁴ odwiedzali tę stancję dość często, ale jakoś było wszystko w porządku.

Jak dziś pamiętam moje pierwsze po egzaminie pójście do szkoły. Poszłam sama i zabłądziłam, bo zamiast wejść do gimnazjum żeńskiego, które było po prawej stronie od głównego wejścia, trafiłam do męskiego. Można

sobie wyobrazić, jaki powstał krzyk: „Koza k nam przisła!”. Chłopcy zaczęli mnie ciągnąć za warkocze, a ja z płaczem przytuliłam się w kącie. Cały ten dramat zażegnał zawiedujuszczij Iwan Pietrow, który wziął mnie za rączkę i zaprowadził do przełożonej Marii Fiodorowny. Ta utuliła mnie w płaczu i posadziła w pierwszej klasie na pierwszej ławce. Z gimnazjalnych wychowawców najmocniej utkwili mi w pamięci: dama klasowa Anna Mawrykiwna, oczywiście przełożona Maria Fiodorowna Kaczanowskaja, nauczycielka języka francuskiego Natalia Iwanowna Gulanickaja. Najbardziej dał mi się we znaki nauczyciel matematyki (nie pamiętam jego imienia i otczestwa) Mońko. Geografii uczył Lebiediew, a rysunków i kaligrafii Iwan Pietrow. Z gimnazjum męskiego staje mi przed oczyma nauczyciel Epifanow, który zawsze żegnał się, wchodząc i wychodząc z gimnazjum, a także przed cerkwią i kościołem. Języka rosyjskiego uczył w męskim niejaki Pinkiewicz. Lubił on chodzić na spacer nad rzeczkę Topornicę. W pieniek, na którym zwykł przesiadywać, uczniowie regularnie wbijali szpileczki. Religii (w klasie było kilka katoliczek Polek) uczył nas ksiądz Delikat, proboszcz z kolonii Sitaniec, oddalonej cztery kilometry od kościoła. Uczył Starego i Nowego Testamentu, naturalnie po rosyjsku.

Zatrzymam się trochę przy koloniach w Sitańcu i w Huszczce, które zasiedlali Niemcy. Dokładnie nie wiem, skąd byli sprowadzeni przez jednego z zamojskich ordynatów, żeby służyć za przykład dla polskich chłopów, którzy mieli się od nich uczyć porządku, cywilizacji i kultury. Rzeczywiście, Niemcy wyróżniali się z okolicznych chłopów ładem i czystością, świetnie gospodarzyli, więc dobrze im się powodziło. Mogli kształcić swoje dzieci i w Kraju Priwisłanskim, i w Moskwie, i w Petersburgu. Znałam kilku pochodzących z tych niemieckich kolonii studentów, zapalonych socjalistów. Z czasem koloniści zupełnie się spolszczyli. Pokazała to ostatnia wojna. Wielu z nich zginęło w niemieckich obozach koncentracyjnych. Pamiętam nazwiska niektórych naszych sąsiadów z Huszczki: Grün, Pec, Szprynger, Tyndorf.

A teraz czas na dalszą moją edukację. Otóż żeby się nie zruszczyła i poznała język polski i francuski, rodzice oddali mnie na pensję Pauliny Hewelke, mieszczącą się przy ulicy Marszałkowskiej 122 w Warszawie. Pani Hewelke była protestantką, ale uczyło się u niej wiele Polek katoliczek. Pamiętam koleżanki Polki z Krymu: panny Piechowskie. Religii uczył nas ksiądz Szkopowski, ten sam, który był katechetą Melchiora Wańkowicza. Wykładali przeważnie profesorowie. Literatury polskiej uczył profesor Chrzanowski, geografii – Jezierski, przyrody – Czerwiński, matematyki – Time, fizyki – Sporyński, języka rosyjskiego – wspomniany już Dąbrowskij. Tylko historię Rosji wykładał niedokończony jeszcze student, którego nazwiska nie pamiętam. Języka francuskiego uczył monsieur Canas, a niemieckiego

Frau Fiedler. Ja byłam stałą pensjonarką. Do konwersacji miałyśmy w internacie Niemkę i Francuzkę. Lekcji tańca udzielał nam baletnik z Teatru Wielkiego, specjalista od mazura, pan Głowacki. Muzyki uczyli pianiści z konserwatorium. Brałam lekcje gry na fortepianie i należałam do chóru szkolnego, podobno byłam uzdolniona muzycznie i żałuję, że nie kształciłam się w tym kierunku.

Muszę nadmienić, że lekcje historii i geografii Polski były nielegalne i pilnie przestrzegano, aby odbywały się już po oficjalnie ostatniej, szóstej godzinie lekcyjnej.

W czwartki odbywały się w salonie przełożonej wieczory muzyczno-wokalne dla starszych klas, na których pensjonarki popisywały się muzyką, śpiewem, deklamacją, nabierały obycia i uczyły się dobrych manier towarzyskich.

Nosiłyśmy granatowe mundurki i czarne fartuszki. Nasza wychowawczyni, pani Jadwiga Wysocka, i przyrodnik pan Czerwiński prowadzali nas na Saską Kępę. Byłyśmy wtedy wyposażane w botanizerki do zbierania różnych ziół i motyli. Jedna z pensjonarek ułożyła taki wierszyk:

Co czwartek w południe,
czy maje, czy grudnie,
baby wiodą sprzeczkę,
gdzie zrobić wycieczkę?
Saska Kępa dogodna
czy deszcz, czy pora pogodna.
Pensjonarki w rząd kroczą,
idą szparko, ochoczo.
Przy bokach botanizerki,
a w nich po dwie kajzerki.
Nauczyciel idzie z boku,
nie zapomina o perskim oku.
Zacna dama tym wzruszona
jak piwonia jest czerwona.

Można się domyślić – pan Czerwiński podkochał się w naszej wychowawczyni, którą kochałyśmy i nazywałyśmy mamą Ichą. Z panem Czerwińskim odbyłyśmy też wycieczkę do Częstochowy i Olkusza. W programie przyrodniczym zwiedziłyśmy groty stalaktytowe i zebrałyśmy wiele skamieniałości: amonitów, belemnitów, trylobitów i innych.

Miłe to były i nigdy niezapomniane czasy! Pensję skończyłam jeszcze przed strajkiem szkolnym i wydarzeniami rewolucyjnymi 1905 roku. Rok ten

dobrze pamiętam. Był to czas wielkich przeżyć. W dniu, w którym miała być ogłoszona przez cara Mikołaja II konstytucja, ojciec polecił mnie i młodszej siostrze Marii ubrać się w konfederatki: ja miałam czerwoną z białym piórkiem, a Maniulka niebieską, też z białym piórkiem. Pojechaliśmy z ojcem do naszego kościoła parafialnego w Skierbieszowie (powiat zamojski). Zebrało się dużo ludzi, zjechało wielu ziemian z rodzinami. Ojciec klęczał przed wielkim ołtarzem. Pierwszy raz w życiu widziałam wtedy w jego oczach łzy. Cały kościół gruchnął wielkim głosem: „Boże, coś Polskę...”. Cóż to był za entuzjazm! Wszyscy płakali, a po mszy posypały się przed kościołem przemówienia. Jedna z pensjonarek z pensji hrabiny Plater, Witalisa Torówna, wygłosiła płomienną mowę i zakończyła ją okrzykiem: „Skończyło się popskie panowanie!”. Niestety, roznieśli tę konstytucję na bagnietach. „Car ispugałsia, izdał manifest: miortwym swabodu, żywych pod ariest⁵”. Zaczęły się jeszcze większe prześladowania, trwające aż do pierwszej wojny światowej.

Powracam do moich losów. Otóż po skończeniu pensji znalazłam się znowu w domu rodziców. Było wiele projektów: praktyka w aptecę, konserwatorium muzyczne, ale rodziców nie stać było na finansowanie moich dalszych studiów. Miałam propozycję, aby zostać wychowawczynią w domach ziemiańskich. Na to nie zgodził się ojciec. Powiedział: „Za nic na guwernantkę!”. Odbyłam zatem w jednej ze szkół carskich praktykę nauczycielską i złożyłam wobec rosyjskich władz szkolnych egzamin na prawo do nauczania. Wróciłam do rodziców, do Huszczki, i zabrałam się do nielegalnego nauczania języka polskiego właśnie w tej wsi. Z początku uczyłam miejscowe dzieci w domu, w swoim pokoju. Raz omal nie doszło do wpadki. Do wsi zjechali żandarmi. Na szczęście nie było mnie w domu, bo wyjechałam do Warszawy, a matka, korzystając z tego, zleciła w moim pokoju porządkę. Skończyło się na rewizji biurka mego ojca. Żandarmi niczego nie znaleźli, oprócz rewolweru, ale wtedy można było mieć broń, bo grasowały różne bandy. Pod działalność polityczną podszywali się rabusie i złodzieje, którzy napadali nie tylko na państwowe urzędy i ziemiańskie dwory. W tym okresie założyłam tajną biblioteczkę dla młodzieży i kontynuowałam tajną naukę, ale teraz już chodziłam po wiejskich domach.

Po ogłoszeniu w 1905 roku tolerancji religijnej, strasznie dotąd prześladowani unicy, a najbardziej na Chełmszczyźnie, gremialnie przeszli na katolicyzm. Byli wśród nich i szpiedzy. Właśnie jeden z miejscowych unitów, który nadal kontaktował się z rezydującym w Skierbieszowie popem Bieleckim, złożył na mnie donos. Żandarmi schwytali mnie na lekcji w jednym z domów Huszczki. Zapisali nazwisko i imię i nakazali, żebym zaprowadziła ich do moich rodziców. Do domu weszliśmy od frontu, tak że nikt z domow-

ników nas nie widział. Wprowadziłam żandarmów do ojcowskiej kancelarii. Dowiedziawszy się w czym rzecz, ojciec kazał mi wyjść i poprosić matkę do okienka, które łączyło kancelarię z kuchnią. Wkrótce w okienku pojawiła się taca z wódką i zakąskami. Ojciec, człowiek bardzo opanowany, świetnie przy tym mówiący po rosyjsku, tym przyjęciem i naturalnie, dobrą łapówką zażegnał sprawę, a żandarmi, jak cicho weszli do domu, tak cicho wyszli. Wtedy ojciec zawołał mnie i powiedział, co groziło całej naszej rodzinie. Musiałam zaprzestać nauczania. Nie zaprzestałam jednak współpracy z gajowym Podolaczkiem, który po odzyskaniu niepodległości został odznaczony Krzyżem Polonia Restituta. W stertach zboża przechowywaliśmy dostarczane mu nielegalne czasopisma, między innymi „Polaka” i „Polaka katolika”. Egzemplarze tych pism rozrzucałam po drogach, jeżdżąc konno.

Raz spotkała mnie przygoda. Pewnej niedzieli wybrałam się sama konno na probostwo do oddalonego od Huszczki o cztery do pięciu kilometrów Skierbieszowa, żeby odwiedzić siostrzenicę księdza Łabęckiego, Witalisę Michalewską, koleżankę, ale z innej pensji. Kiedy byłam już za wsią, na odkrytej przestrzeni za lasem zobaczyłam oddział kozaków. Ze strachu włosy stanęły mi dęba. Z miejsca zawróciłam i zaczęłam zjeżdżać z góry. Kaszanka była dobrze ściśnięta popręgami, więc udało mi się pewnie utrzymać w moim damskim siodle. Kozacy widocznie mnie nie spostrzegli. Dogonili mnie, ale już we wsi. Krzyknęli tylko: „Barysznia!⁶”, zamachali nahajkami i popędzili w stronę Zamościa. Po 1905 roku często byli wysyłani do gmin, żeby zapewnić bezpieczny przejazd urzędników, przewóz pieniędzy, a przede wszystkim wzbudzić postrach. Szczególnie niebezpieczeństwo groziło z ich strony młodym kobietom. Po tej przygodzie bałam się już jeździć sama.

W roku 1909 zostałam skierowana przez Polską Macierz Szkolną do Warszawy na letni kurs działaczy tej organizacji. Miejscem naszego zakwaterowania był „Bristol” na Krakowskim Przedmieściu, mieszkało nas tam pięć panien pod opieką pani Jentysowej, żony dyrektora hotelu. Na kurs przybyli wykładowcy z Krakowa, w tym: Romer (?), Ignacy Chrzanowski, Mańkowski (?). Na kursie poznałam seminarzystę Franciszka Przyrowskiego, który podczas strajku szkolnego rozbił seminarium nauczycielskie na Solcu i został za to wypędzony z tej szkoły z wilczym biletem. Potem dostał się do pierwszego prywatnego seminarium, założonego w Warszawie przez jednego z głównych twórców Macierzy Szkolnej, Aleksandra Zawadzkiego „Prokopa”. Kolega Przyrowski został świeżo wypuszczony z warszawskiej cytadeli, do której wtrącono go jako podejrzanego o nielegalną działalność niepodległościową. Po dwóch tygodniach więzienia wyciągnęli

go stamtąd hrabia Maurycy Zamoyski i ksiądz Jan Gralewski. Był bardzo zdolny, koledzy nazywali go poetą, bo pisał patriotyczne utwory, a na zebraniach nieraz przemawiał wierszem; zaimponował mi jako jeden z najzdolniejszych seminarzystów i działacz niepodległościowy. Los tak zrządził, żeśmy się wkrótce pobrali. Nasz ślub odbył się w Skierbieszowie, naszej parafii, w styczniu 1911 roku.

Franciszek Przyrowski otrzymał posadę nauczyciela w Zwierzyńcu, w szkole założonej tam dla dzieci urzędników ordynacji Zamoyskich. W Zwierzyńcu mieścił się cały zarząd ordynacji, do której samych majątków rolnych należało przeszło trzysta, nadleśnictw około dwudziestu, prócz tego była fabryka giętych mebli, cukrownia w pobliskim Klemensowie, wiele innych obiektów przemysłowych. Plenipotentem całości był wtedy Karol Czarnowski, naczelnikiem lasów Władysław Prüffer.

Po ślubie dostaliśmy w Zwierzyńcu bardzo ładne mieszkanie i życie zaczęło płynąć szczęśliwie. Nagle grom z jasnego nieba. Mąż mój, który przed ożenkiem był wypisany z wojska na tzw. biały bilet, musiał ponownie stanąć przed komisją poborową, ponieważ w Lublinie wytoczono miejscowemu lekarzowi, doktorowi Swinarskiemu, sprawę o nieuzasadnione zwolnienie wielu Polaków. Tym razem komisja zakwalifikowała męża do służby w piechocie. Byliśmy zrozpaczeni. Został skierowany w głąb Rosji, do Woroneża. Po przejściu szkolenia rekruckiego jako inteligent został skierowany do pułkowej kancelarii, później przeniesiono go do wojskowej kancelarii w Helsinkach. Mąż był zachwycony Finlandią. Prawie co dzień przysyłał mi piękne karty i widoki z tego kraju. Jakiś czas zastępowałam go w szkole, uczyłam języka polskiego i francuskiego, ale niedługo, gdyż po roku urodziłam synka Bohdanka, nie mogłam więc pracować i musiałam wyjechać do rodziców.

Franio bardzo tęsknił za rodziną i wszelkimi sposobami chciał się zwolnić z tego wojska. Razem z mężem służył pewien aptekarz z Zamościa, który podsunął mu środki wywołujące objawy ciężkiej choroby. Po zgłoszeniu się do lekarza mąż został skierowany na komisję, w której skład wchodził również lekarz Polak. Ten wysunął podejrzenie o symulację. Pozostali członkowie komisji, Rosjanie, ujrawszy męża, nie chcieli go nawet badać, a do owego kolegi zwrócili się ze słowami: „Mnogo u was takich bolnych? On siejczas umirajet”.

I tak Franio został zwolniony przedterminowo. Później opowiadał, że zaraz po tej komisji poszedł z aptekarzem wybawcą na wódkę, a po pijatyce wszystkie objawy chorobowe z miejsca ustąpiły. Zrzuciwszy z siebie te kacapskie łachy, mógł więc powrócić do Zwierzyńca. Po powrocie wiele opowiadał o Finlandii, a również wspominał niektóre epizody ze służby

w carskiej armii. W tym czasie w Polsce żywą działalność rozwijało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Sokola gimnastyka została wprowadzona także do szkoły w Zwierzyńcu. Mąż był w tej pięknej gimnastyce doskonale wyćwiczony. Opowiadał, że kiedy w wojsku ćwiczył przed rosyjskimi żołnierzami, to ci nie mogli wyjść z podziwu wyrażanego słowami: „Ach, sukinsyn gimnastik”. Było to z ich strony najwyższe uznanie.

Tuż przed pierwszej wojną światową, podczas wakacji, mąż wyjechał z rosyjską wycieczką do Włoch. Zwiedził południe tego kraju, był w Neapolu i na Capri. W Rzymie uczestniczył w papieskiej audiencji i widział Leona XIII. W tym czasie ja, ojciec i moja młodsza siostra Ewa, pojechaliśmy do Krakowa, żeby odwiedzić brata Józefa, który tam studiował medycynę. Przybyliśmy w wigilię świętego Jana. Trafiliśmy na święto wianków obchodzone nad Wisłą. Przy ich puszczeniu na wodę grała orkiestra, a potem uformował się pochód, w którym śpiewano patriotyczne piosenki; płakałyśmy z siostrą ze wzruszenia, gdyż w priwislanskim gosudarstwie tego rodzaju manifestacje były nie do pomyslenia. W Krakowie bawiliśmy kilka dni. Po mieście oprowadzał nas brat. Pewnego dnia, gdy wychodziliśmy rano z hotelu, zobaczyliśmy na domach żałobne flagi opuszczone do pół masztu. Okazało się, że w Sarajewie został zabity przejeżdżający wraz z małżonką przez to miasto austriacki następca tronu Ferdynand. Od razu gruchnęła wieść o wojnie. Wracaliśmy więc pośpiesznie do domu. Na granicy austriacko-rosyjskiej w Bełzcu nikt nas nie rewidował. Wystraszona straż graniczna prosiła tylko o gazety.

Wkrótce w Rosji ogłoszono mobilizację. Podlegał jej również mój mąż. Powrócił z Włoch, gdy komisja mobilizacyjna w Zamościu zakończyła już działalność, i został skierowany do Białegostoku. Mąż miał astygmatyzm. Przed wyjazdem na komisję dobrał u optyka takie okulary, które czyniłyby go niezdolnym do służby frontowej. Udało się. Komisja w Białymstoku nie powołała go do armii ze względu na wadę wzroku.

Wypadki biegły szybko jedno po drugim. Rosja wypowiedziała wojnę Austrii. W Krakowie powstały Legiony Polskie. W tym czasie ojciec został nadleśniczym w Lipie, w powiecie janowskim, blisko austriackiej granicy. Pojechał tam też mój mąż z myślą o przedostaniu się do legionów. Granica była jednak już tak obsadzona wojskiem, że okazało się to niemożliwe. Kiedy mąż usiłował się tam przedrzeć, ja likwidowałam nasz dom w Zwierzyńcu. Po opuszczeniu mieszkania i wysłaniu rzeczy do rodziców do Lipy zatrzymałam się u naszych przyjaciół: państwa Bojarskich. W Zwierzyńcu, u swojej córki pani Potockiej, żony naczelnika lasów ordynacji Zamoyskich, leżał postrzelony w czasie jednej z toczonych w tych okolicach potyczek pan Miller, były nadleśniczy ze Starego Zamościa. W odwiedziny do ojca

przyjechał jego syn Janusz, który po skończeniu chemii założył smolarnię w Lipie. Wybrałam się więc do niego, żeby dowiedzieć się o mężu i rodzicach. I wtedy przeżyłam drugie spotkanie z kozakami. Wracalam od Potoczek do Bojarskich już o zmroku. Zdziwiły mnie opustoszałe ulice miasteczka i panująca cisza. Naraz, przechodząc koło parku, zauważyłam ukryty podjazd kozacki. Ogarnęło mnie przerażenie, ale opanowałam się i szłam spokojnie, odmawiając „Pod Twoją obronę”. W gałęziach drzew sterczały kozackie lance, od czasu do czasu parsknął koń, gdzieniegdzie błysnęło kozackie oko. Nikt mnie nie zaczepił i szczęśliwie dotarłam na miejsce.

Noc przeszła spokojnie, nazajutrz wstaliśmy trochę później. Dzień był pogodny, słoneczny, w ogródku pachniały nasturcje. Naraz w niewielkiej odległości zobaczyłam jakieś wojsko. Był to podjazd austriacki.

Młodzi żołnierze mieli na głowach piękne czapki. Domniemywałam, że mogą być wśród nich i Polacy z Galicji. Zebrałam więc bukiet nasturcji i rzuciłam w stronę wojska. Widocznie zauważono mnie, bo niektórzy ułani zasalutowali.

Ze Zwierzyńca do Lipy pojechałam z młodym panem Millerem; najstarszy mój synek Bohdanek nie żył, zaś drugi: Wojsław był już w Lipie u moich rodziców. Nadleśnictwo mieściło się w obszernym domu, położonym w pięknym ogrodzie. Dalej rozciągały się lasy, stawy i łąki.

Wojna toczyła się na dobre. Nad Sanem dochodziło do licznych potyczek. Połowę naszego mieszkania zajął sztab rosyjski. Dorodni oficerowie byli wspaniale wyekwipowani. Cechowała ich grzeczność i uprzejmość; obdarowywali nas czekoladkami i innymi słodyczami. Pewnej nocy usłyszeliśmy dobiegający od lasu śpiew. Zaspani oficerowie zerwali się z łóżek, rozległy się wołania: „Gdzie moja szapka?”, „Gdzie moja szapka?”. Okazało się, że śpiewali kozacy, którzy piekli w ogniskach złapane w okolicznych wsiach kury. Zapamiętałam niektóre melodie tych kozackich pieśni. Były smutne, liryczne. Jedna z nich zaczynała się słowami: „Piszet, piszet car tureckij, piszet ruskomu caru...”.

Wkrótce Rosjanie wycofali się z Lipy. Oficerowie mówili: „Idiom w Karpaty”. Miejsce Rosjan zajęli w nadleśnictwie Austriacy. Było wśród nich wielu Węgrów i Czechów. W tym czasie zapanowała dyzenteria. Zachorował na nią mój synek Wojuś. Leczyli go austriaccy lekarze wojskowi, a życie uratował mu jeden z nich, zaleciwszy pojenie zupełnie już wyczerpanego dziecka małymi dawkami mleka z wodą wapienną, którą żołnierze przynosili z apteki w Radomyślu. Chłopiec od razu odżył, zaczął się poprawiać i niebawem wyzdrowiał.

Walki nad Sanem przybrały na sile. Lipa przechodziła z rąk do rąk. Zajmowali ją na przemian to Rosjanie, to Austriacy. Mąż ostatecznie

zrezygnował z prób przedostania się do legionów i postanowiliśmy wrócić do Zwierzyńca. Wkrótce musieliśmy stamtąd uciekać, gdyż zbliżał się front. Zamieszkaliśmy w Michulawce, w szkole, w której uczył kolega męża, pan Ciesielski z żoną. Szkoła była nieczynna. Razem z nami mieszkało jeszcze kilka rodzin. Do działań wojennych na Zamojszczyźnie włączyły się wojska niemieckie. W naszej szkole ulokował się sztab niemiecki jakiejś szturmówki, której oficerowie nosili na czapkach trupie główki. Przebywało w tej szkole chyba ze sześć młodych kobiet. Oficerowie łakomie na nie patrzyli, ale zachowywali się przyzwoicie. Budynek był piętrowy i nieraz spotykałyśmy się z oficerami na schodach, jednak żaden z nich nas nie zaczepiał. To niemieckie wojsko było bardzo zbiedzone i przyniosło z sobą cholera. Zachorowała na tę chorobę pomocnica państwa Ciesielskich, potem jej siostra. Obie zmarły mimo usilnych starań o ich odratowanie. Wtedy powstała panika. Zaczęto uciekać z opanowanej zarazą wsi. My też spakowaliśmy swoje manatki i wypożyczonym z dworu tarantasem ponownie wróciliśmy do Zwierzyńca. W tej miejscowości również było kilka wypadków cholery, ale wkrótce zaczęto stosować szczepienia ochronne i epidemia minęła. Jednym ze sposobów zapobieżenia zarażeniu miało być palenie papierosów. I ja zaczęłam je palić dla dezynfekcji.

W Zwierzyńcu szkoła też była nieczynna. Wszystkie młode niewiasty pełniły funkcje sióstr Czerwonego Krzyża. Mnie przydzielono do oddziału chirurgicznego. Zemdlalam, kiedy asystowałam przy opatunku po amputacji nogi jednego z żołnierzy. Przeniesiono mnie więc do łóżek chorych i rekonwalescentów.

Nadszedł rok 1918, wojna była na schyłku, mężowi powierzono zorganizowanie szkoły w Szczepieszynie. W miejscowych koszarach stały oddziały austriackie. Było wśród nich wielu Polaków ze Lwowa, między innymi świetny skrzypek Wiktor Czadek, pianista Egon Petri, artysta dramatyczny Jan Walek-Walewski. Ponieważ miałam w domu fortepian koncertowy, na którym sama nieźle grałam, przychodzili do nas ci żołnierze artyści i dawali piękne koncerty. Gromadziły one wiele osób, a Żydzi wprost oblegali nasz dom. Było wtedy bardzo wesoło. Mam do dzisiaj walc: „Ach, jawa li, czy to sen, żem stracił na zawsze cię”. Nuty walczyka podarował mi Petri, nie tylko pianista, lecz i świetny komik. Znał mnóstwo kawałów, opowiadał humoreski, między innymi *O stworzeniu świata* Kornela Makuszyńskiego. Popisowym jego numerem była *Alpuhara* Mickiewicza, deklamowana przez dekadenta, pensjonarkę i jąkałę. Bawiliśmy się świetnie, sławiąc Lwów i przemiłych Polaków, jego mieszkańców.

Wreszcie nastał listopad 1918 roku. W Szczepieszynie doszło do rozbrajania Austriaków, w którym czynnie uczestniczył mój mąż. Austriacki gar-

nizon szybko opuścił miasto. Zamojszczyzna została wyzwolona, powstała Rzeczpospolita Polska.

Franciszek, będąc kierownikiem zorganizowanej przez siebie pierwszej polskiej siedmioklasowej szkoły powszechnej w Szczebreszynie, przystąpił do tworzenia szkół w okolicy. Jako działacz oświatowy został powołany na poświęcony organizacji szkolnictwa w wolnej Polsce zjazd nauczycielski w Radomiu i był jego sekretarzem. Przywiózł z niego dużą fotografię wszystkich uczestników, wśród których znajdował się pierwszy polski minister oświaty Ksawery Prauss. Wkrótce po tym odwiedziła nas żona ministra, pani Zofia Praussowa, znana działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej, zamordowana w 1943 przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przyjechała, żeby zobaczyć zorganizowany przez męża w Szczebreszynie kurs nauczycielski, na który sprowadził wybitnych wykładowców. Między innymi wykladał były legionista, późniejszy nauczyciel przyrody w gimnazjum w Zamościu Stefan Miller. Ten świetny przyrodnik kształcił się w Szwajcarii, był zagorzałym alpinistą, zdobywcą szczytów Mont Blanc i Jungfrau.

Oprócz szkoły powszechnej mąż utworzył w Szczebreszynie czteroklasowe progimnazjum imienia Karola Czarnowskiego, byłego plenipotentą ordynacji Zamojskich. Ponieważ zaraz po wojnie brakowało wykwalifikowanych pedagogów, więc jako dyrektor progimnazjum angażował ludzi o różnym przygotowaniu. Na przykład matematyki uczył kuzyn męża Jan Grzywacz, nieskończony ósmoklasista gimnazjum w Radomiu. Uczyli również w szkole pewien inżynier mechanik i pewien chemik. Franciszek wykladał język polski. Ja uczyłam francuskiego i śpiewu. Pamiętam, jak pierwszy raz mój chór zaintonował: „Hej, strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały...”. Powstał ogólny płacz i śpiew ugrzązł w krtaniach. Szkoła, wobec niskich opłat i braku wsparcia finansowego ze strony zamożniejszego społeczeństwa, nie mogła się długo utrzymać. W końcu, żeby opłacić nauczycieli, mąż sprzedał mój koncertowy fortepian i ze Szczebreszyna przenieśliśmy się w Poznańskie.

Najpierw on dostał posadę nauczyciela w Czempinie. Pracował tam tylko pół roku i został przeniesiony do męskiego Seminarium Nauczycielskiego w Rogoźnie, gdzie uczył języka polskiego. W tym czasie do Poznańskiego przybyło wielu nauczycieli z Kongresówki i Galicji. Poznaniacy nazywali nas dziadami z Kongresowy. Rzeczywiście, przybyliśmy zbiedzeni, trzeba było na nowo urządzać się, zagospodarowywać, meblować, a oni mieli dobrze wyposażone mieszkania, eleganckie zastawy stołowe. Ich niewiasty, kobiety szparowne, dbały o zapełnianie spiżarni wekami z różnego rodzaju konserwami. Z początku nie mogłam przyzwyczaić się do ich sposobu bycia, wszystko było tak jakoś „ocht”. Ale poznawszy Poznaniaków bliżej,

zżyliśmy się z nimi. Stosunki Frania z kolegami ułożyły się po przyjacielsku, serdecznie.

Był bardzo czynny w środowisku nauczycielskim: przewodniczył na zebraniach, konferencjach, energicznie walczył z karami cielesnymi, które w poznańskich szkołach jeszcze powszechnie się stosowało. Napisał na ten temat referat, który stał się podstawą do dyskusji na zebraniu nauczycielskim w Poznaniu. Mimo ostrych sporów i sprzeciwów ostatecznie zostały w wielkopolskich szkołach zniesione.

W 1919 męża delegowano na wielkopolsko-pomorską konferencję nauczycielską w Wejherowie. Wśród delegatów z Pomorza znalazł się tam ksiądz Jan Filipiak, dyrektor seminarium w Bydgoszczy. Wspaniały był to człowiek i obaj serdecznie się zaprzyjaźnili. Konferencja trwała sześć tygodni, a na dwa przed jej zakończeniem i ja pojechałam do Wejherowa. Dzięki księdzu Filipiakowi, który miał wielu znajomych w miejscowym społeczeństwie i znał doskonale Gdańsk, mieliśmy okazję zwiedzenia Wybrzeża. Oprowadzani przez niego obejrzelśmy historyczny gdański ratusz, wszystkie osobliwości portu, wysłuchaliśmy w Oliwie brzmienia słynnych organów, byliśmy na koncercie w Sopocie. Nie zapomnę emocji, jakie przeżyłam, kiedy wybraliśmy się wynajętą żaglówką w morze. Załogę stanowili podobno świetni żeglarze, którzy w czasie wojny pływali na niemieckich łodziach podwodnych. Morze było niespokojne. Kiedy oddaliliśmy się od brzegu, zerwała się wichura. Zobaczyliśmy czerwone sygnały oznaczające niebezpieczeństwo żeglugi. Łódź podnosiła się i opadała, rozdzierając jakieś zielono-czarne czeluście. Ogarnęło mnie przerażenie. Kurczowo trzymałam się rąk męża i księdza. Żeglarze raz po raz kazali nam przesiadać się z jednej strony łodzi na drugą i z miejsca na miejsce przerzucali wory piasku. Wreszcie udało się im ustawić łódź w kierunku lądu. Żaglówka z niesłychaną szybkością pomknęła ku brzegowi. Po wylądowaniu wszyscy odczuwaliśmy zawrót głowy i poupadaliśmy na mokry piasek plaży. Podniósłszy się, chwiejnym krokiem podążyliśmy do jakiejś jadłodajni. Napiliśmy się koniaku, zjedliśmy porządną porcję flądry i tak zwanych sztajnbotów i poczuliśmy się doskonale. Po zakończeniu konferencji wróciliśmy przez Bydgoszcz do Rogoźna, gdzie naszymi chłopcami: Wojusiem i urodzonym w Szczebreszynie Konradkiem opiekowała się pod moją nieobecność bardzo solidna pomocnica domowa Jadwiga.

Wkrótce gruchnęła wieść o wojnie z bolszewikami. Cały naród stanął do walki z najeźdźcą ze wschodu. Mąż wstąpił do wojsk jako ochotnik. Przydzielono go do 57. pułku piechoty wchodzącego w skład 14. wielkopolskiej dywizji, dowodzonej przez generała Daniela Konarzewskiego. Nawet jedyny syn dyrektora seminarium w Rogoźnie: pana Pawłowskiego, szesnastoletni

chłopiec, zgłosił się do armii. Zostałam w domu sama z dwoma synkami; Wojuś miał siedem lat, Konradek niewiele ponad roczek. Wielką podporą okazała się Jadwiga, która jesienią chodziła na zwane po poznańsku szefle, czyli kopanie ziemniaków, i zaopatrzyła nas w warzywa. Byłam bardzo niespokojna o męża. Długo nie miałam od niego żadnej wiadomości. Przez cały październik chodziłam w jego intencji do kościoła na nabożeństwa różańcowe. Pewnej nocy przyśniło mi się, że dostałam list napisany na papierze z czarną obwódką. Przeraził mnie ten sen. Rano rzeczywiście zjawił się listonosz, ale przyniósł list od męża z dobrą wiadomością, że wkrótce powróci. Ostatniego dnia października nie poszłam jak zwykle do kościoła, a pozostawszy z dziećmi w domu, wyprawiłam na nabożeństwo Jadwigę. O szarówce usłyszałam dzwonek. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam żołnierza. W pierwszej chwili nie poznałam w nim Franka. Dopiero gdy zawołał: „Dziunieczka!”, padliśmy sobie w ramiona.

Mój mężulek przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Stał przede mną wymizerowany, obwieszony jakimiś tobołkami. Był głodny. Zanim Jadwiga wróciła z kościoła, przygotowałam kolację. Bałam się, żeby nie zjadł za dużo i nie rozchorował się. Najedzony poprosił o kąpiel i czystą bieliznę. Po kąpieli kazał swój mundur wojskowy wrzucić do wanny, a bieliznę spalić, bo wszystko to było zawszone. Wojuś rzucił się do przyniesionych przez ojca tłumoków, które – jak się okazało – zawierały trofea wojenne, zdobyte na sowieckich żołnierzach. Franio barwnie przedstawiał różne wojenne epizody, między innymi jak przyprowadził do niewoli dwunastu bolszewickich jeńców. Z wielkim żalem wspominał dzielnego dowódcę pułku – pułkownika Szylinga, który poległ w bitwie pod Kobryniem. Mówił o jego pogrzebie na warszawskim cmentarzu powązkowskim. Mąż był delegatem żołnierzy na ten pogrzeb i żegnał zmarłego nad jego grobem wierszem swojego autorstwa. Zaginał mi ten wiersz drukowany w poznańskiej prasie. Pamiętam tylko urywek:

Nie w srebrnym hełmie, nie w lśniącym pancerzu,
lecz w szarej kurtce, jak żołnierz, jak brat
do boju wiodłeś dzielny nasz rycerzu
i wreszcie padłeś jak podcięty kwiat.

My w Poznańskim nie odczuliśmy tej zwycięsko zakończonej wojny. Inaczej było na ziemiach przejściowo zagarniętych przez bolszewików. W Lubelskiem, a zwłaszcza na Zamojszczyźnie, grasował ich groźny wódz Siemion Budionnyj. Zginęło tam wielu bezbronnych ludzi, wymordowano wielu ziemian.

Wreszcie zapanował spokój. Polska miała wytyczone granice, stawała się normalnym państwem. Na początku lat dwudziestych mąż otrzymał dwuletni płatny urlop na studia w Instytucie Pedagogicznym w Warszawie. Chlubnie je ukończywszy, powrócił do seminarium. Ja również pracowałam w internacie jako kierowniczką do spraw wyżywienia. Oddawałam się też z zapalem pracy społecznej, należałam do dobroczynnego Stowarzyszenia Kobiet imienia św. Wincentego á Paulo, Polskiego Czerwonego Krzyża, Zespołu Miłośników Sceny. Było wtedy w Rogoźnie kilka znanych działaczek społecznych, a wśród nich żona dyrektora gimnazjum. Jeździliśmy po okolicznych wsiach i zbierałyśmy datki na pomoc dla ubogich. Miłośnicy sceny urządzali przedstawienia, z których dochód przeznaczono na cele charytatywne. Brałam udział w tych amatorskich przedstawieniach. Grałam Anielę w Damach i huzarach, a w Panu Jowialskim przypadła mi rola pani Jowialskiej. W roli Jowialskiego wystąpił pan Harasimowicz, polonista z gimnazjum i nasz reżyser. Przygotowując się do wystawienia tej komedii, jeździliśmy całym zespołem do Poznania, żeby ją obejrzeć w wykonaniu zawodowych aktorów. Kostiumy zostały wypożyczone z poznańskiego Teatru Wielkiego. Przedstawienie stało się w Rogoźnie sporym wydarzeniem. Publiczność nagrodziła nas rzęsiстыми oklaskami. Państwo Jowialscy dostali piękną wiązaną czerwonych tulipanów, przewiazaną długą, czerwoną wstęgą.

W ogóle z Rogoźnem wiąże wiele miłych wspomnień. Przebyliśmy w nim sześć lat. Prawie co niedziela wyjeżdżaliśmy na wycieczki krajoznawcze po Wielkopolsce. Zwiedziliśmy fabrykę porcelany w Chodzieży, miasta: Wągrowiec, Leszno, Koźmin i inne. Poznaniacy przejęli wiele cech od Niemców, szczególnie kobiety, zresztą świetne gospodynie. Na przyjęciach imieninowych zbierały się same niewiasty. Wypijały dużo mlecznej kawy z mieloną babką, plackiem z kruszonką i tortami. Do alkoholu nie podawało się żadnych zakąsek, najwyżej cukierki. W karnawale urządzano lumpenbale, czyli maskarady. Zebrane na nich fundusze przekazywano na cele społeczne.

Nie pamiętam którego roku, czy 1923, czy 1924, jeden z kolegów męża: pan Melcer pojechał na wakacyjny kurs nauczycielski do Augustowa. Miejscowość ta bardzo mu się spodobała, a opowiadając o niej, wspominał, że wakuje tam stanowisko inspektora szkolnego. Zaczął też namawiać Franka, żeby zgłosił swoją kandydaturę na tę posadę. Zaciekawiał mnie ten pomysł, bo w pobliskich Sejnach zamieszkali moi rodzice po przejściu ojca na emeryturę. Objął tam rodzinną posesję, której po wymarciu starszych swoich siostr stał się jedynym właścicielem. Od dawna zresztą marzył o powrocie do tego rodzinnego gniazda. Opowiadał, jak mając trzy lata, wychodził w Sejnach przed furtkę domu, żeby bębniem zawieszonym na szyi blaszanego

bębenka pozdrawiać maszerujących do lasów powstańców 1863 roku, i jak jego siostry darły wieczorami szarpie.

W Rogoźnie było nam dobrze. Mieszkaliśmy w pięknej pięciopokojowej willi z tarasem, balkonem i niedużym ogródkiem. Od ulicy po pomalowanych na biało sztachetach niskiego płotu pięły się róże, ściany willi pokrywało dzikie wino, a na środku ogródka znajdował się piękny klomb. Jednak tęskniliśmy trochę za nazywaną przez Poznaniaków Kongresową, coś nas do niej ciągnęło, a możliwość przeniesienia się do Augustowa nęciła. Zastanawialiśmy się dość długo i w końcu Franciszek złożył podanie o powierzenie mu stanowiska inspektora szkolnego na powiat augustowski. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko i była tej treści: „Przyjmujemy pana z otwartymi rękami!”. Mąż pochodził z Radomskiego, był synem rolnika ze wsi Zadobrze w powiecie kozienickim i Suwalszczyzny zupełnie nie znał. Przed zawarciem umowy w kuratorium białostockim pojechał więc obejrzeć ten Augustów. Wrócił zachwycony okolicą i ostatecznie zgodził się na objęcie posady.

Zapomniałam napisać, że po wojnie z bolszewikami przyszedł w Rogoźnie na świat najmłodszy mój syn Zbyszek.

Na razie do Augustowa pojechał sam mąż z dziećmi. Chłopców zostawił w Sejnach u moich rodziców, a ja musiałam likwidować dom w Rogoźnie, pakować rzeczy, wyekspediować pociągiem meble, których już się dorobiliśmy. Poznaniacy kpili, że na tym dzikim wschodzie będziemy mieszkali w baraku. Tymczasem w Augustowie zamieszkaliśmy w przyjemnym domku z dużym ogrodem, nad Kanałem Augustowskim, przy ulicy Grodzieńskiej. Do Sejn było niedaleko, około czterdziestu trzech kilometrów.

Inspektorzy mieli wtedy parę służbowych koni, bryczkę i sanki, którymi posługiwali się, wizytując szkoły. Augustów był pełen uroku. Przylegał do Puszczy Augustowskiej i jezior, ale nie było tam jeszcze żadnych jacht-klubów, domów wczasowych, willi. Był naprawdę piękny w swoim pierwobycie. Zaprzyjaźniliśmy się z patriarchalną rodziną doktorostwa Jaworskich. Mieliśmy dwie łódki: jedną płaskodenkę, drugą kilówkę z ruchomym siodelkiem do wiosłowania. Przy sprzyjającej pogodzie pływaliliśmy po jeziorach. Najczęściej wybieraliśmy się na drugi brzeg Necka, gdzie mieliśmy „swoją plażę”. Kapaliśmy się i tam nauczyłam się pływać. Zahartowaliśmy się, używając wody i wdychając leśne aromaty. Pamiętam, że było wtedy w nadjeziornych lasach dużo konwalii i storczyków. Nad Jeziorem Studzienicznym stał kościółek i znajdowało się cudowne jakoby źródło. Na Zielone Świątki odbywały się tam odpusty, na które zjeżdżało się dużo ludzi z całej Suwalszczyzny. Mąż zorganizował pewnego razu dużą wycieczkę na taki odpust. Wzięli w niej udział augustowscy nauczyciele, urzędnicy, sędziowie,

lekarze. Płynęliśmy dużą krypą, którą ciągnął statek zarządu Kanału Augustowskiego „Rej”. Był niedzielny, piękny, słoneczny dzień. Towarzystwo dobrze zaopatrzone w wiktuały i napitki grupkami rozłożyło się w lesie. Wycieczka bardzo się udała, na długo zapadła w pamięć uczestników i przyczyniła się do zbliżenia różnych grup miejscowej tak zwanej inteligencji.

W krótkim czasie z inicjatywy męża wybudowano w Augustowie seminarium nauczycielskie. Jego dyrektorem został pan Wołosewicz. Z innych nauczycieli seminarium utkwili mi w pamięci: pan Kuza, zdolny muzyk prowadzący śpiew, i Zygmunt Karpiński, absolwent politechniki w Grenoble, we Francji. Dzięki niemu gościliśmy w Augustowie wielką miłośniczkę Polski, francuską poetkę Rosę Bailly, która założyła we Francji stowarzyszenie „Les Amis de la Pologne”. Pan Karpiński, który jako młodzieniec znalazł się po pierwszej wojnie światowej we Francji, zawdzięczał jej swoje wykształcenie. Rosa Bailly, znana już w polskich sferach rządowych, została zaproszona do Warszawy. Podejmował ją prezydent Mościcki na zamku i marszałek Piłsudski w Belwederze. Z inicjatywy pana Karpińskiego powstał w Augustowie komitet, który zaprosił francuską poetkę na Suwalszczyznę. Byłam w tym komitecie i towarzyszyłam Rozie Bailly przez cały czas jej pobytu w Augustowie. Wydano na cześć gościa wspomniały bankiet, na którym krechowiacy, ułani stacjonującego w mieście 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, powitali przybywającą Rosę fanfarami. Wielka przyjaciółka Polski była zachwycona okolicami Augustowa i przejażdżką stateczkiem „Emilia Plater” po jeziorach i kanale. Oboje z mężem odwieźliśmy ją samochodem starosty Siwika na stację kolejową w Grodnie. Obdarowała nas znaczkami towarzystwa „Les Amis de la Pologne” i pięknym albumem z fotografiami słynnych francuskich katedr. Do dziś, czyli do 1970 roku, jestem z Rosą Bailly w stałym kontakcie. Mieszka obecnie w miejscowości Bayard, w departamencie Pau w Pirenejach. Korespondujemy ze sobą. Przysłała mi kilka tomików swoich wierszy, a ostatnio książkę pod tytułem „Victoire sur le cancer”. Rosa Bailly odwiedzała Polskę kilkakrotnie, również po drugiej wojnie światowej; tamta wizyta w Augustowie miała miejsce w 1927 roku.

W 1929 roku odbywała się w Poznaniu wielka Powszechna Wystawa Krajowa. Franciszek zorganizował na nią wycieczkę nauczycielską. Kuratorem poznańskim był wtedy pan Joachim Namysł, który znał mego męża z Rogoźna. Na kwatere dla augustowskiej wycieczki kuratorium przydzieliło jedną z poznańskich szkół. Kiedy mąż poszedł do kuratora, żeby mu podziękować za tę uprzejmość, pan Namysł zaczął namawiać go do powrotu w Poznańskie, przedstawiając mu dwie propozycje: stanowisko inspektora w Bydgoszczy lub dyrektora Seminarium Nauczycielskiego w Koźminie. Po namyśle, ostatecznie złożył podanie na to pierwsze. Wtedy ministerstwo

zdecydowało o likwidacji inspektoratu w Augustowie, utworzeniu obejmującego dwa powiaty: suwalski i augustowski obwodu szkolnego z siedzibą w Suwałkach i mianowaniu go inspektorem.

Po czterech latach pobytu w Augustowie przenieśliśmy się zatem do Suwałk. Mąż miał teraz dwóch podinspektorów, panów Szepietowskiego i Majznera, którego przeniesiono potem do Wilna, a jego miejsce zajął pan Konarzewski. Na krótko przed drugą wojną światową ponownie utworzono w Augustowie inspektorat, a inspektorem mianowano pana Szepietowskiego. W Suwałkach pozostał mąż z panem Konarzewskim. Mieszkając w tym mieście, zaprzyjaźniliśmy się z profesorem Lityńskim i jego żoną. Alfred Lityński, ichtiolog o międzynarodowej sławie, mieszkał w Starym Folwarku nad Wigrami, gdzie prowadził naukową stację hydrobiologiczną. Interesował się szczególnie sieją, żyjącą w Jeziorze Wigierskim głębinową rybą. Na stacji hodowano te ryby w akwariach z wodą o zwiększonym ciśnieniu, przykrytych czarnymi osłonami. Kiedy oglądaliśmy je, najstarsza z wyhodowanych w sztucznych warunkach siej miała osiem lat. Już za carskich czasów wigierska sieja była pod ochroną. Profesor wydał przed wojną wielkie dzieło o polskich rybach. Pani Lityńska pokazywała mi tę książkę¹⁰, kiedy po wojnie odwiedziłam ją w Warszawie po śmierci jej zięcia, byłego marszałka Sejmu, Władysława Kowalskiego. Profesor Lityński przeżył niemiecką okupację chroniony przez miejscową ludność. Został aresztowany w lutym 1945 roku po zajęciu Suwalszczyzny przez bolszewików. Zmarł w konwoju więźniów zesłanych do Archangielska.

Nadszedł rok 1939, dla Polski rok największej klęski i nieszczęścia. Na wiosnę ciągle mówiło się o wojnie, sprzeczało, a nawet wróżyło: będzie czy nie będzie? Z uwagą słuchało się przemówienia Becka, wzmagał się nastrój hurrapatriotyzmu. Społeczeństwo, a chyba i politycy, nie zdawali sobie sprawy, w jak ciężkiej sytuacji znalazła się Polska. W sierpniu ogłoszono mobilizację. Byłam wtedy w Sejnach z matką, która prawie już ostatnim pociągiem dostała się do syna Józefa Pieńczykowskiego, który był lekarzem w Zamościu. Bratowa Kazimiera Pieńczykowska wyjechała z Sejn do Lublina, do siostry Janiny Zatwardowicz. W Sejnach pozostał mój brat Robert i jego syn Ryś, student leśnictwa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Ja wyjechałam do Suwałk, do męża i synów Konrada i Zbyszka. Wojśław już nie żył, zginął śmiercią tragiczną, będąc już na trzecim roku medycyny w Poznaniu. Dziewiętnastoletni chłopiec, skrajny idealista, zajmował się również archeologią i studiował klasyków greckich. Znał grekę i łacinę. Zdawało się, że wszystko układa mu się pomyślnie, był pogodny i cieszył się dobrym zdrowiem. Działo się to chyba w 1930 roku. Wojek przyjechał do Suwałk na ferie wielkanocne. Podczas nieobecności innych domowników

zastrzelił się w mieszkaniu. To przejście po prostu pozbawiło nas zmysłów. Oprzytomnieliśmy i znieśliśmy straszny cios, pamiętając o pozostałych dwóch synach.

Ale odbiegłam od wydarzeń 1939 roku. Pierwszym zwiastunem wojny w Suwałkach były samoloty niemieckie, które zbombardowały stację kolejową. Pierwszą śmiertelną ofiarą była nauczycielka. Mąż w inspektoracie, w obecności personelu i licznie zgromadzonych tam nauczycieli, rozerwał tajną kopertę z instrukcją, co należy czynić po wybuchu wojny. Znajdowało się w niej polecenie ewakuacji inspektoratu i akt nauczycielskich z przygranicznych Suwałk w głąb kraju, do miejscowości Małoryta, położonej między Brześciem a Kowlem. Zaczęło się więc niezwłocznie pakowanie dokumentów. Pracę przerywały syreny raz po raz ogłaszające alarmy przeciwlotnicze. Zamieszanie wywołał, jak się okazało, fałszywy alarm o zrzuconiu bomb z gazami trującymi. Dopiero w nocy zapanował spokój. Nazajutrz ze stacji kolejowej w Suwałkach wyruszył długi pociąg ewakuacyjny z dokumentacją różnych suwalskich urzędów i sądów oraz z urzędnikami, sędziami i ich rodzinami. Pociąg skierowano do Brześcia. Dzień był piękny – ciepły i słoneczny. Wszyscy jechali jak zahipnotyzowani. Pociąg stanął na stacji Czeremcha. Stał dość długo, nareszcie ruszył. Co by się stało z nami wszystkimi, gdyby pozostał w tej Czeremsze jeszcze pół godziny? Jechaliśmy dalej, a nad stację nadleciały niemieckie samoloty i zamieniły ją w gruzy.

Przyjechaliśmy do Małoryty. Wypakowano inspektorackie skrzynie i nasze zabrane naprędce rzeczy. Zamieszkaliśmy u jakiegoś gospodarza. O jakiegokolwiek działalności inspektoratu w miejscu ewakuacji nie było mowy. W kraju panował już chaos. Trudno opisać, co działo się na drogach. Ludzie w panice uciekali w różnych kierunkach. Drogi zawałone były autami, wozami, motocyklami, rowerami, w ogóle czym kto mógł, to gdzieś gonił.

Od wschodu 17 września weszli do Polski bolszewicy. Na stację kolejową w Małorycie przybyło kilka pociągów z Kowla ze sprzętem wojskowym i uchodźcami uciekającymi przed Sowietami. Rozeszła się pogłoska o przewrocie w Niemczech i zamachu na życie Hitlera. Niemcy mieli podobno opuścić zajęty już Brześć i droga kolejowa do Białegostoku i Warszawy miała być wolna. Oblepione ludźmi pociągi ruszyły w stronę Brześcia. My też postanowiliśmy opuścić Małorytę. Ulokowaliśmy się na odkrytej platformie. Pogłoski o wyjściu Niemców z Brześcia okazały się fałszywe. Nasze nadjeżdżające pociągi zostały ostrzelane przez niemiecką artylerię. Nasi kolejarze nie mogli się zdecydować, komu lepiej oddać tabor – Niemcom w Brześciu czy bolszewikom w Kowlu. Przez dwie doby pociągi manewrowały

w pasie niczym, ostrzeliwane przez ukraińskich dywersantów. Byliśmy głodni i zziębnięci. Gdy ostatecznie postanowiono odprowadzić pociągi do Kowla, zeszliśmy w Małorycie z platformy i wróciliśmy na naszą kwatere. Następnego dnia weszli do tej miejscowości Sowieci. We wszystkich domach przeprowadzili od razu dokładne rewizje w poszukiwaniu broni. Po rewizji u nas, podczas której niczego nie znaleźli, żołnierze sowieccy aresztowali męża i nauczyciela z Lublina, pana Tatarczuka, który przypadkowo znalazł się u nas wraz z towarzyszącym mu czternastoletnim chłopcem. Z miejsca obrabowali ich z zegarków (Franek miał omegę). Przydał im się też męzowski szczyryk. Obu mężczyzn uprowadzili w nieznanym kierunku. Można sobie wyobrazić moją rozpacz. Pozostałam sama z trzema chłopcami. Zostawiwszy ich, poszłam na poszukiwania. Podobno zatrzymanych mężczyzn poprowadzili do jakiejś szopy odległej od Małoryty o kilka kilometrów. Nie znalazłszy jej, wracam do domu i po drodze dowiaduję się od jakiejś kobiety, że widziała dwóch mężczyzn idących w stronę Małoryty. Radość nieopisana! Mąż i pan Tatarczuk wrócili.

Co robić dalej? Wracać? Ale dokąd? Postanowiliśmy udać się do oddanego Sowietom Białegostoku, gdzie mieszkała moja siostra Maria Pankiewiczowa. Kiedy została wznowiona komunikacja kolejowa, udaliśmy się zatem do tego miasta. Zjechaliśmy do domu Pankiewiczów, w którym zastaliśmy też trzech ich synów: Kazimierza, Tomasza i Janka. Namawiali nas, żeby zatrzymać się u nich na dłużej, ale mąż nie lubił Białegostoku, nazywał go miastem rosyjsko-żydowskim. Na razie sam pojechał do znajdującego się również pod okupacją sowiecką Augustowa i zatrzymał się tam u państwa Szepietowskich. Pan Szepietowski, dawny podinspektor męża, był przed wybuchem wojny augustowskim inspektorem. Wkrótce mąż powrócił do Białegostoku, żeby zabrać do Augustowa nas wszystkich, to znaczy mnie, Konrada i Zbyszka. Zamieszkaliśmy razem z Szepietowskimi i ich pięcioletnimi bliźniakami Tomkiem i Wojtkiem. Suwałki i Sejny znalazły się pod okupacją niemiecką i były od Augustowa oddzielone granicą.

Sowieci w Augustowie byli wrogo nastawieni do Polaków, wkrótce zaczęły się aresztowania. Franciszek przez pewien czas pracował przy uruchamianiu szkół, a potem został nauczycielem matematyki. Na początku 1940 roku do szkoły, w której uczył, wkroczyli funkcjonariusze NKWD i zabrali go z sobą. Od tej pory znikł jak kamień w wodę. Do dziś nic o nim nie wiadomo. Już po wojnie mój syn Zbyszek wyjawiał mi, że ojciec zaraz po przybyciu do Augustowa zajął się tworzeniem tajnej organizacji niepodległościowej Związek Wolnej Polski, do której i jego wciągnął. Ja nic o tym nie wiedziałam. Po aresztowaniu męża enkawude zrobiło w domu rewizję, ale niczego nie znalazło.

W lutym 1940 roku zaczęły się okropne czasy. Bolszewicy rabowali inwentarz chłopów. Przeprowadzili pierwszą masową wywózkę całych rodzin na Sybir, do Kazachstanu, zresztą Bóg wie dokąd? W czterdziestostopniowy mróz ładowali do wagonów kobiety z małymi dziećmi. Dzieci marzły, zakopywano je po drodze w śniegu. Było to najstraszniejsze wywożenie. Kiedy rozeszły się pogłoski o drugiej turze wywózek, nie nocowałam już u państwa Szepietowskich; przygarniali mnie kolejno coraz to inni znajomi. Na szczęście nie było już w Augustowie moich chłopców.

Konrad jeszcze jesienią udał się do zajętego wówczas przez bolszewików Wilna, gdzie kończył studia w szkole mechanicznej na Holenderni. Zbyszek, który w 1939 uzyskał maturę w wileńskim liceum imienia Króla Zygmunta Augusta, też się tam przedostał przez zieloną granicę, gdy Sowieci przekazali Wilno Litwinom. Zgodnie z zaleceniem ojca, chłopcy mieli próbować wydostać się z neutralnej jeszcze wtedy Litwy na Zachód i wstąpić do tworzonej we Francji armii polskiej.

Druga tura wywózek nastąpiła w kwietniu 1940 roku. Odbywały się nocami. Takiej tragicznej, kwietniowej nocy ciężarówka zajęła po mnie do państwa Szepietowskich. Nocowałam wtedy u pani Rybińskiej, której mąż po klęsce wrześniowej dostał pomieszenia zmysłów i zmarł w Augustowie. Biedna wdowa została sama z małą córeczką i synem, studentem uniwersytetu w Wilnie. Właśnie razem z nim Zbyszek przechodził zieloną granicę sowiecko-litewską. Bolszewicy zapytali: „Czy jest Przyrowska?”. Ponieważ mnie nie było, zagrozili, że jeżeli nie zjawię się do godziny jedenastej, to wywozą wszystkich pozostałych mieszkańców domu. U Szepietowskich przebywała wówczas moja kuzynka Jadwiga Dąbrowska z córeczką Marysią i synem Heniem, w wieku mego Zbyszka. Dali mi o tym znać. Mogłam się nadal ukrywać, nawet Żydzi augustowscy ofiarowali mi swoją pomoc i obiecywali przeprowadzić na Litwę. Nie miałam jednak sumienia, żeby dla mnie jednej narazić dwie rodziny z dziećmi. Rano wróciłam więc do państwa Szepietowskich, pod których domem czekał już na mnie spóźniony samochód. Podałam się tym łotrom bez zastrzeżeń. Kazali mi się prędko spakować. Mogłam wszystko ze sobą zabrać. Nie miałam do tego głowy. Widziałam tylko gromadę płaczących ludzi przy samochodzie, a w mieszkaniu osoby pakujące moje rzeczy. Poszłam do drugiego pokoju, gdzie wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Ukłękłam, głęboko westchnęłam, odmówiłam „Pod Twoją obronę”. Bolszewicy czekali na mnie z niecierpliwością. Stałam z miną bojową przed żegnającymi mnie i zaśpiewałam cały nasz hymn narodowy „Jeszcze Polska...”. Zaległa kompletna cisza. Podobno jeden Polak, komunista, który był w tej grupie, zbladł, odwrócił się do okna i powiedział: „Weźcie tę kobietę z moich oczu”. Kiedy skończyłam śpiewać, mocno

uderzyłam pięścią w stół i krzyknęłam: „Polska jest, była i będzie, bo Polska jest nieśmiertelna!”. Powstał szmer, otoczenie myślało, że straciłam zmysły, a ja bez łez, spokojnie, pożegnałam się ze wszystkimi. Bolszewicy z najeżonymi bagnietami wepchnęli mnie, słabą i wątłą kobiecinę do ciężarówki. Podobno, jak mi później opowiadali, jechałam uśmiechnięta, powiewając białą chusteczką.

Zawieźli mnie na stację, gdzie stał już pociąg naładowany wywożonymi. Było to 13 kwietnia 1940 roku. Wrzucili moje rzeczy. Były to tłumoki z pościelą, ubraniami i bielizną. Wagon był zatłoczony mężczyznami, kobietami i dziećmi. Wyciągnęłam poduszkę i kołdrę i tak jak stałam, położyłam się na podłodze. Zobojętniałam na wszystko. Ludzie modlili się, śpiewali pieśni nabożne, dzieci płakały. Nadeszła noc. Pod sufitem wagonu zapalili lampę, która się ledwie tliła. Zdrzemnąłam się trochę, gdyż byłam zupełnie wyczerpana i fizycznie, i psychicznie. Naraz, chyba w tym śnie, ujrzałam młodszego syna Zbyszka. Patrzył na mnie swoimi dużymi oczyma. Zerwałam się z podłogi, coś mi powiedziało: „Uciekaj! Za wszelką cenę musisz wyjść z tego pociągu śmierci”. Ta myśl owładnęła mną całkowicie. Zaczęłam obmyślać sposób ucieczki. Zwróciłam się do jakiegoś człowieka i powiedziałam: „Proszę zaopiekować się moimi rzeczami, jeżeli tu nie wrócę, i podzielić się nimi z innymi. Poproszę tylko, jeśli można, o dużą chustę”. Jedna z kobiet wyciągnęła ją ze swego tłumoka i podała mi.

Kiedy pociąg zatrzymał się na dłużej w Grodnie koło dziesiątej rano, w wagonie zrobił się wielki ruch. Ludzie zaczęli wołać, żeby odryglować drzwi, żeby można było wysiąść za swoją potrzebą. Pociąg obstawiło wojsko złożone z Kałmuków. W pewnej chwili żołnierz uchylił drzwi. Ja, okryta chustą, stałam najbliżej wyjścia. Gdy tylko stało się to możliwe, wyskoczyłam z pociągu i nie oglądając się za siebie, ruszyłam wzdłuż tego olbrzyma. Raptem zatrzymał mnie żołnierz:

– Kuda idiesz? – zapytał.

Odpowiedziałam po rosyjsku:

– W Łosośnu.

Żołnierz widocznie pomyślał, że jakaś kobiecina zabłądziła, i odpowiedział:

– Wiernus’ na wokzał¹¹.

Szybko przebiegłam przez tory i znalazłam się na grodzieńskim dworcu. Wysłałam do miasta, złapałam dorożkę i kazałam się wieźć do Łosośny, do szkoły. Tam postanowiłam szukać ratunku, bo nauczycielką w tej szkole, należącej przed wojną do inspektoratu suwalsko-augustowskiego, była pani Czarniawska, którą znałam osobiście i która powiedziała mi kiedyś, że wiele zawdzięcza panu inspektorowi Przyrowskiemu.

Kiedy jechałam dorożką, po drodze na jej stopnie wskoczyło dwóch milicjantów. Okazało się, że jechali do swego, znajdującego się w Łosośnie posterunku. Spytałi, skąd jestem. Odpowiedziałam, że z miasta Grodna. Byli też ciekawi, do kogo jadę. Wyjaśniłam, że do nauczycielki, mojej koleżanki. Milicjanci okazali się tak uprzejmi, że zaprowadzili mnie nawet do domu, w którym mieszkała, i zapukali do drzwi. Nikt jednak nie otwierał, więc odeszli, zostawiwszy mnie samą. Zauważyłam, że do tego domu było także drugie wejście. Weszłam do znajdującej się za nim sieni i zastukałam do pokoju. Drzwi otworzyła jakaś młoda kobieta, zaprosiła mnie do środka. Zapytałam o panią Czarniawską. Okazało się, że poszła z synem na obiad do Grodna i zaraz powinni wrócić. Naraz rozległ się gwizd pociągu. Nieznajoma młoda kobieta pochyliła się nad kołyską dziecka i zaczęła płakać.

– Czy pani słyszy? – wyszeptwała. – Pociąg już odszedł. Wywieźli nim moją ciotkę.

Zorientowałam się w sytuacji. Dom mógł być pod obserwacją, a ponieważ miałam w torebce zdjęcie męża i inne dokumenty, zawiązałam je w chusteczkę i poprosiłam, żeby mi to chwilowo schowała pod becik dziecka. Bałam się tych milicjantów, którzy niedaleko mieli posterunek i mogli tu w każdej chwili zajrzeć.

Niebawem przyszła do tej kobiety pani Czarniawska po klucze. Zobaczywszy mnie, zdziwiła się bardzo i zaraz zapytała o mego męża. Bałam się wymówić jego nazwiska przy tej nieznanej kobiecie, ale Czarniawska mnie uspokoiła, mówiąc, że to są swoi ludzie. Kiedy weszliśmy do jej pokoju, powiedziałam, że przed godziną uciekłam z pociągu. Ukrywała mnie przez tydzień, dłużej było niepodobna. Ponieważ jej syn student uczył wtedy w szkole we wsi Bohatyry, wynajętymi końmi, w przebraniu wieśniaczki, pojechałam do tej puszczańskiej wsi jako jego ciotka. Żeby stamtąd przejść lasem przez zieloną granicę do Sejna, miałam umówionego przewodnika, który miał mnie przeprowadzić bezksiężycową i bezgwiezdą nocą. Jednak przewodnik ten nie podjął się zadania, powiedział, że nie ma sumienia, gdyż nie znając okolicy nie dam sobie rady po przejściu granicy: albo zabłądzą w lesie, albo trafią na posterunki straży granicznych.

Nie było rady. Wróciłam do pani Czarniawskiej i postanowiłam wyjechać do Białegostoku. Odprowadziła mnie na dworzec w Grodnie. Okryta chustą, stanęłam w długiej kolejce do kasy biletowej. Spod tej chusty dostrzegł mnie naraz jakiś Żyd i ni z tego, ni z owego zapytał: „A jak tam pan Robert?”. Chodziło o mieszkającego w Sejnach mego brata. Odpowiedziałam, że nie znam takiego, a na to mój rozmówca: „Niech się pani nie boi, ja nie jestem żaden szpicel, sam wyjeżdżam w świat”.

Szczęśliwie dotarłam do Białegostoku, wzięłam dorożkę i kazałam się wieźć do mojej siostry Maniulki Pankiewiczowej na ulicę Koszykową. Zmieniłam jednak decyzję i zatrzymałam się, nie dojeżdżając do Koszykowej, przed domem mojej ciotki Aleksandry Mitkiewiczowej przy ulicy Wiktorii. Przyjechałam w nocy, ucieszyły więc mnie światła w oknach. Ciocia Olesia nie wiedziała, co się z nami dzieje i była zaskoczona moim nagłym pojawieniem się. Opowiedziałam jej wszystko po kolei.

U cioci zastałam dobrą moją znajomą z Sejn, córkę aptekarza Domosławskiego, wdowę po mecenasie Olszewskim, który jako oficer rezerwy zginął w pierwszych dniach wojny. Państwo Olszewscy z synkiem Jurkiem mieszkali na stałe w Białymstoku. Teraz pani Olszewska za wszelką cenę chciała przez zieloną granicę przedostać się do Warszawy. Zlikwidowała swoje mieszkanie i chwilowo znalazła schronienie u mojej ciotki. Dzięki Bogu rodzinę mojej siostry na Koszykowej zastałam w komplecie.

Przybycie do Białegostoku nie zmieniło mojej sytuacji. Nie miałam bolszewickiego paszportu, wszystkie dokumenty moje, jak również męża, zakopałam w szklanych słoikach w piwnicy w Łosośnie. Tu bałam się narażać Pankiewiczów, a zwłaszcza ich młodych synów, oraz ciotki, wdowy po pułkowniku. Zatem obie, ja i pani Olszewska, zaczęłyśmy szukać przewodnika, gdyż i ja kierowałam się na Warszawę, żeby stamtąd udać się do Zamościa, do zamieszkałego tam brata lekarza Józefa i przebywającej u niego matki. Dowiedziałyśmy się, że amatorzy przejścia przez zieloną granicę do Warszawy nawiązują kontakty w kościele farnym. Poszłyśmy tam pewnego ranka i zgłosiły gotowość przyłączenia się do grupy przewodnika, który miał też przeprowadzić kilku księży. Ów przewodnik miał przyjść do ciotki, żeby sprawę dokładnie omówić. Zgłosił się rzeczywiście. Na ciotce zrobił złe wrażenie. Zaczęła nam odradzać korzystanie z jego usług. Pani Olszewska usłuchała ciotki i zrezygnowała, ale ja się nie ulękałam i ustaliłam warunki, dzień i miejsce zbiórki. Ciotka, jak mogła, wyekspediowała mnie na drogę, szwagier sprzedał moje futro (brajtszwance), a najstarszy siostrzeniec Kazik Pankiewicz, z młodsiutką żoną Halinką, odprowadzili mnie w wyznaczonym dniu w umówione miejsce. Miałam na sobie letni płaszcz, na nogach lakierki w botach, w niedużym węzełku chustkę, którą okryłam się wyskakując z wagonu, koniak, wodę kolońską, kanapki.

Do przejścia granicy przewodnik wybrał dzień pierwszego maja, święto bolszewików, licząc na mniejszą w tym dniu ich czujność. Sam przebrał się za rybaka. Miał wędkę i spory zapas haczyków chętnie kupowanych przez żołnierzy.

Wynajętym wozem z woźnicą ruszyliśmy w drogę we dwoje, ale niedaleko zajechaliśmy, gdyż most na rzece był zerwany. Dalej trzeba było

iść piechotą. Tak w wigilię pierwszego maja doszliśmy do wsi Sokoły, przed którą ujrzeliśmy przy przydrożnym krzyżu dużo modlących się i śpiewających nabożne pieśni ludzi. Odprawiali oni już nabożeństwo majowe.

Przewodnik był średniego wieku. Pouczył mnie, żeby nazywać go po imieniu i mówić, że idziemy do mojej chorej córki, a jego żony. Miałam więc traktować go jak zięcia. Byłam już mocno szpakowata i mogliśmy stanowić taką parę powinowatych. We wsi przewodnik poszedł do sołtysa, pokazał mu jakieś papierki i zostaliśmy zaprowadzeni do jednej z chat, w której mieliśmy przenocować. Zapadł już wieczór. Po spożyciu kolacji weszłam do małej izdebki, położyłam się na saskim szlabaniku, wcisnęłam tłumoczek pod głowę i będąc bardzo zmęczona po pieszej wędrówce, szybko zasnęłam. Mój Stacho, bo tak kazał do siebie mówić przewodnik, zawarł znajomość z chłopami i w sąsiedniej izbie wiódł z nimi rozmowę o wojnie i bolszewikach. Zanim zasnęłam, usłyszałam z tej rozmowy takie zdanie: „Żebyśmy miał chociaż ze stu takich jak ja i dobrze uzbrojonych, to bym przegnał tę hołotę z Białegostoku”.

Gdy w nocy przecknęłam się, poczułam swąd spalenizny i wydobywający się z kuchni dym. Zaraz też buchnął tam płomień. Narobiłam alarmu, zbudziłam domowników i ogień ugasili. Okazało się, że gospodyni piekła chleb i nierozważnie garnek z wygarniętymi z pieca węglami postawiła przy drewnianej ścianie. Tak to, przebudziwszy się zniecierliwie, uratowała dom od pożaru, za co jego mieszkańcy byli mi bardzo wdzięczni. Na drugi dzień po mlecznej kawie z kanapkami od ciotki i po koniaku wynajętymi końmi ruszyliśmy dalej. Jazda była dla mnie ulgą, bo maszerując poprzednio w lakierkach, otarłam sobie stopy. Teraz włożyłam ofiarowane mi na drogę przez panią Olszewską wygodniejsze szłapaki.

Dojechaliśmy do wsi Rosochate, w której przewodnik zbierał komplet. Wbrew oczekiwaniom pierwszy maja okazał się dniem niebezpiecznym, gdyż wielu pijanych żołnierzy opuściło swoje placówki i włóczyło się po okolicy. W Rosochatem zatrzymaliśmy się więc na dłużej. Zamieszkaliśmy u zamożnych gospodarzy, którzy bali się wywożenia; inwentarz rozprowadzili do innych ludzi, nie nocowali w domu i przychodzili do swego gospodarstwa rano. Na noc zostałam w mieszkaniu sama. Przede wszystkim wymoczyłam nogi, oblałam skaleczone stopy wodą kolońską, zabandażowałam je podartą koszulą. Nie mając żadnych dokumentów, w razie zjawienia się w domu bolszewików, miałam udawać wariatkę. Na następny nocleg gospodarze zalecili mi stodołę, gdzie były podwójne drzwi, na wszelki wypadek niezamykane. Zdziwiłam się, gdy zobaczyłam, że ci poczciwi ludzie na sianie w stodole przygotowali dla mnie prześcieradło,

poduszkę i pierzynę. Spałam jak królowa. Gdy obudziłam się nazajutrz, ujrzałam wynurzającą się z siana czyjąś głowę. Stał przede mną jakiś mężczyzna i powiedział: „Dokąd się pani wybiera? Ja już trzeci raz idę i nie mogę dojść”. Zastanowiło mnie to powiedzenie. Mężczyzna, który spał w sianie w ubraniu, wyskoczył ze stodoły i zanucił: „Mazurek, mazureczek, kujawiak, kujawiaczek...”. Dowiedziałam się, że był to pewien adwokat z Białegostoku.

Wkrótce wyruszyliśmy końmi ze wsi w kierunku granicy. Było nas siedmioro, między innymi dziennikarz z żoną w futrze z fok, kobieta z chłopcem, ów adwokat. Do samej granicy trzeba było dojść pieszo. Przy granicznych drutach mieliśmy się znaleźć ciemną nocą. Niestety, nie zdążyliśmy. Zaczęło świtać, a my byliśmy na odkrytym polu. Należało się ukryć, ale gdzie? Przewodnik dostrzegł duży dół po wyjętych kartoflach, lekko przysypany słomą. Kazał nam włączyć do tego dołu. Siedzieliśmy tam prawie pół dnia, szcękając zębami z zimna. Całe towarzystwo rozgrzewałam moim koniakiem. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w kącie dołu, gdy inni zamykali oczy. Naraz zjawiał się jakiś człowiek, zajrzał do nas i zapytał: „Ile was tu jest?”. Rozmowę z tym człowiekiem podjął przewodnik. Coś tam szeptali, a w końcu ów przybysz kazał nam siedzieć cicho i zapowiedział, że gdy się ściemni, weźmie nas do siebie. Po pewnym czasie przyniósł nam w dużym wiadrze gorący krupnik i chleb. Jedliśmy z wielkim apetytem. Tak jak zapowiedział, w nocy ten miejscowy chłop wyprowadził nas z dołu, zaprowadził do swego obejścia i kazał włączyć po drabinie na wyżki obory, w której stały krowy. Poleciał zachowywać się bardzo cicho, żeby niczego nie usłyszał jego sąsiad, który mógłby nas wydać bolszewikom. W tej samej oborze stały krowy owego groźnego sąsiada, co nakazywało zachować szczególną ostrożność.

Na słomie na wyżkach przeleżeliśmy całą noc. W tym czasie nasz nowy gospodarz i przewodnik badali teren. Rano dostaliśmy wiadro kaszy i nadal pozostawialiśmy w ukryciu. Dopiero kiedy zupełnie się ściemniło, przewodnik kazał nam po cichu złączyć z wyżek. Zaczął się najtrudniejszy marsz na przełaj przez polne bruzdy i miedzy. Co pewien czas nad znajdującą się przed nami granicą rozbłyskiwały światła reflektorów. Przewodnik rozkazywał: „Padnij! Wstań! Padnij! Wstań!”. Niosła nas jakaś niezwykła siła. Skąd się ona brała? Byliśmy jak zahipnotyzowani. Gdy padałam, słyszałam przy ziemi bicie swego serca. Było już szaro, kiedy doszliśmy do wysokich i gęstych bolszewickich drutów. Dziennikarz miał specjalne nożyce do ich przecinania. Po otwarciu drogi padła komenda: „Kobiety i dzieci naprzód!”. Teraz rzuciliśmy się ku oddalonym o pięćset metrów drutom niemieckim. Te były rzadsze. Znowu poszły w ruch nożyce i wreszcie znaleźliśmy się na ziemi okupowanej przez Niemców. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, czym

jest okupacja tego drugiego straszego wroga. Otoczyliśmy przewodnika i całowali go ze łzami w oczach, dziękując, że nas uratował.

Musieliśmy jeszcze przejść kawałek do umówionego miejsca, gdzie były przygotowane konie. Tam umyliśmy się i zostali poczęstowani kawą i chlebem. Potem, już bez przewodnika, pojechaliśmy na stację kolejową Czerwony Bór. Bilety sprzedała nam urzędniczka Polka, nie pytając o żadne dokumenty. Na peronie zobaczyliśmy spacerujących niemiec-kich żandarmów. Wsiadłam do pociągu i ogarnęła mnie wielka radość. Oto w podartym o druty płaszczu, w lakierkach i botach od śniegu, z małym tłumoczkim jadę do kochanej Warszawy, naszej stolicy. W pociągu było gwarno. Przekupki wiozły żywe kury i inne wiejskie prowianty.

Z Warszawy pojechałam odchodzącą z ulicy Nowogrodzkiej kolejką elektryczną do Komorowa, do willi „Limba”, której właścicielami byli Juraszyńscy. On, były dyrektor gimnazjum imienia Mickiewicza, był mężem mojej ciotecznej siostry z domu Ilińskiej. Juraszyńscy przyjęli mnie bardzo serdecznie. Po wypoczęciu i doprowadzeniu do przyzwoitego stanu mojej garderoby wyjechałam do Lublina, gdzie zatrzymałam się u bratowej Kazi-miery Pieńczykowskiej, żony Roberta, która wtedy mieszkała w Lublinie ze swoją siostrą Janiną Zatwardowiczówną, lubelską nauczycielką. Od bratowej dowiedziałam się o tragicznym losie Roberta i ich jedyne go syna Rysia. Po wybuchu wojny pozostali oni w Sejnach i wkrótce zostali przez Niemców wywiezieni do obozu koncentracyjnego w Gusen. Później okazało się, że obydwaj tam zginęli.

Po dwutygodniowym pobycie w Lublinie pojechałam do Zamościa do brata Józefa, u którego przebywała matka. Brat mieszkał na ulicy Lwowskiej na Nowym Mieście. Był czerwiec 1940 roku. Przypominam sobie niezwykle spotkanie z matką. Staruszka szła zamyślona do kolegiaty na nieszpory w oktawę Bożego Ciała. Kiedy przeszła i nie zauważyła mnie, szybko wróciłam i stanęłam przed nią. Matka krzyknęła: „Salutka!” i osunęła się na kolana, jakby zobaczyła kogoś z tamtego świata. Poszła ze mną do domu. Była wielka radość. U brata spędziłam całą okupację niemiecką.

Z Zamościa, nazywanego przez Niemców Himmlerstadt, często wyjeżdżałam do Żdzannego w powiecie krasnostawskim, majątku dzierżawionego przez mego szwagra Mariana Lewandowskiego od hrabiny Smorczeńskiej. Za Lewandowskiego wyszła moja siostra Ewa Pieńczykowska. W Żdzannem też było nie najlepiej. We wrześniu 1939 roku wpadli tam na krótko bolszewicy i zagrabili szwagrowi połowę inwentarza. Potem zagospodarowali się Niemcy. Po wybuchu wojny niemiecko-sowiec-kiej na Zamojszczyźnie zaczęły się tworzyć bandy, które napadały na dwory. Walczyła z nimi tak zwana granatowa policja. Dwa razy byłam świadkiem

napaści dokonanych w biały dzień. Trudno opisać, cośmy wtedy przeżyli. Żdżanne było dużym majątkiem ze stawami rybnymi i pięknym parkiem. Stały tam jeszcze ruiny pałacu spalonego w pierwszej wojnie światowej. Smorczewscy mieszkali w dużym, murowanym domu o kilku piętach, Lewandowscy – w drewnianym domu rządcy na terenie parku. Pod koniec wojny Niemcy zabrali ten majątek na Liegenschaft¹² (majątek ziemski skarbu państwa).

W okupowanym przez Niemców Zamościu działały się dantejskie sceny. Rozstrzelany został starosta Michał Wasowski, którego znałam jako studenta, i wielu innych mieszkańców miasta. Widziałam, jak ulicą Lwowską Niemcy pędzili Żydów. Strzałami zabijali starców, którzy nie mogli nadążyć. Na ulicy zostało wiele trupów. Zaczęły się też uliczne łapanki; ludzie bali się wychodzić z domów, szczególnie młodzi. Raz zdarzył się taki wypadek: esesmani gonili młodą dziewczynę. Ta, nie mając gdzie się ukryć, wskoczyła do studni. Gdy ją wyciągnęli, już nie żyła. Pogrzeb dziewczyny stał się wielką patriotyczną manifestacją. Kiedy w kościele spoczywała w trumnie zarzuconej kwiatami, wszedł raptem nieznanemu nikomu elegancki pan w czarnym garniturze, złożył kwiaty, na trumnie położył order *Virtuti Militari* i znikł. Na pogrzebie zebrały się tłumy narodu.

Brat mój Józef, lekarz internista, znany był w Zamościu także jako pediatra. Widziałam wiele kobiet, które przychodziły do niego z niemowlętami. Podczas okupacji zdarzył się taki wypadek: zachorowało dziecko esesmana, komendanta miasta Zamościa. Leczyło je wielu lekarzy, oczywiście niemieckich, bo Niemcy do Polaków nie mieli zaufania. Brat pracował w ubezpieczalni. Pewnego dnia przyszedł do domu blady i przygnębiony; powiedział, że komendant wezwał go do zbadania jego dziecka, bo słyszał od ludzi, że doktor Pieńczykowski to dobry „dziecinnik”. Choroba okazała się groźna, rokowania nie były pomyślne. Wszyscy baliśmy się, żeby w razie śmierci komendant nie kazał rozstrzelać lekarza Polaka. Matka chodziła do kościoła Świętego Krzyża i modliła się gorąco o zdrowie niemieckiego malca. Szczęśliwie dziecko wyzdrowiało. Niemcy powiedzieli, że doktor Pieńczykowski ist gut.

Moją osobą zainteresował się Arbeitsamt. Dostałam wezwanie do stawienia się w kasynie oficerskiej, gdzie miałam pracować jako sprzątaczką i pomywaczką. Niepodjęcie tej pracy groziło wywózką na roboty do Niemiec. Myślałam, jak wybrnąć z tej opresji? Pamiętam, ubrałam się przyzwoicie i poszłam do tego Arbeitsamtu zaopatrzona w świadectwo lekarskie, że jestem chora na serce i mam Hexenschuss¹³. Kiedy pokazałam te papiery, niemiecka urzędniczka podarła je i poleciła, żebym natychmiast stawiała się w kasynie. Poszłam tam i zgłosiłam się do szefa. Gdy się zjawił, powiedziałam,

że ich verstehe und spreche sehr wenig i że ich gehe hier zu arbeiten¹⁴. Potem zapytałam, czy zna francuski? Szef kasyna był oficerem Wehrmachtu, znał język rosyjski i czeski. Odpowiedział, że mają tu dosyć młodych, i zapytał, kto mnie tu przysłał? Powiedziałam, że Niemka z Arbeitsamtu. Zaśmiał się i odrzekł po polsku: „Ona jest głupia”, napisał zaświadczenie, że nie nadaję się do pracy w kasynie i odesłał do domu.

Po tym zdarzeniu szybko ulotniłam się z Zamościa, wyjechawszy do Żdżannego. Byłam tam, kiedy Niemcy wycofali się za Bug i zaczęli opuszczać Zamojszczyznę. Wróciłam do Zamościa i ledwie zdążyłyśmy z moją matką i matką mojej bratowej Pieńczykowskiej, panią Poznańską, wyjechać do Nałęczowa, gdzie brat miał letniskową willę. Jechałyśmy bydłym wagonem, bo wiozłyśmy dwie krowy i zapasy mąki i cukru. Brat ze swoją żoną i dwiema córeczkami: Alinką i Krysią wyjechał do Radecznicy. Zaraz po ich wyjeździe wpadli do Zamościa Ukraińcy, a nie zastawszy nikogo w domu, zdemolowali bratu gabinet. Gdy przybyłyśmy do Nałęczowa, Niemcy właśnie w popłochu z niego uciekali. Była to chwila wielce radosna, a jednocześnie dla mnie niebezpieczna, bo akurat znajdowałam się w drodze ze stacji kolejowej do willi brata, przewożąc wozem mąkę i cukier. Jeden worek cukru wypadł z wozu i trzeba było zawrócić, żeby go zabrać; moja dłuższa nieobecność bardzo zaniepokoiła matkę. Na szczęście nic więcej mi się nie przydarzyło.

Była wtedy straszna susza, tumany kurzu unosiły się w powietrzu, a Niemcy na oślep pędzili przed siebie. Nagle nastąpiła dziwna cisza. Na niebie wisiały nieruchomo balony zaporowe, od strony Puław dochodziły odgłosy artyleryjskich wystrzałów. Podobno Niemcy tam trzymali się jeszcze. Na drugi dzień weszły wojska radzieckie maszerujące na Warszawę. Bez przerwy ciągnęły długie kolumny, a radzieckie kobiety chorągiewkami wskazywały kierunek. Widok był imponujący. Ludność Nałęczowa ze łzami radości i kwiatami witała to wojsko.

Ponieważ zbliżała się jesień, ja z matką postanowiłyśmy opuścić Nałęczów i dołączyć do reszty rodziny znajdującej się na wyzwolonych już ziemiach. Wojskową ciężarówką dotarłyśmy do Krasnegostawu, do opuszczonego przez jakiegoś folksdojczę majątku, którego administracją zajął się szwagier Lewandowski. Byłyśmy u Lewandowskich kilka tygodni, a potem furą pojechaliśmy do Zamościa, dokąd wcześniej powrócił z Radecznicy brat Józef.

W Zamościu spędziłam zimę 1944/1945. Gdy dowiedziałam się, że syn mój Zbyszek uciekł z niewoli niemieckiej i przybył do Sejna, żadna siła nie mogła mnie już powstrzymać, żeby się z nim nie połączyć. Zaczęłam się przygotowywać do wędrowki do syna i własnego domu. Ryzyko

było wtedy duże. Postanowiłam zabrać ze sobą tylko walizkę i niewielki tłumoczek z niezbędnymi rzeczami. Między innymi miałam butelkę spirytusu i kilka ćwiartek wódki. Z Zamościa do Lublina jechałam pociągiem. Tak jak w 1940 roku, zatrzymałam się u bratowej, żony Roberta, i jej siostry. Zaczęłam kombinować, jak się dostać do Warszawy. Nie było innego sposobu, tylko ciężarówką wojskową. Po kilku dniach udało się ją znaleźć, a obsada zgodziła się za wódkę zabrać mnie ze sobą. Można sobie wyobrazić tę podróż. Żołnierze sowieccy wieźli mnie, jak to się mówi: „jak diabeł swoją matkę”. Zatrzymali się na Pradze. Wysiadłam na ulicy Brukowej już w nocy. Była ciemna i pusta, w mroku majaczyły częściowo rozwalone domy ze zwisającymi balkonami, gdzieniegdzie migotało słabe światełko. Ogarnęło mnie przerażenie, cała dygotałam. Podeszłam pod bramę domu, w którym świeciło się okno na piętrze. Brama była zamknięta. Zaczęłam się gwałtownie dobijać. Po jakimś czasie zobaczyłam przez judasza ludzkie oko. Błagałam, żeby mnie wpuszczono chociaż za bramę. Drzwi się otworzyły. Wszedł z nich mężczyzna, prawdopodobnie dozorca. Ujrzawszy samotną kobietę, wziął moją walizkę i po schodach doprowadził mnie do drzwi mieszkania, w którym paliło się światło. Kazał mi pukać i prosić o nocleg, a sam się ulotnił. Otworzyła mi młoda kobieta, przystojna brunetka, powiedziałam, skąd i dokąd jadę, poprosiłam o kąt do przenocowania, deklarując dwieście złotych za tę uprzejmość. Kobieta zaprosiła mnie do pokoju. Zostałam tam dwóch młodych mężczyzn i jeszcze jedną kobietę, blondynkę. Siedzieli przy stole, na którym stała litrowa butelka wódki, leżał chleb i kiełbasa. Kiedy weszłam, panowie powstali i powitali mnie przysłowiem: „Gość w dom, Bóg w dom”. Zaprosili do stołu, napełnili kieliszki i krzyknęli: „Niech żyje AK!”. Wychyliłam kieliszek na cześć AK, zrobiło mi się raźniej na duszy. Podróż w odkrytej ciężarówce bardzo mnie zmęczyła, pragnęłam tylko jak najszybciej położyć się. Położono mi w kącie na podłodze materac. Rzuciłam się na to posłanie, trzymając kurczowo torebkę w ręku, odmówiłam „Pod Twoją obronę” i momentalnie zasnęłam kamiennym snem.

Obudziwszy się nazajutrz, nie zdawałam sobie sprawy, gdzie jestem. Kiedy oprzytomniałam, rozejrzałam się po pokoju. Stwierdziłam, że znajduję się w nowej sytuacji – torebka i rzeczy były w porządku, ale towarzystwo, które mnie przyjęło, zniknęło. W pokoju siedziała staruszka. Zaczęłam z nią rozmawiać. Dowiedziałam się, że straciła syna i zięcia w powstaniu warszawskim i teraz utrzymuje siebie, córkę i wnuczkę z wynajmowania mieszkania przygodnym gościom. Myślałam tylko, żeby jak najszybciej dostać się na Dworzec Wileński i wyjechać do Białegostoku. Po śniadaniu składającym się z czarnej kawy i kanapek przygotowanych w Lublinie przez bratową, którymi podzieliłam się z gospodynią, wynagrodziłam ją za przenocowanie

i poprosiłam o postaranie się o jakąś lokomocję do przewiezienia na dworzec walizki. Córka staruszki przyprowadziła riksę, którą ciągnął zaprzęgnięty do niej człowiek.

Dworzec był pełen ludzi czekających na odjazd jakiegoś pociągu w kierunku Białegostoku. Z tobołami i walizkami siedzieli na gołej ziemi peronów. Ostrzeżono mnie, żeby bardzo uważać na rzeczy, bo sowieccy żołnierze strasznie kradną. Nie pamiętam, jak długo trzeba było czekać, aż wreszcie nadjechał jakiś pociąg. Ulokowałam się na odkrytej platformie. Pociąg ruszył, jak się okazało, w kierunku Siedlec. Przejeżdżaliśmy przez Treblinę, znaną z obozu zagłady Żydów. Potem przeprawialiśmy się promem przez rzekę i wsiedli do drugiego pociągu, który zatrzymał się w nocy jakieś pięć kilometrów przed stacją w Białymstoku. Od tej podróży pomagali mi jadący również do miasta dwaj młodzi chłopcy. Poznałam też osobnika, który mówił, że walczył pod Tobrukiem, a teraz jest jakimś komendantem. Ten bohater zaofiarował mi swoją opiekę i nocleg u siebie w Białymstoku, bo miał tam żonę i mieszkanie. Poprosiłam go, żeby i chłopcy, którzy nieśli moją walizkę, mogli u niego przenocować, na co się zgodził. Rzeczywiście, zaprowadził nas do siebie, a żona przygotowała dla mnie łóżko. Byłam zachwycona jej gościnnnością.

Na drugi dzień z rana moi chłopcy ulotnili się. Zatem zostawiłam na razie swoje rzeczy, zanotowałam nazwę ulicy i numer domu i poszłam do siostry Pankiewiczowej na Koszykową. Nie wiedziałam, czy ją zastanę, czy Pankiewiczowie nie zostali wywiezieni przez Sowietów, czy ich dom ocalał w bardzo zniszczonym mieście. Ten na szczęście stał i oni w nim byli. Jakież było zdziwienie, gdy się pojawiłam. Skąd się wzięłam? Opowiadaniom nie było końca. Pankiewiczowie zaniepokoiли się, gdy powiedziałam, że zostawiłam rzeczy u przygodnie poznanego człowieka. W mieście grasują złodzieje i rabusie, właśnie tej nocy na ich ulicy była strzelanina. Usłyszawszy więc o moim bagażu, szwagier szybko się ubrał i kazał zaprowadzić pod zanotowany adres. W mieszkaniu była żona owego komendanta. Obwiązane sznurami walizka i tobolek zdawały się być nietknięte. Kiedy u Pankiewiczów rozpakowałam walizkę, okazało się, że nie ma w niej ubrania i bielizny. Pozostały natomiast wiktuały, w które zaopatrzone mnie w Zamościu: masło, ciasto i kilka butelek alkoholu.

Właśnie ta pozostawiona wódka umożliwiła mi dojechanie do Sejna. Z daleka pokazywałam ćwiartki kierowcom przejeżdżających drogą sowieckich ciężarówek i pytałam o kierunek jazdy, na ogół samochody zatrzymywały się, a żołnierze mówili: „No, sadis’, matuszka”. Tak w ciągu dnia dojechałam z Białegostoku do Suwałk. Na szczęście zastałam tam doktorostwo Morozów, naszych przyjaciół, i zatrzymałam się u nich kilka dni. Z Suwałk do

Sejn jechałam karetką. Tłukłam się w niej cztery godziny. Zamieszkałam początkowo u wspomnianej już kuzynki Jadwigi Dąbrowskiej, której wcześniej, jeszcze wtedy, kiedy miasteczko było okupowane przez Niemców, udało się tam przedostać z zajętego przez Sowieców Augustowa. W moim domu zakwaterowali się sowieccy oficerowie.

Mój młodszy syn Zbyszek był nauczycielem w oddalonej od Sejn o dwadzieścia kilometrów wsi Frącki w Puszczy Augustowskiej. Uciekły od Niemców, usiłował przedrzeć się do Warszawy, do powstania warszawskiego, a gdy się to nie udało, przedostał się na wyzwolony już skrawek Suwalszczyzny. Razem z jednym z nielicznych ocalałych tam nauczycieli, panem Antonim Żegarskim, zorganizował szkołę w leżących na skraju puszczy Gibach, a potem już samodzielnie w owych Frąckach, tuż za przebiegającym przez jezioro Serwy frontem sowiecko-niemieckim. Po przesunięciu się frontu na zachód na terenie puszczy podjęła działania, tym razem przeciwko Sowiecom i narzucanej przez nich komunistycznej władzy, polska partyzantka AK, potem WiN. Dla mieszkańców puszczańskich wiosek były to ciężkie czasy. W lecie 1945 roku Sowieci przeprowadzili wielką obławę na partyzantów. Do lasów weszły wycofane z Prus Wschodnich sowieckie wojska. We Frąckach stanął cały sztab. Partyzantki nie zlikwidowali, natomiast aresztowali, a następnie wymordowali, gdyż zaginął po nich wszelki ślad, wielu ludzi według sporządzonych przez NKWD list. Na tych listach znalazł się również Zbyszek, ale udało mu się uciec i schronić w Białymstoku na zorganizowanym tam wakacyjnym kursie dla nauczycieli. Mimo moich nalegań i zaoferowaniu mu posady w Sejnach i Suwałkach, po zakończeniu obławy powrócił do swoich Frącek. W następnym roku został uwięziony i kilka tygodni przetrzymywany w piwnicach UB w Suwałkach. Zarzucanej mu przynależności do partyzantki nie potrafili mu udowodnić i ostatecznie zwolnili. Po tym doświadczeniu Zbyszek zdecydował się wyjechać do Warszawy. Podjął studia humanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, został dziennikarzem, redaguje czasopismo dla młodzieży „Młody Technik”.

Starszy mój syn Konrad, który po ukończeniu gimnazjum w Suwałkach ukończył szkołę mechaniczną w Wilnie, został wydany przez Litwinów Niemcom i wysłany na roboty przymusowe do Lipska, gdzie pracował w bardzo ciężkich warunkach w odlewni żelaza. Przeżył tam ciężkie bombardowania lotnicze. Gdy Lipsk został zajęty przez Amerykanów, zgłosił się do Armii Polskiej na Zachodzie i skierowany do Włoch, do Drugiego Korpusu generała Andersa. Wojna zbliżała się ku końcowi, władze wojskowe skierowały Konradka na studia na politechnice w Turynie. Studiował na wydziale mechanicznym. Po zakończeniu wojny z całym korpusem generała Andersa znalazł się w Anglii. Stamtąd wrócił do kraju i rozpoczął pracę

w Biurze Konstrukcyjnym Przemysłu Motoryzacyjnego w Warszawie. Obecnie jest starszym inżynierem normalizacji w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji. Jako normalizator uczestniczy w międzynarodowych konferencjach. Ponieważ zna włoski, tłumaczył dokumentację techniczną, potrzebną do rozpoczęcia w Polsce wyrobu włoskich samochodów firmy „Fiat”.

Wracam do moich losów. Po krótkim pobycie u kuzynki Jadwigi Dąbrowskiej wróciłam do swojego domu. Był on jeszcze częściowo zajęty przez sowieckich oficerów, ale uznali moje prawa choziajki, udostępnili jeden pokój i pozwolili korzystać z kuchni. Odzyskałam też ogród. Podczas okupacji moją posesję zajął Niemiec Fischmeister, zarządca pobliskich stawów rybnych. Mieszkanie urządził według swego gustu. W ogrodzie nad Marychą znajdowało się mauzoleum zmarłego tragicznie mego syna Wojsława, który w pozostawionym liście wyraził pragnienie, żeby tam go pochować. Niemiec zniszczył grobowiec, wyrzucił trumnę, kazał porąbać krzyż stojący nad sztuczną sadzawką i piękne, rosnące nad nią wierzby, zrównał z ziemią klomb obsadzony różami i otoczony granitowymi słupkami z przeciągniętym przez nie grubym, żelaznym łańcuchem. Cały ogród zaorał. Bratowa moja, która do Sejn wróciła jeszcze podczas okupacji, po wywiezieniu do obozu jej męża i syna, pochowała Wojsława w rodzinnym grobie na nowym cmentarzu razem z przesłanymi jej z Gusen prochami swego męża Roberta i syna Mariana.

Dom był ogołocony. Część wyrzuconych przez Niemca moich mebli zabrali mieszkańcy zamieszkałej przez biedotę tak zwanej Koziarki, której drewniane domy strawił doszczętnie wzniecony przez Niemców pożar. Część cenniejszych rzeczy – piękna ćmielowska porcelana, kilka obrazów, w tym jeden znanego malarza Józefa Ryszkiewicza – została w końcu sierpnia 1939 roku zakopana. O miejscu ukrycia wiedział zatrudniony przez męża przy urządzaniu ogrodu-mauzoleum, a potem przy jego pielęgnacji, niejaki Pietranis, Litwin z pobliskiej wsi Zagówiec. Mąż darzył go pełnym zaufaniem i właśnie ów Pietranis miał czuwać nad naszym dobrem podczas naszej nieobecności w Sejnach. Okazał się jednak chętnym i usłużnym współpracownikiem Niemców, którym wydał schowane rzeczy. Ciężko mi było bardzo samej. Od głodu ratował mnie Zbyszek. Za naukę w tej swojej szkole we Frąckach nie dostawał wprawdzie żadnego wynagrodzenia, ale rodzice uczniów przynosili mu jajka, sery, ryby, mięso upolowanej w lesie dziczyzny. Dostarczał mi te wiktuały, kiedy przyjeżdżał, żeby spędzić ze mną niedzielę.

Wkrótce i w Sejnach została zorganizowana szkoła podstawowa w której zaangażowano mnie jako nauczycielkę. Pracowałam w niej pół roku. Później mój brat Józef Pieńczykowski przywiózł do Sejn z Zamościa matkę.

Zostawił ją pod moją opieką, zapewniając nam obu utrzymanie. Musiałam zrezygnować ze szkoły, bo matka była ciężko chora na raka wątroby. Zmarła w 1953 roku i została pochowana w grobie rodzinnym obok swego męża. W tym czasie powstało w Sejnach liceum ogólnokształcące i brakowało w nim nauczyciela języka rosyjskiego. Ponieważ byłam osobą najlepiej w miasteczku znającą ten język i miałam przyznane mi jeszcze za caratu uprawnienia do jego nauczania, powierzono mi ten przedmiot, dodając jeszcze naukę rysunku technicznego. Uczyłam w latach 1953–1955. Były to czasy stalinowskie.

Należało uważać na szpiclów, którzy znajdowali się nawet wśród uczniów, a podczas często przeprowadzanych wizytacji trzeba było lekcje upolityczniać i pisać konspekty. Praca nauczycielska była wtedy bardzo ciężka. Jednak wszelkie trudy wynagradzała młodzież. Chociaż buntowała się przeciwko narzucanym politycznym treściom, nie chciała na pierwszomajowych akademiach popisywać się wierszami o Stalinie, to jej stosunek do mnie był bardzo serdeczny. Jeszcze dzisiaj moi uczniowie pamiętają o mnie i przy spotkaniach dzielą się miłymi wspomnieniami. Ja też ich lubiłam. Jeden z ostatnich przybyłych do szkoły przed moim z niej odejściem wizytatorów powiedział, że miałam dobre podejście do młodzieży, bo ujmowałam ją piosenką. Zawsze przy końcu lekcji śpiewaliśmy piosenki tak rosyjskie, jak i polskie. Prowadziłam w liceum Polski Czerwony Krzyż, jeździłam z młodzieżą na wykopki, do sadzenia lasu, razem z matematykiem Moraczewskim odbyliśmy z młodzieżą wycieczkę na Wybrzeże, płynęliśmy statkiem na Hel, zwiedzili Gdańsk, Oliwę, Sopot, Gdynię, Westerplatte.

W 1955 roku na moje miejsce przyjęto rusycystę wykształconego już w Polsce Ludowej. Ja znalazłam zatrudnienie w ośrodku zdrowia, który po wojnie zorganizował w Sejnach doktor Edward Rittler. Pracowałam jako inwententka. Ośrodek znajdował się przy ulicy Zawadzkiego. Był to piętrowy budynek mieszczący izbę chorych i porodówkę. W pierwszej można było pomieścić piętnaście osób, w drugiej – osiem do dziesięciu. Najgorzej było ze stołowaniem chorych. Z początku przynosiło się obiady od sióstr zakonnych z klasztoru, ale władze zażądały, aby chorzy dostawali pokarmy przyrządzane na miejscu. Trudno było znaleźć pomieszczenie na kuchnię, ale w końcu udało się ją urządzić w pokoju wydzierżawionym w domu blisko ośrodka. Zatem zorganizowałam tę stołówkę. Pracowałam w tym ośrodku zdrowia dwa i pół roku. Ponieważ było mi już za ciężko, a nabyłam prawo do emerytury, wyszłam z ośrodka jako rencistka drugiej grupy.

Niestety, wkrótce musiałam pozbyć się swojej ojcowizny i opuścić kochane Sejny z powodu brak pieniędzy na kapitalny remont domu i drugiego budynku gospodarczego. Był on murowany i miał piętro, na którym

znajdował się pokój mieszkalny i taras z pięknym widokiem na klasztor i sejneńskie jeziora. Z tego powodu budynek nazywano Belwederem. Przed wojną mieliśmy swój brzeg rzeki Marychy. Mąż zbudował na nim łazienkę i urządził przystań kajakową, z której – gdy za jego sprawą zaczęła się rozwijać na Suwalszczyźnie wodna turystyka – korzystali goście z Warszawy, a nawet Poznania, spływający Marychą do Czarnej Hańczy, a potem do Niemna i do Druskiennik, które wtedy należały do Polski. Gościem tej naszej przystani była między innymi pisarka Wanda Miklaszewska, autorka poczytnej swego czasu powieści *Czarna Hańcza*. Ciężko było rozstać się z Sejnami i sprzedać posesję.

Po wyjeździe z Sejn jako rencistka zamieszkałam u starszego syna w Falenicy, z dala od zgiełkowej Warszawy. Tu spisałam te swoje wspomnienia.

Często myślę, gdzie spoczęły prochy mojego męża Frania. Chyba nie dowiem się już tego nigdy. Jego mogiła pozostanie grobem nieznanego żołnierza, bohatera, który od dziecka walczył o Polskę. Podczas strajku szkolnego rozpedził rządowe seminarium nauczycielskie na Solcu w Warszawie, za rozprowadzanie nielegalnej bibuły był carskim więźniem w warszawskiej cytadeli, w 1920 roku brał czynny udział w walce z najazdem bolszewickim na Polskę. Już w czasie pierwszej wojny światowej organizował polskie szkolnictwo na Zamojszczyźnie, sekretarzował na sejmie nauczycielskim w Radomiu. Po chlubnie ukończonych wyższych studiach stał się ogólnie szanowanym świetnym pedagogiem i polonistą w Rogoźnie, wreszcie długoletnim inspektorem szkolnym w powiatach suwalskim i augustowskim. Człowiek wielkiego serca, kochający żonę i ojciec. Ofiara stalinowskiego ludobójstwa. Cześć Jego pamięci.

Wszystko, co napisałam, jest szczerą prawdą, prawdziwe są przytoczone fakty i zdarzenia. Ten krótki, może trochę chaotyczny i nieliteracki opis mojego życia pozostawiam potomstwu.

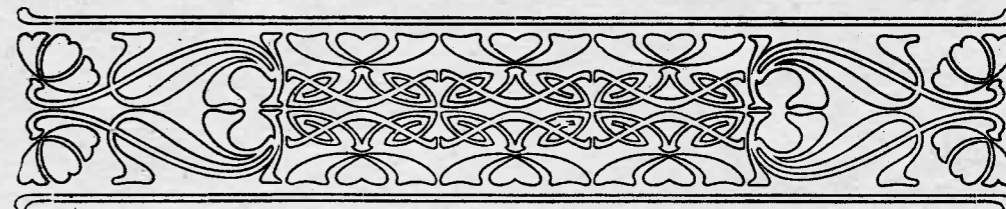
Żona Franciszka Przyrowskiego: Salomea.
Falenica, 1972

Przypisy

- 1 Przychodzę do was z pełnym bagażem wiedzy (z ros.).
- 2 Najprawdopodobniej chodzi o Katona Młodszego (96–46 p.n.e.), polityka rzymskiego, wroga Cezara, moralistę, zwolennika stoicyzmu. Występuje on m.in. w eposie historycznej poety Lukana (39–65) pt. *Farsalia* jako najdoskonalszy wzór mędrca stoickiego.
- 3 Kazionnaja pałata (ros.) – izba skarbowa.

- 4 Pedel – dawniej woźny w zakładzie naukowym.
- 5 Car się przestraszył i wydał odezwę: martwych na wolność, żywych do więzień (z ros.).
- 6 Barysznia! (ros.) – panienko!
- 7 Dużo macie takich chorych? On zaraz umrze (z ros.).
- 8 Sztajnbot (niem. Steibutt) – turbot, skarp, ryba flądroształtna z rodziny skarpiowatych.
- 9 Pau – właściwie: ośrodek administracji departamentu Pyrénées-Atlantiques, region Akwitania.
- 10 Zapewne chodzi o wydany po wojnie podręcznik *Hydrobiologia ogólna* (1952), opracowany przez L.K. Pawłowskiego.
- 11 Wróc na dworzec! (z ros.).
- 12 Liegenschaft (niem.) – majątek nieruchomy, nieruchomość.
- 13 Hexenschuss (niem.) – lumbago.
- 14 Rozumiem i mówię [po niemiecku] bardzo słabo [i że] przychodzę tu do pracy.





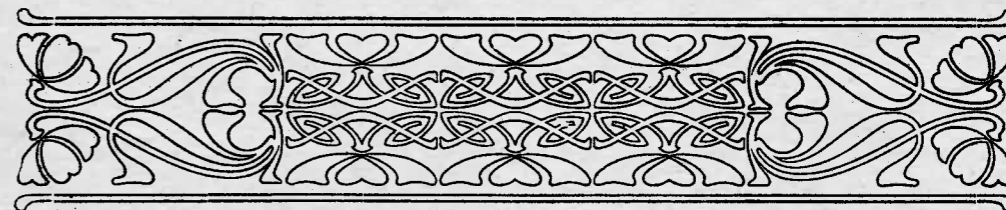
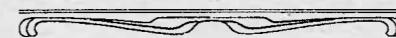
Powracający



ZDZISŁAW BYKOWSKI

ARNOLD MARKOWITZ

ZBIGNIEW PRZYROWSKI





Rodzice Autora, Sejny, 1945 r.

ZDZISŁAW BYKOWSKI

Moje Sejny

Straipsnio autorius Zdzisławas Bykowski kilęs iš Seinų jau 42 metus gyvena Žemutinėje Silezijoje.

Aprašinėja kelionę į Seinus, tiksliau į Koziarki, tai Seinų dalis kitoje pusėje upės Marychos. 1951-1966 metais gyveno Elke. Labai gerai prisimena, nors buvo dar vaikas, kaip važiuodavo traukiniu į Suvalkus o paskiau užsigrūdusiu, pilnutėliu žmonių autobusu į Seinus pas Balewiczy. Čia atvažiuodavo atostogauti giminaičiai iš Balstogės ir Zdzisławo draugai iš Elko.

Zdzisławas sako, kad lietuvių kalbos neišmoko, todėl, kad gal jaunystėje buvo per kvailas. Vėliau rūpinosi vaikais, o dabar jau per vėlu. Labai jam nemalonu buvo stebėti nesusipratimus dėl mišių lietuvių kalba Seinų bazilikoje, dėl Lietuvių namų statymo, dėl vyskūpo Baranausko paminklo. Buvo šokiruotas, kai 90 metų pradžioje pamatė ant sienos užrašytus necenzūruotus užrašus. Tiki, kad demonų laikotarpis jau praėjo. Namuose buvo kalbama ir apie žydus. Vyresnės tetos su simpatija kalbėjo apie bendravimą su jais.

Ponas Zdzisławas maloniai prisimena namą, kuriame praleisdavo atostogas, sodą, Marynowo laukus, kaip padėdavo dirbti prie rugiapjūtės, koks tada skanus buvo maistas. Nuostabu buvo miegoti ant šieno kluone, tik reikėjo savaitę laukti kol išsikvėps žolių, pievų gėlių aromatai, nes tai buvo pavojinga sveikatai, po to galima buvo nepabusti.

Jo šeima buvo religinga. Pasninkaudavo. Ant šventinio stalo visada turėjo būti lydeka su įdaru. Senelė kvietė anūkus prie stalo ir iš žuvies galvos išimdavo po kauliuką, vadindama juos: kryželis, vinys, plaktukas, netgi kopečios, tai Kristaus Kančios įrankiai. Kitas įdomus ritualas - kada pavasarį ant stalo buvo žalumynai, senelė prieš valgį mediniu šaukštu kiekvienam anūkui lėtai suduodavo į kaktą...

Toliau Zdzisławas pasakoja apie savo nuotykius Seinuose, apie kluono statymą, malkų skaldymą, cepelinų ir kitų neelinių patiekalų valgymą, apie saulės užtemimą ir audras.

1980 metais Zdzisławo tėvai iš Žemutinės Silezijos persikėlė gyventi į Seinus. Apsigyveno pas tetą Kazią. 1989 metais visa Zdzisławo šeima stovyklavo Žagaruose prie ežero Dusaitis. Jis su puseserės vyru visą naktį sėdėjo prie laužo ir stebėjo gamtą, magišką aušrą. Žavėjosi nepaprastu vaizdu ir Seinų dangumi naktį.

Prieš dešimt metų kai Zdzisławas norėdamas išaiškinti čekams savo kilnę ant popierinės servetėlės nupiešė ne tik Lenkijos bet ir Europos žemėlapi. Nes: mama kilusi iš Lenkijos-Lietuvos pasienio, iš Seinų, tėvas nuo Gardino (dabar Baltarusija). Tėvai susipažino Prūsijoje, išvežti buvo darbams. Zdzisławas gimė Warmijos vaivadijoje o išaugo Mozūrijoje. Jau virš 40 metų gyvena Žemutinėje Silezijoje, o jo žmona yra kilusi iš Terespolo (dabar Ukraina). Pašnekovai buvo labai nustebę, tokia painiava. Bet juk Zdzisławo likimas nėra kažkoks ypatingas, Lenkijoje yra daug tokių šeimų.

Pabaigoje autorius prisipažysta prie mirtinos nuodėmės. Seinai jam ne vienintelė stebuklinga vieta pasaulyje. Sąžiningai išvardija ir kitas. Elkas, kur gyveno iki 20 metų, kaimas prie Olecko (pas tetą Gienia atostogos), Augustavos-Lipowiec (šeimos draugai, atostogos). Na ir pagaliau nuo 1967 metų nuostabus miestas Žemutinėje Silezijoje. Bet vieta prie Marychos užima ypatingą vietą jo širdyje.

Dėkoja Kūrėjui už Tokius Seinus, Tokią šeimą ir Tokius Koziarki vietovės gyventojus.



dlaczego w mieście na Dolnym Śląsku, w którym mieszkam od czterdziestu dwu lat, niewiele jest osób, które nie wiedzą, że w rozmowie w żadnym wypadku nie wolno pozwolić mi na poruszenie tematu Sejn?

Dlaczego lubańska pielgrzymka do Wilna nadrobiła drogi, aby zajechać do Sejn, odwiedzić bazylikę, przespacerować po centrum, ciągle powtarzając, że to są właśnie owe „Sejny Zdzicha”?

Dlaczego lubańscy licealiści podczas corocznych spływów kajakowych, jeśli akurat trasa wiedzie Czarną Hańczą, na jeden dzień porzucają łodzie, ładują się do autobusu, aby zajrzeć do Sejn? Spróbuję się z tego wytłumaczyć.

Ze strony mamy, czyli po kądzieli, pochodzę z Balewiczów z Koziarki. To część Sejn położona po drugiej stronie Marychy. Jej nazwa pochodzi z odległych czasów, kiedy podobno hodowano tam dużo kóz. Zwierzę to zwykle kojarzy się z ubóstwem. I pewnie w tym wypadku miało to swoje uzasadnienie. Sporą część mieszkańców Koziarki stanowili bowiem gospodarze uprawiający liche spłachetki lichych gruntów.

Do Sejn jeździłem od najmłodszych lat. Na każde wakacje i większość świąt.

Wyprawa

Wyjazd do Sejn to zawsze była wyprawa. Z Elku, gdzie mieszkalem z rodzicami w latach 1951–1966, wiodły tam dwie trasy. Jedna przez Olecko

i Suwałki, druga przez Augustów (jeszcze z przejazdem przez Poćkuny). Przeważnie wybieraliśmy wersję przez Suwałki. W pociągu całą drogę siedziałem z nosem przy oknie i regularnie zaglądałem do przedziału z meldunkami dla rodziców o zbliżających się stacjach. Chyba w ogóle nauczyłem się czytać z ich kolejnych tabliczek. Przed dworcem w Suwałkach rozpoczynał się wyścig podróżnych do dorożek. Było ich kilkanaście. I nie wszystkich było na nie stać. Więc i my korzystaliśmy z nich rzadko. Ale przejazd nimi to było przeżycie. Wiele lat później zastanawiałem się, jak te pojazdy uchowały się przez wojnę i lata PRL-u. Nie były bowiem żadnymi podróbkami, ale oryginałami, niczym z Gałczyńskiego. Czarne, wygodne, miękko resorowane – uginały się nawet, gdy wsiadałem jako brzdąc – z wysokim kozłem woźnicy i miękką kanapą dla podróżnych. Przed deszczem pasażerów chronił wachlarzowo podnoszony dach. Dobrze utrzymane konie – a w tamtym wieku „znałem się” na nich, jak mało kto – miały bogatą, błyszczącą uprząż. Koła były już pneumatyczne, więc jechało się naprawdę komfortowo. U reszty podróżnych następowało sprawiedliwe, według płci i wieku, rozdysponowanie bagaży. Ruszaliśmy w kilkukilometrowy kłus na dworzec PKS-u przy parku miejskim. Co odważniejsi próbowali skrócić sobie drogę, przechodząc przez torowisko, ale zwykle czaili się tam groźni funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei („A dokąd to, obywatelu? Pozwólcie...!”).

Zawsze obładowany, z poczuciem że od bagaży wydłużają mi się ręce, na mdlejących nogach, przejście do przystanku autobusowego wspominam jako mordęgę. Bo przejść, to była część zadania. Należało się też śpieszyć, by wyprzedzić innych. Przed budynkiem dworca tato zarządzał odpoczynek na walizkach, a sam ginął w tłumie kłębiącym się przed kasami biletowymi. Te kolejki były zawsze, odkąd pamiętam nasze wyjazdy do Sejn. Po nie wiem jakim czasie tato wynurzał się z trzewi dworca i komunikował, że dostał bilety na co najwyżej trzeci lub czwarty autobus odjeżdżający po naszym przyjeździe ze stacji. Więc czekaliśmy cierpliwie, obserwując kolejne bitwy o wejście do pojazdów. Przeżywaliśmy swoją, gdy podstawiali nasz autobus. A w środku ścisk niemiłosierny. W moich latach dziecięcych pekaes korzystał z pochodzących z demobilu wojennego autobusów marki Chausson. Były niskie, podobne do wydłużonych owadów. Miały małe okna. Za to na każdym oparciu fotela – „dla wygody pasażerów” – były umocowane... popielniczki. I większość męskiej części pasażerów podczas jazdy paliła! I to przeważnie sporty, które Wiech nazywał drobno krojonymi podkładami kolejowymi, w owym czasie drewnianymi, nasączonymi ropą. I było to normalne, nikogo specjalnie nie raziło. Czasem wypadło, że miałem miejsce „oczywiście stojące” tuż za kierowcą. Gdy minęliśmy Stary Folwark, czekało na mnie widowisko. Na licznych prostych odcinkach widziałem falującą na pagórkach jezdnię.

Moja Mama
Jadwiga,
ok. 1958 r.



Mój Tato Antoni,
ok. 1945 r.



Z obu stron strzegły ją szpalery charakterystycznych wierzb. Wszystkie odchylały się na zewnątrz, a korony miały jakby specjalnie огоłocone od wewnątrz drogi. Zawsze mnie zastanawiało, czy był to ślad ręki człowieka, czy same drzewa odwracały się od kopających pojazdów, chociaż w tamtych czasach jeździło ich przecież tak niewiele. Potem droga została poszerzona, brukowana jezdnia pokryta asfaltem, a pagórki ścięte. Z tego powodu dla mnie trasa straciła sporo uroku.

Podczas pokonywania tego odcinka wyprawy w mojej rodzinie przyjęła się zabawa, kto pierwszy zauważy wieże klasztoru na Wigrach, a następnie – sejneńskiej bazyliki. Nagrodą była wyłącznie satysfakcja z własnej spostrzegawczości. Wiele lat później tę konkurencję odziedziczyły moje dzieci...

I wreszcie Sejny! Znowu podział bagaży i spacer na Koziarkę. I jak zwykle po drodze, przed Maryczą, krótkie powitanie z pochylonym nad kowadłem, zaprzyjaźnionym panem Gausem. Na rogu Młynowej – wymiana ukłonów z kimś z państwa Kalinowskich. A za skrzyżowaniem w Gumienną – powitania z zaciekawionymi sąsiadami dziadków. Do Balewiczów przyjechali goście!

Ledwie kończyło się ściskanie („Ale on urósł!”), już dopytywałem o kolegów i o to, kto przyjechał z naszej rodziny. Napomnienia: „Ależ posiedź choć chwilę! Zjedz coś! Nie wypada tak od razu lecieć!”, słyszałem będąc już w sieni. Szybki obchód gospodarstwa, przywitanie z psem i końmi („Bułan” i „Kasztan”) i po sąsiadach... Mój kuzyn Stach Balewicz, Marek Czeszkiewicz (po latach dowiedziałem się, że metrykalnie ma na imię Marian), Teresa i jej bracia bliźniacy Józek i Piotrek Hawro, Stach i Janek Radzewiczowie, to najbliżsi sąsiedzi i towarzysze zabaw. Często zdarzało się, że równoległe ze mną do Sejn zjeżdżali też kuzyni z Białegostoku: Halina i Waldek. Ponadto część wakacji spędzali tu u rodziny Andrzej i Zygmunt Dudyńscy, moi przyjaciele z ełckiego podwórka. Na brak towarzystwa nie miałem więc prawa narzekać.

Jednak z moim czasem na zabawę bywało różnie, bowiem rodzice, gdy nie mieli ważniejszych prac polowych (sianokosy czy żniwa), odstawiając mnie, wracali do Ełku. I naturalnie, a dla mnie oczywiście, angażowali



Moja Mama
i prababcia Rozalia
z domu Klucznik,
lata 30. XX w.



Dziadek Józef

mnie tutaj do prac domowych lub polnych. Więc pasalem gęsi lub świnię (przeważnie je gubiłem) lub chodziłem przewiązywać krowy, gdy pasły się na Koziarce i jak zwykle przez moje gapiostwo lub zaczytanie wchodziły w szkodę. Notabene, nie rozumiem, dlaczego wielu ludzi wstydzi się przyznawać do tych zajęć.

Rodzina

Zabudowania Balewiczów leżą w środkowej części ulicy Konopnickiej (dawniej Gumiennej), w stronę wsi Zaleskie. Obok siebie mieszkali mój dziadek Adam (1883–1955) i dziadek stryjeczny Józef (1892–1977). Ich brat Stanisław, urodzony w 1898 roku, w czasie Wielkiego Kryzysu wyjechał do USA i za moich lat kontakt z tą gałęzią rodziny stawał się sporadyczny. Mój pradziadek z linii męskiej Dominik Balewicz zmarł w 1931 roku. Prababcia Rozalia pochodziła z rodziny Kluczników, a babcia Anna (1889–1965) wywodziła się z rodziny Buchowskich.

Opatrzność obdarowała dziadków obficie, bo aż sześcioma córkami: Anielą (1913–1990), po mężu Ruczko; Jadwigą, moją mamą (1916–1959), po mężu Bykowską, Kazimierą (1919–2009) po mężu Soroką; Heleną (1922–1989) po mężu Bykowską (moją matką chrzestną), która po śmierci mamy wyszła za mojego tatę, oraz Marią (1925–1930) i Eugenią (1931–2010) po mężu Kaczyńską. Natomiast dziadkowie stryjeczni wychowali dwie córki: Genowefę Pisanko i Józefę Korbut.



Ciocia Gienia, moja Mama Jadwiga, ciocia Kazia, ciocia-mama Helena i ja, 1957 r.
W głębi widok na stajnię i obory

Wiem na pewno, że któraś z moich praprababek była rodowitą Litwinką, ale za młodu nie pomyślałem, by o to pytać świadków. Teraz już na to za późno, co wcale nie znaczy, że jestem mądrzejszy.

W moim obecnym wieku zastanawiam się, dlaczego dane mi było mieć taką rodzinę. Zawsze miałem wokół siebie poczucie bezpieczeństwa, troskliwość i uczynność. Nigdy nie słyszałem jakichkolwiek kłótni czy nawet nieporozumień. Wszystkie ciocie, choć miały różne i naprawdę wyraziste temperamenty, obdarzały mnie ciepłem i życzliwością.

Faworyt dziadka Adama

Pamiętam dziadka Adama. Miał postawę i temperament sarmaty. Był krępej budowy ciała, miał sumiaste wąsy. Bardzo mnie hołubił. Kiedyś kilkuletni Zdzisio wziął do ręki spory patyczek i obchodząc chatynkę, zaczął metodycznie wybijać szyby. Z domu wybiegła zaniepokojona rodzina. Dalejże na mnie krzyżeć. Dziadek wszystkich uciszył, oddał mi patyczek i... dopilnował, abym dokończył dzieła. Podobno byłem z siebie bardzo dumny. Następnie dziadek spokojnie zabrał się za szklenie okien.

Dziadek zrobił mi też sanki. Był to majstersztyk, bowiem – oprócz mocowań płóz – nie użył ani jednego gwoździa. Co prawda ja marzyłem raczej o kupnych sankach, ale tę niedogodność rekompensowała lekkość dziadkowych i ich bezkonkurencyjne osiągi. Zmarł, gdy miałem osiem lat.

Babcia Anna
(1889–1965)
i dziadek Adam
(1883–1955)



Babcia Anna

Była to wysoka, szczupła osoba. O ile dziadek miał żywiołowy charakter, o tyle babcia była uosobieniem spokoju. Na zewnątrz nie okazywała uczuć; nie pamiętam, aby kiedykolwiek podniosła głos, nawet gdy psociłem. Wystarczyło jej uważne spojrzenie. Absolutnie nie było w tym najmniejszego elementu strachu czy – broń Boże – kary. Chyba właśnie tym opanowaniem dawała mi sygnał, jak bardzo mnie kocha, i że powinienem się uspokoić. Zawsze działało.

Od babci Anny otrzymałem też chyba najlepszą lekcję modlitwy. Jej bezgłośna rozmowa z Bogiem nie miała w sobie nic z ostentacji. Znajdowała na nią czas, gdy nikogo nie było w pobliżu. Jakby nie chciała kogokolwiek krępować swoimi sprawami. Jej modlitwa była w niewytłumaczalny sposób naturalna i oczywista.



Balewiczówny: ciocia Kazia, moja Mama Jadwiga, ciocia Józefa (córka Józefa),
ciocia Kazia, czasy wojny

Ciocia Kazia i wujek Piotr

Za mego dzieciństwa z sześciu córek dziadków żyło pięć. Cztery wyszły za mąż i „poszły na swoje”. Na gospodarstwie została ciocia Kazia. Wyglądało na to, że nie jest jej dane założyć rodzinę. I że los przywiązał ją do gospodarstwa. Chyba na przełomie 1956 i 1957 roku pojawił się pan Piotr Soroka (1909–1976). Samotny, przyjechał z Litwy w ostatniej turze repatriacji. Jakoś ich zeswatano. Oboje w dojrzałym już wieku pobrali się w 1957 roku. Ich związek wyglądał może na małżeństwo z rozsądku, ale spędziłem z nimi wystarczająco dużo czasu, aby nabrać podziwu wobec widocznego wzajemnego szacunku, wsparcia, przywiązania i może nie okazywanego, ale silnego uczucia. Tak się złożyło, że nie mieli dzieci.

Lubiłem wieczory z wujostwem. Po kolacji ciocia krzątała się przy ciągle zaległych pracach domowych. Wujek siadał za stołem. Rozkładał przed sobą kupkę liści tytoniu, flanelowy woreczek na machorkę, małą deseczkę, stosik równo przyciętych gazet i ostry niczym brzytwa kozik. Brał do ręki kilka liści, odcinał z nich resztki łodyg i grubsze żyłki. Ściśle je zwijał, kładł na deseczce i kroił na cienkie włókienka. Przygotowany na następny dzień zapas upychał w woreczku. Na koniec kładł szczyptę tytoniu na wygiętą w kształcie litery „u” karteczkę. Zwijał ją i starannie ślinał, aby tutka trzymała się. Odpalał. Przez chwilę na brzegu papierosa pojawiał się mały płomień, natychmiast zdmuchiwany przez wujka. Potem następowało głębokie zaciągnięcie się. Gdy dym dotarł do najdalszych zakątków organizmu, wujek wyjmował papierosa z ust, odsuwał go na odległość wpół zgiętej ręki, chwilę wpatrywał się w żarzący się koniec i całym sobą zdawał się być okazem satysfakcji. Po kilku minutach kuchnia przypominała miejsce po odpaleniu świecy dymnej.

Brak własnych dzieci powodował, że wujkowi często brakowało zrozumienia dla potrzeb zabawy u młodego chłopaka i dąsał się, gdy urywałem się do kolegów. Nie miał też wycucia co do moich zasobów siłowych. W muskulaturze bliżej mi było do Woody’ego Allena niż Arnolda Schwarzeneggera. Nie znaczy to wcale, że mnie bezlitośnie eksploatował! Po prostu nie czuł tego. A ja rozczulać się zbytnio nad sobą nie miałem w zwyczaju.

Sąsiedzi

Moje Sejny to przede wszystkim ludzie. O kolegach już wspomniałem. Jeśli chodzi o dorosłych stara Koziarka stanowiła niezwykle zżytą ze sobą społeczność. Oczywiście zasadą była wzajemna życzliwość i uczynność.



Mama i pani Ramel, czasy przedwojenne

Moja Mama, NN, pani Ramel,
pan Ramel, dzieci NN,
czasy przedwojenne

Nas dzieci trochę to uwierało, bowiem żadna psota nie umykała uwadze sąsiadów.

Z moim tatą blisko przyjaźnił się pan Ramel: czarna, szlachecka grzywa, takież zbójcecki wąsik, zadziorne spojrzenie, ognisty temperament. Mówiono, że podczas wojny był w Armii Krajowej i sam ochoczo zgłaszał się do akcji wykonywania wyroków śmierci na Niemcach i współpracujących z nimi Polakach. Kiedyś zabrał ojca i mnie do lasu i pokazywał ślady partyzanckich ziemianek. Gdy mówiło się o nim, że Niemcy podejrzewając go o leśną działalność, pilnowali jego domu – a on przekradał się w nocy do żony i rano niepostrzeżenie wymykał się z powrotem do leśnych – śmiał się głośno.

Kiedyś jako podrosłego młodzieńca, pod nieobecność moich rodziców, pan Ramel zabrał mnie do podrzędnej baru na piwo. Jak dorosłego. To było coś!

Postrach wśród dzieci budziła malownicza postać Koziarki – pani Waszkis, potocznie nazywana Waszkiską. Nieokreślonego wieku i koloru włosów w ciągłym nieładzie, niedbale ubrana, raczej wyglądała na bakier z higieną. Nie chodziła, lecz wiecznie biegała, przeważnie (przynajmniej latem) boso. Miała jakieś tajemnicze porachunki z sobą, Panem Bogiem oraz światem, bowiem ciągle coś wykrzykiwała – mniej lub bardziej zrozumiale – i do siebie, i do przechodniów. Baliśmy się jej jak ognia. Na sam jej widok już z daleka czmychaliśmy do domów. Ba, nawet starsi, powołując się na nią, skutecznie przywoływali nas do porządku słowami: „Jak nie uspokoisz się, zabierze cię Waszkiska!”. To zawsze skutkowało. Nie wiem, gdzie mieszkała. Po prostu strach było o to zapytać.

Litwini

Z rodzinnych opowieści, których bywałem przypadkowym świadkiem, wiem, że sporo gałęzi rodów Balewiczów i Buchowskich (ze strony babci) wywodziło się z litewskich odnóg. W swoim czasie przyjęło się za normalne, że dziadkowie, dzieląc się jakimiś tajemnicami, przechodzili na język litewski. Żałuję do dziś, że nie poznałem tych powiązań, że nie uszczknąłem szczypty tego fascynująco brzmiącego języka. Widocznie za młodu byłem za głupi. Potem przyjeżdżałem do Sejnu z dziećmi i one mnie absorbowały. Teraz pewnie już na to za późno. Świadkowie odeszli do lepszego świata, więzi się porwały. Ale ucieszyłem się, gdy dowiedziałem się, że jeden z moich współtowarzyszy zabaw wrócił do litewskich korzeni, także nazwiska.

Natomiast z przykrością z oddalenia śledziłem gorszące spory na temat mszy dla Litwinów w bazylice, lokalizacji ich ośrodka kulturalnego czy sprawy pomnika biskupa Baranowskiego. A na początku lat dziewięćdziesiątych wstrząsnęło mną, kiedy zobaczyłem na którejś ze ścian haniebny napis: „Litwini do gazu!”. Mam nadzieję, że okres tych demonów mamy za sobą...

Żydzi

Od najmłodszych lat przy różnych okazjach w domu wspominało się sejneńskich Żydów. Mówiło się o nich z sympatią. Starsze ciocie opowiadały o swoich bliskich przyjaciółkach i ich rodzicach wyznania mojżeszowego. Opowieściom o tragicznym losie żydowskich współmieszkańców towarzyszył ton bezradnego współczucia. Ciocia Kazia często w rozmowach o Sejnie wspominała: „Ten dom był żydowski” i tu wymieniała nazwisko dawnych właścicieli; „Tamto pole było żydowskie”, co mnie zdziwiło, bo zgodnie ze stereotypem, ludzi tych kojarzyło się z handlem lub wolnymi zawodami, ale nie z rolnikami. O rodzinach zajmujących żydowskie domy, wyposażenie mieszkań, lokale usługowe czy pola mówiło się z wyraźną przyganą. Ale nie słyszałem też epitetów.

Wiele lat później uświadomiłem sobie, jak wiele słyszanych u dziadków na co dzień słów i zwrotów pozostawili po sobie żydowscy sąsiedzi. Na przykład, gdy zanadto rozbrykałem się, sforowali mnie: „Nie rób purymu!”. Wówczas nie znałem pochodzenia tego słowa, ale dobrze wiedziałem, że powinienem przestać się wygłupiać. Często mijałem synagogę. Była zawsze zamknięta, podobno używano jej jako magazynu. Z budynku żydowskiej szkoły dobiegał warkot maszyn do szycia – wytwarzano tam kaptcie.

Co do języka

Czas zaciera pamięć o sejneńskich nazwiskach, wydarzeniach, zwyczajach, słowach. Z tych ostatnich zostało kilka. Gromadka dzieciaków to chebra; bąble po oparzeniu – burchle; drewniane chodaki – klumpie; myszkowanie po zakamarkach – szpukowanie (w tym akurat byłem mistrzem).

Gospodarstwo

Zabudowania Balewiczów leżały pośrodku Koziarki, od strony wsi Zaleskie, między domami Hawrów (obecnie Sołomianków) i Czeszkiewiczów. Zabudowania gospodarcze należały do mojego dziadka Adama. Niżej, za ogródkiem, kilkanaście metrów od ulicy, stoi zwrócony do niej szczytem dom dziadka stryjecznego Adama. Do niedawna mieszkał tam przybrany syn dziadka Stach Balewicz (1952–2005). W części tego domu od strony pół mieszkała pani Polakowska z dziećmi: Ireną i Antkiem.

Trudno opisać topografię siedziby rodu. Mapka przypomina bowiem szachownicę gruntów obu dziadków. Przez dziesięciolecia problem nie istniał. Obecnie, po śmierci większości członków rodu Balewiczów, zaczęły się schody z ustalaniem szczegółów schedy. Zaczęę od strony ulicy Marchlewskiego, bo dla mnie tam zaczyna się Koziarka, a kończy w okolicy cmentarzy (jak w życiu?!).

Mniej więcej w połowie ulicy Konopnickiej, w miejscu gdzie droga zaczyna się pochylać w dół, po prawej stronie, nad około metrowej wysokości murem oporowym, stoi równoległe do chodnika dom moich sejneńskich



Zabudowania Balewiczów położone przy ul. Konopnickiej (dawniej Gumiennej), 1985 r.

wakacji. Pośrodku domu znajdują się strome schodki do sieni wejściowej. Metrowej szerokości grządką od krawędzi muru do ściany budynku zawsze pełna była malw, georginii i maciejki.

Za rogiem muru obecnie znajduje się metalowa furtka i brama. Kiedyś brakowało tu ogrodzenia i na podwórze wjeżdżało się bezpośrednio z ulicy. Dawniej miało ono dwa otwarte wjazdy. Przedzierał je mały kwiatnik otoczony prostym płotem z zamocowanych poziomo szerniałych żerdzi. Właściwie używało się wejścia po drugiej stronie domu. Należało więc je obejść, skręcając za domem na stromą ścieżkę. Naprzeciw, a więc patrząc od strony ulicy, znajdował się tam warzywnik. Za nim z kolei do końca działki ciągnął się pas uprawy ziemniaków lub buraków z dwoma rzędami owocowych drzew i krzewów. Między tym kawałkiem ziemi uprawnej a podwórzem rósł rząd rozłożystych bzów, pod którymi kury wygrzebały dziesiątki dziur. Od wsi Zaleskie tę część obejścia zamykała stodoła dziadka Józefa, przesunięta o cały bok w głąb podwórza wobec stodoły jego brata. Między nimi przez starą furtkę można było wyjść na pola.

W tym spacerze po gumnie wróćmy na początek podwórka od strony ulicy. Jego środkowa część zaczynała się od wspomnianego kwiatnika. Za nim, za wąskim przejściem, stał kryty słomą kurnik. W jego osi około dziesięciu metrów dalej znajdowała się głęboka studnia z wałem lśniącym od hamowania dłońmi opuszczanego wiadra (z pierwszych dziecińczych wspomnień pamiętam jeszcze żuraw). Między studnią a pokrytą słomą półziemianką – tzw. sklepem, czyli piwnicą – skręcało się wozem na drugą, nieco niższą część podwórza.

Za drugim wjazdem na podwórze (a właściwie wyjazdem) ta część obejścia zaczynała się kolejnym ogrodem. Tu właśnie, szczytem do ulicy, stała kiedyś najstarsza, kryta słomą chałupka Balewiczów. Ogród miał dwie ścieżki. Jedna najkrótszą drogą łączyła oba domy dziadków, druga wiodła do studni. Ta bowiem służyła trzem rodzinom, obu dziadkom i pani Polakowskiej.

Za ogródkiem ciągnął się długi, drewniany budynek, w którym mieściły się kolejno: stajnia dla koni z budą dla psa oraz obory dla krów, owiec, i świń, a za nimi składzik na opał (torf, później węgiel). Pierwotnie obiekt był pokryty strzechą, później położono na nim gonty i powiększono górę. Zwracał uwagę stryszek, lekko wysunięty do przodu. Taka konstrukcja zarówno ułatwiała wrzucanie siana z wozu na strych, jak i chroniła przed opadami układane przy ścianie drewno opałowe. Za budynkiem stała sławojka (oj, nie mieliśmy blisko!). Kilka metrów dalej, przed „naszą” stodołą, po prawej stronie za sklepem został zainstalowany kierat.

W ogródku między domami dziadków babcia Helena, żona dziadka Józefa, uprawiała kilka grządek warzyw, a poza tym rosły kwiaty oraz krze-

wy i drzewa owocowe. Z drzew ozdobą były dwa: morwa i rajska jabłoń. Ta ostatnia – prawdziwie rajska, w kształcie miniaturowych owoców i smaku. Przy płocie od strony naszego podwórza rósł też wysoki czarny bez. Kiedyś Halina, kuzynka z Białegostoku, przekonała mnie, że to winorośl. Przeżyliśmy...

Spalenisko i sad

Włości Balewiczów znajdowały się też po drugiej stronie ulicy. Naprzeciw naszego domu znajdowało się tak zwane spalenisko, własność dziadka Józefa; wcześniej stał tu dom, który spłonął w 1944 roku podczas pożaru dużej części Koziarki. Za moich czasów ten teren został ogrodzony wysokim płotem. Od strony ulicy Marchlewskiego, prostopadle do Konopnickiej, wzdłuż płotu biegła szeroka, opadająca ku rzece trawista ścieżka. Z tej strony, w połowie ogrodzenia, znajdował się niewielki, letniskowy budynek z bali. Na podwórze stał jeszcze drewniany składzik. Tuż przy ulicy przez długi czas widniały fundamenty pogorzelska. Za budynkami, od strony rzeki, w obrębie parkanu wyróżniał się sadek z wypieszczonymi przez dziadka Józefa jabłoniemi, gruszami i śliwami. Niżej, na całą szerokość działki, do pierwszego rowu, od którego zaczynała się nadrzeczna równina, ciągnął się pas ornego pola.

Naprzeciw wjazdu na „nasze” podwórze, w stronę Marychy biegł z kolei pas ziemi „naszego” dziadka. Wzdłuż działki rosły dwa rzędy drzew owocowych, poprzątkane krzewami porzeczek i agrestu. Mogliby tu pobierać nauki wszyscy porzeczkoznawcy i agrestolodzy. Były więc porzeczeki czarne, czerwone, żółte i białe oraz agresty duże i drobne, owłosione i łyse. A smaki? Cierpkie, lekko słodkie i niczym wyjęte z ula. Trawa między drzewami i krzewami była bogato inkrustowana słodkimi poziomkami. Rząd porzeczek pod ogrodzeniem spaleniska niezwykle wybujał, a pod niektórymi krzakami mogła z powodzeniem zmieścić się cała drużyna harcerska. No, może zuchowa.

Koziarki ciąg dalszy

Za domem dziadka Józefa mieszkali państwo Czeszkiewiczowie z intrygująco pachnącym, rozgrzanym olejem technicznym, warsztatem wulkanizacyjnym, a dalej – zabudowania zaprzyjaźnionych z naszą rodziną państwem Radzewiczów z synami Stachem i Jankiem oraz moją rówieśnicą Marysią. Pan Radzewicz, stały dostawca ryb na wszystkie koziarkowe stoły, uczynił wędkowanie pasją swego życia, a nawet półzawodem. Jak później

z żalem dowiedziałem się, zmarł śmiercią wędkarza pod załamanym lodem, z wędką w ręce.

Trochę dalej, po tej samej stronie ulicy stał (i stoi) mały domek, w którym mieszkał starszy samotny pan z patriarchalną brodą. Nigdy nie słyszeliśmy, by się do kogoś odezwał i trochę go baliśmy się. Mówiło się o nim: starowier, czyli wyznawca odłamu prawosławia, który nie przyjął reform tej wiary w połowie XVII wieku. Zwano ich też oficjalnie staroobrzędowcami.

Zimą starowier chodził w długim kozuchu. Gdy się go mijano, czuło się charakterystyczny zapach niezbyt dobrze wyprawionej skóry. Za nim, w odsuniętym o kwiatnik ślicznym domu z werandą, mieszkała Maria Żukowska, serdeczna przyjaciółka mojej mamy. Gdy tam zachodziliśmy z wizytą, podziwiałem jej salon. Podłoga zawsze lśniła po wypastowaniu. Na meblach puszyły się wykrochmalone, powywijane fantazyjnie koronkowe serwetki, na których stały dziesiątki bibelocików. Obrusu strach było dotykać, a na stole zawsze pojawiały się wykwintne ciasta.

Pamiętam poczucie lekkiej zazdrości. Tu wewnątrz wyglądało na miastowe, pańskie, a nasz dom – na skromniejszy. U nas, z racji gospodarstwa cały dzień coś pyrkotało na kuchni, na podłodze stały zimne i gorące garnki, rondle i wiadra. Towarzyszyły temu nieuniknione „swojskie” zapachy. Tamto moje wrażenie było zaledwie drgnięciem myśli, bowiem na nic nie zamieniłbym tej swojskości domu babci, tak w formie, jak i treści. Za zabudowaniami pani Żukowskiej znajdowała się kolejna własność rodziny, czyli ciągnący się pod górkę pas upraw buraków lub ziemniaków.

Kolejne zabudowania to dom cioci Anieli Ruczko, następne moje magiczne miejsce. Pośrodku podwórza rośnie wyniosła grusza. Czasem organizowało się pod nią niedzielne obiady. I stawało się rodzinną tradycją, że w najbardziej niespodziewanym momencie jakaś gruszka wpadała komuś do rosołu. Ku niezadowoleniu mojego brata ciotecznego Bronka przy każdej okazji zakradałem się na strych pełen gazet, na które kuzyn wydawał fortunę. I całymi dniami zatapiałem się w lekturze czasopism: „Świat”, „Dookoła świata”, „Poznaj swój kraj”, „Poznaj świat” i innych.

Naprzeciw domu cioci Anieli znajdowało się podwórze dawnego młyna. W czasach mojego dzieciństwa mieścił się tam magazyn „Herbapolu”, gdzie skupowano zioła. Aby zdobyć jakieś grosze na słodycze czy – jak w moim przypadku – zakup „Skrzydlatej Polski”, „Świata Młodych”, „Horyzontów Techniki”, „Horyzontów Techniki dla dzieci”, „Młodego Technika”, „Modelarza” czy „Małego Modelarza” (uff, miałem sporo potrzeb), sprzedawaliśmy wysuszone kwiaty chabrów. Zawsze jednak po dokonaniu transakcji wychodziliśmy stamtąd rozgoryczeni przepaścią między naszymi wcześniejszymi obliczeniami a uzyskaną zapłatą.



Mój Tato Antoni przed starym domem, kwiecień 1947 r.

Stara chatynka

Do połowy lat pięćdziesiątych rodzina (babcia dziadek i ciocia Kazia) mieszkała w starym, drewnianym, krytym słomą domu. Pamiętam, że w kuchni brakowało nawet podłogi, którą zastępowało tylko klepisko, czyli ubita glina. Ale jedną z klitek nazywało się alkierzem. A jakże! Nie pamiętam, w którym roku rodzina przeniosła się do budynku wzniesionego jeszcze w czasie wojny, ale chyba już po śmierci dziadka w 1955 roku. Dotychczas dom stał pusty i służył za podręczny magazyn. Gdy tam trzeba było po coś pójść, mówiło się: „trzeba to wziąć z pustyni”. W któreś wakacje przystąpiono do rozbiórki chatynki. Na Koziarce było to wydarzenie. W strzesze szukano nawet skarbów. Bo zdarzało się (tak bynajmniej twierdzono), że w starych domach można natknąć się na złote ruble. Jak pamiętam, znaleziono jedynie wetknięty w słomę bagnet i zwitek carskich banknotów. Niestety, papierowych i podniszczonych.

„Pustynia”

Od chwili przeprowadzki do nowego domu, do 1980 roku jego połowa pozostawała niezagospodarowana. Lewą stronę zajmował kuchnio-jadalnio-salon oraz pokój sypialny od strony ulicy, zaś prawą jedno duże, nietynkowane pomieszczenie na całą szerokość domu, służące za magazyn. Gdy brakowało mąki zmielonej w młynie, ktoś z dorosłych szedł do tej jeszcze niezamieszanej części domu, gdzie w rogu stały żarna. Odmierzało się wiadomą sobie miarkę i sypało ją do otworu w środku górnego kamie-

nia. Koniec przymocowanego do sufitu rzemieniem drąga przytwierdzono do obrzeża górnego kamienia żarna i w ten sposób go się obracało. Ziarna zboża miażdżyło się między kamieniami. A że płaszczyzny ich styku była pochylona ku brzegom, coraz mniejsze drobinki stopniowo przesuwaly się na zewnątrz, by w końcu – już jako mąka – zacząć się sypać przez drewniany lejek w skrzyni, czyli obudowie żarna.

W pustyni stała też stara drewniana, wysoka skrzynia na wędliny o objętości powyżej metra sześciennego. Jej wewnętrzne ściany pokrywała kilkucentymetrowa warstwa skryształizowanej soli. Musiała więc mieć swoje lata. Jako dziecko, aby sięgnąć dna, zawisałem na jej krawędzi z nogami dyndającymi w powietrzu. Gdy leżącym wewnątrz, ostrym jak brzytwa dyżurnym nożem odkrawałem połeć wędliny, jej krawędź mieniła się jak jedwab. W podłodze była kłapa, którą schodziło się do piwnicy.

Pod oknem od strony ulicy stało łóżko, gdzie spałem. Lubilem różnorodne zapachy tego pomieszczenia oraz grube, drewniane dźwigary u powały i ściany z pasami suchego wrzosu między belkami. Spartańskie warunki rekompensował widok z okna: sad, łagodne opadające ku Marysze zbocze, panorama centrum miasta i wieże kościoła.

Pole w Marynowie

W czasach dzieciństwa, zanim około 1975 roku wujostwo zdecydowało się przejść na rentę, prawie codziennie jeździłem na pole do Marynowa, bowiem tam, a nie przy obejściu, znajdowały się grunty uprawne i łąki do wypasu bydła. Było to trochę nietypowe i utrudniało życie, bo w wypadku sianokosów czy żniw wiele razy trzeba było w ciągu dnia obrócić załadowanym wozem. I w dodatku, gdy wszystko uprawiało się końmi, kosą a nawet sierpem.

Ale dzięki temu Marynowo też jakoś uzupełnia mój mit Sejn. Już sam wyjazd na pole był dla mnie przeżyciem. W obejściu od rana wyczuwało się pośpiech. Gdy trochę odrosłem od ziemi, miałem przywilej zakładania uprzęży na konie. Wujek kompletował narzędzia niezbędne danego dnia. Gdy już usadowiliśmy się na wozie, czekaliśmy zwykle... na ciocię Kazię, która zawsze w ostatniej chwili miała coś pilnego do zrobienia, oczywiście jej zdaniem, a nie wujka. Ruszaliśmy wreszcie trasą: Marchlewskiego, Świerczewskiego i Zawadzkiego. Wóz nie miał jeszcze kół z oponami, ale ze stalowymi obręczami, więc wszyscy wiedzieli, że jedziemy. Za to za rogatkami koła zagłębiały się w piaszczysty trakt do Marynowa. Po ostatnim zakręcie przy wyjeździe z miasta po prawej stronie mijaliśmy zabudowania

Ponganisów, do których wiodła boczna droga wysadzona żółtymi sliwkami; z racji zaprzyjaźnienia rodzin mieliśmy prawo do ich zrywania.

Po około trzech kilometrach przed trzecią górką skręcało się w lewo na nasze pole. Licząca 150 metrów droga dojazdowa biegła zboczem łagodnego wzgórza. Po lewej stronie mijaliśmy łąkę z prostokątem wody, pozostałym po wydobywym stamtąd torfie. Był tam też skrawek, na którym sadiło się tytoń. Jak zauważyłem, oprócz koni za swoisty honor prawdziwego gospodarza uchodziło posiadanie oczka wodnego z karasiami i przynajmniej ara pod uprawę tytoniu.

We wklęsłym rogu, między łąką a gruntem ornym, od dawna rosły truskawki, a dzięki wyjątkowemu w tym miejscu nasłonecznieniu owoce miały zawsze dorodne. Oprócz przyrodzonego im smaku naprawdę były pachnące i „smakujące słońcem”. Na łagodnym zboczu po prawej stronie drogi zwykle rosła soczewica, a także na swoim miejscu groch, fasola, mak i buraki. Droga łagodnie skręcała w lewo, gdzie przecinał ją niewielki strumyk z drewnianym mostkiem. Co do potoczku, to przez wiele lat musiałem wysłuchiwać opowieści o tym, że jako kilkuletni brzdąc z przekonaniem twierdziłem, iż woda w strumyku pachnie piękniej niż wszystkie perfumy świata.

Tuż przy strudze obok mostku po prawej stronie, pod rzędem wysokich topoli stał mały chlewik, gdzie na noc spędzało się owce. Dalej droga prowadziła prosto, lekko ku górze. Po obu stronach ciągnęły się grunty orne. Pas ziemi po lewej stronie przecinał równoległy do drogi rząd drzew owocowych, między którymi rosły porzeczki – czerwone, czarne i białe do wyboru – oraz agrest. Pod nimi skrywały się kępki polnych poziomek. Na porośniętą trawą szczyt wzgórza znajdowało się... niewielkie bajorko przydatne do pojenia krów oraz rosło tam kilka czereśni. Tak wyglądał obraz pola w Marynowie. Dzień mijał wszystkim na pracach polowych. Do moich zadań należało rozprzęganie koni, rozładunek wozu, przewiązywanie koni i krów, zaganianie owiec do obórki, wieczorne zaprzęgnięcie koni oraz załadunek wozu przed powrotem do Sejn. Resztę czasu poświęcałem zbijaniu bąków, kosztowaniu owoców i tym podobnym pożytecznym zajęciom.

Na obiad siadaliśmy z wujkiem w cieniu olch. Jego menu nie było wyszukane. Z powagą kroił chleb, surową wędzoną słoninę i ogórki lub pomidory. Popijał to surowym mlekiem z glinianego dzbanka, szorstkiego, bez polewy, a przez to utrzymującego chłód. Z początku wzdragałem się na taki zestaw, ale wystarczyło jego spokojne stwierdzenie: „No co ty, jak nie chłop?”. To wystarczyło. I zaczęło mi smakować.

Pod wieczór zawsze przysiadaliśmy na chwilę na ławeczce pod obórką. Czekaliśmy na ciocię, która kończyła doić krowy. Z kwadratowego otworu w ścianie za naszymi plecami co rusz wynurzały się wilgotne pysz-

czki wiecznie łakomych owiec. Podtykałem im liście buraczane, kalarepkę, jabłka i inne owcze łakocie.

W końcu szliśmy do cici po konwie z mlekiem. Konie stały już zaprzężone do załadowanego trawą lub soczewicą wozu. Wracaliśmy najczęściej po zmroku. Ja zagrzebywałem się w tej miękkiej zieleninie. Wóz wolno, kołysząc się wśród kolein, toczył się piaszczystą drogą w kierunku Sejnu, a nad sobą widziałem rozgwieżdżone niebo. Czasem miałem wrażenie, że wujek przysypiał na koźle. Konie jednak dobrze znały drogę i pewnie trafiłyby na Koziarkę bez woźnicy. Grubo przed epoką GPS.

Zamykałem oczy i po skrzypieniu, i chybotaniu wozu, turkocie kół oraz zakrętach starałem się rozpoznawać miejsca, gdzie się akurat znajdujemy. Drogę znałem na pamięć, więc zawsze odgadywałem nasze położenie. Często usypiałem. Budzono mnie już na podwórku. Tam pomagałem przy rozładowaniu wozu i wyprzęganiu koni. Ważną czynnością było pojenie rumaków. Wtedy nauczyłem się bez obawy pić wodę z wiadra, z którego przed chwilą wyjmowały łby Kasztan i Bułan.

Pracowity dzień kończył się kolacją, toaletą i twardym snem, bądź na sianie, bądź w niewykończonej części domu, zwanej pustynią.

Sianokosy i żniwa

Wyjątkowe były sianokosy i żniwa. Zjeżdżała się wtedy cała rodzina, tak ze strony mojego dziadka Adama, jak i mieszkającego po sąsiedzku dziadka stryjecznego Józefa, a więc po tamtej stronie: wujek Stanisław Korbut z cicią Ziotką i dziećmi Haliną i Waldkiem oraz wujek Pisanko z cicią Gienią i dziećmi Ulą i Andrzejem.

W polu, naprzeciw łące czy łanowi zboża, stawał „do boju” rząd pięciu do sześciu mężczyzn z kosami. Wówczas w Sejnach rzadko używało się kosiarek czy snopowiązałek. A z dzieciństwa w ogóle nie przypominam sobie widoku kombajnu. Tak więc mój tato i wujowie ruszali. Nie da się zapomnieć równomiernego, rytmicznego odgłosu uderzeń ostrz kos w źdźbła trawy czy zboża. Podczas pracy naturalnie wywiązywała się konkurencja między żeńcami. Pierwszy narzucał tempo reszcie. Kolejny musiał się starać, bo dwa-trzy kroki za nim szedł następny. Jak pamiętam, tym pierwszym był zwykle mój tato. Koszeniu zawsze towarzyszyły pokrzykiwania, żartobliwe poganianie się, przekomarzanie. Co jakiś czas mężczyźni zatrzymywali się, aby poostrzyć kosy. Drzewce wbijali w ziemię i opierali na lewym ramieniu. Lewą ręką przytrzymywali od góry odchylone od siebie ostrze, z kieszeni wyciągali osełki i kilkunastokrotnie przeciągali je po dolnej, ostrej krawędzi

kosy. Na zmianę, po jednej i drugiej stronie. Robili to z szybkością zależną od wprawy. Wtedy kosy „grały”. W czasie sianokosów żeńcy zostawiali za sobą linie odcisniętych na łące śladów nóg, które szybko napelniały się wodą. Zwykle kilka lub kilkanaście metrów za linią kosiarzy majestatycznie kroczyły bociany, wylapując pozbawione osłony trawy żaby. Przy żniwach byłem przydatny i ja, bowiem szybko nauczyłem się robić ze słomy solidne powrósla do wiązania snopów.

Oddzielną operacją była zwózka snopów czy siana. Z powodu oddalenia pola od domu każdy kurs musiał mieć maksymalną efektywność. Nie byle kto mógł układać siano czy snopy na wozie. Należało źdźbła rozłożyć jak najszerzej i tak przełożyć, żeby zazębiały się ze sobą. Gdy już ułożyły się odpowiednią ilość, z przodu wozu przywiązywało się gruby sznur, niesięgający szczytu ładunku. Na wierzchu kładło się długi drąg szerszym końcem do przodu a na nim zostawiało głębokie nacięcie. Podnosząc cieńszy koniec drąga, zaczepiało się go nacięciem o sznur z przodu wozu. Wtedy następowało naciskanie na niego z drugiej strony tak, aby mocno przycisnąć ładunek od góry. Cieńszą stronę drąga oplatało się liną na końcu wozu i wiązało do obu czubków drabin wozu. Transport był gotowy do bezpiecznej jazdy. Czasem dodatkowo oplatało się ładunek dookoła poziomo, w połowie. Wóz powoli ruszał. Na odcinku przed wjazdem na drogę publiczną, gdzie polny trakt prowadzący łagodnym zboczem lekko się nachylał, od niższej strony ładunek podpierało kilku żeńców długimi widłami. Ale mimo tych zabezpieczeń kilka razy nie udało się utrzymać równowagi i wóz przewrócił się na miękką łąkę. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Podpierający zdążyli uskoczyć, siedzący na górze wozu – raz byłem to ja – w odpowiednim momencie przekoziołkowali na miękką, podmokłą trawę poza zasięg przewracającego się ładunku. Konie nie spłoszyły się. No i tego lata stało się to wydarzeniem. Co jakiś czas roztrząsaliśmy wypadek i analizowali jego przyczyny.

Obok naszego swoje pole uprawiało bezdzietne małżeństwo państwa Piechotów. Często nam pomagali, oczywiście z wzajemnością. Zapamiętałem ich jako osoby niezwykle spracowane, życzliwe ludziom i światu oraz niezwykle skromne.

Na pewno w sejneńskich archiwach można ustalić datę renowacji wież klasztoru. Dobrze pamiętam lśniące ciemnym złotem, świeżo pokryte miedzią, widoczne z górki na marynowskim polu hełmy klasztoru. Przed zachodem słońca wyglądały, jakby płonęły. Z biegiem lat nabrały zielonkawej patyny.

A co do niedogodności związanych z oddaleniem pola: na początku lat sześćdziesiątych otarłem się o strzępki rozmów na temat ewentualności

zamiany gruntów. Ktoś z Marynowa miał je za naszą stodołę i chciał się zamienić. Propozycja wydawała się z gatunku tych, które spadają z nieba. Nie u Balewiczów i Soroków. Przecież to ojcowizna!

Młócka

Po żniwach trzeba było zboże wymłócić. Przedwojenny, napędzany dwójką koni kierat, na którego siedzisku – jako pilnujący równego kroku Kasztana i Bułana – miałem zaszczyt spędzić wiele godzin, a czego zazdrościli mi rówieśnicy z ulicy, przestał wystarczać. Wtedy na Koziarce pojawiła się damfa – jak się domyślam, nazwa to ślad po pruskim zaborze, który zbiegł się z rewolucją przemysłową i wprowadzeniem do użytku maszyn parowych (niem. der Dampf – para) – urządzenie młójące, przeciągane przez kolejne obejścia ulicy Gumiennej. Za moich czasów machina napędzana była już nie kieratem, lecz wielkim silnikiem na ropę, z energią przenoszoną za pomocą pasa transmisyjnego. Korzystanie z tej nowoczesności opłacało się odrabianiem u sąsiadów. W te dni w gospodarstwie panował duży ruch. Panie niezatrudnione bezpośrednio przy młócce gotowały jedzenie dla pracujących. Nas dzieci fascynowała sięgająca szczytu sąsiedniej stodoły dziadka stryjecznego Józefa sterta wielkich snopów, zwanych babami. Technologia powodowała, że damfa nie łamała łodyg zbóż, a że były one lżejsze o wymłócone ziarno, nadawały się do wiązania w owe wielkie baby. Z tej słomy wykonywało się na przykład strzechy. Młóckę w jednym gospodarstwie kończyło się dożynkową ucztą, a na drugi dzień damfa wędrowała do kolejnego.

Mały cep

Zebrane i wymłócone zboże wozilo się do młyna. Na doraźne potrzeby i w mniejszych ilościach młócono je na klepisku w stodole. Przychodziło czterech do sześciu mężczyzn, rozrzucaли rozwiązane snopki, ustawiali się w kręgu, ujmowali w dłonie cepy i młócili. Robili to w pewnym porządku, kolejno i miarowo uderzając w kłosa. Lubilem się temu przyglądać. Uderzenia miały swoją melodię. Dziadek, widząc moją fascynację, na poczekaniu wykonał cep w skali odpowiedniej dla mojego wzrostu. Gdzieś obok stodoły kładłem wiązki zboża i młóciłem. Uważałem przy tym, aby się nie zabić. Obok zawsze czekała na wynik moich zmagania gromadka kur. Byłem z siebie bardzo dumny.

Na sianie

Wielką wakacyjną atrakcją były noclegi na sianie. Pozwalano nam na to dopiero ponad tydzień od zwózki, kiedy siano odleżało się i wywietrzały z niego odurzające zapachy i olejki eteryczne. Starsi nas ostrzegali, że po takim przespaniu się w ogóle człowiek mógł się nie obudzić. W napięciu czekaliśmy więc na zielone światło i o wyznaczonym czasie zbieraliśmy się przed stodołą zaopatrzeni w koce. Pod okiem rodziców karnie układaliśmy się na sianie i przysięgaliśmy, że za moment zaśniemy. Po kwadransie zaczynały się dzikie harce. Około północy padaliśmy z nóg i zalegaliśmy gdzie popadło. Sztuką było znalezienie jakiegokolwiek koca. Rano budziły nas koguty. Przebiegaliśmy przez podwórze na ulicę. Za spaleniskiem skręcaliśmy w wiodącą nad rzekę trawiastą ścieżkę. Nasz pęd i nachylenie dróżki sprawiały, iż z trudem utrzymywaliśmy równowagę i ledwo nadążaliśmy przebierać nogami. Po drodze zrzucaliśmy garderobę. Dobiegaliśmy wreszcie do rowu i wzdłuż niego przez wysoką, wilgotną od porannej rosy trawę docieraliśmy do Marychy. I dawaliśmy nura w jej toń. Na strzałkę!

Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale gdy podczas kąpieli ktoś miał pragnienie, wystarczyło zanurzyć usta w rzece... Taka poranna toaleta trwała do pół godziny. Mokrzy wracaliśmy do domów zbierając po drodze ubrania. Zwykle w moim domu na stole czekał parujący krupnik na mleku. Przepadałem za nim. Miał lekko różowawy odcień, bowiem babcia gotowała go oddzielnie i dopiero na końcu łączyła go z zagotowanym mlekiem.

Bazylika

Na pewno znakiem rozpoznawczym miasta jest zespół kościelno-klasztorny. Świątynia odgrywała też dużą rolę w mojej rodzinie, która w naturalny sposób była pobożna, ale bez śladu dewocji. Nadto dwie ciotki śpiewały w chórze, brat dziadka Józef Balewicz przez wiele lat pełnił funkcję kościelnego a ja nigdy nie odważyłem się poprosić go, aby zaprowadził mnie na którąś z wież!

Z racji wieku dane było mi żyć na przełomach epok także pod względem religijnym, bo przed i po Soborze Watykańskim II. Miało to też odbicie w naszej rodzinie. Na przykład babcia uważała, że lektura Pisma Świętego przez świeckich pachnie trochę grzechem... Że to lektura dla osób duchownych. Teraz trudno w to uwierzyć.

Z tym tematem wiążą się i inne, zanikłe już zwyczaje. W przeddzień Środy Popielcowej i Wielkiego Piątku babcia zawsze dokładnie i długo



Sejny, widok na bazylikę

wygotowywała wszystkie domowe sztucce – zarówno drewniane, jak i metalowe – żeby w te dni ścisłego postu nie została na nich (i w nich) najmniejsza odrobina zwierzęcego tłuszczu.

Ponieważ na świątecznym stole nie mogło zabraknąć faszzerowanego szczupaka, przy jego spożywaniu babcia gromadziła wokół siebie wnuków i z powagą rozbierała głowę ryby. Wydobywała z niej drobne kostki oraz chrząstki i rozkładała je na stole. Pokazywała je nam kolejno. Miały kształty... narzędzi Męki Pańskiej: krzyż, gwoździe, młotek a nawet drabina. Mimo że ten rytuał powtarzał się co roku, zawsze robił na nas duże wrażenie. Gdy wiele lat później opowiadałem o tym zaprzyjaźnionym biologom, byli zaskoczeni.

Inny rytuał babci miał miejsce w dniach, gdy na stole pojawiały się nowalijki: pierwsze pomidory, ogórki, rzodkiewki, młode ziemniaki i inne. Przystępując do posiłku, babcia lekko, symbolicznie uderzała wnuki drewnianą łyżką w czoła. Teraz wydaje się to niecodzienne i cokolwiek dziwne. Wtedy było naturalne. Ale ten zwyczaj ma już chyba rodowód pogański.

Gdy przyjechałem tu latem 1976 roku, wszystkie rozmowy rozpoczynały się od barwnych relacji sprzed roku, z uroczystości koronacji Matki Boskiej Sejneńskiej i uczestnictwa w niej biskupa z Czarnego Łądu („Wyobraź sobie, był cały czarny!”). Cóż, Sejny...

Z koronacją figurki mam też swój prywatny porachunek. Przed uroczystością dokonano gruntownego remontu świątyni. Między innymi wymieniono posadzkę. Tamta z piaskowca zawsze robiła na mnie niezmiennie wrażenie. Pokolenia wydeptały, wyklęcały w niej wyraźnie wyczuwalne pod stopami i w wielu miejscach widoczne koleiny. Szkoda mi tamtej posadzki.

Niezależnie od mojego wieku każda bytność w bazylice pozostawała (i pozostaje) dużym, z biegiem lat coraz bardziej uświadomionym przeżyciem. Moją uwagę zawsze przyciągała luneta nad ołtarzem. Z jednej

strony wydawało mi się, że kolory szybek gryzą się ze sobą. Ale dla mnie takie właśnie zestawienie ma w sobie niewytłumaczalny, wielki ładunek sacrum. Jak dotknięcie metafizyki. Ołtarz główny i boczne, stalle, portrety fundatorów, bryły świątyni i klasztoru – to moje pierwsze, nieświadomione lekcje sztuki sakralnej.

Oddzielnym doświadczeniem była (i jest) każdorazowa wizyta w kaplicy Matki Boskiej Sejneńskiej. Pomijam tu oczywiste napięcie towarzyszące oczekiwaniu na otwarcie szafkowej figurki. Krata, wota, epitafia, przejmujące dowody uzdrowień. Wszystko to – jeśli przy ich ciężarze gatunkowym można mówić – stanowiły tło dla wyczuwalnej w kaplicy duchowości. Najświętszy Sakrament. Figurka Matki Boskiej Sejneńskiej. I moje modlitwy. I moje intencje. I zaduma.

Bazylika towarzyszyła rodzinie też fizycznie. Jej wieże znajdują się na wprost domu dziadków po drugiej stronie doliny Marychy. Późnym latem są dni, kiedy z okien widać, jak słońce zachodzi dokładnie między nimi. Wychowanemu w takich warunkach i takim środowisku trudno mi było później przyzwyczaić się do bezpośrednich przyjaźni z poznanymi w innej epoce księżmi. Zabawnie wyglądało, gdy już pod koniec lat osiemdziesiątych mama zrobiła mi i mojemu proboszczowi małą awanturę za zwracanie się do siebie przez „ty”. Więc pod tym względem niejako przez Sejny przebyłem długą drogę. Od ostrzeżeń babci przed samodzielną lekturą Pisma Świętego po późniejsze zaangażowanie w działalność Klubu Inteligencji Katolickiej i liczącą kilka dziesięcioleci wierność „Tygodnikowi Powszechnemu”.

Epoka, która minęła

Pobyty w Sejnach pozwoliły mi dotknąć wielu przedmiotów, zajęć czy technologii, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość. W czasach mego dzieciństwa przed stodołą stał kierat. U góry urządzenia, pod dwuspadowym daszkiem z desek zamontowana była długa, drewniana belka, której równe końce wystawały kilka metrów na zewnątrz. Jeden kończył się hakiem, na którym zaczepiało się orczyk do zaprzęgu koni, na drugim montowało przeciwagę. Pokolenia koni wydeptały dwa głębokie kręgi. Odcisnąłem też tam swoje ślady, bowiem pozwalano mi je prowadzić. Miałem w garściach lejce i czułem się strasznie ważny. I jakoś nie nudziła mnie monotonia chodzenia godzinami w kółko.

Masywny, kształtny, stalowy szkielet kieratu miał, jeśli można tak powiedzieć, piękną, proporcjonalną architekturę. Krył w sobie zmysłny układ dużych kół zębatach. Zmieniał on kierunek obracającej się, pionowej

osi na napęd wychodzących z kieratu, a leżących na ziemi połączonych przegubami stalowych prętów. One to przekazywały energię do ustawionej w stodole młockarni.

Podwórko było też wymarzonym placem zabaw. Gdy bawiliśmy się w chowanego, miałem dwie niezawodne kryjówki. W stodole stał kosz w kształcie metrowej wysokości amfory, cały – włącznie z głęboką pokrywą – wypleciony ze słomianego warkocza. Arcydzieło! Służył do przechowywania plew. I zwykle miałem tam sporo miejsca dla siebie. Drugim schronieniem była obszerna... psia buda. Z kolejnymi jej lokatorami żyłem zawsze w wielkiej przyjaźni i mogłem bez obaw korzystać z ich gościnności. Co ciekawe, nawet miejscowi bali się do tego miejsca zbliżyć. Więc rzadko w tej zabawie przegrywałem. Nie jestem tylko pewien, czy to było fair?

Obejście i dom mieściły zresztą pełno różnych tajemniczych przedmiotów i miejsc. Jak już mowa o psach, to za ich miskę służył poniemiecki hełm. Zdażyłem z niego tylko odkręcić emaliowane symbole SS, co stanowiło następny dowód moich względów u kolejnego psa. Gdy w domu potrzeba było dużo wody, wiadra nosiło się ze studni w wyprofilowanych z drewna nosidłach (czy ktoś jeszcze pamięta koromysło?). Pozwalały na jednorazowe, wygodne przenoszenie dwóch wiader naraz.

Krowy pasły się na łańcuchach z wbitymi do ziemi długimi stalowymi kołkami. Cielak miał łańcuch zakończony... najprawdziwszym bojowym trójgraniastym bagnetem. Koryta dla świń były wydrążone z jednego kawałka drewna. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu dziadka Józefa, znajdowało się kiedyś spore zagłębienie po małej żwirowni. Jego zbocza pokrywała długa trawa. Gdy dorośli spuścili nas z oka, wykradaliśmy te koryta i szusowaliśmy na nich do woli. Miały dobry poślizg, szczególnie po tuż deszczu. Więc późniejszy wynalazek skoczni igielitowych nie był dla mnie szczególnie nowiną. A że te nasze wyczyny zwykle kończyły się burą, bo koryta dziurawiły się? Cóż, postęp i sport wyczynowy wymagają ofiar.

Kolejne przygody przynosiły wyprawy na strych domu. Eksploracji towarzyszyły zapachy zwisających z belek połci uwędzonych słonin i suszących się ziół. Stało tam też kilka zajechanych kołowrotek. Ileż przeszło przez nie przedzi! Wyślizgane – gładziłem miejsca wytarte przez włóczkę – przez ileż musiały przejść rąk, pokoleń, lat, godzin, myśli...

Kilka masywnych, drewnianych, okutych żelaznymi listwami, narożnikami i klamrami skrzyń – oprócz niepotrzebnych ubrań i przedmiotów niewiadomego przeznaczenia – kryło stare modlitewniki, jeszcze z adnotacjami carskiej cenzury. Znalazłem kiedyś wojskową pałatkę, miałem więc namiot. Natknąłem się też na sfatygowany hamak. Naprawa zajęła mi kilka godzin. A potem bujałem się do woli.

Odkryłem też oryginalne siodło i starą uzdę, chyba pamiątkę po dziadku, który służył w suwalskiej kawalerii. Miejscami trochę się pruć, ale to było coś! Uprosiłem wujka Piotra i pozwolił mi je założyć na Bułana (był spokojniejszy). Zwierzę patrzyło na mnie zdziwione. Spróbowałem raz i drugi. I stwierdziłem, że lepiej jeździ mi się jednak na oklep. Może wynikało to z ówczesnej lektury obowiązkowej chłopców: *Winnetou* Karola Maya?

A co do pamiątek wojskowych dziadka, to z żalem wspominam kompletną zastawę stołową z kolorowymi, ręcznie malowanymi postaciami różnych rodzajów carskich wojsk. Z wielką precyzją przedstawiały bogate umundurowanie i szczegóły szamerunku. Jak w rodzinie wspominało się, dziadek otrzymał tę zastawę jako wyróżniający się kawalerzysta carskiej armii. Przez dziesięciolecia talerze były używane na co dzień. Wśród sztuczków poniewierało się kilka aluminiowych łyżek i widelców z wybitą na uchwytach hitlerowską gapą. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wykładano je na stół. Po prostu leżały w szufladzie.

Albo zwykle-niezwykle płoty odgradzające poszczególne części obejścia. Jeden fragment mnie bardzo zafrapował. Sztachety były wysuszone, jak to się mówi: na wiór. Wiatr, deszcz i śnieg wydobyły z drewna jego głęboką fakturę słoju. Części desek pokrywały płaty suchego mchu. Kiedyś spytałem babcię, kiedy ten płot postawiono. Uśmiechnęła się. Odpowiedziała, że dziadek, a jej mąż, opowiadał, że z kolei jego dziadek wspominał, że gdy był mały, to płot już stał. Dopiero wiele lat później, patrząc na to ogrodzenie, zdałem sobie sprawę z tego, com wtedy usłyszał. I tego płotu już dawno nie ma.

W pobliżu domu stała podręczna szlifierka. Na drewnianych nogach znajdowało się głębokie (także drewniane) koryto w kształcie odwróconego, ściętego ostrosłupa o trapezowych bokach. Na górnej jego krawędzi umocowano oś z około półmetrowej średnicy kołem z piaskowca. Jego dolna część była zanurzona w wodzie. Jedną ręką kręciło się korbą, drugą manipulowało ostrzonym narzędziem.

Koło drewnutni stał trójnogi drewniany koziołek z wysokim słupkiem, na szczycie którego mieściła się babka, stalowy klin z zaokrąglonym poziomym wierzchołkiem. Urządzenie służyło do rozklepywania młotkiem ostrza kosy. Charakterystyczny był odgłos i rytm klepania. Widząc, jak mnie ta czynność intryguje, wujek Piotr nauczył mnie tej sztuki. Okazałem się pojętym uczniem.

Stodoła

Byłem też świadkiem budowy nowej stodoły. W tamtych stronach kamienie rosną na polach, co wynika z polodowcowego rodowodu tych ziem.

Wyoranych nie pozbywano się. Z powodu oddalenia od kamieniołomów stanowiły cenny budulec. Stałym elementem krajobrazu były więc regularne sterty głazów układane na miedzach.

Gdy więc zapadła decyzja o inwestycji, zjawiała się skądś ekipa kamieniarzy: kilku rośliwych, ogorzałych od słońca mężczyzn, zaopatrzonych wyłącznie w duże młoty. Zdejmowali ze sterty kolejne głazy. Oglądali je uważnie. Po chwili następował szeroki zamach, strzał uderzenia i kamień pękał dokładnie tam, gdzie potrzeba. Założę się, że żaden profesor mineralogii nie znał lepiej ich struktury. Piszę to z tym większym podziwem i pokorą, bowiem wiele lat po tym przyszło mi pracować w kamieniołomach bazaltu.

Z tych rozbitych głazów układano podmurówkę stodoły. W obserwowanym przeze mnie przypadku fachowcy nie używali zaprawy. Wynikało to i z trudności w dostępie w owym czasie do cementu, jak i ze względów oszczędnościowych. Te niedogodności rekompensował kunszt budowniczych. Z rozszczepionych przez kamieniarzy brył układali regularny, szeroki prostokąt muru, z ostrymi narożnikami, z milimetrycznymi odstępami między kamieniami i płaszczyznami prostymi, jakby były wyznaczone laserem.

Potem zwozili sterty bali, ogałali je z kory ośnikami i umieszczali na dwumetrowych kozłach. W ruch szły długie, ręczne piły, które z jednej strony kończyły się zwykłym jednoosobowym uchwytem, z drugiej zaś długą, poprzeczną żerdzią. Jedna osoba stawała na górze, dwie łapały za dolne uchwyty piły. Zadaniem pierwszej było tylko podciągnięcie narzędzia do góry, a dwóch partnerów ciągnęło piłę w dół. Wysilek olbrzymi. Każdą belę przepiłowywali dwa razy wzdłuż. Potem, jeśli ściany miały być płaskie, przewracali ją na bok i następowała powtórka operacji. Kolejnym etapem było zaciosanie naroży, aby samoczynnie trzymały się siebie. Większej precyzji, a więc użycia pił i dłut wymagało zacięcie naroży w tzw. jaskółczy ogon. To już wyższa szkoła jazdy w tej sztuce.

Podglądałem też prace przy wykonywaniu konstrukcji wewnątrz stodoły oraz jej więźby dachowej. Ani jednego gwoździa! Przemyślane zaciosy, wsporniki, węzły konstrukcyjne łączone drewnianymi czopami i belki – ta lekcja ciesielskiego kunsztu dała mi chyba więcej wiedzy o znaczeniu właściwego rozkładu sił w konstrukcjach niż późniejsze nauki z mechaniki. Potocznie siekiera i piła traktowane są jako narzędzia prymitywne. Nic bardziej błędnego!

Gonty

Przez lata stodoła była pokryta strzechą. Któregoś roku wujek Piotr postanowił zainwestować w gonty. Dzięki temu miałem wyjątkową

okazję obserwować cały proces technologiczny w tej dziedzinie. Też skądś przyjechała kilkuosobowa ekipa ze zmyślnym urządzeniem. Z jednakowej długości i szerokości klocków strugano w niej gonty. Była to ich najprostsza, a więc i najtańsza postać. Nasze były właśnie takie, układane na zakładkę. Później spotkałem się z gontami o przekroju spłaszczonego trójkąta. W jego szerszym końcu dodatkowo frezowano szczelinę, w którą wsuwało się ostrą krawędź sąsiedniego. Gonty związane w pokaźne paczki czekały na montaż.

No i następne wakacje w Sejnach spędziłem na wysokościach. Wujek tak rozplanował prace polowe, że sporo czasu poświęciliśmy zmianie pokrycia stodoły. Najpierw zrzucaliśmy części strzechy. Potem gonty, wia-derka gwoździ (ich część, bez przerwy, dla wygody... w ustach) i młotki wciągaliśmy na dach. A było co robić, bowiem dla zapewnienia szczelności dachu gonty kładło się w trzech warstwach. Niby praca syzyfowa, bowiem jedna klepka miała tylko około pięciu centymetrów szerokości. Ale codziennie widzieliśmy postęp, co z satysfakcją stwierdzaliśmy, wychodząc z wujkiem po kolacji na podwórze. Co tydzień siedzieliśmy na dachu coraz wyżej. Z tej wysokości lepiej też widziałem beztrąsko bawiących się kolegów. Trochę im zazdrościłem, ale z drugiej strony czułem też jakąś dumę. I tego doświadczenia nikt mi nie odbierze!

Oczywiście dachu nie kładliśmy całkiem sami. Co jakiś czas w Sejnach pokazywał się – z „okazji” sianokosów czy żniw – któryś z wujków czy mój tato. Pozwalali im sobie pomóc. I pewnie dzięki temu zdążyliśmy z robotą tuż przed moim powrotem do domu, do szkoły.

Moja-twoja

Gdy miałem z dwanaście lat, ze trzy tygodnie od rana do wieczora przepiłowaliśmy z wujkiem Piotrem istny Mount Everest drzewa na opał. Piłą typu moja-twoja (faceci wiedzą o co chodzi). Były chwile, że ślaniałem się na nogach. Wujek tego po prostu nie dostrzegał i przynaglał: „Co tak słabo ciągniesz?”. Niech ktoś zgadnie, co mi się potem przez tygodnie śniło...

Z siekierą

Przepadałem za rąbaniem drzewa. Też samodzielnie przerąbałem kilka Mount Everestów. Było to zawsze bardzo osobiste zmaganie się z naturą i własnymi siłami. Czasem trafiało się na wyjątkowo sękaty pień. Bez stosownej techniki można było z takim walczyć do... śmierci. Należało zatem

mocno wbić siekierę w drewno i ten zestaw podrzucić wysoko w górę, a w apogeum lotu wszystko obrócić o 180 stopni i uderzyć w pień do rąbania obuchem siekiery. Efekt murowany. No i ta męska pycha: kto kogo?

Opał

Z powodu oddalenia Suwalszczyzny od zagłębi węglowych, co wpływało i na podaż opału, i na jego cenę, w piecach i kuchniach paliło się głównie dewnem i torfem. Lasów wokół rosło pod dostatkiem. Nasza rodzina, prócz pola w Marynowie, posiadała kilka kawałków gruntów rozrzuconych po Koziarce. Naprzeciw obejścia wujostwa Ruczków, po drugiej stronie ulicy, za zabudowaniami młyna na poziomie rzeki znajdował się nasz zagajnik olchowy. I co jakiś czas wycinało się uschnięte drzewa, aby uzupełnić kupowane w lesie zapasy drewna.

W sejneńskich stronach łąki zwykle znajdują się w zagłębieniach między łagodnymi, polodowcowymi wzgórzami. I w takich miejscach zwykle kopano torf. Po zdjęciu wierzchniej warstwy trawy wycinano kostki szerniałej, pełnej nadgniętych włókien i korzeni gąbczastej substancji. Urobek układano w okrągłe stogi, przypominające miniaturowe igloo. Torf sechł, aby nadawał się do palenia w kuchni. Po jego wydobyciu pozostawały prostokątne zagłębienia, które bardzo szybko wypełniały się wodą. I przeważnie każdy gospodarz trzymał w nich karasie. Raczej to było hobby niż hodowla.

Piec

W domu babci kuchnia – płyta z fajerkami plus piec chlebowy – zajmowała sporą część pomieszczenia. Całość była otynkowana pomalowaną wapnem gliną. Gdy byłem mały, zwykle spałem na płaszczyźnie stanowiącej fragment pieca. Za materac służył piernat, czyli cienka pierzyna. Nigdy potem nie spotkałem się z takim charakterem ciepła – nie do opisanego. A już samo zasypianie było niezwykle, najczęściej w czasie, gdy do Sejn zjeżdżała większa część rodziny. Znużeni pracą w polu panowie kładli się wcześniej spać. Siostry Balewiczówny zbierały się w kuchni i rozpoczynały trwające do późna w nocy opowieści i plotki. A że wszystkie były „wymowne”, miałem czego słuchać. Często w tych opowiadaniach wspominały jakieś niezwykle zdarzenia, niewytłumaczalne zjawiska, błędne ognie w zaroślach, strzygi w lasach. To wszystko pobudzało wyobraźnię zasypiającego chłopca. Pod przymkniętymi powiekami jawiły się bajeczne, a czasem przerażające

obrazy. A obok wyżej, we wnęce pieca suszyły się intensywnie pachnące warkocze cebuli i czosnku oraz wiązki aromatycznych ziół.

Chleb

Gdy babcia zabierała się do pieczenia chleba, czuło się jakąś odświętność tej czynności. Pośrodku kuchni stał na stołku szeroki, płytki cebrzyk zwany dzieżą. Tam nakryte lnianym płótnem dojrzewało aromatyczne ciasto. I babcia zawsze odganiała nas, gdy pod nie zaglądaliśmy. Czarny, razowy chleb piekło się na szerokich liściach kapusty lub łopianu, których faktura liści odbijała się potem intrygująco na spodach bochenków. Jakże ten chleb smakował! Z uwagi na ryzyko skrętu kiszek zakazano nam spożywać chleb tuż po wyciągnięciu z pieca, podobnie ciasta. Gdy już było wolno, babcia kroila nam grube pajdy ciepłego jeszcze pieczywa i smarowała domowym masłem, które nierzadko sami ubijaliśmy w maselnicach. Do tego dochodziło zimne, z glinianych garnków, mleko!

Kartacze

Podczas każdorazowego pobytu w Sejnach co jakiś czas mama komunikowała: „Jutro będą kartacze!”. Tego dnia jadłem ciekawą kolację, nazajutrz – skromniutkie śniadanie. Jeśli nie miałem innych zajęć, pomagałem mamie w obieraniu lub tarceniu ziemniaków. Garnek bulgotał, po domu roznosił się niezapomniany zapach. Gdy siadaliśmy do stołu, dziękowałem za zupę. Od razu zabierałem się za kartacze. Mama wносиła je w dużej wazie, która – jak pamiętam – pokazywała się na stole tylko przy tej okazji. Były obficie polane tłuszczem ze smalcu ze skwarkami. Cholesterol w laboratoryjnej postaci! Mama, żona i córka zwykle zjadały po dwie sztuki. Tato i synowie – góra trzy. Wszyscy z zainteresowaniem i niepokojem patrzyli na mnie. Sześć to było minimum. Raz zjadłem siedem. Stołownicy spoglądali na mnie z mieszaniną podziwu i przerażenia w oczach. I wcisnąłbym ósmego, ale już od stołu bym się nie podniósł. No i jednoznacznie popełniłbym grzech obżarstwa. A trzeba dodać, że w naszym domu robiło się spore kartacze, na oko po 400–450 gramów. Aż sam zastanawiałem się, jak to przestrzennie może zmieścić się w żołądku! To była ucztą! A już na kolację czy nazajutrz na śniadanie, czekały na nas bonusy, czyli kartacze w postaci odsmażanych, pokrojonych w poprzek plasterków. Smakowały zarówno chrupiące krążki z samego ziemniaczanego ciasta, jak

i te z mięsnym oczkiem. Gdy ich było za dużo (rzadko to się zdarzało), czekały na nas na płycie w kuchni, a zimie w duchówce, schowku w kaflowym piecu.

Sękacz

Gdy w 1980 roku po przejściu na emerytury rodzice przenieśli się z Dolnego Śląska do Sejn i gdyśmy do nich przyjeżdżali, odbywał się kolejny rytuał. W dzień lub dwa po przyjeździe mama (formalnie macocha, ale bardzo kochana) pakowała do kosza dwie kopy „swojej roboty” jaj, mąkę i kupione w zaufanym gospodarstwie masło. Pomagałem jej zanieść ten ładunek do autobusu. Mama jechała do Pawłówek, do najsolidniejszej w okolicy firmy, obstalować dwa sękacze. W umówionym terminie jechała tam ponownie po odbiór ciast. Jeden sękacz przez kilka dni stał pośrodku stołu. Obok leżał ostry nóż. Częstował się każdy, kto miał ochotę, kto usiadł przy kawie lub herbacie albo przechodził przez pokój.

Los drugiego sękacza wyglądał inaczej. Przy okazji zakupów, przeważnie w sklepie u pana Walusia, zaopatrywałem się w stosowny karton. Umieszczałem w nim ciasto. Aby zapobiec nieszczęściu, wszystkie wolne przestrzenie wypełniałem zmietymi gazetami. Następnie – papier pakowy, sznurek, adres i napis: „Ostrożnie”. I na pocztę. Gdy wracaliśmy z pobytu w Sejnach na Dolny Śląsk, pierwszą czynnością było pójście na pocztę. I tak się zawsze składało, że w domu czekała na mnie sfera przyjaciół i członków najbliższej rodziny. W pierwszych słowach nie pytali, jak się czują moi rodzice, jak podróż, ale czy przywiozłem sękacza. I krupnik litewski, z przyrządzenia którego słyszał mój tato. Cóż, każdy ma takich przyjaciół...

Zawijańce

Oczywiście często na stole pojawiały się inne kresowe specjały. Moją ulubioną potrawą były zawijańce. Nie robiło się ich za często, ale to była atrakcja! Miały kształt bułki wrocławskiej (kiedyś paryskiej). Na stolnicy rozwałkowywało się ciasto, chyba mniej bogate niż przy makowcu, i smarowało je farszem. Zamiennie stanowiły go konfitury, soczewica, gęsty sos grzybowy, pasta z podrobów lub mielone mięso. Najbardziej mi smakowało nadzienie z pasty z soczewicy. Zawijańce piekło się w piecu chlebowym. Czatowaliśmy na moment wyciągania. Babcia bez przekonania opędzała się od nas, zakazując jedzenia gorących zawijańców pod groźbą tajemniczo i groźnie brzmiącego skrętu kiszek. Ale wystarczyła jej chwila nieuwagi...

Inne specjały

W Sejnach poznałem wiele innych lokalnych smakołyków. Doskonale pamiętam smak wigilijnych ślizików, rosółu z kołdunami, kindziuka, babki i kiszki ziemniaczanej, zupy z ryby, duszonych grzybów, chrustów, kompotu z rabarbaru, całej palety mlecznych zup owocowych czy smażonych na maśle rydzów. Co do masła, to często ubijałem je osobiście w prymitywnej, drewnianej maselnicy. Pod koniec operacji ręce mdlały, ale nagrodą było kilka kubków przepysznej maślanki, pełnych okruszków i płatków nieodcedzonego masła. Po serwatce też się oblizywałem.

Koniec świata w Sejnach

Wyjątkowym wydarzeniem w Sejnach było rzadkie zjawisko astronomiczne, które miało miejsce 30 czerwca 1954 roku (datę odszukałem w Internecie). Tego roku trasa całkowitego zaćmienia słońca przechodziła przez dużą część ówczesnego ZSRR. Ale że był to „kraj postępu i miłujący pokój”, zagraniczni naukowcy nie mieli tam prawa wstępu. Na szczęście mały fragment zjawiska zahaczał o północno-wschodni skrawek Polski. Kilka dni wcześniej z miejscowych sklepów zniknęły: sól, cukier i mąka, bowiem wieść gminna niosła, iż tego dnia nastąpi... koniec świata. Swoją drogą ciekawe, do czego przydałyby się te produkty nazajutrz po Sądny Dniu? Nie przypominam sobie, by do moich uszu dotarły wieści, że miejscowi kapłani podzielali obawy swoich owieczek i urządzali w kościele specjalne modły. A przecież powinni.

Ale wróćmy do tego dnia. Od rana kto żyw ruszał do centrum miasta. Oczywiście byliśmy tam i my. Na placu przed magistratem kręcił się rój astronomów z Polski i Europy Zachodniej. Z wypiekami na twarzach kręciliśmy się wokół rozstawionych teleskopów. Skwapliwie i z nabożeństwem przysłuchiwaaliśmy się rozmawiającym w różnych językach nau-



Wakacje w Sejnach. Od lewej: Waldek Korbut (wnuk dziadka Józefa), ja, Stach Balewicz (przybrany syn dziadka Józefa), wujek Stanisław Korbut z Białegostoku (zięć dziadka Józefa) – przed domem dziadka Józefa, lata 50.

kowcom. Silne wrażenie sprawiała ich życzliwość i sympatia okazywana tubylcom. Byliśmy łebkami, ale już wtedy odczuwaliśmy jakąś inność tych ludzi, odmienność od obrazu lokalnych czy krajowych oficjeli.

Po porannym przeglądzie sytuacji wróciliśmy na Koziarkę, by przygotować własne aparaty badawcze: okopcone świeczkami kawałki szkiele. Gdy w środku dnia zaczęło zmierzchać, obserwowaliśmy ze zdumieniem, jak kury, gęsi i kaczki karnie, bez zaganiania, wędrowały do kurników. Krowy ryczeniem domagały się dojenia, a zdeorientowane psy szarpały się na łańcuchach, biegając do bud i z powrotem. Nie czekając, ruszyliśmy pędem do centrum, by tam obserwować apogeum zjawiska. A było na co patrzeć. Kiedy zaczęło się ponownie rozwidniać, napięcie tłumu zniknęło. Skupieni przed chwilą naukowcy pozwalali nawet niektórym sejneńskim szczęśliwcom zerknąć na chwilę przez teleskopy. Miałem pecha. Nie dopchałem się. No i – koniec końców – końca świata w Sejnach nie było.

Równanie granic

Co do innych panik to warto odnotować, że w latach pięćdziesiątych i nawet sześćdziesiątych, co kilka lat miasto obiegała plotka o równaniu granic. Chodziło o rzekomą, wymuszoną przez Sowietów wymianę terytoriów z Litwą. W tych planach los Sejn zawsze był przesądzony. I za każdym razem pustoszały półki w sklepach. „Będzie wojna!” – szeptano. Choć „wungla” do geosowskiego składu jak nie dowieźli, tak nie dowieźli. A przecież przed wybuchem wojny powinni (według filmu *Miś* Stanisława Barei).

Rozminowywanie Marychy

Obok bazyliki, nad rzeką, w budynku łaźni miejskiej mieszkał kuzyn Andrzeja Tadek Wołyniec. Często chodziliśmy do niego kąpać się w rzece. Razu jednego ktoś z nas natknął się na dnie rzeki na pociski moździerzowe. Jako pokolenie tuż powojenne byliśmy oswojeni z takimi znaleziskami. Taśmy z nabojami wrzucało się do ogniska i w oddaleniu czekało na efekt. Seria eksplozji następowała zwykle w momencie, gdy znudzeni czekaniem wychylaliśmy głowy z wybranego na okop zagłębienia.

Tu sprawa była poważniejsza. Ktoś dał znać na milicję. Przyszedł słynny funkcjonariusz Nikiel, znany z tego, że w odpusty miał zawsze umalowany na fioletowo kącik ust. Na lewo i prawo wypisywał straganiarzom mandaty ołówkiem kopiałym i co jakiś czas go ślinił, aby pismo było wyraźniejsze.

Milicjant stropił się na widok znaleziska. Spytał, czy jest ich więcej. Ktoś przytaknął. Pan władza podrapał się w głowę. Po chwili namysłu zdecydował, że usiądzie na brzegu pod drzewem i będzie liczyć wydobywane... przez nas pociski. I za każdy da złotówkę! Przystąpiliśmy do prac saperских. Każdą sztukę notował w swoim kajecie i kazał odkładać z drugiej strony drzewa. Po kilku chwilach znaleźliśmy sposób na wzbogacenie się. Gdy uzbierała się kupka kilkunastu pocisków, jeden z nas brnąc w wodzie, zakradał się do niej i po cichu wyciągał pocisk. Następnie zanurzał go w rzece, przenosił pod jej lustrem i podrzucał koledze. Ten schylał się, podnosił, pokazywał niby kolejną sztukę milicjantowi, który sumiennie zapisywał „fakt” w notesie. Następnie znalazca wyłaził na brzeg i odebrawszy należność, kładł pocisk z powrotem za drzewem. Ale nie przeciągaliśmy struny i nie ciągnęliśmy zabawy w nieskończoność. Każdy zaliczył po kilka, kilkanaście złotych. Milicjant przywołał do siebie kogoś z dorosłych i nakazał pilnować znaleziska. Sam poszedł na komisariat albo po samochód, albo by zatelefonować po saperów. A my przezornie znaleźliśmy sobie inne zajęcie, oczywiście w zupełnie innej części miasta.

Bywa, że życie zatacza swoiste kręgi. Po latach, w czynnej służbie wojskowej, byłem... saperem minerem. A po kolejnych... prowadziłem odstrzały bazaltowych skał w kamieniołomach. A z Tadkiem Wołyniecem łączyła nas bliska przyjaźń, gdy uczył się w średniej szkole w Ełku i mieszkał na naszym podwórku, u Andrzeja.

Aeroplany nad Sejnami

Obecnie w lotnictwie cywilnym dominują samoloty odrzutowe. Przed nimi stosowano napęd turbośmigłowy, w latach sześćdziesiątych – wyłącznie tłokowy. Technika radarowa znajdowała się w powijakach. Oczywiście – co obecnie jest nie do wyobrażenia – nie było wtedy żadnych GPS-ów. Wymądrzam się na ten temat, bo od najmłodszych lat fascynowałem się lotnictwem. Ta pasja miała też rys sejneński. Od kiedy pamiętam, nad Sejnami przebiegał korytarz powietrzny. Z powodu wyżej opisanych warunków technicznych samoloty latały bardzo nisko. Na podwórzu starej poczty sterczał maszt radiowy, zesztukowany z kilku drewnianych słupów telegraficznych. Była to tak zwana radiolatarnia. Samoloty latały według kompasów i radia. Od radiostacji do radiostacji. Dla pilotów i nawigatorów równie ważna była bezpośrednia obserwacja terenu. Przy niskim pułapie chmur samoloty przelatywały dosłownie kilkaset metrów nad miasteczkiem. Nie bezpośrednio nad centrum, ale z kilometr do dwóch na wschód, od strony

wsi Zaleskie. Więc na Koziarce miałem wysmienity punkt obserwacyjny. Trudno to dziś sobie wyobrazić, ale bez wysiłku mogłem rozpoznawać nie tylko typy samolotów (wyłącznie dwusilnikowe DC-3 „Dakota”, Il-12, Il-14), ale i odczytywać nazwy linii lotniczych, przeważnie krajów socjalistycznych: prócz naszego PLL LOT-u rosyjski Aeroflot, czechosłowackie CSA, węgierski Malev, NRD-owski Interflug. Ale też czasem niebo pachniało magicznym Zachodem. Widziałem samoloty skandynawskiego SAS-a, holenderskiego KLM, francuskich Air France, brytyjskich BEA czy nawet amerykańskich linii Panam. Ocieraliśmy się o wielki, wolny świat. Wielokrotnie przelatywały też wojskowe odrzutowce z czerwonymi gwiazdami (MIG-15, MIG-17). Raz zdarzyła mi się gratka w postaci karawany rosyjskich „latających wagonów”, dwusilnikowych śmigłowców Jak-24. Na skrzydłach cywilnych samolotów radzieckich widzieliśmy napis CCCP (ZSRR, po rosyjsku: Sojuz Sowietkich Socjalistycznych Republik). Naszej paczce obserwacja tych samolotów dawała okazję do niewybrednych okrzyków. Napis tłumaczyliśmy: Cep Cepa Cepem Pogania. Cóż, dzieci bywają okrutne. No i wszyscy pochodziliśmy z rodzin, które do socjalizmu miały określone nastawienie.

W każde wakacje w Sejnach i okolicy dwa, trzy razy zdarzały się inne sensacje lotnicze. Na przygodnych łąkach lądowały szybowce. Dlaczego tutaj? W tej dziedzinie sportu najwyższym osiągnięciem wyczynowym jest zdobycie złotej odznaki z trzema diamentami. Pierwszy zdobywa się za przelot po trójkącie łącznie długości stu kilometrów w ciągu godziny. Drugi – za przewyższenie, to znaczy wzniesienie się szybowcem o pięć tysięcy metrów wyżej od miejsca wyczepienia się od holującego samolotu. Trzeci – za samodzielny przelot o długości ponad pięćset kilometrów.

Polski centralny ośrodek szybowcowy znajduje się w wielkopolskim Lesznie. Aby zmieścić się w granicach Polski z taką odległością, szybownicy lecieli po przekątnej kraju, a więc w okolice Sejn. Nie muszę dodawać, że w tamtych czasach w żadnym przypadku szybowce nie mogły latać na zachód. Nie mogły też przekraczać granicy wschodniej. Tu przecież była granica przyjaźni. Złamanie tych zasad groziło po prostu zestrzeleniem.

Tak więc kilka razy podczas wakacji mieliśmy nie lada sensację. Kiedyś nawet zdarzyło się, że jakimś cudem pilotowi udało się wylądować na skrawku łąki nad rzeką od strony Koziarki. Z zachwytem oglądaliśmy smukły szybowiec i z nabożeństwem patrzyliśmy na lotnika. Zwykle przybysz pytał o pocztę. Szedł tam dzwonić do Leszna. Po maksimum dwóch dniach przyjeżdżał stamtąd furgon z niecodzienną, długą, dwukołową przyczepą. Technicy oddzielali skrzydła od kadłuba i całość montowali na przyczepie. W naszym gronie oczywiście ja, wierny czytelnik „Skrzydlatej Polski”, robiłem za eksperta.

Do city po zakupy

Gdy mnie wysyłano do miasta po zakupy, miałem do wyboru kilka dróg. Gdy potrzeba była szczególnie pilna i gdy niekoniecznie musiałem wchodzić do centrum miasta, wybierałem drogę na skróty. Dochodziłem w dół ulicy Gumiennej i naprzeciw domu cioci Anieli skręcałem w lewo, w podwórze, jak się mówiło, młyna. Przed wejściem do budynku znowu skręcało się w lewo, w dróżkę wiodącą ku rzece. Rósł tam olchowy zagajnik, który nie wiedzieć czemu, jako enklawa należał do dziadków. Niemal przez cały rok drzewa były podmoknięte i aby tamtędy przejść, należało uważnie przeskakiwać z kępki na kępkę. W ten sposób dochodziło się do Marychy i dalej jej brzegiem prowadziła wąska ścieżka. Lubilem tamtędy biec. Pod bosymi stopami czułem rozgrzany piasek i trawę. W kilku miejscach ścieżka gwałtownie obniżała się, gdzie do Marychy wpływały rachityczne, często wysychające latem strumyczki. Znałem na pamięć te miejsca i pokonywałem je skokiem. Lubilem momenty, gdy gołe pięty wbijały się w ciepłe, ilaste, na wpół suche błoto po drugiej stronie zagłębienia. Tak dobiegałem do kładki dla pieszych przy ulicy Grodzkiej, ominąwszy przedtem obejście bezpośrednio stykające się z brzegiem. Na kładce rzucało się okiem na doskonale widoczne na tle piaszczystego dna wrzeczona ryb oraz wijące się łagodnie kilkumetrowe welony wodnych roślin. Potem, omijając wiecznie śmierdzący szalet miejski, należało wspiąć się kilkanaście metrów po żwirowej ścieżce i osiągało się centrum Sejn. Gdy taka wyprawa odbywała się w porze południowej, miałem przekazane wskazówki, gdzie szukać sklepowej, gdyby placówka była zamknięta. Przeważnie sklepowe zastawałem przy gotowaniu obiadów. Przedstawiałem się, że jestem od Balewiczów z Koziarki. Panie spokojnie przerywały zajęcia, wycierały ręce o fartuch i prowadziły do sklepu. Po drodze wypytywały mnie o linię genealogiczną i często potwierdzały, że doskonale wiedzą od kogo pochodzę, bowiem albo uczyły się z którąś z moich cioć, albo w ich rodzinach był ktoś kojarzony z Balewiczami. Te pytania nie miały w sobie niczego z wścibstwa. Po prostu stanowiły część uprzejmej rozmowy z kawalerem, jak się kiedyś zwracało do podrostków.

Gdy miałem więcej czasu, lubilem pomyszkować po mieście, zaglądać na nieznane podwórka. Jednym z najbardziej ulubionych fragmentów Sejn była pierzeja, do której należy stara poczta. Intrygowały murowane fasady i przyklejone do nich drewniane domki oraz wąskie, wyłożone drobnymi kocimi łbami podwóreczka.

Po zakupie towarów: chleb, mąka, cukier, kasza dziękowałem uczynnej sklepowej i tą samą drogą wracałem na Koziarkę, z obowiązkowym pos-

tojem na kładce. W domu relacjonowałem, w którym sklepie byłem i jak mnie obsłużyli. Domownicy zawsze stwierdzali, że wiedzą o kogo chodzi, z kim ta osoba jest spokrewniona i ewentualnie dodawali do tego jakąś aktualną informację. I zawsze padało pytanie: „A podziękowałeś?”. „Tak, podziękowałem” – odpowiadałem. „To dobrze” – słyszałem.

Ciocia Gabrynia

Na piętrze budynku w podwórzu starej poczty mieszkała pani Gabrynia (Janculewicz), ciocia mego przyjaciela z podwórka w Ełku. Gdy Andrzej przyjeżdżał do Sejn, często widywaliśmy się, jeżeli nie angażowałem się przy gospodarstwie. Ciocia była chodzącym aniołem. Cały dzień uśmiechnięta i krępująco troskliwa. Zawsze znajdowała dla nas czas między krawieckimi zajęciami. Miałem przywilej zwracania się do niej: ciociu. A jakie smażyła nam placki ziemniaczane?!

Tak na marginesie miałbym apel do obecnych gospodarzy starej poczty. Niech was ręka boska broni przed pomysłem wyłożenia jej podwórza polbrukiem! Takiej nawierzchni jak tam, nie widziałem nigdzie w świecie! Jeszcze czuję pod bosymi stopami kształt rozgrzanych słońcem, prawie idealnie okrągłych, niewielkich kocich łbów tego miejsca.

Burze

Lipiec 1982 roku spędzałem z rodziną w Sejnach. Z kuzynem wykonywaliśmy dla taty sieć wodociagową. Pogoda znakomita, jak za dawnych czasów. Rano rześko i ciepło. Na niebie ani jednej chmurki. Pracowaliśmy do około trzynastej. Potem obiad. Przez dwa tygodnie mieliśmy chyba ze cztery dni specjalne: kartacze! Po obiedzie przerwa na kawę i kilka chwil na rozmowę. I regularnie, codziennie o tej samej godzinie, w ciągu dosłownie kilku minut niebo pokrywało się skłębionymi cumulusami. Robiło się ciemno, zwał się rześisty deszcz, rozpętywała się gwałtowna burza z piorunami. Trwało to do pół godziny. Letni wiatr momentalnie rozprasał niebo, od horyzontu do horyzontu znów panował absolutny błękit. Gdy wyszło się z domu, zjonizowane piorunami powietrze aż kłuło w płucach.

Byłem już za stary, by po burzy biec na pagórki od strony Zaleskich i szukać paluszków Matki Boskiej. Tak w dzieciństwie nazywaliśmy wygrzebywane z ziemi małe, szkliste sople stopionego piasku. Powstawały przy uderzeniach piorunów w szczyty piaszczystych wzniesień. Wie-

czory spędzaliśmy przy kawie przed domem. Było ciemno i cicho. Przed nami podświetlone wieże bazyliki, wokół intrygujący, magiczny zapach maciejki...

Góra Zamkowa

Przez wiele lat mnie i mego ełckiego przyjaciela Andrzeja Dudyńskiego kusiała Góra Zamkowa. Nasłuchaliśmy się wiele fantastycznych opowieści o istniejącym tam onegdaj zamku i jego okrutnym właścicielu. A miał być nim Korybut Wiśniowiecki. Tak nam przynajmniej mówiono. Ciekawość pobudzały też ostrzeżenia, że tam straszy strażnik ukrytych pod ziemią skarbów.

Któregoś dnia urwaliśmy się z domów i ruszyliśmy. W lesie błądziliśmy kilka godzin, zanim trafiliśmy na górę. Widzieliśmy przed sobą porośnięte sosnami nienaturalnego kształtu wzniesienie. Trawa była sucha i niska. Ani śladu ruin. Gdy mocno tupnęło się w ziemię, odgłos był głuchy. Doszliśmy do wniosku, iż to echo z piwnic. Żałowaliśmy, że nie zabraliśmy ze sobą łopat. Obchodziliśmy szczyt wzgórza tam i z powrotem, coraz przytupując i wsłuchując się w odgłosy. W pewnej chwili Andrzej zdrętwiał i syknął, abym się nie ruszał. Zdziwiony spojrzałem na niego. Wzrok wlepił pod moje nogi. Zerknąłem tam. Pół metra od trampka wygrzewała się chyba metrowa żmija. Nie miałem wątpliwości: bestia miała na grzbiecie wyraźny, „przepisowy” zygzak. Przez sekundę przypomniałem wskazówki Winnetou: nie ruszać się, a jak ugryzie – wyciąć miejsce ukąszenia nożem i wyssać krew. Ale nie minęła ta sekunda, a ja już gnałem przed siebie. Najpierw pobiłem rekord świata na sto metrów, potem na wszystkie średnie dystanse i już dochodziłem do mety konkurencji trzech tysięcy z przeszkodami, gdy wreszcie zatrzymałem się. Obok dyszał Andrzej. Uznaliśmy, że żmija to zaczarowany strażnik zamku. Już żeśmy się tam nie pokazali.



Wakacje
1985 r.

Z pustyni mieszkanie

W 1980 roku, po przejściu na emeryturę aż do śmierci (tato – 1986 rok, mama 1989), moi rodzice przenieśli się z Dolnego Śląska do Sejn. Zamieszkali u cioci Kazi. Tato wreszcie zagospodarował pustynię. Pomieszczenie podzielił na pokój gościnny i sypialnię i je otynkował. Sień od ulicy zagospodarował na kuchnię, a od podwórza urządził toaletę z wanną i wymiennikiem ciepła. Od strony wjazdu podkopał się pod dom, robiąc tam zewnętrzne wejście do niewielkiej piwnicy z hydroforem. I co ciekawe, ma ona za zbrojenie stropu ramę niemieckiego samochodu, który podczas wojny przypadkowo spłonął na Gumiennej, i zakupiona została od żandarmów za bańkę bimbru. Tato zainwestował w nową studnię z pompą oraz przepisowe, trzykomorowe szambo. Wreszcie były jako takie wygody.

Dusajtis

Koniec lipca 1989 roku. Drugiego dnia po przyjeździe z kuzynami, siostrą cioteczną, jej mężem i pięciorgiem dzieci pojechaliśmy na biwak za Żegary, nad przepiękne jezioro Dusajtis. Namioty rozbiliśmy nad jego wschodnim brzegiem u stóp kilkunastometrowego zbocza. Wcześniej uzyskaliśmy zgodę i obstalowaliśmy zaopatrzenie w nabiał u właściciela gruntu. Całymi dniami przesiadywaliśmy nad wodą, łowiliśmy ryby i pływaliliśmy wypożyczoną łódką, wysmienitym i ambitnym wioślarzem okazał się mój najmłodszy, wówczas dziewięcioletni syn. Pod wieczór zbieraliśmy drzewo na ognisko. Odbył się rytuał okadzenia namiotów żarzącymi się gałęziami jałowca (środek na komary). Najpierw szły spać dzieci. Potem, po sprzątaniu naczyń, do namiotu szła moja siostra cioteczna Danusia. Męża i mnie codziennie – bez przekonania, raczej z rezygnacją – upominała: „Dziś idźcie spać wcześniej”. Potulnie przytakiwaliśmy. Zasiadaliśmy blisko ognia, mając w zasięgu rąk drewno i ognisko. Szczelnie opatuleni kocami i śpiworami nieśpiesznie rozmawialiśmy o wszystkim i niczym do białego rana. A po północy następowała magiczna ceremonia. Jeszcze ciemno jak oko wykol. Widać tylko ogień i zarysy naszych twarzy. Niebo czarne, ale jakoś podświadomie zaczynało się odczuwać – bo absolutnie nie dostrzegać! – niewidoczne jeszcze zarysy krajobrazu. I dopiero po godzinie niebo zaczynało niedostrzegalnie blednąć. Najpierw lekko przygasły gwiazdy. Na horyzoncie zaczęły pojawiać się jaśniej czarne woalki jego linii. Po minutach wyłaniał się wąty jeszcze szkic krajobrazu, aby w kolejnych sekwencjach zarysować się coraz wyraźniej. Mijały kolejne odsłony tego majestatycznego widowiska. Wreszcie



Biwak, Dusajtis,
1989 r.

następował błądy, a potem nabierający kolorów świt. Dotyk metafizyki! Przez te chwile nie padło między nami żadne słowo.

Może na taki stan mego ducha miała wpływ świadomość, że niecały kilometr stamtąd do dworku w Krasnogrudzie przyjeżdżał przed wojną Czesław Miłosz i napisał tam kilka wierszy? I pomyśleć, że codziennie przesypiamy takie wspaniałe, niezwykle widowisko!

Chyba nigdy wcześniej i nigdy potem tak nie odpocząłem. Bo był to rok wyjątkowy. W mieście, gdzie mieszkam, miałem wówczas i dziki galop zawodowy, i akcję wyborów 4 czerwca. Tam nad Dusajtisem miałem świadomość, że w Polsce nie mogę już być dalej od mojego dolnośląskiego młyna. No chyba że pośrodku Gaładusi.

Nieboskłon

A z nieboskłonem w Sejnach mam też swoje porachunki. Obserwując nawet gołym okiem nocne niebo, chyba nigdzie w Polsce nie miałem takiego wrażenia przestrzenności kosmosu. Tylko tutaj można dostrzec, iż mniejsze gwiazdy są bliżej, a niektóre z większych dalej.

Gdy moje dzieci były jeszcze małe, często w ciepłe wieczory wędrowaliśmy wśród łąnów zbóż w stronę Zaleskich. Okazuje się, że do dziś pamiętają moje opowieści o sejneńskim nocnym niebie.

Kanion Szeszupy

W wieku chyba dwunastu lat natknęliśmy się z moim ełcko-sejneńskim przyjacielem Andrzejem na zszywkę numerów przedwojennego pisma ilustrowanego „Naokoło świata” z 1935 roku. Pośród wielu fascynujących fotoreportaży z całego świata – w tym relacji z pogrzebu marszałka

Piłsudskiego – trafiliśmy na opis doliny Szeszupy. Była tam wzmianka, że fragment tej rzeki przepływa przez kanion. Pewnie powinno być napisane: wąwóz albo głęboka dolina. Ale w okresie lektury *Winnetou* Karola Maya przeczytaliśmy to, cośmy chcieli. W międzyczasie ja przeniosłem się na Dolny Śląsk. Wstyd się przyznać, ale przez dziesięciolecia przy każdym spotkaniu wspominaliśmy Szeszupę. Pół żartem, ale i pół serio obiecywaliśmy sobie wyprawę do naszego kanionu. I w naszej wyobraźni mit rósł i rósł. Żony z nas się śmiały, dzieci dziwnie patrzyły. A my swoje.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zmobilizowałem się tam wreszcie pojechać. Bez Andrzeja, chyba go w Ełku wtedy nie było. Wybrałem się tam z najmłodszym synem. No i stwierdziłem, że dolina jest taka, jaka jest. Żeby pognać Andrzeja, w drodze powrotnej do Sejn zrobiłem sobie zdjęcie nad Szeszupą na moście w Rutce-Tartaku. Pytany później przez niego, nie zdradziłem, ile liczą urwiska kanionu.

Minęło kolejne ponad dziesięć lat. W międzyczasie Andrzej przez kilka lat mieszkał w USA. Nie usiadł w Nowym Jorku i z rodziną wybrał się na objazd Ameryki. W programie nie mogło zabraknąć Colorado. Gdy spotkaliśmy się po jego powrocie do Polski, powstał problem. On widział kanion Colorado, ja widziałem kanion Szeszupy. Pora rozstrzygnąć, który jest większy. Komuś postronnemu wydać się to może „oczywistą oczywistością”. Ale nie z nami te numery, Brunner! Nie mogliśmy dopuścić do upadku mitu. Ustaliliśmy, że ani on, ani ja nie mieliśmy przy sobie... metrówek, aby dokładnie zmierzyć ściany urwisk. Więc sprawę pozostawiamy nierozstrzygniętą...

Zwykłe losy

Przed dziesięciu laty rozmawiałem z Czechami w mieście położonym w centrum tego kraju. Od stuleci i pokoleń mieszkają tam te same rodziny. W wyjątkowych przypadkach, jak małżeństwa zawarte podczas studiów czy służby wojskowej, ktoś opuszcza to miasto. Ostatni znaczący ubytek wśród mieszkańców nastąpił podczas drugiej wojny światowej, gdy kilkusetosobową społeczność miejscowych Żydów naziści bezpowrotnie wywieźli do Terezina i Auschwitz.

Czescy rozmówcy między innymi pytali o moje korzenie. I żeby im to wyjaśnić, na papierowej serwetce musiałem narysować nie tylko mapę Polski, ale i Europy. Bowiem: mama pochodzi z polsko-litewskiego pogranicza, z Sejn, tato spod Grodna, obecnie na Białorusi. Rodzice poznali się podczas robót przymusowych w Prusach. Ja urodziłem się na Warmii, a wychowałem na Mazurach. Od ponad 40 lat mieszkam na Dolnym Śląsku, a wżeniłem

się w rodzinę pochodzącą spod Tarnopola (obecnie Ukraina). Moi czescy rozmówcy byli zdumieni. Nie zdawali sobie sprawy z takich powikłań. A przecież moje losy nie są w Polsce czymś wyjątkowym. Były udziałem milionów rodzin.

Wyznanie

Na koniec tych może bezładnych wspomnień wypada przyznać się do grzechu śmiertelnego. Sejny nie są moim jedynym magicznym miejscem, niech mi to będzie odpuszczone. Gwoli uczciwości muszę wymienić i inne: Ełk, gdzie mieszkałem do dwudziestego roku życia; wieś pod Oleckiem, tam także u cioci Gieni spędzałem część wakacji; Augustów-Lipowiec, a na nim przyjaciel z podwórka, zaprzyjaźniona z naszą jego rodzina i też wakacje. Wreszcie od 1967 roku uroczyste miasto na Dolnym Śląsku. Ale miasto nad Marychą zajmuje specjalne miejsce w moim sercu.

Dziękuję Stwórcy za takie Sejny, taką rodzinę i takich mieszkańców Koziarki.

Lubań, maj–lipiec 2009

PS Podczas pisania tego tekstu, 15 czerwca 2009 roku w wieku 90 lat zmarła ciocia Kazia. Od wielu lat mieszkała na wsi pod Oleckiem u swojej najmłodszej, ostatniej siostry, cioci Gieni. Po mszy żałobnej 18 czerwca w sejneńskiej bazylice, spoczęła w rodzinnej kwaterze na nowym cmentarzu. Tak skończyła się moja przygoda z Sejnami. Ale nie w mojej pamięci.

26 czerwca 2010 roku w Krupinie pod Oleckiem zmarła moja ostatnia sejneńska ciocia, Eugenia Kaczyńska (z d. Balewicz), która przez ostatnie lata opiekowała się swoją siostrą, a moją koziarkową ciocią Kazią Soroką.

23 października 2010 roku w Puławach zmarł mój cioteczny brat, Broniek Ruczko.





Arnold Markowitz przed Domem Pogranicza, Sejny, sierpień 2005 r.

ARNOLD L. MARKOWITZ

Sejneńskie powroty¹

Autorius, kurio tėvai kilę iš Seinų, 1990-2005 metais tris kartus aplankė šį miestą. Savo įspūdžius iš šių kelionių aprašė anglų kalba leidinyje „Landsmen“. Vykdamas į pirmą kelionę nei žodžio nemokėjo lenkiškai o apie Seinus žinojo tik iš tėvo pasakojimų. Aplankė ir Krasnopolį iš kur buvo kilę seneliai. Seinų gyventojai atvykusį priėmė maloniai, stengėsi padėti.

Antrą kartą Seinus aplankė 2003 metais. Stebėjosi, kad čia vyksta pokyčiai gera kryptimi. Gerą darbą atlieka „Paribio“ centras (Pogranicze), kuris stengiasi išsaugoti atminti apie Seinuose gyvenusią žydų bendruomenę. Į trečią kelionę išsirengė 2005 metais. Į Seinus teko keliauti per Skandinaviją, Estiją, Latviją, Lietuvą.



„ewen a mol a land a zyse a szejne“ – „Był raz słodki i piękny kraj“, brzmi znany refren z *Rumania, Rumania*, jednej z najpopularniejszych pieśni Żydów amerykańskich z przedstawienia pełnego imigranckiej nostalgii. Ten refren mógłby równie dobrze poprzedzać opowieści o szczęśliwym dzieciństwie w „Rosji“, które ojciec opowiadał mi na dobranoc.

W tych opowieściach o „Se-NI“ (Sejnach) pojawiał się dwuizbowy dom z drewnianych bel i klepiskiem. Ojciec, Izrael Chackiel Markowicz, mieszkał w nim z rodzicami, Josielem Mowsze i Sorą (z domu Krasnopolaska), starszym bratem, Aronem Lejbem (moim imiennikiem), starszą siostrą, Basią, i młodszą siostrą Eteł. W mojej pamięci zachowałem też: „rosyjski piec“, na którym spał zimą; rozległe zabudowania seminarium duchownego, dominujące nad miasteczkiem; i rzekę, którą musiał pokonywać (jak i zimowe wiatry), by zanieść ubrania, które jego ojciec – krawiec z zawodu – szył dla „głównego księdza“ z kościoła seminaryjnego. Ojciec opowiadał, że każdej wiosny wciskał nowy mech pomiędzy bale rodzinnego domu. Pamiętał też, jak jego matka zamiatała podłogi z ubitej ziemi tak energicznie, że „łśniły niczym kamień“. Wspominał, że tamtejsi mieszkańcy mówili wieloma różnymi językami; że okoliczne jeziora i lasy pełne były ryb i zwierząt, i że często chodził (6 mil) w odwiedziny do swojej babki Gołdy, która mieszkała

w małym miasteczku „Kras-no-POL-je” (Krasnopol). Pamiętał, że chodził do szkoły do trzynastego roku życia, potem terminował jako malarz domowy (co stało się jego zawodem na całe życie). Wspominał o najbliższym większym mieście „SU-walki”, a także o wyprawach przemysłowych do Königsberga w niedalekich Prusach Wschodnich. Jego ostatnim wyczynem przemysłowym, dokonanym w wieku piętnastu lat, było przeschmugłowanie się przez granicę na chłopskim wozie, w przebraniu dziewczyny. Zamierzał dostać się do portu w Antwerpii i zaokrętować na statek płynący do Ameryki, aby połączyć się z Aronem Lejbem i Basią i zacząć nowe życie już jako Charles Markowitz.

Pomiędzy sierpniem 1990 i sierpniem 2005 roku odbyłem trzy wyprawy do Sejn. Doświadczenia z tych podróży są tematem tego artykułu.

Sejny, sierpień 1990

Po raz pierwszy przybyłem do Sejn w sierpniu 1990 roku – w setną rocznicę urodzin mojego ojca w tym miasteczku. Pierwsze wrażenie wiązało się z opowieściami ojca: pomyślałem, że gdyby był tu ze mną, poczułby się, jakby wrócił do domu. Sam miałem uczucie *déjà vu* – to, co widziałem, przypominało miejsce, które tak czule opisywał. Przed tą pierwszą wizytą nie czyniłem żadnych planów ani rezerwacji, nie znałem też słowa po polsku. Po prostu pewnego ranka przybyłem do Warszawy samolotem z Helsinek, wsiałem w pociąg do Białegostoku, potem w autobus do Augustowa i wreszcie w autobus z Augustowa do Sejn. Ten ostatni autobus jechał wąską drogą przez piękny, gęsty augustowski las, z brzoźami po jednej stronie oraz sosnami i świerkami po drugiej – i wtedy oczarowała mnie magia regionu. Zbliżając się do Sejn wczesnym rankiem, zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiedziałem, czy w mieście jest hotel. Ale kiedy autobus zatrzymał się na stacji, jedna z pasażerek, widząc, że jestem obcy, złożyła razem dłonie, na których oparła głowę, pytając tym gestem, czy potrzebuję miejsca na nocleg. Kiedy szliśmy w stronę hotelu „Skarpa”, za zakrętem ujrzałem sejneńską synagogę i elegancką tablicę z informacją o niej w języku polskim, ale napisaną czcionką przypominającą hebrajski. Pod nią umieszczona była krótka historia Żydów w Sejnach. Widok synagogi i rzucającego się w oczy opisu spotęgował we mnie oczyszczające uczucie radości, które towarzyszyło mi podczas ostatniego etapu podróży. Nareszcie byłem w Sejnach (Se-NI)!

Biała Synagoga stoi na wschodnim końcu głównej ulicy miasta – Piłsudskiego (chyba każde miasteczko i miasto w Polsce ma ulicę Piłsudskiego, na cześć bohatera polskiej walki o niepodległość, marszałka

Józefa Piłsudskiego). Obok znajdują się budynki byłej szkoły talmudycznej i byłego świeckiego gimnazjum hebrajskiego, założonego przez uczonego Tuwie Pinkasa Szapiro, którego syn Israel Schapiro stał się później pierwszym Przewodniczącym Zbiorów Semickich w Bibliotece Kongresu (Chief of the Semitic Division at the Library of Congress). Ulica Piłsudskiego biegnie w stronę ratusza miejskiego i dalej, do głównej osi miasta, gdzie kończy się na wzniesieniu przy dominującym nad miastem imponującym kompleksie kościelno-klasztornym Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Pomiędzy 1818 i 1925 rokiem kościół był katedrą diecezji sejneńskiej. Ponieważ diecezja została zlikwidowana, kościół stracił status katedry, ale, dzięki niedawnemu mianowaniu na Bazylikę Mniejszą Kościoła Katolickiego, zyskał nową rangę. Przebudowany w XVIII wieku w regionalnej odmianie włoskiego baroku, zwanej barokiem wileńskim, znajduje się w miejscu, w którym wcześniej wybudowano kompleks klasztorny dominikanów z Wilna, założycieli Sejn. To dominikanie sprowadzili Żydów z Wilna, by ustanowić w Sejnach żydowską społeczność. Tak więc synagoga wraz z przylegającymi do niej budynkami na wschodnim krańcu głównej ulicy symbolizują stare więzi, chociaż dominikanów nie ma w Sejnach od 1804 roku, kiedy to pruskie władze rozwiązały klasztor, a Żydów unicestwili w 1939 roku Niemcy.

Hotel „Skarpa” dwupiętrowy budynek po północnej stronie ulicy Piłsudskiego z knajpą na dole i pokojami na górze, zapewniał wystarczające, choć niewyszukane udogodnienia, w tym łazienkę ze wspólnym prysznicem na końcu korytarza. Z mojego pokoju, po frontowej stronie budynku, widać było solidne budynki po południowej stronie ulicy Piłsudskiego. Z okna po przeciwnej stronie korytarza – krętą i wąską rzeczka Marychę oraz tradycyjne drewniane domy i gospodarstwa, które kiedyś stanowiły rdzeń szteta. Hotelowa jadalnia oferowała znakomite pożywienie, a tamtejszy chleb przeniósł mnie natychmiast w czasy dzieciństwa na Brooklynie. Nigdy nie zapomnę nieporozumienia lingwistyczno-restauracyjnego, kiedy po bardzo dobrej zupie i daniu mięsny zamówiłem na deser rosół (będąc przekonany, że to pudding ryżowy). Kelnerka próbowała najlepiej jak umiała wyperswadować mi mój wybór, ale ostatecznie, zrezygnowana, spełniła moje niezłomne żądanie i przyniosła bulion, którego tak bardzo chciałem. (Jeżeli masz jakiegokolwiek wątpliwości związane z polskim menu, poproś o pomoc obsługę kelnerską!)

Kolejną sytuację z jadalni hotelu pamiętam nieco mniej wyraźnie – przyjęcie wódczane na moją cześć, wydane przez entuzjastycznie nastawionych nowych znajomych w wieku emerytalnym. Przy pomocy rozmówek Berlitz’a i kart indeksowych wielkości 3 na 5 cali, udało mi się prowadzić prostą rozmowę: „Ojciec, Sejny 1890” i strzałka do „Ameryka

1905” oznaczały: „Ojciec, urodzony w Sejnach w 1890, wyjechał do Ameryki w 1905 roku”.

Innym razem, nie będąc pewnym, jak jest „żydowski” po polsku, napisałem na kartce: „Gdzie jest cmentarz”, rysując obok gwiazdę Dawida i pokazując ją kapelusznikowi, który akurat był w pracy w swoim małym zakładzie. Wydawało się, że nie jest pewien, ale mimo to nalegał, że zamknie sklep i spróbuje zaprowadzić mnie tam, gdzie sądził, że znajdziemy cmentarz. Jak się okazało, cmentarz był zupełnie gdzie indziej, ale zachowuję w pamięci jego uprzejmość. Tak jak starej kobiety, która zaprosiła mnie do swego mieszkania (połówka starego dwupokojowego domu), żebym mógł sprawdzić podobieństwo z miejscem, w którym żyli moi dziadkowie i ich dzieci. Na piecu w jej części domu, oddzielonej plastikową zasłoną na prysznic, gotowało się jedzenie. Zapytałem, czy mogę obejrzeć piec. Eureka! Miejsce, gdzie się wkłada drewno czy węgiel, połączone było z długim niskim przedłużeniem, wystarczająco dużym, żeby mógł spać na nim młody chłopak.

Sejny roku 1990 dopiero wychodziły z dekad wojny, okupacji i rządów komunistycznych. Nie były miejscem prosperującym. Wzdłuż niskiego ceglanego muru na głównej ulicy ludzie sprzedawali rozmaite drobne przedmioty, powietrze było ciężkie od smoły, a samochody stanowiły rzadkość. Ciągnięte przez konie wozy toczyły się na gumowych oponach, niczym w *Skrzypku na dachu*. Jednakże często przejeżdżały podmiejskie autobusy, czasem wysiadali z nich młodzi turyści z zagranicy z plecakami – najwyraźniej i oni odkryli ten region. Nigdy nie zapomnę dreszczu na widok autobusu z tablicą: Suwałki – Krasnopol – Sejny.

Opis sześciomilowych spacerów mojego ojca z Sejn do Krasnopol okazał się całkowicie trafny; znak przy granicach miasteczka obwieszczał: Krasnopol 10 km (Suwałki leżą zaś dziewiętnaście kilometrów od Krasnopol). Chociaż miałem wielką ochotę na pieszą przechadzkę do Krasnopol, letni upał i mój wiek kazały ostatecznie wybrać autobus. Nazwę Krasnopol można przetłumaczyć jako „piękne pola” albo „czerwone pola” i nietrudno odgadnąć, dlaczego miasteczko nosi tę nazwę (mój ojciec powiedział mi, że jeden z jego kuzynów o nazwisku Krasnopolski w Ameryce zmienił nazwisko rodzinne na Shoenfeld). Miasteczko otaczają pola o rdzawej glebie, falujące niczym morze. Widok tych pól, niemal sięgających błękitnego nieba obwieszono bufiastymi białymi chmurami, w istocie jest piękny. Droga pomiędzy Suwałkami i Sejnami zbacza na moment z prostego kursu by przemknąć przez Krasnopol, a raczej pod nim, bo miasteczko rozsiało się po obu stronach drogi niczym kowboj na koniu.

Znalezienie krasnopolskiej synagogi wciąż przede mną, ale powiedziano mi, że istniała w miejscu, w którym dziś jest gospoda i trudno

byłoby ją rozpoznać. Kobieta na rowerze wskazała mi cmentarz żydowski, wyrażając przy tym krytyczne zdanie o tym, jak jest (nie)utrzymywany. W rzeczywistości chyba tylko tablicę informacyjną można by tu postawić, ewentualnie płot, bo niewielki cmentarny pagórek, łącznie z nagrobkami, poddał się kompletnie lasowi.

Ojciec opowiadał mi, że jego rodzice i siostra Etel (która wyszła za żołnierza o nazwisku Wolfowitz) zostali wysiedleni z Sejn podczas I wojny światowej i zamieszkali w Witebsku. Suwalskie rejestry wysiedlonych w 1915 roku, opublikowane w piśmie „Landsmen”, wymieniają Josiela Mirkowicza [sic] (zapis z Krasnopol), wysiedlonego z Sejn do guberni mohylewskiej wraz z żoną Sorą i matką Gołdą. Imię ojca Josiela widnieje jako Lejb, a ojca Sory – Orko (wariant od Aarona). Imię ojca Gołdy to Chackiel. Etel zapisano oddzielnie jako Etel Wolfowski, córkę Josiela, zarejestrowaną w „Nowogroduku” (Nowogródek koło Mińska), również wysiedloną z Sejn do guberni mohylewskiej. Według tego samego zapisu razem z Etel wysiedlono jej dwuletnią córkę, Maszę Libę (wcześniej znaną mi jako Marsha). Dzięki rejestrom wysiedlonych opublikowanym w „Landsmenie” zdołałem potwierdzić, że obydwie strony rodziny mojego ojca pochodziły z Krasnopol, co sugerował już poprzedni zapis w „Landsmenie” o mężczyznach poszukiwanych za uchylanie się od służby wojskowej: według niego dwudziestojednoletni Aron Leyb Markowicz z Krasnopol, syn Josiela, figurował jako „zaginiony” w 1905 roku („zaginał” w istocie – w tym czasie mieszkał w Brooklynie!).

Późniejsze badania dowiodły, że korzenie krasnopolskiej części rodziny sięgają bardzo głęboko: ojciec mego ojca pochodził od Mortchela z Krasnopol, którego trzej synowie (dwaj z nich urodzili się pod koniec XVIII wieku) przyjęli nazwisko Markowicz. Jego matka zaś pochodziła od Peysacha z Krasnopol, którego trzej synowie (przynajmniej jeden z nich urodził się pod koniec XVIII wieku) przyjęli toponimiczne nazwisko Krasnopolski. Moi rodzice, nawiasem mówiąc, są pochowani w sektorze bractwa Chevra Bnai Aria Anshe Krasnopol na Cmentarzu Waszyngtońskim (Washington Cemetery) na Brooklynie; a liczni kuzyni mojego ojca, noszący nazwisko Mishkin, leżą w sąsiednim sektorze Krasnepoler Young Mens Aid Society.

[Uwaga genealogiczna: chociaż mój ojciec nigdy nie wyjaśnił, czyją matką była Gołda, przypuszczam, na podstawie panieńskiego nazwiska Sory – mojej babki (które brzmiało Krasnopolski) oraz faktu, iż Gołda mieszkała w Krasnopolu, że Gołda była matką Sory. Początkowo wątpiłem w trafność zapisu z 1915 roku dotyczącego wysiedlanych, według którego Gołda miała być matką Josiela. Jak się jednak okazało, zapis był bezbłędny: późniejsze badania potwierdziły, że Gołda (córka Chackiela Grodzinskiego) była żoną

Lejba Markowicza (urodzonego w Berżnikach) i matką mojej babki. (Musimy nieustannie podważać nasze przypuszczenia!)]

A więc Sejny. Odwiedziłem tu synagogę, która znajdowała się pod opieką Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Sejnach – funkcjonowała jako galeria sztuki. Miałem szczęście spotkać tam Wiesława Szumińskiego, artystę i opiekuna galerii. Jako potomek sejneńskich Żydów, zostałem ciepło powitany przez pana Szumińskiego, z którym zdołaliśmy porozmawiać w czymś, co przypominało niemiecki. On sam interesuje się śladami lokalnej żydowskiej przeszłości, czemu wyraz daje w swojej twórczości (podobnie jak kilku innych lokalnych artystów). Zaciekawili go też związki mojej rodziny z Krasnopolą, gdzie zresztą mieszkają jego rodzice. Na pytanie o to, gdzie znajduje się cmentarz żydowski w Sejnach, ze smutkiem wyjaśnił, że starszy cmentarz żydowski „zarosły” brzydkie bloki z epoki komunistycznej; poradził udać się na miejsce nowszego cmentarza, około dwa kilometry za miastem, na drodze do Augustowa, gdzie da się odnaleźć zaledwie kilka grobów. Zaprowadził mnie do głównej siedziby ośrodka kultury, w którym otrzymałem kilka egzemplarzy broszury na temat synagogi do rozdania wśród członków rodziny. Przed wyjazdem dałem Wiesławowi mój adres – przypadkowy czyn, który okazał się kluczem do mojego stałego odtąd kontaktu z Sejnami.

Kierując się wskazówkami Wiesława, odnalazłem cmentarz, wznoszący się nad drogą do Augustowa. Pośród wysokiej trawy leżało pięć czy sześć płaskich kamieni przykrywających groby, ale żadnej stojącej macewy. Na żadnym z kamieni nie było napisu. Na jednym tylko ktoś niestarannie wydrapał gwiazdę Dawida.

Moja pierwsza wizyta w Sejnach była szalenie miła. I to pomimo graffiti na zewnętrznej ścianie klasztoru „Jude Rous – Poland Power – Polska dla Polaków – Lietwa oj!”. Co ciekawe, mniej więcej tydzień później w Warszawie przeczytałem krytyczny artykuł o tym napisie w stołecznym tygodniku publikowanym w języku angielskim. Oczywiście, nie ma już Żydów w Sejnach, co bardzo utrudnia ich wypędzenie, ale nadal mieszka tu wielu Litwinów, co w czasach po upadku komunizmu skrajnym polskim nacjonalistom najwyraźniej wydaje się dobrym pretekstem do wymyślania podobnych haseł.

Autobus do Augustowa miał połączenie z autobusem do Białegostoku, skąd udałem się, by zwiedzić pobliski Tykocin, miejsce urodzin obojga rodziców mojej matki. Ale Tikin to już inna historia.



Arnold Markowitz w Domu Pogranicza, Sejny, sierpień 2005 r.

Fundacja Pogranicze przybywa do Sejn

W październiku 1990 roku otrzymałem list od Wiesława Szumińskiego, w którym wspominał moją wizytę i wyrażał pragnienie podtrzymania pamięci o żydowskiej społeczności Sejn. Kiedy wreszcie znalazłem kogoś, kto przetłumaczył list oraz moją odpowiedź na angielski, zaproponowałem, aby Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury stał się członkiem amerykańskiego stowarzyszenia zajmującego się badaniem genealogii żydowskich z okolic Suwałk i Łomży (Suwalk-Lomza Special Interest Group), a także przelałem wszystkie dotychczasowe numery pisma „Landsmen” i zaproponowałem kontynuowanie prenumeraty. Pan Szumiński przekazał mój list Krzysztofowi Czyżewskiemu, prezesowi nowo założonej Fundacji Pogranicze (Borderland Foundation), która przejęła od ośrodka kultury rolę zarządcy Białej Synagogi. Fundacja Pogranicze to niezwykła organizacja, założona w celu propagowania porozumienia i pokojowego współżycia pomiędzy różnymi grupami etnicznymi Wschodniej i Środkowej Europy, ze szczególnym naciskiem na mniejszości etniczne zamieszkujące pogranicza. W liście do mnie pan Czyżewski przyjął ofertę członkostwa i prenumeraty „Landsmena”, a także entuzjastycznie zaprosił do wzięcia udziału w zbliżającej się konferencji o tolerancji, mając przede wszystkim nadzieję na to, że spotkam się z młodymi uczestnikami programu fundacji. Niestety, konferencja miała się odbyć w listopadzie – nie jest to mój ulubiony okres, jeśli chodzi o odwiedzanie północnowschodniej Polski. Nie wziąłem udziału w konferencji, ale nie zaprzestałem kontaktu z Fundacją Pogranicze, głównie

dzięki prenumeracie „Krasnogrudy”, nieregularnego pisma Fundacji, wydawanego w różnych językach z krótkimi streszczeniami po angielsku. Tytuł pisma odnosi się do dworku rodziny nieżyjącego już Czesława Miłosza, który był patronem Fundacji Pogranicze. Dwór w Krasnogrudzie leży kilka kilometrów od Sejn, tuż przy granicy z Litwą.

Sejny, lipiec 2003

Ponieważ nie udało mi się zabukować promu ze Szwecji do Gdańska (było na to za mało czasu), poleciałem samolotem ze Sztokholmu do Gdańska z międzylądowaniem w Warszawie, po czym posuwałem się na wschód przez pełne jezior Mazury. Poszczególne odcinki trasy przemierzałem autobusami i pociągami, zdarzyła się nawet jedenastogodzinna jazda wzdłuż kanału łączącego Elbląg z Ostródą – wspaniałego osiągnięcia pruskiej inżynierii. Ostatni etap podróży odbyłem pociągiem z Mikołajek do Suwałk, gdzie spędziłem noc, by rano udać się do Sejn taksówką. Mimo, że od czasu mojej pierwszej wizyty nauczyłem się kilku słów po polsku, wolałem polegać na mojej przybliżonej znajomości niemieckiego w rozmowie z kierowcą – powiedział mi, że rozwój Suwałk został przyhamowany przez niedawną reorganizację politycznego podziału Polski, na mocy której Suwałki zaczęły podlegać administracyjnie Białemu Stokowi. Zawiózł mnie do hotelu „Skarpa”, który przeszedł solidną przebudowę, polegającą między innymi na

Arnold Markowitz wraz z Małgorzatą Sporek-Czyżewską i Michałem Steinlaufem w swoim mieszkaniu w Filadelfii. Fot. Krzysztof Czyżewski



uruchomieniu łazienek w każdym pokoju, przemianie knajpo-restauracji na bardziej elegancką restaurację oraz na otwarciu kawiarenki.

Ulepszenia w „Skarpie” odzwierciedlały postęp widoczny także w innych częściach miasteczka. Symbolizowały go świetne delikatesy przy ulicy Piłsudskiego; „Kafeteria Pogranicze” – bardzo przyjemna nowa kawiarenka; nowe domy jednorodzinne oraz nowe ładne bloki mieszkalne. Sejny stały się częścią „Nowej Polski”! Najjaśniejszym punktem stał się jednak świeżo zrekonstruowany budynek żydowskiego gimnazjum, teraz będący „Domem Pogranicza”, siedzibą Fundacji. Budynek, którego nie można było nareperować czy odnowić, został ostrożnie rozebrany na części aż do fundamentów przez zdolnego architekta z Sejn, a potem wybudowany od nowa – w dokładnie tym samym kształcie co oryginalny, a nawet z identycznym ustawieniem dźwigarów i słupów z rosnącego w okolicy modrzewia – w górnej części budowli pozostawiono je niepomalowane. Fasada budynku wyróżnia się opadającą kamienną elewacją, na której wznoszą się fundamenty, co podkreśla jego ciągłość z przeszłością. Z przodu zdobi go płaskorzeźba przedstawiająca żydowskiego handlarza z tobołkiem na plecach. Wnętrze, nowoczesne, ciepłe i zachęcające, mieści pokoje administracyjne, przestrzeń wystawową oraz centrum dokumentacji – kluczową dla działalności fundacji. Do Sejn przybyłem w sobotę i wieczorem tego samego dnia wybrałem się do synagogi na koncert grupy klezmerskiej (utworzonej przez Fundację). Sala była pełna!

Zanotowawszy informację o godzinach otwarcia „Domu Pogranicza”, wywieszoną przy wejściu, nacisnąłem na dzwonek o 10 rano w poniedziałek. Otworzył Robert, młody członek zespołu; mówił świetnie po angielsku. Powiedziałem mu o moich związkach z Sejnami i o wysłaniu dla Fundacji pisma „Landsmen”. Wiedział o tym i czym prędzej zaprowadził mnie do Agaty, odpowiedzialnej za centrum dokumentacji, która powitała mnie jak drogiego przyjaciela z daleka, widzianego po raz pierwszy. Pokazała mi wydawnictwo *1915 Suwalki Evictions*, które wcześniej wysłałem do Pogranicza, a potem zaprowadziła do półek z literaturą, by pokazać, gdzie stały numery „Landsmena”. Każdy z nich poznaczony był licznymi uwagami – bez wątplenia ktoś miał z niego pożytek!

Po oprowadzeniu mnie po „Domu Pogranicza”, zostałem zaproszony do sali medialnej w piwnicy. Przyniesiono herbatę i pokazano film na DVD *Tratwa muzykantów pomiędzy Nowym Jorkiem i Sejnami* (The Musicians’ Raft between New York and Sejny), dokumentujący warsztaty w Fundacji Pogranicze prowadzone przez czołowych muzyków klezmerskich ze Stanów Zjednoczonych, a także Michaela Steinlaufa, profesora historii w Gratz College, w Filadelfii (Steinlauf specjalizuje się w historii Żydów wschodniej Europy,

stosunkach polsko-żydowskich oraz teatrze jidysz). Po raz pierwszy Amerykanie i klezmorim Pogranicza spotkali się podczas Festiwalu Muzyki Żydowskiej w Krakowie.

Później Robert zaprowadził mnie na cmentarz żydowski, żebym mógł zobaczyć kamień poświęcony utraconej żydowskiej społeczności, który, dzięki wsparciu Pogranicza, został umieszczony tam w maju 2002 roku przez mieszkańców Sejn. Jest to czarny granit o wypolerowanej powierzchni i ostrych krawędziach, z wyrytym krótkim napisem: „PAMIĘCI ŻYDÓW SEJNEŃSKICH – Mieszkańcy Sejn” – po hebrajsku i polsku oraz z rysunkiem splecionych świec. Kamień zaprojektował Wiesław Szumiński (to on zresztą jest odpowiedzialny za sprowadzenie Krzysztofa Czyżewskiego do Sejn). Odsłonięcie kamienia było głównym punktem dwudniowych uroczystości, w których wzięli udział liczni dostojni goście, w tym przedstawiciele żydowskich społeczności z Kowna i Wilna, Szewach Weiss, ambasador Izraela w Polsce, a także Max Furmański, urodzony w Sejnach kantor, który, po wielu latach spędzonych w Argentynie i Meksyku, teraz mieszka w Izraelu. Wydarzenia tego weekendu uwieczniła piesza procesja na cmentarz. Wzięło w niej udział wielu sejnian. W jednym z kątów synagogi są ułożone na stos fragmenty macew, których Niemcy użyli w czasie II Wojny Światowej do wybrukowania jezdnii. Okoliczni mieszkańcy do dziś znajdują fragmenty macew. Fundacja Pogranicze planuje, w ramach pracy z młodymi, przywrócić je cmentarzowi – będą wmurowane w ścianę pamięci.

W poniedziałek wieczór wysłuchałem innego koncertu w synagodze, tym razem zespołu folkowego „Grey Goose” z Lewiston w Maine, który odbywał tournée pod patronatem Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych. W synagodze zdałem sobie sprawę, że o ile moja pierwsza wizyta w Sejnach wypadła sto lat po urodzinach ojca, obecna odbywała się w setną rocznicę jego bar-micwy. Po przedstawieniu miałem przyjemność poznania Małgorzaty Sporek-Czyżewskiej, żony Krzysztofa i jednej z założycielek Pogranicza. Małgorzata pełni w organizacji rozmaite role, jest m.in. znakomitą wokalistką zespołu klezmerskiego. Wyrażając żal, że Krzysztof był akurat za granicą, zaprosiła mnie do domu na późną kolację z muzykami i innymi gośćmi. Niestety, wyczerpany nadmiarem wrażeń i niezbyt już młody podróżnik musiał odmówić miłemu zaproszeniu!

Następnego dnia odwiedziłem Krasnopol i dzień później opuściłem Sejny, podążając w stronę Warszawy przez Augustów, Białystok i Tykocin.

Sejny, sierpień 2005

Mój ojciec mówił mi, że jego „wujek” wyemigrował do Szwecji. Nie posiadając nic ponad tę ogólną informację oraz znajomość dwóch nazwisk rodzinnych, zwróciłem się do Carla Carlssona, członka Suwałk-Lomza Group w Szwecji, ten zaś wskazał norweskie Trondheim jako miejsce warte sprawdzenia. Przeczytawszy w „Landsmenie”, że żydowska społeczność w tym mieście będzie świętowała stulecie swego istnienia w 2005 roku, postanowiłem odwiedzić Trondheim tego roku, w drodze do Sejn. Opracowałem trasę: Frankfurt miał być miejscem lądowania i powrotu z Europy – opuściłem Filadelfię 3 lipca, by wrócić 31 sierpnia. Przed wylotem napisałem do Krzysztofa, że zamierzam odwiedzić Sejny na początku sierpnia i że mam nadzieję spotkać się z nim.

Moje podróżowanie z Frankfurtu i z powrotem, pociągami, statkami, autobusami, katamaranem oraz Hurtigruten (norweska linia parowców Norwegian Coastal Steamer), przypominało nieregularną tarczę zegara. W Trondheim zatrzymałem się na dwa dni, w przerwie podróży jednym parowcem i drugim: odwiedziłem tutejszą synagogę i Muzeum Żydowskie, w którym zorganizowano wystawę z okazji setnej rocznicy. Pracownica muzeum, wolontariusz – młoda studentka medycyny, otrzymała ode mnie – dla muzeum – numer „Scandinavian Review” (publikowanego przez American-Scandinavian Foundation) z wiosny 2003 z artykułem o Żydach w Norwegii, zawierający fotografie kilku rodzin z Trondheim. Powiedziałem jej o moich ewentualnych związkach z Trondheim i odtąd jesteśmy w kontakcie.

Po opuszczeniu Trondheim, podróżowałem przez kolejne dwa dni Hurtigruten na północ, a potem na południe autobusem przez dziewięć i pół godziny w stronę Koła Arktycznego, do Rovaniemi w Finlandii. Następnymi punktami po drodze były Helsinki, Tallin (do którego dostałem się katamaranem), Ryga i Wilno (gdzie dotarłem autobusem). W Wilnie odwiedziłem Instytut Żydowski na Uniwersytecie Wileńskim (The Vilnius Yiddish Institute), a także Jewish Community Center i jego muzeum. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję dotrzeć do Sejn bezpośrednio z Wilna, podążając za Żydami, sprowadzonymi przed laty przez dominikanów. Jednakże okazało się to niepraktyczne, ponieważ bezpośredni autobus do Sejn (Seinai po litewsku) kursuje tylko dwa razy w tygodniu i dociera tam po dziesiątej wieczór. Nie będąc w stanie zarezerwować hotelu w Sejnach z Wilna, postanowiłem nie ryzykować i wybrałem autobus do Suwałk, który przyjeżdżał wczesnym popołudniem.

Suwałki rozkwitły od moich poprzednich wizyt. Plac centralny, a także wiele starszych budynków zostało starannie odnowionych. Kiedy



Arnold Markowitz w parku w Krasnogrudzie, sierpień 2005 r.

zauważyłem to w rozmowie z właścicielką jednego ze sklepów, odrzekła z dumą, że „nowa administracja troszczy się o stare budynki”. Po wielu tygodniach podróżowania, postanowiłem zostać w Suwałkach na trzy dni, by zrobić pranie, odpocząć i wrócić do sił przed dalszą, około trzydziestokilometrową, podróżą autobusem do Sejn. Z recepcji hotelu w Suwałkach zadzwoniono do „Domu Litewskiego” w Sejnach, by zarezerwować dla mnie pokój. „Dom Litewski”, współczesny funkcjonalny budynek, prócz pomieszczeń noclegowych, mieści konsulat litewski, sale do spotkań, salę wystawową oraz Karczmę – tradycyjną restaurację z daniami litewskimi. Całodobowa obecność policji w budce strażniczej tuż przy Domu Litewskim sugerowała istnienie napięć etnicznych (Litwini stanowią około trzydzieści procent mieszkańców Sejn), ale później powiedziano mi, że jest tam z urzędu, by chronić konsulat.

Wizyta w Sejnach przypadła na czas potężnych wiatrów i deszczy nad Europą Środkową, które nie ominęły miasteczka. Skutkiem którejś szczególnie burzliwej nocy były powywracane drzewa i przerwy w dostawie elektryczności. Przypomniało mi to własne dawne doświadczenia z gór Adirondacks na północy stanu Nowy Jork! Dzień po burzy brygady porządkowe pracownicy przywracały porządek, a ja zadzwoniłem do „Domu Pogranicza”, gdzie znowu powitano mnie jak starego przyjaciela. Nareszcie spotkałem Krzysztofa, który bardzo się śpieszył, i umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia – wtedy przyłączyła się do nas Bożena Szroeder, szefowa programu młodzieżowego Pogranicza. Właśnie Bożena, jej mąż Wojciech (który prowadzi zespół klezmerski) i małżeństwo Czyżewskich założyli

Fundację Pogranicze. Bożena i Krzysztof zaprosili mnie na nagrywane na wideo spotkanie z kilkoma uczestnikami programu młodzieżowego dwa dni później, podczas którego miałem opowiedzieć młodym ludziom o historii mojej sejneńskiej rodziny i późniejszym życiu w Ameryce, aby wzbogacić ich wiedzę i szacunek dla rodzimej historii. Wywiad odbył się w głównym pomieszczeniu wystawowym w „Domu Pogranicza”, w którym wywieszono są m.in. fotografie żydowskiej rodziny z Montrealu z sejneńskimi korzeniami (wkrótce pojawią się tam też zdjęcia moich dziadków z Sejn, ich córki i dwóch synów w Ameryce, a także drugiej córki, która dołączyła do nich podczas wygnania na Białorusi). „Pogranicze” zamierza znaleźć badacza, który mógłby przeprowadzić dogłębne studia nad Żydami z Sejn. W międzyczasie mam nadzieję, że członkowie Suwałk-Lomża Interest Group pochodzący z Sejn wzbogacą dane Pogranicza o informacje na temat swoich rodzin.

Wywiad, trwający ponad dwie godziny, choć wyczerpujący, był droгим doświadczeniem, którego nie zapomnę. Młodzi ludzie z Sejn są ujmujący. Po spotkaniu kolejny raz opuściłem Sejny autobusem i, przez Augustów, Białystok, Warszawę i kolejne punkty coraz bardziej na zachód, wróciłem do domu, jednocześnie już planując kolejne odwiedziny tego magicznego i pięknego miejsca.

Przełożył Bartosz Hlebowicz

Przypisy

- 1 Artykuł pod tytułem *Sejny revisited* ukazał się po angielsku w kwartalniku „Landsmen” 16 (1-2), czerwiec 2006, publikowanym przez Suwałk-Lomża Interest Group for Jewish Genealogists.



ZBIGNIEW PRZYROWSKI

Sejny

Autoriaus prisiminimai susiję su Seinais. Vaikystėje, Seinuose leido savo atostogas. Gyveno pas senelį prie Maros, netoli Seinų šilelio. Čia būdavo ir daugiau vaikų su kuriais žaisdavo, maudydavosi Maros upėje, organizuodavo vaidinimus į kuriuos pakviesdavo senelius ir kitus šeimos narius. Artėjant II pasauliniam karui Seinai buvo tapę svarbiu kultūros centru, buvo pastatytas naujas pastatas kinoteatrui, veikė mėgėjiška teatro trupė, buvo organizuojami koncertai ir kt. Seinų apylinkėje gyveno nemažiai lietuvių, bet miestelyje jie nebuvo pastebimi. Autoriaus šeima bendravo tik su netoliese gyvenančia Onute ir iš artimo kaimo Petroniu. Daugiau lietuvių neteko pažinti.



Sejnach spędziłem wszystkie przedwojenne wakacje. Najpierw u dziadka Pieńczykowskiego ze strony matki, później w naszej własnej posiadłości. Dziadek Tomasz miał odziedziczony po swoim ojcu Marcynie skrawek ziemi leżący właściwie już za miastem przy gościńcu kalwaryjskim, niedaleko lasu nazywanego Borkiem. Z miasta do jego posiadłości wiodła ulica nosząca wówczas nazwę 29 Listopada. Ostatnimi przy niej zabudowaniami były: po stronie nieparzystej dom pani Ławkiewiczowej, po parzystej – pana Smolińskiego. Od dziadka dzieliła je odległość ponad stu metrów. Powierzchnia jego skrawka ziemi wynosiła kilka hektarów, ponad sześć morgów, jak wtedy jeszcze liczone. Jego granicami były: gościniec, łąka państwowego majątku Sejny, rzeka Marycha, pole i podwórkko Ławkiewiczowej.

Oddalenie od miasteczka, bliskość rzeki i lasu czyniły z domu dziadka wymarzone miejsce na wakacyjny wypoczynek. Dom stał mniej więcej po środku posesji, na wzgórzu porośniętym wysokimi drzewami – typowy szlachecki dworek zbudowany z drewna modrzewiowego, z gankiem od frontu. Dzielił się na dwie dwupokojowe części, do których od podwórka dobudowane były kuchnie. Mały pokójek znajdował się obok strychu na krytym gontem poddaszu. Ten właśnie pokójek zajmowaliśmy w czasie wakacji. W Sejnach mieszkał również wuj Robert Pieńczykowski z wujenką Kazią i synkiem Ryśkiem. W pierwszych latach naszych przyjazdów mieli oni

mieszkanie w miasteczku, ponieważ po ulokowaniu w Sejnach 24. Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza część dziadkowego dworku została objęta kwaterunkiem wojskowym i zamieszkał w niej kapitan Czarniecki z żoną i córeczką Kasią. Wujostwo właściwie tylko nocowało gdzie indziej, a stawało się i większość czasu spędzało u rodziców. Pierwsze zapamiętane sejneńskie wakacje to stałe towarzystwo i wspólne zabawy czwórki dzieciaków, którą stanowiliśmy: ja, mój brat Konrad, o rok starszy od niego Rysiek i moja rówieśnica Kasia. Przewodził nam, co wynikało ze starszeństwa, Rysiek. Kasia dzielnie uczestniczyła we wszystkich chłopięcych zabawach, podchodach, gonitwach i walkach na zgnilaki w rozciągającym się od domu dziadków do zabudowań Ławkiewiczowej sadzie, z wyjątkiem rozgrywanych na ścianie zamykającej podwórko dużej stodoły zawodów: „kto wyżej siknie”.

W gorące letnie dni główną atrakcją pobytu u dziadków była Marycha. Po wypłynięciu z trzech sejneńskich jezior miała tu jeszcze dość dużą głębokość, miejscami sięgającą dwóch metrów i przy dziadkowym brzegu można było po niej swobodnie popływać. W soboty i niedziele do kąpeli „na Pieńczykowskiego” przychodziło wielu sejnian. W dni powszednie panował tu jednak spokój. Gdy przyjeżdżaliśmy do Sejn z Augustowa, to cała nasza czwórka była jeszcze całkiem mała i babcia nie wypuszczała nas nad rzekę samych. Opiekę nad nami zlecała dziadkowi, który zabierał nas i gazetę. Nad Marychą usadawiał się wygodnie na skraju przylegającej do niej łąki i pograżał się w lekturze, nie zwracając uwagi na to, co się z nami dzieje. Składał gazetę dopiero na wołanie babci wzywającej nas na obiad, który w jego obecności należało spożywać w ciszy i z powagą. Zawsze rozpoczynał obiad od wypicia ustawionego przed nim kieliszka czystej wódki. Dziadek zmarł w końcu lat dwudziestych ubiegłego wieku i w zakamarkach pamięci śladami po nim pozostały te beztraskie pluskania się w rzece i poważne obiady.

Związek z Sejnami zacieśnił się po samobójczej śmierci znacznie starszego ode mnie i Konrada naszego brata Wojka. W pozostawionym piśmie wyraził on życzenie, żeby pochować go w Sejnach pod starą, wysoką lipą, rosnącą na skraju sadu. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, prywatny cmentarz można było zakładać tylko na własnym gruncie. Część posiadłości z lipą babcia przepisała więc na mamę, a przy okazji dokonała podziału pozostałej części między resztę dzieci. W ten sposób każde z nich stało się sejneńskim obywatelem. Na naszej działce ojciec postawił od ulicy zgrabny drewniany dom, a ciągnący się do rzeki teren z lipą przekształcił w ogród kwiatowy otaczający granitowy grobowiec Wojka. Nad samą rzeką zbudował łazienkę – mały drewniany domek kempingowy ze schodkami

wiodącymi do wody. Zamieszkiwał w nim w czasie wakacyjnego urlopu, który poświęcał na troskliwe pielęgnowanie cmentarza-ogrodu. Przecinała go alejka wysadzona sprowadzonymi z Warszawy krzewami wysokopienych róż, dochodząca do sadzawki, nad którą wznosił się duży, biały krzyż. Sadzawka znajdowała się w miejscu dawnego bagna zalewanego wodą z wytryskającego pod nim źródła. Zostało ono ocembrowane, bagno osuszone, źródłana woda wprowadzona w podziemny system, którym przed spłynięciem do rzeki zasilala sadzawkę.

Wkrótce swoje działki zaczęły zagospodarowywać pozostałe dzieci. Wujek Józef, lekarz z Zamościa, wznosił okazały dwumieszkaniowy dom, wynajmowany oficerom KOP-u. Także na swojej działce zbudował mury dom wujek Robert. Wybór budulca nie był przypadkowy. Jako miejscowy nauczyciel i miejski radny, przez wiele lat komenderował sejneńskiej ochotniczej straży pożarnej i oczywiście propagował budownictwo trudno-palne.

Sejneńskie posiadłości rodziny Pieńczykowskich ściągały w lecie jej członków na rodzinne zjazdy. Niemal rokrocznie przyjeżdżał w lipcu lub sierpniu – z żoną i córeczkami Alinką i Krysią – wuj Józef. Z Rejowca, gdzie mąż ciotki Ewy Marian administrował dużym majątkiem, przybywała rodzina Lewandowskich złożona jeszcze także z dwóch córek, nieco starszych niż Józefowe: Marysi i Ewy nazywanej Dudą. Pojawiał się w Sejnach Gienek, syn mieszkającej w Białymstoku ciotki Marii Pankiewiczowej. Ośrodkiem, w którym wszyscy się zbierali, był stary dom babci. Przy wielkim stole w jadalni do posiłków zasiadało podczas tych rodzinnych zjazdów po kilkanaście osób. Częste były przyjęcia organizowane przez babkę dla jej miejscowych znajomych. Do pomocy miała w prowadzeniu tego swego rodzaju ośrodka wczasowego panią Ciborowską, żonę mieszkającego przy naszej ulicy murarza, której podlegała jej służąca Mańka Czarnolasówna, młoda, krępa dziewczyna o czerwonych policzkach i czarnych oczach, wesoło połyskujących na jej okrągłej twarzy. Mańka była dla mnie uosobieniem polskiego ludu, zwłaszcza od zaobserwowanej pewnego razu sceny, kiedy rozgniewana na nią za coś babka szlachcianka krzyczała:

– Mańka, bo jak cię walnę w pysk!

Nasza trójka: Rysiek, Konrad i ja (Kasi już nie było, jej ojciec został przeniesiony do innego garnizonu) staraliśmy się te wakacyjne zjazdy jakoś uatrakcyjnić. W babcinej stodole urządziliśmy teatr. Za scenę służyło wymiecione klepisko, za widownię – podwórko, na którym ustawialiśmy krzesła wnoszone z domu na czas przedstawień. Ze względu na szczupłą obsadę aktorską wystawianymi utworami były krótkie skecze obejrzone wcześniej w suwalskich kinach. Jako dodatki do filmów wystawiano w nich

często tak zwane rewie, czyli składanki krótkich scenek i piosenek wykonywane przez kilkusobowe zespoły przyjezdnych aktorów. Stałymi punktami programu takich rewii były skecze przedstawiające różne zabawne perypetie w trójkącie: żona, mąż, kochanek. Te najbardziej nam odpowiadały. Rysiek grał zdradzonego męża, Konrad – kochanka, ja jako najniższy – zdradzającą żonę. Cennym rekwizytem była wyrzucona do stodoły stara szafa, w której zależnie od okoliczności kryli się lub z której wychodzili bohaterowie spektaklu. Widownia, czyli reszta rodziny i odwiedzający babcię goście, przyjmowała nasze występy z aplauzem. Pewne zastrzeżenia do repertuaru zgłosił prefekt miejscowej szkoły, okazałej postury ksiądz Młynarczyk. Babka jednak tolerowała tę naszą działalność rozrywkową. Sprzeciwiała się natomiast próbom urozmaicenia wydawanych przez nią przyjęć takimi elementami, jak wędrujące sztuczki i podnoszące się półmiski. Już po nakryciu stołu, gdy nikogo obcego nie było w jadalni, do łyżek i widelców rozłożonych na honorowej części stołu przywiązywaliśmy niewidoczne na białym obrusie cienkie białe nitki, których końce dochodziły do drugiego końca stołu, gdzie byliśmy usadzeni. Gdy ktoś z gości sięgał po sztuciec, ten pociągany przez któregoś z nas umykał mu spod ręki. Do podnoszenia półmisek użyliśmy wysłużonego babcinego termoformu. W jego korku Konrad umieścił koniec długiej gumowej rurki. Urządzenie to układało się pod serwetą, spod której koniec rurki wystawał przy naszych miejscach. Kiedy półmisek z jakimś daniem został ustawiony na stole w tym miejscu i babcia zachęcała gości, żeby sięgali po danie, któryś z nas pochylał się i dyskretnie dmuchał w rurkę. Półmisek powoli unosił się do góry.

Do wakacyjnych zwyczajów należało chodzenie całą rodziną na lody do cici Fligeltaub. Była nią dość wiekowa już Żydówka, tęga, nosząca rudą perukę. Razem z mężem, na odmianę bardzo chudym, prowadziła przy rynku nieoznakowany żadnym szyldem hotelik, przy którym mieścił się pokoik, gdzie można było spożyć przygotowany przez cicię obiad, a w lecie własnego jej wyrobu bardzo dobre lody. Usługując klientom, ciocia zabawiała ich rozmową. Stale powtarzała się w niej historia, jak to przebywając w Sejnach, arcybiskup Jałbrzykowski zawsze nie omieszkiwał jej odwiedzić i mówił, że takiego szczupaka po żydowsku, jak u niej, nigdzie indziej nie jadł. Cicię Fligeltaub wspomina w jednym ze swoich wierszy Czesław Miłosz.

W drugiej połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku nasza trójka: Rysiek, Konrad i ja z wieku dziecięcego weszła w młodzięcy. Nastąpiło wówczas zbliżenie do spędzających również w Sejnach wakacje innych licealistów i studentów. Były wśród nich młodsze dzieci miejscowego organisty: Benia i Piotrek Jasionowscy, starsze dzieci miejscowego lekarza: Marysia i Witek Morozowie, dwaj młodzi pracownicy Politechniki Lwow-

skiej: Henryk i Leonard Kuczyńscy, córka zamożnego sejneńskiego rolnika Wacia Mańko i inni. Miejscem niemal codziennych spotkań tego towarzystwa było boisko pod Borkiem, na którym w godzinach przedwieczornych zapamiętałe grało się w siatkówkę, jednak odmienną od współczesnej wychynowej. Nie chodziło o to, żeby piłka jak najszybciej znalazła się na ziemi, lecz żeby jak najdłużej utrzymywała się w powietrzu. Atrakcję stanowiły rozgrywane na tymże boisku mecze piłki nożnej. Miejscowy żydowski klub sportowy „Makkabi” uczestniczył w rozgrywkach jakiejś pośredniej klasy i spotkania odbywały się często. Przychodziliśmy na nie, żeby dopingować, wtedy już młodego doktora inżyniera Henryka Kuczyńskiego, który w czasie swoich pobytów w Sejnach wzmacniał klub grą na pozycji środkowego napastnika. Po wojnie obaj Kuczyńscy zasłużyli się w utworzeniu Uniwersytetu Wrocławskiego i Wrocławskiej Akademii Medycznej; obaj byli profesorami i autorami cennych dzieł naukowych.

Przed drugą wojną światową Sejny stały się prężnym ośrodkiem kultury, w dużej mierze za sprawą wujostwa Roberta i Kazimiery Pieńczykowskich. Wujek Robert – jak wspominałem już: miejski radny i komendant straży pożarnej – doprowadził do budowy przy drodze do Gib miejskiego Domu Ludowego z dużą salą kinowo-teatralną. Ciotka Kazia stworzyła amatorski zespół teatralny, którego występy cieszyły się dużym powodzeniem. Warto dodać, że w repertuarze zespołu znajdowały się również najwybitniejsze utwory międzywojennej dramaturgii polskiej, między innymi sztuki Szaniawskiego: *Żeglarz*, *Ptak*, *Adwokat i róże*, w której tytułową rolę grał wujek. Z tym ostatnim przedstawieniem sejneński zespół występował kilkakrotnie w Suwałkach i zebrał bardzo pochlebne recenzje. Aktorskie i muzyczne zdolności wykazywał także Rysiek. Samodzielnie opanował on grę na skrzypcach i fortepianie. Zapamiętałem jego występ na festynie ludowym w przyklasztornym parku w sierpniu 1939 roku. Imprezę tę, której celem była zbiórka pieniędzy na Fundusz Obrony Narodowej, prowadziłem jako konferansjer. Do dzisiaj brzmią mi w uszach oklaski, jakie Rysiek zebrał po wykonaniu *Pieśni o Maryszie* autorstwa wujka Roberta. Całej pieśni już sobie nie przypominam. W pamięci pozostały słowa refrenu:

A gdy się rzucisz na jej chłodne łono,
wszelka namiętność natychmiast kono.

Marzeniem wujka Roberta było stworzenie w miasteczku zielonych bulwarów nad rzeką. Po zajęciu Sejn przez Niemców znalazł się w pierwszej partii sejnian wywiezionych do hitlerowskich obozów zagłady. Gdy ciężarówka z więźniami opuszczała rynek, wskoczył do niej niearesztowany Rysiek,

który postanowił towarzyszyć ojcu na dobre i złe. Obydwaj zginęli w Gusen w 1941 roku.

Związek naszej rodziny i z Suwałkami, i Sejnami powodował konieczność odbywania częstych podróży między tymi miastami. Odbywaliśmy je różnie; my, chłopcy, najczęściej pieszo i na rowerach. Jeszcze na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku na trasie Sejny–Suwałki kursowała karetka, której właścicielem był pan Olsztyn z Sejn. Karetka była dwukonnym kilkuosobowym pojazdem ze sztywną budą. Na jej dachu i na półce za nią umieszczano się bagaże pasażerów, głównie drobnych żydowskich kupców. W tym czasie linię Suwałki–Sejny obsługiwały też dwa autobusy. Jeden nosił nazwę „Niespodzianka” i należał do jakiejś spółki transportowej, drugi nazywał się „Sejnianka” i należał do sejnianina pana Nadolnego. Z „Sejnianki” zwykle korzystała babka, gdy wybierała się do nas do Suwałk lub na suwalski dworzec kolejowy, gdy wyjeżdżała do syna w Zamościu. Zielony autobus odjeżdżał z sejneńskiego rynku, ale kiedy wybierała się w drogę starsza pani Pieńczykowska, zanim się tam pojawił, podjeżdżał pusty pod dom babki, żeby mogła ona wybrać sobie dogodne miejsce i żeby młody konduktor, rosły chłopak o nazwisku Deguć, mógł według wskazówek babki rozmieścić jej pakunki.

Od tego właśnie konduktora dowiedzieliśmy się o niezwyklej przygodzie, która pewnego letniego dnia przytrafiła się naszemu psu Figlowi. Był on wtedy z nami w Sejnach. Pobiegł za nami na rynek, gdy odprowadzaliśmy do autobusu kogoś z przyjezdnych gości. Powróciwszy do domu, stwierdziliśmy brak psa. Zaczęły się poszukiwania, ale nie dały one rezultatu. Figiel znikł bez śladu. Pojawił się niespodziewanie dopiero wieczorem następnego dnia. Okazało się, że w tym czasie odbył samotną podróż do Suwałk i z powrotem. Figiel często jeździł z kimś z nas autobusem, ale często też był z niego wysadzany, kiedy wyjeżdżająca osoba nie życzyła sobie jego towarzystwa. Tym razem nikogo z nas w nim nie było. Toteż konduktor zdziwił się, gdy w znajdującym się już na suwalskiej szosie autobusie wysunął się spod ławki niespodziewanie nasz pies. Pomyślał, że pewnie w Suwałkach ktoś będzie na niego czekał i pozwolił mu kontynuować jazdę. W Suwałkach pies wyskoczył z pojazdu i pobiegł w kierunku ulicy Krzywej. Następnego dnia po południu wskoczył do autobusu, gdy ten w drodze z Suwałk do Sejn zatrzymał się na przystanku w Starym Folwarku. Jak się tam znalazł? Wyjaśniła to Józia, moja siostra stryjeczna, nauczycielka w nowo wzniesionej tam szkole imienia Żwirki i Wigury, i w tej nadwigiarskiej miejscowości właśnie przebywała. Nie raz ją tam odwiedzaliśmy, zdarzało się, że razem z Figlem. Otóż tego drugiego dnia po zaginięciu psa zjawiał się on u niej. Był zziębnięty, chętnie wypił podaną mu wodę i zjadł przygotowany przez Józję posiłek. Potem

obwąchał mieszkanie, obiegił szkolny budynek i boisko i zniknął. Można więc przypuszczać, że Figiel, nie zastawszy na Krzywej nikogo z nas, przybiegł z Suwałk do Starego Folwarku, a nie znalazłszy nas również u Józii, wrócił na szosę, gdzie trafił na znany mu autobus.

Po wybuchu wojny Figiel z całym naszym dobytkiem pozostał w Sejnach. Po wkroczeniu Niemców zastrzelił go żandarm, którego ośmielił się zajadle oszczekiwać. Wspomnianego młodego konduktora autobusowego Degucia spotkałem wczesną wiosną 1946 roku w Puszczy Augustowskiej. Należał do oddziału WiN-u, operującego w rejonie Głębokiego Brodu.

Sejny kojarzą się z litewską mniejszością narodową w Polsce. W okresie międzywojennym była ona w miasteczku niewidoczna. Nie słyszało się litewskiego na ulicach, nie było grobów z litewskimi napisami na obu sejneńskich cmentarzach. Znanymi mi Litwinami byli: nasza najbliższa sąsiadka Anusia i Pietranis, mieszkaniacy położonej za Borkiem wioski Zagówiec. Anusia na skrawku ziemi dawnej posesji Ławkiewiczowej zbudowała mały domek i mieszkała w nim razem ze starszą, schorowaną siostrą Weroniką, którą się opiekowała. Łączyły nas dobre sąsiedzkie stosunki. Ojciec pomagał jej w budowie domku, ona odwodziła się różnymi drobnymi przysługami. Pietranis był mało-, a właściwie bezrolnym chłopem. W lecie ojciec zatrudniał go przy zakładaniu, a później pielęgnowaniu ogrodu-cmentarza Wojka. Zanim otrzymał to zajęcie, w czasie żniw wyjeżdżał na saksy, czyli na roboty do majątków ziemskich w Prusach Wschodnich. Młodego, jeszcze krzepkiego i rezolutnego mężczyznę ojciec darzył pełnym zaufaniem, czego dowodem było powierzenie mu opieki nad naszą działką, gdy w sierpniu 1939 roku wyjeżdżaliśmy z Sejn. Głośno już wtedy było o wojnie i Pietranis uczestniczył w chowaniu w różnych skrytkach cenniejszych przedmiotów, w tym w zakopaniu skrzyni z kompletem naczyń stołowych z ćmielowskiej porcelany i kilku butli z nalewką z czarnej porzeczki, która w owym roku obficie obrodziła. Gdy w 1944 roku wróciłem do Sejn, nie znalazłem ani porcelany, ani nalewki, ani Pietranisa. Powitała mnie serdecznie i jak matka ucałowała Anusia.

Chociaż nasze rodzinne, prywatne stosunki z Litwinami ograniczały się do znajomości z Anusią i Pietranisem, to ojciec jako inspektor szkolny miał z tą narodowością kłopoty służbowe, które omal nie zakończyły się przeniesieniem na Polesie, do Kobrynia. W okolicach Puńska istniały przed wojną szkoły powszechne z litewskim językiem nauczania. Otóż ojciec wyraził zgodę, żeby w nich, obok polskiego Orła, zawisły litewskie Pogonie. Wybuchła awantura. Do Suwałk zjechała z kuratorium w Wilnie specjalna komisja. Ostatecznie ojciec zachował dotychczasowe stanowisko. Nie pamiętam, czy zachowały się Pogonie.

Innego rodzaju kłopot sprawił ojcu brak do 1938 roku wytyczonej granicy polsko-litewskiej, którą oznaczały tylko zatknięte w ziemię wiechy. Zdarzyło się, że ucząca w przygranicznej wsi młoda nauczycielka podczas zimowej zamieci zablądziła i znalazła się po tamtej stronie, gdzie aresztowali ją litewscy pogranicznicy. Z Litwą Polska nie miała stosunków dyplomatycznych i nie można było liczyć na interwencję rządową. Do zakłopotanego ojca zwrócił się wtedy dowódca sejneńskiego baonu KOP-u major Jan Wójcik:

– Panie inspektorze, bierzemy to na siebie.

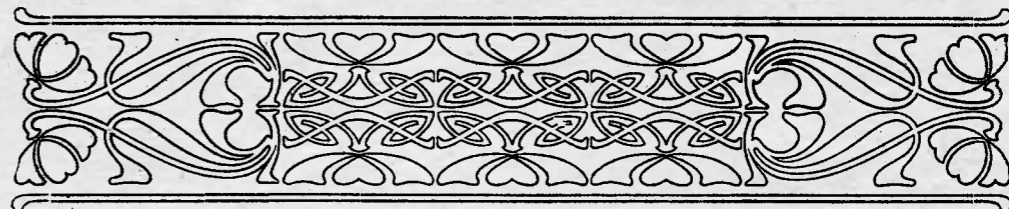
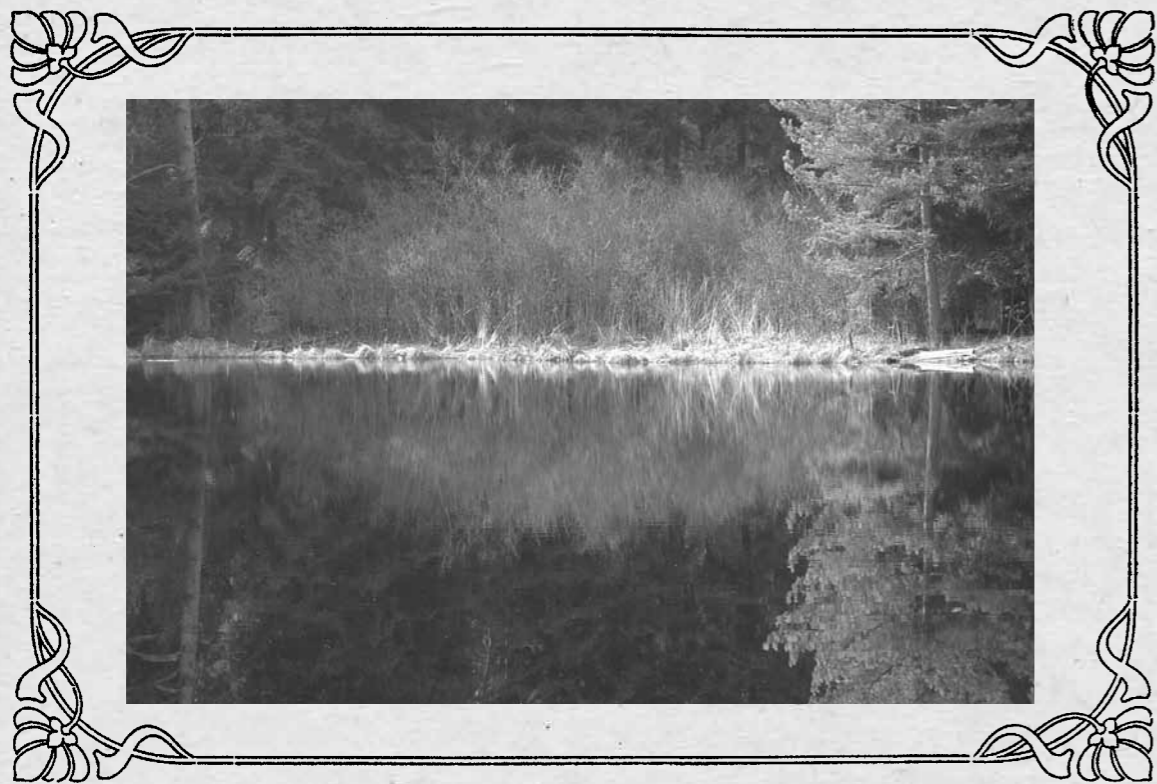
Rzeczywiście, po dwóch dniach nauczycielka powróciła do swojej wsi. Żołnierze KOP-u przekroczyli granicę i urządzili zasadzkę, w którą wpadł jakiś litewski urzędnik. Przygraniczne służby obu krajów porozumiały się co do wymiany jeńców.

Jak w czasie pierwszej, tak i w czasie drugiej wojny światowej Niemcy starali się podsycać wrogość między Litwinami i Polakami, faworyzując tych pierwszych. Między innymi w czasie okupacji mieli oni odrębne kartki żywnościowe, upoważniające do większych przydziałów. Litewsko-polski antagonizm przycichł po zakończeniu wojny. Polsko-sowiecka umowa z 1945 roku o repatriacji Polaków z Litwy była dwustronna; przewidywała również repatriację Litwinów z Polski na Litwę. Okazało się wówczas, że ludność Sejneńszczyzny jest rdzennie polska. Nikt nie wyraził chęci wyjazdu do sowieckiej wówczas ojczyzny.

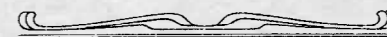
Wspomniałem już, że w czasie wojny przepadło wszystko, co zostawiliśmy w Sejnach. Ostał się tylko fortepian mamy. Dom zajął przybyły z Prus Wschodnich zarządca pozostałych po byłym państwowym majątku stawów rybnych. Ten fischmeister zburzył grobowiec Wojka, cmentarz-ogród kwiatowy zamienił się w ogród warzywny.

Przez pewien czas po wojnie mieszkała w Sejnach mama, która była nauczycielką w miejscowym liceum. Wróciła też do Sejn ciotka Kazia Pieńczykowska i tu, wraz ze swoją siostrą Janiną Zatwardowiczówną, spędziła resztę życia. Po przejściu na emeryturę mama sprzedała swoją działkę, żeby wspomóc Konrada budującego się w Falenicy, do którego się przenieśli. Pozbyli się swoich działek również inni spadkobiercy. Dom po ciotce Kazi przejął opiekujący się nią i jej siostrą pielęgniarz, niejaki Franciszek. W Sejnach pozostały już tylko rodzinne groby.





Portrety

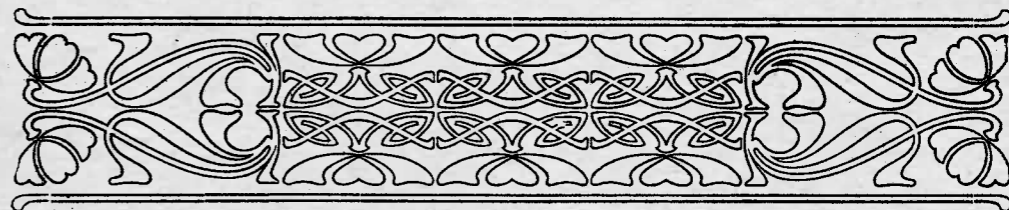


EDWARD GIZEWIUSZ

JAN STOSKIELUNAS

ZITA ŽEMAITYTĖ

PANI GABRYŃIA JANCZULEWICZ



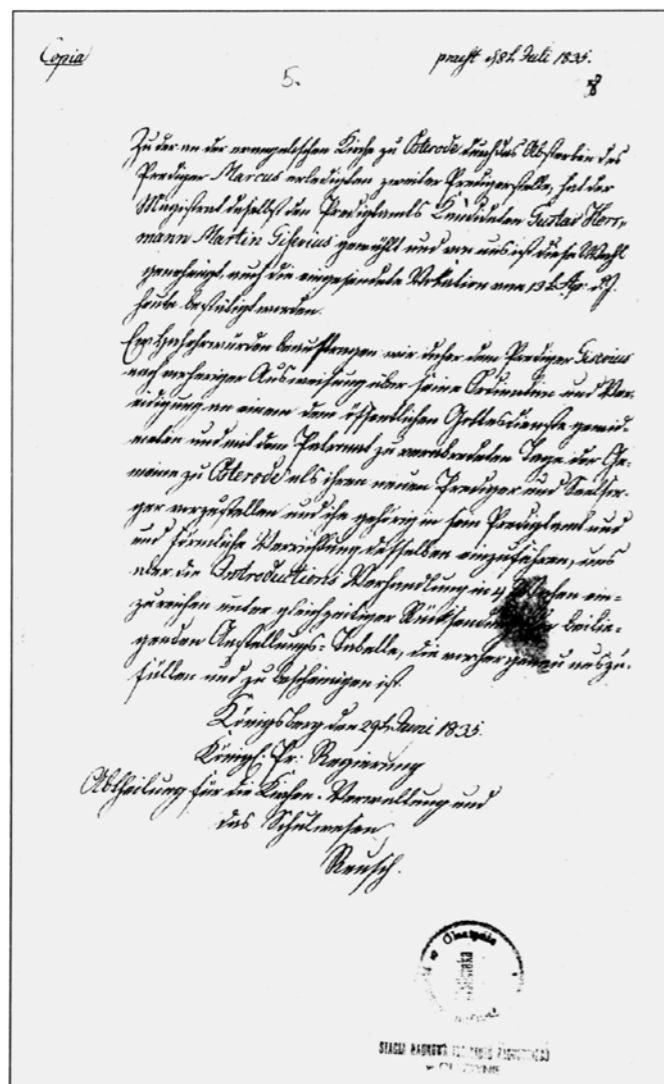
EUGENIUSZ PIETRUSZKIEWICZ

Edward Gizewiusz – mazurski przyjaciel małego narodu

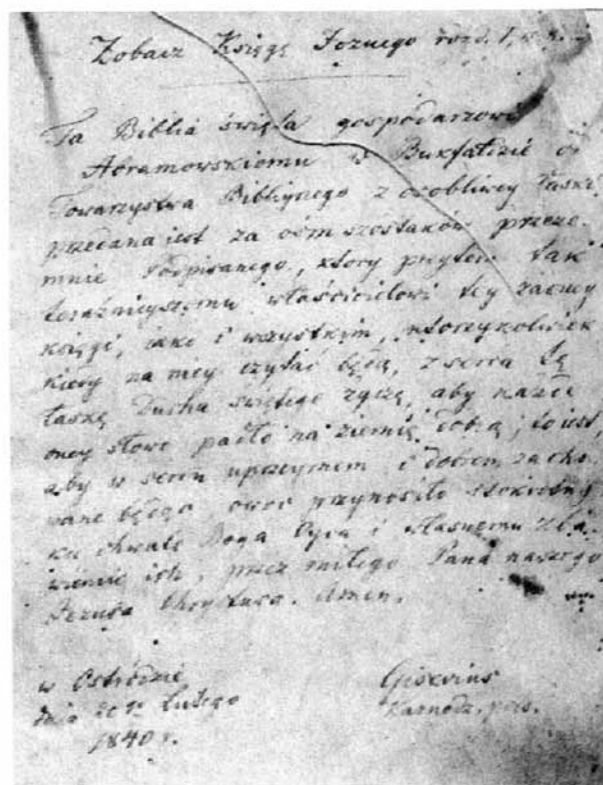
Prieš maždaug du šimtus metų Mozūrijoje gimė du pusbroliai Gustavas ir Eduardas Gizevijai (Gižickiai). Abu gimė smarkiai suvokietėjusiose mozūrų šeimose. Gustavas baigęs teologijos mokslus Karaliaučiaus universitete dirbo pastoriumi. Pasižymėjo kaip narsus kovotojas dėl lenkų kalbos tarsi tuometinėje Prūsijoje. Tuo tarpu Eduardas gimęs Elke su lietuviais susitiko dar vaikystėje, kai jo tėvas dirbo Seinuose teisėju. Baigęs studijas Karaliaučiuje išvyko dirbti į Tilžę. Tenai visas savo jėgas atidavė nykstančios lietuviybės gelbėjimui. Eduardas Gizevijus rašė savo atsiminimus. Čia pristatomos trumpios jo atsiminimų ištraukos.



Przed około stu laty urodzili się dwaj stryjeczni bracia: Gustaw Gizewiusz-Giżycki i Edward Gizewiusz-Giżycki, obaj w dość mocno zgermanizowanych mazurskich rodzinach: pierwszy w Piszcu, ówczesnym Johannisburgu, drugi w Ełku – Lycku. Gustaw, po ukończeniu nauk teologicznych na Uniwersytecie Królewieckim, został pastorem w zachodniomazurskiej Ostródzie i walczył o przetrwanie języka polskiego i ducha mazurskiego w Prusach. Wprawdzie historia paskudnie sobie zadrwiła i za sprawą Rosjan oraz polskich władz dziś na Mazurach już nie ma Mazurów, albo prawie nie ma, ale imię Gustawa Gizewiusza pozostało we wdzięcznej pamięci Polaków. Na jego cześć w roku 1946 pięknemu miastu Łuczany (niem. Loetzen) nadano nazwę Giżycko. Brat stryjeczny Gustawa – Edward Gizewiusz, choć również pochodził z mazurskiej rodziny, wszystkie swe siły, ogromne zdolności i niezwykłą pracowitość poświęcił sprawie propagowania języka litewskiego i litewskiej kultury w byłych Prusach Wschodnich, na tak zwanej Małej Litwie. Jak napisano w książce *Lietuvininkai*, „Edward Gizewiusz całe swoje życie poświęcił na gromadzenie, opracowywanie i publikowanie materiałów lituanistycznych. Był wprost zakochany w pruskich Litwinach, pisał o nich z ogromnym



Zaświadczenie urzędowe instalacji Gustawa Gizewiusza jako drugiego kaznodziei w parafii ostródzkiej z 29 czerwca 1835 r.



Dedykacja
na egzemplarzu
Biblii sprzedanej
Abramowskiemu
z polskim podpisem
Gizewiusza
(20 lutego 1840 r.)

szacunkiem, czasem nawet ich idealizując. [...] Zasłużył również na wzajemną sympatię ze strony miejscowych Litwinów; był zapraszany na wszelkiego rodzaju tradycyjne obchody i uroczystości rodzinne [...].”

Z Litwinami i językiem litewskim Edward Gizewiusz zetknął się jeszcze w dzieciństwie... w Sejnach. Po trzecim rozbiórze Rzeczypospolitej, gdy Sejneńszczyzna została włączona do państwa pruskiego, jego ojciec został wyznaczony do pełnienia funkcji sędziego w Sejnach.

Po ukończeniu nauk w Królewcu Edward Gizewiusz wyjechał do Tylży (obecnie Sowieck w obwodzie kaliningradzkim), gdzie nauczał litewskiego jako pierwszy nauczyciel tego języka w tamtejszym gimnazjum. „Edward Gizewiusz należy do grona tych świątłych postaci, które choć innej narodowości, pozostawiły w historii kultury litewskiej trwałe ślady” – napisano w posłowie do wspomnianej wyżej książki. Mała Litwa, niekiedy zwana też Pruską Litwą, miała kilku serdecznych przyjaciół wśród przedstawicieli innych narodów. Jednym z nich był Łużyczanin (albo Serbołużyczanin) Juro Surovin, po niemiecku Georg Sauerwein, po litewsku Jurgis Zauerveinas, znany dziś każdemu Litwinowi autor nieoficjalnego hymnu Małej Litwy, a dziś bardzo popularnej pieśni *Lietuviais esame mes gimę* (Urodziliśmy się Litwinami). To coś jakby litewski odpowiednik *Roty* Marii Konopnickiej i Feliksa Nowowiejskiego.

Drugim był Edward Gizewiusz, może mniej znany, ale wciąż niezapomniany. Pozostawił po sobie zbeletryzowany pamiętnik, w którym sporo miejsca poświęcił swojemu dzieciństwu spędzonemu w Sejnach, jakich dziś już nie ma. Poniżej drukujemy fragmenty tego dziennika.

EDWARD GIZEWIUSZ (EDUARD GISEVIUS)

Moje życie Sejny

rodziłem się 11 listopada 1798 roku w Ełku, w czasie przenosin moich rodziców z Włocławka do Sejn, do Prus Nowowoschodnich, departamentu białostockiego, gdzie mój ojciec został wyznaczony na sędziego w sądzie powiatowym. Pewnie tym, że urodziłem się niejako w drodze, można wytłumaczyć mój późniejszy nieodparty pociąg do podróży. Matka moja, z domu Schubert, córka pastora z Miłek [koło obecnego Giżycka – przyp. E.P.] zmarła, gdy miałem niespełna trzy latka. Wtedy to mnie i moją siostrę Wilhelminę zawieziono do Ełku, gdzie bardzo serdecznie zajął się nami ojca brat, późniejszy radca konsystorski. [...] Moja macocha, kobieta wszechstronnie wykształcona i bardzo obowiązkowa, bardzo dbała o moje należyte wychowanie. Pisać oraz czytać Nowy i Stary Testament nauczyłem się właśnie od niej, bowiem w Sejnach wówczas szkoły jeszcze nie było. Pamiętam, że w czasie budowy domu w Sejnach zetknąłem się z prawdziwym zagrożeniem dla życia: biegając po wysokiej na dwanaście stóp ścianie nieukończonego domu w pewnej chwili straciłem równowagę i wpadłem do piwnicy, uderzając głową o kupę kamieni. Głęboko rozciąłem sobie głowę, rana bardzo długo bolała, i pewnie od tego przez całe swoje życie stale odczuwałem słabość; gdy tylko zaczynałem intensywniej o czymś myśleć, natychmiast zaczynała mnie boleć głowa. Ówczesne Sejny, choć było to na wskroś żydowskie miasteczko, miały kilka rzeczy, które mnie bardzo intrygowały, zachwycały i pobudzały wyobraźnię. Był to przede wszystkim okazały, wręcz majestatyczny, kościół katolicki z przepięknym, przebogatym wnętrzem. Podziwiałem wspaniałość procesji wokół kaplicy Świętej Agaty na środku rynku, cudowne, zapadające w głąb serca śpiewy (niektóre pieśni do dziś pozostały w mojej pamięci). Zachwycałem się również niezbyt odległym klasztorem wigierskim. [...]



Klasztor wigierski

[...] W klasztorze wigierskim zdarzył się wypadek, który przysporzył memu ojcu wiele niepokoju i zmusił go do częstych wyjazdów do Wigier. Ojciec dowiedział się, że jego przyjaciel brat Brokowski za wykroczenie przeciwko ślubom czystości został skazany na więzienie w wodzie. Otóż w czasie niespodziewanej kontroli w jego celi znaleziono dziewczynę. Biedne dziewczę próbowało uciec przez okno, ale spadając z wysokiej skarpy, uderzyła w kamień i zginęła. Brokowski za karę został zamknięty w „więzieniu na wodzie”. Był to maleńki, drewniany, zbudowany w jeziorze domek, w którym można było jedynie stać, gdyż nie miał ani krzesła by usiąść, ani ławy aby się położyć, a woda sięgała do kolan. [...] Gdy tylko mój ojciec dowiedział się o nieszczęściu przyjaciela, natychmiast wraz ze mną pojechał do Wigier, gdzie po długich targach wyjednał u przełożonych, iż Brokowski zostanie wydany z zakonu, przekazany sądowi cywilnemu (w Sejnach – E.P.) i osądzony według prawa pruskiego. W ten oto sposób trafił na rok do sejneńskiego więzienia, gdzie za wstawiennictwem mego ojca działało mu się zupełnie znośnie. Tym bardziej zdziwił się mój ojciec, gdy po odbyciu kary zaczął go błagać, by ten zrobił coś, co by pozwoliło mu wrócić do klasztoru. Twierdził przy tym, że przywykł do życia w klasztorze i poza jego murami nie może sobie znaleźć

ani miejsca, ani spokoju. Ojciec spełnił jego prośbę, za co ten był mu do zgonnie wdzięczny i dziękował ze łzami w oczach.

Rok 1807

Był to rok straszny. Wyzwoleni przez Napoleona Polacy wylewali swoją od dawna skrywaną nienawiść do wszystkiego co pruskie. Odczuł to i mój ojciec jako urzędnik. [...] Pruski orzeł został zerwany ze ściany naszego domu, wszystkie akta spraw sądowych zajęte i opieczętowane.

[...] Pewnego wieczoru siedziałem z naszą służącą na ławeczce nieopodal bramki prowadzącej do naszego podwórka. Obok bawił się maleńki piesek. Nagle podszedł do nas młody hrabia Gawroński. Pełnym wyższości tonem przywitał się z „pruską dziewczką” słowami: dobry wieczór, a następnie, bez najmniejszego powodu, dzielił ją kawaleryjskim pejczem. Piesek nagle zaszczekał, a wówczas hrabia jeszcze raz uderzył batem dziewczynę, a także zwierzę. Ja zerwałem się z ławy, poprzez podwórze pobiegłem do domu i schowałem się w sypialni pod łóżkiem. [...] Hrabia nie zdążył jednak jej złapać, gdyż wbiegła na podwórze, a bramkę zamknęła na klucz.

[...] Wnet hrabia Gawroński przybył ponownie, tym razem w towarzystwie kilku młodych Polaków oraz gromady uzbrojonych sług, włamał się siłą do naszego domu i zażądał od mojej macochy, by ta wydała mu dziewczynę, którą on musi przykładowo ukarać. [...] Wataha uzbrojonej hrabiowskiej służby przewróciła wszystko w domu do góry nogami, ale jej nie znalazła. Ta, choć wątłego zdrowia, pokazała, co może zdziałać strach: wyskoczyła przez okno, przebiegła sad, dopadła do jeziora, które przepłynęła w pław, choć ponoć nie umiała pływać. [...] W przemoczonym ubraniu, w nocy, przebiegła siedem mil, aż znalazła się za pruską granicą. Tam dopiero nieco odpoczęła. Następnego dnia szczęśliwie dotarła do Gąbina (obecnie Gusiew – E.P.)

Krasnopol

Takie sceny powtarzały się raz po raz i dlatego rodzice w końcu musieli opuścić Sejnę. Łapówkarstwa wśród polskich urzędników nie udało się wykorzenić nawet w czasie władzy pruskiej na Sejneńszczyźnie. Było to zjawisko tak bardzo zakorzenione, że sędzia, który orzekał wyłącznie zgodnie z ustawami, nie tylko nie zdobywał uznania, ale ściągał na siebie nienawiść i zemstę tego, który przegrywał. Tak też zdarzyło się mojemu ojcu w sprawie hrabiego Zielińskiego, który przegrał z Gawrońskim. Dlatego ojciec postanowił

opuścić Sejny i przenieść się do Czostkowa (obecnie w powiecie suwalskim – E.P.), gdzie znajdował się majątek jego szwagra Benkendorffa.

Otóż gdy w drodze do Czostkowa zatrzymaliśmy się na popas w Krasnopolu, do karety podszli dwaj słudzy hrabiego Zielińskiego i zatrzymali konie. Dwaj inni zbliżyli się do drzwiczek, mojemu ojcu kazali wysiąść z powozu i iść z nimi do karczmy, w której zostanie wymierzona kara. Zjawił się również sam hrabia Zieliński i z ironią zaproponował, by ojciec skorzystał z wiązki słomy, na której „zostaną mu zaaplikowane leki”. [...] Ale oto w godzinie największego niebezpieczeństwa Bóg zesłał pomoc: to hrabia Gawroński, dowiedziawszy się o napadzie, przybył wraz ze zbrojną eskortą, aby odeprzeć napad Zielińskiego. [...] W ten sposób bezpiecznie, wraz ze swoim nikłym majątkiem, dotarliśmy szczęśliwie do Czostkowa, do majątku brata mojej macochy.

* * *

Na tym kończy się sejneńska część dzienników Edwarda Gizewiusza. Dodać należy, że jego zainteresowanie losem, kulturą i historią Małej Litwy zaczęło się jeszcze w dzieciństwie.

Sam pisał o tym fakcie tak: „Z Tylżą zetknąłem się pierwszy raz jeszcze w 1809 roku, w wieku jedenastu lat. Do tego miasta pojechałem wraz rodzicami. Obejrzelśmy obiekty historyczne. Koło gimnazjum doznałem niezrozumiałego dla mnie mrowienia ciała, a koło przystani rzecznej błagałem ojca, by pobyć tu jeszcze dłużej. [...] Po piętnastu latach los znów przywiódł mnie w te strony i pozwolił przeżyć tu ponad pięćdziesiąt lat, i jeśli taka jest wola Boga – tu umrzeć.

Ragaine (Ragnetę, obecnie rosyjski Nieman – E.P.) odwiedziłem później – gdy już byłem studentem królewieckiej Albertyny. [...] Moja miłość do tej niewielkiej krainy osiągnęła swoje apogeum w czasie podróży do Kłajpedy. [...] Litwa stała się celem mego życia”.

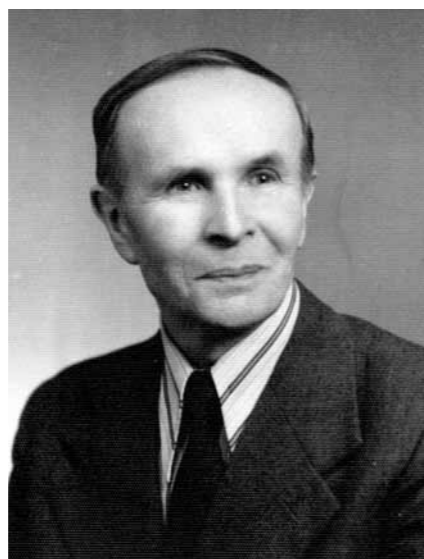
W niedzielę 9 maja 1880 roku o drugiej nad ranem czułe serce Edwarda Gizewiusza przestało bić. 12 maja o drugiej po południu Gizewiusz, zwany wiecznym podróżnikiem, rozpoczął swoją ostatnią podróż, tym razem na północną stronę starego tylżyckiego cmentarza, skąd rozpościerał się wspaniały widok na jego ukochany Niemen. Przed morzem niesionych kwiatów szła orkiestra Litewskiego Pułku Dragonów, za trumną – przyjaciele, znajomi, byli uczniowie, kolegium tylżyckich nauczycieli, władze miasta i powiatu. Na żałobnej szarfie jednego z wieńców widniał napis: „Prusija”. Jeszcze tego samego dnia, na zebraniu w jego domu, postanowiono utworzyć *stypendium gisevianum* dla wspierania zdolnej młodzieży litewskiej w jej dążeniu do wiedzy.

Bibliografia

Lietuvininkai. Wydawnictwo „Vaga”. Vilnius 1970 s. 11–105

Mūsų Lietuva, t. IV s. 731





Jan Stoskielunas

EUGENIUSZ PIETRUSZKIEWICZ

Jan Stoskielunas – nauczyciel nauczycieli

Punsko mokyklų moksleiviai prieš Visų Šventų dieną uždega žvakutes ant mirusiųjų savo mokytojų kapų. Nuo 1991 metų pastoviai uždega žvakutę ir ant mokytojo Jono Stoskeliūno kapo.

Jonas Stoskeliūnas gimė 1913 metų liepos 10 d. Kampuočių kaime, Punsko parapijoje. Mokėsi pradinėje Navinykų mokykloje, nuo 1925 metų Seinų „Žiburio“ gimnazijoje Lazdijuose, vėliau Kauno Vytauto Didžiojo Universitete. Studijavo lietuvių kalba ir literatūrą. Apgynęs diplominį darbą „Liudas Kondratavičius ir jo Lietuva“ mokytojavo Marijampolėje, Alytuje. Besibaigiant karui sugrįžo į tėviškę. Nuo 1949 metų dirbo Elko licėjuje lotynų ir prancūzų kalbų mokytoju.

Nuo 1952 metų pagrindinis mokyklų su lietuvių dėstomąja kalba organizatorius Seinų krašte, jų tarpe ir Punsko licėjaus.



puńskich szkołach od lat panuje piękny obyczaj: w dzień Wszystkich Świętych młodzież z zapalonymi pochodniami idzie na miejscowy cmentarz, by złożyć kwiaty i uczcić pamięć zmarłych, szczególnie tych, którzy wyjątkowo zasłużyli się dla miejscowej społeczności. Od roku 1991 uczniowie odwiedzają grób Jonasa Stoskeliunasa (Jana Stoskielunasa), którego bez przesady można by nazwać jednym z kilku twórców systemu szkolnictwa litewskiego na Sejneńszczyźnie.

Urodził się 10 lipca 1913 roku we wsi Kompocie, w puńskiejszej parafii, tuż nad brzegiem niewielkiego, ale pięknego jeziora; jego urok z pewnością wywarł wpływ na formowanie się charakteru młodzieńca – romantyka, miłośnika literatury, poety, znawcy zamierzchłych dziejów ojczystej krainy. Całe jego życie – jak pisze Józef Sygit Forencewicz – było ciągłym dążeniem do wiedzy, do działalności społecznej, do pracy z litewską młodzieżą... Najpierw mały Jonelis (Janek) kończy szkołę podstawową w Nowinikach. W owych czasach dla większości wiejskich dzieci czteroklasowa szkoła

podstawowa musiała wystarczyć; na więcej rodziców nie było stać. Tylko nieliczni – zamożniejsi i bardzo, ale to bardzo uparci – posyłali swoje lato-rośle do gimnazjum. Do takich należeli rodzice Jana – Adam i Agata z Grygutisów

W 1925 roku dwunastoletni Jan udaje się po nauki za linię demarkacyjną, czyli na Litwę, do Łozdziej, do Sejneńskiego Gimnazjum „Žiburys”. (Tak się ono wówczas nazywało, gdyż wcześniej powstało w Sejnach). Nie była to ani łatwa, ani bezpieczna podróż. Polska i Litwa nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, nie istniały przejścia graniczne, przechodziło się zatem przez tak zwaną zieloną granicę. A przechodzić musiało się często, by dostarczyć żywność, upraną pościel czy bieliznę. Każda taka podróż mogła skończyć się w najlepszym przypadku aresztem na strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) i wysoką grzywną. Zdarzały się też przypadki zastrzelenia.

Okres pobytu w Łozdziejach Stoskielunas wspominał potem jako najszczęśliwsze lata swego życia, tu bowiem spotkał wspinających profesorów, znanych i do dziś bardzo wysoko cenionych działaczy kultury, księdza Motiejusa Gustaitisa i poetkę Salomeję Neris. W roku 1932 kończy gimnazjum łozdziejskie i staje przed dylematem: co robić dalej?

Wcześniej zamierzał wstąpić do seminarium duchownego i zostać księdzem. Dla rodziców byłby to duży zaszczyt; wielu w skrytości ducha o tym marzyło. Jan Stoskielunas jednak uznał, że będzie bardziej pożyteczny dla społeczeństwa, gdy poświęci się pracy pedagogicznej. Po ostatecznym dokonaniu wyboru drogi życiowej rozpoczyna studia na Wydziale Nauk Humanistycznych Uniwersytetu im. Witolda Wielkiego w Kownie. Dziekanem wydziału jest znany pisarz Vincas Kreve-Mickewicz (Vincas Krėvė-Mickevičius). Tam oprócz literatury litewskiej studiuje łacinę, język niemiecki, polski, rosyjski, inne języki słowiańskie oraz francuski. Języki te opanował tak dobrze, że do końca życia literaturę tych narodów czytał w oryginale. Po pięciu latach studiów obronił pracę magisterską pod tytułem *Liudas Kondratavičius ir jo Lietuva* [Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla) i jego Litwa]. W 1938 roku rozpoczął swoją pierwszą pracę w prywatnym gimnazjum o.o. marianów w Mariampolu.

Nie na długo. W 1940 roku, po wkroczeniu na Litwę Armii Czerwonej, gimnazjum zostało zamknięte, a Stoskielunasa przenieśli do średniej szkoły w Olicie (Alytus). Tu pracował do roku 1944, do momentu ponownego wkroczenia Armii Czerwonej i powtórnego włączenia Litwy do ZSRR. Wtedy to podejmuje bardzo ważną życiową decyzję powrotu do rodzinnej wsi Kompocie koło Puńska. Pięć lat mieszka w ojcowskim obejściu, wykonując najcięższe roboty. I choć pracę na roli ceniał, to ciągnęło go jednak do szkoły, do młodzieży. W 1949 roku Kuratorium Oświaty w Białymstoku zatrudnia

go w Liceum Ogólnokształcącym w Ełku jako nauczyciela łaciny i języka francuskiego. Przenosi się tam, ale rodzina (żona i córka Biruta) pozostają na wsi. W Ełku czuje się dobrze, a uczniowie i tamtejsze grono pedagogiczne jest zadowolone ze swego „Litwina łacinnika”, uważającego język Horacego za najpiękniejszy w świecie. Oczywiście, obok litewskiego.

Nie ma też problemów związanych ze swoją narodowością. Napływowe, wieloetniczne, wielokulturowe i wielowyznaniowe Warmia i Mazury było wówczas, i pozostają nadal, bardziej tolerancyjne od zasiedziały środowisk Polski międzywojennej. Rok 1953 – rok śmierci Józefa Stalina – również w Polsce przyniósł początek politycznej odwilży. Zaledwie rok wcześniej oficjalnie uznano, że obok Polaków na terenie kraju żyją mniej lub bardziej liczne mniejszości narodowe, którym należą się jakieś prawa w dziedzinie oświaty i kultury. W roku 1952 na Sejneńszczyźnie, na bazie szkół polskich, organizuje się pierwsze szkoły podstawowe z klasami litewskimi. I natychmiast pojawia się zasadniczy problem: skąd wziąć kwalifikowanych nauczycieli do nauczania języka litewskiego i innych w nim przedmiotów. Zaledwie kilkoro nauczycieli pochodzenia litewskiego legitymowało się dyplomami liceów pedagogicznych, ale i oni uczyli się w języku polskim, a znajomość litewskiego wynieśli z domu, czyli kwalifikacji nie mieli żadnych.

W głowach najbardziej aktywnych mieszkańców Sejneńszczyzny rodzi się myśl utworzenia w Liceum Ogólnokształcącym w Suwałkach litewskiej klasy o profilu pedagogicznym. Do najbardziej aktywnych należy, a może i najaktywniejszy jest Jan Stoskielunas. Jeździ rowerem od wsi do wsi, nieraz po pięćdziesiąt kilometrów dziennie i usilnie namawia młodzież – a i rodziców – by posłali swoje pociechy do nowo otwartego oddziału. W przyszłości mieli zostać nauczycielami, „nosicielami oświaty i kultury na wsi”. Tak się wówczas mówiło, i nie bez racji.

Namówić do suwalskiego liceum nie było łatwo – ludzie biedni, a za stancję w Suwałkach trzeba sporo zapłacić. Szczególnie trudno dawała się namówić młodzież z podsejneńskich wsi. Bo niby po co do Suwałk? Czyż nie bliżej i taniej posłać do liceum w Sejnach? Mimo wszystkich przeciwności w połowie roku szkolnego 1953/1954 litewską klasę w Suwałkach udało się utworzyć, a Jan Stoskielunas nauczał w niej języka i literatury litewskiej, francuskiego, łaciny, a później jeszcze historii i śpiewu. Następny rok szkolny przyniósł nowe trudności: do litewskiej klasy udało się zwerbować zaledwie kilku kandydatów.

W roku 1956 w Polsce do władzy w partii dochodzi Władysław Gomułka; a wraz z nim następuje polityczna, kulturalna i gospodarcza odwilż. Ten moment wykorzystują Litwini, aby utworzyć w Puńsku działające do dziś liceum ogólnokształcące z litewskim językiem nauczania, jedyne takie

w Polsce i jedno z dwóch poza granicami Litwy. (Drugie podobne działa w Niemczech, w Huettenfeld).

Jan Stoskielunas jest w swoim żywiole, osiąga apogeum aktywności życiowej: naucza w liceum, pisze wiersze, pracuje społecznie, wyklada na wakacyjnych kursach doszkalających dla nauczycieli języka litewskiego, pisze programy nauczania, współredaguje podręczniki. W roku 1957 powstaje pierwsza po drugiej wojnie światowej litewska organizacja społeczna w Polsce pod nazwą: Litewskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Stoskielunas zostaje wybrany sekretarzem Zarządu Głównego.

Ale odwilż polityczna w kraju nie trwa długo. Władza, gdy tylko odzyskuje siłę i pewność, o wcześniejszych obietnicach zapomina. Tak jest i tym razem. Od roku 1958 nasila się kontrola nad działalnością mniejszości narodowych w Polsce, a społeczno-kulturalne organizacje mają być jedynie transmisją pomiędzy partią a lokalnymi społecznościami. Nad Litewskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym, a tym samym nad jego przywódcami: Józefem Maksimowiczem, Józefem Vainą, Antonim Wołyńcem i Janem Stoskieluną zbierają się ciemne chmury. Drugi Zjazd LTSK w roku 1959 zmienia cały skład kierownictwa organizacji, a zarząd główny zostaje przeniesiony z Puńska do Sejn.

Jan Stoskielunas jeszcze nie wie, że i jego przygotowują do odstrzału, czekają tylko na dogodną okazję. Ta pojawia się wiosną 1960 roku, gdy z niewyjaśnionych do końca przyczyn w puńskim liceum dochodzi do rzekomego naruszenia regulaminu egzaminu dojrzałości. Winny jest Stoskielunas. Władze oświatowe skazują go na wygnanie: usuwają z liceum i przez wiele lat musi dojeżdżać do pracy w szkołach podstawowych w Widugierach, Nowinikach i Wojtokiemiach. Latem i zimą, w słońcu i śnieżną zamieć jeździ do pracy motocyklem marki „Junak”.

Po latach wraca do Puńska, ale nie do liceum, lecz jako nauczyciel w szkole podstawowej, mimo że jest nadal jednym z nielicznych magistrów lituanistyki i znawców literatur europejskich. Władze oświatowe nie mogą jednak zaprzeczyć jego zdolnościom i zaangażowaniu w pracy pedagogicznej z młodzieżą. Zostaje odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i wieloma nagrodami białostockiego Kuratorium Oświaty. W roku 1977 odchodzi na zasłużony odpoczynek.

Będąc na emeryturze, oddaje się bez reszty zrodzonym jeszcze w Łozdziejach pasjom: literaturze i etnografii. Pisze artykuły, rozprawki naukowe, wiersze. Pewnym ukoronowaniem tej jego działalności staje się trochę wzorowany na Mickiewiczowskim *Konradzie Wallenrodzie* poemat *Šiurpilų gynimas* (Obrona Szurpił). Tylko niewielka część jego dorobku trafiła do rąk szerszego grona czytelników, większość pozostała w rękopisach. Stoskielu-

nas ukochał przede wszystkim swoją „małą ojczyznę”, położoną pomiędzy Gaładusią i Szurpiłami, Jeglińcem i Berżnikami, ale nie pozostawał obojętny również wobec Litwy, z którą niegdyś związał swoją młodość. Wierzył – choć tego nie mówił oficjalnie – że Litwa kiedyś odzyska niepodległość. Z utęsknieniem czekał na ten dzień. I moment ten nadszedł 11 marca 1990 roku.

Równy rok Jan Stoskielunas cieszył się wolną Litwą, choć pogarszające się zdrowie wciąż mu przypominało, że zbliża się kres jego ziemskiej drogi. Odszedł do wiecznego Parnasu 11 marca 1991 roku. W pamięci puńskich i sejneńskich Litwinów pozostał jako ten, co zbudował w Polsce litewskojęzyczne szkolnictwo.

Literatura

Suvalkų lietuviai – wyd. „Aušra” Puńsk 2007 r.

Jonas Stokeliūnas, *Gyvenimas ir kuryba*, „Aušra” Puńsk, 2003 r.





Zita Žemaitytė

JOANNA OSTASZEWSKA

Zita Žemaitytė (1923–2009)

Joanna Ostaszewska poprašė studentų parvežti Adomo Varno biografiją – autorė Zita Žemaitytė (1998 metai, leidykla Baltos Lankos) iš Vilniaus. Šioje knygoje ji bandė surasti informaciją apie Piłsudskio dingusi portretą, kurį nutapė lietuvis, Adomas Varnas (1879–1979 metais). Žemaitytės parašyta Varno biografija tai pirmas mokslinis darbas tyrinėjantis lietuvių mažą architektūrą ir impulsas sukurti mokslinį projektą siekianti išleisti dviejų tomų albumą apie lietuviškus kryžius ir koplytėles. 2005 metais pasirodė pirmas šio darbo leidinys lenkų kalba (Adomas Varnas. Krzyże litewskie).

Joanna labai gerai prisimena pirmą susitikimą su Zita Žemaityte Vilniuje. Zita į restoraną atėjo su puokšte astrų. Pasakojo apie Adomą Varną ir lietuviškus kryžius. Susitikdavo jos Vilniuje, Zitos bute pilname medinių rūpintojėlių, angelėlių, paukščių, knygų ir paveikslų.

Zita Žemaitytė gimė 1950 metais Vilkaviškyje, Lietuvoje. Studijavo meno istoriją Vilniaus Universitete. Tai daugelio knygų ir monografijų skirtų Lietuvos menui ir menininkams autorė. 1990 metais už monografiją Longinas Šepka ir Paulius Galaunė (abi: išleistos 1984 metais, Leidykla Vaga) gavo prestižinį valstybės apdovanojimą.

2009 metais ji iškeliaavo anapus, paliko daug vertingų darbų ir liūdincius bičiulius, o tarp jų ir Joanną Ostaszewską.



acžėjo się od książki. Biografię Adomasa Varnasa pióra Zity Žemaitytė (1998, Wydawnictwo Baltos Lankos) do Poznania przywieźli na moją prośbę studenci sinologii, powracający z ekspedycji do Wilna. Książka była istotnym ogniwem w badaniach nad naukową spuścizną Bronisława Piłsudskiego (1866–1918) i jego związków z Litwą. To właśnie w niej poszukiwaliśmy informacji na temat zaginionego bezpowrotnie portretu Piłsudskiego pędzla litew-

skiego artysty Adomasa Varnasa (1879–1979) i przyjaźni, która zaowocowała publikacją artykułu *Les croix Lithuanniennes* (1916) w szwajcarskim festszrifcie, poświęconym Eduardowi Hoffmann-Krayerowi.

Biografia Varnasa autorstwa Zity Žemaitytė była dla mnie także pierwszym naukowym źródłem do badań nad litewską małą architekturą i impulsem do powstania naukowego projektu, mającego na celu publikację dwutomowego albumu litewskich krzyży i kapliczek litewskich z 1926 roku. Polska i zarazem pierwsza światowa edycja tego dzieła miała miejsce w 2005 roku (Adomas Varnas, *Krzyże litewskie*). W części naukowo-biograficznej książki zamieściłam polskie tłumaczenie obszernego rozdziału biografii Varnasa pióra Zity Žemaitytė, poświęcone trwającej od 1905 roku pracy artysty nad archiwizacją i zachowaniem litewskich ludowych krzyży i kapliczek (*Zachorowałem na krzyże...*).

Bardzo dobrze pamiętam moje pierwsze spotkanie z autorką w Wilnie w piękny, słoneczny, jesienny dzień i bukiet astrów, które przyniosła mi na rozpoczęcie dobrej, owocnej współpracy. Siedziałyśmy wiele godzin w wileńskiej restauracji przy śniadaniu i kawie. Ona opowiadała o Adomasie Varnasie i litewskich krzyżach – ja słuchałam. W trakcie prac przygotowawczych nad książką i licznych ekspedycji na Litwę odwiedzałam ją w jej wileńskim mieszkaniu, pełnym drewnianych świątków, aniołów, ptaków, książek i obrazów twórców, o których pisała. Pracowałyśmy nad tłumaczeniem jej tekstu.

Zita Žemaitytė urodziła się w 1923 roku w miejscowości Wyłkowyszki (Vilkaviškis) na Litwie. Studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Wileńskim. Przez wiele lat pracowała w Zarządzie Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury Republiki Litewskiej, gdzie zajmowała się rejestracją dzieł sztuki ludowej. Była autorką licznych książek i monografii poświęconych litewskiej sztuce i sylwetkom artystów. Od 1964 roku była członkiem Związku Artystów Litewskich. W 1990 roku otrzymała prestiżowe państwowe odznaczenie za monografie *Lionginas Šepka* (1984, Wydawnictwo Vaga) i *Paulius Galaune* (1984, Wydawnictwo Vaga).

Odeszła w 2009 roku pozostawiwszy po sobie wiele cennych dzieł i zasnuconych przyjaciół, do których się zaliczam. O odejściu Zity Žemaitytė dowiedziałam się z notatki, opublikowanej w internetowym wydaniu gazety „Kauno Diena” 19 maja 2009 roku.





Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Fotografie z albumu Gabrieli Janczulewicz

BOŻENA SZROEDER

Pani Gabrynia

Ponia Gabrielė gimusi 1910 metais Veisėjuose (Lietuvoje) pasakoja savo prisiminimus.

Jos tėvai buvo kilę iš Seinų. Tėvas dirbo pašte ir į Veisėjus buvo išvykęs, nes tenai trūko tinkamo pašto tarnautojo. Kai Gabrielėi buvo treji, šeima vėl sugrįžo į Seinus ir nuo čia jau prasideda jos prisiminimai. Tarpkario metais Seinuose gyveno įvairių tautų ir tikėjimo žmonių. Miesto centre daugiausia gyveno žydų. Jie daugumoje užsimdinėjo prėkyba ir čia turėjo savo parduotuves.

II pasaulinio karo metu vokiečiai sudegino, sunaikino jų kapines. Šiltai prisimena žydus kaip kaimynus ir vėliau jų tragišką likimą. Seinuose gyveno ir vokiečių. Jie turėjo savo, išlikusią iki dabar, bažnytelę. Aplinkiniuose kaimuose gyveno nemažai rusų sentikių. Į Seinus rusai dažniausiai atvažinėjo į turgus.



ozmowa z Gabrielą Janczulewicz w grudniu 2005 roku, z udziałem młodzieży z Pracowni Kronik Sejneńskich pod kierunkiem Bożeny Szroeder.

Bożena Szroeder: *Pani Gabryniu, chciałabym poprosić żeby Pani opowiedziała, gdzie Pani się urodziła.*

Gabrynia Janczulewicz: *Oj, za granicą.*

Czy przyjechaliście tutaj z rodziną?

Nie! Ja tam jedna urodzona. Jedna. Jak w wojnie ożenili się ojciec z matką, a to był czas taki, że Polska była pod zaborami, i Litwa i Polska, wszystko pod zaborem. Ojciec mój umiał czytać, to on dowiedział się, że tam na Litwie potrzebują pracownika na poczcie i on tam pojechał ze swoją żoną zaraz po ślubie i ja tak urodziłam się. Reszta rodzeństwa nie. A w domu nas było niedużo. Miałam tylko dwie siostry.

Ojciec nasz młodo umarł, miał 33 lata. I matka musiała nas sama wychowywać. Biednie my żyliśmy. Ja może za to taka, bo jestem do każdej

biedy przyzwyczajona. I żyję. Jak matka kiedyś. Teraz to z opieki dają pomoc. A kiedyś to tego nie było. Matka musiała pracować i nas chować.

W Sejnach mieszkaliśmy w starej poczcie. I aż do wojny. Jak w trzydziestym dziewiątym roku zaczęła się wojna, jak zaczęły tu samoloty lecieć i bombardować, to ja uciekłam stąd, z tego domu. Bałam się, że bomba do mnie wpadnie. To poleciałam nad rzekę, aż tam daleko. Tak się bałam.

W czasie wojny zabrali mnie Niemcy. Musiałam tam ciężko pracować w głodzie i w chłodzie. Aj, aj! To był trzydziesty dziewiąty, a ja jestem 1910 rocznik. Miałam już 29 lat. Jak przyszli Niemcy, przyszedł żandarm i mówi: „Bist du... Arbeit nach Stary Folwark”¹. Na Stary Folwark koło Wigier. Co było z nim gadać. Tylko przyszedł, nasadził nas na wozie i powieźli do Wigier.

Jak Ruski już tu zaczął przychodzić, to oni cofali się. I nas razem wydali, i razem gnali. A my tam kopali takie rowy głębokie dla wojska. My te okopy tak kopali. Pozabierali dzieci i tam gnali aż zagnali do portowego miasta Heiligenbeil², aż tam nad same morze. I potem, jak przyszedł Ruski, to nas zajął.

Do domu szłam piechotą. Strasznie nogi miałam spuchnięte, ale potem wyzdrowiałam. No i od tej pory siedzę tutaj w Sejnach. To ja mojego życia trzy etapy wyliczam: pierwszy, jak byłam młoda, fajna, tutaj o; potem, Niemcy; i trzeci to teraz, tak.

Niech pani opowie, Gabryniu, jak pani była w stowarzyszeniu. Jak nazywało się wasze stowarzyszenie?

Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Chyba mam fotografie. Ksiądz je prowadził.

A pamięta pani, jak się nazywał ten ksiądz?

Pamiętam. Był to ksiądz Sawicki. W tym stowarzyszeniu grałam w różnych przedstawieniach i śpiewałam, na przykład tak:

A co Ewa tam zrobiła, kłopotu nas nabawiła,
z węzem sama rozmawiała i jabłuszka skosztowała,
co zrobiła...

Znacie to, o stworzeniu świata? Pan Bóg Adama i Ewę stworzył. I zakazał im z jednego drzewa jeść jabłko, a Ewa zjadła jabłko i dała Adamowi.

Różne teatry urządzali, na wycieczki jeździłam, całą Polskę objechałam. Nawet w kopalni węgla, pod ziemią, w Wieliczce też byłam. Objężdżałam, jak byłam młoda.

A ja zajmowałam się szyciem. Co uszyłam, to wszystkie pieniądze, tak jak pijak przepija, ja przejeżdżałam (śmiech). To drugi mówił tak: „Oj, ty lepiej za te



Katolickie
Stowarzyszenie
Młodzieży.
Fotografia
z albumu
Gabrieli Janczulewicz

pieniądze byś wzięła i – mówi – sobie co kupiła ładnego”. A ja mówię: „Za to szmatę kupię, będzie na szafie wisieć, a ja wszystko co teraz pamiętam, to gdzie ja byłam”. Wszędzie byłam. Oj, ile razy! W Warszawie, w Częstochowie, w Krakowie. Kraków – najlepsze, najmiłsze miasto. Stare, historyczne miasto (śpiewa):

Od Krakowa goście jadą, goście jadą, goście jadą.
Bardzo strojnie, aaa gromadą.
Hej, pawie piórka u czapeczek, różne wstążki u dziewczeczek.
Strojnje wyszywane, wyszywane, wyszywane,
lica zdrowe, aaa rumiane.
Hej, wodo, parę otaczają, piosnki wciąż śpiewają.
Jadą drużny i druhowie, i druhowie, i druhowie,
jadą matki i ojcowie.
Hej, gwarą, wiele ludzi wiele, to krakowskie jest wesele.

Skąd pani pamięta tyle, pani Gabryniu?

Ja w nocy budzę się... i sobie przypominam.

Czy pamięta pani Polkowskiego, tego, który tutaj mieszkał? Rodzinę Polkowskich, tych, którzy tutaj...

Ja jego rodzinę pamiętam, on do mnie pisze, często pisze. Ja jemu opisuję, jak jego dziadek żył, jak jego matka. Niedawno napisał, że ja jemu przypominam stare czasy i rodzinę. Było lato, kiedy miał przyjechać tu pan Polkowski. Mówił, że z żoną przyjedzie, strasznie było lato gorące, ale nie mógł przyjechać. Potem pisał, że żona chorowała. No i mówi, że nie udało się mu w tym roku przyjechać. Ale przysłał mnie paczkę na Boże Świąta.

Pani Gabryniu, czasem jak my rozmawiamy z ludźmi, to wspominają, jak było w czasie wojny i przed wojną. Czy pani pamięta sukiennice?

Sukiennice tak, bo tam były żydowskie sklepiki. Było dziesięć naokoło sklepików. I tam jedna taka miała cukiernice, drugi takie coś z materiałami rozmaitymi. Jak wtedy Niemcy w wojnę podpalili sukiennice i ludzie polecili, chcieli gasić, a oni ludziom nie dali. Żeby spaliły się, żeby nie było po nich znaku. Tak. Były piękne, bardzo. Trochę jak w Krakowie te sukiennice.

Pani była w Krakowie?

Byłam. Bardzo lubię też to miasto.

Pani Gabryniu, a pamięta pani jak stąd, bo to przed sukiennicami, ponoć kazali się zebrać Żydom, kiedy ich stąd wypędzono. Pamięta pani ten dzień?

Tak. Pamiętam.

Może pani opowiedzieć o tym?

Ja wtedy uciekłam. Ja nie mogłam. Uciekłam z domu i poszłam do kościoła się modlić, żebym nie widziała i nie słyszała. To było straszne. To było straszne. Jak oni szli. Wygnani... Wszystkim kazali wyjść, żandarmy wygnali na podwórko i na Litwę pogonili. Ja wtedy nie mogłam patrzeć, ja z Żydami też dobrze żyłam. Przychodzili tu do mnie, tu byli, tu spotykałam się.

Żydom nie wolno jeść świńskiego mięsa. A do mnie przychodziła taka Lubka, Żydóweczka, mała. A ja jadłam mięso. I ona, tak jak dzieciak, też chce to mięso. Ja mówię, że nie można wam jeść. A ona: „Dobrze, ja będę jadła, dawaj”. I jadła. Taka Lubka. Zawsze przychodziła do nas bawić się. No, tu oni byli niedawno. Trudno mówić. To ja pamiętam, co oni jedli. Takie mięso koszerne, to tylko z cielęciny chyba i pani wie – drób jedli...

Ja nie wychodziłam za męża, nie mam ni dzieci, ni męża. Tylko ja sama. I tak siedzę. I myślę. I przypominam sobie. Ja widzę, jak u pani tam światło się pali, tak po sąsiedzku tu żyjemy. A tu ogródek, różne kwiaty siane. Przychodzą te moje siostry, wieczorem przychodzą posiedzieć.

W Sejnach mieszkali też kiedyś protestanci, pamięta pani? W tym małym kościółku oni się modlili.

Tak, ich niedużo było. Parę rodzin. O tutaj jest jeden dom, jak przyszedł Ruski to ta rodzina uciekła, wszystko sprzedali... To tu też jedna kobieta mieszkała, miała małą taką chałupkę, Eichlerowa – niemieckie nazwisko.

Pamięta pani też starowierców?

Starowiercy mieszkali zawsze na wioskach. Oni tam zajmowali się tym



Pani Gabrynia Janczulewicz. Fot. Michał Moniuszko

wszystkim z rolnictwem. No i tak, mojej siostry dzieciak był malutki jeszcze. On wyleciał na ulicę i przyleciał do domu: „Mama, mama, powiedz co to jest? Podobny do człowieka, a tu taka broda...”. Oj, to zawsze jak targ, to przyjeżdżają do miasta, ubierają się i tak spacerują tutaj (śpiew):

Sejny miasto niewielkie, ale słynne nad wszelkie,
 bo gimnazjum w nim się mieści, a w nim uczni coś ze dwieści,
 przyjeżdżają ze świata. Sejny mają jeden...,
 przecież elektryczność jest.
 Oj, zapomniałam.

Jak to jest, że pani to wszystko pamięta, przecież to piosenka ze szkoły jeszcze. Pani Gabryniu, a pani tu do szkoły chodziła?

Tak, tu chodziłam. A tu i żydowska szkoła była, dla dzieci żydowskich, ale oni przyprowadzali i do naszej szkoły. Już po polsku nauczyli się. Przyszła matka, ze swoim Żydukiem, ze synkiem. To nauczycielka pyta się: „Czy ty umiesz czytać?”. On mówi: „Umiem”. Otwiera książkę i mówi: „Ooo, ja umiem tylko na swojej książce czytać”. No chodziliśmy razem, pomieszane były zajęcia i pomieszane klasy, ale razem. Ja dobrze uczyłam się i dobre miałam sprawowanie. I matematyka. Lubiłam matematykę. Miałam zawsze piątkę. A jedna Żydóweczka wstała i tak: „Niesprawiedliwie pani postawiła dla niej piątkę”. Oj, pamiętam to dobrze. Sam środek miasta to był prawie żydowski. O, tu jakiś król sprowadził Żydów, żeby oni handlowali. No i oni tutaj na sam środek miasta przyszedli. To były same domki, swoje takie postawione i sklepiki rozmaite. Jak kiedy chleba nie piekli, tylko trzeba było kupować, to był taki fajny Żyd, taki pan, bo on był bogaty. Bo było Żydów i biednych, i bogatych. No on był bogaty, bo nawet jego magazyn, o tutaj, jest. On kupował zboże

i odsyłał do miasta. To on był dobry, nazywał się Miszkinski. Dobry, taki ładny i z urody. I zawsze z mamą, jak potrzeba nam pieniędzy, to pójdziemy i on pożyczał. Po sąsiedzku, i tak dobrze żyliśmy.

Tutaj ludzie starsi opowiadają często historię Racheli. Pamięta pani tę historię?

Tak, bardzo ona była przystojna Żydówka, piękna, wysoka.

Z oficerami miała powodzenie. Bo tu było wojsko w Sejnach. No i jeden tam zakochał się. Ale że on oficer, nie wolno jemu było z taką Żydówką żenić się. I oni tak łazili, łazili i myśleli, że wezmą śluby, ale nie można im było. I ona z tego wszystkiego się otruła. Nie wiem, gdzie ona mieszkała. Ale przystojna panna była. Potem, jak ona otruła się, wzięli ją i na cmentarz zawieźli, i tam zakopali. Pochowali ją po żydowsku, wiadomo, trumny na przykład, jak u nas, u Żydów nie było. Tylko tak, kopią dół i tu dwie deski z boku położą, i potem na wierzch deski i coś na głowę. Ale ja nie pamiętam, jak młodzi byliśmy, to tak wszędzie gadali. Coś na niej, czy czapką nakładają, czy co, żeby głowy nie zasypać. I ją tak pochowali.

Pochowali, ale był taki jeden głupkowaty Żyd. Wszędzie znajdzie się. To chłopcy jego namówili: „Wiesz ty co? Idź i wykop tej Tołby³”. On poszedł na cmentarz w nocy, wykopał i wyciągnął. Ten cmentarz był ogrodzony takim parkanem, on wyciągnął i tu przy ulicy postawił, przy tym parkanie. I ona tak oparta stoi. Patrzą ludzie, pochowali, a ona stoi. To przyjechali, zabrali i pochowali. No i tak. Taka Tołba ładna była, przystojna była bardzo.

No właśnie, bo mówią, że ona się otruła, powiesiła, różnie mówi się o niej.

Nie powiesiła się, tylko otruła i pochowali jak należy.

Pani Gabryniu, a protestanci, gdzie oni mieli swój cmentarz?

A, Niemcy? Przy naszym. Żydowski cmentarz to był tam, jak jechać do Gib, był ogrodzony dobrze.

A co się stało z tymi pomnikami żydowskimi?

Niemcy wszystko porozbijali i nawet potem i drogi murowali z tego, tak. To było strasznie, to było straszne przeżycie, jak oni tych dzieci, tych wszystkich wygnali z domu i potem tam strzelali do nich. A nie chce wspominać nawet.

Pani Gabryniu! Byłam w ubiegłym miesiącu tam, gdzie naszych sejneńskich Żydów rozstrzelali. To są takie trzy długie rowy...

Jak ich strzelali nad rowami, to mówili, że nad tymi rowami i krew, i ta ziemia ruszała się. Tam dużo było i żywych. O, ile człowiek przeżył? Młodzieży to dobrze, bo nie pamiętają wojny, ale ja wszystko przeżyłam.



Procesja Bożego Ciała,
dom Domosławskich,
rok 1932; z albumu
Gabrieli Janczulewicz

To wojna była tutaj też straszna w Sejnach?

Nie, nie było strasznie. Przyszli od razu, weszli i już. Potem zabierali i męczyli tych Polaków. To wychodziły całe rodziny i mówili do mojej mamy, żeby coś przechowała, żeby coś zachowała, może ktoś przeżyje, może przyjdzie, może wróci... Moja mama mówi: „Ja nie chcę niczego, bo dzisiaj wam, a jutro nam”. Potem do obozów koncentracyjnych zabierali. Wszystkich naszych księży, wszystkich uczonych ludzi pozabierali. To wszystko historia.

Szczęśliwi ludzie, co nie znają wojny. Dobrze wam dzieci – wszystkiego co potrzeba macie i życie. A wy, nie wiadomo, rozumiecie i po żydowsku, czy i po polsku?

To są wszystko polskie dzieci. Pani Gabryniu, czy chciała by pani, żeby Żydzi wrócili do Sejn?

No co mnie? Czego nie? Ja z nimi żyłam dobrze. Tu, o jeden, jak mówiłam był dobry i drugi, i trzeci, i ja z nimi dobrze żyła.

To my możemy pani zaśpiewać po żydowsku, chce pani?

To ja wam też zaśpiewam (śpiew *Lomir mir...*). No na przykład ja nie wiem, czemu w Sejnach nie było rabina? To oni zawsze rano przychodzili do bóżnicy. Żydzi, baby nie, tylko same chłopcy, i modlili się. A najlepiej jak jest

księżyc, to oni do księżycy modlą się, odwracają się. To jeden tam śpiewa: „A vej, a vej, a vej...”. A potem idą do swoich sklepów. Przez moje okno było widać. To ja zawsze patrzyła, jak idą. Tylko jak były kuczki, to wszyscy szli do tej bóżnicy, do tej białej synagogi. I kobiety też wtedy szły. To tak mówili, że każdy Żyd musiał wtedy zjeść koguta, a jednego jak nie zjedli, to machali tym kogutem. To potem jedzą te kolacje – a tu był taki zrobiony jakby szałas – przywiozą drzewa, jęglinki z lasu, to potem siedzą, jedzą te koguty i idą tam do swojej bóżnicy. Ja tu blisko mieszkałam, tu wszystkie mieli sąsiadów Żydów. Ja mówię, sam środek miasta to wszystkie sklepy żydowskie. No i te sukienice z filarami.

Tu był taki stary Elko. Miał sklepik, w nim takie różne: guziki, zatrzaski. Wszyscy lecieli do niego kupować. On taniej oddawał (śpiew):

Chcesz zobaczyć ruch wielki, to w muzeum kup u Elki,
sukiennice z filarami, można płacić tam gratami,
co się często przydarza...

Jemu umarła żona, to on ożenił się z młodą, ale młodej to on nie mógł dogodzić. To mówili, że jakieś zastrzyki bierze...

Pan Elko, czy to ten, który był ślepy?

Nie, nie, on nie był ślepy.

A pani też może szyla dla Żydów?

No szyla i dla Żydów. Była taka jedna tutaj Żydówka, rodzina była żydowska. Ona przyniosła do mnie szyc bluzkę i mówi: „Jaki mój Chaim dobry, on dla mnie nic nie szkodzi”, ale nie mówi, że „ja przyniosłam szyc”. „Bo mój Chaim dobry, ale wszystkiego dla męża nie trzeba gadać”. Nieraz to sobie przypominam, tu niedaleko mieszkali.

A gdzie pani spędziła dzieciństwo?

Jak ojciec mój z Niemiec wrócił chory, to mnie uczył czytać. Pamiętam, że zrobił takie buty na drewnianych podeszwach. Wszystko z elementarza mówił i mnie uczył czytać. Ja mam fotografię ojca. Jeszcze przed śmiercią wybrał parę złotych spod poduszki i zawołał mnie: „Chodź Gabrynia, masz pare złoty, będziesz miała na książki”. To ja na całe życie ojca pamiętam.

No tak, to piękne słowa ojca dla dziecka.

Chodziłam na zabawę i na tańce, i wszędzie się było, a teraz połamałam się, choroba na starość.



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, ksiądz Wężyk; z albumu Gabrieli Janczulewicz



Inscenizacja w Domu Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, okres przedwojenny; z albumu Gabrieli Janczulewicz

Pani Gabryniu, zaśpiewamy pani jeszcze jedną pieśń, jaką śpiewali starowiercy, chciałyby pani?

Ja nie lubiłam starowierów.

A czemu?

Ja szyłam dla nich bluzki. Oni ładne materiały przynoszą i trzeba było prędko szyć, aby tylko raz dwa i tylko ubierze się i spaceruje po mieście w tej bluzce uszytej. Starowiery, to oni tylko przyjeżdżali na spacer do Sejnów. Wystroją się, przyniesą i tylko im szyj raz dwa, szyję prosto aby było, ubierze się i idzie. We wtorki i piątki oni przyjeżdżali.

Pani Gabryniu, a kiedy zmarła pani mama?

Już trzydzieści lat.

Czy mama też szła?

Nie, mama gotowała, wszystko robiła, a ja szyłam. Co uszyję, to jadę do Krakowa, wszędzie... Wysyłałam nawet pocztówki i adresowałam: dom pocztowy. Nie trzeba było niczego, tylko napisać imię i nazwisko i dom pocztowy. Ja tu mieszkała w 1947 roku jeszcze.

Pierwsza wojna zaczęła się, to najprzód przyjechali, weszli do nas bolszewiki. A nasz ksiądz stał przy kościele i przez te kratki takie patrzył, jak te wojsko idzie. A jeden taki kacap na koniu tego księdza pogonił. I też stała Żydówka, sprzedawała cukierki. Jak ona zobaczyła, że ksiądz gonia, to poleciała i zaczęła po rusku gadać i go puścili.

Jak się nazywała ta Żydówka?

Przypomnę zaraz... Klucznikowa... ksiądz uratowała, umiała po rusku i wypuścili. Wy dzieci nie pamiętacie wojny. To Pan Bóg dał dla Mojżesza dziesięć przykazań i te dziesięć przykazań było u nas na bożnicy wypisane, takimi dużymi literami, ale Niemcy zniszczyli. Została tylko taka wnęka po tym. W zgodzie żyłam z tymi rodzinami żydowskimi. I szyłam dla nich. I pamiętam, jak powiedziała ta jedna Żydówka, że wszystkiego nie trzeba dla męża mówić. A ten Chaim był bardzo wysoki i miał długie nogi. Jak już szli te bolszewiki, to ze strachu przez całe podwórko tylko trzy kroki dał, bo miał takie długie nogi.

Ja nie byłam ani razu na pielgrzymce, ale ludzie chodzą tam na pielgrzymki, chodzą do Wilna, ale ja nie idę. Ja odbyłam dobrą pielgrzymkę, jak z niemieckiego Heiligenbeil przyszła, trzy tygodnie szła. Nogi tylko wygięte byli. Powiedziałam, że więcej nie będę już chodzić, bo ja tu swoją pielgrzymkę odbyła.

Ale pani Gabryniu, to już było po wojnie? Kiedy pani tu wracała z tej pielgrzymki strasznej, z Niemiec? Panią wypuścili? Jak to było?

Ja wam powiem. Mnie gnali, gnali, aż do tego Heiligenbeilu zagnali Niemcy przez wodę. I jak nas dognali, mówili: „Chodźcie z nami, bo jak tu przyjdzie Ruski, to na jedną babę dziesięciu ruskich przyleci”. Tak nas straszili. Ale oni przez tą zatokę gnali nas koło Gdańska. Niemcy z karabinami poszli, a my zostali. Co będzie, to będzie. My w takich schronach siedzieli, a bomby siuch, siuch nad naszymi głowami lecą. Ja spotkała takiego ruskiego żołnierza, a on mówi: „Co to pani teraz zrobi?” A ja mówię, że nie wiem czy do domu wrócę, bo tak kule latają. To on mówi: „Niech pani poda rękę”, a ja podałam. On mówi: „Oj, jaką pani ma dobrą rękę, jaką pani ma szczęśliwą rękę. Wróci pani do domu i będzie długo żyć”. Potem jeszcze raz go spotkałam. Powiedział: „Oj, żeby ja miał taką rękę jak pani”. No i zgadł, bo wróciłam do domu i żyję do tej pory. Ja pamiętam, jak ruski oficer doktor wywróżył.

Ile Pani do domu szła? Trzy tygodnie?

Trzy tygodnie.

Sama?

Nie, dużo ludzi wyszło i szli. Tylko samoloty lecieli i nas sfotografowali, jak my szli z tych Niemiec. To był chyba marzec. Były moje imieniny 24 marca i ja siedzę, i płaczę w takim schronie. Myślę: „O Jezus, dziś moje imieniny, a ja tu sama jedna”. I tak sobie postanowiła, że ten jeden dzień, co nas wyzwolą, to ja nie będę jeść, będę pościć. I tak wyszło, że wyzwolili mnie na imieniny,

Okres przedwojenny; z albumu Gabrieli Janczulewicz





Procesja Bożego Ciała,
dom Domosławskich,
rok 1930; z albumu
Gabrieli Janczulewicz

a potem musiała pościć. I tak dwadzieścia lat ja pościła, ale potem to ja pościła tylko do czwartej; wyzwolili mnie o czwartej po południu, to poposzczę od rana do czwartej, i już jem cokolwiek.

A wspominała pani, że urodziła się w Wiejsiejach, tak?

W Wiejsiejach.

A jak to się stało, że pani rodzina cała mieszkała w Polsce?

Powiem, co było. Mój ojciec tam pracował na poczcie, ale ta poczta była w starym pałacu. I to przed wojną już tych hrabiów nie było, tylko byli tam urzędy. I on tam pracował. Jak kiedyś nie było światła, to palili lampy. To jak pali się lampa, to jeszcze nic. Ich dwóch nocowało i tej poczty pilnowali. Tylko zgaszą, to ktoś weźmie – jakieś straszidło – z ich dwóch jednocześnie koldry ściągnie aż koło drzwi. To oni tak męczyli się. I ksiądz wyświęcał i nic nie pomogło. To ojciec musiał zostawić to i przyjechał do Sejn. A wtedy moja babka tutaj mieszkała u pana Polkowskiego. Dziadek dał dla babki tutaj mieszkanie pod pocztą. I my przyjechali najprzód do tej babki, później znaleźli jakieś mieszkanie.

Pani kiedyś mi opowiadała, że tutaj na poczcie straszidło kiedyś. Niech pani opowie trochę o tym.

Tutaj coś niewinne było. Na poczcie w tym ostatnim pokoju coś brzęczało. Tam była kuchnia i tak coś brzęczało. Też straszidło.

Teraz tam już nie straszy, pani Gabryniu, my tam pracujemy długo w nocy i nie straszy.

Bo tam kuchni już nie ma, bo ktoś tam fajerki przesuwiał. I strach. Ale ojca mego jak straszidło, to rzucił w tych Wiejsiejach pracę i przyjechał, jak ja miała trzy latka. A ja tylko jedna z całej rodziny w Wiejsiejach jestem rodzona.

Jeszcze ja pochwałę się, bo tam ta poczta była w pałacu, to ja chwałę się, że ja w pałacu urodzona. Tam była poczta w tym pałacu i wszystkie urzędy. Jest jeszcze parę ludzi, co tam urodzone. Wszystkie już poumierali, tylko ja jeszcze żyje.

Pani chyba w życiu dużo książek czytała?

Czytała wszystkie: Mickiewicza, Sienkiewicza, potem różne trylogie, wszystkie, to ja wszystko przeczytała.

Teraz też pani czyta?

Nie, już teraz słabe oczy. Ja wczoraj założyła te okulary i tak czytała. Tam dużo o Litwie piszą, cały Puńsk opisują i ja tam nie znam tych ludzi.

Ale wie pani co było? Musieli mnie metrykę przerabiać, bo taki był trans, że na Litwę nie można było listu pisać. Ja nie mogła mieć swojej metryki, a mnie potrzebna była. To musieli mnie na podstawie świadków metrykę wyrabiać.

Takie były czasy.

Ale teraz wszystkie papiery, wszystkie dokumenty popalone, bo była wojna i tam nic nie ma.

Kiedy pani ostatni raz używała maszyny do szycia?

Teraz, tylko musi mnie kto igłę nawlec.

Jeszcze szyje pani?

No to jak. Dziewczynki przychodzą z dołu i mnie nawlekają igłę i szyją. Trzeba podchylić spódnice czy co.

Pamięta pani jeszcze to stare kino, które tu było kiedyś? Była pani na jakimś filmie?

Zawsze byłam, leciałam. Jak iść do rzeki od rynku, tam taki duży dom, on jeszcze stoi, tam było kino. Na dole było coś innego, a na górze było kino, wysoko.

Jakie filmy tam pokazywali? Pamięta pani jakiś film?

Trędowatą, różne filmy były. Napisane było na słupie, że będzie dziś taki film, to idę.

Dużo ludzi chodziło do kina?

Dużo.

To było kino, w którym płaciło się za bilet?

To jak. Trzeba było.

Takie, w którym muzykę grało się na pianinie? To znaczy leciał film, a człowiek grał.

Chyba nie. Pamiętam, że filmy były nieme.

Pani Gabryniu kochana, my bardzo dziękujemy, że pani nas przyjęła wszystkich dzisiaj.

Nie mam ja teraz takiej wymowy i takiego składu.

Ma pani bardzo dobry skład i bardzo dobrą wymowę. My wszystko zrozumieliśmy.

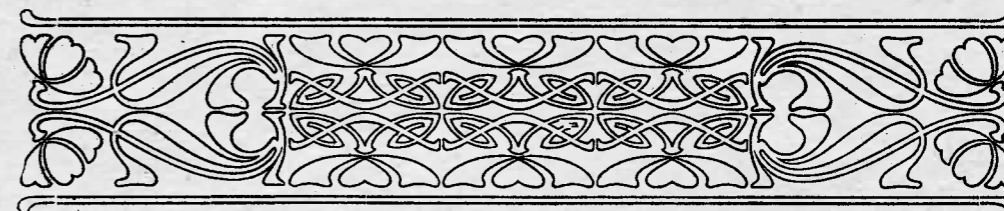
Przypisy

1 Jesteś... pracujesz w Starym Folwarku (z niem.).

2 Jeden z najokrutniejszych pięciu podobozów obozu koncentracyjnego w Stutthofie, działających od września 1944 do lutego 1945 roku. Wcześniej miasto Święta Siekierka, po 1946 Mamonowo, leżące nad Zatoką Gdańską, na pograniczu Obwodu Kalinińskiego z Polską, po stronie rosyjskiej.

3 Tołba, imię Żydówki.





Notatnik recenzencki



O POEZJI BIRUTĖ JONUŠKAITĖ

O POEZJI ZBIGNIEWA MACHEJA

MIŁOSZOWE POWROTY NA SUWAŁSZCZYZNĘ

SENTYMENTALNY SPACER PO SEJNACH MARKA KARPOWICZA

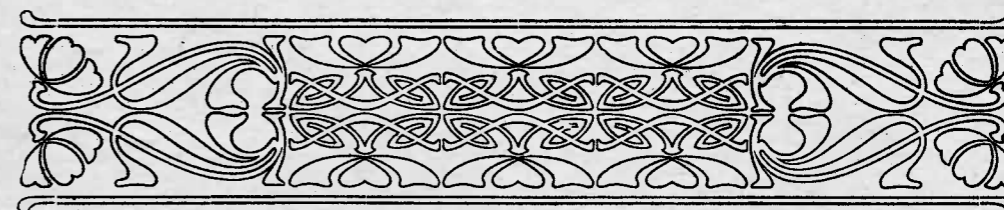
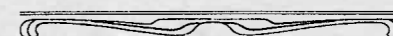
STAROOBRZĘDOWCY KRAJÓW BAŁTYCKICH I POLSKI

CENTRUM NA PERYFERIACH - EJSZYSZKI

ARCYBISKUP JERZY MATULEWICZ

ETNICZNE, KULTUROWE I RELIGIJNE

POGRANICZA RZECZPOSPOLITEJ





JANINA OSEWSKA

Na rozstajach pamięci

Naujas Birutės Jonuškaitės poezijos rinkinėlis „Vaikas pražilusion akim“ išleistas lietuvių-lenkų kalbomis. Jame 48 eilėraščiai. Eilėraščiuose autorė grįžta į praeitį, į vaikystę, į savo tėviškę. Pasikartoja žuvies motyvas, kaip pradžios simbolis. Antros rinkinio dalies eilėraščiuose nagrinėjama žmogaus gyvenimo, jo jausmų ir emocijų problematika.

Polsko-litewski tom poetycki Birutė Jonuškaitė pt. *Dziecko o posiwiałych oczach* (Vaikas pražilusion akim) zawiera 48 interesujących wierszy, podzielonych na dwie części: pierwszą, zatytułowaną *Nocą z latarnią* (Naktį su liktarna), i drugą, od której pochodzi tytuł całego zbioru. Umieszczona na okładce grafika z motywem ryby zapowiada wiersze o tematyce nawiązującej

do początku, do korzeni. Już pierwszy utwór, modlitwa do Wszechmogącego, potwierdza ową zapowiedź. Autorka, wyrażając pragnienie zachowania pamięci o miejscach i ludziach ze świata przeszłości, pogłębia wiarę czytelnika w siłę świadomości własnych korzeni. Pisze:

Wszechmogący
jeśli umrę tej nocy
zrób na drutach moim dziewczynkom
sukienki z koniczyny Persetowego pagórka
(...)
wnukom w nogach
posadź
najbardziej szarego skowronka
niech nasłucha się Twój
sklonowany baranek
jakie śpiewaliśmy
kiedyś pieśni

Istotnym motywem tomiku są nawiązania do obrazów zapamiętanych w dzieciństwie, które jak ryby „w zakolu rzeki przy moście do Smolan” leżą uśpione na dnie duszy. Może i uda się je przebudzić, ale nie da się zakłócić i przywrócić. Są tylko „mokrymi kłodami”, pozostałościami pamięci. W wierszu bez tytułu, rozpoczynającym się od słów: „śniła mi się rzeka...”, poetka mówi:

kobieta
z gwiazdozbioru Barana
łowiła w niej duże ryby

rękoma
niczym mokre kłody
wyciągała je z wody
i rzucała na brzeg
(...)
ryba chwyciła moją rękę
na brzeg wyciągnęłam
kłodę

Motyw ryby, symbolu początku, życia i nieśmiertelności pojawia się jeszcze w kilku wierszach. Autorka *Wielkiej wyspy* wykorzystuje go

również jako symbol śmierci. W wierszu *Chrzestni* pisze: „ona za oceanem rzuca wędkę / on ze świętym Piotrem rybę spożywa”. Podmiot liryczny, w którym rozpoznajemy autorkę, „błąka się i siwieje mu serce” na rozstajach pamięci. Raz godzi się ze stwierdzeniem: „wyszliśmy / by nie powrócić”, to znów, jak w wierszu *W starej rodziców zagrodzie*, buntuje się przeciw przemianom i poprzez symboliczny powrót „stoliczka z szufladami ojca, starej i szerniałej ławeczki, czajnika, pod którym płomyk dawno już zgasł i białej chustki mamy”, pragnie przywrócić minione. Rozdarcie i niezgodę znajdujemy również w wierszu pt. *W wiosce nad morzem*:

ich ślady
wiatr zawiał
przed wiekami
moich dzieci wczoraj
aniele
gdzie się kryjesz
kiedy Bóg bawi się
w piaskownicy?

W utworach zawartych w pierwszej części zbioru znajdujemy również nawiązania do Biblii (*W Warszawie*) czy historii odwiedzanych miejsc (*Na Górze Zamkowej w Jeglińcu*, *Na wydmach Nidy*) oraz zabarwiony ironią ogląd świata, jak w wierszu bez tytułu na stronie 25: „ociężałe kobiety / szerokimi jęzorami / miałą ciężkostrawne słowa / w ich oczach / bezlitosne przekonanie: / jesteśmy doskonale usta Pana”.

Druga część książki jest odmienna od pierwszej. Tutaj podmiot liryczny zadaje pytania związane z egzystencją, uczuciami i emocjami człowieka. Jak pogodzić się z faktem, gdy dziecko w nas spogląda „oczyma siwej kobiety”? Jak zrozumieć odrzucenie, zdradę, unieść ciężar bólu, żyć bez miłości? I udziela odpowiedzi: „całe życie szukałam / definicji miłości / przypadkowo na schodach / wzięłam mnie za rękę / boską łódką ześlizgnęłam się / z powrotem do łona matki / słodkie wody / chlusnęły mi w usta / znalazłam”.

Przyjemność „smakowania” wierszy litewskiej poetki związanej korzeniami z ziemią sejwejską jest niekwestionowana. Tym bardziej, że dotyka istotnych wartości, których pielęgnowanie w globalnym świecie nie jest ani łatwe, ani modne. Autorka *Pola żyta* opowiada poetyckie anegdoty o tych „po przeciwnej stronie teraźniejszości” (wiersze: *Ojciec*, *Lęki ojca*, *Wujowie*, *Magdalena*, *Hieronim wkurzony na wiosnę*, *Chrzestni*, *Gdzie przepadła Weronika?*), jakby na potwierdzenie słów Cypriana Kamila Norwida, który pisał: „Naród składa się z jednego pokolenia ludzi żyjących i z wielu pokoleń umarłych,

którzy ukształtowali jego przeszłość i z tej przeszłości w sposób decydujący wpływają na rozwój teraźniejszości”.

Pierwszy tomik znanej pisarki wydano przy pomocy finansowej ministerstwa kultury. Z języka litewskiego wiersze przetłumaczył Sigitas Birgelis, redaktorką tłumaczenia była Nijolė Birgelienė, a konsultantką Barbara Gruszka-Zych. Tomik opatrzono ilustracjami Viliusa Šileiki.

Birutė Jonuškaitė: *Dziecko o posiwiałych oczach* (Vaikas pražilusiom akim). Wydawnictwo „Aušra”, Puńsk 2004 r.





WACŁAW KLEJMONT

Małe jest piękne, małe jest ludzkie...

Zbigniewo Machejo eileraščiū rinkinio „Žiema pasienio miestelyje: nuo 2004 m Kalėdų iki 2005 m Velykų” trumpa recenzija. Autorius savo trumpus eileraščius rašė gyvendamas Lenkijos-Čekijos pasienio miestelyje Ciešine, prisimindamas istoriją, žmones, gyvenimo faktus.

...i nic tu nie wskórają prowokacje w stylu „mam w dupie małe miasteczka” czy kabaretowe smędzenia „a tu gmina, a tu gmina”. Na przykład Cieszyn vel Teschen, który idealnie wpisuje się w pograniczne historie i perspektywę uniwersalną. Duch Chagalla unosi się nad Zbigniewa Macheja *Zimą w małym mieście na granicy* – wierszami pisanymi od Bożego Narodzenia 2004 do Wielkanocy 2005 roku, o czym informuje podtytułowy dopisek.

Przyjaciół, współziomek i znakomity felietonista piątkowej „Kultury” (znaczącego aneksu do „Dziennika”) Jerzy Pilch konstatował: „ciężka ta cieszyńska zima musiała być życiowo – pisarsko okazała się błogosławiona”. I końcowa apostrofa tego samego pióra: „O zimo owa, powinien za najwybitniejszym swym kolegą zawołać poeta i udawszy się do cieszyńskich świątyni progu, za cieszyńsko-męczeńską zimę podziękować Bogu”.

Graficznie pięknie wyakcentowuje nastrój i przesłanie stu pięćdziesięciosiedmiostronicowej poetyckiej mozaiki zdobiący wydanie drzeworyt Wiesława Szumińskiego. Rzeźbione lustrem w drewnie, ryte pamięcią w skupieniu słowa i myśli podążają tropem podniebnym Chagalla i stromymi ścieżkami między niebem a ziemią Nikifora z Krynicy. Tak wielka duszność, jak i wielkoduszność małych miast unosi się na granicy podniebnych wzlotów, a nie tylko skostniałej przyziemności: „Tak, ja malował pan Chagall”, jak wpisywał się Nikifor w górny i chmurny pejzaż. Jak wysokiego lotu jest ta poezja? W zupełności jej wystarcza oderwanie od ziemi o cień Ikara na tle nieściemnianego słońca prowincji.

Nie da się ukryć. Lubię zwięzłość i precyzję, ale nieprecyzyjną, munsztuk na słowa, ale nie kaganiec wyobraźni. Machej imponuje epigramatycznym uściśleniem, intryguje rytmiką z księdza Baki wziętą. I ta myśl między zagrożoną naturą a przecuciem nieskończoności: „Trzeba by się bardziej z zaświatami zbratać” (*Wigilia*). Podmiot liryczny daje się wodzić na pokuszenie (*molestować*) upadłemu aniołowi „Kauflandu”, a niepraktykowanie kwituje stwierdzeniem: „bez kościoła w Boga wierzę”. Ujawnia kontrasty: świat w obłędzie i *Orędzie* Jana Pawła II, zmierzającego do Domu Ojca.

Świat i dzieci to czterozwrotkowe spiętrzenie pytań retorycznych o zanikającą czystość i niewinność. Katastrofy i zagrożenia: wielkie i małe, tsunami i polskie zapadliskowe drogi... *Potrzeba ratownika*. Kto miałby nim być? Bóle ciała i duszy – niewspółmierne acz współobecne. Egzystencjalny wymiar wydaje się mieć kwartyna:

płyniemy

życie nie jest gdzie indziej
bo jest tu razem z nami
płyniemy w nim jak w windzie
pędzonej przez tsunami.

I dla równowagi najprozaiczniejsza proza życia w wiersz obleczona:

w środku nocy

coś walnęło jakby upadł

kawał węgla albo cegła
 może sąsiad po pijaku
 walnął babę i poległa.

W schematy noworocznych życzeń wpisują się bez pardonu czyściciele naszych kieszeni: „z nowym rokiem znów gaz drożeje”, trzeba płacić składki ZUS, a obok „interesowna nieżyczliwość, szemrana nuda i ciekawość” oraz miejscowi notable wiecznie na nowo zadowoleni z bieżących osiągnięć. „Innym orkiestrom” wstęp pod kościół wzbroniony, a do miejscowej szkoły „drugiej klasy” dziecko nie łgnie, „bo tam chodzi swołocz”. Jakby tu zbuntować się? Ostrzyc na zero, w ciche dni zrobić skok w bok? „Ciepły styczeń” nie zapowiada jałowej ziemi. Emerytowany treser milicyjnych psów wspaniałomyślnie dokarmia dzikie koty. Sen o Adamach: Michniku i Małyszku... Żonglowanie groteskowymi rymami „mnichem – grzychem” na sejmowej seksparadzie... Wojna i pokój, *Ukraińcy i Arabowie*.

Dwa sonety o przenoszeniu księzek wcale dwoma sonetami nie są, a – postBiałoszewską drabiną słowa ruchomego. Piękny jest „przystanek” z apostrofą do starego autobusu i odpowiednią odpowiedzią:

wezmę cię za miasto
 tam gdzie pachnie gnojem
 może to ukoi
 twoje niepokoje.

Cywilizacja śmieci i brudu osacza peryferie. I wpisany w to haikopodobny dwuwers:

jednak zima śnieg z chmury na dół
 pada na padół.

A zaraz potem „Hej!” dla tirówki i skandalistka – „Pianistka” wiadomej noblistki z obrazkiem rodzajowym z miejskiej niby-czytelni: „czytanie tutaj jest gównem warte”. „Nowaja Polska” bez papieża i z aniołem korupcji to jakby domalunek do „Czerwonego autobusu” B.W. Linkego. I jeszcze przywołanie: jak to było za Niemca w Teschen. Z konkretów: Cieszyn w anegdocie o wyzwolicielach oraz „płacz symboli”.

W wierszach nieprzerwanie pokutuje dusza mieszczuca-piecucha i e-zwierzęcia z praktycznej i ogólnie praktykowanej konieczności, bo

Choćbym mówił językami

I choćbym miał dar prorocstwa
 A komputera bym nie miał
 Byłbym niczym.

Jeszcze o czasach Gierka i praktycznie rozdwanym obywatelstwie polsko-niemieckim:

No bo niby czemu
 Lepiej być i nie mieć?
 (*Z podwójnym obywatelstwem*)

I wreszcie dwa Cieszyny po wejściu do unii po piwo i wędliny! Czas adwentu i czas postu, zmaganie się postu z karnawałem... Bywa że z poetyckiego kalejdoskopu wyłania się wielo-płaszczyznowa refleksja, jak ta:

tajny współpracownik zimy
 albo donosiciel śniegu
 stare teczki podpalimy
 kiedy przeszłość wyjdzie z brzegów
 (*Inny wiatr*)

Gdybym był poetą, to nie omieszkałbym przytoczyć, ale i tak zaryzykuję w myśl zasady „śpiewać każdy może”:

nic poetów nie wyróżnia
 muszą jeść i się wypróżniać
 muszą pić i się odlewać
 żeby mogli dalej śpiewać
 (*Nic poetów...*)

Gdzie indziej Machej zastanawia się nad szkolnym przerabianiem wojny i okupacji, gdy wspomaga je monodram według *Zdążyć przed Panem Bogiem*, z wyświetlanym po drugiej stronie ulicy filmem o bardzo ludzkim Hitlerze pt. *Upadek*.

Zachwyciła mnie bezbłędna summa „przed pięćdziesiątką”, choć sam jestem już po sześćdziesiątce:

w kuchni stres
 w łazience stres
 tak to jest

tak to jest
stres w klozecie
stres w sypialni
nie jesteśmy
już normalni.

I wniosek z *Rekolekcji patriotycznych*:

Polsce jest potrzebne
uporanie się z sobą –
swoim największym wrogiem.

Wreszcie wśród ogólnej wyziębłości zapachniał wiosną *Przebiśniew* na pieśniach Jana z Czarnolasu, hodowany od Bożego Narodzenia do Wielkanocy, a nie trawka, którą palą uczniowie w parku.

W epopeicznie podług Mickiewiczowskiej miary skrojonej *Relacji z pierwszej połowy Niedzieli Palmowej* wybija się wniebogłos:

Reklama dźwignią handlu, handel dźwignią piekła.

Zaś zapisowi czasoprzestrzeni między Bożym Narodzeniem i Wielkanocą kreślonemu przez duszyczkę, która nadaremnie wyrwać się pragnie „z mdłej cielesności z ciemnego dołu // z małomiasteczkowego grajdołu”, niech towarzyszy *Cień*: „słowo do słowa: droga krzyżowa // zdanie do zdania: cień zmartwychwstania”, mimo wahań podmiotu lirycznego:

i czy można w takim czasie
– czy z rymem czy bez rymu
świat przedstawić należycie?

Można, a nawet trzeba, by cieplej było na sercu, duszy i umyśle. Tu, gdzie liryczna melancholia tworzy melanż z uzdrawiającą ironią, nic dodać do pełni obrazu, nic ująć. A komu nie w głowie małe miasteczka, niech buduje na łodzi lub zacznie od dymu z komina.

Zbigniew Machej: *Zima w małym mieście na granicy: wiersze od Bożego Narodzenia 2004 do Wielkanocy 2005*. Sejny: Fundacja Pogranicze, 2008. – 157, [1] s., [1] k. tabl. [Seria poetycka „Inicjał”; drzeworyt Wiesław Szumiński]
ISBN 978-86872-95-4 (z drzeworytem)
ISBN: 978-83-86872-97-8



ANDRZEJ GRYGUĆ

Miłoszowe powroty na Suwalszczyznę

Knygoje aprašomi Nobelio premijos laureato – Č. Milošo (Czesław Miłosz) ryšiai su Suvalkija.

Knygoje 14 dalių – paveikslų. Aprašymų pradžia – 1926 metai, kai Aleksandras Milošas (Česlovo tėvas) pradėjo darbą Suvalkų kelių valdyboje. Česlovas tuo metu mokėsi gimnazijoje Vilniuje, vėliau studijavo Vilniaus universitete. Suvalkuose lankydavosi retai, be to Suvalkų nemėgo ir tai viešai reikšdavo. Rašytojas mieliau lankydavosi pas Kunatus Krasnogrūdės dvare. Zigmantas Kunatas buvo geros širdies žmogumi, mokėdavo visų išklausti. Po karo audrų ir emigracijos poetas kartu su savo broliu Suvalkijoje lankėsi 1989 metais. Apsilankymo metu užsuko ir į Punkską, kur buvo labai širdingai sutiktas.

Przed kilku laty ukazała się książka Zbigniewa Fałtynowicza poświęcona relacjom nieżyjącego już wtedy, wybitnego poety, noblisty Czesława Miłosza z ziemią suwalską i sejneńską – ową krainą „wietrznych wyżyn”. Jest to bardzo osobliwa, a zarazem i osobista pozycja, albowiem u autora przez lata „dojrzewał [...] zamiysł opisanie związków Miłosza z Suwalszczyzną. Źródłem podstawowych informacji mógł być sam poeta”.

Fałtynowicz w pełni zrealizował swój zamiar, można powiedzieć, że życie i wydarzenia lat 1988–2004 przekroczyły jego oczekiwania. Dane mu było nie tylko poznać poezję mistrza, ale przede wszystkim przeżyć osobiste spotkania i rozmowy z nim, dotrzeć do jego bliskich i rodziny, w szczególności brata Andrzeja, odwiedzić miejsca związane z życiem Miłosza.

Książka składa się z czternastu części – obrazów mających w większości przypadków istotny wpływ na życie lub twórczość poety. Wszystkie obrazy mają wspólny mianownik – Suwalszczyznę. Książkę rozpoczyna obraz z przedwojennymi Suwałkami, w których to pierwszego grudnia 1926 roku rozpoczął pracę w Powiatowym Zarządzie Dróg Aleksander Miłosz, ojciec noblisty. Przez dziewięć lat Miłoszowie zamieszkiwali w czteropokojowym lokalu na piętrze, w centrum miasta przy ulicy Ogrodowej 16, obecnie księdza K. Hamerszmity 10.

Ojciec był człowiekiem starannie wykształconym, znał biegle obce języki i z racji swojej pracy należał do ludzi znanych i cenionych w mieście; 11 listopada 1934 roku otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. Pomimo to w liście do poety Jarosława Iwaszkiewicza z 20 grudnia 1930 roku Czesław Miłosz pisze: „Kocham ojca i sprawia mi to przykrość, bo widzę, że czuje się źle. Chce wyjechać do Angoli; oby mu się poszczęściło. [...] Z tym wszystkim siedzi na parszywej prowincji”. Wspólnym i najbardziej fascynującym tematem tych młodzieńczych rozmów z ojcem były podróże. Ich echa odnajdziemy w późniejszych utworach, choćby w *Roku myśliwego* czy *Innym abecadle*, gdzie napisze: „A przecież nie ma się napodróżowałem. Częściowo z mojej woli, ale przeważnie wskutek okoliczności, które mnie po świecie nosiły”.

Czesław Miłosz rzadko przebywał w Suwałkach, ponieważ kontynuował naukę w Pierwszym Państwowym Gimnazjum Męskim imienia Króla Zygmunta Augusta w Wilnie, a po jego ukończeniu, od 1929 roku studiował tu prawo na Uniwersytecie Stefana Batorego oraz przez rok akademicki 1931/1932 na Uniwersytecie Warszawskim. W suwalskim domu rodziców właściwie można było go spotkać w święta i dni wolne od nauki. Z tym że w miarę możliwości starał się spędzać czas poza Suwałkami. W kolejnym z listów do Iwaszkiewicza (z 2 stycznia 1931 roku) pisał: „Sylwestra spędziłem drzemiąc. Nie mam wcale znajomych w Suwałkach i nie znoszę tego

miasteczka. Właśnie »indolencja polska« prowincji nuży strasznie i nie czuje się, czy ma się lat dziewiętnaście czy sześćdziesiąt”. Po siedemdziesięciu latach poeta wrócił wspomnieniami do miasta nad Czarną Hańczą i poświęcił mu jeden z ostatnich swoich wierszy, zatytułowany *W garnizonowym mieście*.

Natomiast z ogromnym zadowoleniem wspominał swój wakacyjny pobyt z 1932 roku: „Pewnego więc dnia rzuciłem wszystkie książki won i wyjechałem nad jezioro Wigry do schroniska („kulwieciówka”, niszczejący, stylowy, drewniany obiekt w Starym Folwarku, na lewo od obecnie czynnego, murowanego budynku PTTK – red.) na wypoczynek. Kilka tygodni, w ciągu których nie wyłaziłem prawie z wody, przywróciło mi formę. Obecnie brzuch przyrósł do kręgosłupa i czuję się znakomicie”.

O wiele więcej emocji u młodego Czesława wywoływały wizyty u wujostwa Kunatów w ich krasnogrudzkiemu dworze. Jego dzieje i rodziny autor opisuje w miarę szczegółowo (s. 53–80). Zresztą, charakteryzując swoje dzieciństwo, wspomina: „Dziadkowie, szczególnie ze strony matki, Kunatowie w Szetejniach, byli dla mnie bardzo ważni. Wiele z nimi przebywałem, podczas gdy rodzice byli w Wilnie. [...] dziadek Zygmunt Kunat, [...] był człowiekiem wielkiego serca, tolerancyjnym, nigdy nie miał żadnych zażargów narodowościowych. [...] To wspólna cecha – tolerancja – właśnie mnie z nim łączy. A może to po prostu wpływ mądrego, tolerancyjnego człowieka na życie dziecka...” (urodził się w 1858 roku w Krasnogrudzie). Mamy prawo przypuszczać, że już w Szetejniach zetknął się przyszły poeta ze swoimi kuzynkami Gabrielą i Janiną Kunatównami, przyszłymi właścicielkami Krasnogrudy.

Zgodnie z ustaleniami Zbigniewa Fałtynowicza, po raz pierwszy poeta odwiedził Krasnogrudę latem 1927 roku jako szesnastoletni młodzieniec. Wówczas to państwo Miłoszowie z synami wypoczywali nad jeziorem Gaładuś we wsi Żegary, u gospodarzy Elżbiety i Piotra Dapkiewiczów. Latem 1930 roku we dworze Krasnogruda już student Czesław Miłosz przygotowywał się do poprawki z prawa rzymskiego u profesora Franciszka Bossowskiego. Ponadto „tak dużo pływałem w jeziorze Hołny, że dostałem bardzo silnej anginy i jakichś szmerów w sercu. [...] No, a pływałem z powodu nieszczęśliwej miłości”. Nic więc dziwnego, że po latach poeta wypowiedział słynne zdanie: „Krasnogruda jest dla mnie miejscem bardzo wielu sprzecznych przeżyć”.

Sprzecznych, bo u kresu swego życia określi siebie z tamtych lat jako „eleganta i snoba” (*W garnizonowym mieście*) oraz „Aroganta, z obrzydłej nieśmiałości, / który tylko milczy, uśmiecha się głupio, / bo nie dla nich (goście i dwór w Krasnogrudzie – A.G.) rozmowa o Schopenhauerze. / On chyba nienormalny? Trafne podejrzenie” (*Przewaga*). Z jednej strony Krasno-

gruda dla młodzieńca i poety była miejscem, gdzie „walkoniłem się, czytałem Puszkina, napisałem jeden wiersz i było mi strasznie dobrze (1934 rok)”. Ale po powrocie z Paryża jesienią 1935 roku napisze: „jestem w Krasnohrodzie; rydzów dużo, są i borowiki, dobrze tu i cicho”, a dwa tygodnie później: „Wiatr w Krasnohrodzie. [...] Wiatr teraz tutaj. Suwalszczyzna to ponury zakątek kraju”. Była to zarazem ostatnia przed wybuchem wojny wizyta w Krasnohrodzie.

Fascynacja Miłosza przyrodą, pierwsza – zatem wielka, spełniona fizycznie, tragiczna w wymiarze trwałości uczuć – miłość, niechęć do „provincji”, ale też demoniczny strach i zagubienie.... przed przeznaczeniem, musiały mieć wpływ na jego literacką twórczość. Zaś motyw „Czym jestem, czym ja jestem i czym oni są” – zdaniem Artura Międzyrzeckiego – towarzyszył życiu poety przez całe dziesięciolecie. By o nim po latach mógł wyznać: „I cóż mi z tego, że nie cały zginę? / Że pozostawię dzieło, jeżeli rachunek / Niepewny. Nie wiem, Może było warto. Ale naprawdę nie tego ja chciałem” (*Przewaga*).

Ziemia suwalska i Suwałki stały się dramatycznym epizodem podczas lata 1940 roku. Wówczas to Czesław Miłosz w towarzystwie Zofii Rogowicz, żony literata Waclawa, uciekał z Wilna do Warszawy. W Suwałkach poeta na krótko musiał się zatrzymać i w jego pamięci pozostał obraz pustych, wyludnionych ulic oraz przerażonych postawą hitlerowskich okupantów ludzi.

Ponownie Suwalszczyzna gościła go jesienią 1989 roku. Przyjazd tutaj i pobyt zaplanował Miłosz świadomie. Tego roku przyjechał 22 września w towarzystwie brata Andrzeja z żoną do Suwałk, gdzie odwiedził swój dom z lat międzywojennych, spacerował po mieście i przypadkowo spotkał się z młodzieżą suwalską, zwiedzając wystawę rzeźby profesora Stanisława Słoniny z Warszawy. Następnego dnia przybył do Krasnohrody, która wywołała ogromne i bardzo osobiste przeżycia. Jej pokłosiem był późniejszy wiersz *Powrót* i... powrót pamięcią do wspomnianego, ale jakże ciepło i ze wzruszeniem opisanego uczucia. Tego samego dnia poeta wpadł także do Puńska i został tu bardzo serdecznie przyjęty. Swoją pierwszą po wielu latach wizytę na Suwalszczyźnie uznał za „niesłychanie ważną”.

Po raz drugi Czesław Miłosz, z synem Antonim i bratem Andrzejem, odwiedził Krasnohrodę (6 czerwca 1992 roku) w drodze powrotnej z Litwy. Towarzyszyli mu państwo Małgorzata i Krzysztof Czyżewscy. Następnego dnia w siedzibie Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach odbyło się jedyne wówczas spotkanie autorskie. Również w następnym roku Miłosz znalazł chwilę czasu (15–17 VI), aby zatrzymać się w klasztorze pokamedulskim w Wigrach (w tym 15 czerwca gościł w sejneńskim ośrodku).

Uczestniczył w Środkowoeuropejskim Forum Kultury (26–28 VI 1994), bardzo ważnym wydarzeniu zorganizowanym przez sejneńskie „Pogranicze”. Wziął udział w plenarnej dyskusji, wystąpił na spotkaniu autorskim oraz znalazł czas dla dziennikarzy. W wywiadzie dla czasopisma „Borussia” powiedział, że „człowiek na dobre skonstruowany jest z miejsc i wydarzeń swego dzieciństwa i młodości. I niesie to doświadczenie w świat. Może je rozszerzać i uzupełniać o nowe, ale podstawa, źródło, jest wciąż ta sama”. Dlatego tak ważne w jego życiu były powroty nad jezioro Wigry i do Krasnohrody na Suwalszczyźnie oraz do Szetejń w Litwie. Ponadto 26 czerwca 1997 roku wygłosił referat na spotkaniu twórców kultury Litwy i Polski w Wigrach. Podpisał się pod przyjętą tam deklaracją, która podkreślała wspólnotę ideową i kulturową państw nadbałtyckich z resztą Europy.

Powroty do miejsc z dzieciństwa i młodości stale towarzyszyły Miłoszowej poezji, co więcej, jak celnie zauważył autor książki, przestawał wierzyć w to, że będzie dane mu fizycznie do nich wrócić. Otrzymane fotografie z lat osiemdziesiątych, przedstawiające pozostałości po krasnohrodzkim dworze i okolicy z jeziorem Hołny, stały się inspiracją do cyklu *Sześć wykładów wierszem*, w tym pierwszego, bardzo osobistego, z wyraźnymi cechami autobiografii.

W obrazie zatytułowanym *Nie i obecność* autor książki przedstawił reakcje lokalnej i regionalnej prasy na wiadomość o otrzymaniu przez Miłosza literackiej Nagrody Nobla. Dalej opisał przyjazd poety do Łomży w połowie czerwca 1981 roku, jak również scharakteryzował relacje prasowe z tej pierwszej po trzydziestu latach wizyty w kraju. Ponadto Fałtynowicz ukazał genezę kontaktów twórców Ośrodka „Pogranicze” z noblistą, podkreślając jego wkład w rozwój tej sejneńskiej instytucji.

Następny obraz: *Do poety* zawiera krótkie rozważania o ludziach związanych z Suwalszczyzną, jej przyrodą i... Czesławem Miłoszem, mówi i prezentuje ich wiersze. Przedostatni obraz stanowi fragment rozmowy poety z Renatą Gorczyńską na kanwie poezji innej wielkiej suwalskiej postaci – Marii Konopnickiej, uzupełniony starannie dobranymi innymi tekstami Miłosza, dotyczącymi twórczości autorki *Roty*.

Godzina myśli zamyka książkę Fałtynowicza. Nawiązuje do zorganizowanego w styczniu 2002 roku przez „Pogranicze” w Sejnach spotkania zatytułowanego „10+1. W obliczu jutra”. Głos zabrał także nasz bohater. Zwrócił uwagę na potrzebę zachowania tożsamości kulturalnej, szczególnie widocznej w lokalnych tradycjach i zwyczajach. Kierunek działalności sejneńskiego „Pogranicza” określił jako symboliczny i proroczy.

Książka zawiera obszerną notę bibliograficzną, arcyciekawą notę od autora, spis ilustracji z podaniem źródła ich pochodzenia i indeksy:

osobowy oraz geograficzno-etniczny. Na końcu autor zamieścił pięć fotografii związanych z suwalskimi miejscami najbliższymi poecie. Wszystkie mają poetycki opis z jego twórczości. Autorowi należą się słowa szczególnego uznania za warsztat naukowy oraz bardzo komunikatywny i piękny język.

Książka należy do kategorii tych, których polecać nie potrzeba. Ją należy po prostu przeczytać. Potem wyciągnąć rękę po poezję poety i... wspólnie z nią odwiedzić suwalskie, wigierskie, a nade wszystko krasnogrudzkie miejsca Miłoszowe.

JAN JASTRZĘBSKI

Liście z Krasnogrudy

Jan Jastrzębski pasakoja apie savo pirmą susitikimą su Česlavu Milošu (Czesław Miłosz) Krasnogrūdoje, vėliau 1981 metais Varšuvoje, studentų klube „Stodoła“, kur skaitė pats poetas savo neeilinį kūrinį „Valsas“. Kai Jastrzębskis gyvenęs Goldapėje dėka Zbyszeko Fałtynowiczo, Wojciecho Kasso ir Kazimierzo Brakonieckio dar artimiausios susipažino su Nobelio premijos laureato kūryba. Jastrzębskis pristato taip pat Zbigniewo Fałtynowiczo knygą apie Milošą „Vakaro vėjas“, kurioje yra aprašoma Milošo, jo šeimos istorija ir gyvenimas Krasnogrūdoje, o taip pat Suvalkuose.

Tytuł książki Zbigniewa Fałtynowicza *Wieczorem wiatr*, tożsamy z tytułem Miłoszowego wiersza z *Trzech zim*, jest jak chłodny powiew tajemnicy, ale na równi z nim stawiam dopełniający go rzeczowo podtytuł *Czesław Miłosz i Suwalszczyzna*, dotyka on bowiem mojej sprawy z noblistą. Bo w istocie spotkałem się z Miłoszem dopiero na Suwalszczyźnie. Pozwolił mi zbliżyć się do siebie dopiero w krasnogrudzkim parku...

Była to jakby kara za to, że błdziłem innymi literacko stronami, kłaniałem się innym literackim bogom. Na górę Miłosz patrzyłem jednak zawsze z powinnym respektem, graniczącym niekiedy z lękiem.

Pamiętam, jakie poruszenie wśród moich kolegów „z Kica”^{*} wywołało antykwaryczne znalezisko jednego z nich – legendarne *Ocalenie* Miłosza. Gdy był w dobrym humorze, tę perłę swojej kolekcji prezentował, wybrańcy mogli jej dotknąć. Prawdopodobnie działo się to w połowie gierkowskiej dekady, czyli wtedy, kiedy nad „książką wierszy w beżowej miękkiej okładce, opatrzonej (...) tytułem *Ocalenie* (...)”, pochylał się Zbigniew Fałtynowicz, student wrocławskiej polonistyki, i opuszczał czytelną Ossolineum „ogarnięty płomieniem”.

Potem wstrząsnął bryłą świata i przeorał Polskę 16 października 1978 roku; przyszedł pamiętny Sierpień, a w chwilę po nim – nasz literacki Nobel, tyle że Laureat żył na wygnaniu. Na gazetowych fotografiach wyglądał nobliwie, zaś strofy przedrukowywanych wierszy urzekały dostojnością słowa, wnosiły odrębny ton. Ten, który miał być zapomniany, tryumfował, a wkrótce przyjechał do kraju. Atmosferę tamtych dni oddaje w *Wieczorem wiatr* rozdział *Nie i obecność*, wskrzesza ją również Wojciech Kass w książce *Aj, moi dawno umarli!* Pozostał mi z tego czasu biało-niebieski kartonik zaproszenia na spotkanie z Miłoszem, które odbyło się 6 czerwca 1981 roku w słynnym klubie studenckim „Stodoła”. Wciąż jeszcze słyszę burzę powitalnych oklasków i muzykę *Walca*, mistrzowsko wydobytą przez autora. Z okazji tego spotkania wydano też prospekt zawierający dwa zdjęcia noblisty, cytat z Księgi Eklezjasty w jego tłumaczeniu, wiersze: *W mojej ojczyźnie* i *Moja wierna mowa*, oraz tekst odczytu noblowskiego. Jako początkujący nauczyciel czytałem grupce uczniów fragmenty mówiące o Katyniu, powstaniu warszawskim, dwóch dyktatorach – ludobójcach i „spadku” po nich.

Kolejny miłoszowski epizod wiąże się z rokiem następnym. Oto w witrynie księgarni na Pradze-Północ niespodzianie ujrzałem białą-brązową okładkę *Poezji* Miłosza. Było po dziewiętnastej, mieszkałem poza Warszawą – beznadziejna sprawa. Zdesperowany pojechałem na Zacisze i poprosiłem koleżankę o pomoc. Nie zawiodła i w ten sposób zostałem właścicielem „czytelnikowskiego” wyboru wierszy z lat 1936–1974 (wyd. 2), który świecił na mojej półce w ten ciemny czas. I nieraz odczytywałem sobie słowa z *Zaklęcia*: „Piękny jest ludzki rozum i niezwyknięty./ Ani krata, ni drut, ni oddanie książek na przemiał, / Ani wyrok banicji nie mogą nic przeciw niemu”.

Gdy w osiemdziesiątym piątym opuściłem podstołeczne strony przenosząc się na Warmię, dla moich przyjaciół i znajomych miało to posmak banicji właśnie. W tym romantycznym, bez mała pionierskim okresie

życia Miłosz był dla mnie poetą ważnym, ale nikim więcej. Staralem się przecież zapoznawać z jego nowymi utworami: wczytywałem się w *Kroniki*, podziwiałem *Nieobjętą ziemię* i coraz bliższe stawały mi się *Dalsze okolice*.

Minęło siedem lat, zamieszkałem w Gołdapi, a moja historia z Miłoszem nabrała nieoczekiwanej intensywności. Wielka w tym zasługa Zbyszka Fałtynowicza, jakkolwiek nie zapominam o Wojtku Kassie i Kaziku Brakonieckim. To Fałtynowicz obdarował mnie publikacją przygotowaną dla uczczenia osiemdziesiątych urodzin Poety oraz wyborem wierszy *Czas wyniesiony*, w ciekawym opracowaniu graficznym Wiesława Osewskiego. Lektura owych tekstów pozwoliła mi ujrzeć, by tak rzec, Miłosza powiatowego, domowego i uczyniła go w moich oczach przystępniejszym, bardziej ludzkim.

Wydany w dziewięćdziesiątym czwartym zbiór *Na brzegu rzeki* – z takimi wierszami, jak: *Łąka*, *Po odcierpieniu*, *W Szetejniach* – był już moim zbiorem, a osobliwym zrzędzeniem losu stanowił wstęp do przygody, którą miałem przeżyć w ostatnią sobotę sierpnia następnego roku. Stała się nią przedsięwzięta przez Zbyszka wyprawa do Krasnogrudy.

Wbrew prognozie było słonecznie i ciepło, nasze maluchy ochoczo mknęły w stronę Sejnu. Pierwszym powoził Zbyszek w towarzystwie córek Kasi i Małgosi, drugim podróżowała nasza trójka, czyli moja żona Ania, Alek i ja. Zabawiliśmy krótko na Wigrach, zaś w czasie postoju w Sejnach, na plenerowej scenie koło synagogi, trzyletnia Małgosia (dziś gimnazjalistka pisząca niebanalne wiersze) i czteroletni Alek (teraz zapalony gitarzysta, fan Guns N Ross) zabłyszneli jako artyści estradowi, choć obecnie niechętnie do tego się przyznają. Później była zatłoczona droga na Ogrodniki, uwalniająca nas od niej żwirówka i tafla niedalekiego jeziora (jeszcze nie wiedziałem, że to Hołny). Wreszcie wjechaliśmy w las, by po paru minutach znaleźć się na miejscu. Kontemplowaliśmy niszczący dworek stojący na fundamentach tego, w którym bywał młody Miłosz, werandy, ganek... Chodziliśmy po zapuszczonym parku, słuchając opowieści Zbyszka o dawnych pobytach Poety, jego uczuciowych perypetiach i powrocie na Suwalszczyznę po ponad pięćdziesięciu latach... A potem zeszliśmy kasztanową aleją ku jezioru i stanąłem tam, gdzie „23 września 1989 roku (...) stanął Poeta”. Stałem i patrzyłem na jezioro, otaczali mnie bliscy, Kasia zbierała muszelki. – Tu pływał – rzekł uśmiechnięty Zbyszek.

Odchodząc stamtąd, wziąłem na pamiątkę trójlistną gałązkę kasztanowca...

Rozległy park zapraszał, kusił, lecz program wycieczki dyktował swoje prawa. Za Żegarami, samotnie, na wzgórzu, czekała na nas szkoła. Na jej tyłach żywopłotowy labirynt i ochronny rząd jesionów. A za sąsiednim wzgórzem – jezioro Gaładuś. Urządziliśmy nad nim piknik. Ania

przygotowywała posiłek, Zbyszek wędkował, dzieci brodziły w wodzie, ja zaś, idąc za przykładem Kasi, powiększałem swój zbiór kamyków. „Dotychczas moje czółno chrobocze o żwir/ I stuka trzcina wyspy na jeziorze Gaładuś (...)”, pisał Miłosz w 1958 roku w Montgeron. Tak. Wyspy trzciny. Trzy żaglówki jak niepożądane zjawy. Pełen kurtuazji łabędź. I oczywiście – wiatr. Już podczas pierwszego tutaj pobytu Fałtynowiczowie nazwali to miejsce Wiatrogrudą, o czym jest mowa na pierwszych stronach Zbyszkowej książki. Wiało więc, w dodatku zaczynało się chmurzyć – ulewa złapała nas na rogatkach Suwałk.

I choć w kilka lat później znów odwiedziłem Krasnogrudę tudzież dwukrotnie pielgrzymowałem do Szetejń, mój Miłosz pozostał tym Miłoszem, który objawił mi się tamtego sierpniowego dnia. W jego kruchym, melancholijnym świetle.

I książkę *Wieczorem wiatr* czytam teraz tak, jakbym wolno schodził kasztanową aleją ku jezioru, a zarazem zagłębiał się w swoistą aleję czasu stworzoną na użytek wystawy: Czesław Miłosz i Suwalszczyzna, która wraz z albumem *Dla Miłosza: Suwałki – Krasnogruda*, stała się zwiastunem książki Zbyszka. U wylotu tej alei Stary Poeta stojący na pomoście patrzy na siebie – młodzika kąpiącego się w jeziorze Hołny: zdumiony, może porażony, „niepojętą identycznością, niepojętym oddzieleniem”. A na jej początku Stary Odchodzący Poeta odwrócony do nich obu plecami, znieruchomiały na krześle z brodą opartą na rączce laski. Widzę w tym pomyśle celną metaforę „niepojętej identyczności” godzącej się z „niepojętym oddzieleniem”, która, jak sądzę, organizuje też książkę Zbigniewa Fałtynowicza. Książkę posiadającą kilka warstw, kładzionych przez Fałtynowicza liryka, historyka literatury, skrupulatnego badacza, a zawsze miłośnika swej małej ojczyzny. Czyste, liryczne brzmienie ma początkowy rozdział: *Czas wyniesiony*, znajdujący codę w rozdziale *Do poety*; podtrzymujące wiersze samego Miłosza, przypominające czasem lament, jak również wiersze innych poetów (przeważnie z północno-wschodniej Polski); w elegijnym tonie została utrzymana nawet odautorska nota. Fałtynowicz użył zresztą głosu nie tylko poetom – pomieszcza choćby szkic Jerzego Szumskiego i esej Waldemara Smaszczka. W tę polifonię wpisują się fotografie ludzi, krajobrazów, ulic, planów miasta, dokumentów etc. Zdają się snuć odrębne narracje, współtworząc koloryt przeszłości i niejako ją ożywiają. Przy czym suwalski fragment historii Miłoszów w naturalny sposób splata się z historią miasta nad Czarną Hańczą, bo w tym właśnie kontekście zaciekawiają dzieje ulicy ks. Kazimierza Hamerszmita, a ojciec Poety, Aleksander, staje w rzędzie zasłużonych dla miasta i powiatu. Krzyżują się losy Miłoszów i Kunatów, pojawia się interesujący konterfekt młodszego brata noblisty i portret Oskara Miłosza – jednego z tych ludzi,

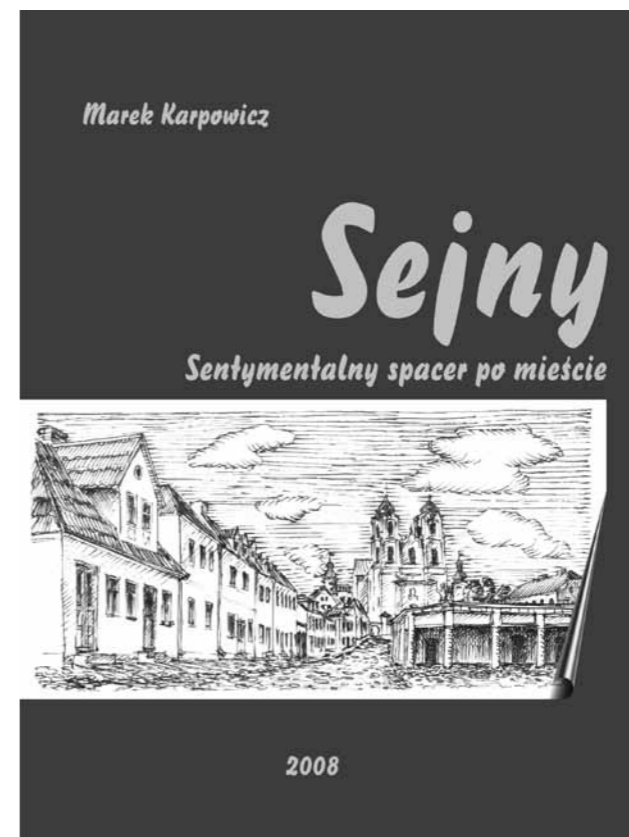
którzy zaważyli na rozwoju duchowym autora *Ocalenia*. Pobudza moją wyobraźnię rozdział *W nocnym pociągu*, zwłaszcza rozkład połączeń kolejowych między Suwałkami a Wilnem i obraz młodego człowieka „w nocnym pociągu, zupełnie pustym, hałasującym przez pola, przez lasy (...)”

Wszakże kluczowymi dla mnie fragmentami książki są rozdziały poświęcone Krasnogrudzie, dobitnie bowiem zaświadczają o ważności „mglistych spraw plemiennych”. Historia tego majątku, dworu i jego mieszkańców ma urok starej, romantycznej opowieści. Jest w niej wszystko, co trzeba: dwór nad jeziorem, tajemnicze właścicielki, rozbawione towarzystwo z wielkiego świata i „nieszczęsny młodzik” snujący się po parku, po lesie, nad wodą... Jednocześnie te krasnogrudzkie sekwencje wybrzmiewają jak podzwonne dla owego świata, który, nie wiedząc o tym, przemijał, zaś jego koniec nastąpił w 1940 roku – rozdział z tą cyfrą w tytule jest jak czarny wykrzyknik. A pobyt Władysława Lipskiego w Sachsenhausen i śmierć jego syna Zygmunta w tymże obozie to jakby rodzaj daniny, którą także kraina leżąca „za siódmym śniegiem” musiała złożyć potworowi zwanemu historią.

Czytając *Wieczorem wiatr* co pewien czas odrywałem wzrok od kartek i spoglądałem na przywiezione z Krasnogrudy liście: wyschłe na barwiony złotem brąz, niebezpiecznie poskręcane, cokolwiek dziurkowane, o postrzępionych brzegach. Któż jednak może wiedzieć, czy nie przemycą się w nich dawny blask.

* Kic – popularna nazwa akademików UW przy ul. Ludwika Kickiego w Warszawie.

Zbigniew Fałtynowicz: *Wieczorem wiatr. Czesław Miłosz i Suwalszczyzna*. Suwałki–Gdańsk: słowo/obraz terytoria, 2006. – 196 [4+12] s., fot., portr., mapy; ISBN 83-7453-671-3 [Biblioteka „Mnemosyne” pod red. Piotra Kłoczowskiego]



MONIKA KARPOWICZ

Sejny. Sentymentalny spacer po mieście

Marek Karpowicz gimė 1946 metais Seinuose. Baigė Elko mokytojų seminariją su plastikos mokytojo diplomu. Trumpai mokytojavo, nuo 1973 metų dirbo plastikos instruktoriumi Seinų apskrities kultūros namuose. 1989 metais įsteigė vaikų leidyklėlę, kuri su vaikų grafika išleido keliolika unikalių knygelių. Pats pastoviai piešė Seinų miesto vaizdus, iš kurių 2003 metais išėjo knygelė „Pasivaikščiojimas po sentimentaliuosius Seinus”.

Marek Karpowicz urodził się w 1946 roku w Sejnach. W roku 1967 ukończył Studium Nauczycielskie w Ełku ze specjalnością wychowania plastycznego. Po krótkiej przygodzie ze szkolnictwem na Sejneńszczyźnie, w 1973

roku rozpoczął pracę jako instruktor plastyki w Powiatowym Domu Kultury w Sejnach. Kontynuował ją przez ponad trzydzieści lat, a po przejściu na emeryturę także jako wolontariusz. W 1989 roku, na bazie pracowni plastycznej założył Dziecięcą Oficynę Wydawniczą, która przygotowała kilkanaście bibliofilskich wydań książek. Wydawnictwa, zilustrowane przez dzieci grafikami w technice linorytu, są dziś ozdobą bibliotek w kraju i za granicą (m.in. w Watykanie, Londynie, Waszyngtonie, Krakowie i Warszawie).

Jednym z tematów, stale poruszanych w plastycznej twórczości Marka Karpowicza, był architektoniczny wizerunek Sejn sprzed lat, zapamiętany z dzieciństwa obraz miasteczka w latach sześćdziesiątych XX wieku. Pojedyncze prace zaczęły łączyć się w cykl, co zaowocowało wydaniem w 2003 roku broszury *Spacerkiem po sentymentalnych Sejnach*. Jej drugie, uzupełnione wydanie pod tytułem *Sejny. Sentymentalny spacer po mieście* ukazało się w 2008 roku. Obie edycje zrealizowała Agencja Wydawniczo-Handlowa „Format”.

Publikacja ta to zbiór ponad trzydziestu rysunków ołówkiem, wzbogacony współczesnymi fotografiami sejneńskich ulic. Autor zastrzega się we wstępie, że grafiki nie mają charakteru dokumentu inwentaryzacyjnego. „Opierałem się – pisze – wyłącznie na własnej pamięci i podpowiedzi znajomych”. Taki obraz Sejn znajdzie czytelnik w broszurze: widokom małomiasteczkowych uliczek, zapamiętanych przez dziecko i nastolatka, towarzyszą krótkie, literackie wspomnienia o osobach, które niegdyś te uliczki zamieszkiwały. Marek Karpowicz zaprasza do nieśpiesznego spaceru, zaznajamiając czytelnika z bliskimi sercu sąsiadami: „Dalej pani Strukinowa, co to z panią Ludką stała w sklepie z tkaninami, w ciepłe dni siadywała z panią Komarowską i jej koleżanką spod cmentarza panią Kasztelanową



na ławeczce pod domem, oddając się ploteczkom”. Opisy zapraszają do emocjonującej gry w karty z historią Sejn. Zaludnione są postaciami, które znało się osobiście lub spotykało na niewielkiej przestrzeni sejneńskiego mikroświata.

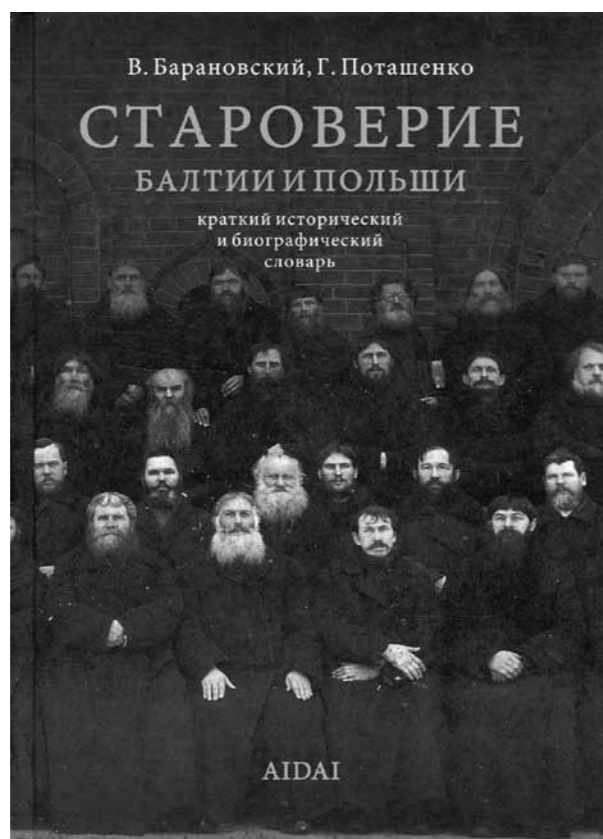
Osobom młodym lub niezwiązanym emocjonalnie z Sejnami grafiki i towarzyszące im fotografie na zasadzie porównania dostarczają dowodów na istnienie przed ponad czterdziestu laty zupełnie odmiennego architektonicznie oblicza Sejn niż to dzisiejsze. To oblicze kresowego miasteczka, z dominującymi w krajobrazie bryłami trzech świątyń i zaułkami tworzonymi przez drewniane domostwa.

W XIX wieku Sejny miały nikły odsetek murowanych budowli, a w połowie XX wieku stan ten wciąż trwał. Wiejskie budownictwo drewniane sąsiadowało z konstrukcjami nawiązującymi do dworków, a nawet z architekturą aspirującą do klasycyzmu. Przykładem jest drewniany budynek z murowanym frontonem o klasycystycznych elementach, zachowany do dziś przy ulicy Piłsudskiego.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych minionego wieku centrum miasta tworzyły w większości drewniane domy na wysokich fundamentach, zdobione przez cieśli szalunkiem i filonowymi drzwiami, opatrzone werandami, na których toczyło się towarzyskie życie. Ten kresowy obraz Sejn, poza kilkoma wyjątkami, należy już do przeszłości. Warte zainteresowania są próby wskrzeszenia tego obrazu, choćby nawet z zawodnej, ludzkiej pamięci.

Marek Karpowicz: *Sejny. Sentymentalny spacer po mieście*. Agencja Wydawniczo-Handlowa „Format”. Sejny 2008





ZOJA JAROSZEWICZ-PERESŁAWCEW

Staroobrzędowcy krajów bałtyckich i Polski

Istorinio ir biografinio žodyno apie sentikius sudarymo ir išleidimo sumanytojais buvo Vasilijus Baranovskis ir Grigrijus Potašenko. Autoriai 1996-2003 metais dalyvavo daugelyje mokslinių ekspedycji į sentikių gyvenvietes, tyrinėjo lietuviškus ir rusiškus archyvus. Žodyne yra apie 500 abėcėlės tvarka sudėtų šūkių (žodžių) susijusių su Lietuvos, Latvijos, Estijos ir Lenkijos sentikių istorija, personalijomis.

Idea stworzenia *Słownika* powstała w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku z inicjatywy Wasyla Baranowskiego, pisarza¹ i znawcy historii starowierców, oraz Grzegorza Potaszenki, historyka, dyrektora Center for Stateless Cultures na Uniwersytecie Wileńskim¹. W 1996 roku przy tej uczelni powstała grupa do spraw interdyscyplinarnych badań starowierców Litwy². Jej członkami byli i są obecnie dwaj główni autorzy omawianej publikacji. Obie inicjatywy pobudziły naukowców do poszerzenia zakresu i zasięgu badań nad tym religijno-społecznym ruchem. Zaczęły ukazywać się publikacje omawiające poszczególne gminy i religijne centra staroobrzędowe na Litwie i Łotwie, a także na temat języka, kultury muzycznej, folkloru, starych ksiąg. W latach 1996–2003 autorzy uczestniczyli w ekspedycjach naukowych do miejscowości zamieszkałych przez wyznawców „starej wiary prawosławnej”, intensywnie badali litewskie i rosyjskie zasoby archiwalne, analizowali najnowszą historiografię i periodyki. Należy podkreślić, że od lat dziewięćdziesiątych XX wieku wzrosło bardzo zainteresowanie tą grupą religijną i chęć jej wszechstronnego zbadania przez naukowców, nie tylko w Rosji i w państwach, do których migrowali na przestrzeni wieków.

Słownik liczy ponad pięćset haseł różnej objętości, od obszernych do krótkich, ułożonych w porządku alfabetycznym. Dotyczą one głównie historii Cerkwi staroobrzędowej i poszczególnych gmin oraz wybranych osób działających na terytorium Litwy, Łotwy, Estonii oraz Polski. Biogramy o działaczach starowierskich: nastawnikach (przywódcach duchowych), psalmistach, ikonopiscach, przedstawicielach gmin i społecznikach, zajmują znaczną część tego historyczno-bibliograficznego słownika.

Celem, jaki sobie postawili autorzy, było zapoznanie czytelnika z wieloma złożonymi zjawiskami w historii tego ruchu, z terminologią i najbardziej rozpowszechnionymi pojęciami, odnoszącymi się do nabożeństw, śpiewu religijnego i obyczajów, w mniejszym stopniu folkloru i kultury książki. Uważam, że udało się go zrealizować.

Przyjrzyjmy się budowie tego specjalistycznego przewodnika encyklopedycznego. Rozpoczyna go wstęp *Od autorów*, w którym przedstawiono historię jego powstania, cel i metodykę opracowania. Następnie zamieszczono informację, jak należy posługiwać się słownikiem; pełny spis autorów i krótkie o nich notki; słowa podziękowania pod adresem instytucji, organizacji, w tym staroobrzędowych, i poszczególnych osób, które wspomogły materialnie i merytorycznie przygotowanie dzieła; wykaz skrótów przyjętych w edycji; literaturę i wykorzystane źródła. Po nich następuje zrzęb główny. Zanim przejdę do krótkiej analizy haseł, odniosę się do niektórych artykułów wstępnych. W pracy tej, poza dwoma głównymi autorami, wzięło udział dwadzieścioro czworo badaczy: historyków, literaturoznawców, historyków

książki, kultury, folklorystów i muzykologów. Są nauczycielami, doktorantami i pracownikami naukowymi szkół wyższych i instytutów badawczych Łotwy, Estonii, Litwy, Polski, Rosji i Finlandii, a ich nazwiska widnieją pod hasłami, które opracowali. Pozostawiono im dowolność w prezentacji wiedzy, stąd różnorodność stylów i spojrzenia. Nie starano się unifikować »punktów widzenia«, »ostrych kątów«, by pokazać różne kierunki badań historii i kultury starowierców.

Nas zainteresują hasła odnoszące się do ruchu staroobrzędowego w Polsce, chociaż jeśli weźmiemy pod uwagę historyczne granice Rzeczypospolitej, to również lektura takich, jak: »Starowierstwo na Łotwie« »Starowierstwo na Litwie«, a nawet »Starowierstwo w Estonii«, jest konieczna. Hasło »Starowierstwo w Polsce« zajmuje dziesięć stron zadrukowanych dwuszpaltowo (jak wszystkie pozostałe teksty). Opracował je Grigorius Potaszenko, dzieląc na trzy okresy: 1) fiedosiejewski, ostatnia ćwierć XVIII wieku–początek XIX; 2) fiedosiejewsko-pomorski, mieszany lub przejściowy (1820–1920), w którym umieścił również Mazury (w Prusach); 3) (a nie czwarty, błąd w numeracji) pomorski – od 1920 roku do dzisiaj. W tym ostatnim wyróżnił podokresy: Druga Rzeczpospolita, okupacja faszystowska (1939–1945), Mazury w Niemczech (1918–1945), Polska Republika Ludowa (1945–1989) i Rzeczpospolita Polska (po 1989). W tym obszernym, monograficznym tekście, kursywą wyróżniono wyrazy stanowiące odrębne hasła. Są to, poza ogólnymi terminami charakteryzującymi tę społeczność religijną, hasła osobowe, na przykład: »Paweł Pruski«, który sprawował przez piętnaście lat (1852–1867) funkcję przełożonego, ihumena klasztoru fiedosiejewców pod wezwaniem Zbawiciela i Świętej Trójcy w Wojnowie na Mazurach; »Dikopolskaja« – Olga Helena Dikopolska, zakonne imię Jewpraksija (1862–1943), przełożona klasztoru wojnowskiego do 1937 roku; ale już zabrakło hasła: Kondratjewa Antonina, następczyni wyżej wymienionej. Mamy także hasło »Klasztor wojnowski«, »Słowianskaja Tipografija«, drukarnia powstała w Piszcu z inicjatywy przeora Pawła. Tylko jedna parafia staroobrzędowa (w Pogorzelcu) doczekała się odrębnego hasła oraz parafie, które po wojnie znalazły się na terytorium Litwy. W przyszłości należałoby uzupełnić zasób haseł odnoszących się do polskich starowierców.

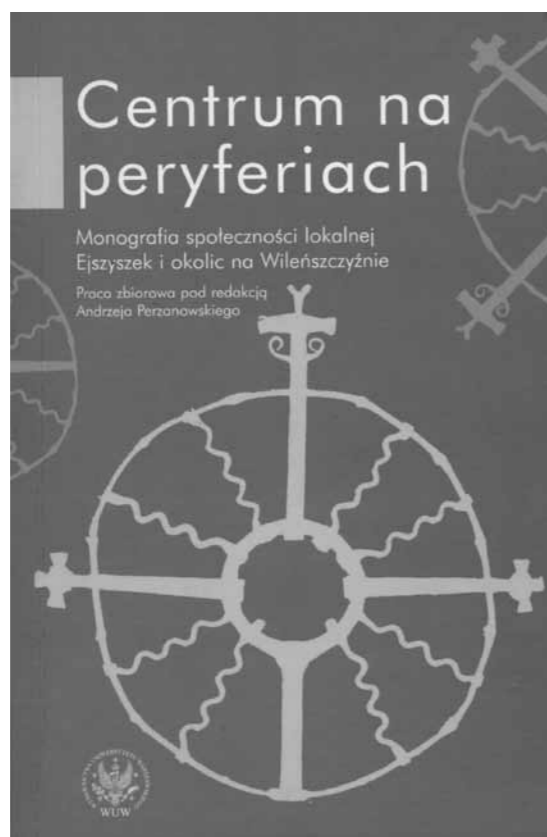
Omówiony wyżej historyczno-bibliograficzny słownik o staroobrzędowcach krajów bałtyckich, w tym nadbałtyckiej Polski, pozytywnie wpisuje się w poczet ukazujących się w ostatnich latach wydawnictw encyklopedycznych z tego zakresu i znacząco uzupełnia wiedzę o wyznawcach tego odłamu prawosławia. Jego autorzy zapowiadają kontynuację prac, która w przyszłości umożliwiłaby wydanie fundamentalnej encyklopedii, dającej pełny obraz tego złożonego ruchu religijno-społeczno-kulturowego.

Василий Барановский, Григорий Поташенко: *Староверие Балтии и Польши. Краткий исторический и биографический словарь*. [Vilnius] 200; – 459 [1] s.

Przypisy

- 1 Wasilij Sawwicz Baranowski – członek Związku Pisarzy Litwy, mieszka w Zarasai (pol. Jeziorosy) na Litwie; por. В. Барановский, Г. Поташенко: *Староверие Балтии и Польши...* s. 10.
- 2 Grigorijus Potašenko w czasie opracowywania słownika był doktorem i lektorem na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Wileńskiego, obecnie jest docentem. W 2006 roku ukazała się jego znakomita monografia pt. *Староверие в Литве. Вторая половина XVII–начало XIX вв. Исследования, документы и материалы*. Vilnius 2006.
- 3 Por. С.Г. Вургафт, И.А. Ушаков: *Старообрядчество. Лица, предметы, события и символы. Опыт энциклопедического словаря*. Москва 1996, w którym są zawarte również informacje o wydarzeniach i działaczach staroobrzędowych z krajów nadbałtyckich i Polski. Zob. także: *Старообрядческие иерархи сщст. А.Ю. Писаревский*. Москва 2002 oraz hasła w: *Христианство. Энциклопедический словарь в 2-х томах под ред. С.С. Аверинцева*. Москва 1993–1995 t. 1–3.





ANDRZEJ GRYGUĆ

Współczesność i tradycje społeczności lokalnej Ejszyszek w Litwie widziane oczyma jej mieszkańców

Naujoviškumas ir vietinės visuomenės tradicijos Eišiškių gyventojų akyse. Monografija Centras periferijoje, tai rinkinys susidedantis iš dešimties straipsnių, aprašančių vietinių gyventojų gyvenimą - lenkų kaimuose prie Eišiškių.

Joanna Mroczkowska savo straipsnyje pristato tris apsakymus apie nelaimingus gyventojų likimus, kurių pagrindiniu užsiemimu yra paskalų nešiojimas ir domėjimasis kito gyvenimu. Jakubo Ozimko straipsnis pasakoja apie kaimo Podborze gyventojus, kurie pagrindinai verčiasi ūkininkavimu. O taip pat bando suprasti kokią reikšmę jų gyvenime turi tikėjimas. Ten senesni žmonės yra laikomi truputį nenormaliais,

o kartais yra vadinami mitiniais dievais ir t.t. Lukasz Cegliński pasakoja apie gyventojus, kurie gyveno Lietuvoje su Baltarusija pasienyje. Maria Dębińska bando išsiaiškinti savižudybių priežastį kaime. Anna Helena Wądatowska pasakoja apie žmonių pamaldumą, kopytėlių esančių prie kelio ir dalyvavimo šv. mišiose reikšmę. Pabrėžia, kad ten tikėjimas vienijo parapijos gyventojus. Sekantis straipsnis Joannos Wiśniewskos pristato moterų ir vyrų gyvenimą kaime. Ten išnyksta tradicinis moterų ir vyrų darbų pasiskirstymas. Pagrindiniai viskuo rūpinasi moteris, ji užlaiko šeimą. Vyrų pagrindiniu užsiemimu yra alkoholio vartojimas. O moterų ilgisi vyrų aktyvesnio dalyvavimo šeimos ir visuomenės gyvenime, nori, kad Butrymańce kaimas ne taptų kaimu be vyrų. Anna Rutkowska analizuoja žmonių supratimą apie mirtį ir pomirtinį gyvenimą. Adam Wilczewski pristato gydymo būdus kaime. Helena Pater pasakoja kuo buvo Aleksander Iwaszko vadinamas pranašu Olesiu. Jis meldėsi ir mokė apie Dievą, padėdavo žmonėms. Gydydavo juos. Kaikurie vadino jį šventuoju. Po mirties tapo vietine legenda. Paskutinis straipsnis Magdalenos Józefowskos pristato santuokos reikšmę kaime, kažkada tai buvo neatskiriama egzistencijos dalis, tačiau dabar viskas pasikeitė.

Monografia *Centrum na peryferiach* jest zbiorem dziesięciu artykułów opisujących życie lokalnej społeczności Polaków, zamieszkujących wsie skupione wokół Ejszyszek. Poszczególne teksty, autorstwa pracownika naukowego i studentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, to owoc przeprowadzonych w latach 2001–2002 badań terenowych. Tematykę dotyczącą obszaru i metodologii badań rozpoczyna wstępny artykuł Andrzeja Perzanowskiego: „Uwagi o monograficznym badaniu wiejskich społeczności lokalnych”, pozostałe zawierają zagadnienia związane z kształtowaniem się tożsamości, religijnością, obrzędowością, medycyną ludową, instytucją rodziny i małżeństwa. Każdy z nich posiada krótkie streszczenie w języku angielskim i litewskim.

Joanna Mroczkowska w artykule *Ludzie o ludziach. Opowieści biograficzne w wymiarze komunikacyjnym* przedstawia trzy opowiadania o nieszczęśliwych losach mieszkańców wsi oddalonej o piętnaście kilometrów od Ejszyszek. Wieś zamieszkują 34 kobiety i 27 mężczyzn, brakuje ludzi młodych, jedynie trzech mężczyzn ma stałą pracę, a najbogatszymi mieszkańcami są trzej młodzi i niepijący emeryci. Opowieściom brak jednolitości, zawierają liczne dygresje oraz sprzeczności, chociaż nawiązują swą budową do trój etapowej piramidy Freytaga. Opowiadający posługują się licznymi przezwiskami, które w dużej mierze stanowią ocenę danego człowieka. Za-

interesowanie drugą osobą polega na powszechnym we wsi wzajemnym „szpiegowaniu” i plotkowaniu, czyli patrzeniu co dzieje się za oknem.

Podborze mityczne. Krajobraz i przeszłość jako elementy narracji to tytuł drugiego artykułu, autorstwa Jakuba Ozimka. Mieszkańcy liczącej obecnie ponad pięćset mieszkańców wsi Podborze trudnią się rolnictwem. W swoich opowieściach za najważniejsze tematy uznawali:

- budowę swego przedwojennego kościoła parafialnego, zapowiadane go przez bliżej nieznaną, starą, biedną Pelagię;

- historie związane z kamieniem-pomnikiem, znajdującym się koło drogi w sąsiednich Półstokach, odnoszące się do pochówku marszałka Józefa Piłsudskiego oraz bytności cesarza Napoleona i jego złotej karety;

- tajemnicze kurhany w lesie wzdłuż drogi do wsi Butrymańce, przy których pojawiają się tajemne strachy.

Pierwsze dwie powiastki, zdaniem autora, uzasadniają polskość tych ziem oraz podkreślają znaczenie wiary w życiu mieszkańców. Ludzie starsi, często nienormalni, uchodzą tutaj za mitycznych przedstawicieli boga, tajemniczy szum oznacza pokutujące, grzeszne dusze, złoto kojarzy się z ogniem, a budowa polega „na wożeniu kamieni koźmi”. Podborskie historyjki odzwierciedlają miejscowe zasady rządzące życiem społecznym, a nade wszystko zbiorową wyobraźnię.

Artykuł Łukasza Ceglińskiego *Spółeczność podzielona. Granica litewsko-białoruska z perspektywy procesów komunikowania się* przynosi informacje dotyczące konsekwencji podziału lokalnej, w większości polskiej społeczności zamieszkałej na obszarze pomiędzy Ejszyszkami a Lidą, na dwa niezależne państwa: Litwę i Białoruś. Granica państwowa stała się barierą komunikacyjną i nową linią dzielenia się miejscowej wspólnoty. Wyraźnemu ograniczeniu uległy kontakty rodzinne i handlowe oraz dostępność nauki języka polskiego, a także częściowo zmieniła się przynależność parafialna. Utrudnienia finansowe i biurokratyczne przy legalnym przekraczaniu mają tendencję wzrostową, szczególnie po wejściu Litwy do Unii Europejskiej. Ponadto rządy obu państw starają się silniej związać tereny pogranicza z centrum, co osłabia dawne więzi lokalne.

Następny artykuł *Wisielnicy. Rzecz o samobójstwie* Marii Dębińskiej dotyczy rozważań nad zjawiskiem samobójstw na wsi, należących zawsze do zdarzeń niecodziennych, otoczonych atmosferą skandalu, ale i trudnej do wytłumaczenia tajemnicy ich motywów. Chociaż opowiadający historie wisielców przeważnie podają konkretne powody, które doprowadziły człowieka do rozpaczki i w konsekwencji do odebrania sobie życia. Zdecydowana większość takich osób nadużywała alkoholu i miała problemy rodzinne – „nieakuratne życie”. Usprawiedliwienie lub potępienie samobójcy

nie wiąże się bezpośrednio z jego decyzją, lecz odnosi się do wcześniejszych wydarzeń życiowych. To człowiek, który wybrał „nieswoją śmierć”, i dlatego postrzega się go jako ofiarę, którą spotyka kara boska i ludzka.

W artykule *Krzyż we wsi – Bóg we wsi. Kulturowe i indywidualne uwarunkowania manifestacji pobożności* Anna Helena Wądołowska na przykładzie wsi parafialnej Butrymańce opisała różnorodne jej przejawy. Pobożny to człowiek wyznający religię katolicką, modlący się i przede wszystkim chodzący co niedzielę do kościoła. Szczególnym rodzajem, a zarazem zewnętrzną oznaką wiejskiej pobożności były i są obecnie przydrożne krzyże i kapliczki udekorowane wstążkami i kwiatami, uczestnictwo w procesjach i wykonywanie prac pomocniczych na rzecz parafialnego kościoła. Uczęszczanie bądź nieuczęszczanie na msze, przyjmowanie sakramentów, przestrzeganie zakazu ciężkich prac w kościelne święta mają istotne znaczenie dla pozycji społecznej danej osoby. Jednocześnie wiara staje się bardzo silnym elementem jednoczącym społeczność całej parafii.

Kolejny artykuł, napisany przez Joannę Wiśniewską *Świat w oczach kobiet. Studium wsi Butrymańce na Wileńszczyźnie* przedstawia obraz życia wsi, w której zanika tradycyjne rozróżnienie sfer aktywności kobiety i mężczyzny. One przejmują z konieczności prace uważane dotąd za męskie, w tym także utrzymanie domu i rodziny, a oni nie chcą uczestniczyć w życiu rodzinnym i publicznym, zaś ich kontakty towarzyskie polegają przede wszystkim na wspólnym piciu alkoholu. Upadek socjalizmu przyniósł bezrobocie i powszechny marazm. Starsze kobiety, przeważnie wdowy, otrzymują emerytury i „są wśród mieszkańców wsi najbardziej pogodne i zadowolone. A wszystkie tęsknią za tym, aby mężczyźni aktywniej uczestniczyli w życiu rodzinnym i społecznym, aby „Butrymańce nie stały się wsią bez mężczyzn”.

Artykuł Anny Rutkowskiej *Ten i tamten świat. Więzy żywych ze zmarłymi w wyobrażeniach mieszkańców wsi okolic Ejszyszek* prezentuje analizę sfery wierzeń i symboli związanych ze śmiercią i zaświatami. Te ostatnie widziane w snach stają się miejscem, stanem, w którym dusza istnieje po śmierci, a poziom jej dobra lub zła zależy od modlitwy i postawy rodziny. Kiedy dusza się oczyści, „wciela się na nowo w innego człowieka”, a jedynie „dusze wyjątkowo złych ludzi otrzymują ciała zwierząt”. Zmarli są nadal obecni w świecie żywych poprzez trwanie w pamięci rodziny i pojawianie się w snach. Te drugie mają zawsze jakieś znaczenie, chociaż czasem trudno je jednoznacznie odczytać. Zmarli nie chcą straszyć żyjących, natomiast oczekują pomocy (modlitwy) z ich strony.

W następnym tekście *Medycyna ludowa. Między tradycją a współczesnością* Adam Wilczewski analizuje sposoby medycyny uprawianej wśród

mieszkańców Ejszyszek i wsi Purwiany, a w szczególności roli zamawiaczek. Ogólna bieda wytwarza niechęć do farmaceutyków przepisanych pacjentom przez lekarzy. Dość powszechne są opinie, iż „dawniej ludzie mniej chorowali i [...] leczyli się sami”. Pomimo to znaczna część respondentów korzysta z usług medycyny konwencjonalnej. Rozmówcy podkreślali potrzebę znajomości ziół oraz umiejętność ich stosowania w różnych chorobach, z tym że obecnie nie znali dobrych zielarzy. Wymieniali metody leczenia za pomocą magii takich chorób, jak przełknięcie i padaczka. Powszechnie informowali o korzystaniu z usług miejscowych zamawiaczek, leczących magią słowa z pomocą własnych formuł lub modlitw kanonicznych, głównie zdrowasiek. Ich dar leczenia rzekomo pochodzi od Boga, chociaż istnieją też takie, które czerpią swoją moc nawet od szatana, lub oszustki mające wiedzę „z ksiązek bądź czasopism”. Najczęściej leczą następujące choroby: róża, przełknięcie, urok, nerwy, ukąszenie przez żmiję, zwichnięcie nogi i usuwanie brodawek. Pojawiających się tam bioenergoterapeutów traktuje się nieufnie jako naciągaczy. Czasami do Ejszyszek przyjeżdża jasnowiedząca, która wprawdzie „nie wyleczy człowieka, ale powie dosłownie co to jest”. Generalnie na wsi obok siebie funkcjonuje medycyna ludowa i naukowa, zaś lokalna społeczność przy wyborze osoby leczącej kieruje się względami praktycznymi, a nie uprzedzeniami lub przeczuciami.

Helena Pater w pracy *Cudownik z Popiszek. Bohater legendy lokalnej z okolic Podborza* stara się zbadać, kim był i jaki wpływ na lokalną społeczność wywarł Aleksander Iwaszko, zwany Olesiem, określany „Prorokiem” lub „Cudownikiem z Popiszek”. Wywodził się z ludu, urodził się w 1922 roku w ubogiej rodzinie we wspomnianych już Popiszkach i tam też w 1968 roku zakończył swoje czterdziestopięcioletnie życie. Nie ukończył nawet szkoły powszechnej, a wielu ludzi uważało go za niedorozwiniętego. W 1940 roku przystąpił do swoich „mów”, zaczynających się od modlitwy, później nauczał o Bogu, a na koniec odpowiadał na pytania słuchających go ludzi. W dniu 17 czerwca 1941 roku przepowiedział cud polegający na pojawieniu się spod kamienia wody oraz ukazaniu się Matki Boskiej. Jego proroctwa wojen i klęsk przypominały przepowiednie sybilińskie. Przewidział upadek komunizmu, papieża Polaka, przyszłość ludzi, a za pomocą wody dokonywał ozdrowienia. Podkreślana przez rozmówców „odmienność Olesia” wzmacniała siłę jego prorokowania i przeradzała się w błogosławieństwo związane ze sferą sacrum. Część mieszkańców mówiła o nim jako o świętym, ale też podkreślała, iż miał skłonność do picia. Po śmierci stał się bohaterem lokalnej legendy, łączącej teraźniejszość z przeszłością.

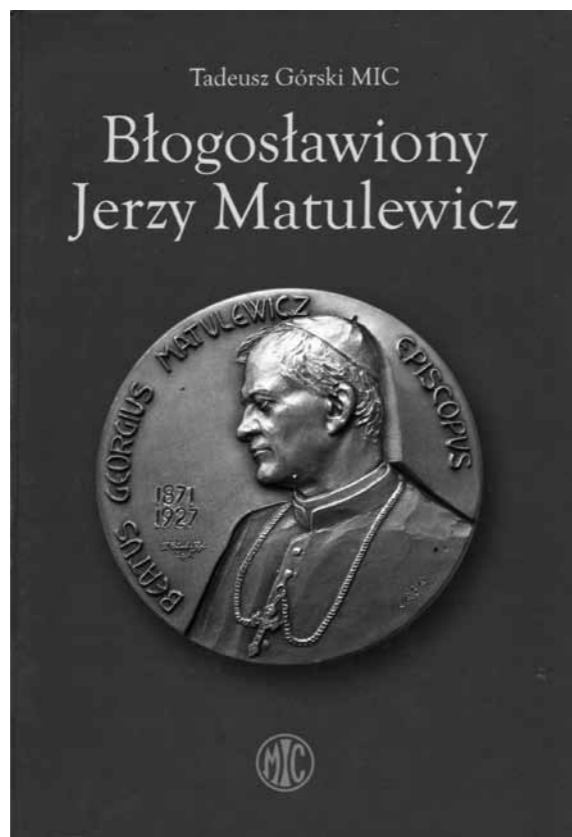
Ostatni rozdział, autorstwa Magdaleny Józefowskiej *Małżeństwo w oczach mieszkańców Purwian na Wileńszczyźnie* jest próbą określenia roli i przemian

zachodzących w ceremoniale i charakterze małżeństwa, tutaj pojmowanego jako nieodłączny element egzystencji ludzkiej i punkt wyjścia do założenia rodziny. Starsze pokolenie ocenia je z punktu religijnego, czyli boskiego sakramentu uświęcającego związek kobiety i mężczyzny. Średnie pokolenie żyjące w czasach władzy radzieckiej zawierało w większości związki sakramentalne i świeckie, chociaż część wybierała jedynie ślub kościelny. Co ciekawe, miało to przede wszystkim podtekst finansowy, gdyż państwo „samotnej matce” na wychowanie dzieci zapewniało pieniądze zapomogę. Najmłodsze pokolenie często żyje ze sobą bez ślubu, co przez ogół wsi, a szczególnie starsze osoby ocenia się nieprzychylnie. Młodzi opuszczają wieś i przenoszą się do miasta, najczęściej do Wilna. Małżeństwa zawierają obecnie w wieku późniejszym lub rzadziej bardzo wcześnie z powodu zajścia dziewczyny w ciążę. Kulturowanie tradycji: zabaw, wróżb, swatów, przyśpiewek i wierzeń zanika. Nadal daje się zauważyć dążenie do zawierania związków osób o podobnym statusie majątkowym i społecznym.

Reasumując, z całą odpowiedzialnością można polecić tę pracę każdemu czytelnikowi interesującemu się wielokulturowością wspólnot lokalnych. Komunikatywny język, interesujące i barwne opisy życia mieszkańców Ejszyszek i okolicznych wsi mogą posłużyć za kanwę badawczą dla obszaru sejneńskiego pogranicza polsko-litewskiego. Ale też mogą stać się wspaniałą lekturą dla starszych mieszkańców, którzy z całą pewnością na kartach książki spotkają ślady swej młodości i świata, który zachował się już tylko w ich pamięci.

Centrum na peryferiach. Monografia społeczności lokalnej Ejszyszek i okolic na Wileńszczyźnie. Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Perzanowskiego. Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa 2005 s. 299.





ANDRZEJ GRYGUĆ

Arcybiskup Jerzy Matulewicz – człowiek Kościoła i pogranicza

Jurgis Matulaitis gimė 1871 metais balandžio 13 dieną Lūginės kaime, netoli Marijampolės. Kai dar buvo mažas mirė jo abu tėvai. Išaugino jį vyresnysis brolis Jonas. 1879–1886 metais mokėsi Marijampolės mokykloje ir gimnazijoje, bet mokslus turėjo nutraukti dėl prasidejusios kaulų džiovos, kurią kentė iki gyvenimo pabaigos. 1889 metais įstojo į Kelcų gimnaziją, o 1891 metais – į Kelcų kunigų seminariją. Šią panaikinęs 1893 metais buvo perkeltas į Varšuvos kunigų seminariją ir ją baigė 1895 metais 1898 metais lapkričio 20 dieną Peterburge buvo išventintas kunigu. Po metų pradėjo studijas Fribūro universitete, Šveicarijoje. Paūmėjusią

kaulų džiova pristabdė atlikta operacija, ir Jurgis Matulaitis 1902 metais apgynė aukščiausio įvertinimo sulaukusią disertaciją, įgydamas teologijos daktaro laipsnį. Profesoriate Kelcų kunigų seminarijoje, o 1905–1907 metais Varšuvoje ėjo gimnazijos kapeliono pareigas, įsijungė į krikščionišką socialinę veiklą, organizuodamas darbininkus, steigdamas vaikų prieglaudą, padėdamas vargšams, nepaisant tautybės ir religijos skirtumų. 1907–1911 metais dėstė sociologiją Peterburgo dvasinėje akademijoje. 1909 metais slapta įstojo į caro valdžios pasmerktą sunaikinti marijonų vienuoliją, priderino jos įstatus prie naujų laikų reikalavimų, kuriuos 1910 metais patvirtino Šventasis Sostas. 1911 metais mirus paskutiniam marijonų generolui kun. Vincentui Senkui, tapo atnaujintos vienuolijos generolu. Fribūre įkūrė slaptą marijonų noviciatą ir 1911–1914 metais jam vadovavo.

1914–1918 metais gyveno Varšuvoje. Įkūrė berniukų auklėjimo namus, o taip pat vienuolyną Bielianuose. 1918 metais atgaivino marijonų centrą Marijampolėje ir įsteigė Švč. Mergelės Marijos Nekaltojo Prasidėjimo Vargdienių seserų kongregaciją.

1918 metais gruodžio 1 dieną buvo konsekruotas vyskupu ir paskirtas valdyti Vilniaus vyskupiją. Daug iškentėjo dėl šio krašto gyventojų tautinių ir politinių ginčų, bet liko ištikimas nuostatai blogį nugalėti gerumu, tarnauti Kristui ir Bažnyčiai. 1924 metais įsteigė Jėzaus Eucharistijoje Tarnaičių seserų kongregaciją.

1925 metais atsisakė Vilniaus arkivyskupo pareigų ir popiežiaus Pijaus XI buvo paskirtas arkivyskupu bei Lietuvos Apaštališkuoju Vizitatoriumi. 1926 metais dalyvavo Čikagos Eucharistiniame Kongrese JAV, aplankė lietuvių parapijas šioje šalyje.

Nemažai prisidėjo gerinant Lietuvos santykius su Šventuoju Sostu, daug nuveikė steigiant bažnytinę Lietuvos provinciją ir parengiant konkordatą. Mirė Kaune 1927 metais sausio 27 dieną Tadeuzas Górkis savo darbe Matulaitį vadina palaimintuoju, kuris visiškai buvo atsidaęs bažnyčiai. Visų pirma jis buvo lietuviu, mylėjo savo kalbą ir visada rėmė savo tautiečius, lietuvius kunigus, našlaičių prieglaudą ir vienuolynus.

Błogosławiony Jerzy Matulewicz był synem litewskiego chłopca. Urodził się 13 kwietnia 1871 roku we wsi Lugine, położonej w pobliżu powiatowego miasta Mariampola. Wkrótce utracił ojca, a w 1881 roku zmarła matka. Wychowaniem Jerzego zajął się osiadły na ojcowiznie starszy brat Jan. Około 1879 roku Jerzy rozpoczął naukę w szkole elementarnej w Mariampolu, a od 1883 roku kontynuował ją w miejscowym gimnazjum męskim. Ówczesnie miasto to tworzyło mozaikę narodowościową i wyznaniową, stając się jednym

z ośrodków litewskiego odrodzenia narodowego, którego entuzjastą stał się młody gimnazjalista.

Przełomowe znaczenie w życiu młodzieńca miała znajomość i opieka brata stryjecznego Jana Matulewicza, profesora języków starożytnych w gimnazjum kieleckim. Dzięki jego pomocy, po zdaniu egzaminu wstępnego zapisał się do Wyższego Seminarium Duchownego w Kielcach. Następnie, po dwuletnich studiach teologicznych w seminarium warszawskim uzyskał stypendium państwowe w Akademii Duchownej w Petersburgu. W 1898 roku (20 listopada) otrzymał święcenia kapłańskie i z dyplomem magistra teologii przybył do Kielc, gdzie 12 sierpnia 1899 roku został wikariuszem w pobliskiej parafii Daleszyce.

Ze względu na chorobę udał się na leczenie do Tyrolu i jednocześnie pod przybranym nazwiskiem Jerzego Narbuta ze Lwowa rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie we Fryburgu. Ukończył je w 1902 roku, uzyskując stopień doktora i jako pierwszy wykładowca „po studiach zagranicznych” 29 grudnia 1902 roku został mianowany profesorem kieleckiego seminarium. W tym okresie opublikował swoją pracę doktorską oraz napisał liczne artykuły o tematyce religijnej, także w języku litewskim. Niestety, nawrót gruźlicy kości spowodował konieczność przeniesienia się do Warszawy, gdzie przez dwa i pół roku się leczył. Był to zarazem czas, w którym ksiądz Jerzy bardzo aktywnie działał na rzecz powstania „stowarzyszeń księży pragnących bardziej pobożnie żyć”. Ponadto napisał Statut Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, które stawiało sobie za cel „podniesienie stanu robotniczego pod względem religijno-moralnym, umysłowym i narodowym”. Został wybrany jego sekretarzem generalnym, zaś samo stowarzyszenie działające na obszarze Królestwa Polskiego w 1908 roku osiągnęło ponad 22 tysiące członków.

Od 13 września 1907 roku ksiądz Matulewicz rozpoczął wykłady z socjologii i teologii w Akademii Duchownej w Petersburgu. Jesienią 1908 roku zwrócił się listownie z prośbą o przyjęcie go do chylącego się do upadku zakonu marianów w Mariampolu. W tym celu udał się latem następnego roku do Rzymu, gdzie uzyskał zgodę kurii papieskiej na reformę Zgromadzenia Księża Marianów pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. W kolejnych latach całe swoje wysiłki skoncentrował na działalności na rzecz rozwoju zgromadzenia, którego po śmierci ojca Wincentego Sękowskiego został przełożonym generalnym. W czerwcu 1911 roku zrezygnował z pracy w petersburskiej Akademii i udał się do Fryburga, gdzie też przeniósł nowicjat marianów. W dwa lata później zakon liczył już osiemnaście osób. W tym samym roku dzięki staraniom generała zakonu erygowano dom zakonny w Chicago, centrum litewskiej emigracji w USA.

Wybuch wielkiej wojny 1914 roku zastał go w czasie głoszenia rekolekcji dla księży litewskich w Kownie i Mariampolu. Lata wojny spędził w Warszawie, poświęcając swój czas organizacji domu zakonnego w przekazanych przez arcybiskupa warszawskiego jesienią 1915 roku zabudowaniach pokamedulskich w Lasku Bielańskim. Przy parafii w Bielanach powstało schronisko dla bezdomnych dzieci, szkoła elementarna i gimnazjum, zaś w lipcu 1917 roku marianie przejęli położony na Pradze zakład wychowawczy dla chłopców.

W marcu 1918 roku ojciec generał opuścił Warszawę i udał się do Mariampola, gdzie dzięki wsparciu biskupa sejneńskiego Antoniego Karasia wznowił działalność klasztoru Marianów. Utworzył przy nim nowicjat i zajął się opracowywaniem instrukcji dla zgromadzenia. Jednocześnie przygotowywał konstytucję dla nowo tworzonego Zgromadzenia Sióstr Ubogich od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Dalsze prace przerwała nominacja na biskupa wileńskiego. Stało się to w przededniu zakończenia pierwszej wojny światowej, 23 października 1918 roku.

Diecezja wileńska w tym czasie liczyła ponad 80 tysięcy kilometrów kwadratowych i blisko 3,2 miliona mieszkańców: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów, Niemców, Rosjan, Tatarów. Zarówno Litwini, Polacy, jak i okupujący te ziemie Niemcy żądali od kurii papieskiej „swojego” biskupa. Dlatego też osoba nowego biskupa wileńskiego budziła liczne kontrowersje. Najbardziej niezadowoleni byli wileńscy Polacy, którym szczególnie przeszkadzała litewska narodowość nominata. Konsekracja odbyła się 1 grudnia 1918 roku w katedrze kowieńskiej, a 8 grudnia – ingres biskupi w Wilnie.

Tymczasem sytuacja polityczna na Wileńszczyźnie ulegała nagłym i radykalnym zmianom. Polacy okazali się za słabi i w styczniu Wilno dostało się w ręce bolszewików, jednak 19 kwietnia wyparli wojska radzieckie z miasta, a biskup wileński w obecności Józefa Piłsudskiego odprawił w katedrze uroczystą mszę. Władze polskie dążyły do tego, aby Wileńszczyzna znalazła się w państwie polskim. Dokładnie odwrotny cel stawiały sobie władze Litwy. W tej sytuacji biskup podkreślał, iż jest kapłanem zarówno Polaków, Litwinów, jak i Białorusinów, starając się zachować postawę apolityczną. To z kolei narażało go na zarzuty braku zaangażowania i wspierania interesów polskich lub litewskich.

Wojska bolszewickie ponownie zajęły 14 lipca 1920 roku Wilno, które po sześciu tygodniach przekazali Litwinom. Po klęsce Armii Czerwonej nad Wisłą i Niemnem Wileńszczyzna została 9 października zajęta przez wojska polskie pod dowództwem Lucjana Żeligowskiego, który ogłosił powstanie, niezależnego państwa – Litwy Środkowej. Teren diecezji wileńskiej znajdował

się pod władzą Litwy, Polski, Litwy Środkowej, bolszewickiej Rosji, a nawet częściowo i Łotwy. Biskup Matulewicz nieformalnie pośredniczył w podpisaniu zawieszenia broni pomiędzy Wilnem i Kownem. Pomimo ostatecznego wcielenia Wileńszczyzny do Polski zdawał sobie sprawę, że jest to tymczasowe rozwiązanie, albowiem i Litwa, i ZSRR czekały na okazję do rewanzu i zmiany swoich granic. Tym niemniej 14 października 1923 roku jako pasterz diecezji uroczyście witał prezydenta Polski Stanisława Wojciechowskiego słowami: „[...] witam Cię gorącym sercem w tej prastarej katedrze i składam Ci hołd jako Naczelnej Władzy i Głowie Państwa, jako temu, który reprezentuje majestat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i jest wyrazicielem jej potęgi i jedności”.

Biskup wileński miał świadomość oczekiwań rządu co do tworzenia i podporządkowania Kościoła polskiej idei państwowej. Wiedział też, iż szowinizm narodowy był „chorobą księży tej diecezji”. Dlatego zakazywał mówienia w kościołach o sprawach politycznych i przypominał, że do głównych obowiązków kleru należy nauczanie katechizmu i nawoływanie „do wzajemnej miłości, do zgody i pokoju”. Jednocześnie starał się prowadzić własną politykę. Zgodził się na mianowanie propolskiego nieszwiniasty prałata Kazimierza Mikołaja Michalkiewicza sufraganiem, ale na swojego administratora w Republice Litewskiej wyznaczył swojego kolegę księdza Józefa Kukę, późniejszego biskupa nowo utworzonej diecezji koszedarskiej.

Biskup Matulewicz był dobrym mówcą i rozmówcą. Jego kazania i nauki cieszyły się dużym zainteresowaniem wiernych. Szczególnie cenili spotkania z młodzieżą. Wiele czasu zajmowały mu wizytacje parafii, które rokrocznie odbywał. Jego wielkim, niestety, niezrealizowanym zamierzeniem okazał się projekt zwołania synodu diecezjalnego, poświęconego głównie Kodeksowi prawa kanonicznego. Przestrzegał, aby we wszystkich parafiach z mieszaną narodowościowo ludnością odprawiały się msze we własnych językach, chociaż zdarzały się również sytuacje bardzo drażliwe, jak na przykład w Giedrojciach lub Raduniu. Szczególną troską otaczał Białorusinów, dbając o to, aby w ich języku księża głosili kazania i uczyli katechezy. Niestety, te działania spotykały się z negatywną reakcją władz polskich, a biskupa zmuszano do wyjaśniania swoich decyzji. Biskup Jerzy należał także do gorących orędowników przywrócenia jedności z prawosławiem w obrządku bizantyjsko-słowiańskim.

Ważnym przedmiotem stałej troski biskupa było wspieranie życia zakonnego. W szczególności dotyczyło to działań na rzecz laikatu, przejawiających się w zakładaniu szkół przez jezuitów, salezjanów, Zgromadzenie Braci Dolorystów. Własnoręcznie opracował konstytucje zgromadzeń: Księży Marianów, Sióstr Posłanniczek Najświętszego Serca Jezusa, Sióstr Imienia

Jezus i Sióstr św. Kazimierza w USA. Jako przełożony zakonu marianów przyczynił się do jego szybkiego rozwoju. W 1918 roku liczyli 57 członków należących do trzech domów. Dziewięć lat później 319 zakonników miało trzynaście domów i cztery rezydencje, obsługiwało osiem parafii, prowadziło pięć szkół średnich, dwie podstawowe, zakład opieki dla starców i sierot oraz wydawało jeden dziennik, dwa tygodniki i miesięcznik. Sukcesem biskupa stało się utworzenie w 1924 roku domu w Vilani na Łotwie i w Druin nad Dźwiną na Białorusi. Działalność ojca Matulewicza w zakonie marianów przyniosła mu pośmiertnie tytuły „odnowiciela” i „drugiego założyciela” oraz była ważną przesłanką w toczącym się procesie kanonizacyjnym.

Wobec licznych ataków prasowych, petycji polskich środowisk zamieszkujących Wileńszczyznę oraz świadomości starań rządu polskiego o zmianę na tronie biskupim w Wilnie, Jerzy Matulewicz 1 maja 1925 roku zwrócił się listownie do Piusa XI z prośbą – jak się okazało bezskuteczną – o odwołanie go. Drugą prośbę z 27 czerwca papież uwzględnił i 3 sierpnia 1925 roku biskup pożegnał się z kapitułą wileńską, a następnie udał się pociągiem do Watykanu. Pius XI przyjął go 13 sierpnia na audiencji, a 1 września wyniósł go do godności arcybiskupa. Przez następne trzy miesiące pracował w Rzymie nad założeniem domu zakonnego księży marianów.

W grudniu 1925 roku arcybiskup Matulewicz został wysłany przez kurię papieską na Litwę jako wizytator w celu ustalenia granic diecezji. Zamieszkał w domu zakonnym księży marianów w Kownie. Za najważniejsze uznał przywrócenie zaufania do Stolicy Apostolskiej, a później przygotowanie konkordatu. W tym czasie Litwa prowadziła kampanię przeciwko Stolicy Apostolskiej, oskarżając ją o załatwianie spraw litewskich z punktu widzenia Polaków. Wizytator spotykał się z premierem, przedstawicielami rządu i parlamentu, a przede wszystkim duchowieństwem. Odwiedzał seminaria i domy zakonne, skutecznie wspierał starania wydziału filozoficzno-teologicznego Uniwersytetu Kowieńskiego o prawo nadawania stopni naukowych i przyznanie praw kościelnych.

Utworzenie prowincji kościelnej w odrodzonej Litwie było przedmiotem rozmów z kurią rzymską od 1919 roku. Arcybiskup Matulewicz zwołał 15 lutego 1926 roku posiedzenie biskupów i przedstawił projekt utworzenia ze wszystkich terytoriów Republiki Litewskiej jednej prowincji kościelnej z siedzibą metropolitarną w Kownie. Problemem spornym stała się przynależność terytorium Kłajpedy oraz część diecezji wileńskiej w granicach państwa litewskiego. Projekt przedstawiono premierowi i ministrowi spraw zagranicznych Litwy. Po drobnych korektach nazewnictwa wizytator w marcu przedstawił go w Rzymie i po niewielkich poprawkach w kurii

4 kwietnia 1926 roku papież podpisał konstytucję apostolską *Lituanorum gente*. W skład prowincji oprócz metropolitarne Kowna weszły biskupstwa: poniewieskie, koszedarskie (utworzone z części litewskiej diecezji wileńskiej), wołkowyskie i telszewskie, któremu podlegała samodzielna prałatura dekanatu Kłajpedy. Metropolita kowieńskim został mianowany biskup Juozapas Skvireckas.

Kolejna sprawa dotyczyła wznowienia stosunków Litwy ze Stolicą Apostolską i przygotowanie konkordatu. Nowy prezydent Kazys Grinius, negatywnie nastawiony do Kościoła, wspólnie z rządem nie uznawał nowej prowincji kościelnej oraz nowo mianowanych biskupów. Co więcej, rząd wysunął postulat rozdziału Kościoła od państwa, w tym wprowadzenia szkoły świeckiej i małżeństw cywilnych. Motulewicz po powrocie z kongresu eucharystycznego spotkał się z prezydentem i premierem, aby starać się o zmianę ich polityki wobec Kościoła. Wspierał głosy w prasie domagające się poprawy stosunków państwo – Kościół. Dokonany w nocy z 16 na 17 grudnia 1926 roku zamach wojskowy spowodował dymisję prezydenta i rządu. Nowy prezydent Antanas Smetona i premier Augustinas Volde- maras, wywodzący się z narodowców i chadecji, pomimo początkowych zastrzeżeń co do osoby wizytatora opowiedzieli się za wznowieniem stosunków z kurią rzymską. Później doszło do omówienia projektu konkordatu w wersji opartej na propozycjach arcybiskupa, który przedstawił tekst 15–16 stycznia na konferencji biskupów.

Jerzy Motulewicz nie doczekał ratyfikacji podpisanego 27 września dokumentu. Przez dwa dni odczuwał bóle brzucha i kiedy w nocy 21 stycznia poczuł się źle, wezwano lekarza, który ze względu na trwający po zamachu stan wojenny przybył nazajutrz o trzeciej rano. Lekarz stwierdził ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Podczas zabiegu o jedenastej trzydzieści, wyrostek pękł i ropa się rozlała. Po kilku dniach 26 stycznia pojawiła się gorączka, a kwadrans przed czwartą następnego dnia arcybiskup skonał w obecności marianina księdza Ignasa Cesaitisa. Trzydniowe uroczystości pogrzebowe odbyły się w Kownie, udział w nich wziął prezydent, przedstawiciele rządu, kurii rzymskiej, litewskiego duchowieństwa i społeczność kowieńska. Po latach biskup Piotr Bučys stwierdził, że arcybiskup Jerzy Matulewicz był najwybitniejszą postacią życia religijnego XX-wiecznej Litwy. Analizując jego drogę życiową, z całą pewnością należy potwierdzić tę opinię.

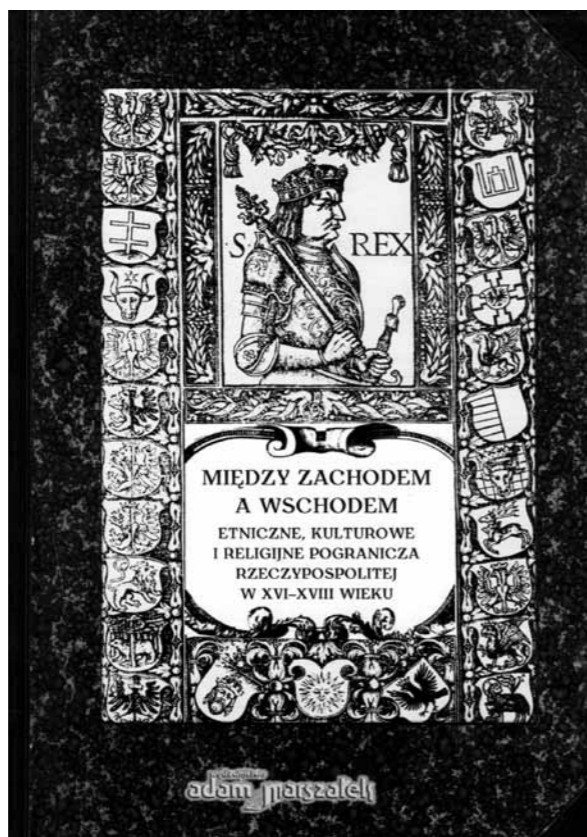
Praca Tadeusza Górskiego ukazuje postać błogosławionego jako człowieka całkowicie oddanego Kościołowi. Autor większą część autobiografii poświęcił okresowi związanemu z wykonywaniem posługi biskupiej w Wilnie. Co więcej, koncentruje się na starannym usprawiedliwianiu postaw pasterza diecezji wobec Polaków, przeważnie o orientacji narodowej i anty-

litewskiej. Wydaje się, że ojciec i biskup Jerzy był przede wszystkim Litwinem, kochał swój język i przy każdej okazji wspierał swoją nację, w tym księży litewskich, sierociniec i zakony. Swój awans społeczny zawdzięczał Kościołowi katolickiemu. Wywodził się ze stanu chłopskiego i w dalszym swoim życiu poświęcił się działalności społecznikowskiej.

W pracy zabrakło oceny i poglądów biskupa na temat odzyskania niepodległości Litwy i konfliktu polsko-litewskiego, oceny społeczności Wileńszczyzny i samych Polaków. Pomimo braku odpowiedzi na powyższe pytania, biografia w sposób interesujący przybliżyła nam postać błogosławionego Jerzego. Warto sięgnąć po tę lekturę, aby jeszcze lepiej zrozumieć motywy postępowania bohatera i poznać historię stosunków polsko-litewskich w latach międzywojennych.

Tadeusz Górski: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz*. Wydawnictwo Księży Marianów (MIC). Warszawa 2005 s. 552.





ANDRZEJ GRYGUĆ

Pogranicza jako ziemie peryferyjne, a zarazem obszary kreujące nową jakość w wymiarze etnicznym, religijnym, kulturowym i społecznym

Knygoje „Tarp Rytų ir Vakarų. Žečpospolitos iš XVI-XVIII amžiaus etniniai, kultūriniai ir religiniai paribiai yra 30 straipsnių, skirtų įvairiems paribio aspektams tokiems kaip tikėjimas, religija, papročiai, kalbos, santvarkos ar civilizacijos. Straipsniai yra padalinti į 3 grupes: pirmą (14 straipsnių) apie religines, tikėjimo ir etnines problemas, antrą (13 straipsnių) pristato santvarkos ir visuomenės problemas ir trečią (3 straipsniai) pristato sienos ir paribio problemas. Knygoje galima surasti labai įdomias informacijas apie religinį, etninį, kultūrinį ir visuomeninį gyvenimą paribyje. Knyga yra parašyta paprastu ir aiškiu kalbos stiliumi. Tai puiki medžiaga Seinų ir Suvalkų paribio žemių palyginimui.

Książka zatytułowana *Między Zachodem a Wschodem. Etniczne, kulturowe i religijne pogranicza Rzeczypospolitej w XVI–XVIII wieku* stanowi zbiór trzydziestu artykułów poświęconych różnorodnym aspektom pogranicza rozumianego jako miejsce zetknięcia się różnych religii i wyznań, obyczajów, języków, ustrojów czy wręcz cywilizacji. Zdaniem Henryka Samsonowicza, pogranicza w wielu wypadkach inspirowały i tworzyły nową jakość w stosunkach społecznych i kulturalnych Rzeczypospolitej i Europy okresu nowożytnego.

Generalnie wszystkie artykuły możemy podzielić na trzy grupy tematyczne. Pierwsza, najliczniejsza (14 artykułów), dotyczy szeroko rozumianej problematyki religijno-wyznaniowej i etnicznej. Druga o podobnej liczebności (13) opisuje sprawy ustrojowe i społeczne. Trzecia, najmniejsza (3) artykuły rozważa zagadnienia związane z pojęciem granicy i pogranicza.

Przegląd pierwszej grupy zaczynamy od Aleksandra Krawcewicza, autora artykułu pod tytułem *Litwa właściwa a białorusko-litewskie pogranicze etniczne w XI–XVIII wiekach*. Historyk zwraca uwagę na stopniowe przemieszczanie się w okresie nowożytnym białorusko-litewskiej granicy etnicznej. Wskazuje na międzyetniczną strefę przejściową, która stopniowo przesuwiała się w głąb Litwy właściwej, aż po okolice Wilna. Co ciekawe, w wielu jej miejscowościach obok siebie „żyli bez jakichkolwiek konfliktów wyznaniowych lub narodowościowych prawosławni i katolicy, Białorusini i Litwini”.

Zupełnie inny charakter miała rywalizacja w Krakowie szesnastowiecznego mieszczaństwa, co stanowi przedmiot rozważań Zdzisława Nogi w rozdziale *Zróźnicowanie etniczne i wyznaniowe mieszczaństwa krakowskiego w XVI wieku*. W 1500 roku miasto liczyło około 13 000 mieszkańców, w tym 85% z nich to Polacy, 10% – Niemcy, trzy Włosi, a dwa pozostałe – Szkoci, Węgrzy i Francuzi. Proces polonizacji mieszczaństwa niemieckiego przybierał na sile, szczególnie wśród patrycjatu, który dominował we władzach Krakowa. W dokumentach cechów rzemieślniczych zaczął przeważać język polski, a także w świątyni mariackiej od 1537 roku kazania i śpiewy odbywały się w tym języku. Trzeba przypomnieć, że niemieckojęzyczny patrycjat mocno popierał reformację. Niestety, prowadziło to do ekscesów, profanacji, a nawet zabójstw na tle wyznaniowym. Pod koniec szesnastego stulecia zwycięska większość katolicka doprowadziła do zniszczenia zborów oraz gminy ariańskiej i kalwińskiej w Krakowie.

Bardzo interesujące uwagi wnoszą artykuły na temat społeczności żydowskiej. Jacek Krupa w tekście *Żydzi w Rzeczypospolitej w czasach saskich – ludzie pogranicza* stwierdza, że „postrzegani jako ludzie pogranicza kultur, religii czy obyczajów stanowili widoczny element wspólnego świata szla-

checkiej Rzeczypospolitej”. Mieszkając na pograniczu, potrafili korzystać z lokalnego i międzynarodowego handlu oraz okresów koniunktury gospodarczej. Odmienność świata żydowskiego w sferze kultury, w tym materialnej i artystycznej, nie zamykała drogi do wzajemnych kontaktów. Na szczęblu lokalnym żydowscy rzemieślnicy często budowali katolickie świątynie i na odwrót: rzemieślnicy chrześcijańscy stawiali żydowskie synagogi (przykład Sejn).

Jakub Goldberg w artykule *Żydzi polscy XVIII wieku atrakcją dla cudzoziemców* podkreśla zaskoczenie cudzoziemców z powodu tak licznej obecności ludności żydowskiej w Rzeczypospolitej. Cudzoziemcy w większości ujemnie wyrażali się o Żydach, ale poglądy te opierały się na stereotypach funkcjonujących w krajach ich pochodzenia. Podkreślali przy tym ich gospodarczą rolę jako rzemieślników, a przede wszystkim karczmarzy i ludzi znających obce języki. Podziwiali ich religijność, stroje – szczególnie Żydów chasydzkich – widzieli także postępujący proces ich pauperyzacji. Anglik Wraxall pisał, że „większość z nich znajduje się w skrajnej nędzy”.

Położenie ludności tatarskiej w państwie polsko-litewskim stanowi przedmiot rozważań dwóch innych artykułów. W pierwszym, zatytułowanym *Islam między Wschodem a Zachodem: Tatarzy w Wielkim Księstwie Litewskim, XVI–XVIII w.* Andrzej B. Zakrzewski wymienia problemy nurtujące ludność tatarską, stanowiącą drobną część społeczeństwa Litwy i Korony: około dziesięciu do jedenastu tysięcy ludzi. Zdecydowana większość Tatarów pozostała wyznawcami islamu, przede wszystkim w wersji sunnickiej, z tym że praktyki religijne wypełniali w sposób swobodniejszy niż w krajach muzułmańskich. Jedynie zamożne rody dążące do awansu społecznego sporadycznie przyjmowały chrzest i stawały się pełnoprawnymi członkami stanu szlacheckiego. Tatarzy w drugiej połowie XVII wieku przyjęli obowiązującą w Rzeczypospolitej terytorialną organizację wojskową. Równie szybko nastąpił proces zanikania języka tatarskiego. Jego miejsce zajmował ruski, a później polski. W swoim piśmiennictwie (teksty Koranu) posługiwali się językiem arabskim, zaś w komentarzach do niego i opowieściach religijnych dominował ruski i polski. Tym samym oparta na religii kultura przyjmowała wpływy chrześcijańskiego otoczenia.

Równie ciekawe informacje o „Tartaryi mniejszej [europejskiej] i większej [azjatyckiej]” przynosiły podręczniki geografii, o czym informuje Bogdan Rok w artykule *Tatarzy w polskim piśmiennictwie geograficznym XVIII wieku*. Z opisów chanatu krymskiego lub wspomnianej Tartaryi czytelnik otrzymywał stosunkowo rzetelną wiedzę o krajobrazie, historii i obyczajach Tatarów i Turków. Były to generalnie teksty przychylne, podkreślające

egzotykę orientu. W sposób negatywny przedstawiano sam islam, co było pochodną istniejącej ówczesnie przepaści pomiędzy chrześcijaństwem i wyznawcami proroka.

Andrzej Groth w szkicu *Gmina kalwińska w Krokowej w XVII–XVIII wieku* podaje informacje o funkcjonowaniu kaszubskiej gminy protestanckiej w dobrach rodzinnych von Krockowów. Właściciele dóbr do połowy XVIII wieku stosowali wobec poddanych przymus uczęszczania do zboru kalwińskiego. Przy zborze osadzono luterańskiego pastora i rozpoczęła się dość szybka asymilacja kalwinistów z mieszkającą w tychże dobrach ludnością luterańską i katolicką. Przy zborze funkcjonowała szkoła, do której za odpłatnością uczęszczały chłopskie dzieci.

Na styku świata kultury protestancko-mieszczanńskiej i katolicko-sarmackiej. Uwagi o mentalności elity mieszczaństwa toruńskiego w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku, autorstwa Kazimierza Maliszewskiego, wprowadzają nas w badania z zakresu dziejów mentalności ludzkiej. Patrycjat Torunia tworzyło kilkadziesiąt bogatych rodzin, starannie wykształconych, przeważnie kończących luterańskie lub kalwińskie uniwersytety. Posługiwali się językiem niemieckim jako ojczystym, a także polskim i łaciną. Na mentalność patrycjatu największy wpływ miała religia. Głęboka religijność łączyła się z protestanckim wzorcem życia osobistego, wypełnionego nauką i pracą oraz skromnością stołu i ubioru. Jednocześnie do elit Torunia docierały z Rzeczypospolitej i zachodniej Europy wzorce barokowo-sarmackie i oświeceniowe. W rezultacie w opisywanym okresie życie społeczne i kulturalne miasta rozwijało się na styku „świata kultury sarmackiej i świata kultury mieszczańskiej”. Mieszczanie toruńscy potrafili pogodzić pracę i interesy z wiarą i lękiem egzystencjalnym.

Witold Bobryk, autor pracy poświęconej problemowi *Osmozy kulturowej duchowieństwa unickiej diecezji chełmskiej w XVIII wieku* pisze, iż zjawisko to przejawiało się poprzez używanie języka polskiego w cerkwi, domu i kancelarii, urabianiu nazwisk na wzór szlacheckich, wzorowaniu części praktyk religijnych typowych dla kościoła katolickiego, stroju i sposobie bycia. Procesowi osmozy sprzyjało położenie eparchii chełmskiej na pograniczu polsko-ruskim, gdzie posługiwanie się w świątyni językami zamieszkującej tam ludności było zazwyczaj zjawiskiem naturalnym. W XVIII wieku nie prowadziło to do utraty tożsamości przez ludność ruską, jednak z całą pewnością przyspieszało proces jej polonizacji.

Następne trzy rozdziały: Tomasza Kempy, Antoniego Mironowicza i Olega Ducha przynoszą ciekawe informacje z życia prawosławnego i unickiego kościoła. Pierwszy z autorów opisuje złożoną i napiętą sytuację pomiędzy wyżej wymienionymi kościołami na terenie unickiej archidiecezji

połockiej. Jej nowy władca Jozafat Kuncewicz starał się przejąć wszystkie cerkwie w miastach królewskich, co by wydatnie wpłynęło na wzrost liczby wyznawców. Szczególnie dramatyczna sytuacja miała miejsce w Witebsku, gdzie prawosławna szlachta i mieszczaństwo 3 marca 1621 roku publicznie za swojego biskupa uznały władkę Melecjusza Smotryckiego. Otwarty konflikt, uniemożliwiający nabożeństwa ludności prawosławnej w witebskich cerkwiach, doprowadził do samosądu i śmierci biskupa Kuncewicza 12 listopada 1623 roku. Na następne ćwierć wieku prawosławni mieszczaństwo zostali pozbawieni cerkwi w Witebsku. Dopiero wydarzenia zapoczątkowane powstaniem kozackim roku 1648 doprowadziły do jej częściowego zwrotu.

Antoni Mironowicz przedstawia zarys sylwetki *Pierwszego władcy mściławskiego – Józefa Bobrykiewicza*. Pochodził on z rodziny szlacheckiej herbu Półkozic z terenów Wileńszczyzny. Starannie wykształcony, wstąpił do wileńskiego monasteru św. Ducha, gdzie od 1625 roku pełnił funkcję namiestnika. Jako gorliwy obrońca prawosławia oraz wybitny kaznodzieja i mówca cieszył się ogromnym autorytetem wśród elit Rzeczypospolitej, ale także Kozaków. Dlatego jego wybór 14 marca 1633 roku na biskupa nowo powstałej diecezji mściławskiej dawał nadzieję na polepszenie stosunków pomiędzy kościołem prawosławnym i unickim. Wyznawcy prawosławia odzyskali większość swoich cerkwi w Mohylewie, Witebsku i Połocku. Nagła śmierć biskupa w końcu marca 1635 roku przerwała jego działalność religijną i polityczną.

Nurt wschodni i zachodni w postanowieniach synodu zamojskiego (1720) dotyczący monastycyzmu żeńskiego w unickiej metropolii kijowskiej to temat rozważań wspomnianego Olega Ducha. Rozwój Cerkwi unickiej wymagał nowych regulacji jej obrzędów oraz struktury diecezjalnej. Po 96 latach, w 1720 roku w Zamościu odbył się synod prowincjonalny kościoła unickiego. Jego rezultatem były statuty synodalne, zatwierdzone w 1724 roku przez papieża Benedykta XII. Ich dwunasty rozdział regulował życie żeńskich monasterów. Zachowane zostały podstawowe zasady wschodniej tradycji ich odrębności, podporządkowania władzy miejscowego biskupa oraz wyboru ihumenów przez wspólnotę. Przepisy dotyczące klauzury, nowicjatu i profesji oraz posagu mniszek wyraźnie wzorowane były na dekretach soboru trydenckiego, konstytucjach papieskich i łacińskim prawie kościelnym.

Marian Chachaj w rozdziale *Narodowa i kulturowa przynależność Mikołaja Hussowskiego, autora „Pieśni o żubrze”*. *Fakty i mity* w sposób przekonujący wykazuje polski rodowód poety. Urodzony najprawdopodobniej w Husowie koło Łańcuta, otrzymał akademickie wykształcenie zapewne w Krakowie. Został klerykiem w diecezji przemyskiej, a już w 1515 roku mamy informację o nim jako publicznym notariuszu, który sporządza testament podskarbiego

koronnego Andrzeja Kościeleckiego. Kontakty Hussowskiego z osobami z kręgów dworskich, jak również dedykacje z jego dzieł, pozwalają uzupełnić wiadomości o życiu i kulturowej przynależności autora „Pieśni o żubrze”.

Ostatni tekst z pierwszej grupy *Wizerunek rodaków w „Geografii powszechnej” Karola Wyrwicza* napisał Kazimierz Puchowski. Wyrwicz, profesor i rektor jezuickiego Collegium Nobilium, w swoim podręczniku pisał, iż każdy naród „z przyrodzenia” ma swoje charakterystyczne cechy: „lekki jak Francuz, figlarny jak Włoch, poważny jak Hiszpan, złośliwy jak Anglik, dumny jak Szkot, gnuśny jak Irlandczyk, pijak jak Niemiec, gruby jak Holender, chytry jak Greczyn”. Polakom radził wstrzeźliwość, albowiem na prowincji „zwyczajnie bawią się pijatyką, biesiadami, grą kart i polowaniem, które zabawy przerywane podczas bywają gospodarskim rozporządzeniem, drabowaniem papierów do wynalezienia sądowych kłótni i intrygami sejmikowymi”. Potępiał liberum veto oraz ubolewał nad odejściem rodaków od cnót tradycyjnie cenionych, przede wszystkim honoru, męstwa i mądrości.

Mariusz Markiewicz komunikatem *Czasy saskie i Saksonia* otwiera drugą część. Na podstawie rozległych badań czasów saskich przez profesora Jacka Staszewskiego autor podkreśla konieczność zweryfikowania opinii o panowaniu władców saskich na tronie polsko-litewskim. Pisze on, iż w okresie rządów Augusta II i Augusta III Rzeczpospolita składała się z trzech elementów: Saksonii, Korony i Litwy oraz władcy. August III z punktu widzenia Polski był przedstawiany „jako gnuśny Sas, ale z punktu widzenia Saksonii był to twardy i konsekwentny władca, który prowadził logiczną, ale i ryzykowną politykę zagraniczną”. Dwór drezdeński zaś promieniował w europejskiej kulturze tego okresu.

Kandydatury Hohenzollernów brandenburskich do tronu polskiego od XV do końca XVIII wieku. Realny cel czy też gra polityczna? to hipotezy badawcze Andrzeja Kamieńskiego na temat szans zawarcia i powodzenia unii polsko-brandenburskiej. Plany takie pojawiały się od schyłku rządów Władysława Jagiełły, aż po okres rozbiorów Polski i Litwy. Hohenzollernowie do XVIII wieku wyraźnie interesowali się koroną Rzeczypospolitej. Nie uzyskali jej z „powodu zdarzeń losowych oraz odmienności religijnych”. W osiemnastym stuleciu projekty osadzenia władców z tej dynastii na tronie polsko-litewskim stały się częścią gry politycznej w celu poróżnienia Prus i Rosji, co w rezultacie zakończyło się fiaskiem.

Przedmiotem rozważań Ewy Dubas-Urbanowicz są *Uwarunkowania prawne i konsekwencje małżeństw polsko-litewskich przed unią lubelską*. Do jej zawarcia Polacy byli traktowani na Litwie jak cudzoziemcy, na podstawie przywileju Aleksandra Jagiellończyka z 1492 roku, mówiącego, że „Litwinka wychodząca za mąż do Korony nie może być właścicielką dóbr nieruchomości

w Wielkim Księstwie Litewskim”. Takie ograniczenie nie obowiązywało Polek wychodzących za mąż na Litwę. Niewielka liczba małżeństw litewsko-koronnych świadczy o tym, iż prawo litewskie skutecznie chroniło księstwo przed osiedlaniem się na jego terenie koroniarzy.

Zbigniew Anusiak w pracy *Zbarascy i Kalinowscy. Karta z dziejów wielkiej własności ziemskiej na kresach Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XVII wieku* kreśli etapy formowania się latyfundiów na południowo-wschodnich obszarach Korony. Książęta Zbarascy to znany litewsko-ruski ród, zaś Kalinowscy są przedstawicielami koronnej szlachty, która za panowania króla Zygmunta III awansowała do grona magnaterii. Oba rody weszły w posiadanie dóbr ziemskich w województwie braclawskim, a następnie wykupiły z rąk miejscowej szlachty niezasiedlone okoliczne tereny. Posiadając inne posiadłości w Koronie oraz dysponując środkami finansowymi i wolnymi ludźmi, skolonizowali wcześniej nabyte ziemie. To stworzyło podstawy ekonomicznej potęgi obu rodów, a zarazem dawało możliwości uzyskiwania godności dygnitarskich, z którymi wiązały się kolejne nadania królewskie, co w efekcie prowadziło do dalszego rozrostu magnackich latyfundiów.

Mirosław Nagielski w tekście *Smoleńszczyzna w dobie zmagani polsko-moskiewskich w latach 1633–1664. Przyczynek do zmiany struktury własności w świetle nadań Władysława IV* kontynuuje rozważania nad polityką nadań władców na rzecz swoich poddanych. Smoleńszczyzna stanowiła pogranicze litewsko-moskiewskie. Władca poprzez liczne nadania na rzecz kadry oficerskiej i żołnierzy biorących udział w wojnach z Rosją starał się stworzyć na nim sieć osadnictwa wojskowego. Z drugiej strony nadania ziemskie miały być rekompensatą za żołd należny uczestnikom kampanii smoleńskiej.

Gintautas Sliesoriunas jest autorem opracowania *Wywiad moskiewski o wydarzeniach w Wielkim Księstwie Litewskim na przełomie wieku XVII i XVIII*. W opisywanym czasie obowiązek zbierania informacji o Rzeczypospolitej ciążył na przygranicznych wojewodach, głównie – smoleńskim. Ponadto takie informacje uzyskiwało się od kupców, dyplomatów oraz przybywających z Litwy i Polski duchownych prawosławnych. Funkcje wysyłanych szpiegów pełnili oficerowie niższej i średniej rangi, rzadziej niżsi urzędnicy wspomnianych wojewodów. Do najbardziej wiarygodnych należały przekazy rosyjskich szpiegów, zwłaszcza te, których byli świadkami. Mniej wiarygodne informacje dotyczyły zachodniej Litwy i Korony, czasami wręcz kuriozalne, jak wiadomość o śmierci króla Szwecji Karola XII w 1702 roku pod Krakowem.

Wschód–Zachód w polskiej myśli historycznej czasów saskich to przyczynek do oceny tytułowej dychotomii w dziejach Europy. Z punktu geograficznego

sarmaccy dziejopisarze Stary Kontynent dzielili na trzy części: północną z Anglią, zachodnią z Rzeczpospolitą i wschodnią z Rosją i Turcją. Drugim kryterium wyznaczające Wschód i Zachód stanowiła religia, kolejne zaś – zakres wolności i sposób sprawowania władzy. Rządy na zachodzie Europy były absolutne lub jednowładne, na wschodzie absolutne i despotyczne (Rosja i Turcja). Generalnie z tekstów polskich uczonych z pierwszej połowy osiemnastego stulecia wyłania się linia podziału między Wschodem a Zachodem, biegnąca pomiędzy Rzeczpospolitą należącą do Zachodu a Rosją i Turcją – do Wschodu.

Ryszard Waclaw Wołoszański w *Syntezie dziejów Polski F.A. Schmidta (1763), jej przekładach i przeróbkach* podkreśla walory poznawcze i dydaktyczne tegoż dzieła. Pochodzący z Saksonii Fryderyk August Schmidt z sympatią pisał o reformacji i tolerancji w polsko-litewskim państwie. Krytycznie oceniał wprowadzenie zasady wolnej elekcji i liberum veto. Bardzo pozytywnie ocenia króla Augusta II. Analizowane dzieło doczekało się przekładów między innymi na język francuski i rosyjski.

Pokrewną tematykę podjął Waldemar Łazuga w pracy *Obraz Pierwszej Rzeczypospolitej w historiografii polskiej XIX i XX wieku*. Przedstawiciele naszej myśli historycznej od Oświecenia po współczesność analizują problem anomalii rozwojowych Polski, zastanawiają się nad kwestią: „co wysuwa się na plan pierwszy w biegu dziejów: naród czy państwo?”. Dla Adama S. Naruszewicza Rzeczpospolita z przestarzałym ustrojem politycznym i anachroniczną mentalnością szlachty przy braku oświeceniowych reform zbliżała się do katastrofy. Reprezentanci romantyzmu, ale również i Joachim Lelewel ukazywali piękno utraconej Ojczyzny. Józef Szujski i Michał Bobrzyński w swoich dziełach ukazywali państwo ze swoimi niewładnymi instytucjami jako główną przyczynę upadku. Z kolei Adolf Pawiński, Władysław Smoleński czy Tadeusz Korzon przesuwali punkt ciężkości w stronę narodu, a za niepowodzenia obwiniali przede wszystkim obce sąsiednie państwa. Historycy okresu międzywojennego tworzyli dodatni obraz Polski szlacheckiej, odwrotnie niż autorzy w powojennej Polsce Ludowej. W Trzeciej Rzeczypospolitej, między innymi poprzez pióra Jerzego Topolskiego, Andrzeja Wyczańskiego czy Janusza Tazbira, przedstawia się dzieje pierwszej bardziej od strony pozytywnej niż negatywnej. Jej opis pochyla się ku Zachodowi – jako więcej państwowej niż narodowej oraz wolnej „od piętna upadku”.

Filip Wolański podjął temat *Młodość i edukacja polskich bohaterów narodowych w świetle osiemnastowiecznych biografii* i pisze, że w celu kształtowania postaw patriotycznych sięgano po wybitnych dowódców i polityków: Jana Tarnowskiego, Jana Zamoyskiego, Jana Karola Chodkiewicza, Jerzego Ossolińskiego, Stefana Czarnieckiego. Bohaterów biografii mocno idealizowano,

co stawało się ważnym czynnikiem w rozwoju świadomości narodowej elit polskich przełomu XVIII i XIX stulecia.

Trzy ostatnie artykuły tej części dotyczą zagadnień związanych z podróżowaniem. W pierwszym *Przez granice. Dzieje pewnej podróży w 1688 roku* Bogusław Dybaś opisuje wójaz delegacji powiatu piltyńskiego (Kurlandia) do Warszawy, przed królewskie sądy relacyjne. Wyruszyła pierwszego i do stolicy dotarła 15 czerwca 1688 roku. Efektywna podróż trwała nieco ponad tydzień, co świadczy o jej bardzo sprawnym przebiegu. Po audyencji u króla oraz odwiedzeniu osób zainteresowanych sprawą i pomyślnym załatwieniu swojej Piltynianie 12 sierpnia udali się w drogę powrotną, której cel osiągnęli 27 tegoż miesiąca 1688 roku. Koszt poselstwa zamknął się kwotą 3266 talarów albertyńskich, z tego 2200 to pobyt czterech posłów, a pozostałe wydatki to honoraria adwokatów, urzędników królewskich oraz „innych panów promotorów” (na sumę 400 talarów).

Józef Wijaczka opisuje *Podróż śląskiego szlachcica na studia do Królewca w 1719 roku*. Owym szlachcicem był Adam Dietrich Franz von Gruttschreiber und Zopkendorf wywodzący się z księstwa oleśnickiego. Po dwuletnim pobycie w gimnazjum w Brzegu 21 kwietnia 1719 roku wraz z młodszym bratem Karlem Ferdynandem wyruszył z Wrocławia i płynąc Odrą, dotarł 30 kwietnia do Frankfurtu nad tą rzeką. Po zwiedzeniu miasta 2 maja wyruszył dalej, aby po trzech dniach dopłynąć do Szczecina. Stamtąd 6 maja wyruszył łądem do Gdańska, gdzie dotarł 9 maja, następnie 13 maja dotarł do Królewca, a 19 maja 1719 roku został studentem wydziału prawa.

Nieprzewidywalność drogi na przykładzie polskiego osiemnastowiecznego piśmiennictwa podróżniczego stała się przedmiotem rozważań Małgorzaty Ewy Kowalczyk. Drogę rozumie ona jako szlak komunikacyjny, nierozzerwalnie związany z ruchem i przestrzenią. Z analizowanego materiału źródłowego wynika, że przed każdą podróżą starannie ustalano przebieg trasy oraz cel wójazu. Starano się zapewnić opiekę i łaskę bożą, w tym świętych patronów drogi. Pomimo to każdej eskapadzie towarzyszyło ryzyko związane z chorobą, pogodą, rabunkiem rzeczy czy zawodnością środków transportu. Jednocześnie liczba podróżujących stale wzrastała i to nie tylko w celach dyplomatycznych i państwowych, ale przede wszystkim prywatnych: rodzinnych, kościelnych, zawodowych, uczelnianych oraz czysto poznawczych, krajoznawczo-turystycznych.

W krótkim komunikacie pod tytułem *O różnym znaczeniu i różnej roli „Pogranicza”* Henryk Samsonowicz odnosi się do wieloaspektowości obszarów granicznych. Granica dla niego niekoniecznie jest barierą dwóch odmiennych środowisk, dlatego bardziej trafnym terminem staje się: sąsiedztwo lub pogranicze. W dziejach Europy dość często odgrywały one

kreatywną rolę w łączeniu poszczególnych populacji i nacji, tworząc odrębne środowiska gospodarki i kultury.

Andrzej Wyczański w rozdziale *Granica na Łabie w XV–XVII wieku – wątpliwości historyka* poddaje różnorodnej analizie pojęcie rzeki Łaby jako dzielącej historyczną Europę. W efekcie dochodzi do wniosku, iż ta granica może dotyczyć jedynie zjawisk społecznych i to zaledwie w odniesieniu do poddaństwa chłopów. Kształt rodziny, struktura stanowa, systemy gospodarcze, ustroje państwowe, religia czy kultura w żadnym wypadku nie wiążą się z „linią Łaby”. Te granice przebiegają przeważnie dalej na wschód od niej bądź mają charakter równoleżnikowy.

Ostatni tekst *Pogranicze polsko-mołdawskie w końcu XVII wieku* napisał Marek Wagner. Były to tereny Bukowiny i Pokucia oraz ziemie nadniestrzańskie. W ostatnim dwudziestoleciu XVII wieku obszar ten penetrowała bardziej strona mołdawska podporządkowana Turcji. Tej ostatniej bardziej zależało na utrzymaniu swoich wpływów w chanacie krymskim, albowiem zarówno Rzeczpospolita jak i Imperium Osmańskie z niepokojem obserwowało wzrost na tych terenach wpływów Rosji.

Książka zasadniczo dostarcza wielu bardzo ciekawych informacji związanych z różnorodnym pojmowaniem i funkcjonowaniem religijnego, etnicznego, kulturowego, społecznego i ustrojowego pogranicza. Napisa- na komunikatywnym językiem, pozwala polecić ją wszystkim czytelnikom zainteresowanym opisaną powyżej tematyką. Podkreśla wagę zachodzących na peryferyjnych terenach wydarzeń. Może wreszcie stanowić doskonały materiał do porównywania z pograniczem ziemi suwalskiej i sejneńskiej.

Między Zachodem a Wschodem. Etniczne, kulturowe i religijne pogranicza Rzeczypospolitej w XVI–XVIII wieku pod redakcją Krzysztofa Mikulskiego i Agnieszki Zielińskiej-Nowickiej. Wydawnictwo Adam Marszałek. Toruń 2006 s. 316.



NOTY O AUTORACH

DOMINIK ABŁAMOWICZ, ur. w 1958 r. Archeolog, dr nauk humanistycznych, pracownik Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu i kierownik Działu Archeologii Muzeum Śląskiego w Katowicach, prezes Oddziału Katowickiego Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich. W działalności badawczej kierunkujący się na rozpoznawanie środowiskowych (paleogeograficznych) uwarunkowań osadnictwa pra- i wczesnodziejowego. Inicjator, koordynator, uczestnik licznych archeologicznych badań terenowych (Polska, Czechy, Francja; m.in. członek polskiej ekspedycji sondażowo-ekshumacyjnej w Katyniu w 1995 r.). Jedną z pasji jest dziedzictwo kulturowe na tzw. kresach oraz genealogia rodu.

STANISŁAW BUCHOWSKI, ur. w 1957 r. Studia historyczne ukończył na Wydziale Humanistycznym Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Jest nauczycielem historii, autorem publikacji m.in. *Powstanie sejneńskie; Ziemia sejneńska przed przybyciem dominikanów w XIV–XVI wieku*, współautorem pracy *Ochotnicza Straż Pożarna w Sejnach. Monografia*.

ZDZISŁAW BYKOWSKI ur. 11 września 1947 r. w Olsztynie. Technik-górnik. Do 1951 r. mieszkał w Olsztynku, w latach 1951–67 w Elku, obecnie w Lubaniu (dolnośląskie). Pracował na poczcie, w zakładach bawełnianych, „Instalu”, kamieniołomach bazaltu. W 1990 r. burmistrz Lubania. Współorganizator i pracownik lokalnej społecznej TV, urzędnik samorządowy, prywatny przedsiębiorca, pracownik w Południowo-Zachodnim Forum Samorządu Terytorialnego „Pogranicze” w Lubaniu. Od 2008 r. emeryt. W latach 1980–1993 działacz „Solidarności”, w latach 1983–89 współorganizator i działacz lubańskiej Sekcji Ogólnospołecznej jeleniogórskiego KIK-u.

WERONIKA CZYŻEWSKA od najmłodszych lat brała udział w projektach artystycznych i edukacyjnych w Ośrodku Pogranicze w Sejnach. Współtworzyła pierwszy spektakl Kronik Sejneńskich. Była członkiem grupy młodych, która w ramach projektu „Trakt Krasnogrudzki” pracowała nad odkrywaniem pamięci dawnego Dworu w Krasnogrudzie i budowaniem przyszłości tego miejsca. Ukończyła I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej w Suwałkach. Studiowała historię na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie współtworzy projekt edukacyjny „Lektorium Sejneńskie”, w którym bierze udział młodzież z liceum sejneńskiego. Píše doktorat w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI ur. w 1958 r. Praktyk idei, animator kultury, poeta i eseista. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jeden z inicjatorów powstania Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Twórca i redaktor naczelny czasopisma „Krasnogruda” oraz Wydawnictwa Pogranicze.

PIOTR DAPKIEWICZ, ur. w 1939 r. w Żegarach. Lata okupacji 1940–1944 spędził z rodziną w Niemczech. Szkołę Podstawową w Ogrodnikach ukończył w 1954 r. Jako synowi kułackiemu uniemożliwiono mu dalszą naukę. Po skończeniu wieczorowej Szkoły Rolniczej w Sejnach przejął ojcowskie gospodarstwo. Pasję historyczną zawdzięcza nauczycielce ze Żmudzi, u której przez rok pobierał naukę. W pismach polskich i litewskich zaczął publikować w roku 1964. Zainteresowania te obecnie kontynuuje jako emeryt.

WOJCIECH DOMOSŁAWSKI, ur. w 1941 r. Wykształcenie uniwersyteckie oraz na wydziałach budownictwa i fizyki. Inicjator wielu działań społecznych w Sejnach, m.in. konkursu dla szkół licealnych „Teraz mój powiat” oraz projektu turystycznego na ziemi sejneńskiej. Mieszka w Warszawie.

ANETTA EJDULIS ukończyła archeologię na Uniwersytecie Warszawskim. Pracuje w Muzeum Okręgowym w Suwałkach. Autorka publikacji dotyczących najstarszych dziejów Suwalszczyzny. Większość czasu spędza w terenie, prowadząc archeologiczne badania wykopaliskowe.

JÓZEF SYGIT FORENCEWICZ, ur. w 1941 r. Ukończył Akademię Wychowania Fizycz-nego w Warszawie. Od 1961 r. pracował jako nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym w Puńsku (wychowanie fizyczne, przysposobienie obronne, historia, przygotowanie społeczne). Długoletni przewodniczący Litewskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (dziś Stowarzyszenia Litwinów w Polsce) i Wspólnoty Litwinów w Polsce.

STEFAN FRANIAK ur. w 1938 r. w Sejnach. Ukończył wydział muzyczny Studium Nauczycielskiego w Raciborzu, studia historyczne na Uniwersytecie Gdańskim, studia podyplomowe z historii na Uniwersytecie Warszawskim i z filozofii na Uniwersytecie w Białymstoku. Kilkadziesiąt lat pracował jako nauczyciel historii w Liceum Ogólnokształcącym w Sejnach. W 1997 r. przeszedł na emeryturę.

ANDRZEJ GRYGUĆ, ur. w 1961 r. Doktor nauk humanistycznych na Uniwersytecie Gdańskim. Pracował jako nauczyciel historii, pełnił funkcje

związkowe i samorządowe, w tym wiceprezesa Zarządu Okręgu ZNP w Suwałkach, burmistrza miasta Sejny, przewodniczącego Rady Miasta Sejny. Obecnie jest pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Białymstoku. Zajmuje się zagadnieniami marketingu terytorialnego, wolne chwile poświęca historii.

ZOJA JAROSZEWICZ-PIERESŁAWCEW, ur. w 1954 r. w Boćkach. Absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie, gdzie ukończyła studia humanistyczne z zakresu bibliologii. W 1988 r. uzyskała tytuł doktora, w 2004 r. tytuł doktora habilitowanego, w 2006 r. profesora nadzwyczajnego. Związana jest z Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. W okresie 1981–1988 była asystentem, w latach 1988–2006 adiunktem tej uczelni. Przez cztery lata (2002–2005) zasiadała w Senacie, od 2003 r. pełniła funkcję zastępcy dyrektora ds. naukowych Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych UWM. W 2005 r. została dyrektorem tego Instytutu. W obszarze jej badań i zainteresowań znajdują się głównie kultura i historia starowierców, dorobek piśmienniczy Słowian zapisany cyrylicą, a także historia książki i bibliotek. Angażuje się w działalność popularyzującą dziedzictwo regionu Warmii i Mazur wśród młodzieży. Jest autorką, współautorką i redaktorką ponad 50 publikacji poświęconych zagadnieniom bibliotekarskim i bibliologicznym w tym: *Starowiercy w Polsce i ich księgi*. Opublikowała liczne artykuły i recenzje na łamach pism naukowych i prasy regionalnej, poświęcone m.in. zbiorom biblioteki klasztornej w Wojnowie, tradycji i współczesności w życiu polskich staroobrzędowców na Mazurach, ikonom staroobrzędowców w zbiorach Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie.

JAN JASTRZĘBSKI, publikował w czasopiśmie, m.in. w „Nowym Wyrazie”, „Odrze”, „Sycynie”, „Borussii”, „Jaćwieży”, „Ocaleniu przez Poezję”, „Toposie” oraz w antologiach. Jest autorem zbiorów prozy: *Fado o ogrodach* (1981), *Drząc* (1987), *Błoto* (1995), *Prozy kolejowe* (1999) za które otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach.

MONIKA KARPOWICZ ur. w 1975 r. Absolwentka animacji kultury na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Od 2002 r. dziennikarka lokalnych czasopism: dwutygodnika „Przegląd Sejneński” i miesięcznika „Twój Augustów”. Laureatka wyróżnienia Fundacji im. Batorego w konkursie dziennikarskim „Nowe granice Unii Europejskiej” (2004 r.).

WACŁAW KLEJMONT, fraszkopisarz, satyryk, autor limeryków, felietonista, eseista, krytyk literacki. Ur. w 1947 r. w Hańczy. Zaocznie ukończył

filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Pracował w szkołach oleckich jako polonista i organizator zespołów artystycznych żywego słowa. Współtworzył grupę poetycką „Legary” (1978–1979) i współorganizował Oleckie Czerwece Poetyckie (1979–1985) oraz gołdapskie spotkania „Ocalenie przez poezję” (1993–2002). Należy do Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach. Debiutował w 1969 r. fraszkami w „Nowej Wsi”. Uczestniczył w ogólnopolskich konkursach na utwory satyryczne, zdobywając wiele nagród. Publikował m.in. w „Krajobrazach”, „Warmii i Mazurach”, „Ocaleniu przez Poezję”, „Szpilkach”, „Karuzeli”, lokalnej prasie oleckiej, gołdapskiej, elckiej, olsztyńskiej, białostockiej oraz w programach Polskiego Radia i TVP. Uprawia krytykę literacką. Wydał liczne tomiki fraszek i limeryków. Znany jest w środowisku z działalności prospołecznej; był radnym w kadencjach 1994–2002. Ponownie został wybrany do rady miasta Olecka w roku 2006.

EWA KOCÓJ, etnografka, antropolożka kultury po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, asystentka w Katedrze Zarządzania Kulturą Instytutu Kultury UJ. Interesuje się współczesną religijnością, antropologicznymi interpretacjami wyobrażeń i symboli kulturowych; duchowością prawosławną i katolicką kręgu Karpat. Ważne miejsce w jej badaniach zajmuje także ikonografia prawosławną i sztuka ludowa. Prowadzi badania nad kulturą religijną Rumunii na tle innych krajów Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej, wschodnimi pograniczami oraz stereotypami narodowymi, etnicznymi i religijnymi. Stypendystka Fundacji im. Lanckorońskich, Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Ministerstwa Edukacji Narodowej w Rumunii i CEEPUS. Laureatka Nagrody im. A. Rojszczaka Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Laureatka nagrody Narodowego Centrum Kultury za najlepszą pracę doktorską z dziedziny nauk o kulturze w latach 2004–2005 w Polsce. Autorka książki *Świątynie, postacie, ikony. Malowane cerkwie i monastery Bukowiny Południowej w wyobrażeniach rumuńskich* oraz licznych artykułów wydanych w Polsce i za granicą.

ROMUALD KOZŁOWSKI ur. w Krejwianach w 1951 r. Od 1961 r. mieszkał wraz z rodziną w Klejwach. Uczył się w szkole w Romanowcach, następnie w LO w Sejnach. W Klejwach pracował jako kierownik świetlicy przyzakładowej. Po osiągnięciu pełnoletności wyjechał na Śląsk, gdzie pracował w kopalni jako górnik, potem jako sztygar. Po przejściu na emeryturę kupił dom w Gibach, gdzie mieszka z żoną do dziś.

CELINA LUTY, nauczyciel dyplomowany, mgr filologii polskiej, terapeutka. Pracowała w Bibliotece Pedagogicznej i Centrum Edukacji Nauczycieli w Sejnach. Autorka publikacji książkowych dla nauczycieli wydanych przez

wydawnictwa fachowe. Odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi w 2005 r. za osiągnięcia zawodowe. Przygotowała 14 projektów o tematyce edukacyjnej i społecznej, dofinansowanych przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Kuratorium Oświaty w Białymstoku i różne fundacje. Aktualnie jest koordynatorem Projektu „Uniwersytet Trzeciego Wieku” w Sejnach z Filią w Puńsku, dofinansowanego przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w ramach konkursu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich.

ARNOLD MARKOWITZ ur. w 1929 r. na Brooklynie (Nowy Jork), miejscu, do którego w wieku piętnastu lat z Sejn (1906 r.) przybył jego ojciec. Rodzina od strony ojca od wielu pokoleń miała swoje korzenie w Krasnopolu, od strony matki natomiast była silnie związana z Tykocinem. Arnold Markowitz jest emerytowanym bibliotekarzem z wykształceniem w kierunku bibliotekarstwa, historii sztuki i ochrony zabytków. Od czasu swojej pierwszej wizyty w Sejnach w 1990 r. powrócił do miasteczka jeszcze cztery razy, ostatnio w 2011 r. Mieszkał przez wiele lat w Nowym Jorku. Obecnie mieszka w Filadelfii, mieście, gdzie zbudowany został statek S.S. Kroonland, ten sam, który przywiózł kiedyś jego ojca do Ameryki.

DOMINIKA NAZARUK ur. w lipcu 1982 r. w Sejnach. Absolwentka Wydziału Filologicznego na Uniwersytecie w Białymstoku. Współtworzyła stowarzyszenie „Fabryka Bestsellerów”. Koordynowała projekt „Fabryka Bestsellerów, czyli warsztaty kreatywnego pisania”, którego efektem było wydanie książki *Śmierć na dobry początek. Opowiadania kryminalne*. Kilka lat spędziła za granicą, tam nabrała oddechu i szerszej perspektywy. Świadoma siły korzeni, wróciła na prowincję, by móc dać wyraz swoim pasjom i zebranym doświadczeniom: połączenia gastronomii i kultury (współtworzyła klubokawiarnię Kopiluwak w Białymstoku), działaniom na rzecz kobiet, zgłębiania problemu tożsamości na pograniczu kultur. W literaturze lubi realizm magiczny, wątki żydowskie, sięganie do wyidealizowanej czasoprzestrzeni – to wszystko, co według niej stanowi kwintesencję prozy Grigorija Kanowicza.

JERZY NAZARUK, ur. w 1954 r. Animator kultury, pedagog, kulturoznawca o specjalności pedagogika interkulturowa. W latach 1986–1995 dyrektor Miejskiego Domu Kultury w Sejnach, twórca Spotkań Amatorskich Teatrów Lalkowych i Dziecięcych Baltic Satelid oraz Międzynarodowego Festiwalu Organowego Młodych Juniores Priorews Organorum Sejnensis. W latach 1999–2002 dyrektor Regionalnego Ośrodka Kultury w Suwałkach. Twórca i lider projektu „Centrum Aktywności Obywateli Sejneńszczyzny”.

JANINA OSEWSKA, pedagog, poetka, animatorka życia literackiego, regionoznawca. Ukończyła Politechnikę Białostocką oraz Podyplomowe Studia Pedagogiczne na Uniwersytecie Warszawskim i Podyplomowe Studium z zakresu informatyki na Politechnice Warszawskiej. Kieruje Szkołą Podstawową nr 6 im. Armii Krajowej w Augustowie. Prowadzi Szkolny Klub Turystyczny „Włóczykij” (od 1993 r.) oraz Kawiarenkę Literacką (od 2004 r.). Opublikowała tomiki wierszy: *W stronę ciszy* (2003 r.) oraz *Do czasu przyszłego* (2007 r.). Była koordynatorką projektów literackich „Augustów w poezji” (2007 r.) oraz „Ziemia augustowska w prozie i poezji” (2008 r.), które zakończyły się wydaniem antologii poezji *Tam prosto do Augustowa* oraz antologii prozy i poezji *Opowieść o Ziemi Augustowskiej*. Zajmuje się też fotografią. Urodziła się i mieszka w Augustowie.

JOANNA OSTASZEWSKA, ur. w 1976 r. na Mazurach. W latach 1996–2001 studiowała filologię bałtycką na uniwersytetach w Poznaniu, Wilnie i Krakowie. Pod opieką naukową pfor. dr. hab. Alfreda Majewicza stworzyła na UAM program badawczy, którego rezultatem była polska edycja *Krzyży litewskich* Adomasa Varnasa w 2005 r., nagrodzona Feniksem. W latach 2003–2005 w ramach stypendium Fundacji Konrada Adenauera studiowała i prowadziła badania naukowe na uniwersytetach w Halle-Wittenberg i Kolonii. Mieszka w Warszawie. Zajmuje się pracą dydaktyczną w obrębie językoznawstwa germańskiego i badaniem wpływu języka zakonu krzyżackiego na kształtowanie się literackiego języka niemieckiego byłych Prus Wschodnich. Ma na swoim koncie wiele publikacji z interesującą ją dziedzin w językach: polskim, litewskim i niemieckim.

EUGENIUSZ PIETRUSZKIEWICZ ukończył studia prawnicze. Pracuje jako dziennikarz-reporter. Publikuje na łamach lokalnej prasy polskiej i litewskiej, współpracuje z radiem Białystok. Z zamiłowania krajoznawca.

SALOMEA PRZYROWSKA, z domu PIĘNCZYKOWSKA ur. w Sejnach w 1885 r., zmarła w Falenicy w 1977 r. Uczyła się w gimnazjum rosyjskim w Szczebrzeszynie koło Zamościa, a następnie na pensji w Warszawie prowadzonej przez panią Fawelkę, gdzie uczył m.in. Ignacy Chrzanowski. Wyszła za mąż za Franciszka Pięńczykowskiego, działacza oświatowego. Mieszkała w poznańskim, następnie powróciła na Suwalszczyznę. Mąż jej objął posadę inspektora oświaty w Augustowie i Suwałkach. Aresztowany przez NKWD w 1940 r. w Augustowie. Salomea w kwietniu 1940 r. została wywieziona na Sybir. Udało jej się uciec z transportu. Dotarła w okolice Zamościa do brata, lekarza. Po wojnie wróciła do Sejn. W latach 1948–1955

pracowała w Liceum Ogólnokształcącym jako nauczycielka rosyjskiego. Następnie była intendentką w Ośrodku Zdrowia w Sejnach. Potem wyjechała do Falenicy do syna Konrada. Przez całe życie była działaczką społeczną.

KATARZYNA RADZIWIŁKO ur. w 1985 r. Absolwentka historii (specjalność archiwistyka) oraz archeologii antycznej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, a także podyplomowych studiów Marketingu Kultury na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie doktorantka w Instytucie Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk. Prowadzi warsztaty archeologiczne dla dzieci. Jej zainteresowania to dzieje ludności żydowskiej na terenie Sejneńszczyzny, archeoturystyka i popularyzacja dziedzictwa archeologicznego w społecznościach lokalnych, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci.

JAROSŁAW SIERADZKI, polonista, współpracownik Pisma Literacko-Artystycznego „Kartki”. Mieszka w Białymstoku.

AGATA SZKOPIŃSKA, ur. w 1973 r. w Łodzi. Antropolog kultury, etnolog. Ukończyła etnologię na Uniwersytecie Łódzkim. Pracuje w Ośrodku „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Kieruje działem zbiorów Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza. Autorka programu „Zapomniane sąsiedztwo”.

BOŻENA SZROEDER, pracownica Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. Twórczyni projektu „Kroniki sejneńskie”. Prowadzi program edukacji regionalnej wspólnie ze szkołami podstawowymi w Sejnach.

DANUTA SZLAUŻYS ur. 27 stycznia 1962 r. w Sejnach. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące z Litewskim Językiem Nauczania w Puńsku i filologię polską na WSP w Olsztynie. Od 1987 r. pracuje jako nauczycielka języka polskiego w LO z LJN w Puńsku.

ALGIS UZDILA, ur. w 1937 r. Ukończył filologię litewską na Uniwersytecie Wileńskim. Nauczyciel w Liceum z Litewskim Językiem Nauczania w Puńsku. Ponad 30 lat prowadzi zespół artystyczny „Jotva”.

Warszawa, 2008.08.24

Pan
 Krzysztof Czyżewski
 Red. Naczelny
 Almanachu Sejneńskiego

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałabym przede wszystkim bardzo serdecznie podziękować Redakcji Almanachu Sejneńskiego za zaproszenie mnie do publikacji materiału, poświęconego ludowym krzyżom litewskim i białoruskim.

Korzystając z okazji, po pierwszej lekturze wydrukowanego już tekstu, chciałabym poinformować Państwa o kilku błędach, które wkradły się do tekstu, przypuszczam – na etapie edytorskim. Chodzi o zamianę fontów w nazwach obcojęzycznych, zamieszczonych przeze mnie w tekście i w efekcie – całkowitą deformację owych nazw. Takie przypadki zdarzają się bardzo często podczas eksportowania dokumentu tekstowego Word, zawierającego liczne obcojęzyczne fonty do programu Adobe, w którym tekst jest edytowany przed drukiem i mają charakter automatyczny. Przypuszczam, że tak stało się właśnie w tym przypadku, choć nie wiem, w jakim programie składaliście Państwo czwarty numer Almanachu – w Indesignie, czy w Quarku. Rozwiązaniem dla takiego problemu jest zamiana faszywego fontu na właściwy już w programie edytorskim przy pomocy funkcji „insert glyphs” – najwyraźniej zabrakło tego w tym przypadku.

Chodzi o następujące nazwy (podaję w kolejności występowania w tekście wraz z numerem strony):

Str. 304 (opis mitu kurdyjskiego) – w oryginale przybliżone brzmienie imienia mitycznego bohatera Kawy (oryginalnie podane w nawiasie kwadratowym) to [Kaua] czyt. „kała” – z całą pewnością nie „kiła”, jak to wynika obecnie z tekstu.

Str. 304 (dalej w tym samym akapicie) – nazwa kurdyjskiego święta wiosny Nawroz (także pierwotnie zapisana w nawiasie kwadratowym) to [nauros] z akcentem na końcówkę, czyt. „nałros” – z całą pewnością nie „naurns”, jak to wynika obecnie z tekstu.

Str. 323 Przypisy:

Nr. 4. Nazwisko autorki to Žemaitytė, nie Țemaitytė, jak wynika obecnie z tekstu.

Str. 324 Bibliografia:

Moja pozycja z 2004 została opublikowana w czasopiśmie Žemaičiu žemė, a nie Țemaičiu žeme jak to obecnie wynika z tekstu.

Str. 325 Bibliografia:

Pisownia nazwiska Žemaitytė we wszystkich przypadkach błędna, jak powyżej

Pisownia Žemaičiu žemė błędna, jak powyżej

W tekście polskim w kilku przypadkach w miejsce „ż” wstawione jest „ę”.

Wskazane przeze mnie błędy, choć mają charakter jedynie edytorski, bardzo szkodzą zarówno obiektywnej prawdzie naukowej (mit kurdyjski), jak także szacownym instytucjom i pisarzom, na których pracy i doświadczeniu oparłam się podczas kompilacji tekstu.

Chciałabym więc prosić Pana o wydrukowanie erraty do tego artykułu i dodanie jej do egzemplarzy Almanachu w formie insertu.

Moja prośba motywowana jest troską o jakość publikacji naukowych, obiektywną prawdę naukową oraz dobre imię twórców i instytucji kultury.

Z poważaniem,

Joanna Ostaszewska